

K. CHŁĘDOWSKI



R Z Y M



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000297913











R Z Y M







# RZYM

## LUDZIE ODRODZENIA



J. B.

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI



ROYAL

LIBRARY OF THE

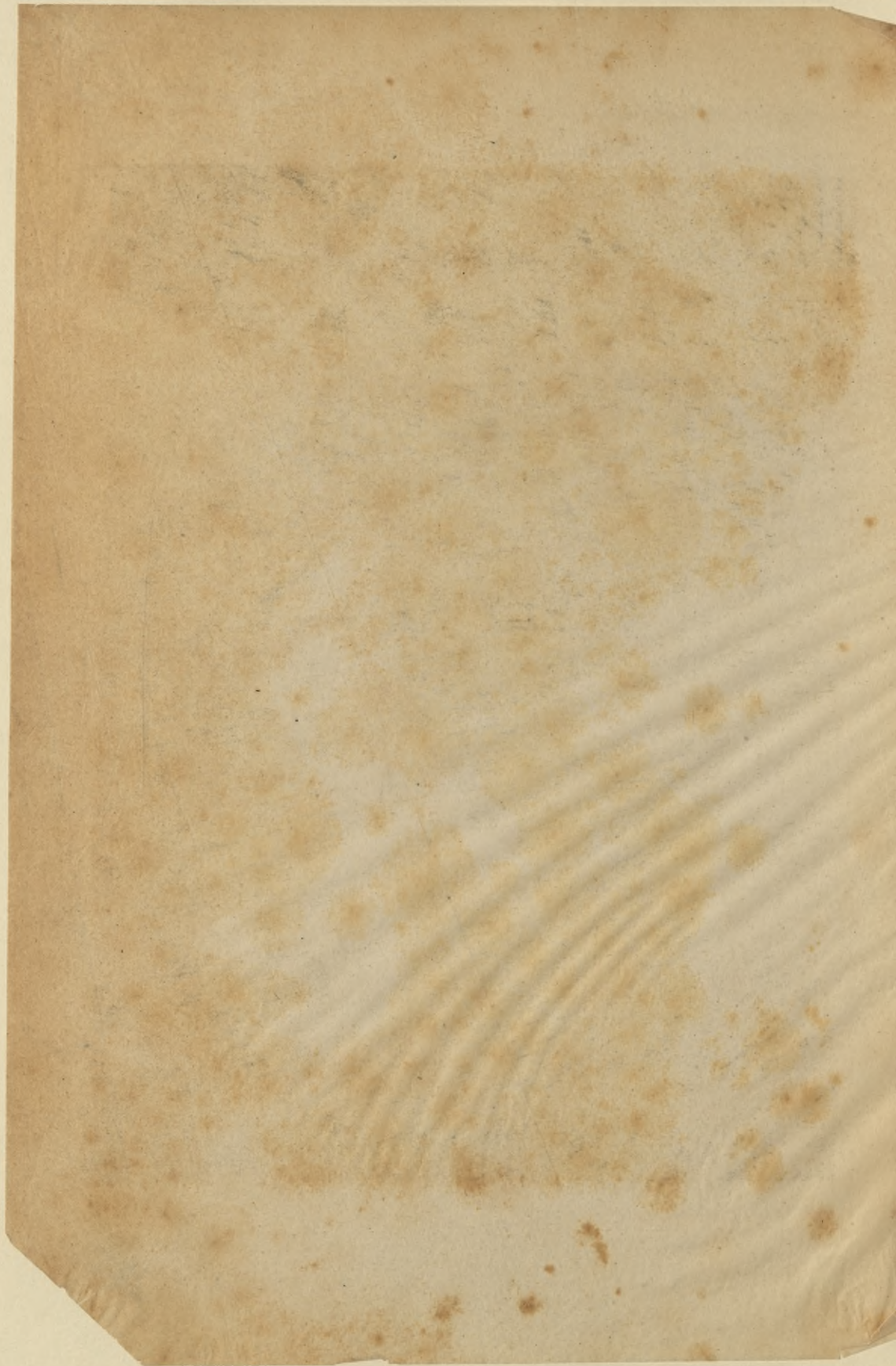


DEPARTMENT OF THE

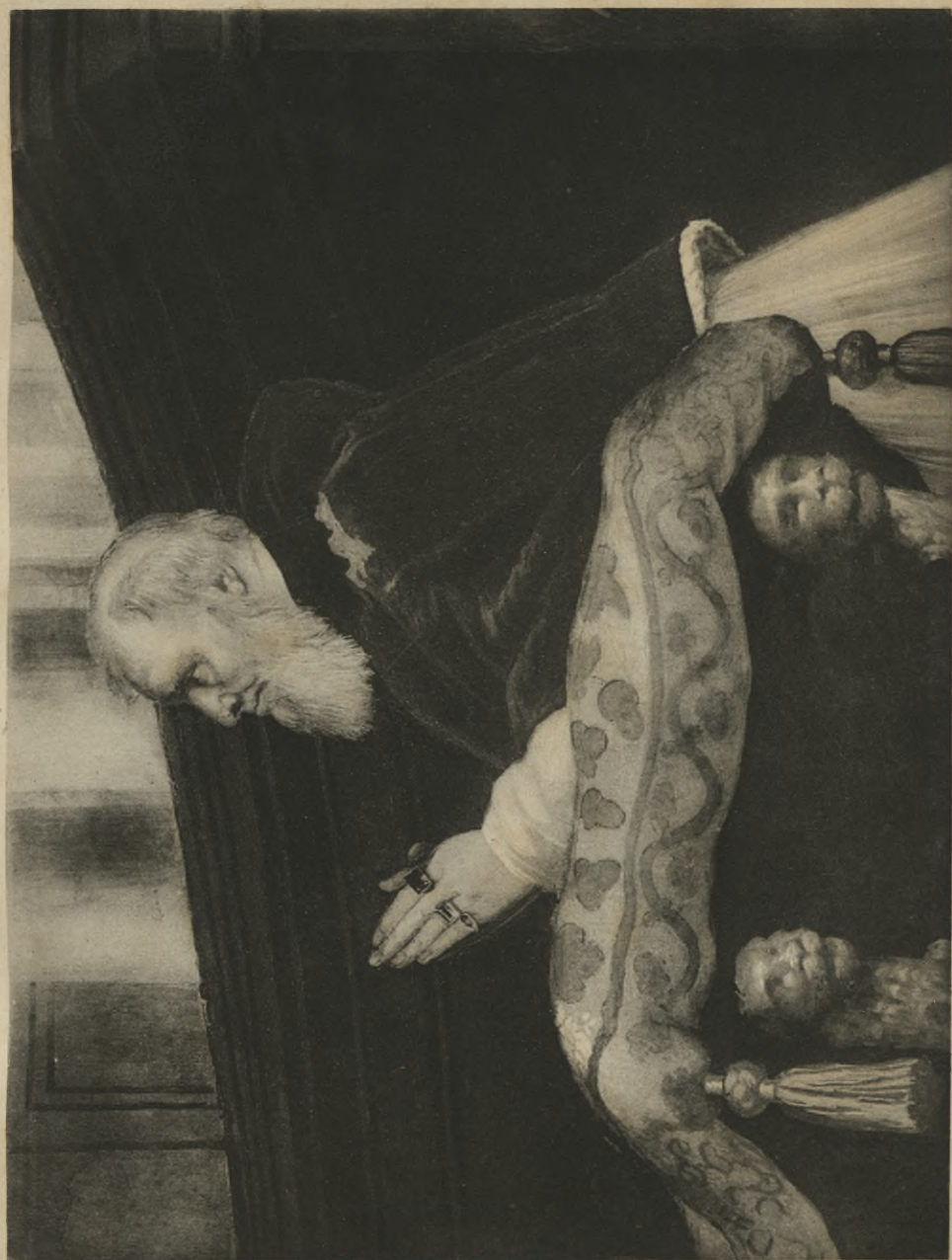












FOT. ANDERSON.

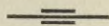
JULIUSZ II  
WEDŁUG FRESKU RAFAELA W WATYKANIE







KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI



# RZYM

LUDZIE ODRODZENIA



LWÓW

NAKLAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA  
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

1909





III 26640.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Akc. Nr. K-1353y 57.



## WSTĘP.

---

Pagórki albańskie są najdalej ku morzu wysuniętą grupą gór Sabińskich, których łańcuch panuje nad Rzymem i Kampanią. Stojąc na jednym z tych wzgórz, czy to w Castel Gandolfo, czy na balkonie willi Aldobrandini we Frascati, ma się przepyszny widok na Kampanię i obejmuje się wzrokiem ów najbardziej może zajmujący w Europie plac boju, na którym różne ludy krwawe walki staczały, rozmaite cywilizacje się ze sobą spierały i wrogie sobie religie wywieszały sztandary zwycięskie. W dali wstęga błyszczącego w słońcu morza, przed nami ściele się płaszczyzna, a w pośrodku niej owa Roma, o której powiedziano kilka słów przepięknych:

Roma, parola magica,  
Simbolo d'ogni gloria,  
Il sol tuo nome è un cantico  
Poema è la tua storia.

Nim się narodzi tutaj nawzajem wytępały, ziemia drgała w ciągłych konwulsjach, wulkany razily się pociskami w tytanicznych walkach, a z law i popiołów powstała Kampania. Według tradycyi, potok żaru, który wykypiał z albańskich kraterów, rozlał się już w czasach historycznych aż po wzgórze, na którym stoi grobowiec Cecylii Metelli, a inny zatrzymał się niedaleko Porta S. Paolo. Gdy zaś kratery powyrzucały ze siebie całą złość, całą namiętność, burzącą się



od lat miliona, siła ich osłabła, woda zalała ogniem ziejące paszcze i potworzyły się w nich jeziora i stawy, okrągłe, gdzieniegdzie prawie niezgłębione, o brzegach porośniętych zieloną krzewiną. Z jezior tych i stawów spływa kilka sporych rzek, jak Anio, gubiący się w Tybrze, jak Astura, Incastro, przedzierające się do morza, ale więcej jeszcze potoków bez nazwiska, które nie mając siły, aby dobiec jednym pędem do brzegów morskich, grzęzną na płaszczyźnie w wulkanicznym namule, szukają wyjścia w rozmaitych kierunkach, zagłębiają się pod trzciny i trawy, albo płyną wierzchem, skręcają się jak węgorze, aby po chwili znów zniknąć pod ziemią. Gdy się te potoki, po dłuższych wysileniach, po labiryntowych ścieżkach dostały do morza, natrafiają tam bardzo często na nowe przeszkody w swym biegu. Silne fale morskie cofają osłabione już prądy wód słodkich, a wyrzucając całe ławy traw i roślin, tamują ich odpływ. Stąd w pobliżu morza potworzyły się moczary, owe febrą ziejące Maremmy, Pontyńskie błota, których ręka ludzka do dziś dnia opanować nie może.

Campania rzymska najcharakterystyczniejszą jest na południe od Tybru i Rzymu, aż po góry Albańskie i po Palestynę, tam bowiem najwięcej starożytnych i średniowiecznych ruin, tam bliskość morza przesyca wilgocią atmosferę i przyczynia się do magicznego nieraz oświetlenia. Zresztą ta część Kampanii, najrówniejsza, najmniej poszarpana, najmniej uprawna i zamieszkała, nosi dotąd cechę prawie dziewiczego stepu, na którym prócz chat pasterskich, splecionych z trzciny, innych prawie niema. A owe chaty wyglądają jak stogi siana i tylko mały krzyż, zatknięty na szczycie, wskazuje, że tam zimą i latem mieszkają ludzie, do dzikich zbliżeni. Niezliczone szare stada owiec, których pilnuje pastuch, odziany skórą, i białe psy odrębnej rasy, tu i owdzie wałęsające się siwe bydło o długich rogach, albo czarne, wystrzępione bawoły, szukające zeschłej trawy, dopełniają barwności pejzażu. Wszystko tam tchnie spokojną melancholią, a pustka każe nam zapomnieć o bliskości jednej ze stolic nowoczesnej Europy i zachęca do tęsknoty za naturą pierwotną, jednostajną, cichą, usposabiającą do kontemplacji. Gdyby













Widok Kampanii rzymskiej.







nie widok kopuły świętego Piotra, możnaby tutaj wrócić do religii czcicieli ognia i słońca, bez którego cały widnokrąg grzązłby w ponurym smutku.

Inne wrażenie sprawia Kampania na północ od Rzymu, aż po jezioro Bracciano, nad którym panuje groźny zamek Orsinich, dzisiaj Odescalchich. Wody spłynęły w tych okolicach do jezior i do Tybru, a po błędnych potokach pozostały tylko głębokie jary, rozpadliny, jaskinie, duże pagórki, tu i owdzie drzewiną obrosłe, lub na pochyłościach nawet już uprawne. Gdyby nie częste pustki, gdyby nie stada owiec i chudego bydła, nie powiedzielibyśmy, że to jeszcze rzymska Kampania. Historyczne wspomnienia gubią się tutaj w pomroce dziejów, w epoce Etrusków, w kilkowiekowych walkach Rzymian z mieszkańcami Vei, w nekropoli miasteczka Cervetri, dawnego Caere i nie są nam tak bliskie, tak zrozumiałe, jak grobowce i akwedukty rzymskie w niższej Kampanii. W tych pustkach etruskich znikły średniowieczne wspomnienia wraz z temi osadami, jak Galera, która się zapadła w malarycznych moczarach. Człowiek uciekł stamtąd, obawiając się febry, a bluszcz tylko owinął pysznym, zielonym całunem to cmentarzysko z XIII i XIV wieku.

Kampania została do dziś dnia prawie taką, jaką była na początku epoki Odrodzenia; od XV wieku niewiele się tutaj zmieniło, ongi było tylko więcej ruin, więcej wież obronnych, rozsiadających się tu i owdzie na pagórkach. Sam Rzym jednak w ciągu wieków zupełnie inne przybrał kształty. Gdyby nie historyczne tradycje, gdyby nie Kampania, Rzym nie miałby tego uroku, który ku niemu pociąga i czyni go stolicą marzeń. Proszę sobie wystawić fabryczne kominy koło rzymskich wodociągów, a nad Tybrem brak zamku św. Anioła, tej najbardziej na wyobraźnię działającej budowy na świecie, a Urbs byłaby miastem, jakich wiele. Nigdzie nie można tak ocenić pierwiastku duchowego i wartości dziejowego podania, jak w Rzymie. Człowiek swem działaniem, swą myślą i kulturą nadaje piętno ziemi, nadaje jej wyższe znaczenie, a olbrzymie sumy tej idealnej wartości, tego kapitału, który w największe cyfry nie da się ująć, nagromadzone zostały w tem mieście, o którym Ma-



Lucretius pisał swemu cesarzowi, Janowi VIII Paleologowi, że Roma nie jest kawałkiem ziemi, ale częścią nieba. Dodałbym jednak, że i częścią piekła, gdyż każda piędź tej ziemi, każdy odłam średniowiecznej wieży przesiąknął tutaj krwią jakiejś ofiary i przypomina tysiące zbrodniczych dramatów. Ale to bynajmniej nie ujmuje Rzymowi uroku, podobnie jak zbrodnie Ryszarda III nie ujmują wartości tragedii Szekspira.

Wyobraźnia ludów Europy nie zajmowała się tak żadną stolicą, żadnym zakątkiem ziemi, jak Rzymem, który był przez długie wieki ideałem wielu pragnień, tem, czem go Byron nazwał, *city of the soul*, miastem ducha. Rzym ma bowiem podobną w sobie właściwość, jak największe dzieła literatury świata, że można je zawsze czytać i zawsze się do nich wraca, gdyż pobudzają do myślenia, nasuwają coraz to nowe spostrzeżenia, działają ożywiająco na imaginację.

Ten Rzym przedrenesansowy wyglądał wszakże zupełnie inaczej, jak późniejszy, nie usposabiał do lirycznych uniesień, ale mógł stroić gęśl epicznego barda, przedstawiał heroiczny pejzaż.

Mury starożytne z wieżami i bramami jeszcze istniały i zamykały stosunkowo niewielką przestrzeń. Wogóle co do rozmiarów dawnego Rzymu mamy zanadto przesadne wyobrażenia; jakiś cierpliwy Francuz obszedł w drugiej połowie XVI wieku otoczenie miasta i obliczył, że mury miały długości tylko 16.000 kroków, a 366 wieżyc na nich spoczywało. Zresztą przypatrując się jeszcze dzisiaj na Forum owej kamiennymi bryłami wyłożonej drodze, po której wracali tryumfatorowie z podbitych prowincyi, nie możemy wyjść z podziwienia, że ta wązka uliczka mogła służyć do tak wspaniałych celów. Znaczna część ludności w świetnych czasach Rzymu miała swe domy poza murami, a zresztą okazuje się, że miasto nie potrzebuje objętości Chicago, aby odegrać wielką rolę w dziejach ludzkości.

Na Rzym przedrenesansowy jeszcze i te mury były za obszerne, miasto w połowie XV wieku tuliło się zaledwie w małym zakątku okręgu, objętego dawnymi twierdzami, opierało się z jednej strony o Kapitol, z drugiej nie sięgało





Widok Rzymu w połowie XV wieku.

Fresk Benozza Gozzoli w kościele św. Augustyna w San Geminiano.







nawet do Piazza del Popolo, a ku północy nie przekraczało dzisiejszego Corso. Na tej przestrzeni istniały w znacznej części nędzne domy, tworzące zbitą masę ruin, z których sterczały tylko starożytne gmachy i obronne wieże średnio-wiecznego rycerstwa, wbudowane po największej części w rzymskie świątynie i teatry. Przyglądając się tym budowom, można było spostrzedz na pierwszy rzut oka, że rycerstwo dzieliło się na dwa potężne odłamy. Gibellini w swych wieżach i murach trzymali się więcej północnego stylu, mieli bramy i okna ostrołukowe, blanki w liczbie nieparzystej i zawsze czworoboczne. Gwelfowie natomiast oprawiali swe okna w półkoliste łuki i uważali parzystą ilość blank za konieczną. Każdy zamek zdradzał już na zewnątrz niepewność stosunków i trwogę przed nieprzyjacielem. Okien było jak najmniej, a schody najczęściej nie istniały, aby wróg nie miał łatwego do środka przystępu. W spokojnej chwili spuszczano się na dół na linach, aby się w żywność i wodę zaopatrzyć.

Pierwszy artystycznie wykonany obraz Rzymu z połowy XV wieku dał nam Benozzo Gozzoli w swych freskach w kościele św. Augustyna w San Geminiano. Artysta bawił w stolicy papieskiej za Eugeniusza IV, za Mikołaja V i Piusa II i mógł szkice z natury rysować. Na jednym z owych fresków, przedstawiającym wyjazd św. Augustyna z Rzymu do Medyolanu, wybrał Benozzo za tło część wiecznego miasta pomiędzy Forum Trajana a Watykanem i uwydatnił najcharakterystyczniejsze gmachy tych dzielnic, okolone zielonymi pagórkami. Nie jest to wierny obraz miasta, ale skupienie na małej przestrzeni tych budowli, które oko najbardziej uderzały. Widzimy tam kolumnę Trajana, Panteon z portykiem, Moles Hadriani, piramidę zwaną Meta, którą Aleksander VI kazał zburzyć w r. 1499, widzimy odwieczną bazylikę św. Piotra. W drugim fresku wziął Benozzo za tło z jednej strony pochyłość Awentynu z Tybrem u spodu, z drugiej okolice św. Pawła z piramidą Cestyusza. Rzym był jeszcze wówczas bogaty w starożytne gmachy. W pobliżu zamku św. Anioła istniał cyrk Hadryana, który Gotowie zmienili w fortecę, mury Colosseum były prawie nienaruszone i tylko posągi starożytne prawie znikły zupełnie. Potłuczono



je, spalono na wapno albo zagrzebano w rumowisku. Z nieprzeliczonych dzieł greckiego i rzymskiego dłuta, które zdobyły publiczne gmachy za cesarstwa, policzył Poggio już tylko pięć posągów z marmuru i jeden z bronzu, a mianowicie posąg Marka Aureliusza na koniu, który wówczas stał koło Lateranu. Laokoon i Apollo Belwederski leżały jeszcze spokojnie, ziemią pokryte.

Część miasta około świętego Piotra nazywała się od dawna Civitas Leonina i była siedzibą duchowieństwa. Pomiedzy zamkiem św. Anioła a bazyliką pasło się bydło i dopiero za Sykstusa IV i Aleksandra VI powstały ulice Borgo Sto Spirito i Borgo Vecchio, któremi się obecnie dojeżdża do Watykanu. Przed bazyliką rozciągał się plac daleko mniejszy, aniżeli dzisiaj, a do świątyni prowadziło trzydzieści pięć szerokich schodów, po których pątnicy na klęczkach wychodzili. Siedziba papieża składała się z pałacu i grupy domów, będących przed Marcinem V w niesłychanym opuszczeniu.

Wśród ruin i marmurowych złomów rosły dęby i cyprysy, a pomiędzy winnice ciągnęły się wydeptane ścieżki do owych bazylik, w których pielgrzymi się modlili, aby dostąpić odpuszczenia grzechów. Podczas jubileuszu w r. 1450 znajdował się tam i nasz historyk Długosz, który bawił w Rzymie dni siedmnaście, ale niestety ani słowa nie zapisał o wrażeniach, jakie na nim sprawiło wieczne miasto. Musiał mieć w ręku, jak każdy z ówczesnych wykształconych pielgrzymów, księgę Mirabiliów, rodzaj przewodnika po Rzymie, który począwszy od XII wieku, z rozmaitemi zmianami krążył w niezliczonych odpisach. Ale w tych Mirabiliach więcej mówiono o tradycjach przywiązanych do rzymskich ruin, aniżeli o papieskiej stolicy. A owe tradycje okraszane były bujną średniowieczną wyobraźnią. O Kapitolu dziwy opowiadały Mirabilia. Według nich mury były tam za czasów cesarskich wyłożone szkłem i złotem, a na ozdobienie głównego pałacu użyto tyle drogich kamieni i szlachetnego kruszcu, że wartość ich równała się wartości jednej trzeciej części całego świata. Stało tam tyle marmurowych posągów, ile Rzym miał prowincyi, a gdy która z nich chciała się oderwać od państwa, to postać kamienna, przedstawia-



jąca zbuntowany kraj, sama się odwracała od miasta. W rzeczywistości był Kapitol w czasach przedrenesansowych strasznie opuszczony. Zamiast tradycyjnych gęsi, pasły się tam krowy i kozy po urwiskach, pod pagórek wynoszono śmieci i nieczystości, a na skale Tarpejskiej stały szubienice. Na Forum szukały chudego pożywienia bawoły i świnie, a sępy unosiły się nad ruinami, aby się spuszczać na padlinę. Nie dziw więc, że humanista Poggio, gdy wyjechał ze swym przyjacielem Loschim na Kapitol i tam usiadł na złomie jakiejś kolumny, spoglądał z bólem na to miasto, podobne do olbrzymiego trupa pokrytego ranami, na tę stolicę, która była ongi siedzibą tylu sławnych ludzi i potężnych cesarzy, matką cnót, nauk i sztuki, a teraz stała się nędznym rumowiskiem.

W XV wieku zaczęto wydawać zmienione *Mirabilia*, w których dodawano część opisującą Rzym, jaki był za papieży Odrodzenia. Każdy pątnik zaczynał, stosownie do wskazówek tego podręcznika, swą wędrówkę od bazyliki Laterańskiej, uważanej wówczas za najpierwszą świątynię nie tylko w Rzymie, ale w całym świecie. Najwięcej pobożnych cisnęło się do siedmiu bazylik, do których były przywiązane pewne łaski duchowe, a więc oprócz Lateranu, do św. Piotra, S. Maria Maggiore, S. Lorenzo fuori le mura, do S. Sebastiano, S. Paolo i S. Croce in Gerusalemme. Ale te wędrówki do kościołów, oddalonych od miasta, leżących wśród ruin i winnic, były połączone z niebezpieczeństwem życia i mienia, pielgrzymi łączyli się więc w większe grupy, a często nawet zabierali mały oddział zbrojnych ze sobą, aby iść bezpiecznie. Lud rzymski nie miał dobrej sławy, a w całym świecie znanem było powiedzenie: »Roma santa, ma popolo cattivo«.

Dawna rycina przedstawia pielgrzyma, przychodzącego z dalekich krajów ad limina Apostolorum i zbliżającego się do osteryi, którą mu wskazano. Naprzeciw niemu wybiegają wprawdzie gospodarstwo z otwartymi ramionami, ale ów zajazd wygląda raczej na więzienie, aniżeli na zwykły dom mieszkalny: okna zakratowane, drzwi wąskie, jak w fortecy. Mimo to było tam zapewne wygodniej, aniżeli w owych ho-



---

spicyach, gdzie tłumy pielgrzymów mieszczono. Sam Ospedale della SS. Trinità miał w roku jubileuszowym 1575 bez liku gości. Można sobie wystawić, że cierpienia, na które pielgrzym był narażony w takich koszarach, przewyższały nawet trudy dalekich podróży. Począwszy od czasów Sykstusa IV istniała wszakże gospoda dla znakomitych przyjezdnych, pod godłem niedźwiedzia, locanda dell' Orso, przy dzisiejszej via dell' Orso. Prałaci, a nawet kardynałowie, przybywający z Północy, radzi przynajmniej kilka dni wypocząć, zanim się udadzą do Watykanu, zajeżdżali pod »niedźwiedzia«. Słynny Francuz Montaigne mieszkał tam w roku 1581, gdzie się z nim zapoznał nasz prałat i poseł, Stanisław Reszka, po którym się dochował Dyaryusz z lat 1584—89. Reszka spotkał tam także później (w roku 1589, w kwietniu) na obiedzie Szczęsnego Herburta i jego brata, Abrahama; ale to spotkanie było mniej może przyjemne, aniżeli znajomość ze znakomitym Francuzem, gdyż rodakom zabrakło pieniędzy i Szczęsny u Reszki się zapożyczył. Nie tylko że autor Dyaryusza musiał zapłacić za Herburta sześć skudów w gospodzie, ale nawet na jakiś czas przyjął go wraz ze służącym do swego mieszkania, zapewne na tak długo, dopóki nieogłędnemu podróżnikowi pieniędzy z domu nie przysłano<sup>1)</sup>.

Do wszelkich przykrości pielgrzymki dodać trzeba było niebezpieczeństwo zjadliwej febry, która w Rzymie większą część roku panowała, i częste morowe zarazy. Wobec tego tylko siła wiary i urok, jaki wieczne miasto roztaczało, mogły tam prowadzić tłumy ludzi z dalekich krajów.

---

<sup>1)</sup> Poważny niegdyś zajazd utrzymał się do ostatnich czasów, ale już tylko jako osterya dla wieśniaków.

---



## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

---

### RÓD COLONNÓW.

#### I.

Wielki łuk gór Albańskich rozpoczyna się w oddali, ku północy, odosobnionym kopcem, na którym usadowiła się mała miejscina Colonna, dająca nazwisko najpotężniejszemu rzymskiemu rodowi; dalej ku południowi sterczy Tusculum o zamierzchłej przeszłości, następnie szarzeje ów klasztor Grotta Ferrata, który Juliusz II zamienił w obronną twierdzę, wiesz się Marino pełne krwawych wspomnień i jeszcze mnóstwo innych rycerskich zamków uczepiło się na pochyłościach skał aż po Palestrinę.

Colonna jest początkiem, Palestrina kresem wielkości Colonnów, tam bowiem papieżstwo złamało ich potęgę.

Nad zwietrzałymi murami zamków, nad górami Albańskimi piętrzą się pokryte śniegiem góry Sabińskie, które służyły rycerstwu za strategiczne oparcie.

Z owych wyżyn, z owych gniazd obronnych spoglądały możnowładcze rody na Rzym pożądliwem okiem, chcąc wydrzeć cokolwiek z tych bogactw, które tam spływały z całego świata, albo owoładnąć zupełnie miasto i Stolicę Apostolską. Rody te były po większej części obcego pochodzenia, przyszły z Północy, wyćwiczone w wojennem rzemiośle. Po-



między Rzymem a tymi baronami powstało wieczne współzawodnictwo, wieczna walka.

Za Grzegorza Wielkiego (590—604) należała cała Kampania, z małymi tylko wyjątkami, do kościołów i klasztorów rzymskich, które po cesarzach weszły w jej posiadanie. Tam gdzie były ziemie imperatorów, powstało patrimonium beati Petri, własność Kościoła. Taki stosunek utrzymywał się bardzo długo i dopiero w XI i XII wieku baronowie potrafili owdądzić nizin. W północnych Włoszech i w Toskanii miasta pochłonęły baronów; Rzym nie miał tej siły, jak dobrze zorganizowane komuny, jak Florencia, Syena, Piza, i nie mógł dyktować praw szlachcie, gdyż wewnętrzne niezgody i zewnętrzne wpływy tamowały rozwój organizacji gminnej. W Rzymie spierali się ze sobą papież, cesarz i lud na niekorzyść wewnętrznej siły miasta, komuna więc była za słabą, aby pochłonąć okoliczną szlachtę. Rody rycerskie zmuszały powoli dawnych właścicieli, aby swe obszary w Kampanii oddawali im w wieczystą dzierżawę. Kościoły więc, klasztory, kanonie, chcąc uratować przynajmniej tytuł własności, musiały wydzierżawiać swe dobra baronom za marny czynsz, będący tylko zaznaczeniem, że majątek nie do rycerza należał. Tuzin jaj, para kapłonów, beczka wina, oto bywała opłata za dobra o obszarze mili kwadratowej. Feudalne też stosunki rzymskie bardzo się różniły od takichże stosunków na Północy, feudalizm bowiem rzymski opierał się najczęściej na wieczystej dzierżawie, na kościelnej emfiteuzie.

W czasie walk pomiędzy miastem, baronami a papieżem rosła anarchia nie tylko w Rzymie, ale i w całej Kampanii, a gdy papieństwo ostatecznie z końcem XV wieku zapanowało nad szlachtą i Rzymem, po Kampanii blakali się już tylko pasterze nomadzi, którzy tam zstępowali na zimę i wiosnę z gór ze swymi trzodami, a na lato wracali w Apenniny. Ager romanus pustoszał, zabagniał się, a wokół Rzymu szerzyła się febra. Pier Damiano, słynny poeta i kardynał, który żył w XI wieku, prowadząc jeszcze za młodu pustelnicze życie w Apeninach, w Fonte Avellana, pisał do papieża Mikołaja III, że »Rzym, gniazdo gorączek febr-



cznych, ma obfite żniwo śmierci, a rzymskie febry tak stateczne i wierne, że kogo raz opadną, bodaj czy go żywym opuszczają<sup>1)</sup>.

Miasto i Kościół nienawidziły baronów, ale ich często potrzebowały w razie saraceńskich napadów, co jeszcze bardziej utrudniało wzajemne stosunki, gdyż szlachta drogo każała sobie płacić za udzieloną opiekę, która nieraz bardziej nad krajem ciążyła, aniżeli daleki nieprzyjaciel. Dawny wierszyk powiada, że gorzej od papieża i cesarskich ludzi, bardziej od głodu i morowej zarazy dają się Rzymowi we znaki rycerskie rody.

Più assai che peste, papa e imperiali  
Più a Roma sono assai crudi e fatali.  
Più assai che fame, Galli e Aragoni,  
Savelli, Orsini, Cenci e Colonnesei.

## II.

Z pomroku dziesiątego wieku wylania się, jak groźny posąg w oparach Tybru, postać Teodory, żony konsula i senatora Teofilakta, owej niezwyklej kobiety, która zdobyła sobie panowanie nad Rzymem i papieżstwem. Teodora miała córkę Marozię, co do siły charakteru i zręczności przechodzącą matkę. Pierwszym jej mężem był Alberico di Tuscolo, awanturniczny rycerz pochodzenia germańskiego, który, jak się zdaje, owdładnął księstwem Spoleto, a następnie zdobywszy Tusculum, stał się i w Rzymie potężną osobistością. Nazywano go Alberico di via Lata, gdyż miał zamek przy owej ulicy, mniej więcej na tem samem miejscu, na którym dzisiaj znajduje się pałac Colonnów i słynna ich galerya obrazów przy placu ŚŚ. Apostołów. Po śmierci Alberyka wyszła Marozia za mąż za Gwidona z Toskanii, a po raz trzeci za

<sup>1)</sup> Roma vorax hominum domat ardua colla virorum,  
Roma ferax febrium necis est uberrima frugum,  
Romanae febres stabili sunt iure fideles,  
Quem semel invadunt, vix a vivente recedunt.



króla Włoch, Gwidona z Prowancyi. Ślub tej niemłodej już pary odbył się w zamku św. Anioła, gdyż Marozia stamtąd wykonywała swe twarde rządy w Rzymie. Niedawno kazała w piwnicach Moles Adriani udusić papieża Jana X, aby syna swego osadzić na Stolicy Apostolskiej pod imieniem Jana XI, teraz zaś chciała opanować oprócz papieństwa jeszcze i imperium, marzyła o cesarskiej koronie dla Hugona. Tak wysoko wspiąć się nie mogła, ale syn jej pierworodny, którego miała z Alberykiem, Alberico II, stał się założycielem wielkiego rodu hrabiów na Tusculum, którzy przez część dziesiętego i prawie przez cały wiek jedenasty największy wpływ wywierali na losy Rzymu.

Ród ten, pochodzący z praojca Germanina i matki Rzymianki, zaczął wszakże upadać z końcem XI i w pierwszej połowie XII wieku, do czego musiało się przyczynić rozrodzenie się Tusculanów na liczne gałęzie i zubożenie wskutek częstych działów majątkowych. Rzymianie wraz z papieżami nienawidzili Tusculanów, którzy ciężyli nad miastem i Stolicą Apostolską swą potęgą, a gdy w roku 1170 przyszło do wojny pomiędzy Rzymem a Tusculum, górskie to gniazdo nie mogło się oprzeć przemocy i przeszło w posiadanie Kościoła. Odtąd nazwisko Tusculanów znika z dziejów, a jeden tylko z nich, Pietro, staje się w początku XII wieku dziecem wielkości rodu, zmieniając wszakże nazwisko Tusculana na Colonnę. Nazwa miasteczka, w którym Pietro miał swoją siedzibę, stała się godłem rodu, który jeszcze do dziś dnia należy do najpierwszych we Włoszech. Muratori zapewnia, że od tej miejscowości świetny dom Colonnów przyjął swe nazwisko.

Owem dziedzictwem sławy, potęgi i znacznej części majątku hrabiów na Tusculum można tylko wytłumaczyć nadzwyczaj szybko rozwijający się wpływ Colonnów, którzy już w pierwszej połowie XII wieku byli najpotężniejszym rodem w Rzymie i w Kampanii. Po Tusculanach otrzymali oni część samego miasta Tusculum, Monte Porzio, Zagarola i Palestrinę. Do tego spadku należał, jak się zdaje, i zamek Tusculanów w Rzymie. U Colonnów utrzymywała się tradycja, że ród ich pochodzi z Niemiec; Petrarka i jemu



współcześni byli tego przekonania. Według kronikarskich podań jedna ich gałąź miała swe dobra we Frankonii, gdzie się wysługiwali cesarstwu. Tradycje te dadzą się pogodzić z tem, co wiemy o Alberyku. Marcin V Colonna pisał dnia 28 maja 1424 do króla Władysława Jagiełły, wstawiając się za utrzymaniem zaręczyn córki królewskiej Jadwigi z Fryderykiem, margrabią brandenburskim, ponieważ w ten sposób połączą się Colonnowie węzłem powinowactwa z domem Jagiellonów. »Jak bowiem dowiadujemy się od dawnych przodków, dodaje papież w swym liście, dom nasz de Columna Romana i dom terazniejszych burgrabiów norymberskich z jednego rzymskiego idą gniazda«<sup>1)</sup>. Papież to gniazdo nazywa »rzymskiem«, bo jużćić wówczas Colonnowie już od wieków z Germanów stali się Rzymianami<sup>2)</sup>. Ów Fryderyk, burgrabia norymberski, był praojcem pruskiego domu panującego; stąd też wywodzili późniejsi Colonnowie swe powinowactwo z Hohenzollernami.

Ród Colonnów stał też od początku swego istnienia po stronie cesarstwa i był zawsze główną podporą stronnictwa Gibellinów.

Pierwszą sławą rodu Colonnów był kardynał Giovanni II (1217—1241), o którym dzisiaj jeszcze opowiada napis na murach słynnego z cennych mozaik kościoła św. Praksedy w Rzymie. Papież Honorusz wysłał Giovanniego jako swego legata do Konstantynopola, gdzie kardynał działał rzeczywiście jako niewzruszona, silna »kolumna« na cześć Boga

<sup>1)</sup> List ten zamieszcza Długosz pod rokiem 1424.

<sup>2)</sup> Pomiędzy portretami kardynałów z rodu Colonnów, który wydał w Rzymie r. 1650 opat Ferdynand Ughellus (*Columnensis familiae cardinalium i t. d. Romae. Typis haeredum Corbeletti*), znajduje się także portret Alberta Columny, margrabiego brandenburskiego, z napisem »Albertus Germanus, e vetusta Romana Columnensium familia oriundus, Joannis Brandenburgensis Marchionis ex comitibus de Zoltern filius« i t. d. Król pruski Fryderyk II był niezadowolony z tego pokrewieństwa z Colonnami, zaprzeczał, jakoby Hohenzollerni mieli cośkolwiek wspólnego z rzymskim rodem (*Mémoires pour servir à l'histoire de Brandebourg, część I*) i utrzymywał, że Colonnowie przypuszczali, że berło w herbie Hohenzollernów, to także kolumna, w czem się mylili.

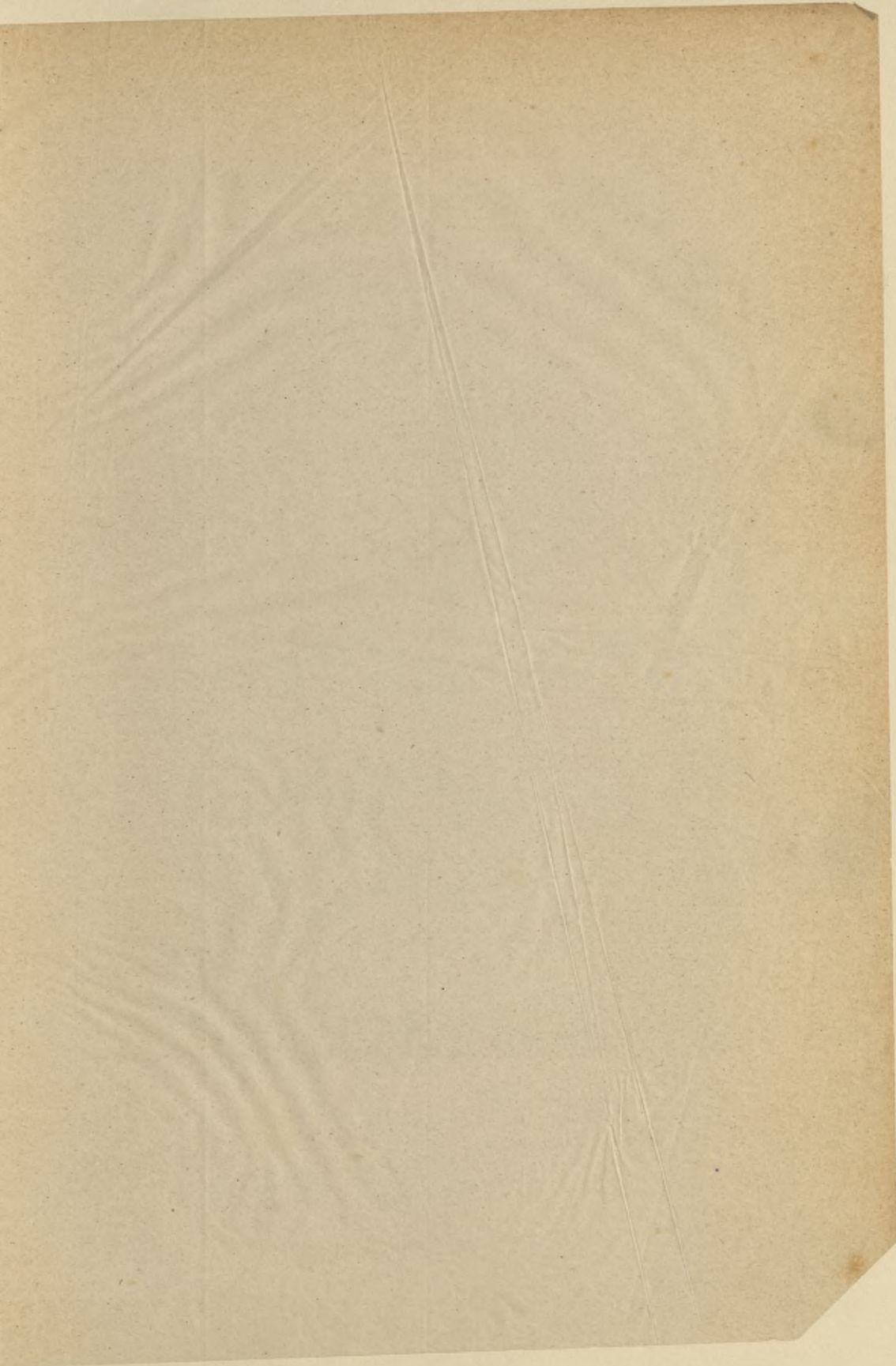


najwyższego i rzymskiego Kościoła, »tamquam immobilis Ecclesiae Columna ad honorem Dei et Ecclesiae Romanae«. Podanie niesie, że należąc na Wschodzie do wyprawy przeciw Turkom, dostał się do niewoli, a gdy go barbarzyńcy wzięli na tortury, jasny promień ukazał się na niebie i taką aureolą świętości twarz jego otoczył, że niewierni męczyć go zaprzestali i uwolnili, jako człowieka, którym się niebo opiekuje. W nagrodę swych zasług około religii otrzymał kardynał w Konstantynopolu ową kolumnę, do której przywiązano biczowanego Chrystusa, przywiózł ją w tryumfie do Rzymu i umieścił w swym kościele św. Praksedy, gdzie się dotąd znajduje.

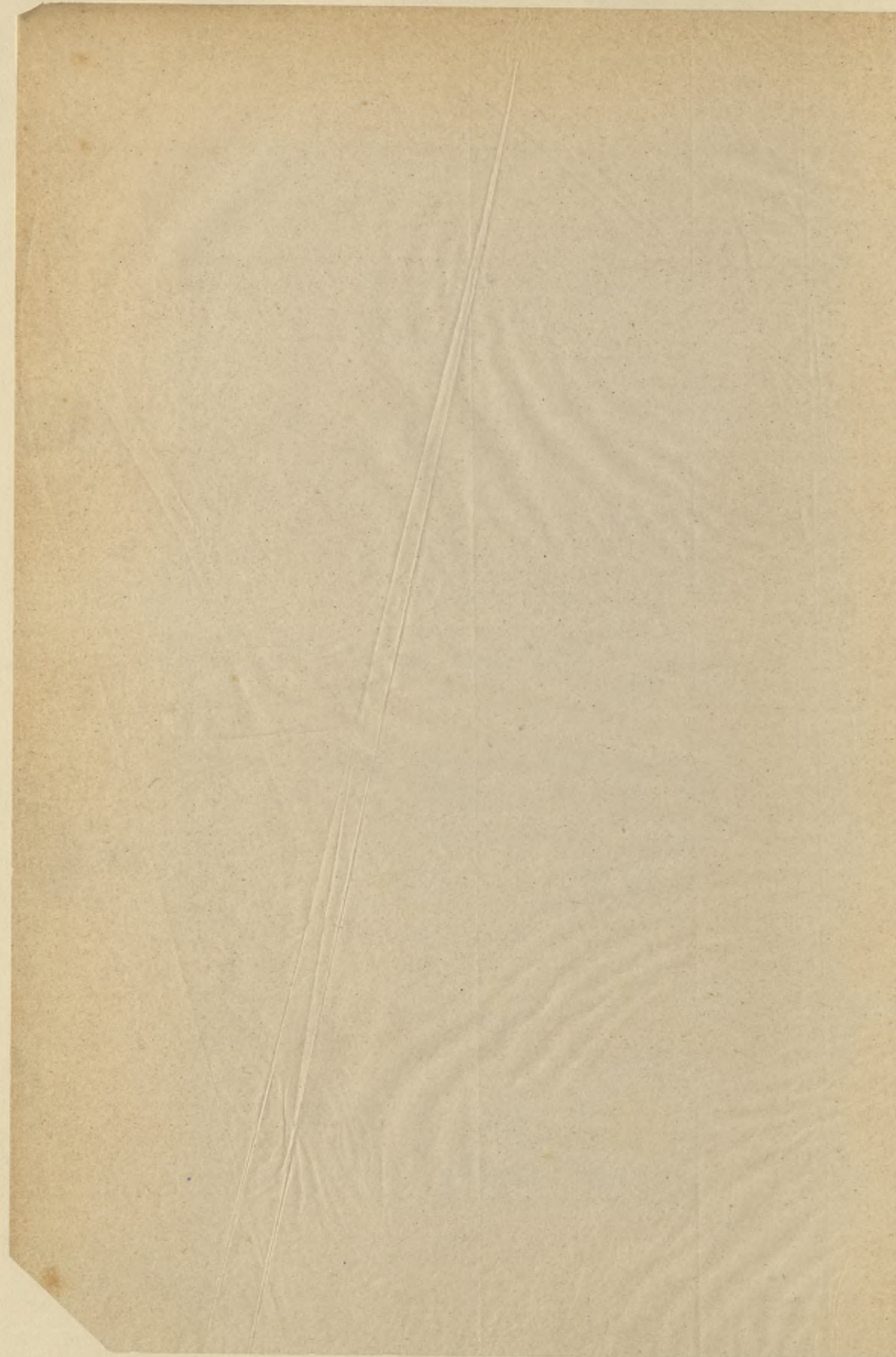
Tradycje rodu Giovanniego sprzeciwiały się wszakże powołaniu księcia Kościoła. Grzegorz IX wysłał go do Ankonu na wojnę, którą prowadził z królem Enzo, synem największego nieprzyjaciela Stolicy Apostolskiej, Fryderyka II. Ale kardynał zamiast walczyć z wrogiem, zawarł z nim zawieszenie broni, wbrew interesom Kościoła, wskutek czego poróżnił się z papieżem, cofnął się do rodzinnej fortecy, do Palestriny i oświadczył się otwarcie za Fryderykiem II. Od tego czasu polityka Colonnów wobec Kościoła zawsze idzie temi samymi drogami; ród ich dopóty wspiera Watykan, dopóki mu to korzyść przynosi, w gruncie rzeczy jednak zawsze opiera się o cesarstwo, aby nie być zależnym od papieża. Cesarstwo nawzajem stara się wzmocnić Colonnów, gdyż w nich ma najsilniejszą podporę w środkowych Włoszech. Colonnowie stają się niemal mocarstwem, z którym się liczą Niemcy, Francya i Hiszpania.

Jedynem oparciem papieżstwa wobec przewagi Colonnów staje się drugi ród rycerski, Orsinich, którzy od dawna byli możną familią w Umbryi, a następnie osiedlili się w górach Sabińskich, skąd zeszli na doliny i zajęli prawie cały prawy brzeg Tybru. Z czasem posiadli Orsini małe państwo w północnej Kampanii, ziemskie ich majątki obejmowały obszar osmdziesięciu mil w obwodzie. W ciągu wieków wykazują ich familijne kroniki pięciu papieży, przeszło trzydziestu kardynałów i cały szereg rzymskich senatorów. Giovanni Gaetano Orsini, który został papieżem w roku 1277













Zamek w Bracciano.

Fot. R. Moscioni.

Do str. 15.

















Fot. R. Moscioni w Rzymie.

### Wyprawa Orsinich na wojnę.

Według fresku Antoniazza Romano w Bracciano.







pod imieniem Mikołaja III, przyczynił się najwięcej do wzrostu ich potęgi, obdarzając swych krewnych niezliczonymi donacyami. Ojciec tego papieża miał trzy żony i mnóstwo synów, wskutek czego rodzina Orsinich już w XIII wieku tak się rozrodziła, że było ich podostatkiem, »aby zaludnić niebo i piekło, a przedewszystkiem piekło«. Dzicy, gwałtowni, usprawiedliwiali swego drapieżnego niedźwiedzia w herbie, »L'orsa rabbiosa« powiada o nich Petrarca. Zamek Bracciano nad jeziorem tegoż nazwiska, który był główną ich siedzibą, do dziś dnia daje wyobrażenie o potędze dawnych swych właścicieli. Cięży on swą hardością i ogromem murów nad leżącym u jego stóp miasteczkiem i prawie całe jezioro przygniata. W Rzymie posiadali Orsini mnóstwo pałaców, wież i obronnych zamków. Orsini del Monte zajmowali Monte Giordano koło mostu św. Anioła i stali się tem samem nieproszonymi opiekunami Watykanu; drugi ich odłam gnieździł się przez długi czas w samym zamku św. Anioła, trzeci usadowił się w murach teatru Marcella, przemieniwszy je w obronną fortecę. A byli jeszcze Orsini w Marino, tuż obok jeziora Albano, w Licenzy, koło Tivoli, w Petigliano w Toskanii, w Tarencyi, a nawet jeden z ich rodów poszedł za cesarzami na Północ, osiedlił się w Czechach w XI wieku w zamku Rosenberg i dał początek linii Orsinich-Rosenbergów, którzy dotąd w Austrii istnieją. Genealogię Orsinich sam szatan musiał powikłać, bo z tego labiryntu Giovannich, a przedewszystkiem niezliczonych Napoleonów, nawet Ariadna swą nicią trudnoby historyka wyprowadzić potrafiła.

Obok tych dwóch najpotężniejszych rodów utrzymywali się przez długi czas Savelli prawie na równej z nimi wysokości. Byli oni właścicielami Albano i posiadali tam zamek obronny. Dwóch Savellich, Honoryusz III i IV, byli papieżami, ostatni spoczywa w kościele Ara Coeli, gdzie ma nadzwyczaj charakterystyczny nagrobek. W Rzymie zajęli Savelli pagórek Awentyński, zbudowali tam fortecę i opanowali w XIII wieku całą drogę na lewym brzegu Tybru. Honoryusz III powierzył najstarszemu ze swego rodu dziedziczny urząd marszałka miasta Rzymu i straż podczas



conclave. Savelli należeli w XIII wieku do stronnictwa Colonnów; gdy im jednak ten związek na złe wyszedł i Eugeniusz IV kazał zburzyć zamek w Albano, poddali się papieżom.

Groźniejszymi nieprzyjaciółmi papieżstwa byli Frangipani, zwłaszcza że w samym Rzymie nadzwyczaj ważne zamki obronne były w ich posiadaniu. Do nich należała cała dolina Colosseum wraz z wielkim cyrkiem, tudzież łuk Tytusa, przy którym niezdobytą prawie postawili wieżę. Tam ukrywali w r. 1094 papieża Urbana II, gdy przeciwnik jego, papież Gwibert, zajął zamek św. Anioła i większą część miasta. Frangipani istnieli jeszcze w XIX wieku.

W ciągu dwóch stuleci, od Jana XII (955) do Aleksandra III (1159), było na trzydziestu trzech papieży dwudziestu antipapów, a nawet raz się zdarzyło (1045), że trzech papieży naraz spierało się o władzę: Benedykt IX, Sylwester III i Grzegorz VI, »tria taeterrima monstra«. Jeden zajął Lateran, drugi miał siedzibę u św. Piotra, a trzeci w Santa Maria Maggiore. Każdemu z nich służył za oparcie jakiś możny ród, walka o Stolicę Apostolską była zatem powszechną. Rzym straszne przechodził czasy, wszędzie się krew lała, nikt nie był pewny swego mienia, wszystkie wybitne rody walczyły ze sobą o papieża, o władzę, o zamki, o ziemię, nawet o kobiety.

Pomiędzy tymi rodami, które nękały papieżstwo, wymienić jeszcze trzeba Prefettów di Vico, którzy olbrzymie mieli posiadłości i własne wojsko utrzymywali, przypomnieć Contich, Annibaldeschich, których Rzym całe wieki musiał zwalczać.

Papieże mieli przed sobą ciężkie zadanie, aby z tego potopu ludzkich chciwości uratować wolność swego wyboru i niezależność Stolicy Apostolskiej.

### III.

Pierwsze wielkie dramatyczne starcie pomiędzy papieżstwem a Colonnami nastąpiło za Bonifacego VIII i odbiło się głośnie echem w całym chrześcijańskim świecie.



W lateraneńskiej bazylice, w bocznej nawie, utrzymał się fresk Giotta, przedstawiający papieża Bonifacego VIII, jak na przełomie trzynastego na czternasty wiek ogłasza wielki jubileusz. Stary papież wygląda tam dobrodusznie, powiedzialbym, poczciwie, a przecież był to wielki grzesznik, jak mówią gibellińscy kronikarze, który wszedł na Stolicę Apostolską jak lis, rządził jak lew i zginął gdyby pies. *Intravit ut vulpes, regnavit ut leo, mortuus est ut canis*. To twarde powiedzenie zastosowały dawne czasy do kilku znakomitych ludzi, do cesarza Fryderyka I, do Leona X i kilku innych papieży; nie uwłaczałoby ono zatem Bonifacemu VIII, lecz owszem stawiałoby go w rzędzie potężnych osobistości. Nie należąc też do stronnicych gibellińskich kronikarzy, trzeba przyznać Bonifacemu niepospolite właściwości charakteru, niezbędne wówczas do sprawowania energicznych rządów, i gdyby nie chciwość i niczem nieokiełzana żądza wzbogacenia własnej rodziny, to imię tego papieża zaliczyłoby należało do pierwszorzędných, które były chlubą Stolicy św. Piotra. Na ascetę on się nie urodził, ale z nieprzyjaciółmi papieżstwa umiał sobie radzić; nieugiętego charakteru, bystry i zręczny, podstępny, mściwy, nie przebierał w środkach, aby dojść do celu. Jak na owe czasy bardzo uczony, osobliwie biegły w prawie kanonicznem, ułożył wraz z kardynałem Wilhelmem z Bergamo i Ricciardem ze Sieny, znakomitymi prawnikami, szóstą księgę dekretaliów. Swą pozorną dobrodusznością i jowialnością rozbrajał wielu przeciwników i przywiązywał do siebie swoje otoczenie. Powiadają, że gdy mu się raz w środę popielcową rzucił do nóg arcybiskup genueński, zawzięty stronnik cesarstwa, prosząc o posypanie głowy popiołem, papież z humorem uczynił zadość jego życzeniu, mówiąc: »Pamiętaj człowieku, że jesteś Gibellinem i że wraz ze wszystkimi innymi Gibellinami w proch się obrócisz«.

Rodzina Gaetanich, z której Bonifacy pochodził, należała wprawdzie do pierwszorzędných rycerskich rodów, ale bardzo liczna, szeroko rozgałęziona, nie była wówczas zbyt zamożną. Jednego z jej przodków wyniósł jeszcze papież Grzegorz II (730) na godność hrabiego Gaety i stąd nazwali się oni Gaetani, albo Caetani, jak ich także pisano.



Jedna linia Gaetanich osiadła w Pizie, gdzie doszła do wielkiego wpływu i zamożności, inna zamieszkała w Sycylii i w Sardynii, trzecia posiadała hrabstwo Fondi, w pobliżu błot Pontyńskich, na pograniczu ziem papieskich i neapolitańskich, czwarta wreszcie stała się właściwie rzymską. Należało do niej miasteczko Anagni, graniczące z posiadłościami Colonnów, a w samym Rzymie miała bardzo obronną siedzibę na wyspie, którą tworzy Tyber. Już przed Bonifacym VIII szczylic się Gaetani jednym papieżem, Gelazym II, ale papież ten nie pozostawił po sobie głośniejszego nazwiska i dopiero Bonifacy podniósł ich rodową potęgę.

Legenda i poezya osnuły pajęczyną rzadkiej nienawiści Bonifacego VIII. Jego poprzednikiem na Stolicy Apostolskiej był Celestyn V, Benedyktyn, później pustelnik w Abruzzach, zwany Pietro da Morrone, człowiek prosty, bez wykształcenia, trwożliwy i bardzo zabobonny. Kardynał Gaetani, który podczas krótkiego panowania Celestyna rej wodził w świętem Kollegium, skłaniał go do zrzeczenia się papieskiej godności, do której nie dorósł; gdy jednak namowy nie na wiele się przydawały, postanowił podstępem usunąć zawadzającego mu papieża. Według podania kazał jakiemuś chłopakowi wejść cichaczem do sypialni papieskiej i wołać przez tubę po trzy razy: »Celestynie, Celestynie, Celestynie«. Przebudzony tym głosem papież odezwał się z przestachem: »Panie, kto mnie woła?« — »Wysłaniec Boży«, odpowiedział głos. — »Czego żądasz?« — »Życie twoje, mówił dalej wyuczony swej roli anioł, nie podoba się Niebu, porzuciłeś drogę prowadzącą do raj, a zdążasz do piekła. Bóg każe ci ustąpić ze Stolicy Apostolskiej i wrócić do życia pustelniczego«. To nawoływanie powtarzało się przez trzy nocy, tak iż Celestyn nie miał już wątpliwości, że się powinien rzec papieństwa; pożegnał się też z Watykanem i został napowrót pustelnikiem. W akcie, w którym się zrzekał swej władzy, wyznawał wprawdzie, że ustępuje z powodu swej »maluczkości«, słabości ciała i braku nauki, ale nie wstrzymał się, aby nie dodać, że skłania go do tego kroku także złość i przewrotność ludzka. O tej przewrotności przekonał się niebawem jeszcze dokładniej, albowiem kardynał Gaetani, gdy



został papieżem, obawiając się swego poprzednika, którego ludność za świętego uważała, kazał go uwięzić i osadzić w Fumone koło Ferentino, gdzie biedak wkrótce umarł, w maju r. 1299. W kilkanaście lat później zaliczył go Kościół w poczet świętych, a miasto Neapol wybudowało na jego cześć kościół i klasztor S. Pietro a Majella, malarz zaś Cavalier Calabrese ozdobił ową świątynię freskami, przedstawiającymi w sposób bardzo realistyczny umartwienia ciała i pokusy, na które święty bywał narażany.

Koronacja i uroczyste »possesso« Bonifacego VIII odbyło się z niebywałą pompą. Z Watykanu do Lateranu jechał papież na pysznym koniu, cugle trzymali Karol II, król Sycylii, i Karol Martel, król węgierski, idąc piechotą po obydwu stronach rumaka. Podczas wieczornego bankietu obydwaj królowie w koronach na głowach podawali papieżowi dwie pierwsze potrawy, znaki widoczne, że Bonifacy był jeszcze królem nad królami. Wśród tych uroczystości zerwała się jednak straszna burza, a co gorsza, powstała bójka pomiędzy ludem, w której zginęło czterdzieści osób. Tłumaczono sobie oba te wydarzenia jako wyraz gniewu bożego, że Bonifacy zmusił Celestyna do ustąpienia ze Stolicy Apostolskiej. Po wyborze przyjął Bonifacy piękną dewizę na swej pieczęci: »Deus, in adiutorium meum intende«, Boże przybądź mi w pomoc.

Colonnowie sprzyjali Celestynowi V, jego słabe rządy nie byłyby przeszkadzały ich możnowładztwu, zwłaszcza że mieli w kollegium kardynalskim dwóch członków swej rodziny, Jakóba i Piotra Colonnów. Ci kardynałowie byli też przeciwnikami wyboru Gaetaniego (1294), a pomimo że przez jakiś czas wzajemne walki przycichły, a nawet Bonifacy VIII był kilka dni gościem Colonnów, to przecież zarzewie nienawiści tlało po jednej i po drugiej stronie. Niedługo też trzeba było czekać na otwartą wojnę pomiędzy papieżem a najmożniejszym rodem Kampanii. Gaetani jeszcze za swych czasów kardynalskich zakupił wspaniałe zamczysko Normę ze znacznym obszarem ziem na południowo-zachodnich stokach gór Wolsków, posiadłość wznoszącą się na malowniczej wyniosłości niedaleko od błot Pontyńskich. Z Normą



graniczył inny majątek ziemski, Nimfa, owa w bluszcz spowita, przez poetów opiewana Nimfa, która wprawdzie od VIII jeszcze wieku należała do patrymonium Kościoła, ale ciągle była jako lenno w posiadaniu rozmaitych możnych rodzin, a od długiego czasu w rękach Colonnów. Bonifacy VIII, chcąc powiększyć obszar Normy, odebrał zaraz po wstąpieniu na Stolicę Apostolską lennikom owe dobra, lecz nie na to, aby niemi Kościół wzbogacić, ale żeby je oddać swojej rodzinie. Co więcej, papież nabył od Templaryuszów i od Frangipanich połowę dóbr Astury, tak że w bardzo krótkim czasie utworzył małe państewko Gaetanich, które sięgało ku południowi po morze, a na północny wschód za Anagni, aż do gór Herników. Ażeby zaś strategicznie osłabić wpływ Colonnów na Rzym, wybudował bardzo silne zamczysko przy Via Appia, na wyniosłości zwanej Capo di Bove, wcielając grobowiec Cecylii Metelli w fortecę. Fortecą tą, w której się także mieściła wspaniała kaplica, tak zamknął papież główną drogę prowadzącą od południa do Rzymu, że każdy pielgrzym musiał przechodzić przez bramy ochronne Gaetanich i opłacać się im za pozwolenie swobodnego przejścia do miejsc świętych. W ten sposób starał się Bonifacy zapanować nad główną arterią komunikacyjną pomiędzy Anagni i swemi posiadłościami na południu i zachwiać potęgą Colonnów, którzy na lewym brzegu Tybru dotąd panowali prawie wyłącznie. Obawiając się zaś, aby Colonnowie niespodzianie nie napadli na owe dobra, utrzymywał trzystu zbrojnych jeźdźców katalońskich, którzy mieli strzedz głównej drogi, łączącej Anagni i Nimfę z Fondi i Sermonetą.

Ale nie tylko wszelkimi, często niegodziwymi sposobami zagarniał Bonifacy rozmaite posiadłości dla swojej rodziny; wyrabiał on nadto nepotom najkorzystniejsze stanowiska i pomimo rad przyjaciół, »l'alma e il corpo aveva posto a levar sua casata«. Karola II Andegaweńskiego w Neapolu skłonił, aby jego bratu, Loffredowi Gaetaniemu, nadał hrabstwo Caserty, synowca swego Franciszka wyniósł do godności kardynalskiej w Sta Maria in Cosmedin, drugiemu synowcowi, Piotrowi, głównemu dziedzicowi olbrzymich dóbr, od-



dał imieniem Stolicy Apostolskiej zarząd Tuscyi, synom zaś Piotra dopomógł do związków małżeńskich z bogatemi dziedziczkami. Najbardziej się zaś gorszono, że młodszy Loffredo pojął, jedynie dla wielkiej fortuny, Małgorzatę Aldobrandesca za żonę, wdowę po Guy de Montfort, o wiele od niego starszą i najgorszych obyczajów kobietę, która pięciu mężów miała. A gdy papież jeszcze bogatszą od niej dziedziczkę wyszukał dla swego nepota, Giovannę dell' Aquila, panią na Fondi i Traetto, kazał mu się rozwieść z Małgorzatą, a ożenić z Giovanną.

Nie dziw też, że ten nagły wzrost potęgi rodu Gaetanicznych w wysokim stopniu zaniepokoił nie tylko Colonnów, lecz i inne dawne rody rzymskie i że Colonnowie zaczęli się potajemnie łączyć z nieprzyjacielem papieża, Federigiem Aragońskim, królem Sycylii, aby Bonifacego usunąć ze Stolicy Apostolskiej. Gdy też papież sposobił w r. 1297 wyprawę na Sycylię, mającą na celu pozbawienie tronu Aragona, wysłańcy Federiga spiskowali w samym Rzymie z Colonnami, aby papieża wypędzić z Watykanu. Bonifacy dowiedział się o potajemnych knowaniach, wskutek czego obydwaj kardynałowie z rodu Colonnów, nie czując się bezpiecznymi, czempredziej schronili się do Palestriny. Wtedy Bonifacy chwycił się środków, których Stolica Apostolska często używała: pozbawił na publicznym konsystorzu z dziesiątego maja 1297 r. obydwu kardynałów Colonnów ich godności, wezwał, aby się stawili do dni dziesięciu przed apostolskim trybunałem, a gdyby rozkazowi temu zadość nie uczynili, zagroził nie tylko im, lecz i wszystkim Colonnom z linii palestrńskiej konfiskatą dóbr, które posiadają w Państwie Kościelnem, jako też na Sycylii. Papież posunął się w swym gniewie jeszcze dalej, postanowił bowiem, że synowcowie kardynałów, Giovanni i Odone Colonnowie, tudzież ich potomkowie, aż do czwartej generacyi, mają być wykluczeni od święceń kapłańskich.

Słynny ten wyrok zaczynał się od słów: »*Praeteritum temporum nefandis Columnensium actibus*« i piętnował ród Colonnów, jako »brutalny dla poddanych, uciążliwy dla sąsiadów, wichrzyciel w mieście i ojczyźnie, nieznający



uległości, nieznoszący równości<sup>1)</sup>, który od najdawniejszych czasów zbrodniczą rękę na Kościół podnosił, buntował się przeciw Stolicy Apostolskiej, a teraz łączył się z Aragonami, największymi nieprzyjaciółmi papieżstwa, wiarołomnymi Syrcylianami.

Kardynałowie Giacomo i Pietro Colonnowie, którzy się wtedy ukrywali w Castello di Longhezza, w pobliżu Palestriny, założyli 10 maja 1297 protest przeciwko papieskiemu wyrokowi wobec świadków, pomiędzy którymi znajdował się przyjaciel ich rodziny, słynny pustelnik, poeta Fra Jacopone da Todi, i oświadczyli, że zrzeczenie się papieżstwa, które Celestyn podpisał, było wyłudzone podstępem, że do tego kroku przyczyniły się rozmaite zdrady i machinacje »multae fraudes et doli, conditiones et intendimenta et machinamenta«, że przeto rezygnacya Celestyna była nieważną, a Benedykt Gaetani, mieniący się Bonifacym VIII, nie jest legalnym, lecz samozwańczym papieżem. Colonnowie odwoływali się w tej mierze do przyszłego soboru, wysłali swój protest do Filipa Pięknego, króla Francyi, do paryskiej Sorbony, kazali akt ten przybić na drzwiach rozmaitych kościołów w Rzymie, a nawet złożyć go na ołtarzu watykańskiej bazyliki.

Bonifacy odpowiedział na protest powtórna kłątwa, rozciągającą się na cały dom Colonnów, porównując ich do wilków, którzy w baranich skórkach wślizgnęli się do rzymskiego Kościoła, ogłosił, że członkowie tego rodu nie mogą piastować żadnych, ani duchownych ani cywilnych urzędów, i zwolnił wszystkich wasali i klientów rodziny Colonnów z przysięgi poddańczej. Bonifacy rozciągnął swój interdykt na wszystkie miasta i zamki, będące w posiadaniu kardynałów i ich braci, tudzież na wszystkie miejscowości, któreby im dały przytułek. Ale sam nie bardzo już wierzył w skuteczność kławy, papież znanadto często używali kościelnych gromów, aby się narody nie miały do nich przyzwyczaić; papież widział, że Colonnowie mają lud rzymski

1) »Amara domesticis, molesta vicinis, urbis et patriae perturbatrix, humilitalis ignara, consortii impatiens«.



za sobą i że większość ich wasali szczerze jest do nich przywiązana. Z pomiędzy baronów rzymskiej Kampanii byli oni najbardziej lubiani przez swych poddanych, nie uciskali ich bowiem, nie wydzierali im ostatniego grosza, jak Orsini, a ludzie ubodzy zawsze na ich pomoc liczyć mogli. Co więcej, i znaczna część duchowieństwa była przeciwną papieżowi, a przedewszystkiem Franciszkanie stali po stronie Colonnów. Nie czując się więc bezpiecznym w Rzymie, wyjechał papież do Orvieto, gdzie na wyniosłej, obronnej skale zaczął przygotowywać wyprawę przeciw temu rodowi, który wytępić, zniszczyć postanowił. W ostatniej chwili jeszcze starał się Pandolfo Savelli, senator rzymski, człowiek wielkiego wpływu, pośredniczyć pomiędzy papieżem a Colonnami, którzy oświadczyli, że są gotowi poddać się Stolicy Apostolskiej, ale pod pewnymi, ściśle oznaczonymi warunkami. Bonifacy jednak żądał bezwarunkowego poddania się na łaskę i niełaskę, gdyż względem Colonnów miał najgorsze zamiary. Gdy Savelli celu swego nie osiągnął, ponowił Bonifacy 18 listopada 1297 klątwę przeciw Colonnom, a co więcej, wezwał ludy wierne Kościołowi do wojny krzyżowej przeciw zbuntowanym wasalom, obiecując wszystkim, którzy wezmą udział w tej wyprawie, te same odpusty, jakie są przyznane Krzyżowcom idącym do Ziemi Świętej. Prócz tego wysłał kardynała Mateusza di Acquasparta do różnych włoskich prowincyi, aby wzywał ludność do wojny przeciw Colonnom. Kardynał też, wzięwszy krzyż do ręki, szedł od miasta do miasta, miewał kazania przeciw buntownikom i ludność przeciw nim podburzał. Niektóre miasta, jak Orvieto i Matellico, obiecały pomoc papieżowi. Gwelfowie florentyńscy przysłali sześciuset łuczników pod wodzą hrabiego Inghirami z Biserno, a nawet znalazł się jeden z Colonnów, Landolfo, brat Giacomina, który zdradził ród własny i objął dowództwo nad papieskim wojskiem. Colonnowie nawzajem nie zasypiali sprawy, a gdy papież kazał swe rodzinne skarby przewieźć dla bezpieczeństwa na ośmdziesięciu mułach z Anagni do Rzymu, czyhali ich słudzy w górach na tę wyprawę, zabrali muły z ładunkiem i zapędzili do Palestryny. Pomimo jednak tych skarbów byli Colonnowie za



słabi, aby się na razie oprzeć papieskim wojskom. Inghirami zdołał po długich oblężeniach i krwawych walkach zająć Colonnę, Zagarolo, Nepi i sporo jeszcze innych zamków, należących do Colonnów, które papież zaraz porozdzielał pomiędzy Orsinich i inne sprzyjające mu rzymskie rody. Ten sam los spotkał pałace i zamki Colonnów w samym Rzymie, papież hojnie obdarzał nimi swoich nepotów.

Jedna Palestrina opierała się Bonifacemu, należała bowiem do najsilniejszych zamków w rzymskich górach. Mało miast, nawet we Włoszech, przechodziło tak świetne i smutne czasy, jak Palestrina, Praeneste dawnych Rzymian, zbudowane w obrębie murów Cyklopów. Dzisiaj uboga, brudna miejscowość z jedyną okrasą, pałacem Barberinich, była za czasów rzymskich, a mianowicie za dyktatury Sulli przepyszne miastem świątyni, celem religijnych pielgrzymek. Rzymiani umieli całe pagórki obejmować swymi architektonicznymi planami, w malowniczy sposób korzystać z wyniosłych skał, aby budować na szczytach świątynie i pałace, do których prowadziły szerokie schody i terasy. Palestrina była jednym z tych przykładów genialnego łączenia architektury z naturą, wbudowania artystycznych murów w surowe skały. Całe środkowe i południowe Włochy odbywały wędrówki do tamtejszej świątyni Fortuny, aby zapytywać się kapłanów o przyszłe swe losy, sortes Praenestinae. Rozległy widok i chłód na górach pociągały do Praeneste bogatych Rzymian na letnie mieszkanie, a pomiędzy innymi miał tam Cycero willę, jedną z tych ośmiu najpiękniejszych, które posiadał to w Tusculum, to w okolicy Rzymu, to nad morzem. Późniejsze miasto średniowieczne, Palestrina prawie cała była zbudowana na ruinach przepysznych rzymskich świątyni, lub przerobiona z dawnych pałaców, zawierała też nadzwyczaj dużo cennych artystycznych zabytków, a ozdobiona pysznymi terasami i cienistymi portykami, należała do najwspanialszych siedzib możnych rodów rycerskich.

Nie mogąc zdobyć owego gniazda Colonnów, udał się papież po radę do hr. Gwidona da Montefeltro, jednego z najsłynniejszych współczesnych wodzów, zawziętego dawniej Gibellina, który teraz, znużony światem, żył w klasztorze













Porta di Sole w Palestrinie.

Fot. Moscioni.







w Asyżu. Montefeltro przybył, a gdy go papież spytał, w jaki sposób ma zdobyć Palestrinę, stary Gibellin odpowiedział:

Padre, da che tu mi lavi  
Di quel peccato, ove mo cader deggio,  
Lunga promessa coll' attender corto  
Ti farà trionfar nell' alto seggio.

(Inf. XXVII. 108 — III).

»Ojcze święty, obiecuj dużo, a mało dotrzymuj«. Była to zresztą wówczas zasada nie nowa, wszyscy panujący nią się kierowali.

Palestrina nie była przygotowaną na długie oblężenie, nie miała dość żywności, Colonnowie nie mogli się tam dłużej bronić, jak kilka miesięcy; papież więc poszedł za radą Montefeltra i aby ich skłonić do poddania się, więcej obiecał, aniżeli dotrzymał, za co później srodze odpokutował. A i podstępny wodza gibellińskiego szybko dosięgła kara boża, umarł bowiem w chwili, kiedy wojsko papieskie wchodziło do Palestriny.

We wrześniu r. 1298 poddali się Colonnowie. Stary kardynał Giacomo, młodszy Pietro i brat jego Sciarra, głowa rodu, człowiek pyszny i zawzięty, pojechali do Rieti, gdzie papież przebywał; przed bramami miasta musieli zsiąść z koni, a włożywszy na siebie szaty pokutnicze i owinawszy dumne karki konopnymi powrozami, szli przez ulice miasta, wśród nędznej gawiedzi, prosić Bonifacego o przebaczenie. Papież siedział na tronie, obok niego stali świadkowie upokorzenia najcenniejszego rzymskiego rodu, księżę Tarentu i kilku kardynałów. Bonifacy okazał się na pozór łaskawym, przyjął Colonnów na publicznym konsystorzu i zdjął z nich po trzy razy rzucaną klątwę, nie oddając im jednak dóbr zagrabionych, ani też nie przywracając im odebranych urzędów. Zaledwie jednak Bonifacy miał Palestrinę w swem posiadaniu, wysłał tam Teodoryka Ranieriego, biskupa pizańskiego, aby miasto zniszczył. Ranieri spełnił rzetelnie swe zadanie, zburzył mury, poważne, odwieczne pałace, kościół Matki Boskiej przerobiony ze świątyni, postawionej w czasach Juliusza Cezara, tudzież inny kościół, zbudowany



na wzór Santa Maria Rotonda w Rzymie, pokruszył rzeźby starożytne i porozbijał freski na ścianach. Barbarzyńska ręka niszczyciela nie uszanowała najwspanialszego zabytku z czasów rzymskich, owego pałacu Juliusza Cezara, o kształcie półkolistym, podobnym do pierwszej litery jego nazwiska, do którego prowadziło sto przepysznych schodów. Mury Cyklopów nawet nie oparły się szalejącej zemście Bonifacego, który pozwolił tylko, aby w Palestrinie jeden pozostał kościół, kościół katedralny pod wezwaniem św. Agapita, a gdy dzieła zniszczenia dokonano, kazał papież zaorać miejsca, na których stało tyle poważnych zabytków przeszłości, i według dawnego pogańskiego zwyczaju sól zasiał na cmentarnej roli. Pozbawieni swej własności mieszkańcy Palestriny pobudowali nędzne chaty na sąsiednich gruntach, a Bonifacy kazał tę nową osadę nazwać »miastem papieskiem« »Città papale«.

Ale papież nie długo mógł spoczywać na swych wawrzynach; gdy się bowiem w Anagni cieszył swem zwycięstwem, doszła go wiadomość, że Colonnowie, więzieni w Tivoli, uciekli stamtąd z pomocą swych przyjaciół w początkach lipca 1299. Ogłosili oni zaraz protest przeciw barbarzyńskiemu zniszczeniu Palestriny i złamaniu warunków, pod którymi się papieżowi poddali. Bonifacy odpowiedział wybuchem gniewu, ponownie rzucił klątwę na Colonnów i na ich przyjaciół. Ale więźniowie byli już daleko poza obrębem papieskiej władzy, dwaj kardynałowie w przebraniach przedarli się do Włoch północnych, a stamtąd do Francji. Giovanni di San Vito, dzielny obrońca zamku w Nepi, błędził z miasta do miasta, a o tym, którego się papież najbardziej obawiał, o Sciarrze, nie miano w Rzymie żadnych wiadomości. Przechodził on też smutne koleje; łódź, w której płynął do Francji, dostała się w ręce korsarzy, którzy go przykuli do wiosłarskiej ławy, i dopiero Filip Piękny, dowiedziawszy się o jego losach, wykupił go z saraceńskiej niewoli. Stefano uciekł do Sycylii a później do Francji, gdzie także Agapito, ożeniony z Mabilią Savelli, szukał schronienia. Jeden tylko z przyjaciół Colonnów, a zawzięty wróg Bonifacego, uciec nie mógł; ów mnich-pustelnik, poeta-satyryk,



»stultus propter Christum«, pokorny na pozór a niebezpieczny swym poetyckim talentem, Jacopone z Todi. Tego wrzucił papież na spód wilgotnej wieży, okuł w łańcuchy, aby wśród gadów i węzów dalej wiersze pisał. On też brał porównania z jaszczurek i głosił o Bonifacym, że jak salamandra żyje zawsze w ogniu, tak i papieżowi potrzeba skandalu na dobry humor i pociechę:

Come la salamandra  
Sempre vive nel fuoco,  
Così par che lo scandalo  
Te sia sollazio e giuoco.

Mimo uciezki Colonnów ufał jednak Bonifacy w swe siły. Największym wrogom zabrał majątki, inne zaś rycerskie rody ubezwładnił postrachem, tak że chwilowo zapanaował spokój w Kampanii. Z tej chwili skorzystał, aby przed całym światem zaznaczyć swoje zwycięstwo i tryumf Stolicy Apostolskiej, a zarazem wzbogacić Watykan i miasto Rzym, które bardzo potrzebowało pomocy. Ogłosił więc ów słynny jubileusz z roku 1300, który sprowadził do Rzymu niezliczone tłumy pielgrzymów, zwłaszcza że we Włoszech panował spokój i że pątnicy mogli bezpiecznie podróż swą odbywać. Był to pierwszy jubileusz za czasów chrześcijańskich, niejako odnowienie owych uroczystości religijnych, któremi dawne społeczeństwo rzymskie witało każdy wiek nowy. Bonifacy udzielał na mocy swej duchownej, papieskiej władzy zupełnego rozgrzeszenia wszystkim, którzy do Rzymu odbędą pielgrzymkę, modły swe wzniosą do Boga w apostołskich bazylikach i z grzechów swych ze skruczą się wypowiadają. Aby owe duchowe łaski osiągnąć, mieli się mieszkańcy Rzymu przez cały miesiąc oddawać religijnym ćwiczeniom, dla cudzoziemców wystarczało tylko dwa tygodnie. W dzień Trzech Króli ogłosił Bonifacy w otoczeniu kardynałów w laterańskiej bazylice ów manifest, zwrócony do całego chrześcijańskiego świata, w którym przemawiał nie tylko do pobożnych pątników, lecz także do królów i mocarzy. Kardynał Acquasparta w długim kazaniu tłumaczył bliżej intencje Stolicy Apostolskiej, przekonywał,



że papież stoi jako duchowny i świecki monarcha nad wszystkimi panującymi i zastępcami Boga na ziemi. Kto tej zasady nie uznaje, przeciw temu może Kościół, jako niewiernemu bluźniercy, walczyć swą moralną siłą i swą świecką potęgą. Na znak podwójnej władzy leżały dwa miecze obok Bonifacego, jako groźba wobec tych królów, którzyby dwoistej potęgi papiestwa uznawać nie chcieli. Łask duchowych, które miały splywać na całe chrześcijaństwo, pozbawił Bonifacy tylko kupców, utrzymujących stosunki z Saracenami, aragońskiego tyrana Sycylii i ród Colonnów; ci mieli być wyjęci od wszelkich odpustów. Na Colonnów tak się wziął, że zaręczyny, zawarte pomiędzy Giordanem Colonną a Teodorą de Conti w czasie ich dzieciństwa, kazał unieważnić, ponieważ Colonnowie stali się rzekomo szyzmatykami. Mszcząc się na stronnikach Colonnów, nie zapominał Bonifacy o przysparzaniu majątku swoim krewnym. Dom Piotra Gaetaniego, hrabiego Caserty, graniczył w Rzymie z realnościami Federigozza di Jacopo di Federigo, który był ściśle związany z Colonnami. Papież kazał za pośrednictwem Inkwizycyi wytoczyć proces Federigozzowi, ponieważ był stronnikiem »szyzmatyków«, a powolny Bonifacemu sąd na Kapitolu skazał dobrego katolika, jakim był Federigozzo, na konfiskatę domów, wież i ogrodów, położonych w Rzymie. Konfiskatę orzeczono na korzyść Kościoła, ale papież pozwolił, aby zajęte realności sprzedano jego nepotowi za 1000 florenów, pomimo że zabrany majątek wart był dzieśięć razy więcej.

Finansowy wynik jubileuszu przechodził prawie oczekiwania papieża; przy ołtarzu św. Pawła składało tylu pielgrzymów swe ofiary, że dzień i noc stało tam po dwóch księży, aby łopatkami zgarnywać rzucane pieniądze. Jeden z kronikarzy opowiada, że miało do Rzymu przybyć dwa miliony obcych, a mimo to było na kapitolinińskim targu dość chleba, wina, mięsa, ryb i owsa dla koni. Kronikarz skarży się tylko, że siano było za drogie i że za mieszkanie w gospodach za wiele liczono. Zarząd miasta starał się o ile możności utrzymać porządek, a Dante opowiada, jako coś dziwnego, że przez mosty przechodząc, musiała publiczność



dwóch trzymać się kierunków, aby nie było zamieszania. Mimo to wypadków zdarzyło się mnóstwo, wiele kobiet i mężczyzn uduszono lub stratowano w ścisku, a w murze okalającym miasto watykańskie wybito wielki otwór, aby tłumy mogły iść pobrzeżem Tybru do św. Piotra, gdyż ulice były za ciasne, aby pomieścić fale pielgrzymów.

Pomiędzy pielgrzymów wślizgnął się gość nieproszony i niepożądany, jeden z Colonnów, Agapito, brat Stefana, tym razem jednak w pokojowych zamiarach, aby odwiedzić skrycie swą w Rzymie pozostałą żonę, krewną Bonifacego VIII. Papież dowiedział się po jakimś czasie, że piękna Mabilla, małżonka Agapita, spodziewa się potomka: kazał ją przywołać do siebie i surowo zgromił, zapytując, kto jest winnym jej odmiennego stanu. Przestraszona kobieta zaczęła się tłumaczyć, że pomiędzy pielgrzymami był jeden tak podobnym do jej męża, iż nie mogła się oprzeć pokusie, aby z nim nie mieć stosunku. Papież się roześmiał i już dalej sprawy nie dochodził.

Jubileusz z roku 1300 był faktem wytycznym w dziejach papieżstwa i całego chrześcijańskiego świata, papieżstwo po raz ostatni stawało na owym stanowisku, które przed Bonifacym zajmowali tacy mężowie jak Innocenty III, jak Grzegorz IX i Innocenty IV, dążący do zjednoczenia w jednym ręku najwyższej władzy kościelnej i wszechświatowej politycznej. Po zapasach owych mocarzy osłabła walka na długie lata, papieżstwo bowiem nie miało ludzi mogących ją dalej prowadzić, a zresztą stojąca u szczytu swej potęgi Stolica Apostolska, przed której klątwami dawniej drżał świat cały, obudziła przeciw sobie opozycję, która długo już wrzała w narodach. Papieżstwo tak dalece starało się zawładnąć nie tylko moralnem jestestwem ludów, lecz także objąć ster politycznych i ekonomicznych spraw państw europejskich, że wszędzie czuć się dawała konieczność zdjęcia tego ciężaru z narodów.

Osobliwie ekonomiczny ucisk stawał się nie do zniesienia. Papieże, którzy wprowadzili zasadę, że namiestnik Chrystusa jest także najwyższym panującym nad chrześcijańskimi ludami, uważali za swe dobre prawo nakładać po-



datki na wszystkich członków Kościoła; na duchownych, ponieważ dobra kościelne, gdziekolwiekby były położone, czy w Anglii, Francji, czy w Niemczech lub Polsce, stanowiły własność Chrystusa »patrimonium Christi«, któremi mógł papież, jako namiestnik Zbawiciela, dowolnie rozporządzać; na świeckich, ponieważ wierni korzystają z łask duchowych, których szafarzem jest papież. Duchowieństwo musiało płacić wszędzie i dużo, dziesięcinę, annaty i najrozmaitsze taksy; ludzie świeccy, nawet kobiety, dzieci i służba, powinni byli uiszczać świętopietrze i dziesięcinę. Kto nie płacił, na tego spadały kary kościelne, aż do wielkiej klątwy. Biskupi byli odpowiedzialni wobec Rzymu za wypłacanie się niższego duchowieństwa, proboszczowie pilnowali, aby ludność w terminie uiszczała się ze świętopietrza. W Polsce istniał zwyczaj, że księża upominali od ołtarza albo z ambony kościelnych dłużników, co wywoływało wielkie rozgoryczenie przeciw duchowieństwu. Walka u nas pomiędzy szlachtą a Kościołem o dziesięcinę trwała całe stulecia, a osobliwie w początkach XV wieku stała się powodem wielu klęsk narodowych. Machina fiskalna Stolicy Apostolskiej była wybornie urządzona, z Rzymu wysyłano na wszystkie strony Europy kolektorów, którzy mieli zbierać pieniądze lub klejnoty i kontrolować wypłaty. Każda niemal większa gmina była zapisana w papieskich rejestrach, w najwyższej instytucji skarbowej, w Camera apostolica. Ludność południowych krajów po większej części opierała się płaceniu świętopietrza, ludność krajów północnych bardziej się obawiała kar kościelnych i płaciła olbrzymie sumy. Niektóre państwa, a mianowicie Anglia, Polska i Dania, pozwoliły nawet z czasem, aby świętopietrze płacone było jako stała danina z tytułu poddania się pod protekcję papieża, »sub protectionem beati Petri«. Uznanie tego poddaństwa było bardzo niebezpieczne, ponieważ państwa zrękały się w ten sposób części swej samodzielności na rzecz Stolicy Apostolskiej.

Rzecz prosta, że w tak olbrzymiej administracji fiskalnej, jaką urządziła Camera apostolica, nie brakło ciągłych nadużyć, a osobliwie kolektorzy apostolscy w dwójnasób



korzystali ze swego stanowiska i stali się, zwłaszcza w krajach północnych, postrachem duchowieństwa i ludności<sup>1)</sup>.

Na niechęć, jaką ucisk skarbowy budził u ludów wówczas w Rzymie, nie zważano; Bonifacy VIII był zadowolony z pokonania Colonnów, czuł się w tej chwili dość silnym, aby podjąć tradycję wielkich papieży, a może ze względu, że stugłowa hydra rewolucyi antipapieskiej zewsząd się podnosiła, chciał śmiałym czynem zniszczyć ją w zawiązkach. Ale świat już był innym. Na uroczystości jubileuszowe nie przybył do Rzymu żaden z potężniejszych monarchów, tylko Karol Martel, który chciał sobie pozyskać papieża w sporach o węgierską koronę.

#### IV.

W czasie rzymskich uroczystości pracowali Colonnowie we Francyi, gdzie Filip Piękny stanął na czele owego ruchu rewolucyjnego, który miał uwolnić narody od rzymskiej

<sup>1)</sup> Jak dalece równowaga w stosunkach ekonomicznych społeczeństw europejskich zwichnięta została zasadami, jakie głosiło papieństwo, na korzyść stanu duchownego, przykład tego, bijący w oczy, mamy w Polsce. Paolo Emilio Giovannini, legat papieski, zdał w roku 1565, a więc blisko trzy wieki później po pontyfikacie Bonifacego VIII, bardzo obszernie i gruntownie sprawozdanie do Rzymu o stosunkach w Polsce. Pomiedzy innymi wylicza on w przybliżeniu dochody magnatów i porównuje je z dochodami duchowieństwa. Powiada, że dochodu mają: hr. na Tarnowie 50.000, bracia Tenczyńscy 40.000, Ostro-róg 30.000, Andrzej Górka 30.000, spadkobiercy kasztelana Zborowskiego 40.000, spadkobiercy Ocieskiego 25.000 florenów. Takich jednak właścicieli ziemskich, których dochód wynosi 10.000 fl., jest bardzo niewiele, inna zaś szlachta żyje nadzwyczaj skromnie, mieszka w dwor-kach, ubiera się prawie po chłopsku, idzie na wojnę, poluje, a jedyną jej zabawą pijatka, jak się zjadą sąsiedzi.

W porównaniu ze szlachtą, powiada legat papieski, duchowieństwo rozporządza o wiele większymi dochodami, a dawniej, dodaje, miało jeszcze znaczniejsze fortuny. I tak arcybiskup gnieźnieński ma 50—60.000, biskup krakowski 40.000, kujawski 25.000, poznański 24.000, płocki 20.000, warmiński i przemyski po 15.000, a inni po 4—8000 florenów. Do tego doliczyć należało olbrzymie dochody, jakie miały klasztory, i nareszcie te sumy, które posyłano do Rzymu.



przewagi. Filip kładł fundamenta pod budowę nowożytnego monarchicznego państwa. Z pomocą trzeciego stanu starał się z jednej strony złamać potęgę lennych magnatów, z drugiej ograniczyć wpływ Kościoła we Francyi. W tem przedsięwzięciu dopomagała mu znaczna część duchowieństwa, tak że król mając i tam oparcie, mógł przeciwstawić władzy papieża, władzę koncylium i w sporach swych z Bonifacym odwołać się do duchownego soboru. Filip ugodził w ten sposób w najdotkliwszą stronę polityki Bonifacego, który, podobnie jak wszyscy inni papieże, niczego dla Stolicy Apostolskiej tak się nie obawiał, jak soborów, któreby władzę papieską ograniczyć mogły. Bonifacy chwycił się znowu ostatecznego środka i 8 września 1303 rzucił kłatwę na Filipa Pięknego. Król francuski był jednak przygotowany na grom watykański i na takie wypowiedzenie wojny odpowiedział potajemnie ułożoną wyprawą, mającą na celu uprowadzenie papieża z Rzymu i postawienie go jako oskarżonego przed koncylium, będącem pod wpływem Filipa. Zdaje się, że myśl uprowadzenia Bonifacego poddali Colonowie francuskiemu monarsze, który też najdzielniejszemu z nich, Sciarrze, powierzył wykonanie awanturniczej wyprawy wspólnie z francuskim rycerstwem. Filip wysłał kilkuset doświadczonych żołnierzy do Włoch, a na ich czele postawił Wilhelma de Nogaret, p. du Plessis i Sciarę Colonnę. Zaopatrzył wyprawę hojnie w fundusze, a nadto dał Nogaretowi przekaz na znaczną sumę, na dom bankowy Petruccich we Florencyi. Oddział Francuzów zatrzymał się najprzód w Toskanii, gdzie w zamku Staggia, w pobliżu Sieny, mieszkał Murciatto di Guido de' Francesi, tokański szlachcic, awanturnik. Murciatto wybrał się za młodu w r. 1290, jak wielu innych Włochów, na Północ, do Francyi, aby tam szukać szczęścia. Dostawszy się na dwór francuski, umiał się przypodobać królowi, który go używał do swych niezawsze czystych spekulacji pieniężnych, i był doradcą Karola de Valois podczas jego wyprawy do Toskanii. Francuzi nazywali go monsieur Mouchat. Król mianował go swoim podskarbinem i nadał mu rozmaite bardzo korzystne przywileje na jarmarkach w Szampanii, w Nimes i w Narbonne.



Włoch sprowadził do Francji także swego brata jednookiego, Bizzia, i dwóch siostrzeńców, z których jeden nazywał się Tan Guy a drugi Tot Guy; cała owa szajka spekulantów należała do tych lichwiarzy, »Argentiers«, którzy pod protekcją królewską w haniebnym sposobie wyzyskiwali lud francuski i pomagali królowi fałszować publiczną monetę. Gdy monsieur Mouchat zebrał duży majątek, wrócił do Włoch, osiadł na zamku w Staggii i tam znaleźli się Nogaret i Sciarra Colonna, aby ułożyć spisek przeciw Bonifacemu.

Sciarra wraz z kilkoma agentami udał się w największej tajemnicy na objazd po Kampanii i do papieskiego Patrimonium, aby tam przekupstwem i obietnicami zyskiwać współników spisku. Główną swą kwaterę założył u swego krewnego, Mateusza Orsiniego, w Marino, tuż pod okiem papieża. Zadanie Colonna nie było trudnym, gdyż szlachta nienawidziła Gaetanich, a nadto łakomą była na francuskie pieniądze; przystąpili więc wkrótce do sprzysiężenia panowie z Ceccano, ze Scurgoli, z Moroli, z Trevi, a nawet Rainaldo z Supino, którym powodowała zemsta. Papież bowiem unieważnił małżeństwo jego siostry z Franciszkiem Gaetanem, aby tego nepota wynieść do kardynalskiej godności. Spisek objął samą siedzibę papieża, Anagni, gdzie Colonna potrafił pozyskać najznakomitszych tamtejszych obywateli, Nicola i Adanolfę Papareschich, a przede wszystkim samego marszałka dworu papieskiego, Goffrida Bussa. Powszechnie także utrzymywano, że kilku kardynałów bardzo dobrze wiedziało o całym sprzysiężeniu i dziwić się tylko można, że pomimo takiego rozgałęzienia spisku ani papież ani liczna jego rodzina nie domyślała się nawet jakiegoś niebezpieczeństwa, co się da wytłómaczyć tylko wielką nienawiścią, jaką całe społeczeństwo pałało ku Bonifacemu i ku Gaetanom.

Napad na Bonifacego VIII wyznaczono na siódmego września roku 1303. Spiskowi zgromadzili się w Scurgola, małej miejscowości koło Anagni, którą Gaetani kupili od Supinów. Wojsko przybywało tam małymi grupami, po większej części w przebraniach. Gdy zaś wszystko było przygotowane, ruszył pierwszy Sciarra Colonna na czele trzystu konnych i małego



oddziału piechoty nad ranem do Anagni, gdzie sprzysiężeni otwarli mu bramę. Za nim wkroczył Nogaret, kazał rozwinąć francuski sztandar i wołać »Niech żyje król Filip!«, ludności zaś oświadczył, że przyszedł zabrać ze sobą papieża i stawić go przed koncylium, które go pociągnie do odpowiedzialności za jego winy. Tłum chętnie łączył się z najeźdźcami, widząc pomiędzy nimi Colonnę, i w nadziei rabunku, gdyż część żołdactwa rzuciła się zaraz na dom Piotra Gaetanego, papieskiego synowca, aby tam wszystko zabierać lub niszczyć. Sciarra tymczasem ze swoimi ludźmi udał się zaraz do papieskiego pałacu, gdzie brama była otwarta i nikt nie miał ochoty bronić Bonifacego. Kardynałowie widząc, na co się zanosi, cichaczem powyjeżdżali, dwóch pozostało tylko w pałacu, wiernych papieżowi, Mikołaj Boccasini, biskup Ostyi, i Piotr z Hiszpanii, biskup sabiński. Opuszczony papież kazał się zapytać Colonny, czego od niego żądają, a gdy mu odpowiedziano, że wolą jest króla Filipa, aby się stawił przed koncylium i poddał się tegoż wyrokom, a nadto, aby zwrócił rodzinie Colonnów wszystkie zabrane jej dobra i urzędy, prosił Bonifacy o dziewięć godzin czasu do namysłu. Zaledwie mu wszakże tę zwłokę przyznano i francuscy żołnierze rozbiegli się po mieście, aby rabować, co się dało, papież kazał zamknąć pałac i postanowił bronić się z garstką wiernej służby, mając nadzieję, że tymczasem synowiec jego, który zdołał uciec, zgromadzi potrzebną siłę, aby odeprzeć Francuzów. Gdy Sciarra po dziewięciu godzinach znalazł pałac zamknięty, a podobnie i łączącą się z nim katedrę, kazał ogień podłożyć pod świątynię i bramę pałacu wyrywać; ale mimo to dostanie się do komnat papieskich przedstawiało jeszcze tyle trudności i tyle drzwi trzeba było wylamywać, że Colonna prawie całego dnia potrzebował, aby usunąć przeszkody. Gdy papież usłyszał trzeszczenie drzwi, pękających pod ciosami siekiery, i brzęk tłuczonych okien, ubrał się w strój pontyfikalny, włożył tyarę na głowę, wziął krzyż do ręki i usiadł na tronie, sądząc, że nie znajdzie się śmiałek, któryby się go dotknąć poważył. Koło niego stanęli owi dwaj kardynałowie, jedyni wierni z całego świętego kollegium.



Wreszcie ostatnie drzwi pękły. Sciarra i Nogaret ukazali się w progu, rozwścieczeni całodzienną walką i tem, że Bonifacy skorzystał z dziewięciogodzinnego zawieszenia broni, aby synowca wysłać po pomoc. Majestat głowy Kościoła nie wstrzymał ich kroków. Sciarra rzucił się na papieża z obelżywemi słowy i chwycił za ramię, aby zrzucić go z tronu, w czem mu wszakże Nogaret przeszkodził. Osiemdziesięcioletni starzec, przejęty marzeniami Grzegorza IX i Innocentego III stworzenia teokracji, obejmującej całą Europę, arcykapłan, mieniący się do niedawna sędzią cesarzy i królów, przebudził się, uczuł straszną grozę rzeczywistości, zobaczył przewrót, jaki się dokonał wokoło niego.

Upojeni zwycięstwem najeźdźcy postawili tylko słabą straż przy papieżu, a sami zaczęli rabować komnaty, rozbijać kufry, zawierające skarby Bonifacego, zapominając na razie o tem, co się dzieje w mieście. Tymczasem kardynał Fieschi di Lavagna skorzystał z tej nieostrożności, podburzył lud w Anagni, przedstawiając mu, jakie szkody ponosi miasto wskutek niszczenia papieskiego pałacu, zebrał spory oddział zbrojnych i z okrzykiem »Śmierć najeźdźcom, niech żyje papież!« rzucił się na Francuzów, którzy się napadu nie spodziewali. Sciarra i Nogaret ratowali się ucieczką i schronili się do Fiorentino, wojsko ich poszło w rozsypkę; Rainalda z Supino schwytali papiescy, ale Bonifacy, uszczęśliwiony tak łatwym zwycięstwem, przebaczał wszystkim, aby sobie tylko zyskiwać zwolenników.

Gdy Orsini w Rzymie dowiedzieli się o katastrofie w Anagni, wysłali, zazdroszcząc Colonnom chwilowego tryumfu, Jakóba Orsiniego na czele czterystu jeźdźców pod pozorem ochrony papieża do Anagni i uprowadzili go do Rzymu, do Watykanu. Papież przekonał się jednak niebawem, że zamiast więźniem Colonnów, jest w ręku Orsinich, którzy go chcą wyzyskać dla swych celów. Bonifacy chciał wzywać obcej pomocy, pisał do Karola II, króla neapolitańskiego, aby mu wolność przywrócił, ale Orsini list przejęli i jeszcze silniejszą otoczyli go strażą.

Znękany, złamany, Bonifacy VIII umarł w Watykanie w trzydzieści pięć dni po katastrofie w Anagni. Legenda,



zawsze Bonifacemu nienawistna, nie pozwoliła mu umrzeć naturalną śmiercią, ale opowiada, że Orsini podali mu w potrawie jakąś truciznę, wskutek której wpadł w straszny szal, zaczął gryźć laskę, bić głową o mur, a pokrwawiony i odchodzący od zmysłów, wzywając pomocy Belzebuba, udusił się pod poduszkami swego łoża. Historia jednak przeczy temu opowiadaniu i zapisuje, że Bonifacy VIII, »wielkoduszny grzesznik«, »magnanimus peccator«, jak go nazywał Petrarka, umarł naturalną śmiercią 11 października r. 1303. »Boleść, jak powiada kronikarz, skamieniała w jego duszy i pociągnęła do grobu dumnego papieża«.

Gwałt, zadany Bonifacemu w Anagni, potępiły wszystkie współczesne szlachetne umysły, nawet największy nieprzyjaciel papieża, Dante, oburzał się na króla francuskiego. Każę on Kapetowi przekląć ów czyn nikczemny swego następcy. A Dante szczerze nienawidził Bonifacego za jego intrygi, zmierzające do zabrania całej Toskanii, jemu przypisywał swoje wygnanie z Florencji i nie oszczędzał go wcale w swoim poemacie, jednak szanował w nim naczelnika Kościoła, zastępcę Chrystusa na ziemi.

Mimo to wiekopomne zajście w Anagni osłabiło urok papieżstwa. Dotąd, rzec można, nic ważnego nie działo się na Zachodzie bez papieskiej wiedzy, cała Europa, pomimo że często miała zatargi z Rzymem i buntowała się przeciw polityce Watykanu, upadała na kolana, gdy papież przemawiał imieniem Boga; narody pochylały się przy wystąpieniu Namiestnika Chrystusowego, jak gromada wiernych, gdy kapłan podnosi sakrament. Kto się nie ugiął przed tą moralną potęgą, został zmiażdżony lub poniżony, jak Henryk IV, jak Arnold z Brescji, jak Fryderyk II lub król Manfred. Po katastrofie w Anagni, której następstwem było usunięcie się papieża z pod przewagi rzymskich możnowładczych rodów i wyemigrowanie do Avignonu, zaczęli królowie zaprzeczać Rzymowi prawa mieszanania się już nie tylko w polityczne, lecz i w religijne sprawy krajów pozawłoskich, a pomimo że papież po kilkudziesięciu latach wrócili do Rzymu, nie zdołali już nigdy osiągnąć tego przewodniego stanowiska, jakie mieli przed Bonifacym VIII. Po ich powrocie do



Rzymu zapanowały czasy straszego rozprzężenia w Kościele, podczas długotrwałej szyszmy świat katolicki szukał bezustannie prawdziwego papieża i gdyby nie sobory w Konstancyi i w Bazylei, toby się był Kościół rzymsko-katolicki już wówczas rozpadł na kilka narodowych kościołów.

Po śmierci Bonifacego wybrany został papieżem Benedykt XI, przyjaciel rodu Colonnów, który natychmiast unieważnił cenzury kościelne, wiszące nad ich głowami, oddał im zabrane dobra i obydwu kardynałów Colonnów obdarował wieloma przywilejami, jednak na przywrócenie im godności kardynalskiej nie stało mu czasu, gdyż panował za krótko.

W Perugii, gdzie papież umarł w roku 1304, zebrało się conclave. Z bezkrólewia w Rzymie skorzystał Stefan Colonna, aby zaskarżyć Piotra Gaetaniego, nepota Bonifacego VIII, przed trybunałem senatu o wynagrodzenie szkód, wyrządzonych rodowi Colonnów przez jego stryja, papieża. Trybunał na Kapitolu obawiał się już wtedy Colonnów i skazał Gaetaniego na zapłacenie stu tysięcy florenów w złocie za zniszczenie Palestriny, Zagarola i innych posiadłości Colonnów. Tymczasem inni Colonnowie udali się do Perugii, aby czuwać nad swemi sprawami w czasie conclave i z pomocą francuskich kardynałów przeprowadzili wybór arcybiskupa z Bordeaux, stawiając mu za warunek, że obydwu Colonnom, Giacomowi i Piotrowi, przywróci kardynalską godność. Wybrany nazwał się Klemensem V, przeniósł siedzibę papieską do Avignonu i zmazał do reszty wszystkie nieprzyjazne akty, które Bonifacy VIII wydał przeciw Colonnom.

## V.

W lat niespełna pięćdziesiąt po śmierci Bonifacego VIII był Stefan Colonna, brat smutnej pamięci bohatera z Anagni, patriarchą rodu, miał około dziewięćdziesięciu lat i Bóg mu pobłogosławił dziesięcioma synami. Szlachta rzymska uważała go za swego naczelnika i widomą głowę, a w mieście otaczano go powszechnem poważaniem. W młodości, za pa-



pieża Mikołaja IV, był namiestnikiem kuryi rzymskiej w Bolonii, następnie mianował go papież hrabią Romanii, a w końcu senatorem rzymskim w r. 1292. Gdy jednak Bonifacy VIII ogłosił wojnę krzyżową przeciw Colonnom i zburzył Palestrinę, Stefano stał się jednym z największych wrogów papieżstwa i on to poddał myśl uprowadzenia papieża do Francji i stawienia go przed soborem. Po śmierci Bonifacego wrócił Stefano do Rzymu w orszaku Henryka VII, który go znów mianował senatorem.

Stefano był wspaniałą postacią, pelen powagi, spokoju i energii, uchodził za ideał ówczesnego rycerza. Gdy za młodszych lat uciekał z Tusculum, wysłał za nim Bonifacy VIII oprawców, aby go zamordowali. Bravi spotkali go i zapytali o nazwisko, na co Stefano dumnie odrzekł: »Io sono Stefano Colonna, cittadino romano«. Słowa te były powiedziane z taką godnością i odwagą, że bravi się ulękli i nie śmieli porwać się na niego. Opowiadają także, że po utracie Palestriny i innych zamków zapytał się go któryś z krewnych, czy mu została jeszcze jaka twierdza. Colonna się uśmiechnął, uderzył w piersi i powiedział: »Eccola«, oto moja ostatnia forteca! Petrarka unosi się nad nim, »jakie czoło, powiada, jaki głos, jaki wyraz twarzy, jaka postawa, jaka żywość umysłu w tych latach, jaka siła ciała! Jest on jakby feniks, powstały z popiołów starożytnych Rzymian, zdawało mi się, że widzę przed sobą Juliusza Cezara, albo Scypiona Afrykańskiego«. »Rzecz prawie nie do uwierzenia, dodaje poeta, że Colonna zachowuje czerstwość młodości, podczas gdy cały Rzym się starzeje«.

Petrarka był w ścisłych stosunkach z Colonnami i wiele im zawdzięczał. Jeszcze w r. 1326, gdy przybył na mieszkanie do Avignonu, dał się poznać Giacomowi della Colonna, wówczas biskupowi z Lombez, który wspierał młodego poetę. Biskup wziął go ze sobą w lecie w Pireneje, a Petrarka tak był zachwycony uprzejmością swego protektora i pięknnością gór, że pisał później, iż wtedy przeżył »lata, jakby w niebie«. Wróciwszy do Avignonu, zbliżył się do drugiego Colonna, do kardynała Giovanniego, który tak go polubił, »że był dla niego nie panem, ale prawdziwym ojcem«, a stosunki te



miały dla młodego poety wielkie znaczenie, gdyż Colonnowie »byli wówczas ozdobą dworu w Avignonie«. Gdy Petrarca, wiedziony żądzą poznania nowych krajów, wyjechał z Avignonu, aby zwiedzić północną Francję i Niemcy, napisał do kardynała ów sonet, pełen serdecznego doń przywiązania:

Signor mio caro, ogni pensier mi tira  
 Devoto a veder voi, cui sempre veggio:  
 La mia fortuna (or che mi può far peggio?)  
 Mi tiene a freno, e mi travolve, e gira.

— — — — —

W Avignonie poznał później w r. 1331 Petrarca także Stefana Colonnę, który stał się dla niego ideałem magnata rycerza. Skory do uniesień, poeta uczcił go wtedy owym słynnym sonetem, zaczynającym się od słów:

Gloriosa Colonna, in cui s'appoggia  
 Nostra speranza e'l gran nome latino.

Stefano także bardzo polubił poetę, a gdy Petrarca później (1335) bywał w Rzymie, doznawał zawsze w rodzinie Colonnów serdecznego przyjęcia i cieszył się, »że tak znakomity człowiek, jak Stefano, do końca życia okazywał mu równą przyjaźń«. »Byłem tam przyjmowany, pisze Petrarca z poetycką przesadą, nie jako człowiek, ale jako anioł«. Colonnowie widocznie cenili już wówczas Petrarce, gdy bowiem poeta we dwa lata później, w r. 1337, chciał przybyć do Rzymu, a czasy były wojenne, wyjechali naprzeciw niego, do Campanilli: sam biskup z Lombez, Giacomo Colonna, i młodszy Stefano w otoczeniu stu zbrojnych rycerzy, aby go w drodze nie zaczepili stronnicy Orsinich. W Rzymie poznał Petrarca także dwie córki Stefana starego, Giovannę i Agnieszkę, któremi się zachwycił, porównując je z najcenniejszymi starożytnymi matronami.

Gdy w r. 1341 włożono na Kapitolu laurowy wieniec na skronie poety, kilku synów Colonny było przytomnych uroczystości, a młodszy Stefano miał nawet mowę na cześć Petrarcki i następnie dla niego wydał ucztę w pałacu Colonnów.



W r. 1343 był Petrarca znowu w Rzymie i wtedy to, jak się zdaje, spotkał raz Stefana, idącego przez via Lata ku Tybrowi; starzec zdawał się być pochmurnym i miał do tego powody, gdyż właśnie Cola di Rienzi rozpoczynał walkę przeciw rzymskim baronom, marzył o zaprowadzeniu jakiejś idealnej Rzeczypospolitej, jakiegoś dobrego państwa, »buono stato«, kazał malować owe obrazy, podburzające ludność przeciw możnowładcom, i miewał piorunujące mowy, w których winą upadku i upokorzenia Rzymu mienił być możne rody Colonnów, Orsinich i inne.

W rozmowie z Petrarcą wyraził się z pewną boleścią Colonna, iż ma przeczucie, że mimo późnego wieku, wbrew prawom natury, wszystkich swych synów przeżyje i stanie się ich dziedzicem. Jak zobaczymy, to przeczucie w sposób tragiczny niebawem się spełniło. »La superba e marmorea Colonna« zdruzgotaną została.

Stefano widział wielkie niebezpieczeństwo dla szlacheckich rodów wobec coraz bardziej wzmagającej się popularności rzymskiego trybuna, który się nie krył z tem, że chce zniszczyć rycerstwo, a nawet orzekł już konfiskatę dóbr hrabiego na Fondi, Giovanniego Gaetani, ponieważ tenże nie chciał uznać władzy trybuna. Tego było Colonne za wiele, sądził więc, że nadeszła chwila, aby złączyć nieprzyjazne sobie rody i wystąpić wspólnie przeciw grożącemu im wszystkim nieprzyjacielowi. Stefano urządził przeto cichaczem zebranie najcenniejszych przedstawicieli rycerskich rodów, na które przybyli Orsini, Savelli, Annibaldeschi, zapominając na chwilę wzajemnych uraz. Władza trybuna tak szybko się wzmogła, miał on tyle wojska, że rycerstwo nie czuło się już dość silnem, aby mu otwarty stawić opór. Zgromadzeni postanowili zgładzić trucizną groźnego wroga i w tym celu wysłali do Rzymu zręcznego człowieka, w którym pokładali zupełne zaufanie. Ale trybun miał wybornych szpiegów, a jak tylko ów wysłannik przybył do Rzymu, trybun kazał go schwycić i wrzucić do więzienia. Wzięty na tortury, wyznał bravo wszystko, odkrył cały spisek rycerstwa, z czego Rienzi skorzystał, aby oddać pod sąd naczelników sprzysiężenia. Uwięzienie ich wysłannika umiał trybun tak osłonić taje-



mnicą, że nikt z rycerstwa ani się domyślał, że bravo jest już zamknięty w kapitolinińskich lochach. W czasie, gdy baronowie byli przekonani, że ich powiernik kryje się w Rzymie i szuka sposobności spełnienia swego zadania, zaprosił Rienzi rycerstwo na wielki bankiet, 14 września, pod pozorem, jakoby chciał się z nimi porozumieć. Rycerstwo, nie podejrzewając nic złego, zgromadziło się na Kapitolu, bawiło się wesoło i dopiero przy końcu uczyty nie mógł się stary Stefano powstrzymać, aby nie rzucić pomiędzy zgromadzonych pytania, co z większą korzyścią jest dla ludu, oszczędność czy rozrzutność trybuna. A gdy się zdania spierały, Stefano z ironią wziął do ręki skrawek kosztownego płaszcza, który Rienzi miał na sobie, i głośno powiedział, że trybunowi, który udaje chrześcijańską pokorę, bardziejby przystała suknia Bizocha<sup>1)</sup>, aniżeli te pyszne jedwabie. Trybun zbladł z gniewu, polecił wejść swej gwardyi, odprowadzić Stefana do sali sądowej, innych zaś baronów, którzy brali udział w uczcie, kazał uwięzić w kapitolinińskich piwnicach.

Stefano gniewał się, protestował, nie przypuszczał bowiem, aby się poważono targnąć na jego w całym mieście poważaną osobę, a gdy go zamknięto w sali senatu, gdzie nawet łóżka nie było, chodził całą noc, jak lew w klatce, bił pięściami o drzwi i o mur i wołał na stróżów, aby go wypuścili.

Równocześnie wezwał Rienzi pod rozmaitymi pozorami innych baronów, którzy nie mieli zaproszenia na bankiet, aby przybyli na Kapitol, i w miarę, jak przyjeżdżali, kazał ich jak zwykłych zbrodniarzy wrzucać do więzienia. W ten sposób ubezwładnił Piotra di Agabito i Giovanniego Colonnów. Tego ostatniego niedawno mianował dowódcą armii, mającej uśmierzyć bunt Gaetanich. Prócz Colonnów zamknął trybun trzech głównych Orsinich: Giordana del Monte, Rainalda de Marino i Bertolda, hrabiego na Vicovaro. Jedyne młodszymi Stefano Colonna, Luca Savello i Giordano de Marino przeczuli podstęp i nie przybyli do Rzymu.

<sup>1)</sup> Bizochami zwano franciszkańskich tercyarzy.



Nazajutrz po bankiecie zwołał Rienzi zgromadzenie wiernych mu rzymskich obywateli, wyjawiał im całą intrygę baronów, iż nastawali na jego życie, i oświadczył, że tylko w wytepieniu tych zbrodniczych rodów widzi jedyny sposób uspokojenia państwa. Zgromadzenie przyklasnęło odwadze i stanowczości trybuna, a niebawem dzwon kapitolński oznajmił miastu i ofiarom, zamkniętym w murach, że straszny sąd się odbędzie. Tymczasem kazał trybun, który wszędzie lubił przepychem działać na imaginację ludu, osłonić ściany parlatoryum kapitolńskiego makatami z czerwonego i białego jedwabiu, jakby na jaką radosną uroczystość, i tam ustawić kłoc, na którym mieli kłaść głowy Colonnowie, Orsini, Savelli według starszeństwa, za porządkiem. Księża Franciszkanów rozesłał trybun do cel więziennych, aby przygotowali na śmierć skazanych. Stefano Colonna nie przyjął księdza, nie chciał się spowiadać, mówiąc, że nie uporządkował swoich interesów i nie spodziewał się śmierci.

Okolo dziewiątej z rana otwarto ową przystrojoną salę Kapitolu, lud się cisnął, przejęty zgrozą i ciekawością, aby wysłuchać wyroku, który miał powalić całe rycerstwo. Niebawem wszedł Rienzi na trybunę, wspaniale przyodziany tym samym płaszczem, który Stefano Colonna wyszydzał, i ku wielkiemu zdumieniu zgromadzonych, zaczął mówić łagodnie, pojednawczo, wzięwszy za temat słowa codziennej modlitwy »I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy«. Wzywał lud, aby rycerskim rodom zapomniał ich zbrodni, gdyż niema wątpliwości, że się poprawią i że na przyszłość będą wspólnie pracowali dla dobra rzeczypospolitej i oddadzą się służbie ludu. Poczem przerwał swą mowę i kazał więźni przywołać do sali. Przy dobrze znanym ludowi, smutnym odgłosie trąb, które zazwyczaj się odzywały, gdy prowadzono skazanych na śmierć, weszli rycerze, czarno ubrani, pozbawieni wszelkich oznak swych godności, ponurym wzrokiem badając zgromadzenie. Gdy drzwi za nimi zamknięto i nastąpiła cisza, trybun zwrócił się do nich i swoim, tudzież ludu imieniem, oświadczył, że rzuca zasłonę na ich dotychczasowe nieprzyjemne czyny, że im przebacza wszystko, co przeciw rzeczypospolitej zawinili, a dając ten niezwykle do-



wód zaufania, spodziewa się, że nigdy nie będzie żałował swej wspaniałomyślności. Co więcej, zacierając zupełnie przeszłość, która lud rzymski i szlachtę dzieliła, powierzył zaraz niedawnym jeszcze swym nieprzyjaciołom najważniejsze miejskie urzędy, zamianował Stefana Colonnę, Bertolda, Orsa i Arnolda Orsinich konsulami i zaszczycił ich, równie jak Giordana Orsiniego, godnością patrycyuszowską; Coli Orsiniemu zaś nadał kapitanat wojny, a innym przewodcom szlachty stanowiska wojskowe w Kampanii i w Toskanii. Ażeby zaś temu uroczystemu pojednaniu i na zewnątrz dać znak widomy, podarował każdemu z więźniów pierścień poświęcony, płaszcz obsyty kosztownem futrem, tudzież sztandar haftowany złotem, poczem kazał im złożyć przysięgę na wierność Kościołowi, ludowi rzymskiemu i jego naczelnikowi. Akt pojednania zakończyła uczta, po której Rienzi objeżdżał konno ulicę Rzymu w otoczeniu swych nowych, mniemanych przyjaciół.

Niespodziewana, zadziwiająca zmiana w postępowaniu trybuna ze swymi więźniami nie wypływała jednak z jakiegoś uniesienia szlachetnego, ale miała swoje głębsze, polityczne powody. Już o świecie przyszło do trybuna kilku poważnych rzymskich obywateli, przedstawiając mu, że wiadomość o uwięzieniu najznakomitszych przedstawicieli rycerstwa bardzo przykre zrobiła wrażenie pomiędzy ludem, a co więcej, że ten gwałtowny zamach na życie znakomitych obywateli rzymskich wywoła na dworze papieskim w Avignonie nieprzyjazne intrygi przeciw trybunowi. Lud rzymski uważa rycerstwo, pomimo wszelkich nadużyć, jakich się Colonnowie, Orsini i inni dopuszczają, za chwałę i ozdobę miasta, a świetność ich orszaków, ich odwaga, ich bogactwa, wszystko to otacza ich w oczach pospółstwa pewną aureolą, którą zniszczyć byłoby niebezpiecznie. Rienzi, który całą swą siłę opierał na sympatyach ludu, zrozumiał, że akt okrucieństwa wobec tyłu znakomitych Rzymian mógłby podkopać jego stanowisko, a niechęć tłumów zwróciłaby się łatwo przeciw niemu. Postanowił więc okazać się wspaniałomyślnym i swą niespodziewaną łagodnością jeszcze bardziej podbić sobie serca rzymskiego ludu. Wogóle olśniewanie umysłów



teatralnymi wystąpieniami było jedną z właściwości Rienzego; chętnie też dał się nakłonić do czynu, który go podnosił w opinii publicznej i dawał mu przydomek »łagodnego«, »łaskawego«. Ale głębsi politycy, znający dobrze mściwe usposobienie rycerstwa, uważali postąpienie trybuna za wielki błąd, który najsmutniejsze pociągnie za sobą następstwa.

Rycerstwo nie wierzyło też trybunowi, ludzie tak doświadczeni, jak Stefano Colonna, zrozumieli dobrze, że niespodziewana łagodność Rienzego wypływała właściwie z obawy przed Stolicą Apostolską i przed ludem rzymskim, a przewidując, że trybun mógłby skorzystać z pierwszej nadarżającej się sposobności, aby ich znowu uwięzić, żądali uroczystego ponowienia zgody, zawartej pomiędzy nimi a Rienzim. Trybun, dla którego wszelki uroczysty akt był pożądaną sposobnością okazania swej władzy, chętnie przystał na nowe pakt. Sam więc ułożył program tej uroczystości, mającej cechę religijną. W kapitołińskim kościele, w Ara Coeli, wysłuchali baronowie mszy uroczystej, spowiadali się, poczem kapłan odmówił modlitwę Salomona »Panie, wysłuchaj próśb twego sługi«, a gdy doszedł do słów »Boże, pomścisz człowieka sprawiedliwego, a ukarzesz grzesznika«, dotknął ręką każdego z klęczących, pomiędzy którymi i sam trybun się znajdował, pobłogosławił i dał im komunię. Gdy następnie baronowie raz jeszcze zaprzysięgli wierność rzymskiej rzeszypospolitej, odbyła się wielka procesya na uproszenie Matki Boskiej, aby pobłogosławiła temu przymierzcu szlachty i ludu. Procesya, w której brały udział tłumy i całe prawie duchowieństwo rzymskie, szła od Lateranu do Santa Maria Maggiore, a dalej aż do św. Piotra i zakończyła się odśpiewaniem hymnu »Te Deum laudamus«.

## VI.

Rycerstwo wszakże ani chwili nie myślało o dotrzymaniu tych solennych paktów. Podczas gdy w Rzymie śpiewano pokojowe hymny, pracował już w Avignonie kardynał



Giovanni Colonna nad tem, aby usposobić papieża Klemensa VI i całe kollegium kardynałów nieprzyjaźnie dla trybuna. Kardynał miał osobistą urazę do Rienzego, pozakupywał bowiem sporo zamków i włości w obrębie papieskiego dominium, a jego poddani, ufając w kardynalską opiekę, dopuszczali się rozmaitych gwałtów i rozbojów. Rienzi, chcąc tamę położyć niepokojom na terytorjum blizkiem Rzymu, ogłosił, że owe dobra kardynalskie będą podlegać ludowi rzymskiemu i rzymskim sądom. Kardynał nie posiadał się z gniewu, kazał w swych włościach uważać Rienzego jako rozbójnika i heretyka, który poważa się grabić dobra kościelne. Na to trybun także nie pozostał winien odpowiedzi: według swego zwyczaju w sposób uroczysty zgromadził lud w dzień św. Michała przed kościół kardynała Sant' Angelo in Peschiera i tam wobec tłumów głośno modlił się, aby Bóg użył ramienia archanioła św. Michała i dokonał swej sprawiedliwości na kardynale, który przez miłość dla swych krewnych, tyranów, prześladowuje jego, obrońcę ludu.

Rzecz dziwna, że Rienzi miał wówczas w Avignonie jedynego przyjaciela, jedynego protektora, Petrarke, który tyle zawdzięczał Colonnom. Ale bo też Petrarka nie był politykiem, szedł zawsze za popędami serca, a całe wystąpienie Rienzego przemawiało do jego imaginacyi i kazało mu zapomnieć o stosunkach, jakie go wiązały z Colonnami. Wierzył on w najlepsze zamiary trybuna, śnił o tem, że Rienzi jest mężem Opatrzności, zesłanym, aby znowu przywrócić Rzymowi jego dawną świetność. Wtedy to napisał ową słynną kanzonę »Spirito gentile« na cześć rzymskiego trybuna, w której zwraca się przeciw rycerskim rodom, jako jedynej przyczynie upadku Rzymu, a Rienzego uważa jako zbawcę ludu.

Orsi, lupi, leoni, aquile e serpi  
Ad una gran marmorea colonna  
Fanno noia sovente, ed a sé danno...

Głosu poety nikt wszakże w Avignonie nie słuchał, stronnictwo przeciwne trybunowi przeważało na papieskim



dworze, a Klemens VI wysłał do Włoch kardynała Bertranda, Francuza, który dobrze znał rzymskie stosunki, aby w porozumieniu z baronami starał się bronić praw Kościoła przeciw Rienzemu, który chciałby odebrać Stolicy Apostolskiej całe patrymonium na rzecz rzymskiego ludu.

Przewódcy rycerskich rodzin wiedzieli o korzystnym dla nich zwrocie na papieskim dworze, a nie wierząc w przyrzeczenia trybuna i nie zważając na własne przysięgi, przygotowywali się czem pręcej w swych zamkach, aby wspólnymi siłami złamać potęgę Rienzego. Głównymi ogniskami tych zbrojeń była Palestrina Colonnów i Marino, będące wówczas własnością braci Orsinich, Giordana i Rainalda. Stefano Colonna gromadził wojsko i żywność w swym na nowo odbudowanym zamczku i pilnie porozumiewał się to z legatem papieskim, Bertrandem, to z Orsinimi i Gaetaniami. Ci ostatni rozpoczęli zaczepne działanie przeciw trybunowi, najechali rzymskie posiadłości, rabując wokoło i więżąc stronników Rienzego. Za Gaetaniami rozpuścili swe zagony Orsini z Marino i nekali okolice Rzymu aż po mury miasta, niszcząc winnice, uprowadzając wszelki dobytek mieszkańców, uznających opiekę człowieka z ludu. Trybun wysłał konnego posłańca do Giordana Orsiniego, wzywając go, aby zaprzestał rozbojów; ale Giordano kazał obić owego sługę i jeszcze groźniej zaciężył na całej okolicy Rzymu. Wtedy Rienzi wydał rozkaz, aby Giordano pieszo przyszedł do Rzymu i stawił się przed trybunałem, w przeciwnym bowiem razie wystąpi władza przeciw niemu z największą surowością. Chcąc zawsze obrazami działać na imaginację ludu, kazał wymalować na murach Kapitolu postacie buntowników z uciętymi głowami. Baronowie nie zważali jednak na te pogrożki, lecz gotowali się do ostatecznej z samozwańcem rozprawy, a chcąc jego siły osłabić, rabowali, co się dało. Osobliwie Orsini, jak zawsze, okrutni, pustoszyli ogniem i mieczem miejscowości, położone na północ od Rzymu aż po Bracciano, a Rainaldo Orsini, napotkawszy po drodze obronną wieżę, w której pozostała tylko stara kobieta, kazał spalić twierdzę wraz ze staruszką, nie mogącą uciekać. W Rzymie zapanowało straszne oburzenie na rycer-



stwo, z czego skorzystał Rienzi, aby z całą siłą uderzyć najprzód na Marino, główną fortecę Orsinich. Ale legat papieski, Bertrand, podburzał rzymską ludność przeciw trybunowi tak, że Rienzi, obawiając się, aby podczas jego nieobecności w mieście nie wybuchła rewolucya, a nadto, aby Colonnowie z Palestriny nie ruszyli wprost na Rzym, przerwał oblężenie Marina, kazał rzucić dwa psy do poblizkiego strumienia, mówiąc, że to rycerze Giordano i Rainaldo Orsini, i wrócił ze znacznem swem wojskiem do Rzymu, aby tam przygotować obronę.

Była to ostatnia chwila, aby stawić czoło baronom w samym Rzymie; 16 listopada wyruszyli Colonnowie z Palestriny na czele siedmiuset jeźdźców i znacznej liczby piechoty. Rienzi, dowiedziawszy się o tem, zgromadził chwiejny lud rzymski, a chcąc podnieść w nim ducha, głosił, iż śniło mu się, że św. Marcin, który także był synem trybuna, objawił mu, że zgniecie w proch nieprzyjaciół Boga, a gdy pospólstwo z niedowierzaniem przyjęło to prorocstwo, rozszerzał wieść, jakoby widział papieża Bonifacego, który mu objawił, że niebawem straszna zemsta spadnie na ród Colonnów, że zostaną wytepieni, ponieważ w Anagni Kościół obrazili. Rienzi dowiedział się, że Colonnowie stoją 19 listopada o pięć mil od bram Rzymu, na drodze do Tivoli, koło starożytnego monumentu, który zwano sarkofagiem św. Heleny; zapowiedział więc ludowi, że ten monument będzie grobowcem Colonnów. A mówił to z takim przekonaniem, że lud uwierzył w pewne zwycięstwo. Pomiędzy dowódcami trybuna było dwóch Orsinich: Cola z zamku św. Anioła i Giordano del Monte, dwaj zaciekli nieprzyjaciele Colonnów. Wbrew interesom własnego rodu połączyli się oni z Rienzim, aby tylko wyrzucić zemstę na swych osobistych wrogach. Dwudziestego listopada w nocy wyruszyli Colonnowie na Rzym, idąc ku bazylice San Lorenzo fuori le mura. Po kilkudniowym deszczu było bardzo zimno i droga rozmokła prawie nie do przebycia tak, że konie zapadały się, a rycerze w ciężkiej zbroi nie mogli się swobodnie poruszać. Stary Stefano ciężko zachorował, dostał febry, połączonej z wymiotami, i zaledwie się mógł utrzymać na koniu; zasłabł



również Pietro di Agabito, a we śnie zdawało mu się, że widzi żonę, Franceskę di Ceccano, w żałobnem ubraniu, jak klęczy przy nim w rozpacz. Już w pobliżu Rzymu zebrali się wszyscy dowódcy na naradę, czy nie należałoby się cofnąć, zwłaszcza że dochodził ich głos dzwonu kapitolńskiego, dowodzący, że Rzymianie wiedzieli o zbliżaniu się nieprzyjacielskiego wojska i że Rienzi przygotowany jest do walki. Ale głosy młodszych dowódców, aby iść na Rzym, przeważły. Giovanni Colonna, Giordano di Marino, Cola Buccio, Sciarretta Colonna i młodszy Stefano Colonna, któremu powierzono naczelne dowództwo wyprawy, nie mogli przenieść na siebie, aby bez bitwy cofać się z pod murów Rzymu, zwłaszcza że sam wódz naczelny przekupił, jak się zdaje, stróża bramy San Lorenzo i sądził, że się zdradą dostanie do miasta. Spiął więc konia i z jednym tylko towarzyszem podjechał pod bramę, wołając owego stróża po nazwisku; ale stróża już nie było, na jego zaś miejscu stał żołnierz, Paolo Buffa, który odmówił otwarcia bramy, a bojąc się, aby mu kluczy z rąk nie wydarto, rzucił je poza mur do środka miasta, gdzie wpadły do kałuży błota.

Stefano Colonna wrócił do swoich, a rycerstwo widząc, że podstępem nie da się wejść do miasta, przypuścić zaś szturm do bramy było niebezpiecznem, postanowiło przynajmniej uratować honor wojskowy i w bojowym szyku, z rozwiniętymi sztandarami, przy odgłosie muzyki przejść koło murów miasta. Od dawien dawna uważano we Włoszech tego rodzaju defiladę za największą zniewagę, jaką można wyrządzić zamkniętemu w murach nieprzyjacielowi, za odsądzenie go od wszelkiej odwagi i chęci zmierzenia się z oblegającymi. Wojsko Colonnów podzieliło się na trzy oddziały; piechota w dwóch oddziałach szła naprzód pod dowództwem Petruccia Frangipaniego, a trębacze wysilali się, aby urągliwe dźwięki marszu bojowego jak najdalej dochodziły i gniewały mieszczan. Właśnie dniało, a Rzymianie mogli widzieć z poza murów zbliżający się trzeci oddział, złożony z samego rycerstwa. Na czele jechało ośmiu baronów, a pomiędzy nimi wódz wyprawy, Giovanni Colonna. Lud nie mógł przenieść tej zniewagi, a gdy klucza od bramy nie













Fot. Anderson.

Bitwa pod bramami Rzymu.

Według obrazu P. Uccella w pinakotece w Turynie.

Do str. 49







można było znaleźć, chwycili Rzymianie za siekiery i drągi i niezbyt silne wrzęcia wkrótce pękły. Giovanni właśnie nadjechał, a sądząc, że to jego przyjaciele bramę wysadzili, aby rycerstwu wejście ułatwić, spał konia i puścił się do środka miasta. Mniemał, że inni rycerze jadą za nim, a to samo wrażenie mieli i Rzymianie; gdy jednak tłum spostrzegł, że Colonna sam jedzie, napadł na niego z dzikim okrzykiem, wskutek czego koń Giovanniego się spłoszył, wpadł do fosy w pobliżu bramy, przewrócił się i pociągnął jeźdźca za sobą. Colonna leżał ubezwładniony w swej zbroi, a z tego skorzystał rozwścieczony lud, aby go zamordować. Pierwszy cios śmiertelny w głowę zadał mu jakiś Fonnraglia z Trajo, poczem dzika tłuszcza rzuciła się na bezbronnego. Setki ran mu zadano tak, że wkrótce i poznać nie było można, że te zwłoki, zbryzgane krwią i błotem, należały do świetnego, młodego rycerza, który tak nieostrożnie zapędził się w bramę Rzymu. Ojciec Giovanniego, Stefano Colonna, nie widząc syna i słysząc tylko dzikie krzyki tłumu, wpadł także do bramy, a spostrzegłszy, co się stało, i widząc, że Giovanni zabity, chciał konia nawrócić, ale w tej chwili zrzucono na niego olbrzymi kamień, który ranił i powalił konia wraz z jeźdźcem. Stefano powstał jeszcze, zaczął się bronić przed nacierającym na niego tłumem, ale niebawem także upadł pod gradem kamieni i pocisków i skończył podobną, jak syn, śmiercią, tuż pod freskami na murach bramy, przedstawiającymi Madonnę i świętych Pańskich.

Lud, zachęcony łatwym powodzeniem, wypadł z bramy na osłupiałych rycerzy, nie wiedzących zrazu, co się właściwie stało. Rozpoczęła się zawzięta walka.

Na wiadomość, że bój się toczy pod bramą San Lorenzo, Rienzi wsiadł na koń i przybył bezzwłocznie z oddziałem żołnierzy. Wpadł w wir walczących właśnie w chwili, gdy rycerstwo brało górę nad mieszczaństwem. Dwóch baronów, spostrzegłszy Rienzego, otoczonego tylko garstką żołnierzy, rzuciło się odważnie ku niemu, zerwało już nawet sztandar, który przed trybunem niesiono, tak że Rienzi był przez chwilę w wielkim niebezpieczeństwie, a patetyczny, jak zawsze, miał oczy wzniesić ku niebu i zawołać: »Boże,



czyś mnie już opuścił?« Ale tym razem Opatrzność go jeszcze ochraniała; rycerze w ciężkiej stali, zewsząd otoczeni, nie mogli się bronić, konie się płoszyły, a z miasta przybywało coraz więcej zbrojnych przeciwników. Niebawem powstało pomiędzy szlachtą zupełne zamieszanie, lud i wojsko Rienzego korzystało z popłochu, aby mordować znieawidzonych baronów. Padło ich dwunastu, kwiat rzymskich znakomitych rodów, na drodze i w kałużach pod bramą San Lorenzo: prócz Stefana i Giovanniego Colonna legli Pietro di Agabito Colonna, Pietro Colonna, Buccio Galigalli, Petruccio Frangipani, Cola Ballo di Cavi, Rodolfo di Palestrina, Carolo Melli, Giordano de' Arturiani, Cola di Tartaro, Polo di Libano. Obok tych przodowników szlachty zginęło jeszcze z ośmdziesięciu baronów, a wielu innych było rannych, tak iż się zdawało, że wszystkie rody Kampanii i gór Albańskich sromotnie na wieki zostały pogrzebane.

Około godziny trzeciej popołudniu bitwa była skończona; Rienzi kazał uderzyć trębaczom w srebrne rogi, a włożywszy koronę trybuna na głowę, ruszył w tryumfie na czele zwycięskiego wojska do kapitolijnskiego kościoła, gdzie przed cudownym obrazem Matki Boskiej złożył koronę i buławę, podczas gdy duchowieństwo śpiewało hymn Salomoną »Do Ciebie należy władza, Boże wszechmogący«. Na znak ukorzenia się przed Stwórcą, któremu przypisywał to świetne zwycięstwo, a może i ze względu na papieża nie wdział już odtąd nigdy tej korony, która miała na wieki pozostać w Ara Coeli. Miecz tylko skrwawiony wyciągnął z pochwy, otarł o swoje odzienie, a pokazując go ludowi, zawołał: »Odciałeś ucho potężnej głowie, ani papież ani cesarz nigdy czegoś podobnego dokonać nie zdołali«. Tak zakończył się ten dzień fatalny w dziejach rzymskiej szlachty.

Nazajutrz doniesiono trybunowi, że wierni słudzy Colonnów przenieśli ciała Stefana, Giovanniego i Pietra di Agabita do kościoła Santa Maria degli Frati, przykryli je płaszczami tkanymi złotem i że tam zgromadziło się wielu krewnych i przyjaciół rodu, aby zamordowanym oddać ostatnią przysługę, a kobiety, według zwyczaju zawodząc płaczem, otoczyły zwłoki. Rienzi, w gruncie natura mściwa



i dzika, wpadł na tę wiadomość w wielki gniew, kazał wypędzić z kościoła pobożnych, grożąc, że jeżeli te kobiety nie zaprzestaną swych lamentów, to każe owe przeklęte trzy trupy wrzucić do wspólnego grobu, gdyż Colonnowie byli zawsze wiarołomnymi zdrajcami i nie zasługują, aby ich uczciwie pochowano. Zgromadzeni rozeszli się więc z kościoła i dopiero w nocy kilku przyjaciół Colonnów przeniosło cichaczem ciała do kościoła św. Sylwestra, fundacyi kardynała Giacomina Colonna, i tam je pokryjomu pochowali.

Łatwe zwycięstwo zakończył Rienzi brzydką, wstrętną uroczystością. Trzeciego dnia wyruszył w towarzystwie swego dorosłego już syna, Wawrzyńca, na czele oddziału przyboocznej gwardyi pod bramę, gdzie się walka toczyła, zatrzymał się przed kałużą, jeszcze zabarwioną krwią Giovanniego Colonna, kazał synowi przykłęknąć i rozlewając trochę krwawego błota na jego głowę, pasował go na »rycerza zwycięstwa«. Akt ten oburzył nawet przychylną trybunowi szlachtę i wielu rycerzy wystąpiło z jego wojennych szeregów.

Trybun pławił się w szczęściu i pisał do swego przyjaciela, Rainalda Orsiniego: »Sześciu Colonnów zginęło, nie pozostaje, jak tylko złamany starzec Stefano, na pół nieżywy«. Ale w tym starcu więcej jeszcze było życia, aniżeli myślał Rienzi. Gdy Stefanowi doniesiono, że ród jego prawie zniszczony, pochylił głowę i powiedział: »Niech się stanie wola Najwyższego, lepiej zginąć, aniżeli żyć pod jarzmem tego chama«. Niebawem starzec zebrał sił ostatki i wziął się do pracy, aby skupić resztki pozostałego rycerstwa.

Ckliwy Petrarca, który niedawno wynosił pod niebiosa rzymskiego trybuna, płakał teraz w swym sonecie: »Heu miserande senex« nad losem starego Colonna, który, mając blisko sto lat, stracił pięciu braci, siedmiu synów i cały szereg wnuków i synowców, a przecież nie dał się złamać, lecz stoi silny, jak omszała marmurowa kolumna. »Quem non tantarum Columnarum ruina prosterneret? Mansisti inconvulsus« powiada poeta.

Tymczasem Rienzi, zamiast korzystać ze swego zwycięstwa, opanować Marino Orsinich i Palestrinę Colonnów, bawił się w Cezara, szalał, w swej mniemanej wielkości uwa-



żał się za niezwykłego, a jakiś sen złowrogi, który powinien go być obudzić z bezwładności, złamał do reszty jego dawną energię. Śniło mu się, że skowronek w ciągu dwunastu nocy siadał na dachu jego pałacu i spać mu nie dawał. Skowronek tak uparcie powracał i tak zawodził, że służba pałacowa go odpędzała, a odpędzić nie mogła. Trybun na złe sobie ten sen tłómaczył i drżał z obawy przed przyszłością. Przeczucie go nie myliło, gwiazda Rienzego powoli gasła. Rycerstwo, nie mając już siły do otwartej walki, postanowiło podjazdami nękać rzymską ludność, przecinać dowóz zboża i innych artykułów żywności do miasta i w ten sposób osłabiać kapitoliańskie rządy. Katastrofę pod murami Rzymu przeżyli Giordano Orsini, Luca Savello i Sciarra Colonna; oni to rozpoczęli owe napady, wskutek których miasto wkrótce ujrzało się bez mąki i mięsa, a ceny żywności do niesłychanej dochodziły wysokości. Lud się burzył, papież przez swojego legata zwracał się także przeciw trybunowi, tak że jego potęga, oparta prawie tylko na popularności, z nadzwyczajną szybkością upadała.

Legat papieski w porozumieniu z Colonnami znalazł bardzo zręcznego awanturnika, Giovanniego Pipina, który sobie przywłaszczał nazwisko jakiegoś hrabiego i palatyna Albamury, i z pomocą tego tytułu zebrał w papieskiem Patrimonium z pięciuset zbrojnych, gotowych na każdą wyprawę. Trybun zawezwał Pipina z powodu rozmaitych rozbojów, których się dopuścił w okolicach Rzymu, przed swój sąd na Kapitolu. Pipino przybył wprawdzie, ale w otoczeniu owych pięciuset jeźdźców i nie poszedł na Kapitol, lecz wprost do części miasta, należącej do Colonnów, i tam natychmiast zaczął wbijać palisady i umacniać wieże i mury. Rienzi, nie czując się już na siłach, aby zaraz uderzyć na niego, zaniepokoił się niezmiernie, zwłaszcza gdy w dniu 14 grudnia znaleziono przybitą na bramie kościoła Sant' Angelo odezwę, w której ktoś nieznamy wzywał przyjaciół Luki Savellego, aby w przeciągu czterech dni z nim się połączyli. Cel tej odezwy był widoczny: zebranie zwolenników szlachty do walki z trybunem. Rienzi kazał zerwać rewolucyjny plakat, a natomiast ogłosić urzędowe wezwanie do



Savellego, aby w przeciągu trzech dni stawił się przed trybunem, gdyż w przeciwnym razie będzie bez litości srogo ukaranym. Szlachta nie dała zbyt długo czekać na odpowiedź: Pipino i członkowie rodu Colonnów, którzy jeszcze byli pozostali w Rzymie, obwarowawszy się w swej części miasta, kazali uderzyć na alarm w dzwony kościoła S. Paolo, widocznie, aby spiskowi byli w pogotowiu. Przerażony Rienzi udał się na Kapitol, gdzie nawzajem wydał rozkaz, aby zwoływano lud odgłosem dzwonów kościoła Sant' Angelo. W zamieszaniu okazało się, że niema dzwonnika; wysłano więc jakiegoś żyda na wieżę. Całą noc i cały dzień następny rozlegał się po Rzymie głos dzwonów szlachty i Rienzego, a znękany i wygłodzony lud nie wiedział, co czynić z przestachu. Tymczasem Rienzi zebrał oddział zaciężnych pod dowództwem kondotiera Scarpetty i kazał mu uderzyć na palisady Colonnów; ale przy pierwszym zaraz natarciu został Scarpetta śmiertelnie ranny, a żołnierze, nie widząc wodza, zaczęli uciekać. Wtedy przyjaciele rycerstwa rozsypali się po mieście, wołając: »Niech żyją Colonnowie, śmierć trybunowi!« a lud, jak zwykle, łączył się z tymi, którzy chwilowym szaleem zdołali go porwać za sobą.

Rienzi schronił się z małą garstką wiernych na Kapitol, narzekał, płakał, zapewniał, że chciał tylko dobra ludu, a widząc, że nie ma już nigdzie oparcia, ubrał się po raz ostatni w swój płaszcz purpurowy, wsiadł na konia, kazał nieść przed sobą godła rzymskich cesarów, otoczył się resztką gwardyi i przy odgłosie srebrnych rogów pojechał do zamku św. Anioła, aby błagać Orsinich o przytułek.

## VII.

W mieście zapanowała anarchia, rzymskie rycerstwo nie miało dość siły i odwagi, aby chwycić rządy i bało się wywołać rewolucję. Ale stary Stefano żył jeszcze; zebrał, co mógł, zbrojnych i na ich czele, korzystając z powszechnego bezładu, wkroczył do Rzymu. Udał się wprost na Kapitol, zorganizował nowy rząd, zatwierdził wszystkie dobre zarzą-



dzenia Rienzego co do przestrzegania porządku i utrzymał w mocy prawa trybuna, które uważał za korzystne. W tej mierze okazał Stefano wysoki rozum polityczny i umiarkowanie, nie wahał się nawet ogłosić, że rycerstwo chce zapomnieć krzywd, których w ostatnich czasach doznało od rzymskiego ludu, a nad osobistymi uczuciami tak umiał zapanować, że publicznie uściskał teścia byłego trybuna, obiecując szczególną opieką otoczyć jego opuszczoną rodzinę, w Rzymie pozostałą. Stefano kazał Kapitol przyprowadzić do porządku, motłoch bowiem rzymski zrabował zaraz po wyjeździe Rienzego wszystko, co się unieść dało, a przede wszystkim mnóstwo drogocennych ubiorów i ozdób, których trybun używał przy rozmaitych sposobnościach.

Tymczasem Rienzi widząc, że lud się od niego odwrócił i że przynajmniej na razie nie ma nadziei, aby odzyskać władzę, uciekł do Neapolu, do swego przyjaciela, króla Ludwika węgierskiego, u którego jednak nie znalazł poparcia, gdyż papież rzucił kłutwę na trybuna i ogłosił go za podejrzanego o herezyę; Rienzi stał się niewygodnym gościem. Nie otrzymawszy pomocy w Neapolu, wrócił w okolice Rzymu, gdzie potajemnie bawił u przyjaciół, sądząc, że nadejdzie chwila, w której będzie mógł wrócić na Kapitol. Ale gdy i tam doznał zawodu, chciał skorzystać z tego, że słynny kondotier, Werner von Urslingen, począł pustoszyć papieskie posiadłości, aby z jego hordą wkroczyć do Rzymu. Urslingen nie zadawał się jednak obietnicami wielkich zysków, lecz wymagał za swą pomoc gotówki. Rienzi jej nie miał; więc złamany niepowodzeniami i obawiając się, aby go legat papieski nie schwycił, poszedł w góry, w Abruzzy, gdzie w niedostępnych lasach mieli schronienie Fratricelli, owi Franciszkanie ścisłej reguły, których papież wykleł jako heretyków, nie chcących słuchać rozkazów Stolicy Apostolskiej. Fratricelli żyli w ubóstwie, jak św. Franciszek z Asyżu, nie uznawali za braci tych Franciszkanów, którzy mieli pyszne klasztory i gromadzili majątki, a i w wielu zasadach religijnych od nich się różnili; Jan XXII wezwał ich do poddania się Stolicy Apostolskiej, przypominając, że pięknem jest ubóstwo, podziwienia godną czystość obyczajów,



ale posłuszeństwo papieżowi wyższe nad owe dwie cnoty. Wyklęty z Kościoła Rienzi zamieszkał u wyklętych Franciszkanów, porzucił purpurę, zataił swoje właściwe nazwisko,<sup>8</sup> przywdział suknie z szarego sukna, a nie mogąc jako człowiek żonaty zostać zakonnikiem, wstąpił do franciszkańskich tercyarzy. Znalazł przytułek u Fratricellów na górze Majella, gdzie przedtem przebywał Michaelę di Monte Angelo, i żywił się wyżebranym chlebem, umartwiając swe ciało i wstając w nocy do modlitwy. Eremici byli ubodzy, nie wolno im było nawet dotknąć się srebrnika, gdyż na srebrze mogło ciążyć przekleństwo. Ojcowie Kościoła nie przekazali nam bowiem wiadomości, czy Chrystus biedną swą sakwę z pieniędzmi powierzył Piotrowi, czy Judaszowi; gdyby ją zaś był oddał temu ostatniemu, dowodziłoby to pogardy Zbawiciela dla wszelkiego bogactwa. Nie mając tej pewności, nie chcieli Fratricelli posiadać pieniędzy, ale żyli głównie strawą, którą im litościwi sakwy napełniali.

Rienzi nagiął się do pustelniczego życia, ale do pokory nagiąć się nie zdołał; dawne wawrzyny nie dawały mu spokoju, a ponieważ wierzył w swe wyższe posłannictwo i zwał się »rycerzem Ducha świętego«, więc też wkrótce znalazł powód, aby zerwać z klasztorem. Opowiadał, że raz pewnego przyszedł do niego z góry, zwanej »di Cielo«, poważany w okolicy pustelnik, który go skarcił, że się zadługo zajmuje szczęściem własnej duszy, podczas gdy jego przeznaczeniem jest działać dla dobra ludzkości. Za przyczyną Matki Boskiej ma nastąpić zupełne odnowienie świata, a po wielkich klęskach, które zmyją grzechy niegodnego duchowieństwa, nastąpi pokój powszechny. Powinien on się udać do Karola IV, aby mu być doradcą w tem dziele odrodzenia ludzkości, które Stwórca powierzył cesarzowi rzymskiemu. Rienzi porzucił więc Fratricellów, pojechał do Pragi na dwór Karola IV, przedstawił cesarzowi swoje posłannictwo, doradzając usilnie, aby monarcha urządził wraz z nim wyprawę do Włoch i w stolicy świata, w Rzymie, stał się królem nad królami, pośrednikiem pomiędzy ludami, wielkim sędzią narodów. Rienzi oddawał się w tej chwili tym samym marzeniom, jakie Dante wyraził w swych pismach. Karol IV ulegał



jednak zanadto Klemensowi VI i nie chciał nic takiego przedsięwziąć, co by było przeciwnem woli Stolicy Apostolskiej; zresztą nie wierzył w sny byłego trybuna. Zamiast więc korzystać z jego rzekomej popularności i z nim razem ogłaszać rzymskiemu ludowi nową erę, kazał Rienzego wrzucić do więzienia, jako niebezpieczną dla Kościoła osobistość, a nawet po długich rokowaniach wydał go papieżowi i odesłał do Avignonu. Klemens VI polecił bezzwłocznie wytoczyć mu proces, jako uzurpatorowi władzy papieskiej i jako heretykowi, a sędziowie kardynałowie skazali na śmierć awanturnika. Szczęściem jednak dla Rienzego umarł Klemens VI nagle 6 grudnia 1352, a nowy papież, Innocenty VI, który podzielał pod wielu względami zapatrywania trybuna co do reformy Kościoła i co do rządów rzymskich, unieważnił wyrok i uwolnił Rienzego z więzienia.

Podczas gdy trybun bawił w Pradze, umarł stary Stefano Colonna, przebacząc swemu wrogowi wymordowanie tylu członków rycerskich rodów. Po śmierci Stefana zapanała w Rzymie zupełna anarchia. Colonnowie walczyli z Orsinimi o władzę, mordowano się po ulicach miasta, tak że Innocenty VI zmuszony był wysłać tam nadzwyczajnego legata, kardynała Albornoza, jednego z najpotężniejszych mężów Kościoła w XIV wieku, aby przywrócić znowu poszanowanie dla papieskich rządów.

Uwolniony tymczasem z więzienia Rienzi wrócił do Włoch, starał się w rozmaity sposób Rzym opanować, aż wreszcie znalazł przyjaciela w słynnym kondotierze Montreale, który ofiarował mu pożyczkę kilku tysięcy dukatów i przyrzekł w przyszłości dać pomoc. Uszczęśliwiony Rienzi sprawił sobie znowu płaszcz szkarłatny, haftowany złotem i obsyty drogocennem futrem, przypasał miecz bogato ozdobny, przypiął złote ostrogi, wsiadł na rumaka przykrytego przepyszną kapą i pojechał do Albornoza, aby uzyskać papieskie poparcie w przyszłych swych przedsięwzięciach. Albornoz, który nie mógł dojść do ładu z rzymską szlachtą, a przede wszystkim z młodszym Stefanem Colonną, postanowił użyć Rienzego do uspokojenia Rzymu i zamianował go senatorem rzymskim na kilka miesięcy, jakby na próbę.



Wtedy, jak powiadają, Rienzi nie posiadając się z radości, nadymał się jak paw, idąc, przestępował z nogi na nogę, oglądał się wokoło, jakby mówił: »Patrzcie, oto trybun rzymski i senator papieski«, a przyjąwszy na żołd z pieniędzy Montreała kilka kompanii niemieckiego żołdactwa, wszedł na Kapitol.

Ludność rzymska, doznawszy tyle ciężkich klęsk i zawodów, przyjęła z zapalem dawnego swego trybuna, wznosiła mu bramy tryumfalne, ale niebawem przekonała się, że ten trybun, którego teraz porównywano z Nabuchodonozorem, bardzo się zmienił przez siedm lat tułactwa. Utył, ociężał, prawie chodzić nie mógł, twarz miał nabrzękłą, czerwoną, spojrzenie surowe, oczy zachodziły mu krwią przy najmniejszym wzburzeniu, a gdy niemi wodzić począł, podobny był do dzikiego zwierza; długa siwa broda przyczyniała się jeszcze do wyrazu srogości, rozlanego na twarzy.

W więzieniu nauczył się pić i teraz ciągle go męczyło pragnienie, które gasił nie wodą, lecz najmocniejszem, ciężkiem winem. Przytem jadł bez miary, co zwiększało jego ociężałość i humory. Pycha i wielkie rozumienie o sobie doszły w nim prawie do chorobliwej manii; ludzi, którzy go otaczali, uważał za niewolników, rozkazy wydawał, jakby drugi Neron. Siła woli jednak osłabła, więc stał się chwiejnym i rozkaz, wydany w groźny sposób przed chwilą, w ten sam sposób zmieniał na wręcz przeciwny, wskutek czego ośmieszał się wobec swych podwładnych. Rozwinęły się w nim wszelkie cechy tyrańcy, zamykał się, był niedostępnym i mściwym, a co najbardziej dotknęło rzymską ludność, że nie mając z czego utrzymać gwardyi Niemców, których ze sobą przywiódł, nakładał nowe podatki, wymyślał grzywny, a nawet konfiskaty dóbr, aby się tylko ratować z pieniężnej biedy.

Ufny w swą potęgę, zawezwał zaraz po przybyciu do Rzymu naczelników wielkich rodów, aby przybyli do stolicy złożyć mu hołd poddańczy, dwóch zaś obywateli, Ruccia di Giubileo i Gianniego Caffarela, wysłał do Stefanella Colonnny do Palestriny, aby się przed nim stawili. Stefanello zamiast odpowiedzi wrzucił tych Rzymian do więzienia, a na



pierwszego z nich nałożył grzywnę czterystu florenów za karę, że się podjął takiego posłannictwa, i kazał mu wyrwać jeden zdrowy ząb. Nazajutrz zaś rozpuścił Stefanello swoją jazdę i łuczników, aby pustoszyli okolicę Rzymu, a przede wszystkim zaganiali trzody i bydło do Palestriny.

Rienzi, zmuszony do działania, przeniósł się z Rzymu do Tivoli, gdzie na razie założył główną kwaterę, i kazał wywiesić sztandar senatorski na murach. Ale ów sztandar, zamiast wesoło powiewać w powietrzu, smutnie obwisł, co w owych zabobonnych czasach uważano za złe proroctwo. Chcąc zachęcić ludność do zemsty na Colonnach, zwołał zgromadzenie na rynek i przypomniawszy sobie czasy młodości, miał mowę przeciw swym nieprzyjaciołom, w której nazwał Stefanella jadowitym wężem, chwastem, wyrosłym w brudnych Maremmach i groził, że tym razem wytepi do szczętu ten ród przeklęty i zniesie nawet górę, na której stoi Palestrina.

Niemieckie żołdactwo wyruszyło z Tivoli na wyprawę, przez ośm dni niszczyło całą okolicę Palestriny, a Rienzi układał plany zdobycia znenawidzonego gniazda Colonnów. Ale dnia dziesiątego stało się coś niewytłómaczonego: senator odstąpił od oblężenia i z wojskiem powrócił do Rzymu. Życie jego było zagrożone, odkryto bardzo niebezpieczne sprzysiężenie. Montreal mianowicie nie był zadowolony z Rienzego, który nie dotrzymał poczynionych mu obietnic i nie nadał przyrzeczonych godności jego braciom, Bretonowi i Arimbandowi, pod których dowództwem stał oddział niemiecki Rienzego. Montreal z trzystoma jeźdźcami przybył do Rzymu, aby się zemścić na senatorze i zamordować go. Służąca jednak kondotiera, rozgniewana na swego pana za złe obchodzenie się z nią, podsłuchawszy rozmowę sprzysiężonych, pobiegła do obozu pod Palestrinę i zdradziła trybunowi groźne zamiary Montreala. Rienzi więc natychmiast wrócił do stolicy, zaprosił pod jakimś pozorem kondotiera na Kapitol i kazał go okuć w kajdany. Ciekawym człowiekiem był ten Montreal. Z urodzenia szlachcic prowansalski, gorącej krwi i niespokojnego umysłu, udał się w młodości do Włoch, aby tam wojować i zdobywać bogactwo. Nadzwyczaj



odważny, przytomny w bitwie, a rozlana krew tyle na nim robiła wrażenia, co rozlane wino. O jakichkolwiek zasadach moralności nie miał wyobrażenia, uczucie miłosierdzia, ludzkości nie było mu znanem. Wojnę uważał za cel swego życia, a zorganizowawszy większy oddział żołdactwa został kondotierem, kapitanem di Ventura. Za dobrą zapłatę walczył w usługach miast i książąt, bez względu na cel polityczny prowadzonej wojny, przenosił się z Toskanii do Neapolu, stamtąd nawet do Antwerpii, wrócił znów do Włoch, a gdziekolwiek przeszedł, rabował i palił wszystko bez litości i pozostawiał po sobie pustynię. Gdy nie miał pieniędzy, zajeżdżał pierwsze lepsze miasto, kazał sobie płacić okup, za który przez pewną umówioną ilość lat pozostawiał to miasto w spokoju. Mimo że był właściwie tylko rozbójnikiem, a Innocenty VI porównywał go do Totili, przecież zakon św. Jana z Jerozolimy przyjął go za swego członka. Od tego czasu zwał on się fra Moreale i bardzo był dumny ze swej rycerskiej godności.

Montreal miał dwóch ulubionych braci, Arimbanda, który był nawet doktorem praw, i Bretona. Im to chciał wyrobić wielkie stanowisko we Włoszech i w tym celu wszedł w stosunki z Rienzim. Obydwaj, jak już wiemy, byli pod Palestriną i napróżno czekali na spełnienie obietnicy. Obrażony z tego powodu kondotier postanowił się zemścić na senatorze i zamordować go. Wyprawa się nie udała, a fra Moreale, zamknięty teraz w lochach Kapitolu, nie wątpił, że ostatnia jego godzina wybiła. Nie ludził się więc i narzekał tylko, że życie pełne przygód zaczyna go nużyć i że spokojnie umrze tam, gdzie św. Piotr i św. Paweł zginęli męczeńską śmiercią. Oburzyło go tylko, gdy Rienzi przed wykonaniem wyroku kazał go oddać na tortury, wyzywał wtedy swych oprawców, że są podłymi chamami, którzy nie umieją uszanować godności rycerza św. Jana. Ostatniego dnia wysłuchał mszy po raz ostatni, klęcząc z obnażonymi stopami, a następnie poszedł na miejsce stracenia, zapewniając obecnych, że nie miał przeciw Rzymianom żadnych złych zamiarów, lecz że celem jego było tylko ukarać zdrajcę Rienzego, który wkrótce zginie nędzną śmiercią. Kloc, na którym



miał położyć głowę, przeżegnał znakiem krzyża świętego, a gdy kat podnosił topór, zgromił go, że źle mu głowę ustawił i że szyja inaczej oparta być powinna. Rada dana oprawcy była dobrą, gdyż głowa za jednym cięciem odpadła. Kondotier został pochowany u Franciszkanów w kościele Ara Coeli, gdzie niejedyn już twardy leżał grzesznik.

Przepowiednia Montreala, że Rienzi wkrótce zginie haniebną śmiercią, niebawem się spełniła. Senator nie powrócił wprawdzie już pod Palestrinę, lecz wysłał tam swe wojsko, aby zdobyło i zniszczyło siedzibę Colonnów. Koszt tego przedsięwzięcia był wielki; Rienzi wyciskał więc z rzymskiego ludu, co się dało, nałożył nowe taksy na sól i na wino, czem wywołał przeciw sobie powszechne oburzenie, gdyż miasto było ubogie. Colonnowie korzystali z tych błędów senatora, aby przeciw niemu wywołać rewolucję, a rzecz była tak zręcznie prowadzona, że Rienzi nie wiedział o szerzącym się spisku i ufając w swą gwiazdę, nie przedsiębrał żadnych środków ostrożności. Spał na Kapitolu jak najspokojniej, gdy ósmego października r. 1354 obudził go nad ranem złowrogi okrzyk na ulicy »Popolo! popolo!« Zanim się mógł dowiedzieć, co te głosy znaczą, widać już było uzbrojone tłumy, wołające: »Śmierć Coli, śmierć tyranowi, zdrajcy, ciemniźcyelowi ludu!« Rienzi wyszedł czempredzej z sypialni, ale nie zastał ze swego otoczenia nikogo, prócz dwóch służących i krewnego, Locciola Pelliciaro. Tłum dobywał się już do zamkniętych drzwi pałacu, co słysząc Rienzi, porwał sztandar ludowy, wybiegł na balkon, chciał mówić, ale słowa jego przebrzmiały w powszechnym wrzasku i dzikim wyciu. Zaczęto rzucać na niego kamieniami i strzały z luków wypuszczać, tak że mu rękę zraniono, równocześnie zaś podkładano ogień pod bramę, znoszono smołę i oliwę, aby płomień podsycić. Rienzi się cofnął, a nie widząc wyjścia, kazał się spuścić swym wiernym służącym powrozami na tylną terasę pałacu, na którą wychodziły okna więziennych lochów. Ale i z terasy nie można się było dostać na ogrody; Rienzi biegał jak dziki zwierz w klatce od muru do muru, słuchając złorzeczeń i wycia więźniów, chcących kraty wyłamać. Aż nareszcie spadł do mieszkania



pałacowego stróża, zarzucił jakiś nędzny płaszcz na siebie, węglem twarz poczerzył, wziął materac na barki i wśród płomieni wyszedł na plac Kapitolu, udając, że jako prosty służący wynosi rzeczy, aby się nie spaliły. W ten sposób przecisnął się przez tłum i już był na dole kapitolinińskich schodów, gdy jakiś robotnik poznał go po złotych naramiennikach, które zazwyczaj nosił na rękach. Robotnik zatrzymał senatora, ludzie się zbiegli, a jakiś popolano, nazwiskiem Cecco del Vecchio, uderzył go silnie pięścią w brzuch, inny zaś z przybiegłych, notaryusz Freio, mieczem rozplatał mu głowę. Rienzi padł na kamienie bez życia, nie wydawszy nawet jęku. Dzika tłuszcza rzuciła się na swego niegdyś ulubieńca, deptała trupa, znęcała się nad nim, tak że bruk się zabarwił kałużą krwi, a kawały ciała i oderwana od tułowiu głowa wałały się w niej, potracane obuwie. Wreszcie zawleczono trupa bez głowy przed kościół San Marcello, który stał w pobliżu ówczesnego pałacu Colonnów, i za nogi powieszono na jakimś balkonie, a tłum w dzikim rozbestwieniu wywoływał nazwisko zwycięzców »Colonna! Colonna!«. Trzeciego dnia rozkazali Giugurta i Sciarretta Colonnowie przenieść trupa na Campo Augusta, a żydzi, którzy nienawidzili trybuna, sporządzili stos z węgla i spalili na nim resztki zwłok poszarpanych, tańcząc wokół i wydając okrzyki radości.

Zaraz po śmierci Rienzego tłum, zawsze skory do rabowania, wpadł do jego pałacu i powynosił stamtąd wszystko, co się wynieść dało. Pomędzy innymi sprzętami znaleziono w mieszkaniu trybuna zwierciadło stalowe z wyrytymi na niem dziwaczными figurami i napisami. Zwierciadła takie znajdowano w grobach etruskich i przypisywano im w średnich wiekach moc magiczną. Ponieważ zaś na nich można było zawsze odczytać wyraz »phlere«, podobny do łacińskiego »florus« i włoskiego »fiore«, więc tłómaczono sobie, że takie zwierciadło służyło do wywoływania ducha, którego zwano »Fiorone«, ducha dobrego, sprzyjającego ludziom. Nadzwyczajny wpływ, jaki Rienzi miał przez dłuższy czas na lud rzymski, zaczęto sobie teraz tłómaczyć posiadaniem owego zwierciadła i pomocą owego »Fiorona«. Wido-



cznie jednak tajemniczy przyjaciel opuścił Rienzego w ostatnich chwilach, a magiczne zwierciadło nie ochroniło go od tragicznej śmierci.

### VIII.

Papieże przebywali długie lata w Avignonie, od r. 1305 do 1376, zdawało się, że Rzym nie będzie już nigdy stolicą papieską. To też, gdy w r. 1376 Katarzyna Syeneńska wbrew wszelkim protestom francuskich kardynałów nakłoniła Grzegorza XI do powrotu do Rzymu, powstała we Włoszech nieopisana radość. Ale Francya nie dała się tak łatwo pozbawić swego avignońskiego papieża i gdy po śmierci Grzegorza XI wybrano w Rzymie w r. 1378 Urbana VI, Francuzi uważali go za nielegalnego naczelnika Kościoła. Mieli zresztą pewne pozory prawdy za sobą, gdyż Urban VI, Bartłomiej Prignano, stary arcybiskup z Bari, został wybrany pod naciskiem rzymskiego ludu, który podczas conclave obległ Watykan i zagroził wymordowaniem kardynałów, jeżeli nie wybiorą Włocha. Francuzi opierali się w swych zamiarach przeniesienia ponownie stolicy papieskiej do Avignonu nie tylko o króla Francyi, lecz nawet o niektóre włoskie rody, a mianowicie Gaetani w porozumieniu z królową neapolitańską Joanną pracowali nad unieważnieniem wyboru Urbana VI.

Miasteczko Fondi, na pograniczu rzymskich i neapolitańskich posiadłości, stało się ogniskiem najsmutniejszego ruchu, jaki od wieków zapanował w katolickim Kościele, stamtąd bowiem wyszła wielka szyzma, która trwała od roku 1378 do 1417. Pod opieką Gaetanich, właścicieli Fondi, zebrali się tam kardynałowie, nieuznający wyboru Urbana VI, i narzucili katolickiemu światu drugiego papieża, Roberta z Genewy, który pod imieniem Klemensa znów osiadł w Avignonie. Odtąd, przez lat trzydzieści dziewięć, rozdzierało po dwóch, a nawet po trzech papieży jedność katolickiego Kościoła, nie troszcząc się o dobro religii, lecz o własną korzyść, przeciągając każdy na swoją stronę jak najwięcej zwolenników.













Marcin V.

Według ryciny w księdze: O. Panvinii XXVII Pontificum elogia. Romae 1568.







Wreszcie na koncylium w Konstancyi zgodzono się po długich intrygach i walkach 28 listopada 1417 na jednego papieża, a z wyboru wyszedł kardynał Oddo Colonna, jako Marcin V.

Świat katolicki był do ostateczności znękanym szyzmą, wojnami i niesnaskami, które wskutek niej powstały, więc radość z powrotu jedności w Kościele była niezmierną tak, iż na wiadomość o zgodnym wyborze Marcina V »ludzie za ledwie mówić mogli z uciechy«. Marcin miał lat czterdzieści dziewięć, był zatem w sile wieku, a okoliczność, iż należał do najpotężniejszego rodu rzymskiego, dawała rękomię, że potrafił ład zaprowadzić w stolicy Kościoła. Nie był on pierwszorzędnym talentem, jak Grzegorz IX, Innocenty III albo później Juliusz II, ale posiadał wiele energii, zdrowego rozsądku i dobrej woli, aby po długoletniem rozprzężeniu uspokoić świat chrześcijański i podnieść Rzym do wysokości stolicy chrześcijańskiego świata. Znany był zresztą jako człowiek w postępowaniu swem umiarkowany, gładki i ujmujący w obejściu, nie lubił zbytku, słynął z nieskazitelnych obyczajów, co nie o wielu kardynałach można było powiedzieć. Fakt zresztą, że w tem gnieździe szerszeni, jakim był synod ówczesny, potrafił na siebie zgromadzić znakomitą większość głosów, dowodzi, iż miał niepospolite zalety. Portret papieża, przechowany w galeryi Colonnów, nie przedstawia nam człowieka o sympatycznej powierzchowności, czoło zanadto ścięte, nie znamionowałoby wielkiej inteligencji, ale natomiast oko żywe nadaje twarzy pewien wyraz przenikliwości i silnej woli. Zresztą ród Colonnów nie odznaczał się pięknymi postaciami, a rozbity na różne gałęzie, nie miał wspólnego rodzinnego typu.

Marcin V uważał za konieczne utrwalić siedzibę papieską w Rzymie, jako odwiecznej stolicy chrześcijaństwa, nie uległ też ani namowom posłów cesarza Zygmunta, aby stolicę Kościoła przenieść do jednego z miast niemieckich, ani folgował życzeniom Francuzów, aby zamieszkać w Avignonie. Powrócić do Rzymu stało się jego głównem dążeniem. Ale Rzym i papieskie państwo trzeba było dopiero zdobywać: tylu niepowołanych zagnieździło się tam władców.



Samą stolicę i Benewent zagarnęła królowa Joanna z Neapolu, Bologna urządziła się jako samodzielna rzeczpospolita, resztę papieskich posiadłości porozdzielały pomiędzy siebie rzymskie rody, a Braccio, jeden z najdzielniejszych kondotierów, zajął prawie połowę Włoch środkowych. Papież więc, opuściwszy Konstancję, nie mógł udać się wprost do Rzymu, lecz zatrzymał się kilka miesięcy w Mantui, a dłuższy czas we Florencyi, aby się ułożyć z królową Joanną i z różnymi dynastami o odzyskanie posiadłości Stolicy Apostolskiej. Rzeczy poszły łatwiej, aniżeli się spodziewać było można. Neapol uważano zawsze jako państwo, podlegające papieskiemu zwierzchnictwu, a królowej Joannie bardzo na tem zależało, aby Marcin V prawa jej do panowania w Neapolu uznał, inwestytury udzielił i zezwolił na koronację. Papież chętnie się zgodził na żądania królowej, wysłał kardynała legata Morosiniego, aby dopełnił w jego imieniu aktu koronacyjnego, a królowa nawzajem zobowiązała się pomagać Marciniowi w odzyskaniu papieskich posiadłości i wycofać swoją załogę z Rzymu. Co więcej, Joanna przyznała Colonnom nadzwyczajne uposażenia, które, rzec można, w dwójnasób wzmocniły potęgę tego rodu. Nadała bratu papieskiemu, Giordanowi, księstwo Amalfi i Venosy, tudzież księstwo Salerno z olbrzymimi posiadłościami; drugi brat papieża, Lorenzo, otrzymał hrabstwo Alba w Abruzzach, a stryjecznego brata Marcina obdarzyła królowa hrabstwem Celano i uwolniła posiadłości Colonnów od wszelkich danin i podatków. Mówiono nawet, że Joanna, nie mając spadkobierców, przyobiecowała papieżowi, że jednego z jego nepotów przeznaczy na swego następcę w królestwie neapolitańskim. Plany te wszakże musiały się później rozbić, skoro Joanna adoptowała w r. 1420 syna Alfonsa Aragońskiego w zamiarze oddania mu panowania nad Neapolem. Owe donacje królowej miały wielki wpływ na późniejsze losy rodziny Colonnów; posiadając bowiem liczne dobra nie tylko w obrębie papieskiego państwa, lecz także w Neapolu i w Sycylii, nie byli Colonnowie bezwzględnie zależnymi od Stolicy Apostolskiej, a posiadłości ich na południu zbliżyły ich później do hiszpań-



skich monarchów i ułatwiały im prowadzenie tradycyjnej gibellińskiej polityki.

Upewniwszy się co do posiadania Rzymu, Marcin V zaczął się układać z kondotierem Bracciem. Była to trudniejsza sprawa. Kondotier zawsze nieprzyjaźnie występował przeciw Stolicy Apostolskiej, a chcąc jako tako usprawiedliwić zagarnianie ziem papieskich, utrzymywał, że namiestnik Chrystusa nie powinien mieć żadnych posiadłości i odgrażał się, że zmusi Marcina V, aby jak mnich żebrzący odprowadzał msze za jednego bajocca. Gdy jednak kondotier się przekonał, że potęga papieża się wzmacza, stał się mniej butnym i wszedł w układy, które bardzo korzystnie wypadły dla Marcina V. Nie czując się bowiem dość bezpiecznym w posiadłościach bezprawnie nabytych, zgodził się na przyznanie sobie tytułu wikaryusza Kościoła i na zatrzymanie Perugii, Asyżu, Todi i Jesi tytułem lenna, nadanego przez papieża, inne zaś zabory zwrócił Stolicy Apostolskiej. Co więcej, obiecał, że w imieniu Marcina V zniesie republikę w Bolonii i zaprowadzi tam papieskie rządy. Zobowiązania tego dokonał i Bolonia chwilowo przynajmniej poddała się. Braccio di Montone umarł niebawem, w czerwcu 1424, co uwolniło Marcina V od wasala, któremu nie można było dowierzać. Po śmierci kondotiera poddały się papieżowi Perugia, Asyż, Jesi i Todi, a za ich przykładem poszły później inne miasta Umbryi i Romanii, zrzucając jarzmo małych tyranów i szukając dobrowolnie opieki coraz to silniejszej Stolicy Apostolskiej.

Już po układach z królową Joanną miał papież otwartą drogę do Rzymu, a po jednorocznym przeszło pobycie we Florencyi mógł 9 września 1420 wybrać się do swej stolicy. Ale ta stolica strasznie wyglądała; jeszcze Rienzi, powróciwszy z Avignonu, pisał do jednego ze swych znajomych, że Rzym podobniejszy do jaskini rozbójników, aniżeli do wielkiego miasta. Ulice były zavalone gruzami i nieczystościami, w wybojach potworzyły się bagna, wydające zabijające wyziewy, na murach i dachach rosły chwasty i krzewy, a na Palatynie pasły się konie i kozy. Kościoły z pozapadaniem sklepieniami zamieniono na stajnie dla bydła, nawet do bazyliki św. Piotra i do Lateranu zaganiaли pasterze na



noc kozy i owce. Wilki tak się rozmnożyły w Kampanii, że w nocy podchodziły do ogrodów watykańskich, a na cmentarzu, położonym koło św. Piotra, wygrzebywały trupy z grobów. Ludność w strasznej opuszczeniu, przeniesienie stolicy papieskiej do Avignonu bezmierną stało się klęską dla miasta, które dawniej żyło tylko z dworu papieskiego i cudzoziemców. Gdy papież wjeżdżał 28 września 1420 do Rzymu, witało go trochę szlachty i lud nędzny, w łachmanach, jakby gromada żebraków. Tłum płakał z radości, był to bowiem od lat stu dwudziestu dziewięciu pierwszy papież Rzymianin, papież, po którym spodziewano się odrodzenia miasta.

Marcin V zamieszkał na razie w rodzinnym zamku obok kościoła SS. Apostoli, a w dzień ingresu rzucano z okien pałacu według starego zwyczaju kury i kurczęta pomiędzy lud, który na placu staczał boje o tak niezwykle dary. Jak nisko w ciągu średnich wieków upadło poczucie tego, co się godzi, a co się nie godzi, tego dowodzi dość dziwaczny zwyczaj. W kościele ŚŚ. Apostołów zawieszano w czasie jednego ze świąt prosię na sznurach, przymocowanych do chóru. Prosię wisiało na wysokości człowieka, a zgromadzeni wierni starali się przywłaszczyć sobie kwiczące zwierzę. Ale rzecz nie była tak łatwa; kto się bowiem zbliżył do prosięcia, tego oblewano zewsząd konewkami zimnej wody. Najwytrzymalszy na taką kąpiel zwyciężał i unosił zdobycz. Colonna wie musieli dawać prosię.

Z niezwykłą energią zabrał się Marcin V do zorganizowania gminy rzymskiej, pozostawiając jej wprawdzie autonomię w wewnętrznym zarządzie, ale zacierając wszelkie ślady niezależności politycznej, do której Rzym rościł sobie prawa. Szczególnie dbał papież o uporządkowanie miasta; gruz i błoto z ulic kazał powywozić, własnym kosztem naprawiał dachy i mury walących się bazylik; na samo pokrycie kościoła św. Piotra wydał 50 tysięcy florenów, a prócz tego wznosił tam na nowo rozwalony portyk. W gorszym jeszcze stanie, aniżeli św. Piotr, znajdowała się Lateraneńska bazylika, trzeba ją było prawie na nowo odbudować; papież kazał tam zrobić przepyszną, kasetonowaną powałę, ułożyć



nową posadzkę, do której użyto tafli z granitu, porfiru i serpentynu, znalezione w odleglejszych kościołach, leżących w gruzach, a gdy już mury były gotowe, powołał do ozdobienia ich freskami umbryjskiego malarza, Gentila da Fabriano, a później i Vittora Pisanella. Marcin V nie skąpił funduszków, sownie nagradzał znakomitych artystów, a sam Fabriano otrzymywał rocznie 300 guldenów w złocie, równających się dzisiaj 15.000 franków. Freski w Lateranie przedstawiały sceny z życia św. Jana Chrzciciela, a Rogier Van der Weyden, który był w Rzymie w roku jubileuszu 1450, widział je jeszcze w całej świetności i sądząc po nich, uważał Gentila da Fabriano za najznakomitszego włoskiego malarza. Niestety, freski te wskutek wilgoci bardzo prędko niszczały. Papież sprowadził do Rzymu także Masaccia, twórcę fresk kaplicy Brancacci, i kazał ozdobić jego obrazami kościół S. Maria Maggiore. Dwa z tych obrazów: Madonnę i papieża Liberyusza, który kreśli na śniegu plan owej bazyliki, posiada dotąd muzeum neapolitańskie, a ostatni obraz jest tem cenniejszy, że według tradycyi przedstawia samego Marcina V pod postacią papieża Liberyusza. Także mury miasta, bramy i mosty na Tybrze, w znacznej części porozwalane, kazał Colonna odrestaurować i dla siebie wznieść pałac na gruntach rodzinnych przy kościele Santi Apostoli, gdzie prawie zawsze już mieszkał. Na letni pobyt wybudował sobie potężne zamczysko w pobliżu Palestriny w malowniczym Genazzano, skąd się roztaczał przepyszny widok.

Od początku panowania wszakże, od owych układów z królową Joanną, jednym z głównych zadań papieża było wzbogacenie swojej rodziny i wzmocnienie jej wpływu. Marcin V wiedział, że prawdziwe oparcie, osobiwie wobec innych dynastów rzymskich, może mieć tylko w Colonnach, postępował więc tak, jak Bonifacy VIII. Przyznać jednak trzeba, że nepotyzmu we właściwym tego słowa znaczeniu nie zaprowadził, a krewnym swym nie powierzał w Rzymie wysokich godności. Kardynałem mianował tylko jednego członka swojej rodziny, Prospera Colonnę, człowieka bardzo wykształconego, zbieracza cennych ksiąg, wielkiego protektora humanistów. Zresztą z rzadką bezstronnością postępo-



wał przy mianowaniu kardynałów i wyniósł na tę godność tak rozumnych i zasłużonych ludzi, jak Giuliano Cesarini, Capranica i Antonio Correr. Natomiast we wszelki godziwy sposób starał się powiększać majątności Colonnów, nabywał dla nich dobra w górach Albańskich, na stokach gór Sabińskich, nad morzem, nawet na prawym brzegu Tybru, wogóle, gdziekolwiek nadarzyła się sposobność zdobycia ziemi i zamków. W ten sposób przybyły Colonom za panowania Marcina V Ardea, Marino, Paliano, Frascati, Pietra Porcia, Rocca di Papa w okolicach Rzymu, nad morzem Nettuno, Astura, która dawniej należała do Frangipanich, Barsanello w dolinie Tybru, Soriano koło Viterbo, oprócz mnóstwa pomniejszych majątności. Aby zapewnić swej rodzinie trwałą podstawę po wieczne czasy, ufundował rodzaj fideikomisu, który miał być administrowany wspólnie przez głównych członków rodu. Na ten fideikomis składały się dobra Genazzano, Cavi, Olevano, Capranica, Palvano, Serrone i kilka innych.

Takie wzmaganie się potęgi Colonnów zaniepokoiło inne rycerskie rody, a osobliwie możnych zawsze Orsinich, tak że papież, chcąc załagodzić ich gniewy, wydał swoją synowicę Annę za Gianantonia Orsiniego, księcia Tarentu, a na Bracciano udzielił Orsinim inwestytury.

Lud rzymski nie brał za złe Marcinowi V tego podnoszenia własnego rodu, gdyż pierwszy raz od wieków czuł nad sobą opiekę papieskiej władzy. Rycerskie rody przestały się trudnić rozbojami, bezpieczeństwo wzrastało, a chociaż słowa jednego z kronikarzy, »że wówczas z garścią złota w ręku można było chodzić w okolicach Rzymu, nie obawiając się bandytów«, należy uważać za przesadę, to przecież nie ulega wątpliwości, że niebывały porządek zapanaował wtedy w papieskiem państwie. Zaufanie do rządów Marcina wzrosło tak dalece, że cudzoziemcy z daleka garnęli się do Rzymu, aby tam szukać zarobku. Osobliwie gromady Niemców, rzemieślników, kupców, osiedlały się w Rzymie, aby korzystać z tego, że tamtejsza ludność zatraciła wszelką tradycję rzemieślniczej i kupieckiej pracy. Zjawisko to zawsze się powtarzało w dziejach Rzymu, że ilekroć zapanaowały tam stosunki sprzyjające pracy, zawsze całe sze-



regi Niemców szły na Południe, aby sprzedawać swój towar i swoją rzemieślniczą zręczność. Więc też za Marcina V zaroilo się w Rzymie od Germanów, a nad botegami wekslarzy, tkaczy, złotników, zegarmistrzów, kowali, piekarzy, szewców, krawców, rymarzy, a nawet cyrulików i balwierzy widać było niemieckie nazwiska, w urzędach nawet Kuryi apostolskiej pracował cały legion północnych przybyszów. Większa część niemieckich rzemieślników miała własne cechy, później zaś, za Eugeniusza IV i Piusa II, prawie wszyscy właściciele większych gospód i restauracyi byli Niemcami, a za Leona X zobaczymy, jak wielki wpływ mieli niemieccy bankierzy.

Marcin V miał tyle do czynienia w Rzymie i w państwie papieskiem, tak go zresztą zajmowała wielkość rodziny, że nie spełnił w zupełności tych nadziei, jakie przywiązywano do jego wyboru podczas koncylium w Konstancyi, a mianowicie za mało uczynił, aby przeprowadzić reformę Kościoła. Wzrok jego opiekuńczy nie obejmował całego chrześcijaństwa, lecz głównie ograniczał się na horyzont włoski; papież był przedewszystkiem roztroprnym i przezornym u siebie gospodarzem, któremu głównie chodziło o przywrócenie i uporządkowanie papieskiego państwa. Zaprzeczyć się też nie da, że troska Marcina V o wzmocnienie politycznej potęgi Stolicy Apostolskiej i o jej wzbogacenie przygłuszała przez długie lata jego właściwe powołanie, a mianowicie podniesienie moralności ludów i duchowieństwa. Pastor przytacza na potwierdzenie tego zapatrywania opinię kardynała Egidiusza z Viterbo, który w swej »Historia viginti saeculorum« podniósł szkody, jakie wybudowanie świeckich tendencyi papiestwa przyniosło Kościołowi. Dodać wreszcie należy, że ponieważ Marcin V na przywrócenie potęgi państwa papieskiego nadzwyczaj dużo potrzebował pieniędzy, więc starał się z ludów chrześcijańskich jak najwięcej wyciskać dochodów, a opinia, że na dworze papieskim nie można nic uzyskać, jeżeli złota brakło w sakwie, stała się za niego powszechną. Giacolino da Isco pisał w r. 1429, że »in corte de Roma cum el danaro se obtene, quello se vole intieramente«. Zasługi Marcina V głównie do Włoch się odnoszą; jeżeli go więc nazwano »szczęściem swego czasu«, »temporum suorum feli-



citaz», to owo szczęście skąpo tylko przyświecało poza Alpami. Sam fakt wszakże, że był już jeden papież, jedna głowa Kościoła i z Marcinem V zakończyła się szyzma, wiele się przyczynił do uspokojenia ludów. Trudno więc spierać się z dawnym kronikarzem, który o nim powiedział: »Intravit mirifice, rexit utiliter, obiit sancte«, wybór jego bowiem był rzeczywiście cudownym wobec niezgody, jaka panowała wówczas w chrześcijańskim świecie, rządził pożytecznie dla Rzymian, a czy umarł jak święty, o tem sądzić nie naszą rzeczą. Umarł 20 lutego 1431, tknięty apopleksją, a żał w Rzymie miał być za nim wielki. Pochowano Marcina V w Lateraneńskiej bazylice, a Antonio Filarete i jeden z uczniów Donatella, Simone di Giovanni Ghini, wykonali jego pomnik z bronzu.

## IX.

Na rzymskiej Maremmie, w małym, niezdrowym miasteczku Corneto, słynnym ze swej etruskiej nekropoli, istnieje opuszczony, niegdyś wspaniały pałac, wystawiony około roku 1440 przez Giovanniego Vitelleschiego, kardynała kondotiera, dzikiego prałata, jak go nazywano. Pałac mieścił do niedawna zwykłą osteryę, a gdy się do niej wchodziło, zwracano uwagę cudzoziemca na marmurowe odrzwia, pochodzące z katedry w Palestrinie i chelpiono się, że i kościół tamtejszy posiada dzwon z siedziby Colonnów, a co więcej, relikwie św. Agapita Prenestina. Jakim sposobem te odrzwia i relikwie dostały się z gór Sabińskich aż na północną Maremmę? Znowu stoimy tutaj wobec jednej z tych tragedyi, przez które przechodziła Palestrina.

Następcą Marcina V był Eugeniusz IV, mnich wenecki, Gabryel Condulmieri, człowiek cnotliwy, pobożny, ale bardzo surowy, który nie mógł swemu poprzednikowi darować, że z krzywdą Kościoła wzbogacał swych krewnych. Nowy papież przedsięwziął zaraz po wstąpieniu na Stolicę Apostolską najsurowsze kroki przeciw Colonom, których uważał za naturalnych nieprzyjaciół Kościoła. Z podmowy Orsinich roz-



kazał im, aby zwrócili Kuryi rzymskiej dobra Soriano, Genazzano, Rocca di Cavi i Marino, nabyte za kościelne fundusze, tudzież klejnoty i pieniądze, które w czasie śmierci papieża znajdowały się w jego pałacu. Gdy zaś Colonnowie tego rozkazu nie usłuchali, wystąpił prokurator papieski na publicznym konsystorzu z obwinieniem, że kardynał Prospero, tudzież Antonio i Odoardo Colonnowie przywłaszczyli sobie kosztowne sprzęty, ubiory, klejnoty, dobra i pieniądze, należące do skarbu papieskiego, i zawezwał ich przed sąd celem usprawiedliwienia się, grożąc im klątwą i konfiskatą dóbr. Kardynał Prospero nie czekając na wytoczenie sprawy, uciekł czempredzej z Rzymu, a Stefano Colonna z Palestriny, zamiast stawić się przed apostolski trybunał, połączył się z kondotierem Nicolem della Stella, zwanym Fortebracciem, który był przez jakiś czas w służbie Eugeniusza IV, ale z powodu niezapłaconego żołdu chciał najechać papieskie posiadłości. Colonnowie nie znaleźli jednak na razie oparcia w rzymskiej ludności, a gdy nadto Stefano został w roku 1433 zamordowany przez swego synowca Salwatora z Genazzano, udali pokorę i zawarli pokój z papieżem. Eugeniusz IV obiecał im darować wszelkie winy, jakich się przeciw niemu dopuścili, zdjął z nich interdykt i zdawało się, że na dłuższy czas pokój zapanuje w Kampanii. Pokorą wszakże chcieli Colonnowie uzyskać tylko zawieszenie broni, aby się do walki z Eugeniuszem tem lepiej przysposobić; potajemnie więc porozumiewali się z Fortebracciem, buntowali lud i przygotowywali napad na Rzym.

Rewolucya wybuchła w roku 1434; lud zdobył Kapitol, uwięził kardynała Franciszka Condulmieri, papieskiego siostrzeńca, i ogłosił rzeczpospolitą. Eugeniusz IV był w wielkiem niebezpieczeństwie, 29 maja otoczono jego rezydencyę; uratował się tylko ucieczką, przebrał się za mnicha z Monte Cassino, dopadł barki na Tybrze i z kilkoma wiernymi zdołał odbić od brzegu. Lud go spostrzegł, rzucał kamieniami za odpływającym, ale papież leżał na dnie barki, przykryty tarczą żelazną, tak że nie poniósł żadnego szwanku i mógł się schronić do Ostyi, następnie do Liworna, a wreszcie do Flo-



rency, gdzie przez dłuższy czas mieszkał w klasztorze S. Maria Novella.

Tymczasem w Rzymie objęło rządy siedmiu »Signorów« wybranych z flumu, którzy mieli na celu raczej wzbogacenie się, aniżeli uszczęśliwienie społeczeństwa, skutkiem czego powstała najzupełniejsza anarchia, tak że niebawem całe miasto pragnęło powrotu papieża. Eugeniusz, nauczony smutnem doświadczeniem, obawiał się jednak powrócić do stolicy i wysłał najprzód biskupa z Recanati, Giovanniego Vitelleschi, aby zaprowadził porządek w kościelnem państwie.

Vitelleschi był niezwykle osobistością. Rodem z Corneto, służył za młodu w szeregach kondotiera Tartaglii, ale później sądząc, że prędzej dojdzie do majątku i honorów w hierarchii kościelnej, aniżeli w kondotierskim obozie, został księdzem. Posiadał wszelkie ku temu warunki, aby być hersztem zbójckiej bandy, a nie duchownym. Zdobywszy sobie chytrą i przebiegłą biskupstwo w Recanati, pozostał pomimo kościelnej szaty tem, czem był dawniej w żelaznej zbroi, odważnym, bezwzględnym, okrutnym nawet żołnierzem, człowiekiem, który mowę na to tylko uważał za potrzebną, aby nią własne osłaniać myśli. Otoczenie drżało przed nim, nikt bowiem nie mógł przeniknąć jego zamiarów i nikt zaufać jego słowom. Zebrawszy sporo wojska, rozpoczął walkę z nieprzyjaciółmi państwa kościelnego nie od Colonnów, lecz od Giacoma de Vico, ostatniego potomka tego rodu, w którym dziedziczną była prefektura Rzymu. Vicowie jednak na to tylko byli prefektami, *Almae urbis praefecti*, aby zdzierać miasto, kiedy mieli władzę, a znikać w swych zamkach, kiedy im od papieży albo od ludu groziło niebezpieczeństwo. Vitelleschi obległ Giacoma w jego gnieździe Vetralla, a zdobywszy je, kazał ostatniego Vica postawić przed sąd doraźny i ściąć mu głowę. Papież zamianował prefektem miasta Franciszka Orsiniego, a Vitelleschiemu nadał za owe usługi godność patriarchy aleksandryjskiego i dochody arcybiskupstwa florenckiego. Odtąd zwał się Vitelleschi patriarchą.

Tymczasem Colonnowie, chcąc odwrócić grożące im niebezpieczeństwo, połączyli się w r. 1436 z hrabią Antonim



da Pontedera, kondotierem stojącym na czele 2600 awanturników, który, wspierany nadto przez Savellich i Gaetanich z Fondi, zajął Kampanię i zagrażał Rzymowi. Przeciw temu nieprzyjacielowi wyruszył Vitelleschi ze znacznym oddziałem wojska, pobił go w bitwie pod Sezze, wziął w niewolę i na miejscu kazał powiesić. Tego samego dnia, kiedy biskup walczył pod Sezze, Lorenzo Colonna z Palestriny pustoszył pola i winnice w okolicy Sant' Agnese, zabrał kilkudziesięciu ludzi w niewolę i zajął sporo bydła, należącego do rzymskich mieszczan. Nie przypuszczał, że Pontedera będzie pobity; więc dowiedziawszy się o jego klęsce, czem prędzej wrócił do Palestriny, obawiając się, aby jej Vitelleschi nie ubiegł i nie zdobył. Ale nad Palestriną zawisło smutne przeznaczenie; wojowniczy biskup znalazł się wkrótce pod jej murami, a po kilkutygodniowym oblężeniu zdobył 18 sierpnia 1436 zamek tak szybko, że Lorenzo Colonna zaledwie zdołał uciec do Terraciny, zabrawszy ze sobą wszystkie kosztowności. Zemsta Vitelleschiego nad Colonnami była chyba jeszcze straszniejsza, aniżeli vendetta Bonifacego VIII; wysłał on do Palestriny dwunastu majstrów murarskich, po jednym z każdej dzielnicy Rzymu, aby przybrawszy sobie potrzebnych robotników miasto Colonnów spalili, mury porozwalali i domy z ziemią zrównali. Vitelleschi kazał zburzyć nawet katedrę, którą Bonifacy VIII oszczędził, a cenne z niej marmury, dzwony i relikwie kazał przewieźć do swego rodzinnego Corneto, gdzie się do dziś dnia przechowały.

Vitelleschi uspokoił Kampanię pożogą, zagasił namiętności strumieniami krwi, a ludność rzymska, znękana i pragnąca spokoju, witała go jak tryumfatora, senat uchwalił postawić na Kapitolu jego konny pomnik z marmuru i wyrycić pod nim napis: »Giovanniemu Vitelleschiemu, trzeciemu po Romulusie ojcu miasta Rzymu«. Dawny kondotier stał się wielkim i, jak się zdaje, marzył w cichości o papieskiej tyarze. Na odpoczynek udał się do Corneto, gdzie począł stawiać wspinały pałac, jeden z najpotężniejszych, jakie w owych wiekach we Włoszech powstały, i zakładać przy nim ogrody, które w kilkadziesiąt lat później wzbudzały podziw całego półwyspu.



Ale Eugeniusz IV nie dał spocząć swemu dowódcy, gdyż miał jeszcze dalsze plany wojownicze; mianowicie w sporach o tron neapolitański stanął po stronie Andegawczyków przeciw Aragonom, którzy się łączyli z nieprzyjaciółmi papieskiego państwa. Żelaznym ramieniem papieża był znów Vitelleschi, który z neapolitańskich bojów, nie zawsze dlań szczęśliwych, przyprowadził jako więźnia jednego z najgroźniejszych wrogów Eugeniusza, Antonia Orsiniego, księcia Tarentu. Papież tak się ucieszył tą zdobyczą, że wyniósł Vitelleschiego 9 sierpnia 1437 do kardynalskiej godności. Nominacya wszakże człowieka krwią zbroczonego oburzyła większą część świętego kolegium tak dalece, że kardynał Capranica, wielce światły i zacny kapłan, wystąpił przeciw niej z protestem. Eugeniusz nie zważał na protesty, a ponieważ jedna jeszcze siedziba Colonnów w papieskiem państwie, Zagarolo, w której się zamknął Lorenzo, mogła się opierać papieskiej władzy, więc jeszcze przeciw niej kazał wyruszyć Vitelleschiemu. Krwawy kardynał wywiązał się i tym razem świetnie ze swego zadania, zdobył Zagarolo, zrównał je z ziemią podobnie, jak Palestrinę, i podbił całą okolicę aż po Civitavecchię. Papiestwo odniosło niewidziane wojenne tryumfy, Vitelleschi stał się dyktatorem w Rzymie, rządził tam z niesłychaną surowością i zaprowadził ład zupełny. Ponieważ część miasta koło Watykanu, civitas Leonina, była zupełnie wyludnioną i opuszczoną, więc dyktator chwycił się środka, którego już użył Romulus, i dał prawo przytułku zbrodniarzom, którzyby się tam osiedlili — śmiały krok, aby zbrodniczą ludność osadzać w najbliższem sąsiedztwie Watykanu i bazyliki św. Piotra.

Vitelleschi stanął jednak za wysoko, w Eugeniuszu musiała się obudzić obawa, aby ten dyktator-kardynał nie chciał sięgnąć po papieską tyarę. Wszak szyszma w świeżej jeszcze była pamięci. Papież miał wprawdzie wiernego kasztelana w zamku św. Anioła, Antonia Rido, ale w ręku Vitelleschiego był cały Rzym i papieskie państwo. Kardynał stał się niebezpiecznym. Włosi jednak Odrodzenia umieli się zrećźnie pozbywać takich przyjaciół, którzy się za wysoko wzbijali. I Vitelleschiego podobny los spotkał w chwili, kiedy wyruszał



na wojenną wyprawę do Umbry i przeglądając swe hufce, które przechodziły przez most św. Anioła, rozmawiał z Ridem. Gdy się już ostatni oddział wojska o kilkadziesiąt kroków oddalił, Rido niespodziewanie ujął konia Vitelleschiego za wodze i silnem szarpnięciem chciał go pociągnąć ku otwartej bramie zamkowej. Kardynał dobył miecza i bronił się dzielnie; ale otrzymawszy trzy rany, zsunął się z konia, a żołnierze Rida szybko przybiegli, zanieśli go do zamku i most spuścili. Gdy ludzie kardynała spostrzegli, co się stało, chcieli szturm przypuścić do zamkowej bramy; ale Rido kazał im przeczytać pismo papieskie, nakazujące uwięzienie Vitelleschiego, wobec czego zaniechali wszelkich nieprzyjaznych kroków.

W kilkanaście dni później kardynał już nie żył, zginął, jak się zdaje, od trucizny. Papież, zostawszy świeckim księciem, musiał się tych samych chwytac środków celem utrzymania swej władzy, jakimi się posługiwali wówczas wszyscy panujący. Jedno złe pociągało za sobą drugie. Rzymskie rycerskie rody, a głównie Colonnowie stali się powodem, że papieństwo, chcąc istnieć, musiało dążyć do założenia własnego państwa, inaczej bowiem byłoby zależnem od rozbójniczych dynastów. Państwo to tworzyło się właśnie w czasach, kiedy powstawały włoskie tyranie, przybrało więc właściwości owych tyranii. Innej możliwości nie było.

Gdy Vitelleschi spełnił zadanie powierzone mu przez Eugeniusza IV i Rzym i Kampanię uspokoił, mógł papież zamieszkać w stolicy i zawładnąć państwem. Jeszcze siedm lat życia pozwoliło mu utrwalić swą udzielnosc. Colonnowie musieli się ugiąć na chwilę i odłożyć zemstę na później, czekając na śmierć papieża. Eugeniusz umarł 23 lutego 1447, a w conclave, które się w Rzymie zebrało, znów ważną rolę odgrywał jeden z ich rodu, kardynał Prosper Colonna. Powszechnie nawet mniemano, że Prosper będzie wybrany papieżem, ale stało się inaczej i spełniło się rzymskie przysłowie, że »kto jako papież wchodzi do conclave, opuszcza je jako kardynał«. Ludność tak dalece była przekonana, że z wyboru wyjdzie Colonna, że gdy Prospero jako pierwszy dyakon zbliżył się do okna, aby ogłosić nazwisko nowego



papieża, tłum nie słysząc tego nazwiska, a będąc pewnym, że papieżem został Prospero, ruszył zaraz do pałacu Colonnów, aby według zwyczaju rabować mieszkanie wybranego. Orsini widząc to, a obawiając się wybuchu zbyt radosnych namiętności w stronnictwie Colonnów, zaczęli czem prędzej barykadować swe pałace, oczekując co chwila nieprzyjacielskiego napadu. Fałszywa wieść prędko się wyjaśniła, a lud dowiedziawszy się, że papieżem został kardynał boloński, Tommaso Parentucelli i że przybrał imię Mikołaja V, zwrócił się do jego pałacu, aby tam rabować. Ale u spokojnego, poważnego uczonego nie było nic do wyniesienia, albowiem Parentucelli żył bardzo skromnie i prawie ubogo miał urządzone mieszkanie.

Mikołaj V, umysł wytrawny, rozważny, starał się przede wszystkim uśmierzyć jątrzące społeczeństwo namiętności, a przypisując winę wewnętrznym rozterek w znacznej części gwałtowności charakteru swego poprzednika, ułagodził zaraz Colonnów, zdjął z nich klątwę, zwrócił bullą z 24 kwietnia 1447 zabrane im dobra, a chcąc sobie ten potężny ród zjednać, nadał mu rozmaite przywileje, pomiędzy innymi prawo bicia monety, które dawniej Colonnowie mieli za Ludwika Bawarskiego.

Tak więc ród Colonnów stał znowu silny, gotów, jak zawsze, do dalszych walk z papieżami, pomimo że ciosy, jakie mu zadał Eugeniusz IV, osłabiły już na wieki jego dawną potęgę.

---



## ROZDZIAŁ DRUGI.

### NAJAZD HUMANISTÓW.

#### I.

Ex Florentia lux, z Florencyi rozchodziło się światło po całych Włoszech; jałowy, ugięty Rzym umiał tylko wapno wypalać ze starożytnych łuków tryumfalnych i obronne wieże stawiać z ciosów, branych z Colosseum. Pietro Paolo Vergerio zapewnia, że jeszcze w pierwszej połowie XV wieku mnóstwo ludzi w Rzymie uważało pracę uczonego za niehonorowe zajęcie.

Inny duch panował nad Arnem. Zdawało się wprawdzie przez jakiś czas, że po Dantem, po Boccacciu i Petrarce literatura już tylko niedokrewnych potrafi wydawać epigonów; ale geniusz narodowy tak głęboko wcielił się w toskańską ludność, że umysły tamtejsze nie znały już spoczynku i coś nowego tworzyć musiały, a jeżeli nie mogły doścignąć wielkich poetów, to naukowymi swymi pracami kładły podstawy pod nową kulturę.

We Florencyi dojrzał humanizm. W tej stolicy nauki, którą humaniści nazywali »mieszkaniem bogów« i »matką wszelkiej cnoty«, zaczęto zrywać pęta, któremi była dotąd skrepowana klasyczna wiedza, tam się objawiła dusza starożytnych nowym społeczeństwom. Humanisci stali się pośre-



dnikami pomiędzy pogańskim a chrześcijańskim światem. Wieki średnie zatraciły poczucie starożytnej kultury, pomimo że były w posiadaniu wielu dzieł greckich i łacińskich. Nie rozumiały wszakże dawnej myśli, utopiwszy ją w scholastycznych formach, w dziwnym symbolizmie i w mistycznych mrzonkach. Szlachetnej, pięknej prostoty, jaka tkwiła w starożytnej literaturze, wieki średnie nie pojmowały. Zresztą ludzie owych czasów, mało ceniąc greckich i rzymskich autorów, nie starali się oczyścić ksiąg po nich pozostałych z rozmaitych dodatków i barbaryzmów przepisywaczy, którzy po swojemu »poprawiali« albo nawet dowolnie zmieniali pierwotne teksty. Ową spuściznę literacką trzeba było zatem doprowadzić do pierwotnego stanu.

Średnie wieki były wogóle pozbawione wszelkiego zmysłu krytycznego tak wobec zjawisk przyrody, jak i wobec historii. Uczucie wiary było tak wkorzenione w ówczesne społeczeństwo, że wierzone nie tylko w to, co Kościół wierzyć przykazywał, lecz uważano za prawdę niemal wszystko, co było oparte na dawnej tradycji, albo na wymysłach jakiejś autorskiej »powagi«. Wiadomo, że Wirgiliusza uważano za czarnoksiężnika, który Neapol oczyścił ze złego powietrza, w tamtejszych strumykach pijawki wygubił, wytrul węże, komary i innych cudów dokonał, a nazywał się Maro, ponieważ tyle w jego głowie było wiadomości, ile wody w morzu (mare).

Tak samo o Owidyuszu opowiadano nadzwyczajności, albowiem ówczesna wyobraźnia nie mogła sobie wystawić wielkiego człowieka, któryby nie był obdarzony jakąś niezwykłą siłą. Stary Pliniusz pisał, według zdania średniowiecznych uczonych, o Lucyferze i o Antychryście, Marcyalis był kucharzem, ponieważ układał »kulinarne« epigramy. Wenus była tak piękną królową Cypru, że ktokolwiek ją widział, musiał się w niej zakochać. Apollo urodził się w Delos i sławnym był astrologiem, pierwszy wynalazł naukę lekarską. Tezeusz rządził w Atenach, gdzie istniał podobny uniwersytet, jak w Paryżu i w Bolonii; Aleksander Wielki ze swymi baronami podbił cały Wschód, a w końcu spuścił się w domku ze szkła na dno morza, gdyż chciał tamtędy dostać się do



raju. Nero spłodził żabę, Katylina stoczył bitwę z Attylą, w której obydwaj padli trupem, a król Artus, śmiertelnie ranny w bitwie, nie umarł, lecz żyje we wnętrzu Etny, oczekując chwili, kiedy się będzie mógł zemścić na swoich nieprzyjaciolach.

Pierwszym, który zrozumiał potrzebę skorzystania z ksiąg odziedziczonych po starożytności, aby krytycznym okiem przypatrzeć się dawnym dziejom, był Petrarca; gromadził też w tym celu łacińskie i greckie rękopisy, pomimo że nawet po grecku nie umiał. Żwierzał się przed przyjaciółmi, że wyrobiła się w nim prawdziwa namiętność, istna choroba studyowania owych ksiąg, naukową pleśnią pokrytych; pisał do Włoch z Avignonu, że jeżeli mu chcą sprawić przyjemność, to niech pošlą do Toskanii ludzi pewnych i zręcznych, którzyby przeglądali biblioteki klasztorne i poszukiwali dzieł, których tak pragnie; błagał też przyjaciół w Anglii i we Francji, aby zarządzili poszukiwania za starożytnymi rękopisami. Gdy jednak zdobył ten i ów rękopis, na nową napotykał trudność; nie można było znaleźć zdolnych przepisywaczy, skarżył się też na ich lenistwo i głupotę. Mimo tych przeszkód badania nie ustawały, gdyż droga była już wskazana. Poszedł nią Boccaccio i zebrał także sporą bibliotekę starożytnych pisarzy. Poeta pozostawił ją do przechowania klasztorowi S. Spirito we Florencji, a skarbu tego strzegł z końcem XIV wieku Augustyanin Luigi Marsigli, który tak uwielbiał starożytnych pisarzy, że Wirgiliusza i Senekę umiał prawie na pamięć. Marsigli należał obok Coluccia Salutatiego i Giovanniego da Ravenna do owych trzech żyjących jeszcze wówczas przyjaciół Petrarcki, w których wielki poeta wszczepił miłość do starożytności. Ci przodownicy humanizmu starali się wniknąć w ducha Greków i Rzymian, odtworzyć dawną kulturę i wychować młodych uczonych, którzyby dalej zgłębiali to morze wiedzy i pracy, niewyczerpane od czternastu wieków. Oni to z pomocą zamożnych patrycyuszów sprowadzili Manuela Chrysolorasa, greckiego uczonego, do Florencji, jednego z najznakomitszych gramatyków w początkach humanistycznego ruchu, i zreformowali florentyńskie Studio, aby tylko ułatwić młodzieży poznanie starożytnej wiedzy.



Z tej szkoły wyszła cała plejada dzielnych krzewicieli humanizmu, do których należał Ambrogio Traversari, Kameduła w klasztorze degli Angeli, Poggio Bracciolini, autor słynnych »Facecuj«, i wielu innych pisarzy. Wkrótce chęć naśladowania we wszystkim, nawet w gładkim stylu starożytnych autorów, a przedewszystkiem Cycerona, tak objęła całe Włochy, że żaden panujący nie mógł się obejść bez swego humanisty, któryby mu pisał listy po łacinie. Rzecz prosta, że i Kurya rzymska musiała mieć takich stylistów do układania pism od niej wychodzących i że szukała ich w ognisku humanizmu, we Florencyi. Pierwszym, a w każdym razie jednym z pierwszych, którzy się stamtąd dostali na dwór papieski, był Poggio Bracciolini, uczeń Jana z Rawenny, dwudziestodwuletni, pełen naukowego zapału Florentyńczyk. Powołał go do kancelaryi papieskiej, na posadę skryptora, Bonifacy IX. Rzymskie ruiny, zabytki klasycznej przeszłości zrobiły na Poggiu wielkie wrażenie; z południową namiętnością zaczął on studyować omszałe mury Rzymu, odczytywać łacińskie napisy na pożółkłych marmurach i w fantazyi swej odtwarzać dawną kulturę. Raz z wielkim mozołem odczyszczal z porostów i powojów płytę marmurową, umieszczoną nad Porta Tiburtina, a że był przystojnym młodzieńcem, więc przechodzące dziewczęta zaczęły go zaczepiać i wysmiewać się z niego, że pożyteczniejszą mógłby sobie znaleźć pracę. Ludność rzymska nie przeczuwała jeszcze, jakie skarby kryją się w jej murach. Niebawem nie było nikogo w Rzymie, ktoby lepiej od Poggia znał tamtejsze ruiny, a gdy w r. 1405 dwóch florentyńskich artystów przybyło do stolicy papieżstwa, aby studyować zabytki starożytności, Poggio im służył za przewodnika. Artystami tymi byli Brunelleschi i Donatello. Pierwszy z nich zniechęcił się chwilowo do Florencyi, ponieważ w konkursie na krucyfiks nie przyznano mu pierwszeństwa, lecz Ghibertemu, postanowił więc wyłącznie oddać się architekturze, drugi z zapałem rozpoczął studia nad starożytną rzeźbą. Poggio spisał pierwszy dokładny inwentarz rzymskich zabytków pod tytułem »Urbis Romae descriptio«, a nadto ułożył cały kodeks napisów odczytanych w Rzymie. Będąc skryptorem a później sekretarzem Kuryi,













Poggio Bracciolini.

Według posągu we florenyńskiej katedrze.







przechodził najrozmaitsze koleje, ale zawsze z namiętnością bibliomana zbierał dzieła greckich i rzymskich pisarzy i nie-mało się do tego przyczynił, iż wiele ksiąg klasycznych zo-stało uratowanych od zagłady. Poggio pojechał z Janem XXIII na sobór do Konstancyi; ale gdy papież, przebrany za rajtara, stamtąd uciekł i cały dwór Stolicy Apostolskiej poszedł w roz-sypkę, nasz humanista także musiał szukać jakiegoś zajęcia. Zaczął najprzód uczyć się po hebrajsku; ale ponieważ jego nauczyciel, jakiś żyd wychrzczony, »był głupim człowiekiem o zmiennych humorach«, więc niebawem przerwał te lekcye, tem bardziej, że wówczas Konstancya nie była miejscem dość spokojnem, aby się tam studyum oddawać. Zjazd był nie-słychany, liczono w murach miasta prałatów i innych księży 18.000, a świeckich gości wraz ze służbą 80.000. Bankierów zjechało się 242, błaznów 346, a kurtyzan aż 1560. Kłócono się, bawiono, przegrywano w karty całe fortuny, ale o po-prawie stosunków kościelnych niewiele myślano. Gdy wre-szcie ofiarą zamieszania padł Hieronim z Pragi, spalony na stosie, Poggio, który był pełen uwielbienia dla czeskiego reformatora i miał przekonanie, że go niesprawiedliwie za-sądżono na karę śmierci, obrzydził sobie pobyt w Konstan-cyi i puścił się w podróż po Niemczech i Francyi, aby szu-kać w dawnych klasztorach łacińskich i greckich rękopisów. Podróż wydała obfite plony i wywołała w republice huma-nistów okrzyki radości i hymny uwielbienia dla Poggia. W St. Gallen, w podziemiach klasztornej wieży, pomiędzy śmieciami i rumowiskiem znalazł on dzieła Kwintyliana, do-tąd tylko w części znane, o które uczonym nadzwyczaj cho-dziło, w innych klasztorach odszukał nieznane części pism Cicerona, Lukrecjusza, Laktancyusza, Tertuliana, Plauta; zapu-szczył się nawet do Kolonii, skąd wywiózł jedną z ksiąg Pe-troniusza Arbitra. Od jakiegoś Szweda, także humanisty, do-wiedział się, że w jednym z klasztorów Cystersów na Wę-grzech mają być nieznane dotąd księgi historii rzymskiej Liwiusza. Pisał więc to do przyjaciół florentyńskich, to do Leonella d'Este do Ferrary, aby posłali jakiego uczonego na poszukiwanie tych zabytków. Do tej wyprawy jednak nie



przyszło, nikt nie chciał dać funduszów. Liwiusz do dziś dnia jest niekompletny.

Namiętność zbierania rzadkich ksiąg przyczyniła się raz do rewolucyi w Genui. Filippo Maria Visconti z Medyolanu chciał koniecznie stać się właścicielem rękopisu Liwiusza, który z biblioteki niegdyś Petrarki przeszedł do księgozbioru Tomasza Fregoso, doży genueńskiego. Visconti podburzył więc brata Tomasza, Battistę, przeciw doży, obiecując, że mu zbrojnie dopomoże do wyniesienia się na najwyższą godność w rzeczypospolitej, jeżeli z rabunku pałacu Tomasza przyśle mu owego Liwiusza. Rewolucya wybuchła, stronnictwo przeciwne Tomaszowi, wspierane przez księcia medyolańskiego, ogłosiło dożę Battistę, ale milicya miejska pobiła buntowników i Liwiusz pozostał w rodzinie Fregosów.

Wreszcie sobór w Konstancyi zakończył się szczęśliwie wyborem Marcina V, który też niebawem udał się do Włoch, aby przedewszystkiem jakiś ład zaprowadzić w Rzymie. Ponieważ na razie panowały tam jeszcze rozruchy, papież zatrzymał się czas dłuższy w Mantui. Poggio pojechał za nim, spodziewając się zapewne, że zostanie napowrót przyjęty do kancelaryi papieskiej, ale nadzieje jego na teraz się nie spełniły. Co więcej, humanista musiał nadspodziewanie uciekać z Mantuy; nowy papież nie lubił go za to, że należał w Konstancyi do stronników Jana XXIII, a zdaje się nawet, że groziło mu niebezpieczeństwo procesu, ponieważ zanadto otwarcie wyrażał swe oburzenie z powodu spalenia Hieronima z Pragi. W Konstancyi zapoznał się Poggio z Anglikiem Beaufortem, nadzwyczaj bogatym biskupem z Winchester, który go zapraszał do Anglii i obiecywał mu złote góry; humanista więc korzystał teraz z tego zaproszenia i udał się do Londynu. Ale niebawem nadzieje go zawiodły, bo biskup dał mu tylko bardzo skromne uposażenie, a nadto zwyczaje angielskie, podówczas prawie barbarzyńskie w porównaniu z włoską kulturą, i brak ludzi wykształconych tak go zniechęciły, że wszelkimi sposobami starał się wrócić do ojczyzny. Przyjaciołom Poggia udało się wreszcie skłonić Marcina V, aby lekkomyślnego humanistę przyjął znów do swej kance-



laryi, a nawet na posadę dość intratną sekretarza Kuryi rzymskiej.

Poggio zastał w otoczeniu papieża już kilku humanistów, Marcin V bowiem, pomimo że nie lubił nowatorów i nie bardzo im dowierzał, potrzebował ich do układania bull i pism dyplomatycznych. Największą powagą literacką był wówczas na papieskim dworze sekretarz Leonardo Bruni, Toskańczyk, późniejszy kanclerz rzeczypospolitej florentyńskiej, człowiek uczony i poważny, który nie należał do lekkiego cechu humanistów w rodzaju Poggia. Bruni napisał z czasem historię florentyńską, a ojczyzna odwdzieczyła mu się, stawiając mu przepyszny pomnik w S. Croce, jedno z najbardziej podziwianych dzieł sztuki, dłuta Rosselina. Kurya rzymska miała jeszcze humanistę dyplomate, Antonia Loschi, także Toskańczyka, znakomitego łacińskiego stylistę, trochę biurokrate, któremu kancelarya papieska zawdzięcza swą organizację. Prąd humanistyczny zaczynał nawet działać na niektórych kardynałów, członków wielkich rodów. Prospero Colonna i Giovanni Orsini zajęli stanowisko mecenasów humanizmu, nie przypuszczając zapewne, że nowe idee podkopią z czasem potęgę wielkich rycerskich i tyrańskich rodów. Kardynał Colonna był nadzwyczaj hojnym dla literatów i zebrał znaczną bibliotekę klasyków. Orsini zaś, niezmiernie bogaty, łożył znaczne sumy na skupywanie rękopisów, które w rok przed śmiercią zapisał bibliotece kościoła św. Piotra. Najmniej o humanistów i o stare księgi troszczył się sam papież Marcin V, który miał za wiele do czynienia z uporządkowaniem stosunków rzymskich, aby mógł się jeszcze oddawać umiejętnościom. Poggio go też nie lubił, zwłaszcza że papież nie był hojnym dla literatów, i wylał swe złe humory w dyalogu o skąpstwie »De avaritia«, który poświęcił kardynałowi Prosperowi, pomimo że tenże należał do nepotów papieża. Widocznie więc kardynał miał także powody skarżyć się na skąpstwo Marcina, a złośliwe uwagi o papieżu mogły mu sprawiać przyjemność. Poggio nie umiał być ostrożnym i ukrywać swoich uczuć; okazał to podczas soboru w Konstancyi, okazał i w Rzymie.



Zdaje się, że nie bardzo zblądzimy, jeżeli posądzimy naszego humanistę, że on to zorganizował owe schadzki literackie w jednej z komnat pałacu laterańskiego, które sam nazwał »kuźnią kłamstw«, Buggiale, czyli mendaciorum veluti officina. Urzędnicy Kuryi apostolskiej schodzili się tam w wolnych chwilach na pogadankę, a wino z gór Albańskich dodawało im humoru. Opowiadano sobie najświeższe anegdoty o kardynałach, nie oszczędzano nawet papieża, deklamowano złośliwe wierszyki, które wybornie umiał układać młody, wesoly poeta Agapito Cencio de' Rustici, albo zanoszono się od śmiechu z dowcipów młodego Bolończyka, Razella, który w całej Kuryi słynął ze swego humoru. Te zebrania głównie się przyczyniły do tego, że Poggio później napisał swoje »Facecye«, pierwszy we Włoszech zbiór opowiadań, po większej części wziętych z życia, o oszukanych mężach, pysznych kardynałach, lekarzach, którzy pacjentów na drugi świat wyprawiają, i o mnichach pełnych fałszu i udanej pokory. Większa część facecyrz obrażała moralistów swą nieprzyzwoitą treścią, ale mimo to książka ta, którą Poggio wydał mając już lat przeszło siedmdziesiąt, stała się najślawniejszą z jego pism, doczekała się niezliczonych wydań i do dziś dnia jest czytana przez literackich smakoszy. Poggia facecyrz mają tę wielką zaletę, że są lekko a zwięzłe pisane, czem się odróżniają od wielu innych łacińskich rozpraw humanistów o niestrawnym stylu i ciężkich cytatach ze starożytnych autorów. Wiele z tych facecyrz nie powstało w »Buggiale«, lecz są dawniejszego pochodzenia, osobliwie prowensalskiego, bo Prowensale znani byli ze swych Fabliaux, ze swych anegdotek. Poggio był stworzony na pamflicistę i rzec można, że stał się w Rzymie ojcem tych złośliwych poetów, którzy później na torsie Pasquina swe wiersze przylepiali. Jest on także poprzednikiem Piotra Aretina.

Obok Poggia, Bruniego i Loschiego nie było w Rzymie za Marcina V bardziej wybitnych humanistów, a nawet wpływ ich jeszcze i za następcy Marcina, za Eugeniusza IV, nie był w Kuryi apostolskiej przemożnym. Dwór papieski zetknął się dopiero bliżej z nowymi ludźmi we Florencji, gdzie Eugeniusz musiał dłuższy czas przebywać z powodu niepokojów



w Rzymie. Papież zamieszkał w S. Maria Novella, sam mnich z Wenecyi, otoczył się prawie tylko mnichami, a nie mając doświadczenia politycznego, popełniał błędy za błędami. Podczas gdy zamknięty w swym klasztorze nie troszczył się o ruch naukowy, niektórzy z jego dworzan porwani zostali tym gorącym prądem humanizmu, który wrzał wówczas we Florencyi. Kto tylko miał wrażliwszy umysł, nie mógł się oprzeć tej fali; wszędzie mówiono o schadzkach ludzi uczonych, o zbieraczach rękopisów i dzieł sztuki, a nawet księgarze, których się dużo namnożyło, trudnili się nie tylko handlem książek, ale i odpisywaniem rękopisów. Najważniejszą rolę pomiędzy nimi odgrywał Vespasiano de Bisticci, sam uczony doradca literacki wszystkich humanistów, przyjaciel najznakomitszych osobistości: Medyceuszów, Albizzich i Strozzich. Ów Bisticci napisał nadzwyczaj cenne żywoty ludzi współczesnych, *Vite di uomini illustri del secolo XV*, które do dziś dnia stanowią jedno z najważniejszych źródeł do ocenienia kilku papieży i wielu kardynałów, dyplomatów, a nawet i wybitnych kobiet. Dzieło Bisticiego ma tem większą wartość, że księgarz-literat spisywał w nich to, co widział i słyszał, po włosku, nie oglądając się na klasyczne wzory. W botedze Bisticiego zbierała się prawie codziennie humanistyczna drużyna, albo też szła rano i wieczorem na Piazza della Signoria i tam, gdzie dzisiaj Loggia dei Lanzi, toczyła o kwestjach naukowych nader żywe rozprawy. O kilkadziesiąt kroków dalej gromadzili się contadini, aby rozprawiać o cenach wina lub bydła. Humanisci barwniej wyglądali, aniżeli dzisiejsi profesorowie w czarnych cylindrach i surdutach; pod florentyńskim ratuszem widać było nie tylko świeckich uczonych w kolorowych strojach, lecz i zakonników w białych i szarych habitach. W czasie pobytu Eugenuśa IV zwracał tam uwagę Tommaso Parentucelli, świecki duchowny, przyjaciel, sekretarz i zarządca domu kardynała Albergatiego, ruchliwy, bystry, »czasem tak gwałtowny w swych rozprawach, że gdy bronił jakiejś tezy, to mu się iskry z oczu sypać zdawały, a obydwu rąk zaledwie starczyło, aby wyrazić swoje przekonanie«. Tommaso przyjeżdżał na owe zebrania humanistów na mule, ubrany w suknie



niebieskiego koloru, a dwóch służących w ciemnych płaszczach, wyglądających na kleryków, zawsze mu towarzyszyło. Ten Tommaso miał zostać kiedyś papieżem pod imieniem Mikołaja V, który był jednym z najznakomitszych ludzi, jacy w czasach Odrodzenia zasiadali na stolicy papieskiej. Pochodził on z Sarzany, miejsciny w pobliżu Lukki, był synem chirurga, który poznawszy zdolności chłopaka, z biedą zebrał trochę pieniędzy, aby go posłać na naukę do Bolonii. Po dwu latach studiów otrzymał Tommaso smutną wiadomość, że ojciec zmarł podczas zarazy panującej w Luce, a nie mając środków na dalszy pobyt w Bolonii, musiał wracać do Sarzany. Po roku jednak matka posłała znów za męża za wdowca, mającego dzieci z pierwszej żony; Tommasowi więc nie pozostawało, jak szukać w świecie utrzymania. Udał się do Florencji i tam szczęśliwym zbiegiem okoliczności został domowym nauczycielem synów Rinalda Albizziego, jednego z najmożniejszych patrycyuszów florentyńskich, owego naczelnika republikańskiego stronnictwa, które chciało zniszczyć coraz bardziej wzmagający się wpływ Medyceuszów. Gdy zaś Albizzi musiał niebawem opuścić z rodziną Florencję, otrzymał Tommaso umieszczenie jako nauczyciel synów Palli Strozziiego, którego dom był jednym z ognisk ruchu humanistycznego. Sam Strozzi zbierał rękopisy starożytnych autorów, kazał przetłómaczyć na język łaciński »Politykę« Aristotelesa i wiele innych dzieł greckich.

Po dwu latach pobytu we Florencji zebrał sobie Parentucelli dostateczny fundusz, aby mógł wrócić na uniwersytet do Bolonii, gdzie się poświęcił teologicznym i medycznym studjom. I tam go szczęście nie opuszczało, poznał bowiem Niccola Albergatiego, przeora klasztoru Kartuzów, człowieka wielce poważanego, który go tak polubił, że mu zaraz dał utrzymanie w klasztorze i szczerze się zajął jego przyszłością. Albergati zostawszy niebawem kardynałem, mianował Tommasa swoim sekretarzem, powierzył mu zarząd domu (1423) i aż do śmierci, przez lat dwadzieścia się z nim nie rozłączał. Parentucelli towarzyszył kardynałowi w poselskich podróżach do Francji, do Niemiec i Anglii; miał więc sposobność poznawać ludzi i wprawiać się w dypl-



matyczne sprawy. Bawiąc zaś z Albergatim we Florencyi, korzystał z towarzystwa tamtejszych humanistów i przyłgnał do tych ludzi pełnych zapału i nauki.

Pomimo że wówczas bardzo skromne miał dochody, oszczędzał, jak mógł, byle tylko skupować książki, dawać odpisywać klasyków i pięknie oprawiać rękopisy. Szczycił się, że ma dwanaście przepysznych tomów dzieł św. Augustyna, a jedna z tych ksiąg, nosząca tytuł »Contra Julianum Pelagianistam«, znajduje się dotąd w S. Spirito, w bibliotece, która miała pozostać po Boccacciu. Książki Parentucellego dzisiaj jeszcze łatwo rozpoznać, umieszczał on bowiem na marginesach mnóstwo własnych uwag, a piękne jego pismo, pośrednie pomiędzy średniowiecznem a renesansowem, bardzo jest charakterystyczne.

Do najdawniejszych przyjaciół Poggia należał Niccolo Nicoli, jedna z najbardziej zajmujących postaci pomiędzy humanistami. Niccolo sam nie był autorem, ale tak wybornie znał starożytnych pisarzy i takie wyrobił w sobie księgoznawstwo, że wszyscy humaniści radzili się go, zakupując dzieła klasyków i ustalając łacińskie teksty, a Cosimo Medici najzupełniej na nim polegał w rzeczach literatury i sztuki starożytnej. Nicoli, bardzo przystojny, średniego wzrostu, cokolwiek skłonny do otyłości, zawsze pogodny, uprzejmy i żartobliwy, często dowcipny, odznaczał się pomiędzy humanistami wielce starannem ubraniem i wychodził na ulicę najczęściej w długiej, aż do ziemi sięgającej sukni z bogatej różowej materyi, pragnąc, aby wszystko, co nosił i co go otaczało, miało cechę piękna. Na freskach florentyńskich mistrzów często widzimy owe powłóczyste szaty, które dawały tyle powagi owym republikańskim postaciom. U Nicolego wszystko się zlewało w taką harmonię, że nawet pismo jego należało do najrówniejszych i najpiękniejszych pomiędzy humanistycznymi kaligrafami. Nicoli był synem dość zamożnego kupca florentyńskiego, a w młodości musiał nawet z rozkazu ojca stać za ladą. Gdy jednak ojciec umarł, młodzieniec poszedł za swemi skłonnościami, zaczął zbierać bibliotekę, odpisywać rękopisy, otaczać się starożytnemi rzeźbami, a wprawa kupiecka, wcześniej nabyta, na



to mu się przydała, że z niezmierną znajomością rzeczy umiał szacować wartość książek i dzieł sztuki. Wszyscy się go też radzili. Zamiłowanie jednak do rękopisów i starożytności wyczerpało niebawem szczupły jego majątek i gdyby nie Cosimo Medici, który mu otworzył kredyt w swym banku, to humanistyczny biblioman byłby zginął z nędzy. Nie nadużywał on wszakże tego kredytu i tylko w największej potrzebie szedł do medyceuszowskiego kasyera, tak że umierając, nie więcej jak pięćset dukatów był winien swemu protektorowi.

Nicoli podobnie jak Poggio miał niesłychany zmysł wyszukiwania nieznanych dotąd rękopisów, ale jeździć za nimi nie lubił, zanadto bowiem kochał swą bibliotekę i swoją Benwenutę, aby je choćby na krótki czas opuszczać. Owa Benwenuta była prostą, ładną dziewczyną i obok rękopisów jedyną słabostką Nicoliego. Dzielił on z nią mieszkanie, ona mu przyrządzała skromne obiady i umiała stół jadalny pięknie ubrać starożytnymi wazami, szklami weneckimi i innymi artystycznymi drobnostkami, albowiem ten dziwaczny człowieczek chętnie żywił się chlebem z serem i gotowanym bobem, aby tylko ten chleb i ten bób były podane w pięknych naczyniach, a woda w kubku z najczystszoego kryształu. Wśród książek, waz i przy boku Benwenuty czuł się Nicoli zupełnie szczęśliwym; ale rodzina i kilku przyjaciół zatruło mu to skromne szczęście, tak że aż sam papież Eugeniusz IV musiał dokładać wszelkich starań, aby je przywrócić.

Rzecz się tak miała. Nicoli mieszkał w jednym domu ze swym młodszym bratem Giovannim, który początkowo był posiadaczem owego skarbu, owej Benwenuty. Humanista miał więc często sposobność widywania nielegalnej bratowej, która mu się tak podobała, że z czasem Giovanni został osamotniony, a Benwenuta przeprowadziła się do mieszkania Niccola. Bracia oczywiście się poróżnili, a na domiar złego Benwenuta, której stanowisko humanistki głowę zawróciło, zamiast zachowywać się spokojnie, zaczęła buntować Niccola przeciw rodzinie, a nawet rozgłaszać jakieś obelgi na żonę Jakóba, drugiego brata Niccola. Wtedy Giovanni i Jakób uknuli spisek przeciw syrenie: pochwycili ją



na ulicy, gdy z domu wychodziła, włożyli na barki służącego, którego w tym celu ze sobą przywiedli, a obnażywszy najboleśniejszą część ciała, wywarli na niej różgą swą zemstę. Egzekucya odbyła się wobec zanoszącej się od śmiechu publiczności i wobec samego Niccola, który nie wiedząc, co się stało, nadbiegł w krytycznej chwili, ale już nie mógł odwrócić przykrości, jaka spotkała jego ulubienicę. Komiczno-dramatyczne zdarzenie stało się zaraz głośnem w całej Florencyi, a znajomi Niccoliego wyrażali mu swe ubolewania; jeden tylko z najbliższych jego przyjaciół, także słynny humanista, Leonardo Bruno Aretino, dawny nauczyciel w domu Medicich, człowiek poważny, moralny, chodzący jednostajnym krokiem w swym długim, szkarłatnym płaszczu po ulicach Florencyi, nie podzielał tego współczucia, a nawet dość bezwzględnie wyraził się przed Nicolim o Benwenucie. W sercu obrażonego kochanka zawrzało, zerwał dawną przyjaźń, która go z Leonardem wiązała, i napisał do niego list obraźliwy. Na list ten odpowiedział Leonardo wściekłą »inwektywą« pod tytułem »Nebulo Maleficus«, wskutek której zajście z Benwenutą stało się, rzecz można, sprawą europejskiego znaczenia, gdyż florentyńska rzeczpospolita humanistów podzieliła się na dwa obozy, za i przeciw Nicolemu, a ten rozłam odbił się echem aż o humanistów w Wenecyi, w Medyolanie i w Modenie. Poggio, który wówczas bawił w Anglii, tak się zmartwił tą domową wojną, że pisał po kilka razy do Niccoliego, aby dla dobra wspólnej sprawy przebaczył Leonardowi. Nicoli zamykał się w mieszkaniu, nie chciał z nikim przestawać i nie dał sobie mówić o pojednaniu. Wtedy zwrócono się do Eugeniusza IV, aby swoim wpływem go ulagodził; ale Nicoli tak się zawziął, że nawet życzeniu papieża zadość nie uczynił. I dopiero po sześciu latach udało się weneckiemu humaniście, Franciszkowi Barbaro, pogodzić zawziętych literatów, a radość z tego powodu była tak wielka, że Poggio z Rzymu napisał list do Barbaro z powinszowaniem, że mu się udało doprowadzić do tej zgody, jak gdyby europejska wojna była zażegnana. Od czasu tych zajść tak się humaniści strzegli obrazić Benwenutę, że nawet Traversari, sławny generał Kamedułów, w listach swych do Nico-



lego nie zapomina o niej i prosi go, aby pozdrowił swą przyjaciółkę, »najwierniejszą mu kobietę«, »femina fidelissima«.

Zapewne nie daleko oddalimy się od prawdy, przypuszczając, że w nakłonieniu Eugeniusza IV do tego dość oryginalnego pośrednictwa pomiędzy Nicolim a Aretinem przyczynił się niemało jego siostrzeniec Gregorio Corraro, poeta, który przybył do Rzymu z Wenecyi jeszcze za czasów, kiedy Eugeniusz był kardynałem. Corraro uczył się za młodu u słynnego humanisty Guarina, pisał wiersze łacińskie, wczytywał się w Wergiliusza i Horacego i tak się przejął zasadami starożytnych pisarzy, że go uważano prawie za poganina. W Rzymie, pod wpływem otoczenia, zmienił znacznie swe przekonania, a gdy wuj jego wstąpił na stolicę papieską, zaczął opływać w beneficya i godności. Dawne pogańskie ideały nie zupełnie w nim wszakże wygasły, a we Florencyi za czasów Eugeniusza przylgnął znowu całym sercem do humanistów, prawie ciągle przebywał u Nicolego i szczególnie lubił towarzystwo Poggia. Później, po powrocie papieża do Rzymu, przeważył w Corrarze zmysł praktyczny, wołał kościelne dochody, aniżeli humanistyczne mrzonki.

Humanizm bynajmniej nie przeszkadzał romantyzmowi, owszem zasady Epikura, którym wielu humanistów sprzyjało, zdawały się nawet podniecać romantyczne idee. Podobnie jak Nicoli, kochał się i Poggio na nowo we Florencyi, pomimo że wówczas miał już lat pięćdziesiąt pięć. Mówię na nowo, gdyż w Rzymie miał od dawna miłosny stosunek z jakąś kobietą z ludu, która go otoczyła wieniec czternaściorga dzieci. Naszemu humaniście było tak licznej rodziny za mało, zaprowadził więc przed ołtarz (1435) ośmnastoletnią dziewczynę, Veggię Buondelmonti. Niektórzy utrzymują, że na drogę cnoty i małżeńskiego pożycia nawrócił go kardynał Sant'Angelo, który raz na Poggia zagniewany, wyrzucał mu w liście, że ma dzieci niesłubne. Ale humaniście niebezpiecznie było robić podobne uwagi: odpowiedział on zjadliwie kardynałowi, że mając dzieci niesłubne, idzie tylko za przykładem duchownych, którzy się tego zwyczaju trzymają od początku świata. Przy tej sposobności przytoczył anegdotę, dowodzącą, że papieże byli w tej mierze bar-



dziej wyrozumiałymi, aniżeli kardynał Sant' Angelo. Razu pewnego przywiózł jakiś proboszcz włoski swego dorodnego, barczystego syna do Marcina V, prosząc dla niego o jaką posiadłość. A gdy papież trochę się zadziwił tą śmiałością, niezmiyszany klecha odpowiedział, że ma w domu jeszcze czterech takich chłopaków, z których każdy gotów jest wziąć miecz do ręki w obronie Jego Świątobliwości. Wobec własnego sumienia i opinii przyjaciół starał się jednak Poggio usprawiedliwić, że w tak późnym wieku pojął za żonę tak młodą dziewczynę i napisał dyalog pod tytułem »An seni sit uxor ducenda«, »Czy starzec powinien się żenić« i poświęcił go Kozmie Medyceuszowi. W tym dyalogu wprowadza trzy osoby: siebie samego, Niccola Nicolego i Carla Aretina, kanclerza Florencyi. Nicoli gra tutaj rolę człowieka rozsądnego, który wyluszcza wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie starzec się naraża, biorąc młodą żonę. Natomiast Carlo Aretino broni zdania, »iż żenić się nigdy nie jest za późno«. Sam Poggio występuje w tym dyalogu dość blado, woli on spokojnie czekać, aż Aretino swymi argumentami zwycięży. Poggio poparł zdanie przyjaciela nie słowem, ale czynami: najszczęśliwiej żył z Veggia, miał z nią jeszcze pięciu synów i jedną córkę. Gdy w r. 1438 pierwszy syn się urodził, nadchodziło mnóstwo listów z powinszowaniem od rozmaitych znakomitości. Pomiędzy innymi pisał z Rzymu sekretarz papieski, Cincio, przepowiadając malcowi, że się wychowa na znakomitego literata, i dawał przyjacielskie rady na wypadek, gdyby matka nie była w możności »zadośćuczynić pierwszym swym obowiązkom wobec dziecka«. W takim razie powinni rodzice wyszukać chłopakowi barczystą mamkę, o pięknej budowie, o łagodnym charakterze i dobrem obejściu, gdyż wszelkie te zalety wpływają na fizyczny i moralny stan dziecka. Cincio donosił, że cała Kurya cieszy się synem Poggia i że koledzy oczekują tylko przyjazdu szczęśliwego ojca do Rzymu, ażeby go powitać przyjacielską uczcią, w której on będzie królował w gronie greckich i łacińskich filozofów.

Zdziwienie i radość kolegów Poggia w kancelaryach papieskich musiały być z czasem tem większe, gdy Veggia po-



wiła jeszcze cały zastęp dzieci. Czterech z synów Poggia zaciągnęło się w szeregi duchowieństwa, córka zaś Lukrecya poszła za mąż za jakiegoś Buondelmontiego, zapewne dalekiego swego krewnego. Gdy Poggio umierał, mając przeszło siedmdziesiąt dziewięć lat, utrzymywali przyjaciele, że gdyby był kilka lat jeszcze pożył, rodzina jego byłaby się jeszcze powiększyła.

Żeniąc się, był już Poggio dość zamożnym człowiekiem; sekretarstwo papieskie przynosiło mu znaczne dochody, a nadto odpisywanie rękopisów starożytnych autorów zasilalo jego kasę. Niedługo przed ożenieniem się sprzedał Panormicie dzieła Liwiusza za 120 florenów w złocie. Marzeniem jego było od dawna przenieść się z Rzymu na starość do Florencyi, mieć tam willę, poumieszczać w niej swe starożytne rzeźby i książki. Obecnie był dość majątnym, aby wybudować sobie schronienie koło Terranuova w Valdarno i zaprowadzić małe gospodarstwo wiejskie. Co więcej, mógł kupić dom w samej Florencyi, zapewne za posag żony, która mu przyniosła 600 florenów gotówki. Cosimo Medici, który Poggia bardzo lubił, ułatwił to kupno. Jednym z ważnych źródeł dochodu humanisty było poświęcanie swych literackich utworów takim osobistościom, które za ten zaszczyt dobrze płacić mogły; od króla Alfonsa Neapolitańskiego dostał w ten sposób 600 dukatów za dedykację tłómaczenia Cyropedyi Xenofonta. Jego zjadliwego pióra obawiali się nawet monarchowie, pisał bowiem lekko, żywo, barwnie, dowcipnie i był chyba najznakomitszym stylistą pomiędzy współczesnymi literatami. Umiał pochlebiać, ale i potrafił powiedzieć nieprzyjacielowi, czy nim był Filelfo lub Valla, czy jaki poważny biskup, że jest głupcem, dwunożnym osłem albo wołem. A gdy puścił wodze swej nienawiści ku zakonom, to cała klasyczna literatura nie miała dość obelżywych wyrazów na zozydzenie »tych żebrzących mnichów, którzy będąc zanadto leniwymi do pracy, swych bliźnich doprowadzają do żebractwa«.

W czasie swego pobytu w Valdarno pracował Poggio nad dyalogiem o szlachcie »De nobilitate«, który wydał w roku 1440. Rozmowę prowadzą tam Niccolo Nicoli i Lorenzo de



Medici, brat Cosima, w willi Poggia, dokąd przyjechali, aby oglądać kilka posągów starożytnych, które mu niedawno z Rzymu przysłano. Poggio mówił w tym dyalogu dużo nieprzyjemnych prawd włoskiej szlachcie, a najciekawszym jest ustęp, w którym charakteryzuje neapolitańskie, weneckie i rzymskie rycerstwo. Najwięcej dostało się Neapolitańczykom: szlachectwo ich na tem tylko polega, aby się oddawać próżniactwu i tracić dochody ze swoich dóbr. Za złe tam mają, jeżeli który z nich sam gospodaruje, albo osobiście się zajmuje ekonomią. Zadanie neapolitańskiego arystokraty łatwe do spełnienia: jeździć konno i rozpierać się w swym pałacu. Jeżeli który z tych panów został rozbójnikiem, nic to nie przeszkadza, aby nadal miał wielki mir pomiędzy swoimi, musi tylko pochodzić ze starożytnej rodziny. Tej neapolitańskiej szlachcie wstrętnem jest kupiectwo, a taki pan południowy wolałby z głodu umrzeć, aniżeli n. p. wydać córkę za bogatego kupca. Rycerz, któryby osobiście się układał z kupcem o sprzedaż wina ze swoich winnic, takby się poniżył w oczach sobie równych, że utraciłby stanowisko w ich kole.

Zupełnie inną jest szlachta wenecka, która zajmuje się tylko handlem i piastuje publiczne urzędy. Stanowi ona osobną kastę, oddzieloną całą przepaścią od pospólstwa, a nawet ubogi patrycyusz spogląda z góry na bogatego plebejusza.

Rzymski wreszcie szlachcic stoi pośrodku pomiędzy Neapolitańczykiem a weneckim patrycyuszem. Pogardza wprawdzie handlem, ale spekulację pieniężną uważa za rzecz, która mu nie uwłacza; wolno mu oszukać bliźniego na zmianie monety, ale nie wypada mu sprzedawać towarów, uprawą zaś ziemi w rozległych dobrach często się sam zajmuje.

Cały dyalog jest właściwie inwektywą, wymierzoną przeciw szlachcie rodowej; Poggio uznaje tylko zasługę, a drwi z powoływania się na sławę antenatów. Szlachectwo, jak je zwykle pojmują, jest tylko pustą przechwałką, »delirium« pychy, ponieważ nie polega na istotnej wartości człowieka, lecz na okolicznościach przypadkowych.

Poggio był w duchu republikaninem, człowiekiem, któremu rzymskie stosunki były wstrętne, co bardzo dobitnie



wyraził w swym »Dyalogu o nieszczęśliwym położeniu książąt«. Powiada on tam pomiędzy innemi, że zły panujący nie może być szczęśliwym, ponieważ szczęście można osiągnąć tylko drogą cnoty, a dobry książę musi znosić tyle trosk, obaw, umęczeń, że tem samem musi być ze świata niezadowolony. Demokratyczne poglądy Poggia uwydatniają się na każdej stronnicy dyalogu, wylicza długi szereg wad, szaleństw i zbrodni panujących, nie schlebia i papieżom, podnosząc, że nie znał takiego, któryby myślał szczerze o Kościele, każdemu bowiem leżały na sercu tylko interesa jego rodziny.

Poggio miał dużo szczęścia w życiu. Własną pracą, talentem i bezwzględnością dorobił się urzędu i majątku, a nawet po śmierci szczęście go nie opuściło, bo uważano go przez długi czas jako świętego we florentyńskiej katedrze. Gdy bowiem w r. 1586 zburzono część ornamentów fasady tego wspaniałego kościoła, wyjęto stamtąd posąg Poggia i postawiono go gdzieindziej, a publiczność myślała, że to posąg świętego.

Z Eugeniuszem bawił także we Florencyi jeden z najbardziej poważanych humanistów, Flavio Biondo, autor wielkiego dzieła antykwerskiego o Rzymie, »Roma instaurata«, które poświęcił papieżowi. Człowiek to był zacny, spokojny, nie mogący brać zbyt żywego udziału w ruchu humanistycznym, gdyż wprawdzie jako sekretarz papieski nie źle był uposażony, ale miał do utrzymania żonę i dziesięcioro dzieci.

Do towarzystwa zbierającego się pod florentyńskim ratuszem należał także Gianozzo Manetti, człowiek bardzo poważny i spokojny, kupiec z zawodu. Jego biograf utrzymuje, że zawsze mówił prawdę i że najmilszem jego zajęciem było rozprawiać z żydami o tekście biblij i dowodzić im, że ją niewłaściwie rozumieją i tłómaczą. Manetti szczycił się bowiem, że umie lepiej po hebrajsku aniżeli rabini, a nie chcąc wyjść z wprawy w mówieniu po grecku i po hebrajsku utrzymywał w swym domu dwóch Greków i jednego ochrzczonego żyda, z którymi w wolnych chwilach rozmawiał w ich języku. Temu przechrzcie kazał także przepisywać hebrajskie księgi, a osobliwie komentarze do biblij i tak był zamiłowany w tych studyach, że nawet syna kazał uczyć po hebrajsku. Manetti



przełożył całą biblię i część dzieł Aristotelesa z greckiego na język łaciński, napisał szereg żywotów sławnych ludzi, jak Dantego, Boccaccia, króla Alfonsa Neapolitańskiego, ułożył mnóstwo mów pogrzebowych, a nawet napisał rozprawę o trzęsieniu ziemi. Ale nie był stylistą i dzieła jego, nudne i rozwlekłe, bardzo mało czytano. Gianozza lubiono powszechnie we Florencyi, gdyż słynął z uczynności, i ceniono jego uprzejmość, rzeczpospolita wysyłała go często w rozmaitych poselstwach i odznaczała wysokimi urzędami. Tą popularnością naraził się jednak Medyceuszom, którzy obawiając się jego politycznych wpływów, zwłaszcza że był człowiekiem bogatym i mógł z nimi współzawodniczyć, powzięli niechęć do niego.

Im bardziej rosła nadzieja, że papież do Rzymu powróci i że finanse Stolicy Apostolskiej znowu się polepszą, tem więcej humanistów garnęło się do kancelaryi papieskiej i otrzymywało posady pomimo oporu zakonników, którzy otaczali Eugeniusza IV. Przed wyjazdem z Florencyi przyjął też papież jeszcze kilku innych literatów i uczonych jako sekretarzy, pomiędzy którymi znajdował się słynny Grek Aurispa i dwóch Wenecyan, uczniów Guarina, Ermole Barbaro i Pietro del Monte. Gdy zaś Eugeniusz ustalił swe panowanie w Rzymie, nie mógł się obronić przed najazdem humanistów; ruchliwy ten zastęp, po większej części ludzi zdolnych, wspierał się nawzajem, szukał poparcia kardynałów, czyhał na każdą otwierającą się posadę, wciskał się zewsząd i wszędzie.

## II.

O posadę w kancelaryach Kuryi rzymskiej starał się także Lorenzo Valla, znakomity humanista, człowiek wielkiego wpływu, nader zajmująca postać. Złośliwy Poggio mówił, że dziad Lorenza był kucharzem w Piacenzy, a ojciec, imieniem Luka, pomimo że trudnił się »jurysteryą«, listu nie umiał napisać, a co gorsza nawet dzieci mieć nie mógł. Nie sprzecząc się z Poggiem co do pochodzenia Lorenza, mu-



simy wszakże iść za innymi, mniej zjadliwymi pisarzami, którzy utrzymują, że Lorenzo urodził się w Rzymie r. 1405, gdzie jego ojciec był adwokatem papieskiego konsystorza, a wuj matki, Melchior Scribani, abbreviatorem i skryptorem Kuryi. Siostra Lorenza wyszła za mąż także za abbreviatora, Ambrożego Dardana; to też humanista mógł słusznie mówić o sobie, że się wychował w Kuryi apostołskiej i że Rzym stał się pod jego wpływem bardziej rzymskim, gdyż go nauczył po łacinie, co jak zobaczymy, także zgadzało się z prawdą.

Lorenzo kształcił się we Florencyi u sławnego Aurispy, który połowę ówczesnych humanistów zapoznał z Helladą, a w łacinę wprowadził go Florentyńczyk Rinuccio da Castiglione. Współcześnie z Lorenzem uczył się u Aurispy Beccadelli, zwany Panormitą, autor sprośnych epigramów wydanych pod tytułem »Hermaphroditus«, a chociaż Valla o wiele był młodszym od Sycylijczyka, mimo to zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, która naszemu humaniście w życiu się przydała. Panormita nauczył się tam wysoko cenić swego rzymskiego kolegę i pisał później o nim, że to człowiek o rzadkim zapale do nauk, o zrównoważonym umyśle i dobrych obyczajach.

Niemal od dzieciństwa zdradzał Lorenzo zmysł krytyczny; i tak, gdy raz jako mały chłopak zapytał się nauczyciela, kto właściwie napisał księgę Joba i dostał odpowiedź, że sam Job był jej autorem, zaraz zaprzeczył temu, bo przecież Job własnej śmierci nie mógłby opisywać. Jako dwudziestoletni młodzieniec wydał też Lorenzo krytyczną rozprawę, która w świecie humanistycznym wywołała prawie rewolucję. Dał on jej tytuł »De comparatione Ciceronis Quintilianique«; porównywał w niej styl Kwintyliana ze sposobem pisania Cicerona i z niebywałą erudycją i siłą dowodów oddawał Kwintylijanowi palmę pierwszeństwa. Była to śmiałość nielada; cały świat humanistyczny czcił Cicerona jak półboga, uważał jego pisma za szczyt piękności stylu, gdy więc jakiś młodzik przeciw temu bałwochwalstwu wystąpił, powstał na niego krzyk nie do opisania. Poggio, Antonio Loschi, Filelfo nie posiadali się z oburzenia i wymyślali na zarozumialca. Co gorsza, Valla napisał jakieś epigramy na kilku



kardynałów, krytykując ich życie, naraził się więc nie tylko literatom, lecz i wysokim dygnitarzom Kościoła. Stało się to wszystko nie w porę, albowiem niebawem umarł wuj matki Lorenza, Scribeni, a po nim opróżnił się urząd abbreviatora, który pragnął Valla otrzymać. Rzecz prosta, że obrażeni pracownicy i urzędnicy Kuryi postarali się o to, aby mu papież nie nadał tej posady, do czego przyczynił się nie mało Poggio, który, o wiele starszy od Valli, nie mógł znieść, aby taki młodzik, i do tego śmiałek, występujący przeciw Ciceronowi, zasiadł w kancelaryach papieskich pomiędzy zasłużonymi ludźmi. Dwudziestoczteroletni Valla musiał więc szukać szczęścia poza Rzymem; udał się do Pawii, gdzie od roku 1431 zaczął uczyć retoryki na uniwersytecie za nędzne stypendium pięćdziesięciu florenów, i ogłosił dyalog »De voluptate«, o rozkoszy, w którym wypowiedział otwartą wojnę dotychczasowym artykułom wiary filozoficznej. Drwił z Arystotelesa, nazywał go głupcem i kłamcą, wyśmiewał się z Platona, a co więcej, uważał za niedorzeczność starania humanistów, aby pogodzić chrześcijańską religię ze starożytną filozofią, i głosił, że jedyną rozumną filozofią jest praktyka życia w myśl zasad Epikura. Podstawą wszelkiej cnoty jest według niego miłość, chce on oswobodzić myśl ludzką od nałożonych jej pęt i podejmuje walkę o prawdę. Rzecz była napisana pięknie, nadzwyczaj zręcznie, broszura uderzała przytem na klasztory, na niemoralność mniszej wstrzeźliwości, co wobec powszechnej niechęci, jaka wówczas panowała ku żebrzącym zakonom, było bardzo popularnem. Nikt dotąd nie odważył się podnieść siekiery na takie bożyszcze, jak Arystoteles, w braku jego nauk musiałyby chyba runąć ówczesne uniwersytety, dla których starożytny filozof był główną treścią wykładów. Pomiędzy profesorami więc i w zakonnym świecie powstało bezgraniczne oburzenie na młodego Rzymianina, powtarzano o nim, że w swym obłądździe zarozumiałości chce nie tylko potępiać teraźniejszość, lecz także i starożytność poprawiać: »Corrector veterum, contemptor Valla novorum«.

W innym piśmie zaczął Valla prawników, wykazując ich nieudolność w porównaniu z rzymskimi uczonymi, i tak



znowu oburzył notaryuszów i profesorów, że chcieli go obić na ulicy. Valla więc musiał uciekać z Pawii; szedł z miasta do miasta, wykladał w Genui, w Medyolanie i w Ferrarze i przygotowywał nową rzecz, która miała ustalić jego sławę. Książka ta nosi tytuł »De elegantii« — i jest dziełem filologicznem niesłychanej pracy, erudycji i bystrości, w którym Valla dowodzi, że z ówczesnych łacinników żaden nie umie dobrze pisać po łacinie, i wykazuje nieskończoną ilość błędów, które poprawić trzeba, aby się zbliżyć do klasycznego języka. Potomność przyznała mu też olbrzymią zasługę pod względem oczyszczenia łacińskiego języka, a nawet na jego nagrobku napisała dwuwiersz:

Laurens Valla iacet romanae gloria linguae;  
Primus enim docuit, qua decet arte loqui.

Kwestye filologiczno-gramatyczne roznamiętniały wówczas w niezrozumiały prawie dla nas sposób całe wykształcone społeczeństwo i stały się powodem zaciętych walk osobistych, ale też i rozgłaszały nazwiska wojujących humanistów. Valla stał się wskutek swych rozpraw tak sławnym, że król Alfons Neapolitański, najcześniejszy ówczesny monarcha, protektor poetów i literatów, powołał go na swego lektora. Za Alfonsa panowała w Neapolu niebywała dotąd w żadnym państwie wolność słowa, można było pisać i drukować przeciw Kościołowi i religii, co się podobało, a nawet nie liczyć się zupełnie z zasadami publicznej moralności. Dość powiedzieć, że Panormita, autor Hermafrodyta, był literackim doradcą króla.

Pomiędzy Alfonsem a papieżem Eugeniuszem wrzała wówczas zawzięta walka. Papież chciał osadzić dynastję andegaweńską na neapolitańskim tronie, a Vitelleschi imieniem Eugeniusza IV zajął nawet część neapolitańskiego kraju; Alfons natomiast popierał koncylium w Bazylei, które uchwaliło detronizację Eugeniusza i na jego miejsce wybrało papieżem Feliksa V. W XV wieku uważaną była jeszcze tak zwana »Donacya Konstantyna« za obowiązującą i stanowiła część prawa publicznego. Na podstawie tej »Donacyi« był



papież świeckim monarchą w Rzymie i panem Neapolu, a król Alfons jego lennikiem. Otóż Valla, w porozumieniu z Alfonsem, wystąpił teraz z pismem, w którym dowodzi, że akt owej darowizny był już w późniejszych czasach podrobiony, że cała darowizna nie jest historycznie stwierdzona i że wogóle nie mogła prawnie istnieć; papież więc nie tylko że nie ma prawa do panowania w Neapolu i w Sycylii, lecz nawet Rzym do niego nie należy. Eugeniusza IV nazywa Valla w tem piśmie tyranem, a Vitelleschiego wyrodkiem ludzkości, który miecz swój utopił w krwi chrześcijańskiej i od tego samego miecza zginął. Nadto występuje autor z niebywałą gwałtownością przeciw papieżstwu, które się zamieniło w świecką potęgę, i zapowiada, że będzie prowadził zawziętą walkę przeciw rzymskiej tyranii. Broszura Valli wywołała wiele hałasu, ale praktycznych skutków nie miała, albowiem Alfons pogodził się z papieżem, który powrócił do Rzymu i objął tam panowanie. Valla natomiast zaczął się nawet starać o posadę sekretarza przy Stolicy Apostolskiej, jak gdyby nic wobec niej nie zawinił. Gdy jednak starania te nie odniosły na razie pożądanego skutku, rozpoczął wojnę z mnichami, którym głównie przypisywał, że przeszkadzają mu w uzyskaniu posady sekretarza papieskiego. Wydrukował więc »Dyalog o mniszej profesyi«, »De professione religiosorum«, w którym zaprzecza zakonnikom prawa nazywania się »religijnymi«, »religiosi«, gdyż religię tylko poniewierają i są właściwie sekciarzami, którychby Kościół wykląć powinien. Klasztory podobne są, jego zdaniem, do owego asyłu Romulusa, gdzie założyciel Rzymu zbierał wszelkie męty społeczeństwa, do zakonów bowiem chronią się tylko próżniaki i nieuki. Dyalog ten tak wzburzył mnichów przeciw Valli, że Obserwanci chcieli go postawić przed trybunał Inkwizycyi, ale dzięki protekcji króla Alfonsa Valla uniknął niebezpieczeństwa. Co więcej, umiał on sobie znaleźć w Rzymie przyjaciół, którzy go wobec papieża obronili. Kardynał Landriani był wielkim przyjacielem humanistów i on to wyrobił Valli pozwolenie przybycia do Rzymu; ale Obserwanci nie mogli znieść obecności swego wroga w stolicy, obawiali się, aby pomimo napaści na Ko-



ściół i na zakony nie dopiął swego celu i nie został sekretarzem papieskim, pracowali więc cichaczem nad tem, aby go oddać trybunałowi Inkwizycyi. Valla musiał się o tem dowiedzieć, gdyż po dwóch miesiącach pobytu w Rzymie uciekł stamtąd i powrócił na dwór króla Alfonsa.

### III.

Eugeniusz IV umarł 23 lutego 1447; żalowali go Franciszkanie Obserwanci, dla humanistów był jego zgon dość obojętny. Gdy zaś ze zwołanego 4 marca conclave wyszedł jako papież Mikołaj V, ów Parentucelli, dawny sekretarz kardynała Albergatiego, któregośmy poznali we Florencyi, to radość nie do opisania zapanowała w całej rzeczypospolitej uczonych. Wszak większość humanistów zostawała z nim od dawna w bliższych stosunkach, a nawet w przyjaźni, każdy więc z literatów marzył o tem, że dostanie jakiś urząd przy Kuryi rzymskiej albo przynajmniej beneficjum.

Mikołaj V był dopiero od trzech lat biskupem, a od sześciu miesięcy kardynałem, a gdy mu się w nocy przed conclave śniło, że został papieżem, tak się z rana roześmiał z tej mrzonki, że towarzyszący mu duchowny spytał go, z czego się tak śmieje. Parentucelli odpowiedział, że mu się śniło, iż zostanie papieżem, on, sześciomiesięczny kardynał, człowiek pochodzący z ubogiej rodziny. Od dawna bywało w zwyczaju, że każdy z kardynałów kazał ubierać swoją cełę podczas conclave w odmienną barwę; były więc cele czerwone, zielone, fioletowe i inne, jeden tylko Parentucelli pozostawił biały pokój, co jak pisał Pius II, odpowiadało czystej duszy kardynała. Conclave trwało dziwnie krótko, szósteo marca już wyszedł z urny Parentucelli. Położył on w ostatnim właśnie roku wielkie zasługi około Kościoła, wysłany bowiem przez Eugeniusza IV w celach politycznych do Francyi i Niemiec, okazał nadzwyczajne dyplomatyczne zdolności, przyczyniając się do rozbicia związku kurfirstów, bardzo niebezpiecznego dla Stolicy Apostolskiej.



Wybór kardynała bolońskiego zadowolnił wszystkich, wiedziano bowiem, że nowy papież będzie dążył do utrzymania pokoju. Postać jego była wprawdzie niepokazna, ale wielka prostota w obejściu i niezwykła żywość usposobienia czyniły go bardzo sympatycznym. Nizkiego wzrostu, szczupły, prawie brzydki, chorowity, wskutek czego blady na twarzy, raził dużemi wargami, nie mógł też na zewnątrz takiego sprawiać wrażenia, jak poważny, wspaniały mnich Eugeniusz IV, albo jak późniejszy Paweł II, »najpiękniejszy z papieży«. Lud rzymski, uważający na pozory, nie bardzo był zachwycony, gdy zobaczył niską postać Mikołaja V wyjeżdżającego z conclave według dawnego zwyczaju na białym koniu, ale w oczach nowego papieża pełnych żaru przebijała bystrość umysłu, połączona z dobrocią. Czasami oczy te zapłonęły gniewem; Parentucelli łatwo się unosił, ale w ciągu życia nauczył się panować nad sobą. Zostawszy papieżem, miał lat pięćdziesiąt, czuł się dość silnym do pracy, a działalność jego piękną być miała. Niejednokrotnie powtarzał, że postawił sobie za cel życia zagoić rany, które rządy jego poprzednika zadały Włochom, i nie wojować więcej mieczem, lecz krzyżem; osiągnąwszy najwyższą godność w chrześcijaństwie, pragnął tylko uszczęśliwienia ludzkości.

Zaczął od tego swoje panowanie, że stał się dla każdego przystępnym. Dawał co piątku publiczne posłuchania, na które się gromadziło mnóstwo ludzi różnych stanów. Jednym z pierwszych, którzy przybyli do Rzymu, aby Mikołajowi V wyrazić swoją radość z powodu jego wyniesienia na Stolicę Apostolską, był Vespasiano da Bisticci. O siódmej wieczorem, godzinie posłuchań, wszedł florentyński księgarz do sali, gdzie się zgromadzali petenci, a skoro go papież spostrzegł, głośno się z nim przywitał i kazał mu poczekać, gdyż chce z nim pomówić na osobności. Po chwili oznajmiono mu, że go papież przyjmie. Bisticci pospieszył więc do sali posłuchań, ukląkł przed papieżem i ucałował mu stopy według zwyczaju; ale Mikołaj V kazał mu wstać i zaprowadził go do jednego z dalszych pokoi, gdzie z nim usiadł koło drzwi, wychodzących na ogrodową terasę. Mikołaj nie lubił, aby przed nim stano, a jeżeli z kim chciał dłużej mówić, chwycił go za



ramię i kazał usiąść przy sobie. Gdy teraz znalazł się z Bisticcim bez świadków, uśmiechając się powiedział: »Mój Wespazjanie, czy też przyszło na myśl Florentyńczykom, aby ten biedny klecha, który niegdyś sam musiał dzwonić w kościele, został wkrótce papieżem«? Bisticci znalazł zręczną odpowiedź na to przyjacielskie zapytanie, dając wyraz powszechnemu przekonaniu, że tylko wielkie cnoty wyniosły tak wysoko owego ubogiego księdza, który z pewnością przywróci pokój krajowi znękanemu wojnami. Papież zapewnił go wtedy, że nie mieczem, ale krzyżem będzie wojował, i zwrócił rozmowę na inny przedmiot, na spłacenie długu wdzięczności wobec Medyceuszów, który mu ciążył na sercu.

Dług to był niedawny. Gdy Eugeniusz IV wysłał Parentucellego jako biskupa bolońskiego do Francji i Niemiec w celach dyplomatycznych, dał mu obszerną instrukcję, ale mało pieniędzy na drogę. Sam zaś poseł nie miał funduszków, albowiem owo biskupstwo bolońskie wtedy nic nie przynosiło. Zafrasowany Parentucelli przyjechał do Florencji, a po naradzie z Bisticcim udał się przez niego do Cosima Medyceusza, który na wszystkie dobre cele miał otwartą rękę, czyby mu nie pożyczył jakich stu dukatów na ową wyprawę. Cosimo ani chwili się nie zawahał, ale zawołał zaraz swego kasyera i kazał dać bolońskiemu biskupowi list do swoich korespondentów zagranicznych, aby mu wypłacali kwoty, jakich tylko będzie potrzebował. Biskup żądał w drodze bardzo niewiele, dwieście florenów, ale gdy wracał na Florencję do Rzymu, znów mu pieniędzy zabrakło. Więc i tym razem Bisticci musiał iść do Cosima. Medyceusz zdziwił się, że tak mało kosztowała dyplomatyczna podróż, i kazał biskupowi wręczyć znowu sto florenów.

Otóż to były długi wdzięczności, które Mikołaj V chciał spłacić. A spłacił je sowicie, kazał bowiem Bisticciemu oznajmić Medyceuszom, że od jutra powierza ich bankowi interesa depozytowe Stolicy Apostolskiej i mianuje ich głównymi swymi bankierami. Przyszłość okazała, że ta nominacya nie lada jakim była podarunkiem, podczas samego bowiem jubileuszu z r. 1450 złożyła Kamera papieska u Medyceuszów olbrzymią na owe czasy sumę stu tysięcy florenów.



Papież rad był jeszcze i w inny sposób okazać swą sympatyę Florencyi, a ponieważ właśnie przyjechało stamtąd poselstwo, które mu chciało złożyć życzenia, więc oświadczył Bisticciemu, że Florentyńczyków przyjmie na publicznym konsystorzu z takimi honorami, z jakimi się wita cesarza i królów. Pragnął także Mikołaj samemu Bisticciemu wyświadczyć jakąś przysługę, ale skromny księgarz niczego nie żądał, żyjąc bowiem z pracy, był, jak się wyraża, »nie-doświadczonym w proszeniu«. Ponieważ rozmowa długo się przeciągnęła i późna już była godzina, prosił Mikołaj swego gościa, aby został na wieczrę i przenocował w pokoju, przytykającym do papieskiej sypialni; usprawiedliwił się tylko, że łóżko będzie niewygodne, gdyż ludek rzymski zrabował według zwyczaju całe mieszkanie po śmierci Eugeniusza i trzeba było wyżebrać łóżka i pościel od kardynałów, aby się jako tako na razie urządzić.

Nazajutrz przyjął papież, jak zapowiedział, Florentyńczyków na publicznym konsystorzu, a w poselstwie znajdowali się znakomici ludzie, jak Giannozzo Pitti, Piero di Cosimo de Medici i Giannozzo Manetti. Bisticci pisze, że poselstwo przepysznie wyglądało, »chè fu cosa mirabile«. Członkowie deputacyi przybyli w sto dwadzieścia koni, wszyscy jednako ubrani, a gdy weszli do sali, wzbudzili powszechny podziw. Messer Giannozzo Manetti miał do papieża przemowę, która trwała trochę za długo, bo aż pięć kwadransów. Mikołaj V słuchał jej z przymrużonemi oczyma, tak iż jednemu z kardynałów, którzy obok niego siedzieli, zdawało się, że papież zasnął, więc trącił go z lekka łokciem, aby się obudził. Nie było to wszakże potrzebnem, albowiem papież słuchał całej mowy z natężoną uwagą, a gdy Manetti skończył, odpowiedział mu tak pięknie, iż wszystkich zadziwił. Mikołaj V był bardzo wymownym, głos miał dźwięczny i poważny, a zdania z taką łatwością z ust mu płynęły, jak gdyby nie potrzebował się nad nimi zastanawiać. Wówczas nie można było wypowiedzieć pięknej mowy, nie przytaczając zdań starożytnych autorów; papieżowi nie sprawiało to jednak trudności, gdyż miał niezwykłą pamięć i mało było klasycznych greckich lub łacińskich pisarzy, którychby nie



był przeczytał dokładnie, a całą biblię, jak powiada Bisticci, »miał w głowie«. Wogóle wskutek rozmaitych kolei, jakie w życiu przechodził, wskutek obcowania z ludźmi wyższych i niższych stanów, nabrał tyle przeróżnych wiadomości, że z każdym umiał tak rozmawiać, jak gdyby się wśród jego zajęć wychował. A dowiadywał się od ludzi dużo, gdyż nienawidząc wszelkich nieszczerości, wzbudzał zaufanie. Zdziwiał też swemi wiadomościami, którychby nikt u niego nie przypuszczał; był n. p. tak biegłym w naukach medycznych, że leczył nieraz swego dawnego kardynała Albergatego; pomiędzy bibliografami taką stał się powagą, że Cosimo de Medici urządzając bibliotekę w S. Marco, prosił go o radę, z jakich dzieł publiczny księgozbiór składać się powinien. Szczególne zamiłowanie miał do architektury i nieraz mawiał jeszcze za młodych czasów, że gdyby mógł, toby tylko budował i książki skupował. Tej namiętności mógł jako papież dogodzić.

Przestrzegając jak najzupełniejszej neutralności wobec zatargów i wojen, w które byli zawikłani inni włoscy panujący, potrafił uspokoić państwo kościelne, a urządzając jubileusz w r. 1450 przysporzył skarbowi papieskiemu olbrzymich dochodów. Uroczystości jubileuszowe pomimo strasznej zarazy, jaka w lecie tego roku w Rzymie panowała, ściągały niesłychane tłumy ludzi z najdalszych krańców Europy. Z samego Gdańska wyjechało dwa tysiące pielgrzymów, a i nasz historyk Długosz, jakeśmy wspomnieli, udał się do Rzymu. Jubileusz był bardzo korzystny dla kas papieskich i dla samych Rzymian, którzy ogromne sumy na nim zarobili; osobliwie wekslarze, bankierzy, aptekarze, właściciele gospód i zajazdów, tudzież malarze chustek św. Weroniki zgarnęli pieniędzy niemało. Papież tylko nie zachował się tak, jak na panującego przystało, i jak tylko zaczęło w Rzymie więcej ludzi umierać, natychmiast wyjechał z małym tylko dworem z miasta i co chwila zmieniał miejsce pobytu, przenosząc się z zamku do zamku, w miarę jak się zaraza rozszerzała. Poggio drwił z Mikołaja V, że tak się przejął starożytnymi zwyczajami, iż prowadzi życie koczownicze na wzór Scytów. W Fabriano bawił papież najdłużej, gdyż tam nie było za-



razy, ale pod karą śmierci zakazał idącym ze stolicy zbliżać się do jego siedziby poza siedmiomilowy okręg. Za przykładem papieża uciekła z Rzymu cała Kurya apostolska, a jeden ze świadków kłęski opowiada, że kardynałowie, biskupi, opaci, a nawet zakonnicy rozbiegli się na wszystkie strony świata, pozostawiając ludność w niegodny sposób bez żadnej opieki.

Rzecz charakterystyczna, że Mikołaj V zabrał ze sobą z Rzymu tylko uczonego Aurispę i przepisywaczy starożytnych rękopisów, obawiając się, aby mu w Rzymie nie wymarli. Wogóle tłumaczenie greckich pisarzy i odpisywanie ich dzieł było jedną z największych trosk i namiętności Mikołaja. Zaraz po wstąpieniu na Stolicę Apostolską znalazł dość funduszów, aby zgromadzić około siebie i utrzymać cały zastęp humanistów.

Przedewszystkiem starał się o to, ażeby jego kosztem przetłumaczono wszystkich greckich klasyków. Sprowadził też zaraz Giovanniego Aurispę, jako najslawniejszego znawcę greckiego języka, a znał go z Bolonii. Aurispa przyzwyczajony od młodości do ciągłych podróży, istny roznosiciel humanizmu, i teraz mimo lat osmdziesięciu nie mógł długo wytrzymać na jednym miejscu, a papież musiał go ciągłymi darami wiązać do swego dworu.

Również powołał Mikołaj V swego ukochanego Manettiego w r. 1451 na sekretarza Stolicy Apostolskiej. Manettiego nie lubili Medyceusze, a nie mogąc go w inny sposób pozbyć się z Florencyi, wpłynęli na to, że miejska komisya dochodowa tak go obarczała podatkami, iż biedak z największą radością przyjął wezwanie papieża. Poggio zaś sam przemówił się, aby mu Mikołaj V podobnie jak jego poprzednicy nadał posadę sekretarza. Stary już humanista, pomimo że narzekał ciągle na dworską służbę i mówił dużo o tem, że niczego więcej nie pragnie jak w spokoju uprawiać jarzyny w swej toskańskiej willi, przecież napisał charakterystyczny na owe czasy list do Mikołaja V, przypominając się, ażeby papież nie zapomniał o nim, jako o weteranie Kuryi rzymskiej i długoletnim wielbiciele jego cnót. Zalecał Mikołajowi V w tem piśmie, aby gromadził około siebie ludzi, któ-



rzyby jemu (papieżowi) byli podobni i aby założył niejako szkołę cnót wszelakich, któraby się stała początkiem złotego wieku sztuki i literatury.

Papież uczynił zadość życzeniu Poggia, powołał go do Rzymu i zamianował znowu sekretarzem Stolicy Apostolskiej. Stary zazdrośnik znalazł jednak w kancelaryi papieskiej tylu nowych humanistów, iż sądził, że jeżeli papież ich jeszcze więcej nasprowadza, to wkrótce będzie można na czele tego zastępu uczonych na Turka wyruszyć.

Pomiędzy innymi znalazł się i Valla w Rzymie, ów Lorenzo Valla, który zaprzeczał niedawno, jakoby papieże mieli jakie prawo do państwa kościelnego, który najgwałtowniejsze inwektywy rzucał na duchowieństwo i zaledwie uniknął procesu z Inkwizycją. Ale Lorenzo miał już sławę ustaloną, a papież pragnął otoczyć Stolicę Apostolską aureolą nauki. Valla przybył zresztą do Rzymu wcale uległy, godzący się już z papieństwem, więc Mikołaj V zamianował go profesorem w tamtejszem »Studio«. Poggio był z tej nominacji niezadowolony, uważał Vallę za swego najniebezpieczniejszego przeciwnika, gdyż Lorenzo miał obok niego najwięcej pisarskiego talentu ze wszystkich ówczesnych humanistów, a więcej nauki i gruntowności. Niebawem też znalazła się sposobność, aby ci dwaj współzawodnicy gwałtownie się ze sobą starli, stoczyli bój, który się stał sławnym w dziejach humanizmu. Zdarzyło się, że jeden z uczniów Valli, jakiś Katalończyk, miał w ręku tom listów Poggia w odpisie i na marginesie poczynił poprawki, wykazujące błędy stylistyczne, w tych listach się znajdujące. Poggio dowiedział się o tem, a podejrzewając, że Valla namówił Katalończyka do zrobienia tych uwag, napisał natychmiast »Inwektywę« pełną oburzenia na Vallę, broniąc się, że owe zarzuty stylistyczne nie mają najmniejszej podstawy. Tego tylko brakowało, aby Vallę rozdrażnić; miał on z Poggiem dawne rachunki, podejrzewał go bowiem o intrygi przeciw sobie jeszcze za czasów Eugeniusza IV, ułożył więc odpowiedź, która ziała jadem. Ale i Poggio nie dał się w wymyślaniach prześcignąć i wydał drugą »Inwektywę« na Vallę, będącą szczytem tych piekielnych pism pełnych napaści i oszczerstw, które bywały



bronią humanistów. Wrobił się u nich zwyczaj, aby w literackich walkach nie dać się zwyciężyć przeciwnikowi, nie uleść mu wobec opinii publicznej. Chodziło nieraz nie tyle o wylanie żółci, ile o przekonanie czytelników, że się jest wyższym od przeciwnika w wyszydzeniu i ośmieszeniu go, a także o rozgłos, o sławę. Humanisci odziedziczyli tę »chwalebną cnotę prześcigania się w oszczerstwach« od średniowiecznych scholastyków, którzy także posiadali w wysokim stopniu talent rzucania na siebie najzjadliwszych obelg i uważali literacką vendettę za konieczną.

. . . . . Invendicata ingiura  
Chiama da lungo la novella offesa.

Ponieważ Valla odpowiedział na drugą »Inwektywę« Poggia pismem, które nazwał »Antidotum«, więc walka z rozlewem atramentu toczyła się dalej, rzucano na siebie i odrzucano sobie nawzajem garście obelg, tak że Poggio doszedł aż do pięciu inwektyw »contra Vallam«, w których mu wypominał popełnione kradzieże, pijaństwo, nieuctwo, kacerstwo i w których każdy zarzut starał się potwierdzić jakąś anegdotą z życia swego przeciwnika. Do jakich śmieszności dochodziło czasem w tych utarczkach, może posłużyć za dowód jedna anegdotka. Poggio zarzucił Valli, że uwiódł służącą swojej siostry; Valla bardzo poważnie przyznał się do winy, ale tłumaczył się, że w tym razie chodziło mu właśnie o ratowanie honoru, albowiem szwagier wyśmiewał się z jego obojętności wobec płci pięknej i wogóle krewni zarzucali mu »frigidam naturam«. Aby więc obronić się przed niesłusznymi zarzutami i zadrwić sobie ze szwagra, posunął się do tego kroku. W jednej z inwektyw dowodzi Poggio, że Valla już był zasądzony do piekieł i że się tam z pewnością dostanie. Ponieważ jednak mimo tego wyroku skazaniec chodził po Rzymie, więc Poggio poczuwał się do obowiązku w następnej inwektywie fakt ten tak wytłumaczyć, że Valla odsiadywał już karę za swe niegodne życie w czarnych podziemiach, ale dyabły poznawszy jego przewrotność uradziły, że trzeba go napowrót posłać na ziemię, aby ludzi namawiał



do zepsucia i przysparzał piekłu zdobyczy. Musiał więc Valla złożyć przysięgę wierności najstarszemu szatanowi i dopiero wtedy go na wolność puszczono <sup>1)</sup>).

<sup>1)</sup> Ażeby dać wyobrażenie o stylu tych literackich napaści, przytoczę inwektywę Filelfa przeciw Poggiowi w tłumaczeniu z łacińskiego, o ile przytoczyć się da z powodu swej nieprzyzwoitości. Oto Filelfo apostrofuje swego przeciwnika:

- »Uciąćby ci, Poggio, więcej niż połowę języka, którym ciągle szarpiesz  
 »Ludzi zacnych. Kogóż łotrze, miałeś w tem rzemiośle mistrzem?  
 »Czy z błazna i głupca, pozbawionego rozumu, twój Likolaos Utis  
 [zrobił niegodziwca,  
 »Co się wszelkich dopuszcza zbrodni? Złorzeczyć tylko umiejąc  
 [wszystkim  
 »Złotą cnotą jaśniejącym, rzucasz się piórem, nie mogąc językiem,  
 [co go  
 »Zbyt grubym zrobiło pijaństwo i wyuzdana Wenus. Zalewając się  
 [we dnie  
 »I w nocy morzem spienionego wina, ładując do olbrzymiego kałduna,  
 »Cokolwiek morze, ziemia i powietrze do jedzenia rodzi, na wszelką  
 [sprosność  
 »Bierną i czynną wylany . . . . .  
 -----  
 »Smutną znajdujesz rozkosz w tem, że się rzucasz na wszystkich  
 »Rozsądnych i nikogo nie oszczędzasz, jak żmija śmiertelnym jadem  
 [ziemię i niebo  
 »Zatruwając. Przemilczę innych, których nie przemilczą wieki, których  
 [cnota skrzydłata  
 »Wyniosła pod obłoki: powiedz, coś znalazł nagannego, co poniżej  
 [najczystszej  
 »Zacności w dwu nieposzlakowanych mężach, z których jeden zrodzony  
 [w etruskiej ziemi,  
 »W słowach i czynach piękny, Bernardyn, całą Italię skierował ku  
 [niebu;  
 »Drugi zaś, nie ustępujący nikomu w cnocie, Nikolios, urodzon  
 [w Bolonii,  
 »Zasługą i stanowiskiem wielkiemu kapłanowi najbliższy, samego  
 [Chrystusa  
 »Naśladuje życiem. A ty, pijanico, coś chory na język, gnuśny, tym  
 »Ciągle złorzeczysz, co na ziemi i w niebie mają uznanie i chwałę; sam  
 »Jeden sprośnym językiem lżysz górnego życia zwolenników, gdyż na  
 »Wszelką zbrodnię wylany, nie uważasz za szpetne, cokolwiek sza-  
 [leństwo i  
 »Swawola przyniosą na język.



Ta szermierka na pióra, w błocie zmaczane, przeszkadzała Valli w poważnej pracy, a przyznać mu trzeba, że on właściwie wlał nowe życie w uniwersytet rzymski, tak zwaną »Sapienzę«, która pomimo reform Eugeniusza IV zaledwie istniała. Valla sprowadził się do domu Sapienzy i całym sercem zajął się studentami, czytał im Wergiliusza, Kwintyliana i Cicerona i wszczepiał w nich zrozumienie i miłość starożytności. Wychował też całe pokolenie młodych humanistów, a przedewszystkiem Pomponia Laeta i Platinę, o których nam mówić przyjdzie.

W kołach starszych humanistów pozostawił po sobie wspomnienie jednego z najniebezpieczniejszych, najzjadliwszych przeciwników, a po śmierci takie mu napisano epitafium:

---

Należałoby przynajmniej miłość cnoty udawać; kto chwali zacnych i uczonych, sam za takiego uchodzi. Sama natura chce, abyśmy język trzymali na wodzy, gdyż zamknęła go ustami i obwarowała szansem podwójnym, ażeby tak wargami i zębami obstawion, czysto wygłaszał, co się w głębiach duszy zrodziło.

»Lecz u ciebie, jąkało, zawsze gęba otwarta na oścież«.

Własne występki wyrzucasz innym. Grzech napadać na dobrych, a Pan Bóg wielu już z tego powodu strasznie ukarał.

»Ach o wieleż lepiejby było dla ciebie i dla twej sławy

»Gdybyś szaleńcze siebie zbadał do gruntu i zajrzał w głąb tajników

»Swej duszy, poznał dokładnie swój obłąd, że pozbawion rozumu, idziesz

»Ślepo za popędem głupoty, słuchasz podszeptów szaleństwa.

To tłumaczy całe twoje postępowanie.

»Albo się więc popraw, Poggio,

»Albo udawaj, jąkało, czem nie jesteś,

»Albo przynajmniej przestań lżyć cnotliwych,

»Dokuczając nieustannie. Ostrożnie z językiem

»I zapalczywość wewnętrzną niech układ twarzy zasłoni!

»Tak mniej urazisz i sam może nawzajem mniej doznasz przykrości.

»Bo jeżeli i najcnotliwszy człowiek doznaje haniebnej napaści,

»Jakżeż ty mógłbyś żyć bezpiecznie, przysypan kupą ohydneho śmiecia?

»Jeżeli już nie chcesz być dobrym,

»Przynajmniej o pozory się staraj, język i pióro trzymając na wodzy.

»Wszelka bowiem krzywda przykra, ale przykrzejsza zawsze,

»Od niegodziwca dzielnemu zadana.



Ohe! ut Valla silet; solitus qui parcere non est,  
Si quaeris, quid agat, nunc quoque mordet humum.

Oh, co to się znaczy, że Valla milczy, Valla, który wszystkich kąsał. Pytasz się, co teraz robi? Kąsze jeszcze ziemię.

Valla był może najznakomitszym krytykiem humanizmu i nadawał cechę tej epoce, przedewszystkiem krytycznej, nadzwyczaj ważnej dla powszechnej kultury, jałowej dla literatury włoskiej. Stanowisko jego wobec idei, przekazanych przez starożytnych pisarzy, było zupełnie odmienne od zapatrywań, jakie mieli w tej mierze inni humaniści; wyśmiewał on się z zachcianek przywrócenia pogańskich wyobrażeń i odbudowania rzymskiego imperium. Natomiast opierał się na chrześcijaństwie, odrzucał konieczność rozłamów pomiędzy umiejętnością a wiarą i pracował nad tem, aby idee starożytne przyczyniły się do rozwoju nowożytnych dążeń.

#### IV.

Nie dość było rzymskim humanistom, że się pomiędzy sobą kłócili; mieli oni jeszcze stały powód do zazdrości i sporów, patrząc się na odbierających im chleb greckich uczonych, których się po upadku Konstantynopola aż nadto w Rzymie namnożyło. Protektorem ich był kardynał Bessarion, »ostatni znakomity Grek«, jak go później nazywano. Był on początkowo mnichem Bazylianinem niskiego pochodzenia, który się wybił niepospolitemi zdolnościami, został członkiem uczonej sekty Neoplatonczyków, a posiadłszy ich tajemnice, należał w niej do związku »wybranych«. Związek ten, istniejący pomiędzy uczonymi Grekami, miał na celu wzajemne pomaganie sobie w naukach i w życiu. Wiara stowarzyszenia była jakąś mieszaniną pogańskich i chrześcijańskich pojęć, pełna ciemnego mistycyzmu. W niebie istnieli jeszcze dla nich bogowie olimpijscy, do których »wybrani wędrowali po śmierci, aby z nimi zawodzić tany z mistycznym »Jakchos«.

W ojczyźnie jeszcze doszedł Bessarion do wysokiego stanowiska, otrzymał tytuł arcybiskupa nicejskiego, a po raz



pierwszy przybył do Włoch z Paleologiem na synod do Ferrary i Florencyi, mający na celu połączenie Wschodniego Kościoła z Zachodnim. Odtąd pozostał już we Włoszech, a ponieważ głównie się przyczynił do zawarcia unii, po której się na razie w Rzymie dużo spodziewano, i pierwszy dla przykładu przeszedł na grecko-katolicki obrządek, przeto papież zamianował go kardynałem i powierzył mu reformę klasztorów bazylikańskich, których się jeszcze dużo znajdowało w południowych Włoszech. Bessarion zamieszkał w Rzymie, miał własny pałac w okolicy kościoła SS. Apostoli i stał się opiekunem greckich emigrantów, a szczególnie uczonych, którzy się pod jego skrzydła chronili. Był on bardzo dobroczynny, gościnnie, lubił zgromadzać u siebie nie tylko greckich, lecz i włoskich uczonych, a literackie wieczory u niego stały się głośnie na całe Włochy. Bywali tam Poggio, Filelfo, Flavio Biondo i wielu innych, a czasami naśladując starożytnych Greków wychodził z nimi kardynał na przechadzkę, aby rozmawiać o filozoficznych zagadnieniach i unosić się nad mądrością Platona, którego był bezwzględny zwolennikiem. Zdaje się, że te zgromadzenia razily Mikołaja V, który dumny był ze swego otoczenia literackiego i nie chciał mieć obok siebie drugiego mecenasa. Złośliwi dworzanie mówili też, że papież chcąc się pozbyć swego współzawodnika, zamianował go gubernatorem Bolonii, gdzie nie mając wiele do rządzenia, mógł się oddawać naukom.

Po śmierci Mikołaja V znaczna część kardynałów chciała wybrać Bessariona papieżem; ale ostatecznie przeważało zdanie, że nie wypada wynosić na Stolicę Apostolską neofity, noszącego jeszcze długą grecką brodę, i wybrano starego kardynała Borgię, Kaliksta III. Bessarion umarł w bardzo późnym wieku, a swoją nadzwyczaj cenną bibliotekę, najbogatszą wówczas w greckie rękopisy na całym Zachodzie, zapisał Wenecyi, jako miastu najodpowiedniejszemu do studyów helleńskich, gdyż tam się spotykali uczeni Wschodu i Zachodu. Biblioteka liczyła 746 rękopisów, które według zdania właściciela miały wartość 15.000 dukatów, i jest teraz najpoważniejszą częścią biblioteki ś. Marka w Wenecyi.

W Rzymie Greków nie lubiano; byli oni zarozumiali,



zamknięci w sobie, udawali wielką powagę i mieli się za coś wyższego od łacińskiej rasy. Pycha ta nie licowała z ich ubóstwem, przybywali bowiem z ojczyzny bez jakichkolwiek środków utrzymania, prawie o żebraczym chlebie.

Do wybitniejszych Greków należał Georgios Trapezuntios, który wprawdzie nie pochodził z Trapezuntu, jednak takie przybrał nazwisko, aby się podnieść w opinii publicznej, gdyż Trapezunt słynął jako siedziba uczonych. Wenecki humanista, patrycyusz Francesco Barbaro, przywiózł go z Kandyi jako odpisywacza greckich rękopisów; ale odpisywacz niepospolitym był obdarzony talentem, nauczył się wkrótce po łacinie, został wędrownym nauczycielem, szedł od miasta do miasta, gdyż z powodu swego kłótliwego usposobienia nigdzie długo popasać nie mógł, aż nareszcie oparł się o Rzym. Za Eugeniusza IV uczył tam retoryki, a Mikołaj V mianował go sekretarzem Kuryi i powierzył mu tłumaczenie greckich klasyków na język łaciński. Te tłumaczenia okazały się wszakże błędnymi; Georgios opuszczał trudniejsze zdania, albo je zmieniał według swojej woli, chodziło mu tylko o zapłatę. Poggio nie lubił Georgiosa; całe zachowanie się tego zarozumialca było mu wstrętne, ale musiał z nim żyć w zgodzie, gdyż go potrzebował. Papież kazał Poggiowi przetłumaczyć Cyropedyę Xenofonta, tudzież rozprawy Diodora Sicula, co mu niemało sprawiało trudności, gdyż dobrze po grecku nie umiał. Musiał zatem przy tłumaczeniu trudniejszych ustępów porozumiewać się z Georgiose, co się stało powodem nieporozumień pomiędzy łacinnikiem a Grekiem. Georgios zaczął się chwalić publicznie, że najlepsze rozdziały w tłumaczeniach Poggia są jego robotą, a gdy się sekretarze Kuryi zgromadzili raz w teatrze Pompejusza, obwiniał go wobec kolegów, że Poggio zamiast być wdzięcznym, napisał na niego inwektywę i posłał ją do Wenecyi. Poggio zarzucił mu kłamstwo, a rozgniewany Georgios uderzył go dwa razy w twarz, wskutek czego powstała pomiędzy nimi formalna bitwa i dopiero inni koledzy rozłączyli siłą rozżartych przeciwników. Po tem zajściu kazał papież Trapezuntowi Rzym opuścić; ale wrócił on niebawem i skarżył się przed papieżem, że Poggio wysłał za nim ban-



dyltów do Neapolu, aby go zamordowali. Poggio odpowiedział Grekowi bardzo pogardliwym listem, że ma co innego do czynienia, aniżeli nastawać na jego marne życie, owszem życzy mu najdłuższego powodzenia, aby jeszcze miał sposobność odzyskać te pieniądze, które stracił, pożyczając na lichwę.

Przeciwnicy zresztą wkrótce zostali rozdzieleni, gdyż Poggio musiał Rzym zupełnie opuścić, powołany na jeden z najzaszczytniejszych urzędów we Florencji. Wyrobił się tam w ostatnich czasach zwyczaj, że kanclerzami rzecypospolitej mianowano samych znakomitych literatów, jak Coluccio Salutati, Leonardo i Carlo Aretino. Ten ostatni umarł 24 kwietnia 1453, a po nim za wpływem Medyceuszów ofiarowano tę posadę Poggiowi, który należał do najlepszych przyjaciół swych protektorów. Takiego wybitnego stanowiska nie mógł nasz humanista odrzucić, tem bardziej, że chodziło mu o zabezpieczenie przyszłości synom, którzy we florentyńskim państwie szukać musieli utrzymania. Po pięćdziesięcioletniej z małemi przerwami służbie w Kuryi apostołskiej opuścił Poggio Rzym w czerwcu 1453 na zawsze. Zapisał on się w dziejach Kuryi jako jedna z najwybitniejszych postaci, jako człowiek, który wielki wpływ wywarł na kierunek rzymskiej myśli w XV wieku. Wnosił on do Lateranu sztandar humanistycznej rewolucji, uderzającej w zakony z powodu ich nieużyteczności, żądającej reformy duchowieństwa, walczącej przeciw wpływowi rycerskich rodów. Często miał w samych papieżach ukrytych sprzymierzeńców i tem się tłumaczy, że mógł pół wieku tam działać.

## V.

Oprócz tłumaczy miał papież cały legion kopistów, po większej części Francuzów i Niemców, którzy musieli pomnażać rzadsze rękopisy. Do prac, wymagających pilności, a nawet do osobistych usług chętnie używał obcych, mawiał bowiem, że Włosi nie są zadowoleni z tego, co mają, zawsze czegoś więcej pragną, są więc złymi sługami. Mikołaj był



zapałonym bibliomanem; każdy nowy rękopis go cieszył, kazał go pięknie oprawić, swój herb na nim wybić i często spędzał całe godziny wśród szaf z książkami, trochę czytając, ale więcej jeszcze układając piękne foliały, radując się widokiem tych z wielkim mozolem i kosztem zebranych skarbów. Osobliwie chodziło mu o to, aby bardzo niedokładnie jeszcze znany skarb greckiej wiedzy jak najbardziej powiększyć, przelać go w kulturę łacińską i w ten sposób wszczepić w nią nowe soki żywotne. Im bardziej poznawano grecką literaturę, tem więcej przekonywano się, że literatura łacińska na niej się kształciła i że filozoficzna myśl rzymska w Grecyi miała swój początek. Gorączkowo też starał się papież o wyszukiwanie nieznanych jeszcze dzieł greckich, rozsyłał swoich agentów po wszystkich krajach, a nawet jednego z nich, Enocha z Ascoli, wyprawił na kilka lat na Północ, do Danii i Szwecyi, aby tylko ratować, co się jeszcze ze starożytnych pisarzy uratować dało. W ten sposób doszedł Mikołaj V do księgozbioru wynoszącego, jak Pastor oblicza, 1160 tomów, który się stał zawiązkiem biblioteki Watykańskiej.

Papież panował za krótko, tylko lat ośm, aby plany swe w zupełności mógł przeprowadzić, a zresztą pomiędzy jego współpracownikami nie było ożywczego ducha, nie było tego zapału i tej miłości do nauki, która cechowała florentyńskich humanistów. Pracowano też najczęściej pobieżnie, aby tylko jak najwięcej pieniędzy wyciągnąć z papieskiej sakwy. Pomędzy rzymskimi humanistami panowały szkodliwe zawiści; byli to ludzie zbierani z całego świata, których nic nie łączyło, a nie było nad nimi takiego Cosima Medyceusza, mistrza w rozumnem dopomaganiu uczonym.

Mikołaj V doznał zresztą w swej pracy około wszczepiania wiedzy i myśli starożytnych we włoskie społeczeństwo straszego, prawdziwie tragicznego zawodu. Zasady rzymskich pisarzy nie na wszystkie umysły w równy sposób działały. Jedni czerpali w nich spokojną filozofię życia, w innych pobudzały one chwilowe polityczne namiętności i stawały się powodem niebezpiecznych haseł. Wielkość dawnego Rzymu zawracała im głowy, sądzili, że potrzeba tylko



obalić rządy papieża i utworzyć rzeczpospolitą, aby dawny blask Rzymu przywrócić. Rozerwać mniemane więzy, które nakładał rząd papieski, podjął się Stefano Porcaro, człowiek wielkich zdolności, żądny sławy, ale fantasta, w którego głowie, podobnie jak u Rienzego, niejasne plany zwalczały wszelki zdrowy rozsądek. Chciał być republikańskim dyktatorem, wypędzić z Włoch papieża, do czego uważał się powołaną osobistością, ponieważ zdawało mu się, że pochodzi ze starożytnego rodu Porciów i że w jego żyłach płynie krew Katonów. Stefano był humanistą, czytał pilnie pisma wymierzone przeciw duchowieństwu i zdaje się, że rozprawa Valli o mniemanej darowiźnie Konstantyna, o rzekomo nieprawem panowaniu papieży w Rzymie stanowczo wpłynęła na jego rewolucyjne zamiary. Mikołaj V okazał kilkakrotnie wobec niego wiele pobłażliwości; ale Porcaro mimo to urządził spisek na życie papieża, pozyskał kilku swych krewnych, zebrał garstkę warcholów, kazał ukuć pozłacane kajdany, w którychby można »tyrana« na śmierć poprowadzić, i zamierzał ogłosić się na Kapitolu trybunem ludu. Rzecz nie była wówczas trudną do wykonania, gdyż spokojny papież nie miał wojska, a starając się wszelkimi sposobami o podniesienie dobrobytu ludności, nie przypuszczał, aby mu groziło jakieś niebezpieczeństwo. Szczęściem w pałacu papieskim dowiedziano się w ostatniej chwili o przygotowującym się zamachu; kardynałowie zebrali cokolwiek zbrojnych, a szybko działając, zdołano uwięzić przyszłego trybuna, schowanego u siostry w skrzyni pod sukniemi. Gdy go wprowadzono na ulicę, zaczął wołać: »Ludu! czy pozwolisz, aby twój obrońca miał zginąć?« — ale głosu tego nikt nie usłuchał. Porcaro został powieszony na platformie jednej z wież zamku św. Anioła.

Spisek ten sprawił na papieżu nadzwyczaj bolesne wrażenie; za tyle starań o podniesienie Rzymu doczekał się, że ukuto dla niego kajdany. Co więcej, właśnie jeden z tych humanistów, których papież miłością swą otaczał, podniósł przeciw niemu zbrodniczą rękę. Obok Porcara byli jeszcze inni literaci zamieszani w spisek, a nawet ci, którzy nie brali bezpośredniego udziału w sprzysiężeniu, mogli uchodzić za



moralnych sprawców zamachu. To też otaczający Stolicę Apostolską uczeni, obawiając się tego podejrzenia, zaczęli głośno potępiać Porcara, pisali panegiryki na cześć papieża, ale spokoju w jego duszy przywrócić już nie zdołali. Mikołaj V przekonał się, że jego ideały rozwiane, że rzymska ludność może lada chwila zniszczyć jego prace, spalić jego księgi, zburzyć gmachy, z takim zapalem postawione. Odzywały się nawet głosy w otoczeniu papieża, aby stolicę papieską przenieść do Bolonii, gdyż Rzymianom nigdy ufać nie można. Papież jednak nie usłuchał tych rad; postanowił pozostać w Rzymie, ale usposobienie jego od tej chwili bardzo się zmieniło, zamknął się w sobie, nie dowierzał nawet swemu otoczeniu i na zdrowiu bardzo podupadł.

## VI.

Mikołaj V nie tylko zbierał książki, ale i budował, budował dużo i nosił się z tak olbrzymimi planami, że gdyby był dłużej pożył, pozostawiłby swą stolicę godną Rzymu Cezarów. Jego następca Pius II Piccolomini powiedział, że gdyby dzieła architektoniczne, które Mikołaj V wznosić rozpoczął, mógł być dokończyć, toby żadne z nich nie ustępowało co do wspaniałości tym gmachom, które wzniesli imperatorowie. A w tym Rzymie, jaki papież Odrodzenia odziedziczyli po średnich wiekach, trzeba było dużo budować i do porządku doprowadzić te łomy marmurów i te gruzy, w które miasto obrócono.

Mikołaj V z całym zapalem i właściwą sobie systematycznością kazał odrestaurować przedewszystkiem kościoły, w których podczas wielkiego postu były stacye Męki Pańskiej; wielkich prac dokonał w S. Maria Maggiore, w S. Paolo, w S. Lorenzo fuori le mura i w mnóstwie innych kościołów, przysłużył się nadto miastu, odbudowując rzymski jeszcze wodociąg Acqua Vergine. Ale wszystkie te prace nikły wobec olbrzymiego planu przebudowania właściwej papieskiej siedziby, całego Watykanu i otaczającej go dzielnicy wraz z bazyliką św. Piotra. W architektonicznych pomysłach wspie-



rał papieża słynny Leo Battista Alberti, a z obrad tych dwóch znakomitych ludzi wyszedł ów z powodu swych rozmiarów prawie fantastyczny projekt.

Od mostu i zamku św. Anioła miały trzy proste ulice prowadzić na plac przed bazyliką św. Piotra. Ulice te chciał architekt oprawić z obydwu stron w podcienia, spoczywające na poważnych słupach, jedna z nich, najbardziej na prawo położona, miała otwierać widok na Watykan, środkowa na bazylikę, a trzecia, najbliższa Tybru, na gmachy przeznaczone dla kardynałów. Na placu św. Piotra miał stanąć olbrzymi pomnik, znak tryumfu chrześcijaństwa: obelisk Nerona, któryby otaczały u dołu spiżowe posągi ewangelistów, a koronowała postać Chrystusa trzymającego krzyż w prawej ręce. W głębi, podobnie jak dzisiaj, szerokie schody otwierałyby przystęp na wielką platformę, a po prawej i lewej stronie miały stanąć przepyszne wieże, których dzwony zwoływałyby świat chrześcijański na wielkie kościelne uroczystości. Platformę miała w głębi zakończyć olbrzymia hala z pięcioma bramami, za nią jeszcze projektowano umieścić monumentalną fontannę, otoczoną podobnymi krużgankami, jak dzisiejsza kolumnada Berniniego. W samej głębi powinna być się wzniesić świętość nad świętościami, bazylika św. Piotra z grobem apostoła. Papież pragnął, aby nowy kościół co do wspaniałości budowy i materiału przechodził wszystko, co się dotąd widziało, a trzeba go było zbudować, gdyż dotychczasowa bazylika groziła już upadkiem. Wreszcie poza nowym kościołem chciano założyć cmentarz dla papieży z pysznymi grobowcami.

Cały ten plan przenosi nas w jakieś wschodnie świątynie, działające na wyobraźnię, mające wzbudzić podziw w pielgrzymach i dawać im wyobrażenie o potędze religii. To stopniowanie architektonicznych wrażeń, rozpoczynające się już na moście św. Anioła, było genialnie obmyślane. Architektura miała tutaj stworzyć apoteozę religii i papieżstwa. Rzecz prosta, że Mikołaj V zamyślał także dla samego papieża i jego otoczenia zbudować niewidziane dotychczas pałace; według jego planów miał powstać nowy Watykan olbrzymich rozmiarów, całe miasto gmachów o nieskończenie



2  
długich kolumnadach, o wysokich halach z bijącymi wodotryskami, o krużgankach, prowadzących do ogrodów, o kilku kaplicach, mieszkaniach dla kardynałów, lokalnościach dla kancelarii Kuryi rzymskiej, z wielką biblioteką i teatrem na przedstawienia dramatyczne. Miały tam być także osobne cele i pokoje na wybory papieży, na conclave, a nad wszystkie piękności miała górować sala koronacyjna, przeznaczona także na przyjęcia cesarzy i królów.

W isticie fantastycznych tych projektach znać było architektoniczne wpływy starożytnych, zwłaszcza greckich świątyń, owych miast religijnych, budowanych na wzgórzach według jednego planu. Teren, na którym stoi kościół św. Piotra, bardzo się ku temu nadawał, albowiem wznosząc się coraz bardziej ku pagórkom dawał sposobność do tworzenia wspaniałych perspektyw.

Mikołaj V nie ograniczał się do wzbudzania podziwu u każdego, kto przestąpił most św. Anioła; chodziło mu także o bezpieczeństwo, o ufortyfikowanie papieskiego miasta. Cała Leonina miała być zatem obwiedziona murem i szeregiem baszt, aby, jak powiada biograf papieża Manetti, żadne żywe stworzenie, z wyjątkiem ptaków, nie dostało się do tego świętego miasta.

Gdy Mikołaj V umierał, chciał się wobec zgromadzonych kardynałów niejako usprawiedliwić z tych olbrzymich wydatków, które łożył na rozpoczęte budowy. Mówił wtedy, że na ludzi wykształconych nie potrzeba działać zewnętrznymi znakami, aby zrozumieli wielkość Kościoła, lud jednak musi widzieć tę wielkość w gmachach i w świetnych obrzędach. Ta myśl była mu przewodnią, a nie miłość zbytku, nie pycha, albo żądza sławy. Pragnął wielkości Kościoła i zabezpieczenia go przed wewnętrznymi i obcymi nieprzyjaciółmi. To usprawiedliwienie leżało papieżowi tem bardziej na sercu, ponieważ niespełna na dwa lata przed jego śmiercią upadek Konstantynopola (1453) przeraził cały świat chrześcijański, a umierający Mikołaj V przeczuwał, że odtąd wszelkie fundusze, jakimi papieństwo rozporządza, będą musiały być obracane na zabezpieczenie Włoch przed tureckim najazdem.

Rzecz prawie nie do pojęcia, że ten papież, który był



jednym z filarów humanizmu, który za drogie pieniądze skupował starożytne rękopisy w dalekich krajach i założył bibliotekę watykańską, niszczył w Rzymie pomniki dawnej architektury, aby z nich zabierać materiały do nowych budowli. Łamano ciosy marmuru i trawertynu z Forum, z wielkiego cyrku, a z samego Colosseum rozwleczono w ciągu jednego roku 2500 wozów kamienia. Gdy robotnicy pracujący około kościoła św. Piotra znaleźli w pysznym grobowcu Probusa rozmaite starożytne złote klejnoty, papież kazał je stopić i z uzyskanego złota zrobić kielich mszalny. Namiętność budowania zwyciężyła w nim namiętność humanisty.

W kilka lat później narzekał Pius II na te barbarzyństwa, winę przypisywał jednak tylko rzymskiemu ludowi:

Oblectat me, Roma, tuas spectare ruinas,  
 Ex cuius lapsu gloria prisca patet.  
 Sed tuus hic populus muris defossa vetustis  
 Calcis in obsequium marmora dura coquit.  
 Impia ter centum si sic gens egeris annos,  
 Nullum hic iudicium nobilitatis erit <sup>1)</sup>.

## VII.

Mikołaj V, sprowadzając i popierając humanistów, nie przewidywał, że rozpowszechnianie starożytnej literatury przyczyni się do osłabienia wiary i że humanizm toczyć będzie pień rzymskiego Kościoła, jak czerw zamierające drzewo. Niebawem humaniści wciskali się we wszystkie pory kościelnego organizmu, zawładnęli kancelaryą papieską, mieli w swoich szeregach znakomitych kardynałów, głośnych arcybiskupów i słynnych opatów, ba nawet wchodzili w mury klasztorne. Humanizm był w trzech częściach krytyczną eru-

<sup>1)</sup> Rozkosz mi sprawia, o Rzymie, spoglądać na twoje ruiny, nawet twój upadek świadczy o dawnej chwale. Ale lud twój wapno wypała z twardego marmuru, burząc odwieczne mury. Niecny narodził się, jeżeli jeszcze przez lat trzysta tak będziesz rabował, nie pozostanie nawet śladu z rzymskich wspaniałości.



dycją, i to erudycją pogańskiego świata, rzecz więc prosta, że jego nauki nie mogły się zgadzać z chrześcijańską wiarą. Krytycyzm pociągał za sobą reakcję przeciw religijnym dogmatom, przeciw ascetyzmowi i wogóle przeciw władzy i wpływowi duchowieństwa. Wszędzie, nawet na deskach teatralnych, walczyły obydwie zasady: wiara i wrogi jej krytycyzm. W przedstawieniu scenicznym z XV wieku »I setti dormienti« utrzymują Tiburcio i Cirillo, że według Arystotelesa zmartwychwstanie zmarłych jest mrzonką, sprzeciwiającą się prawom przyrody, na co wprawdzie Faustino, przedstawiciel chrześcijańskiej idei, zřęcznie odpowiada:

Se Aristotel nol crede, lo credo io;  
Se non lo fa natura, lo fa Dio,

ale sam fakt rozprawiania nad tego rodzaju tematami na scenie dowodzi, jak dalece krytycyzm opanował umysł. Wskutek ciągłego zajmowania się światem starożytnym powstało najzabawniejsze zamieszanie pojęć, a religijne przyzwyczajenia chrześcijańskie mieszały się z naleciałościami pogańskimi. Jakiś humanista zamiast zapalać lampę w piątce przed obrazem Matki Boskiej, stawiał ją przed wizerunkiem Platona; kardynał Bessarion, przemawiając nad trumną jednego ze znakomitych Greków, utrzymywał, że duch zmarłego dostanie się tam, gdzie będzie mógł płasać z bogami w mistycznym tańcu Bachusa. Inny znów kardynał, Sadoletto, pisał do przyjaciela odradzając mu czytania listów św. Pawła, gdyż barbarzyńskie zwroty tam zawarte mogłyby mu zepsuć piękny styl, i wogóle radził mu, aby odrzucił od siebie takie literackie lichoty, niegodne poważnego człowieka. Że Boga Ojca nazywano często Jowiszem, panem Olimpu, że Marya była »spes fida deorum«, że co chwilę modlono się do »Bogów nieśmiertelnych«, to należało do zwykłych objawów w owym społeczeństwie. Ale żeby poeta wzywał »Jowisza za nas ukrzyżowanego«

O sommo Giove per noi crocifisso,

to wykraczało przecież poza granice religijnej przyzwyczajności. W czasach jednak, kiedy Ledę z łabędziem umieszczono



jako ornament na spiżowej bramie kościoła św. Piotra w Rzymie, wszystkie tego rodzaju zboczenia ku poganizmowi były możliwe. Złośliwie też Tebaldeo wyrzucał Kuryi rzymskiej, że tam nie czczą już Boga, ale Bachusa i Wenere:

La tua superbia ognor si fa più grande  
Più non si onora Dio, ma Bacco e Venere  
Forza è che in precipizio il ciel ti mande.

W tem zamieszaniu pojęć trudno było, zwłaszcza w klasach wyższych, o prawdziwą wiarę; chodzono na mszę, trzymano się kościelnych obrzędów, gdyż tak nakazywała odwieczna tradycja, gdyż się przyzwyczajono do malowniczych form katolickiego Kościoła, ale mimo to skeptycyzm był cechą wykształconego społeczeństwa. Taki Poggio, który lekceważył Kościół i papieństwo, wybudował w Terranuova kaplicę poświęconą Matce Boskiej, może dla zadośćuczynienia próżności, może ze względu na lud okoliczny, może dla polecenia duchowieństwu swych synów, którzy mieli w rzymskiej hierarchii znaleźć utrzymanie.

Po śmierci Mikołaja V nastąpił na Stolicy Apostolskiej, jak już wspomniano, Kalikst III, Hiszpan Borgia, człowiek stary, zajęty szczerze rokowaniami dyplomatycznymi z państwami europejskimi celem odwrócenia tureckiego niebezpieczeństwa. W Rzymie utrudniał sobie stanowisko, pozwalając na wyzywające postępowanie Hiszpanów i swoich nepotów. Kardynał Rodrigo Borgia, siostrzeniec Kaliksta III, późniejszy papież Aleksander VI, młody człowiek, wolnych obyczajów, otrzymał najważniejszy i najwięcej dochodów przynoszący urząd wicekanclerza Kuryi i stanął na czele kancelaryi papieskiej. Młodszy brat Rodriga, Don Pedro Luys, najpiękniejszy mężczyzna w Rzymie, został naczelnym dowódcą wojsk papieskich. Cała armia Hiszpanów szukających szczęścia najechała Rzym i swoją butą, swem zdzierstwem i niespokojnem usposobieniem oburzała miejscową ludność. Rodrigo poobsadzał mnóstwo posad przy Kuryi rzymskiej hiszpańskimi awanturnikami, których ani humanizm, ani nauki nie obchodziły. Pragnęli oni tylko żyć wesoło i zebrać jak najwięcej pieniędzy, aby mieć pełne sakwy, gdy stary pa-



pieź umrze. Śmierć też Kaliksta była hasłem dla Rzymian, aby wypędzić Katalonów, jak owych przybłędów nazywano. Nie czekali oni wszakże na zemstę ludności, ale po większej części wcześniej puciekali; tylko Don Pedra nie mogło się kollegium kardynałów pozbyć, dopóki mu nie wypłaciło kilkadziesiąt tysięcy dukatów. Rzymska ludność po raz pierwszy poznała Hiszpanów.

Humaniści odżyli po conclave z 19 sierpnia 1458, gdy z urny wyszedł Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, jako Pius II. Zdawało się, że nowy papież, znakomity literat, który pół życia poświęcił klasycznym studjom, stanie się wielkim protektorem humanistów i że złoto z kas papieskich uściele im drogę do Olimpu. Ale literaci bardzo się zawiedli; Pius II, podobnie jak jego poprzednik, gromadził, co mógł, na wyprawę przeciw Turkom, a zresztą umiał wybierać pomiędzy literatami tylko umysły wyższe, a takich po śmierci Poggia Manettiego, Aurispy nie było. Tuzinkowych humanistów nie przypuszczał papież do kancelaryi, potrzebował bowiem dużo posad dla swojej rodziny.

Piccolominich było w Sienie i w okolicy bez liku, a papież tak się obawiał rodzinnego najazdu, że na razie zakazał swym krewnym do Rzymu przyjeżdżać. Ta energia wkrótce jednak osłabła, gdyż Pius II bardzo był przywiązany do rodziny i swej ukochanej Sieny. Ten i ów z Piccolominich obchodził zakaz w ten sposób, że się sprowadzał do Frascati, że krążył koło Rzymu i czekał, dopóki się papież nie zlitował i »kochanemu siostrzeńcowi« nie pozwolił przekroczyć bram stolicy. Niebawem każda wakująca posada w Kuryi rzymskiej dostawała się Piccolominim, a młodzi humaniści, uczniowie Valli, czekali na lepsze czasy, kiedy zabraknie Sieneńczyków.

## VIII.

W bibliotece watykańskiej przechowało się jeszcze 170 tomów ksiąg rachunkowych dochodu i rozchodu »Introitus et Exitus« kamery papieskiej z czasów od Marcina V do



Leona X. Księgi te już na zewnątrz pouczające; niektóre noszą na okładkach ślady przebytych rewolucji, zapewne w czasie »Sacco di Roma« były powyrzucane i powalane i dopiero je później znów do szaf włożono. Zajrzawszy w poważne zapiski można odrazu rozpoznać, kiedy się średnie wieki skończyły, a kiedy się zaczęło panowanie humanistów w kancelaryach papieskich. Prawie do Sykstusa IV zdawałoby się, że jeden człowiek pracował nad temi księgami: pismo regularne, wystylizowane, podobne do każdego innego pisma kuryalnego, brak w niem wszelkich cech indywidualnych, istotna rozkosz dla oka paleografa. Wogóle aż po czasy Odrodzenia Kurya rzymska miała nie tylko charakterystyczne pismo, lecz nawet własny styl, tak zwany *cursus*, którego używano do układania bulli papieskich. Styl kuryalny był właściwie metryczną prozą, a urzędnicy Stolicy Apostolskiej zazdrośnie nad tem czuwali, aby nikt nie zdołał przeniknąć ich sposobu pisania, odziedziczonego, jak utrzymywano, jeszcze po urzędach rzymskiego cesarstwa. Duchowieństwo francuskie starało się zdobyć tajemnice tej stylistyki, chciało nawet piękność jej prześcignąć, ale nadaremnie; *cursus* pozostał wyłączną własnością Kuryi rzymskiej i dopiero w czasach Odrodzenia poszedł w zapomnienie.

Tak samo jak w stylu, tak i w kaligrafii watykańskiej nastąpiła wielka zmiana w XVI wieku. Im więcej było humanistów w Kameronie papieskiej, tem większa swoboda w charakterze pisma, tem bardziej przebijają humory i usposobienia skrybów: jeden chciałby się jak najprędzej pozbyć swego zadania, inny foremnie pisać się jeszcze nie nauczył. Dawniej zaczynano księgę od wezwania Boga wszechmocnego, później zwyczaj ten znika, a trafia się, że jakiś młody rachmistrz popisuje się uwagą, wyglądającą na karczemny dowcip.

Rozumie się samo przez się, że z tych urzędników rachunkowych nie trzeba brać miary co do innych literatów, którzy układali bulle papieskie, ale i w wyższych urzędach rozgościła się lekka gwardya, która bardzo szkodziła sławie Kuryi rzymskiej. Osobliwie od czasu, jak powstał zwyczaj sprzedawania urzędów, poziom biurokracyi papieskiej nad-



zwyczaj się zaczął obniżać. Kupczenie posadami zdarzało się już za Jana XXII, ale z czasem coraz bardziej wchodziło w zwyczaj, a począwszy od Sykstusa IV sprzedaż urzędów stała się regularnym dochodem Kuryi rzymskiej. Był to rodzaj wypuszczania skarbowej renty; gdy papieże potrzebowali pieniędzy, sprzedawali jak najwięcej urzędów. Ten i ów mający kilkaset dukatów kupował urząd, który mu przynosił dożywotnią rentę, dochodzącą czasem do prawdziwie lichwiarskich odsetek. Dostawał bowiem z kasy papieskiej dość wysoki procent od włożonego kapitału, a nadto miał nieograniczone pole do pobocznych dochodów i zysków, do opłat wyciskanych od klientów, mających interesa w kancelaryach. Za Sykstusa IV otrzymywał abbreviator 22 od sta od zapłaconego za swój urząd kapitału, a mimo to Kurya papieska robiła na tych sprzedażach dobre interesa, albowiem przez wymieranie urzędników płace odpadały, a kapitał otrzymany zostawał. Zresztą posady nie były tanie; za Piusa II kosztował urząd skryptora i protonotaryusza w kancelaryi papieskiej 100 dukatów, uditore di Rota musiał zapłacić 80, clericus in registro supplicationum 51 dukatów, a nawet woźny, który nosił papiery z biura do biura, składał do kasy papieskiej 50 dukatów. Prawdziwie skandaliczne pod tym względem stosunki zapanowały za Sykstusa IV, gdyż oprócz dawnych urzędników zaprowadzono całe kollegia nowych funkcjonaryuszów, których dość dziwacznie ponazywano. Były kollegia Janiczarów, Mameluków, Stradiotów, którym nie dawano z kasy papieskiej żadnej stałej płacy, ale pozwalano im brać podarunki od klientów. Można sobie wystawić, do jakich nadużyć taki system prowadził. Ufundowanie kollegium Janiczarów przyniosło kasie papieskiej naraz 100.000, wznowienie zaś kollegium Abbreviatorów 38.400 dukatów. Innocenty VIII miał z zaprowadzenia kollegium sekretarzy 60.000 skudów, Aleksander VI nałożył na 80 pisarzy bulli papieskich takse po 750 skudów. Nawet wielki Juliusz II nie gardził tego rodzaju dochodami; pomnożył kancelaryę papieską o 100 skryptorów, z których każdy musiał zapłacić po 740 dukatów. Od tej sumy 74.000 dukatów płaciła kamera papieska rentę w kwocie 10.850 dukatów, czyli blisko



14½ od sta. Wogóle posady skryptorów bardzo były pożądaną, za Sykstusa IV płacono za nie 1000, za Alesandra VI 2000, a za Leona X nawet 3000 dukatów. W r. 1471 istniało w Kuryi rzymskiej 650 kupnych urzędów, które przyniosły 100.000 skudów.

W owych czasach zwyczaj sprzedawania urzędów istniał wprawdzie po rozmaitych dworach, ale nigdzie w tych rozmiarach, co w Rzymie. Gorszył się tem jeszcze w późniejszych czasach, za Aleksandra VII, poseł wenecki Antonio Grimani, donosząc swemu rządowi, że wskutek sprzedaży urzędów zapełniają się kancelarye Kuryi rzymskiej ludźmi, którzy nie mają ani zasług ani potrzebnych zdolności, i że tego rodzaju stosunki szkodzą powadze, »grandezzy« Stolicy Apostolskiej. Także Poggio pisze w jednej ze swych facecyi, że w Kuryi zawsze przypadek rozstrzyga o powodzeniu człowieka, a wyjątkowo tylko talent albo cnota; wszystko się tam otrzymuje intrygą albo szczęściem, nie mówiąc już o pieniądzech. Przed kardynałem Angelotto skarżył się jeden z przyjaciół Poggia, że koledzy mniejszych, niż on, zasług i zdolności otrzymują lepsze od niego posady; na co kardynał radził mu, aby się nie zniechęcał, lecz ażeby przez jakiś czas starał się usilnie zapomnieć to wszystko, czego się kiedykolwiek nauczył, a natomiast przyzwyczajał do wad i błędów, których dotąd nie ma; w ten sposób zapewni sobie wielką karyerę. Radę kardynała Angelotta streścił lud rzymski w przysłowiu:

Denari fanno correr gli asini a Roma per beneficij.

Sprzedawanie urzędów stało się za Pawła II powodem do niemałej rewolucyi humanistów. Wenecki ten papież, niezadowolony z zarządzeń swego poprzednika Piusa II, kazał z korporacyi abbreviatorów pousuwać wielu urzędników humanistów, którzy swe posady kupili. Straciwszy więc i pieniądze i posady, postanowili oni wobec tej krzywdy prosić papieża o posłuchanie. Ale papież odmówił im audyencyi. Wtedy przez dwadzieścia nocy, gdyż Paweł II tylko w nocy przyjmował, ustawiali się pod bramą papieskiego pałacu, chcąc w ten demonstracyjny sposób wymusić posłuchanie.



Gdy zaś i to nie pomogło, zdobył się z pomiędzy nich literat Platina, uczeń Lorenza Valli, na odwagę i napisał list do papieża, w którym mu przedstawia krzywdę im wyrządzoną i zapowiada, że jeżeli nie znajdą w Rzymie sprawiedliwości, to pójdą skarżyć się przed trony królów i książąt i będą się starali o zwołanie koncylium, przed którym papież będzie zmuszony wytłumaczyć się, z jakiego powodu »obrabował« ich z prawnie nabytych urzędów. List ten oddał Platina jednemu z najbliższych doradców Pawła II, biskupowi z Treviso, aby go wręczył papieżowi. Ta śmiałość humanistów w najwyższym stopniu rozgniewała papieża, zwłaszcza że w owym piśmie była wzmianka o soborze, a papież walczył ciągle z koncyliami, które chciały zmniejszyć ich władzę. Paweł II kazał więc przywołać Platine do pałacu i odprowadzić go do więzienia do zamku św. Anioła.

Platina był wówczas bardzo cenionym literatem, a osobliwie cieszył się protekcją kardynała Gonzagi, na którego dworze służył, zanim został urzędnikiem Kuryi. Gonzaga więc wstawiał się za nim u papieża uniewinniając biedaka, że ze zmartwienia dostał pomieszania zmysłów. Paweł II nie chciał wszakże ustąpić i o mało że go nie skazał na śmierć; powoli jednak dał się ułagodzić i poprzestał na karze więzienia. Humanista miał czas przez cztery miesiące rozmyślać w ciemnicy zamkowej nad swoją lekkomyślnością, aż wreszcie Gonzaga uprosił papieża, że mu kazał wolność przywrócić. Platina wyszedł z więziennych murów taki schorowany, że zaledwie się mógł na nogach utrzymać.

Utrata posad i uwięzienie Platiny w najwyższym stopniu rozgoryczyły humanistów; myśleli tylko o zemście i czekali na sposobność, aby się pozbyć »tyrana« papieża. Punktem zbornym tej młodzieży stał się dom na Kwirynale znanego wówczas uczonego profesora retoryki, wielkiego dziwaka, Pomponiusza Laetusa. Pomponiusz był nieślubnym synem jednego z książąt Sanseverino, potężnej neapolitańskiej rodziny; w młodych latach przybył do Rzymu, uczył się u Valli, a po jego śmierci został profesorem »gramatyki« w tamtejszej Sapienzy. Był to mały, ruchliwy człowieczek, w wytartem ubraniu, nadzwyczaj czynny i w tej mierze do



Valli podobny. Wstawał prawie o świcie, biegł do swojej winnicy, którą uprawiał według przepisów Warrona, a opatrzywszy i powiązawszy winne latorośle, udawał się czem prędzej do uniwersytetu, gdzie na niego czekało mnóstwo młodzieży. Tam wpajał w swych uczniów kult starożytności, kazał czcić »geniusz Rzymu«, niejako bóstwo opiekuńcze humanistów. Był w klasycznej literaturze nadzwyczaj odczytany i tyle w nim tkwiło miłości i zapału do rzymskiej kultury, że uczucia te udzielały się młodzieży i wzbudzały w niej prawdziwe uwielbienie dla profesora. Pomponiusz nie chciał nawet uczyć się po grecku, aby sobie obcym starożytnym językiem nie zepsuć czystej ciceronńskiej łaciny, którą chciał mówić i pisać. W domu porządkował profesor swój zbiór rzymskich monet, odłamów dawnych marmurów, napisów, którymi całe jego mieszkanie było wypełnione, a wieczorem gromadził młodzież, która odczytywała swe łacińskie poezye, lub rozprawiała nad filozoficznymi tematami. Czasami urządzano teatralne przedstawienia, młodzież grała komedye Plauta i Terencyusza, rozplywano się w kulcie przeszłości, czasami zaś szedł Pomponiusz błędzić pomiędzy ruinami, a przechodnie widywali go, jak stawał długo przed gruzami marmurów, wpatrywał się w nie jak w cudowny obraz i ronił łzy nad upadkiem rzymskiej rzeczypospolitej.

Ze zgromadzeń humanistów, które się odbywały u Pomponiusza, powstało powoli wolne literackie stowarzyszenie, zwane »rzymską akademią«, która miała przywrócić pomiędzy swymi członkami starożytne zwyczaje i starożytną kulturę. Humanisci należący do akademii zerwali zupełnie z rzymskim Kościołem, pogardzali duchowieństwem, a zasady Epikura uważali za najwyższą filozofię. Zaprzeczali istnieniu Boga, utrzymywali, że przyszłe życie jest czczym wymysłem, że dusza ginie wraz z ciałem i że człowiek może się oddawać wszelkim namiętnościom, o ile porządek społeczny temu nie przeszkadza. Uważając imiona świętych katolickich za hańbiące, poprzyjmowali rozmaite imiona starożytne i zaprowadzali zwyczaje, będące parodią kościelnych obrzędów. Uważali się sami za kollegium kapłanów, a na ich czele stał Pomponio jako pontifex maximus. Chodzili także do kata-



kumb św. Sebastyana szukać rzymskich zabytków, a za następnymi dniami odkrył tam słynny archeolog Rossi wyryte na ścianach ich nazwiska i nieprzyzwoite napisy, które gdzieś pomieszczeni. Największą uroczystością, którą święcili, było założenie Rzymu i urodziny Romulusa, wszystkie zdarzenia datowali »ab Urbe condita, regnante Pomponio Pontifice maximo«, wogóle starożytna Urbs stała się dla nich treścią wszelkich ideałów i zawartością ludzkiej kultury. Dążyli więc do możliwego zbliżenia się do owego ideału i politycznym ich celem było pozbycie się papieża i zaprowadzenie republiki. Pozyskali sobie w tym celu demagogów, w których Rzym zawsze obfitował, a nawet ponawiali stosunki z Orsinimi, którzy byli niechętni Pawłowi II. Jako naczelników rewolucyjnego ruchu wybrali z pomiędzy siebie Filipa Buonaccorsiego z San Geminiano, który w akademii przybrał nazwisko Kallimacha, Marina Veneta zwanego Glaucesem, jakiegoś Piotra, przemienionego na Petrejusza, i Platynę, który się na papieżu chciał zemścić za owe cztery miesiące przymusowego pobytu w zamku św. Anioła. Spiskowi nie umieli wszakże utrzymać w tajemnicy swego sprzysiężenia, gdyż z początkiem roku 1468 zaczęto w Rzymie głośno mówić o przygotowującym się zamachu na papieża, o blizkiej jego śmierci, a nawet nadchodziły listy, ostrzegające Pawła II przed groźącą rewolucją. Papież kazał też uwięzić czterech przywódców spisku; zanim jednak rozkaz został wykonany, trzech z nich uciekło, pozostał w Rzymie tylko Platyna, za którym po raz wtóry zamknęły się ponure bramy św. Anioła. Temu, kto by doniósł o miejscu pobytu współników Platiny obiecano nagrodę 300 dukatów. Kallimach ukrywał się przez kilka dni w Rzymie, potem uciekł do Apulii, do Grecyi, a wreszcie na Konstantynopol do Polski, gdzie jako nauczyciel synów króla Kazimierza, jako dyplomata i kronikarz ważną odegrał rolę.

Platynę wzięto w zamku św. Anioła na tortury, a w swych zeznaniach starał się on winę zwać na Kallimacha i innych nieobecnych spiskowców, tudzież przedstawić całą rzecz jako nie mającą żadnej doniosłości. Kallimach, jego zdaniem, znany był z tego, że lubił się chwalić, że więcej mówił, ani-



żeli mógł działać, że wymyślał jakieś fantastyczne plany, aby znajomych olśnić swem znaczeniem, a osobliwie, jeżeli się trochę więcej napił wina, niż zwykle, zrzucił z tronu monarchów i rozdawał skarby i korony, jak gdyby stał na czele olbrzymiej armii. Zachowanie się Platiny w więzieniu i w śledztwie było niegodnym, trwożliwym, być może zresztą, że tortury, przebyte cierpienia zniszczyły w nim wszelką moc ducha. Pisał on wtedy do papieża i do kardynałów, zapewniając, że jest niewinnym i że jedynym było jego przewinieniem, iż nie doniósł o zamysłach Kallimacha, ale uważał je za wytwór imaginacji pijanego człowieka; na przyszłość obiecywał jednak donosić do Watykanu o wszystkim, nawet o tem, coby słyszał od przelotnych ptaków. Przrzekał, że jeżeli się na wolność dostanie, to wierszem i prozą głosić będzie sławę papieża i opisywać »złoty wiek jego rządów«, że porzuci klasyczne studia a poświęci się tylko czytaniu pisma świętego.

Pomponio uciekł na razie do Wenecji; ale Rzeczpospolita wydała zbiega papieżowi, który go kazał osadzić w zamku św. Anioła. W więzieniu zachowywał się profesor »gramatyki« podobnie małodusznie, jak Platina, wystosował do papieża prośbę o przywrócenie mu wolności, przytaczając na dowód, że jest dobrym chrześcijaninem, jakieś mowy, które miał na cześć Matki Boskiej, i jakąś epistulę o nieśmiertelności duszy, którą kiedyś napisał. Wypierał się stosunków z Kallimachem, uniewinniał z zarzutu, jakoby nie pościł, gdyż tylko w czasie choroby nie trzymał się w tej mierze przepisów Kościoła. Prawdziwie jak humanista zachował się wobec wniesionych na niego skarg, że utrzymywał niedozwolone, brzydkie stosunki z jednym ze swoich uczniów, jakimś Wenecyaninem. Pomponiusz nie mógł faktowi zaprzeczyć, ale tłumaczył się, że poszedł za przykładem wielkiego Sokratesa, który uwielbiał także piękność męską. Naśladowca starożytnych Rzymian tak mizernie przedstawił się swym sędziom, że papież nie mógł go uważać za niebezpiecznego trybuna, któryby w razie danym mógł pociągnąć za sobą lud rzymski, i kazał go z więzienia uwolnić.

Wogóle do całego spisku Kallimacha nie przywiązy-



wano później wielkiej wagi, tak dalece, że następca Pawła II, Sykstus IV, powołał znowu Pomponiusza na katedrę uniwersytecką, a Platynę, jak później zobaczymy, mianował naczelnikiem watykańskiej biblioteki i polecił mu napisanie historii papieży. Platina wywiązał się ze swego zadania, ale mszcząc się na Pawle II, przedstawił go, jak mógł, najgorzej. Pomponiusz zaś otworzył napowrót swoją akademię, a nawet Fryderyk III nadał mu przywilej, zezwalający na jej założenie. Pismo cesarskie odczytał Pomponiusz na bankiecie, który akademicy urządzili 20 kwietnia 1483, jako w rocznicę założenia Rzymu. Pod kierunkiem »arcykapłana« wykształciło się drugie pokolenie rzymskich humanistów, pomiędzy którymi byli tak znakomici ludzie jak Inghirami, jak poeta Sannazaro, jak Aleksander Farnese, który został papieżem pod imieniem Pawła III. Pomponiusz zyskał sobie taką popularność, że gdy w r. 1485 żołądactwo zburzyło jego willę, liczni przyjaciele złożyli się, aby mu dać możność postawienia nowej. Humanista kazał teraz nad drzwiami umieścić tablicę marmurową z napisem »Pomponii Laeti et Sodalitatis Esquilinalis«. Żył długo, umarł za Aleksandra VI, mając lat przeszło 70, w szpitalu, w takim ubóstwie, że znajomi musieli mu sprawić pogrzeb. A był to pogrzeb wspaniały: czterdziestu biskupów, cała Kurya rzymska, nawet posłowie zagraniczni odprowadzili ciało renesansowego pogańca na Aracoeli, skąd następnie zostało przeniesione do S. Silvestro in Lauro. Zmarły pragnął, aby był pogrzebany przy Via Appia, jednak temu życzeniu zadość się nie stało.

Przeciw humanizmowi, przeciw objawionej duszy starożytnego świata nie było już walki; papież, kardynałowie, całe społeczeństwo rzymskie przejęło się dawną kulturą, a w zapale do rzymskiego świata nie rozróżniano, co było dobrem, a co złem, lecz brano bez wyjątku wszystko. Popadnięto w wielki błąd, zabijano samodzielność literacką: poeci wzorowali się na Wergiliuszu, dyplomaci na Ciceronie, uczeni uważali sobie za honor przytaczać jak najwięcej zdań starożytnych autorów, zapominając, że mogliby mieć i własne. Co gorsza, idee Petrarcki, Poggia, Valli powoli paczyć się zaczęły, humanizm wyrodził się w suchą, bezmyślną eru-



dycję, w »gramatykę«, która prześladowała ludzkość przez kilka wieków i w dzisiejszem jeszcze szkolnictwie pozostawiła bardzo niekorzystne ślady. Humanisci przemienili się w pedantów, powstały olbrzymy zarozumiałości a karły wiedzy, Giganti d'ambizion, di sapere nani.

W sto lat po świetnych florentyńskich humanistach nie rozumiano już właściwego ich zadania, ośiatni jeszcze Aldo Manuzio piastował ducha humanizmu, gdy drukował greckich autorów. Jeden z ferraryjskich uczonych, Garzoni, wydał w r. 1587 w Wenecyi rodzaj encyklopedyi zajęć ludzkich, pod tytułem »Piazza universale«. Powiada on tam, że najszlachetniejszym zajęciem człowieka jest praca humanisty. Ale jego humanista to nauczyciel, który posiada grecki i łaciński język, jest matematykiem i filozofem zarazem i o wszystkim może rozprawiać. Petrarka nie umiał po grecku, a był największym z humanistów, bo pojął ducha starożytności.

## IX.

Kallimach i dwóch uczniów Pomponiusza Laeta odegrało w Polsce ważną rolę: Konrad Celtes, Niemiec, i Krakowianin Bähr, przewany Ursinem, który się kształcił u mistrza w Rzymie.

Żacznijmy od Kallimacha. Znalazłszy się po ucieczce z Włoch w Konstantynopolu, postanowił szukać szczęścia w Polsce, gdyż w Krakowie miał krewnego, Ainolfa Tedaldiego, prawdopodobnie kupca, i u niego spodziewał się znaleźć przytułek. Zresztą, jak Giovio utrzymuje, miał nadzieję, że zyska poparcie króla Kazimierza, który dla Pawła II był nieprzyjaźnie usposobiony.

Przybywszy na wiosnę r. 1470 do Lwowa, dostał się Toskańczyk w dom tamtejszego arcybiskupa Grzegorza z Sannoka. Grzegorz jeździł dawniej, za Eugeniusza IV, do Florencyi, aby sobie wyrobić probostwo w Wieliczce; wówczas zapoznał się z humanistami, nie dziw więc, że z radością przyjął u siebie Włocha, który mu młodsze czasy przypo-



minał. A że Kallimach był człowiekiem czytany, bystrym i dowcipnym, więc biskup bardzo go polubił. Rzymski emigrant miał w ten sposób w nieznanym sobie kraju od razu poważną pomoc, która mu się niebawem przydała. Gdy bowiem papież dowiedział się, że Kallimach w Polsce przebywa, żądał jego wydania, a sejm w Piotrkowie, który się odbył w jesieni r. 1470, wysłuchawszy posła papieskiego, biskupa z Forli, i jego zarzutów przeciw Włochowi, nie wahał się uczynić zadosyć woli Pawła II, ponieważ chodziło o człowieka, który nastawał na życie papieża. Wtedy przyjaźń arcybiskupa lwowskiego stała się dla Kallimacha nieocenioną. Grzegorz ukrył go w swoich dobrach, w Dunajowie, dopóki burza piotrkowska nie przeminęła. Emigrant przebywał tam jakby na wygnaniu blisko rok i wtedy, zapewne z porady swego protektora, napisał do Derśława z Rytwian, jednego z najbardziej wpływowych magnatów, memoriał, w którym się bronił przed zarzutami biskupa z Forli i starał się udowodnić, że oskarżenie go o spisek przeciw życiu Pawła II nie ma najmniejszej podstawy. Ludzie tutejsi, powiada Kallimach, którzy papieża nigdy nie widzieli, lecz tylko o nim słyszą, przedstawiają sobie, że jako klucznik otwierający bramy do nieba, siedzi na tronie, ma władzę nad duszami, aby z mocy boskiej wszystko wiązać i rozwiązywać, i że w swych czynnościach jest pośrednikiem pomiędzy Bogiem a człowiekiem, myślą, że papież, to jakaś nadziemski istota, bez namiętności i bez trosk, wolna od wszelkich wpływów ziemskich. Gdy jednak usłyszą, że i papież podlega wybuchom namiętności, że i on dąży do zaspokojenia swej zemsty i srogim jest tyranem, to niezawodnie zdanie swe zmieniają. Potęgą Kuryi rzymskiej doszłaby do nieźrównanej siły, jeżeliby wolny naród, jak polski, wydał obwinionego bez dochodzenia sprawy.

Memoriał ten bardzo korzystnie usposobił dotychczasowych przeciwników Kallimacha, a i sam król stał się dlań przychylnym. Zresztą wydanie go do Włoch stało się wkrótce niepotrzebnem, gdyż Paweł II umarł 28 lipca 1471, a pod jego następcą odżyła akademia rzymska, Pomponiusz Laetus i Platina byli w łaskach u Stolicy Apostolskiej.



Kallimach, już bezpieczny, przeniósł się do Krakowa i niebawem został nauczycielem łaciny synów królewskich, co było początkiem jego świetnej kariery w Polsce. Po kilka razy później bywał wysyłany w ważnych poselstwach do Sykstusa IV, do Innocentego VIII i do Konstantynopola. Osobliwie w r. 1490 miał trudne zadanie wytłómaczyć Innocentemu, że połączenie wszystkich panujących europejskich przeciw Turkom, do czego papież od dawna doprowadzić chcieli, jest niemożliwością i że daleko polityczniej byłoby, gdyby Stolica Apostolska w przymierzu z Polską cel swój chciała osiągnąć. Chimeryczny plan powszechnej wyprawy przeciw sułtanowi uważał Kallimach za główną przyczynę, że te krucjaty do skutku nie dochodzą, zresztą mniemał, że na Zachodzie przeceniają siłę tureckiej potęgi.

Włoskiemu wygnańcowi dobrze się w Polsce powodziło; zebrał znaczny majątek, został starostą gostyńskim, otaczał się zbytkiem i zbierał cenną bibliotekę. Niestety w r. 1487 spalił się jego dom w Krakowie wraz z książkami, co było wielkim dla niego ciosem, skarżył się też z powodu swych strat słynnemu humaniście Marsiliowi Ficinowi. Ficino pocieszał go w sposób bardzo oryginalny, charakteryzujący tych ludzi, u których wszystko polegało na frazesach. »Orfeusz, pisze Ficino, utrzymywał w jednej ze swych pieśni, że z czterech żywiołów ogień jest najpotężniejszy i że każda istota, każdy przedmiot, w ogień się przemienia. Ponieważ wszystko temu losowi ulegać musi, więc i Kallimach powinien przeboleć pożar swego domu«. »Światła szukałeś w książkach, mówi dalej, w światło się twoje pisma przemieniły. Płomienie uniosły pergaminy pełne mądrości ku niebu, w przeciwieństwie z Prometeuszem, który z pomocą ognia wykradł mądrość bogom. Ciesz się, kończył humanista, twoje nazwisko będzie po śmierci jeszcze jaśniejsze, aniżeli za życia«.

I Ficino nie bardzo się pomylił, bo nazwisko Kallimacha powtarzamy do dziś dnia, a pierwotna jego ojczyzna, San Geminiano o pięknych wieżach, szczyli się nim jak najznakomitszym swym synem. Messer Giulio Nori w swym poemacie »Bellum Geminianense«, wydanym w roku



1584 podniósł go nawet do wysokości bohatera wielkiego talentu <sup>1)</sup>).

Kallimach umarł 1 listopada 1496 na morową zarazę; w testamencie zapisał swoją na nowo zebraną bibliotekę i powóz z czterema końmi bratu królewskiemu, kardynałowi Fryderykowi, samemu królowi zaś 4000 lir w złocie. Konsulom miasta Krakowa przeznaczył puhar i srebrną miednicę, aby według zwyczaju mogli w niej ręce umywać przed wydawaniem wyroków. Także o Collegium maius krakowskiego uniwersytetu nie zapomniał, dając mu w darze także srebrną miednicę i nalewkę, ale pod warunkiem, aby profesorowie tych sprzętów nie zastawiali.

Pogrzeb włoskiego humanisty był wspaniały. Opisał go Florentyńczyk Octaviano di Gueccio de' Calvani w liście do Lattanzia Tedaldiego. Cały kler, wszystkie klasztory, czterestu biskupów towarzyszyło ciału Kallimacha, które było przybrane w karmazynowe jedwabne szaty, podbite najpiękniejszymi sobolami. U nóg zmarłego stał krucyfiks, po bokach leżały książki, za trumną szła służba w strojach według włoskiej mody. Za nią Maciej Drzewicki, uczeń Kallimacha, wicekanclerz państwa, cały uniwersytet z rektorem na czele, szlachta, 15.000 szolarzy i niezliczona moc ludu. Ciało złożono u Dominikanów, obok pomnika Ainolfa Tedaldiego, a wykonawcy testamentu kazali wystawić wspaniały grobowiec, z którego się jeszcze utrzymała owa piękna płyta z brązu, zdobiąca kościół do dziś dnia.

Kallimach pisał dużo: monografie, broszury polityczne i bez liku poezyi, zawsze po łacinie. Do najznakomitszych jego rozpraw należy »Żywot Grzegorza z Sanoka«, rzecz niedługa, ale z miłością, pięknie napisana, a pod względem obyczajowym, co do charakterystyki owych czasów ciekawa. »Trzy księgi o Władysławie IV polskim i węgierskim królu« mają historyczną wartość, a z broszur politycznych naj-

<sup>1)</sup> *Atque alii multi stipati semper honore  
Laude sua magna certabant ducere vitam;  
Sarmatiae prorex monstrat me vera loquentem,  
Illius annales dat dum Callimachus, heros  
Qui fuit ingenio magno laudatus et arte.*



ważniejsza »O zamysłach Wenecyan, aby poruszyć Persów i Tatarów przeciw Turkom«. Także naszemu Toskańczykowi przypisują autorstwo »Rad dla króla«, które zmierzały do wzmocnienia władzy monarchy i miały pewne pokrewieństwo z zasadami wypowiedzianymi w Machiavella »Księciu«.

Serce włoskiego emigranta otwiera nam zbiór jego poezyi pod tytułem »Fannietum«, pisanych do jakiejś Lwowianki, Fanni Świątoszanki, czasem rzeczywiście ciepłych, częściej jednak konwencyonalnych, podobnych do innych tego rodzaju zwierzeń zimnych humanistów. Z ową Franusią poznał się Kallimach we Lwowie, a o jej »pozycyi socyalnej«, jeżeli się tak wyrazić wolno, nie możemy sobie jasno zdać sprawy. Miała ona pochodzić ze szlacheckiej rodziny, ale mimo to zajęta była w jakimś szynku, czy handlu win. Do romansów łatwa, ale o tyle przywoita, że arcybiskup, aby pocieszać swego włoskiego gościa, zapraszał ją do siebie na wieczerzę. Szynkareczka przy stole księcia Kościoła — dzisiaj zdawałoby się dość dziwacznym zdarzeniem; nie zapominajmy jednak, że jesteśmy w czasach Odrodzenia. Franusia musiała być wszakże bardzo piękną, Kallimach opisuje jej wdzięki nadzwyczaj szczegółowo, unosi się nad każdą cząstką jej ciała, prawie bez wyjątku, a gdy jeden z jego włoskich przyjaciół pyta o jej urodę, kochanek odpowiada:

Gdy pytasz, jaki włos zdobi jej głowę,  
Zmieszaj z lilią róże purpurowe.  
Wdzięk, jaki barwy te obie zespoli,  
Będzie połyskiem piersi Fannioli.

(Tłóm. Jan Magiera).

Ale nasza Lwowianka bardziej była czułą na brzęczące dary, aniżeli na wiersze, i do tego łacińskie. Wolala rozdzierać swe pocałunki pomiędzy tych, którzy do sklepu przychodzili z pełnemi rękami, aniżeli czekać na sławę, którą jej włoski poeta przygotowywał u potomności. »Gniewał się też Kallimach, że jego nadobną pijana tłuszcza obsypuje całusami, że ten i ów podchmielony paluszki jej ścisca, a jakiś hulaka zuchwałość do niskiej, karczemnej posuwa zalotności«.



Ubogi przybysz musiał znosić te umartwienia i wzdychał do owych czasów sielankowych,

Kiedy podarkiem dla dziewcząt być mogły kasztany, orzeszki, mleka świeżego kruż pełny albo świeżuchne derenie,

Gniazdka jeżeliś gołębie z ptaszkami mógł ofiarować,  
Tysiąc całusów w nagrodę za dar wspaniały zyskałeś.  
Ska by już posiadał, kto kozłę w dar złożyć mógł delikatne.

(Tłóm. Jan Magiera).

Mimo tych przelotnych niewierności Franusia płakała, gdy Kallimach ze Lwowa wyjeżdżał, »ale nie ziemskie lzy ronila, jak poeta utrzymuje, lecz cały strumień brylantów spadał jej na łono, gdy kochanek nawet w oddali miłość jej ślubował«. Włoch ją też zachował w pamięci i »pomimo że go zadziwił Kraków z tyloma do nieba pnąciami wieżycami i Wawel przypominał Kapitol, tudzież zamek królewski olśniewał swymi złocistymi dachami, to przecież te wszystkie nowe wrażenia nie mogły w nim zatrzeć chwil rozkoszy, któremi go Fania uszczęśliwiała«.

Te tęsknoty trwały niedługo; Franusia poszła za mąż, a Włoch zakochał się w Krakowiance, którą »Phryną« nazywa, i znów do niej wiersze pisał, a gdy i z tą czarującą istotą zerwały się romanse, wzdychał do »Roxany«, córki garncarza.

Na tem się skończyły miłosne stosunki włoskiego poety na polskiej ziemi. Biedak się zestarzał.

W czasie kiedy Kallimach mieszkał w Krakowie, przybył tam Konrad Celtes, uczeń Laeta, humanista z ustaloną już sławą, rodzaj apostoła nowych idei. Rzecz szczególna, że w owych wiekach, kiedy komunikacye były jeszcze bardzo trudne, mnóstwo ludzi szło w świat daleki szukać nowych wrażeń. Bardzo ograniczona znajomość cudzych krajów pobudzała ciekawość. Do takich należał Celtes, który jeszcze jako młody chłopak uciekł z rodzicielskiego domu, uczył się po niemieckich uniwersytetach, następnie dostał się do Rzymu, przejął się ideami Pomponiusza i wrócił w r. 1487 znów na Północ, aby rozkrzewiać nauki arcykapłana starożytnej wiedzy. Celtes zapisał się w r. 1489 jako szkolarz na uniwer-



---

sytet krakowski z zamiarem uczenia się matematyki i astronomii, które tam wykładał wówczas słynny Albert z Brudzewa, nauczyciel Kopernika, głównym jego zadaniem było wszakże rozszerzanie nauk Pomponiusza. Został też Celtus nad Wisłą glebę przygotowaną, gdyż w Krakowie krzewił już humanizm Joannes Ursinus, Bähr, także uczeń Pomponiusza, profesor astronomii i medycyny, a prócz niego sporo tam było Niemców humanistów szkolarzy. Zamiarem Celtesa było założyć nad każdą większą rzeką na Północy akademię, w rodzaju rzymskiej. Kraków nadawał się na siedzibę takiej instytucji, więc wędrowny humanista zorganizował tam stowarzyszenie, które nazwał »Sodalitas litteraria Vistulana«. Celtus bawił w Krakowie dwa lata, a po jego wyjeździe akademia wkrótce się rozwiązała z powodu, że jej członkowie częścią wymarli, częścią powyjeżdżali. Humanizm szedł w Polsce innemi drogami, a nie temi, które mu uczniowie Laetusa nakreślili; dla kierunków pogańsko-rzymskich nie było u nas przyszłości.

---



## ROZDZIAŁ TRZECI.

---

### ROVERE-RIARIO.

#### I.

Młody dąb o gałęziach u góry splecionych, tworzący niby wieniec, który ma spocząć na skroniach ludzi potężnego rodu, to herb Roverów. Herb ten znajdujemy prawie wszędzie w Rzymie, gdzie tylko nas uderzy siła architektury lub pędzla; dwóch papieży znaczyło nim dzieła artystyczne, które pod ich rządami powstały: Sykstus IV i Juliusz II. W kaplicy Sykstyńskiej dębczak Roverów najulubieńszym stał się ornamentem, w Watykanie i na murach Kancellaryi co krok go widzimy, w S. Maria del Popolo, w tej świątyni Roverów, zdobi »dąb« liczne nagrobki, a w Sant' Agostino, w S. Maria della Pace, w S. Clemente, w S. S. Apostoli i wielu innych kościołach stał się niemal charakterystycznym symbolem Odrodzenia. »W całym mieście, jak utrzymuje jeden z dawnych rzymskich pisarzy, niema prawie kaplicy, którejby Sykstus IV w roku jubileuszowym (1475) nie był odbudował«, a przeto i swym herbem nie nazaczył.

Jak młody dąb, tak młody i silny był ów szczep Roverów. Pochodzili oni z Albizzoli, koło Savony, z tej uroczej okolicy liguryjskiego wybrzeża, dzisiaj słynnej z fabryk żelaza, ongi zamieszkałej tylko przez rolniczą i rybacką ludność.













Fot. R. Moscioni.

Herb Sykstusa IV z własnego pałacu papieża.

Do str. 139.







Ojciec Sykstusa IV, Lionardo, był ubogim człowiekiem, chociaż krewni jego, piemonccy della Rovere, rozsiadali się na zamku w Vinovo. Czem się Lionardo zajmował, z pewnością nie wiemy; zdaje się jednak, że rybołostwem, gdyż syna zwano w zakonie »Piscator minorita«, brat jego miał podobno barkę i przewoził wino i jarzyny do Genui. Żona Lionarda, Luchina Monleone, powiła w r. 1414 syna Francesca, a ponieważ dziecko urodziło się podczas jakiejś zarazy panującej w tamtej okolicy, a nadto kilkakrotnie zapadało na zdrowiu, więc rodzice, chcąc je ustrzedz od chorób, poświęcili swe pachołę św. Franciszkowi z Asyżu. Jako dziewięcioletni chłopak dostał się Francesco do Minorytów, a zakonnicy tyle w nim spostrzegli bystrości i talentu, że go posłali na nauki do Chieri i do Pawii. Dwudziestoletnim zaledwie młodzieńcem popisywali się mnisi na jeneralnej kapitule w Genui, gdzie Francesco zadziwiał całą zakonną starszyznę swą teologiczną wiedzą i wymową. Osobliwie zwracał uwagę pięknym językiem łacińskim, tak dalece, że jenerał zakonu, Guglielmo Casale, ciesząc się, że pomiędzy braćmi ma takiego łacinnika, jakby Cicerona, publicznie uściskał młodzieńca. Ale łacina nie przynosiła jakoś na razie pożytku, młody mnich wrócił do rodzinnego gniazda, do Savony, gdzie go przygarnął do swego domu Paolo Riario, jego szwagier, tamtejszy obywatel, pod warunkiem, że będzie uczył mu synów. Paolo stał się prawdziwym dobrodziejem Francesca, dostarczył mu bowiem później środków do zupełnego wykształcenia się na uniwersytecie w Bolonii. Rovere był też szczerze wdzięcznym swemu szwagrowi, mawiał, że szczęście swe zawdzięcza tylko Paolowi, i jak zobaczymy, wyniósł jego syna do najwyższych kościelnych godności. Ukończywszy studia, otrzymał Francesco stopień magistra na uniwersytecie w Padwie i został profesorem teologii, którą wykładał następnie na różnych uniwersytetach północnowłoskich.

Profesura była dla Rovera stopniem do dalszych zaszczytów; w r. 1464 wybrali go Franciszkanie swym jenerałem, a właśnie wówczas potrzeba było zakonowi energicznego naczelnika, gdyż Paweł II, nieprzyjaciel Franciszkanów, chciał



pod wielu względami ograniczyć ich działalność. Rovere bronił dzielnie swego zakonu, umiał ułagodzić zawziętego papieża i tak się przy tej sposobności dał poznać w Rzymie, że kardynał Bessarion przeparał jego nominację na kardynała w r. 1467. Francesco wyszczególniał się rozstrzygnięciem najsubtelniejszych zadań scholastyczno-teologicznych, do których należał także temat o »Krwi Chrystusa«, niebardzo nam dzisiaj zrozumiały.

W świecie uczonych teologów i pomiędzy kardynałami wyrobił sobie Rovere tak wybitne stanowisko, że mógł po śmierci Pawła II (1471) marzyć o tyarze. Subtelności scholastyczne nie zatępiły w nim praktycznych instynktów żebrzącego mnicha i człowieka, który własnymi siłami z niskich początków dobijał się wysokiego stanowiska. To też do conclave wszedł on z bardzo śmiałymi zamiarami. Na towarzysza celi przybrał sobie młodszego Franciszkanina, Piotra Riaria, swego siostrzeńca, bardzo zręcznego mnicha, mającego dużo przebiegłości, znamionującej zakonnych kwestarzy. Pietro stał się jego ulubieńcem.

Pomiędzy kardynałami, którzy mogli być wybranymi, wymieniano na pierwszym miejscu doświadczonego w sprawach rządowych Orsiniego, mającego poparcie swej potężnej rodziny, a następnie nadzwyczaj bogatego kardynała Estouville, naczelnika stronnictwa francuskiego w świętem kolegium. Rzecz szczególna, że tych potężnych i mogących znaczne sumy poświęcić na swój wybór zwyciężył Rovere nie zdolnością, bo i tamci byli bardzo znakomitymi ludźmi, nie skarbami, bo ich nie miał, ale hojnemi obietnicami. Zręczny Franciszkanin obiecywał z niezwykłą szczodrością, a pośrednikiem w tej mierze był Piotr Riario. Przrzekł kardynałowi Gonzadze biskupstwo albańskie i opactwo S. Gregorio w Rzymie, a nadto poparcie całemu rodowi Gonzagów, kardynałowi Rodrigowi Borgii zapewnił opactwo Subiaco, a nawet Orsiniego, który widział, że nie będzie miał potrzebnej większości w conclave, potrafił sobie pozyskać i zamianował go zaraz po wstąpieniu na Stolicę Apostolską papieskim kammerlengiem.

Rovere został wybrany papieżem 9 sierpnia 1471 i przy-

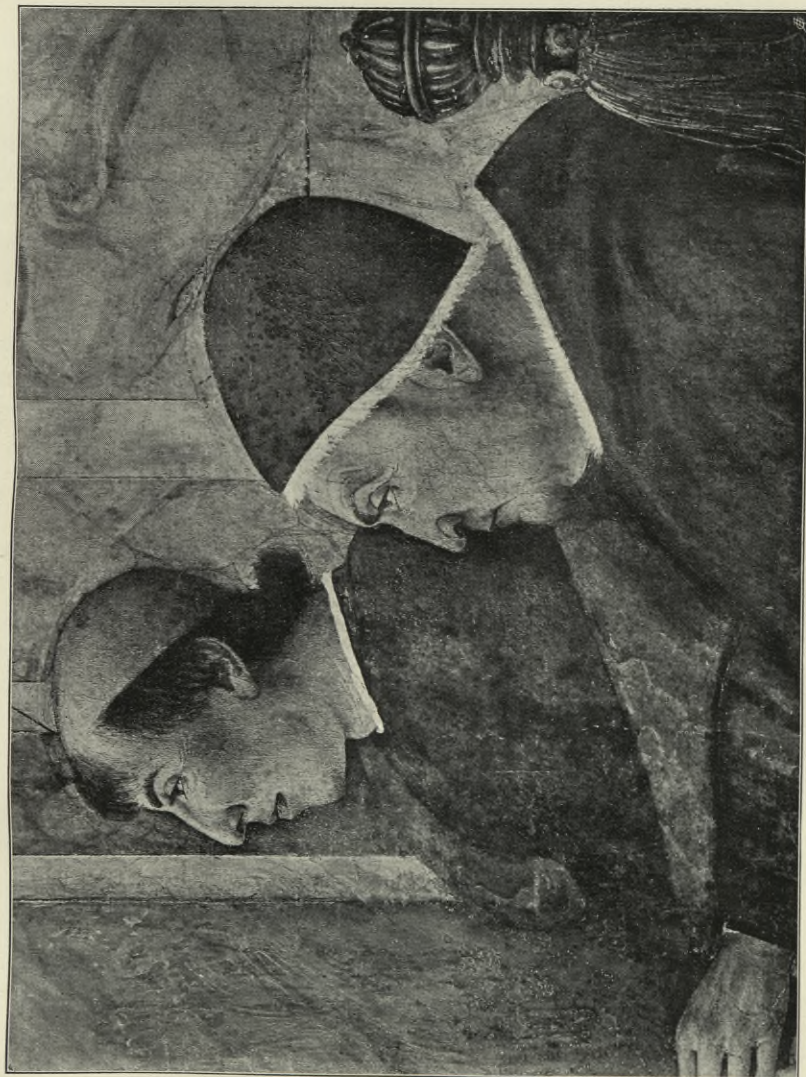












Fot. Anderson.

**Sykstus IV i kardynał Riario.**

Szczegół z fresku Melozza da Forlì w pinakotece watykańskiej.

Do str. 141.







jął imię Sykstusa IV. Nieprzyjaciele mówili o przekupstwie, o symonii; ale te głosy na razie umilkły, gdyż Rzym był zadowolony z nowego papieża. Uroczystość objęcia władzy, tak zwane Possesso, nie obeszło się bez burdy ulicznej, gdyż ludowi rzymskiemu wystarczał najmniejszy powód, aby w najbrutalniejszy sposób okazywać swe niezadowolenie. Jeźdźcy biorący udział w pochodzie przypadkowo przycisnęli publiczność do murów Lateranu, wskutek czego tłum zaczął rzucać kamieniami na rycerstwo i o mało, że samego Sykstusa IV nie zranił. Dopiero powadze i wpływowi kardynała Orsiniego udało się lud uspokoić; ale całe zajście wywarło na papieża najgorsze wrażenie, tak że Sykstus jak najprędzej wrócił do Watykanu. Koronował papieża kardynał Rodrigo Borgia tyarą Grzegorza W. na wysokiej trybunie, tak że aktowi koronacyjnemu mogła się publiczność przypatrywać.

Poprzednik Sykstusa IV, Paweł II, pozostawił w zamku św. Anioła wielki skarb w złocie i przeróżnych kosztownościach, który miał być użyty na ochronę wiary i Kościoła, na wojnę z Turkami. W opinii publiczności urosła ta spuścizna do bajecznych rozmiarów, więc też nowy papież zaraz po wyborze uważał za stosowne pokazać skarb kardynałom. Po uczcie urządzonej dla świętego kolegium oglądano owe bogactwa, które są bardzo charakterystyczne jako ówczesny sposób lokowania kapitałów. Otóż znaleziono przede wszystkim 54 srebrnych filiżanek napełnionych po brzegi perłami, które szacowano na 300.000 dukatów. Dwie tyary miały podobną wartość a osobliwie jedna z nich robiona dla Pawła II wzbudzała powszechny podziw. Poprzednik bowiem Sykstusa IV był wysokim, silnym mężczyzną, potrzeba więc było dużo złota, pereł i drogich kamieni, aby przykryć tę potężną głowę. Olbrzymi dyament, znajdujący się w skarbie, szacowano na 7000 dukatów, a inne kosztowności, srebrne i złote naczynia, relikwiarze, pierścienie, naszyjniki, łańcuchy miały bajeczną wartość miliona dukatów. Nie na tem koniec. W gotówce, a mianowicie w karlinach, znalazło się 7000 dukatów, a prócz tego były kartki poświadczające, że znajdują się depozyty wynoszące około 300.000



dukatów. Pieniądzy tych wszakże nie można było znaleźć; uwięziono więc kilku urzędników, którym te skarby były powierzone, ale zeznania ich nic nie wyjaśniły. Papież zaprzysiągł wobec kardynałów, że sum pozostałych po swym poprzedniku samowolnie nie użyje, kazał pieniądze i kosztowności w swojej obecności opieczętować i oddać kasztelanowi zamku św. Anioła do przechowania. Ów pyszny dyament tylko wydano kardynałowi Estouteville jako zastaw za sumę, którą był pożyczył Pawłowi II. Opieczętowanie jednak nie trwało długo i nie na wiele się przydało, gdyż niebawem tyłu się zaczęło zgłaszać wierzycieli poprzednich papieży, że owe perły i drogocenne klejnoty trzeba było sprzedać, skarb Pawła II znikł, a na pożytek Kościoła, a mianowicie na wojnę z Turkami nie pozostało.

Sykstus IV miał lat pięćdziesiąt siedm, gdy wstąpił na Stolicę Apostolską; był małego wzrostu i dość wątłego zdrowia, prawie otyły, niekształtny o dużym orlim nosie, żywych przenikliwych oczach, chodził niezgrabnie i zdawał się ciągle wikłać w swej długiej papieskiej szacie. Do niepewnego chodu niemało się przyczyniały podagryczne cierpienia, które go bardzo nękały, podobnie jak Piusa II Piccolominięgo. Nadzwyczaj pojednawczy, spokojny, nie lubił wokoło siebie ludzi niechętnych, rad był z otoczeniem żyć w zgodzie i patrzeć na uśmiechnięte twarze. Na papieskim tronie został zawsze franciszkańskim przeorem, starającym się przede wszystkim o podniesienie swego zakonu, o upiększenie kościoła, o wspomaganie rodziny; do politycznej akcji i połączonej z nią intryg brak mu było zdolności. Jako mnich żebrzący dziwnie nie miał wyobrażenia o wartości pieniędzy, rozdawał je hojnie, szczerze, z dobrą wolą, był »in dando hilarior«, a czasami rzucał złotem jak kamykami nad morzem w Savonie. Z drugiej strony był mistrzem w otwieraniu sobie nowych źródeł dochodu i wypożyczaniu znacznych nawet kapitałów. Franciszkański kwestarz na wielkie rozmiary. Jeden z weneckich posłów pisał do swojej Signorii, »że papieżowi dość było zamaczać pióro w atramencie, aby mieć taką sumę pieniędzy, jakiej tylko zapragnął«. »Al



papa bastava solo la mano con la penna e l'inchiostro, per avere quella somma che vuole».

Gdy Francesco został papieżem, zdawało się, że cała Savona wyemigruje do Rzymu. Rodzina papieża była bardzo liczna, brat jego Rafaello miał trzech synów, Giuliana, Bartolomea i Giovanniego, z których Giuliano, późniejszy papież Juliusz II, i Bartolomeo byli zakonnikami, a Giovanni służył w wojsku Federiga di Montefeltre. Drugi brat papieski miał syna Lionarda, a trzy siostry były zamężne: jedna, Bianca za Pawłem Riario, druga, Luchina za Giovannim Basso, a trzecia, której imienia nie wiemy, za Piotrem Giuppo. Czwarta siostra, Franchetta wcześniej umarła, nie pozostawiwszy potomstwa, natomiast trzy pierwsze dały papieżowi cały legion nepotów. Sama Luchina Basso miała pięciu synów i jedną córkę, a Bianca Riario mogła się także poszczycić dwoma synami i jedną córką, Violantą.

Z zadziwiającą szybkością, nie oglądając się na żadne względy, powoływał papież synowców i siostrzeńców na najwyższe godności i obsypywał ich swemi łaskami. Zaraz po wstąpieniu na Stolicę Apostolską, jeszcze w jesieni roku 1471, umieścił trzech z nich na swoim dworze, a osobliwie chodziło mu o wywyższenie Piotra Riaria i Giuliana della Rovere. Pierwszemu chciał Sykstus IV spłacić dług wdzięczności, który zaciągnął w swej młodości u jego rodziny, i nadał dwudziestopięcioletniemu wówczas młodzieńcowi bogate opactwo w Niemczech, przynoszące tysiąc dukatów rocznie, tudzież biskupstwo w Treviso, a nadto zamianował go swoim skarbnikiem. W kilka miesięcy później, 16 grudnia 1471, wyniósł go do kardynalskiej godności, nadając mu tytuł kościoła S. Sisto. Nominację Piotra Riaria o tyle papieżowi przebaczone, że ten siostrzeniec oddał swemu wujowi podczas conclave niemałe usługi, ale powszechnie zgorzzenie wywołało równoczesne mianowanie Giuliana della Rovere, mającego lat 28, kardynałem i oddanie mu kościoła S. Pietro in Vincoli. Giuliano, późniejszy papież Juliusz II, pomimo że Franciszkanin, prowadził bardzo rozwiozłe życie, uchodził za gwałtownika i człowieka podstępnego, ale zarazem za bardzo energicznego w swych postanowieniach i wy-



trwałego do ostateczności. O jego wykształceniu jednak i ochocie do poważnej pracy bardzo słabe miano wyobrażenie. Papież tyłoma go naraz obsypał beneficjami, że Giuliano, chociaż rosły i silny mężczyzna, z trudnością chyba mógł unieść spadające na niego dochody i zaszczyty. Został w krótkim przeciągu czasu arcybiskupem Avignonu i Bolonii, biskupem w Lausannie, Coutances, Viviers, Mende, w Ostii i Velletri, opatem Nonantoli i Grottaferraty. Okazał się wszakże godniejszym tych zaszczytów, aniżeli powszechnie mniemano; zaczął się zajmować sprawami Kościoła, był dość oszczędnym, a olbrzymie swoje dochody poświęcał po większej części na budowę kościołów i gmachów publicznych, z którymi jego nazwisko do dziś dnia się wiąże. Powyższe dwie nominacje były tylko początkiem wzbogacania nepotów, których naliczono aż piętnastu. Z nich pięciu było w krótkim czasie kardynałami; żaden papież nie nadużywał w takiej mierze swej apostolskiej władzy.

## II.

Najulubieńszym nepotem Sykstusa IV stał się jednak kardynał S. Sisto, który ujmował sobie papieża towarzyskimi zaletami. Wesoly, dowcipny, usłużny, zręczny, rozrzutny, wyróżniał się od brutalnych, ponurych Roverów, którzy jeszcze nie zdołali się otrząść ze swych prowincjonalnych zwyczajów i nałogów. Z całej rodziny Roverów i Riariów przejął się kardynał Pietro najłatwiej wysoką kulturą papieskiej stolicy, a pod wielu względami miał kobiece usposobienie łatwego zastosowania się do otoczenia, w które go losy rzuciły. Okazał się zaraz zdolnym mistrzem ceremonii Stolicy Apostolskiej, układnym dworzaninem, którego gładkiem obejściem mógł się papież poszczycić. Rzecz prosta, że Sykstusowi IV, pochodzącemu z małego domku, schlebiało to, że ma w rodzinie młodzieńca, który co do towarzyskiego znalezienia się może wyrównać Colonnom, Orsinim, a nawet przewyższyć ich dowcipem. Ażeby te zalety kardynała jeszcze wybitniej wystąpić mogły, starał się Sykstus IV, aby Pietro



miał niezmierne dochody i aby roztoczył zbytek niewidziany. Sam papież nie był przyzwyczajony do wystawnego życia, cieszyło go przeto, że ma w tej mierze godnego zastępcę. Niebawem też Pietro został patriarchą konstantynopolińskim, opatem klasztoru S. Ambrogio, wielokrotnym biskupem, a dochody jego roczne wynosiły 60.000 florenów w złocie, około 2,400.000 franków w dzisiejszej monecie. Kardynał urządził sobie wspaniały pałac, wysłał komnaty wschodnimi dywanami, na ścianach porozwieszał genueńskie aksamity, zakupił srebrnych i złotych naczyń bez liku, ubrał służbę w szkarłatną liberyę, ozdobioną swą herbową różą, postarał się o tak pyszne konie, jakich nie miało rycerstwo z Kampanii, a sam zrzucił skromną siermięgę zakonną i przywdział brokaty haftowane perłami, jak sułtan turecki. W pałacu roiło się pięćset ludzi, służby i domowników; pomiędzy nimi znajdowali się młodzi malarze, poeci, którzy sławili w sonetach chwałę kardynała i jego przyjaciółki Tiresii. Jako młodzieniec bowiem wielkiego świata, nie zapomniał Pietro Riario o tem, aby obok przelotnych miłostek mieć uprzywilejowaną odaliskę, którą ubierał w jedwabie i klejnoty jak asyryjskie bóstwo, i dawał powód do zawiści i obmowy. Pietro stał się bohaterem karnawału, urządził bankiety z niewidzianym przepychem i turnieje, w których brała udział rycerska młodzież, ściągnięta zbytkiem i chęcią zabawy. Słynną taką karnawałową ucztę, daną w r. 1470 dla tak zwanego króla macedońskiego, sprzymierzeńca papieskiego przeciw Turkom, opisał orator medyolański, Jan Arcimbaldus, w liście do swego pana, Galeazza Marii Sforzy. Brało w niej udział czterech kardynałów i wielu innych członków wysokiego duchowieństwa, tudzież posłów obcych państw, znajdujących się w Rzymie, a do egzotycznych ozdób festynu należeli obok króla Macedonii także synowie despoty z Morei. W środku wielkiej sali, obitej kobiercami, umieszczono na podwyższeniu stół, przeznaczony dla króla, który ubrany w bogate szaty, otoczony kilkoma radcami, siedział nieruchomy w swej wschodniej powadze, nie rozumiejąc ani po włosku, ani po łacinie i przypatrując się tylko wyuzdanej rzymskiej wesołości. Kardynałowie i inni goście bankietowali



przy osobnych stołach, a wszędzie lśniły się złote i srebrne naczynia, dzbany z winem, olbrzymie półmiski pełne barwnych owoców i pachnących cukrów, w wieże ułożonych. Liczne woskowe świece w rozłożystych kandelabrach i pochodnie w rękach lokai, ubranych w złocisto karmazynowe liberye, napełniały sale żółtawem światłem, w którym migotały brylanty, rubiny, topazy naszyjników i pierścieni prałatów i rycerstwa. Sala znajdowała się na parterze pałacu; przed wniesieniem też każdego dania wjeżdżał konno we drzwi marszałek dworu i przy odgłosie trąb zapowiadał nową potrawę. Po ukończeniu bankietu, który trwał aż trzy godziny, wszedł do sali dworzanin kardynała, przebrany za tureckiego posła, w towarzystwie tłumacza, który zanosił skargi, że Pietro Riario nadał królowi Macedonii królestwo, należące do sułtana. Zwrócił się następnie do króla i groził mu, że jeżeli nie złoży nieprawnie zdobytej korony, to sułtan wojnę mu wypowie. Kardynał i król dali przez swego tłumacza odpowiedź, że bynajmniej nie ulegną groźbom padyszacha i że miecz rozstrzygnie, kto z nich ma prawo do Macedonii. Nazajutrz urządzono więc na placu św. Apostołów turniej, który miał być zakończeniem zabawy i zręcznym pochlebstwem dla efemerycznego monarchy. Dowódca króla Macedonii, Usunhassan, zwyciężył w turnieju, pojął w niewolę wielkiego Turka i okutego w kajdany prowadził z tryumfem po ulicach Rzymu.

Głośną była także inna uczta, którą kardynał wydał dla Leonory Aragońskiej, przejeżdżającej do Ferrary, aby poślubić Ercola d'Este. Przyjęcie to, podobnie jak i biesiada urządzona dla króla macedońskiego, miało cel polityczny, a mianowicie utrwalenie przymierza pomiędzy Sykstusem IV a Ferrantem, królem Neapolu, tudzież połączenie Roverów rodzinnym węzłem z Aragonami. Papież bowiem dążył do ożenienia innego swego nepota, Leonarda della Rovere, którego przed rokiem zamianował prefektem Rzymu, z nieślubną córką Ferranta. Małżeństwo to przyszło do skutku, ale kosztowało dużo ustępstw Stolicę Apostolską. Papież musiał zwolnić króla od znacznej daniny, którą Ferrante płacił Rzymowi tytułem trybutu, i na przyszłość zadowolnić się jedy-



nie białym koniem, którego odtąd co rok posyłał król neapolitański Stolicy Apostolskiej, jako oznakę swego poddaństwa. Był to jeden z najdroższych rumaków, jakie papieże kiedykolwiek nabyli. Ale za to mógł niedorosły, mały, prawie głupowaty Leonardo, służący ludowi rzymskiemu za pośmiewisko, połączyć się z domem Aragonów.

Mówiono wówczas powszechnie, że w Rzymie tyłu jest papieży, ilu Sykstus IV liczy nepotów, ale to przesada. Rzeczywiście rządził tylko kardynał Pietro, nie tylko w państwie, ale i w Kościele; papieża zajmowało jedynie urządzenie wyprawy przeciw Turkom, którzy zaczęli zagrażać całym Włochom.

W lecie w r. 1473 wybrał się kardynał w interesach rodzinnej polityki do Medyolanu i Wenecyi, głównie aby przeszkodzić zamiarowi księcia medyolańskiego sprzedania Imoli Florentyńczykom, którzy mu dawali za to, pod względem strategicznym ważne dla nich miasto 100.000 dukatów. Papież zaś chciał Imolę kupić dla swego nepota Girolama Riaria, brata kardynała Pietra. Żręczny kardynał potrafił zerwać układy pomiędzy Medyolanem a Florencją i skłonić Galeazza Marię Sforzę do odstąpienia powyższego miasta papieżowi za sumę tylko 40.000 dukatów. Ale właściwą cenę sprzedaży i kupna stanowił projekt małżeństwa pomiędzy Girolamem Riariem a Costanzą Fogliani, siostrzenicą słynnego Francesco Sforzy. Tak papieżowi jak i Galeazzowi Sforzy zależało na tem, aby przez ten związek rodzinny zbliżyć się do siebie. Sforza chciał mieć w papieżu oparcie przeciw Wenecyanom i niechętnym mu Medyceuszom, a Sykstus IV rad był, że może za tanie pieniądze nabyć Imolę dla nepota i połączyć Roverów ze Sforzami, jednym z najświetniejszych i najzamożniejszych rodów kondotierskich. Girolamo Riario był człowiekiem nieokrzesany, który do niedawna jeszcze jako prosty kramarz w Savonie sprzedawał mąkę, rodzynki i pomarańcze, a poza Genuą, dokąd jeździł po zakupna dla swego sklepiku, nie widział świata. Papieżowi to jednak nie przeszkadzało, aby owego prostaka powołać do Rzymu, ubrać w brokaty i postawić jako kandydata do ręki siostrzenicy wielkiego Sforzy. Ale projekt tego małżeństwa rozbił się



o matkę panny, Gabryelę Gonzagę, która dumna na swe pochodzenie nie dała sobie wspomnieć o kramarzu z Savony i umowy zawarte bez jej wiedzy stanowczo zerwała. Galeazzo był w wielkim kłopotcie, obawiał się gniewu papieża i podsunął natychmiast nepotowi inną narzeczoną, własną córkę nieślubną, Katarzynę Sforzę, wówczas jedenastoletnią, piękną, pełną życia dziewczynkę. Galeazzo zapewnił jej posag dziesięciu tysięcy florenów w złocie i dobra Bosco koło Alessandri, papież zaś obdarzył przyszłego jej męża i jej potomstwo wikaryatem świeżo nabytej Imoli, która w ten sposób przeszła do rodziny Riariów. Stolica Apostolska zapłaciła 40.000 dukatów, nepot zaś papieski wszelkie miał korzyści, a w dodatku otrzymał tytuł hrabiowski.

Kardynała więc Riaria przyjmowano w Medyolanie jakby samego papieża; Galeazzo nie szczędził starań i kosztów, aby przyszłemu stryjowi swej córki, wszechpotężnemu nepotowi papieskiemu, zgotować tyle uciech i rozkoszy, ile tylko wyniszczony ciągłymi orgiami organizm rzymskiego światowca wytrzymać zdoła. Ale kardynałowi nie dość było tych uciech, chciał pojechać także do Wenecyi, słynnej z pięknych kobiet i wolności obyczajów. Papież i Galeazzo nie byli zadowoleni z tej podróży, przeciwnej ich politycznym interesom; ale młody kardynał nie znał Wenecyi i nie dał się powstrzymać od zakosztowania rozkoszy, które go tam czekały. Używał też owych uciech z taką swobodą i bezwzględnością, że nawet w rozwiozłej Wenecyi wywołał powszechne zgorszenie, a obawiając się zapewne zemsty Signorii z powodu polityki przyjaznej Medyolanowi, jaką imieniem papieża prowadził, uciekł z miasta lagun w przebraniu franciszkańskiego braciszka. Jak mógł, spieszył stamtąd do Rzymu: w pięciu dniach przebył konno drogę z Bolonii do stolicy, gdzie zmęczony i wyczerpany dwuletniem nadużywaniem sił zachorował z końcem grudnia 1473 r. na silną febrę i wkrótce umarł 5 stycznia 1474 r., w dwudziestym ósmym roku życia.

Papież stracił ulubieńca, którego uważał za ozdobę rodu i za chlubę Kuryi Apostolskiej »curiae splendor«. Przez kilka dni z nikim nie chciał mówić, nie przyjmował nawet kar-



dynałów; ale boleść trwała nie długo, trzeba było pamiętać o innych nepotach. Pietrowi kazał wystawić przepyszny grobowiec w S. S. Apostoli, dzieło Andrzeja Bregno i Mina da Fiesole, jeden z najpiękniejszych pomników Odrodzenia. Lud rzymski żałował kardynała, który bawił pospólstwo ciągłymi festynami, a poeci obsypali jego grób rymowanymi westchnieniami, albowiem stracili hojną rękę, która ich wspierała.

Kardynał pozostawił pomimo swych olbrzymich dochodów 60.000 florenów długów, których nikt nie zapłacił. Żywi nepoci za wiele potrzebowali, aby papież mógł pamiętać o zobowiązaniach zmarłych ulubieńców.

### III.

Laski swe przelał Sykstus IV na brata kardynała, na Girolama Riaria, który się teraz stał wszechmocnym nie tylko w interesach państwa papieskiego, ale także i w wielu sprawach Kościoła. Sam Sykstus nie był szczęśliwym w dyplomatycznych rokowaniach, które prowadził w pierwszych latach swych rządów; zdawało mu się więc, że koniecznie potrzebuje rady i pomocy swych najbliższych krewnych, gdyż obcym kardynałom nie dowierzał. Niedawny kramarz z Savony okazał się zręcznym człowiekiem, zapoznał się niebawem ze sprawami Kuryi Apostolskiej, a nawet nauczył się konia dosiadać i udawać kondotiera. Gdzie dowcip Girolama nie wystarczał, zasięgał papież rady kardynała Giuliana della Rovere, który coraz bardziej zaczynał się wysuwać na widownię, górował bowiem nad całym otoczeniem papieża zdrowym rozsądkiem i wzbudzał swą stanowczością zaufanie. Kardynał, chociaż z zawodu mnich Franciszkanin, odkrył w sobie także wojskowe zdolności, Sykstus bowiem powierzył mu uśmierzenie rewolucyi w Umbryi, gdzie kilka miast chciało się wyzwolić z pod władzy papieskiej. Na czele tego ruchu stali doświadczeni żołnierze, jak Giordano Orsini, hrabiowie di Pitigliano i Vitelli z Città di Castello, a rewolucya była tem niebezpieczniejszą, że popierał ją ukrycie Lorenzo Medici, spoglądający z niepokojem na zwie-



kszenie się i wzmacnianie papieskiego państwa. Giuliano w kilku bitwach i trudnych oblężeniach pokonał nieprzyjaciół, a to były pierwsze wojskowe wawrzyny późniejszego Juliusza II.

Pomiędzy tych franciszkańskich mnichów i małomieszczan z Savony weszła niespodziewanie młoda, piękna kobieta, Katarzyna Sforza, nadzwyczaj starannie wychowana i przywykła do wykwintnego towarzystwa w Medyolanie. Matką jej była piękna Lucrezia Landriani, ale Katarzyna wcześniej się dostała pod opiekę Bony Sabaudzkiej, która wszelkich dołożyła starań, aby swą wychowankę otoczyć miłością i odpowiednio wykształcić. Obecnie stała się Katarzyna ofiarą polityki ojca, ale na duchu nie upadła. Wszak krążyła w niej krew najslynniejszego kondotiera czasów Odrodzenia, Franciszka Sforzy, była więc dumną z tego i nie ulękła się ani zmiany losu ani nowego otoczenia. Pełna odwagi, potrafiła zwalczyć brutalność męża, wyrobić w nim przynajmniej pozorne formy rycerskie, podnieść go do ludzi, którzy nosili miecz u boku, i zyskać sobie później imię jednej z najwybitniejszych kobiet swego czasu. Trzeba wszakże przyznać, że papież i całe jego otoczenie dołożyło wszelkich starań, aby córce Galeazza świetne w Rzymie zgotować przyjęcie i jak najmilsze w niej wywołać wrażenie. Cała droga do Rzymu była dla narzeczonej Riaria nieprzerwanym tryumfalnym pochodem, miasta, przez które przejeżdżała, jak Parma, Reggio, Bologna, Imola starały się przypodobać już to Sforzom, już to papieżowi, i przyjmowały panią młodą z owym barwnym przepychem, który wówczas z wielkiem mistrzostwem roztaczać umiano. Muły nie mogły unieść podarunków, którymi obsypywano przyszłą małżonkę najpotężniejszego nepoła. Osobliwie Imola, siedziba Girolama Riaria, zadziwiła świetnem przyjęciem swoją panią. Była to mała, źle zbudowana miejscina, którą przygniatał jak zła mara ponury zamek, niedawno przez Sforzów wzniesiony. Domy i ulice przystrojono dywanami, kwiatami, kobiety z ludu popisowały się oryginalnymi tańcami, a rycerstwo urządziło bankiet, który niestety trwał za długo, gdyż mowcy wysilali się na przesadne pochwały, na podnoszenie wdzięków i zalet pięknej córy Medyolanu. Dziwnie uroczy był



powrót gości w noc majową do domów, żółtawo czerwony bowiem płomień pochodni oblewał domy i ludzi ciepłem, magicznem światłem. Katarzyna wierzyła jeszcze w szczerłość uczuć swych poddanych i pisała do przybranej matki, do Bony, że »nawet kamienie cieszą się z jej przybycia«.

Ale w Rzymie straszne były upały, powietrze ziało febrą, więc papież chciał odroczyć przyjazd Katarzyny do sposobniejszej chwili i wysłać tymczasem hr. Girolama do Imoli, aby skracał niemiłe oczekiwania narzeczonej. Zaszły wszakże niespodziewane wypadki, wzajemna zazdrość i zawiść nepotów o mało że nie doprowadziła do tragedji. Kardynał Giuliano della Rovere, gwałtowny i mściwy, nie mógł ścierpieć wywyższenia Riariów. Krew i żółć kipiały w nim, gdy papież obsypywał swemi łaskami zmarłego kardynała di S. Sisto, a gdy teraz przelał swe uczucia na niegodnego ich Girolama, gdy nadto dawał mu jeszcze jedną z najpiękniejszych kobiet we Włoszech, Giuliano, jak wieść niósła, postanowił usunąć swego ciotecznego brata sztyletem lub trucizną. Szczęśliwym tylko zbiegiem okoliczności Girolamo uniknął śmierci, a rzecz całą osłonięto największą tajemnicą, aby zaraz na wstępie do Rzymu nie przestraszyć Katarzyny marą familijnej zbrodni.

Częścią ten zamach, częścią niepokoje w samym Rzymie i głód pomiędzy uboższą ludnością kazały papieżowi i jego otoczeniu zapomnieć na chwilę o Katarzynie, wskutek czego nie uwiadomiono jej, aby jeszcze z Imoli nie wyjeżdżała. Niespodziewanie więc dowiedziano się, że młoda Sforza już trzynastego maja opuściła Imolę i że cały orszak ślubny dąży do Rzymu. Przygotowano się z całym pośpiechem, aby Katarzynę godnie przyjąć; Girolamo, otoczony duchowieństwem i rycerstwem, wyjechał naprzeciw narzeczonej siedmiu mil za mury, a za nim Antonio Riario i prefekt Rzymu Leonardo, który swą brzydota i niezgrabnością nie dawał bynajmniej dobrego wyobrażenia o rodzinie, do której Katarzyna wchodziła. Przy Ponte Molle nad Tybrem oczekiwał pannę młodą cały dwór papieski, tudzież kilku posłów obcych dworów, skąd odprowadzono ją do pałacu kardynała z Urbino, leżącego na pochyłości Monte Mario. Tam urzą-



dzono wieczerzę, po której hr. Girolamo ofiarował narzeczonej perły w wartości pięciu tysięcy dukatów, poczem na rozkaz papieża wrócił na noc do Rzymu. Nazajutrz wjeżdżała Katarzyna konno do miasta, ubrana w suknię z czerwonego atłasu, z czarnymi adamaszkowymi rękawami, które były suto wyszyte drogimi kamieniami, i w zarzutkę ze złocistego brokatu i czarnego adamaszku. Sześć tysięcy jeźdźców, rzędem obok siebie ustawionych, znaczyło drogę do bazyliki św. Piotra, gdzie czekał na narzeczoną swego nepota Sykstus IV i całe święte Kollegium. Gdy Katarzyna zsiadła z konia i weszła do świątyni, rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, które trwało aż trzy godziny, poczem zbliżył się do narzeczonej kardynał di S. Pietro in Vincoli, Giuliano della Rovere, i poprowadził ją wraz z otoczeniem do papieskiego tronu. Katarzyna ukłękła, pochyliła się aż do ziemi jak przy mszy w czasie podniesienia i ucałowała nogę Sykstusa IV. Był to wszakże tylko początek kościelnej uroczystości. Gdy bowiem narzeczonej powstała, popisał się Bossi Medyolańczyk, jako ochmistrz Katarzyny, który z nią przyjechał, długą łacińską mową, a po szczęśliwym jej zakończeniu nastąpił dopiero właściwy akt zaślubin, włożenie pierścionka. Następnie musiała młoda małżonka znowu zbliżyć się do papieża, znowu mu nogę ucałować; ale przynajmniej teraz czekała ją niespodzianka, gdyż papież ofiarował jej pyszny naszyjnik, za który zapłacono cztery tysiące dukatów, i wogóle bardzo się dla niej okazał łaskawym. Girolamo natomiast zachowywał się podczas całego aktu ślubnego tak niezgrabnie i tak chłodno, że z tego powodu powszechną na siebie zwrócił uwagę. Przy końcu uroczystości musiała Katarzyna jeszcze ucałować ręce wszystkim kardynałom, siedzącym wokoło papieskiego tronu, poczem dopiero mogła wsiąść na koń i z całym swym otoczeniem udać się na Campo di Fiore, do pałacu kardynała Orsiniego, który na razie urządzono młodej parze na mieszkanie, ponieważ pałac Riaria, dzisiejszy pałac Altemps all'Apollinare, nie był jeszcze ukończony. Około pięćdziesięciu panien z rodzin rycerskich i patrycyuszowskich czekało na nią w przedsionku, odprowadziło ją do komnat dla niej przeznaczonych, gdzie nareszcie



znużona znalazła się sama. Ale ta samotność nie trwała długo. O siedmnastej godzinie weszło do niej dziecko przebrane za anioła i zaprosiło do stołu. W sali jadalnej czekało już około dwustu osób, dygnitarze Kościoła, posłowie obcych państw i szlachta rzymska. Obiad według zwyczaju był długi, dwadzieścia dań oprócz konfektów, a po każdym pięciu daniach wjeżdżał na małym tryumfalnym wozie amerek, który recytował mdłe wiersze na pochwały pani młodej. Po ostatniej potrawie wprowadzono balet, składający się z sześciu kobiet i sześciu mężczyzn, poczem popisywali się florentyńscy tancerze, a na zakończenie bankietu czterech chłopaków, przebranych za myśliwych, przyniosło pani młodej mnóstwo pieczonej dziczyzny. Gdy zaś ze stołów zdjęto obrusy, złożyli goście podarunki, które ze sobą przynieśli, a praktyczni nepoci obliczyli, że miały one wartość dwunastu tysięcy dukatów. Cały Rzym był pod urokiem piękności Katarzyny, jeden ze starszych świadków owych uroczystości, Fabio Oliva, pisał do kogoś ze znajomych, że natura stworzyła ją uroczą a niebo bezmiernie dobrą i przyroda nic lepszego wydać nie mogła. W całych Włoszech uchodziła ona za najpiękniejszą kobietę swego czasu. Ale to są tylko pochlebstwa kronikarzy. Czternastoletnia wąfla, wysoka dziewczyna, nie miała jeszcze czasu się rozwinąć, była znużona drogą i przyjęciami, trwoga ją przejmowała wobec tego obcego świata, wobec tego nieznanego, niesympatycznego mężczyzny, który miał zostać jej mężem. Na razie starał się Girolamo być uprzejmym tak wobec żony, jak i wobec gości, ale w kilka godzin później zrzuciwszy aksamity i atłasy, pod którymi kryła się jego niedźwiedzia skóra, był w stosunku swym z Katarzyną brutalnym i potem nieraz podnosił na nią pięść kramarza z Savony.

Zepsuty szybkim wzbogaceniem się, rozwiozły w najwyższym stopniu, gbur, nie umiał się zbliżyć do tej niewinnej istoty, którą bezwzględna tyrańska polityka rzuciła w jego objęcia. W kilka lat później zwierzała się Katarzyna przed Franciszkiem Viscontim, posłem księcia Sforzy, a dawnym swym przyjacielem, że wtedy śmierć była jej nadzieją i pociechą. Gdy przez okno spostrzegła pogrzeb, wy-



teżyła wzrok, aby długo patrzeć na trumnę i zazdrościła tym, których zwłoki na cmentarz niesiono.

Pożycie Riariów nie mogło być i później szczęśliwem, ale wrodzona duma Katarzyny nie pozwalała jej przed światem wywodzić skarg na męża. Girolamo, wylany dla spółników rozpusty, był wobec żony zamknięty, zimny, obojętny, a w gniewie brutalny, tak że młoda kobieta coraz więcej go nienawidziła i drżała przed jego podłością, obawiając się, aby jakim brzydkim czynem nie splamił nazwiska, które teraz za swoje uważać była zmuszona. W półtora roku po ślubie, szesnastoletnia zaledwie kobieta powiła pierwszą córkę, Biankę, a następnie prawie co roku przybywało nowe potomstwo w rodzie Riariów. Papież polubił Katarzynę, stał się jej podporą wobec męża, a w Rzymie mówiono, że starzec zostawał pod urokiem jej piękności. Jakiś młody malarz rzymski namalował nawet obraz przedstawiający obóz papieskiego wojska pod Cori, w którym wprowadzie hr. Girolamo był główną postacią, ale w jakimś mnichu franciszkańskim i w jakiejś kobiecie poznano Sykstusa IV i Katarzynę. Gdy papież zobaczył ten obraz, kazał malarza wtrącić do więzienia, obić różgami i powiesić, a dom jego oddać na rabunek gawiedzi. Przyjaciele artysty zdołali mu jednak życie uratować, przedstawiając papieżowi, że młodzieniec ma pomieszanie zmysłów i że przeto nie odpowiada za wybryki swego pędzla.

#### IV.

Mimo ociężałości, braku wykształcenia, Girolamo zaplanował zupełnie nad Sykstusem IV; stało się to, co później niejednokrotnie u innych papieży będziemy mogli zauważyć. Papieże byli po większej części starcami, którzy łatwo ulegali wpływowi swych nepotów, a wiedząc nawet o ich błędach i zbrodniach, nie mieli siły, aby się z pod tego wpływu uwolnić. Sykstus IV powiedział raz Girolamowi przy świadkach: »Jesteś bestyą, zwierzęciem«, ale mimo to spełniał życzenia wstrętnego nepota. Tak się też stało i wtedy, gdy



chodziło o sprzysiężenie Pazzich przeciw Medyceuszom. Papież nienawdził Lorenza Medyceusza, którego uważał za główną przeszkodę do rozszerzenia swego państwa ku północy i przeobrażenia go w silną świecką monarchię, za złego ducha, który zawsze krzyżował jego polityczne zamiary. Ale Girolamo pałał ku Medyceuszom jeszcze większym gniewem, gdyż czuł się niepewnym w posiadaniu Imoli, dopóki ten potężny ród rządzi we Florencyi. Lorenzo zresztą znienawidzony w domu przez stronnictwo Pazzich, miał i w Rzymie wielu nieprzyjaciół. Jeden z Pazzich, Francesco, był bankierem w papieskiej stolicy, Francesco zaś Salviati, arcybiskup pizański, także z rodu nieprzyjaznego Medyceuszom, zajmował wybitne stanowisko w Kuryi. Z tymi Florentyńczykami porozumiał się Girolamo Riario i oni to pierwsi ułożyli spisek Pazzich przeciw Medyceuszom, przybrawszy sobie do pomocy jako doświadczonego żołnierza Giovana Battistę da Montesecco, będącego w służbie u Girolama. Spiskowi mieli tylko pewne wątpliwości, jak się papież w tej całej sprawie zachowa, czy się zgodzi na to, aby Stolica Apostolska przyłożyła rękę do rewolucyi, która z pewnością wiele ofiar pociągnie za sobą; ale Riario ich uspokoił, że papież uczyni to, co on zechce, pała bowiem gniewem przeciw Medyceuszowi i radby go jak najprędzej usunąć. Sykstus IV zachował się jak biblijny Piłat: dał osobiście swemu nepotowi i Salviatiemu pozwolenie na wydarcie rządów Medyceuszom, zastrzegł się wszakże, że nie życzy sobie niczyjej śmierci, nawet śmierci Lorenza, pomimo że go za łotra uważa. Trudno przypuścić, aby papież był tak naiwny i wierzył w to, że w owych czasach da się przeprowadzić spisek we Florencyi, i to przeciw Medyceuszom bez rozlewu krwi. Papież musiał dobrze przeczuwać, co się stanie, ale zgadzając się niejako na sprzysiężenie przeciw Medyceuszom, chciał przynajmniej pozornie ratować honor Stolicy Apostolskiej. Jak wiadomo, spisek Pazzich się nie udał; Giuliano de' Medici został wprawdzie w katedrze florentyńskiej zamordowany, ale sztylety nie dosięgły Lorenza, który nadal pozostał na czele rządów rzeszypospolitej. Ciała arcybiskupa Salviatiego, Franceska de' Pazzi wisiały niebawem w oknach pałacu Signorii, a gdy



spadły na plac, tłum je poszarpał w kawałki i krzyczał »Palle, Palle!« hasło zwycięskie Medyceuszów.

Sykstus IV odziedziczył po swych poprzednikach wielkie zadanie, a mianowicie urządzenie wyprawy przeciw Turkom, którzy zagrażali całemu chrześcijaństwu. Już Paweł II zebrał na ten cel znaczny skarb, ale pozostawił też znaczne długi. W pierwszych chwilach panowania ogłosił Sykstus IV, że długi swego poprzednika spłaci, i w tym celu kazał sprzedać ową wspaniałą tyarę Pawła II, o której wspominaliśmy. Ale nepoci pieniądze zabrali, a długi nie zostały spłacone, wskutek czego nawet pomiędzy kupcami i bankierami rzymskimi niemal powstało wzburzenie, oni bowiem ponosili największe straty. Ponieważ i inne kosztowności po Pawle II dostały się powoli w ręce nepotów, więc na turecką wyprawę nie było żadnego funduszu. Gdy jednak Turcy za Mahometa II zajęli Otranto w południowych Włoszech i zagrozili całemu półwyprowi, a nawet sam Rzym był w niebezpieczeństwie, odparcie strasznego najazdu stało się sprawą nagłą, konieczną. Sykstus stanął wtedy na wysokości swego posłannictwa i przedsięwziął akcję dyplomatyczną u wszystkich europejskich monarchów, w której kardynał Giuliano ważną odgrywał rolę. Papież sprzedał nawet własne srebra stołowe, oddał mnóstwo drogocennych sprzętów kościelnych do mennicy i rzec można, że w owych chwilach był rzeczywiście energicznym papieżem, a nie wyłącznie włoskim księciem, myślącym jedynie o wzbogaceniu swej rodziny. Nie spodziewana śmierć Mahometa uwolniła na razie Włochy i całą Europę od groźnego niebezpieczeństwa, działa na murach zamku św. Anioła radośnie zagrzmiały i wszystkie dzwony Rzymu oznajmiły ludowi ową wesołą nowinę. Flota papieska połączona z okrętami neapolitańskiego Ferranta i z pomocniczym wojskiem węgierskim zdobyła napowrót 10 września 1481 Otranto, a papież i nepoci mogli się znowu zajmować własnymi sprawami.

Ponieważ pokonanie Medyceuszów się nie powiodło, więc Girolamo myślał tylko o tem, jakby w inny sposób wynagrodzić sobie doznane zawody i zabezpieczyć Imolę przed pożądlivością Florentyńczyków. Powziął nawet śmiały



plan wypędzenia króla Ferranta z Neapolu i włożenia na swoją głowę korony Włoch południowych z pomocą Wene-  
cjan, którzy za tę przysługę mieli otrzymać Ferrarę. Wene-  
cianie byli jednak zanadto wytrawnymi politykami, aby  
wchodzić w niebezpieczne plany z nepotem papieskim, któ-  
rego szczęście mogło się skończyć ze śmiercią papieża. In-  
trygi Girolama doprowadziły mimo to do wielce naprężonych  
stosunków pomiędzy Rzymem a Neapolem i do wojny w roku  
1482. Sykstus IV chcąc osłabić Ferranta, zawezwał rzym-  
skich baronów, którzy ze swem wojskiem służyli w szere-  
gach królewskich, a mianowicie Orsinich, Colonnów, Savel-  
lich, aby opuścili króla i przyszli w pomoc papieżowi. Nie-  
którzy uczynili zadość woli Sykstusa, a mianowicie Orsini  
pod wodzą Virginia, towarzysza rozpusty Girolama, jednego  
z najbardziej wybitnych typów tej rodziny, gwałtownika,  
karciarza, a przytem człowieka pełnego odwagi. Również  
Stefano i Giordano Colonnowie z Palestriny, obawiając się  
zapewne losów, którym tyle razy uległa ich siedziba, zacią-  
gnęli się w szeregi papieskie, a za nimi poszli Savelli, pra-  
wie zawsze sprzymierzeńcy Colonnów. Colonnowie jednak  
z Paliano, stanowiący już wówczas potężną linię tego rodu,  
pozostali wiernymi przymierzu z królem Ferrantem i kazali  
oświadczyć konserwatorom na Kapitolu, że nie zamierzają  
walczyć przeciw Rzymowi, lecz tylko przeciw papieskiemu ne-  
potowi, chcąc uwolnić Włochy od despotyzmu Riaria. Papież  
odpowiedział na to oświadczenie uwięzieniem kardynałów  
Colonnów w zamku św. Anioła. Wskutek tego powstało  
w Rzymie wielkie pomiędzy ludnością wzburzenie. Ludzie  
rozsądni, a na czele ich kardynał Giuliano della Rovere, na-  
mawiali papieża do zawarcia pokoju z królem neapolitań-  
skim. Ale Girolamo nie dopuścił do układów, spodziewał się  
bowiem, że wojna przyniesie mu co najmniej wywłaszczenie  
Colonnów z Paliano i że ich wielkie dobra jemu się do-  
staną. Dowództwo neapolitańskiego wojska powierzył Fer-  
rante swemu synowi, księciu Alfonsowi di Calabria, który  
wspierany przez Colonnów z Paliano, niebawem stanął ze  
swem wojskiem tuż pod Rzymem i zajął Grottaferrate.

Papież nie dowierzając jednak wojskowym zdolnościom



Girolama, prosił Wenecyan, z którymi był w związku, aby mu przysłali oddział wojska i dali na dowódcę Roberta Malatestę da Rimini, dzielnego młodego kondotiera, który wówczas służył na żołdzie Rzeczypospolitej. Przeworność papieża okazała się wkrótce aż nadto usprawiedliwioną; gdy bowiem Alfons zagrażał miastu, Girolamo zamiast wyruszyć na nieprzyjaciela, zamknął się z wojskiem koło Lateranu, założył główną kwaterę w bazylice, a mając dużo pieniędzy, które mu papież dał na wypłaty wojska, grał w karty z Virginim Orsinim, dopóki większej części publicznego grosza nie stracił. Ponieważ nie było stołów w kościele, więc dowódcy rozkładali się z kartami na ołtarzach bazyliki, a za ich przykładem szła i inna wojskowa starszyzna, prości żołnierze zaś rabowali, co mogli, i uwodzili dziewczęta w Rione dei Monti. Gdy też Malatesta przybył do Rzymu, ludność nabrała otuchy, witała go z największym zapalem, księża wołali, że »przybył zbawca Izraela«. I rzeczywiście dobre przecucie nie zawiodło Rzymian; Malatesta wyprowadził papieskie wojsko z Lateranu w otwarte pole i odniósł nad Alfonssem 21 sierpnia 1482 świetne zwycięstwo, znane pod nazwą bitwy di Campo Morto, ponieważ została stoczona na strasznym, febrą zięjącem pustkowiu, koło S. Pietro in Formis i Astury. Rycerstwo rzymskie ginęło w bratobójczej walce, prawie po obydwu stronach stali Orsini, Colonna, Savelli i Guibaldi, a od dawna nie było pomiędzy Włochami tak morderczej bitwy, padło bowiem przeszło 1000 ludzi.

Chwała zwycięstwa należała się jedynie Malateście, gdyż Girolamo pilnował tylko namiotów i cieszył się nadzieją, że młody wódz zostanie zabity i że po nim będzie mógł zająć Rimini. Ale nadzieje zawiodły podstępного nepota: Malatesta wrócił zdrów z pola bitwy, Rzym witał go jako tryumfatora, prawie jako zbawcę, naprzeciw którego wyszło całe święte Kollegium. Papież przyjął młodego wodza na progu Watykanu, w Santa Maria del Popolo odprawiono dziękczynne nabożeństwo, w którym sam Sykstus wziął udział w licznej otoczeniu kardynałów i prałatów. Girolamo czuł się upokorzonym i knuł zemstę, Malatesta nie długo się cieszył swem zwycięstwem.



W kilka dni po powrocie zachorował na dysenterję. Przyjaciele Girolama opowiadali, że podczas bitwy zgrzany i zmęczony napił się zgnilej wody na Maremmach; ale cały Rzym był przekonany, że Girolamo kazał go otruć, aby zostać panem na Rimini. Gorączka chorego gwałtownie się zwiększała, młody bohater uległ jej 10 września, w pałacu swego krewnego, kardynała Nardiniego. Papież przybył opatrzyć Malatestę ostatnimi sakramentami, ale zastał go już bez życia. Bohater z pod Campo Morte tak się stał popularnym swoim zwycięstwem, że lud rzymski śpiewał o nim, jak o drugim Cezarze:

Roberto son che venni, vidi, vinsi  
L'inclito duce, e Roma liberai,  
E lui d'honore e me di vita estinsi.

Papież z wdzięczności legitymował jego nieślubnych synów i kazał mu wystawić pomnik w kościele św. Piotra, który po różnych przejściach dostał się do paryskiego Luwru. Malatesta przedstawiony tam jest w zbroi na koniu. Mimo owych zewnętrznych oznak wdzięczności dla Malatesty postanowiono w Watykanie, że Rimini będzie własnością Girolama. Nepot udał się też do Romanii z zamiarem zagrabienia spuścizny po Robercie; ale Florentyńczycy obronili wdowę i papież czuł się zmuszony udzielić inwestytury na Rimini synowi Malatesty, Pandolfowi.

Po śmierci swego wodza nie chciało weneckie wojsko dalej brać udziału w wojnie z Neapolem, a ponieważ Orsini także się cofnęli, więc papież był zmuszony zawrzeć pokój z Ferrantem i z Colonnami, z którego skorzystał tylko Girolamo Riario. Jako »dowódzca«  
świetnej kampanii otrzymał ze skarbu papieskiego dożywotną pensję i jak później zobaczymy, liczył sobie niezmierne sumy za utrzymywanie wojska, które miała mu wypłacić Kurya rzymska. Na razie jednak Sykstus IV tak się cieszył z pokoju, że chcąc uwiecznić radosną chwilę swego panowania, nadał małemu kościołowi S. Maria della Virtù nazwę S. Maria della Pace. Girolamo wszakże nie był zadowolony z zakończenia wojny, która mu żadnego »państwa«  
nie przyniosła, a nie mogąc



zagarnąć spuścizny po Malateście, postanowił zgłębić Colonnów i stać się właścicielem ich posiadłości.

Tym razem wysunął Girolamo naprzód swych przyjaciół Orsinich, aby rozpoczęli niepokoje. Na wiosnę roku 1484 napadli Orsini na Albano i wypędzili stamtąd stronnika Colonnów, Antonia Savellego. Cały Rzym zawrzał znowu bratobójczą walką; Colonnowie zaczęli stawiać barykady przed swymi zamkami, obawiając się napadu, żołdactwo Orsinich przebiegało ulice, szerząc postrach, całą noc 29 maja słychać było ich hasło »niedźwiedź! niedźwiedź!«. Protonotaryusz Lorenzo Oddone Colonna, człowiek wielce szanowany, zamknął się w pałacu, przy dzisiejszym placu della Pilotta, oczekując wypadków. Papież przysłał do niego kardynała Giuliana della Rovere z zaproszeniem do Watykanu, ponieważ boleje nad zamieszaniami, jakie w mieście panuje, i radby się z nim porozumieć, celem uspokojenia umysłów. Lorenzo chciał jechać do papieża; wsiadł już na konia, ale przyjaciele zmusili go prawie, aby nie opuszczał swego pałacu, obawiali się bowiem zdrady Roverów. I mieli słuszność, gdy bowiem papież i Girolamo podstępem go nie mogli schwycić, wydali rozkaz, aby go siłą uwięzić. Girolamo kazał szturm przypuścić do pałacu Colonnów, a po dwóch godzinach walki wtargnęli tam papiescy żołnierze, zrabowali wszystko, co się wynieść dało, i uprowadzili Lorenza. Nepot papieski, odważny wobec bezbronnych, chciał w drodze do Watykanu więźnia zamordować i tylko Virginio Orsini wstrzymał zbrodniczą rękę. Girolamo tak się cieszył z uwięzienia Lorenza, że kazał żołnierzom, którzy brali udział w tym »bohaterskim« czynie, dać siedm funtów »konfektów« i naturalnie zapisać ów wydatek w księdze rozchodów papieża. Colonnę osadzono w zamku św. Anioła, a Girolamo pozwolił tłuszczy pohulać w nieprzyjacielskiej dzielnicy, gdzie też kamień na kamieniu nie pozostał.

Girolamo stał się w Rzymie wszechwładnym, nakładał kontrybucye na kościoły, wymuszał datki od urzędników papieskich, aby mieć za co płacić swe żołdactwo, które skierował przeciw zamkom Colonnów i Savellich. Papież starzejący się, niezdrów, oddał władzę najzupełniej w ręce Giro-



łama »nie tylko świecką, ale i duchowną, zarząd kasami, sprawiedliwość, tak że nie wydano wyroku, któryby się sprzeciwiał woli nepota«. Ludność rzymska, doprowadzona do rozpaczycy domową wojną, wysłała deputację do papieża, aby zawarł pokój z Colonnami, którzy chcieli oddać papieżowi Marino, Rocca di Papa i Ardeę; ale Girolamo nie zważając na papieża, kazał zamordować posła Colonnów, który śmiał przyjść z podobną prośbą, i powiedzieć im, że się bynajmniej nie zadawalnia kilkoma zamkami, ale że chce mieć wszystkie ich twierdze, wszystkie ich posiadłości. Papież, zmuszony do bratobójczej wojny, pobłogosławił w wigilię św. Jana armaty przygotowane do zniszczenia zamków w Albańskich górach.

Kardynał S. Pietro in Vincoli chciał wojnie przeszkodzić, w obecności nawet papieża wyrzucał wszechwładnemu nepotowi, że niszczy Kościół i staje się powodem ruiny papieża i kardynałów; ale Girolamo rozwścieczony odpowiedział, że jego samego, Giuliana della Rovere, spali wraz z pałacem i zgotuje mu ten sam los, co Colonnom.

Girolamo nalegał na papieża, aby jak najprędzej zamordować Lorenza Colonnę; Sykstus więc przeznaczył w tym celu osobny trybunał, który bez wielu dochodzeń skazał na śmierć uwięzionego. Trzydziestego czerwca, przed wschodem słońca, przeczytano wyrok Colonnie, który oświadczył, że jest niewinny, a wymawiając po trzy razy imię Chrystusa, położył głowę pod miecz katowski. Ciało Lorenza złożono na razie w kościółku, znajdującym się w pobliżu zamku św. Anioła, w S. Maria Transpontina, gdyż ze strachu przed Girolamem nikt nie chciał zanieść trupa do grobowca Colonnów, i dopiero na prośby matki zamordowanego przyszli księża z kościoła S. S. Apostoli i zabrali ciało. W kościele czekała zrozpaczona matka, otworzyła trumnę, a na widok odciętej głowy swego syna, porwała ją do rąk, pokazała zgromadzonym, mówiąc: »Oto dobra wiara papieża: przyrzekł nam, że jeżeli mu oddamy Marino, daruje życie mojemu synowi!« Biedna kobieta w kilka dni z bólu umarła.

W S. S. Apostoli znajduje się jeszcze fragment pomnika, który postawiono w rok później nieszczęśliwemu Lorenzowi.



Z Colonnami nie była jednak gra tak łatwą, jak się Girolamowi zdawało; Prospero i Fabrizio bronili się dzielnie w swoich zamkach, Paliano, jak niegdyś Palestrina, opierało się papieskim wojskom, którymi dowodził Virginio Orsini. Sykstus musiał wysyłać posiłki na plac boju, wojna niszczyła Rzym i Kampanię, a ciągle z tego powodu niepokoje tak wstrząsnęły zdrowiem starca, że w lipcu dostał mocnej febry.

Ciągle zawieranie a jeszcze szybsze zrywanie przymierzy, wikłanie się we własną krętą politykę, szerzenie we Włoszech pożaru na to tylko, aby nepoci z tego korzystali, zniechęciło do Sykstusa IV wszystkie włoskie państwa. Powszechnie panowało przekonanie, że papieżowi o nic innego nie chodzi, jak tylko o utworzenie w Romanii księstwa dla Girolama. Książę medyolański, Ludwik Moro, i król neapolitański, dotychczasowi sprzymierzeńcy papieża, prowadzący wojnę z Wenecją, zawarli z nią 7 sierpnia 1484 pokój w Bagnolo bez wiedzy papieża, aby raz nękanemu krajowi dać odetchnąć. Wiadomość ta przeraziła papieża, widział się odosobniony na półwyspie, a wątłe już jego ciało nie mogło wytrzymać tej zniewagi. Ciężko też zachorował i w kilka dni po zawarciu pokoju, 12 sierpnia, umarł.

Skonał, jak wielu innych papieży, opuszczony, otoczenie bowiem papieskie myślało w krytycznej chwili tylko o tem, jakby sobie przywłaszczyć kosztowności i drogocenne materye; na umierającego starca nikt nie zwracał uwagi, ludzie go nie lubili.

Zaledwie jakiś wdzięczny Sykstusowi mnich franciszkański zajął się ciałem, ubrał je w stary, prawie podarty ornat, gdyż dobrego dać mu nie chciano. Wreszcie zanieśli Franciszkanie zmarłego do bazyliki św. Piotra, gdzie został pochowany. Publiczność rzymska powtarzała sobie, że Sykstus umarł »na pokój«, a jakiś poeta napisał z tego powodu dystych, że żadna siła nie mogła starca powalić, aż dopiero wieść o zawartym pokoju.

Nulla vis saevum potuit extinguere Sixtum;  
Audito tandem nomine pacis obit.



Inny epigram mniej więcej tę samą myśl wyrażał w słowach:

Sixte, iaces tandem fidei contemptor et aequi;  
Pacis ut hostis eras, pace peremptus obis<sup>1)</sup>.

Nazajutrz po śmierci papieża tłum rzucił się na dom Girolama Riaria koło Sant' Apollinare, a z okrzykiem »Colonna! Colonna!« wnosił wszystko, co się wynieść dało, i wywierał zemstę na nepocie, wyrzucając okna, malowane herby Riariów i Sforzów, tłukąc nawet marmurowe odrzwia pałacu, niszcząc pyszny ogród i stajnie do szczętu. Kilkunastu uliczników pobiegło do willi Castel Giubileo, którą Riario za bezcen dzierżawił od kapituły św. Piotra, i wypędzili stamtąd sto krów, sto kóz, mnóstwo świń, owiec, drobiu, a ze spiżarni wynieśli wielkie zapasy solonego mięsa, serów i wytoczyli sporo beczek greckiego wina.

Wszzechwładny do niedawna Girolamo nie myślał nawet o tem, aby wujowi, któremu wszystko zawdzięczał, wystawić nagrobek; do obowiązku tego poczuł się nepot, którego Sykstus najmniej lubił, kardynał Giuliano Rovere. Giuliano powierzył tę pracę Antoniowi Pollajuolo w r. 1493, a mistrz florenetyński stworzył przepyszne dzieło z brązu, będące do dziś dnia jedną z celniejszych ozdób kościoła św. Piotra. Pomnik Sykstusa IV w kaplicy del S. Sacramento maluje z przedziwną prawdą charakter Odrodzenia w Rzymie. Na platformie z brązu leży postać papieża w pontyfikalnych szatach, postać krótka o zwiędłej twarzy i kościstej ręce, groźna jak nazwa Roverów, a wokoło otaczają ją wyryte w płaskorzeźbie, wesołe, smukłe, urocze, prawie obnażone kobiety, mające przedstawiać rozmaite umiejętności, postacie renesansowe o długich szyjach, o giętkim korpusie tanecznic, o lubieżnych kształtach. Sprzecznosci Odrodzenia! Oto, co powiada o Sykstusie współczesny wierszyk:

<sup>1)</sup> Leżysz wreszcie, Sykstusie, coś deptał wiarę i sprawiedliwość; jak byłeś wrogiem pokoju, tak umierasz, zabity pokojem.



Gaude, prisce Nero, superat te crimine Xystus;  
Hic scelus omne simul clauditur et vitium<sup>1)</sup>.

## V.

Za Mikołaja V rozpoczął się świetny okres renesansowego rozwoju sztuk plastycznych w Rzymie, Sykstus IV dalej działał w tym kierunku. Prąd czasu porywał każdego panującego ku architekturze, ku malarstwu, ku rzeźbie; od Rzymu, Neapolu i Florencji aż do małej Sabbionety lub Mirandoli budowano pałace, kościoły i ozdabiano ściany freskami. Kto się szanował i dbał o rozgłos swego nazwiska, ten sprowadzał artystów, a czy mniej czy więcej wznosił gmachów lub zgromadził dzieł artystycznych, zależało tylko od większych lub mniejszych dochodów. U papieży renesansowych wyrabiała się zresztą coraz bardziej to przekonanie, że blask Rzymu i aureola artystyczna Stolicy Apostolskiej niezmiernie się przyczyniają do podniesienia politycznego i religijnego znaczenia papieżstwa, że Rzym jako ognisko chrześcijańskiego świata powinien olśniewać europejskie ludy. Od czasu więc, jak papież zaprowadzili rzymskie jubileusze, gromadzące tam dziesiątki tysięcy pielgrzymów z najdalszych zakątków Europy, chęć działania bogactwem i artyzmem na wyobraźnię »barbarzyńców«, tem silniejszą miała podniecie. Humanizm odnowił wielkie tradycje dawnego Rzymu, wskazywał na monumentalne pomniki starożytności, stworzył potężne artystyczne prądy, a stąd wynikało, że nowi Mecenasi nie mogli być małostkowymi, ale że równie jak sami artyści musieli płynąć szerokim łożyskiem sztuki. Architektoniczne i malarskie kramarstwo nie mogło wówczas istnieć. Jeżeli więc niektórzy historycy podnoszą Sykstusa IV do niezmiernej wysokości jako twórcę nowej epoki w rzymskiej sztuce, to pochwały te grzeszą przesadą. Sykstus IV czynił to, co czynili inni ówczesni

<sup>1)</sup> Ciesz się, stary Neronie: przewyższa cię grzechami Sykstus, w którym się mieści wszelki występki i wszelka zbrodnia.



panujący we Włoszech, a ponieważ był papieżem, musiał i mógł to czynić na większe, niż inni, rozmiary.

W dwu kierunkach biegły usiłowania Sykstusa IV, zmierzające do podniesienia i upiększenia Rzymu. Po pierwsze chodziło mu o zapewnienie bezpieczeństwa publicznego i wzmocnienie tem samym papieskiego panowania, powtórze zależało mu na przygotowaniu się na przyjęcie cudzoziemców w roku jubileuszowym 1475. Mówiono, że król Ferrante, bawiąc w Rzymie, zwrócił uwagę papieża, iż dopóty nie będzie panem swej stolicy, dopóki nie ureguluje w ten sposób ulic, aby wojsko mogło niemi przechodzić bez przeszkody. Dotąd były ulice nadzwyczaj wąskie, a nadto tak zacieśnione portykami, balkonami, gankami, że gdzieniegdzie dwóch rycerzy w zbroi nie mogło obok siebie przejechać, a same kobiety po domach wystarczały, aby ciskaniem kamieni i wylewaniem gorącej wody z okien przed wojskiem się obronić. Aby więc usunąć to niebezpieczeństwo, które ciągle zagrażało papieskiemu rządowi, kazał Sykstus IV pod pozorem polepszenia sanitarnych stosunków miasta i wybrukowania ulic, poburzyć mnóstwo zawadzących portyków i ganków, które zaciemniały ulice i tamowały swobodne krążenie ludności. Większość jednak prac publicznych zmierzała do przyjęcia cudzoziemców w czasie jubileuszu, spodziewano się bowiem olbrzymiego napływu, osobliwie pielgrzymów z Północy. Już na dwa lata przed temi uroczystościami rozwinięto w Rzymie gorączkową czynność budowniczą. Ponieważ podczas ostatniego jubileuszu dawał się uczuć wielki brak mostów, łączących właściwe miasto z miastem papieskiem, Sykstus IV kazał odbudować znajdujący się w ruinie most Ponte Rotto i nazwał go według swego imienia Ponte Sisto. Most ten, wzniesiony z olbrzymich brył trawertynu, dowodził, że ówczesni architekci nie potrzebowali się obawiać porównania z budowniczymi starożytności. Brak wody do picia w części miasta poniżej Kwirynału skłonił rząd papieski do przedłużenia wodociągu, zwanego w rzymskich czasach Aqua Virgo, który już Mikołaj V odnowił i dość daleko w głąb miasta doprowadził. Dwaj dzielni artyści, Antonio Lori z Florencyi i Giacomo da Carrara, dali temu



wodociągowi artystyczne zakończenie, które później zmieniono w dzisiejszą wspaniałą fontannę Trevi.

Osobną bullą zalecał papież ludności oczyszczenie miasta, »które krwią apostołów Piotra i Pawła uświęcone zostało«, i obiecywał tym, którzy usuną ruiny ze swych domów, rozmaite ułatwienia. A wówczas ruin było bez liku; wieczorem sowy w Rzymie panowały i wiatr roznosił ich ponure głosy. Pobyt króla Ferranta podczas jubileuszowych uroczystości stanowił epokę w owych sowych rządach. Król i jego otoczenie przywieźli takie mnóstwo sokołów, że ptaki te sowi ród niemal zupełnie wytepiły i Rzymianom brakło po jego wyjeździe nocnych koncertów.

Zjazd cudzoziemców nie odpowiedział jednak oczekiwaniom papieża; pielgrzymi obawiali się niepokojów we Włoszech i rabunków, zresztą Tyber wylał w jesieni r. 1475, mnóstwo naniósł namułu, a wyziewy zatrwały powietrze i szerzyły zaraźliwe choroby.

Sykstus IV zapisał się w pamięci Rzymian dwoma gmachami, które do dziś dnia sławią imię Roverów. Odbudował on sympatyczny kościół S. Maria del Popolo, który się stał panteonem jego rodziny, a nadto wybudował kościół S. Maria della Pace, mający w rozwoju Rzymu do pewnego stopnia kulturalne znaczenie. Mała, piękna świątynia stała na miejscu zaniedbanej kaplicy S. Maria de Aquarechiaris, w jednej z najbardziej osławionych części miasta, zwanej degli Aquarechiaris, z powodu, że tam mieszkało wielu ubogich roznosicieli świeżej wody. Był to niebezpieczny zaułek, istny labirynt wązkich uliczek, nędznych domków, wież wbudowanych w rzymskie jeszcze mury, w którym się gnieździła występna, zbrodnicza ludność. Bruk tam na ulicach od dawna się pozapadał, a w zagłębieniach gniła deszczowa woda i rosły blade chwasty. Najniższego rzędu dziewczęta miały w tej części miasta swoje nory, a kto chciał nająć »brava« do zamordowania swego nieprzyjaciela, ten szedł cichaczem w okolicę S. Maria de Aquarechiaris, gdyż tam był niejako targ na sztyletników. Te kobiety upadłe, ci zbrodniarze, którzy tam się kryli, szli modlić się do owej starej kaplicy, w której znajdował się cudowny obraz Matki Boskiej. Opo-



wiadano sobie, że gdy jakiś bezbożny ulicznik rzucił w obraz kamieniem, krew wytrysnęła z malowanej postaci. Gdy Sykstus IV o tem się dowiedział, udał się w otoczeniu kardynałów na cudowne miejsce i ślubował, że tam wybuduje kościół. Niebawem stanęła piękna świątynia z klasztorem, którą papież nazwał S. Maria della Pace, ponieważ właśnie wtedy zawarty został pokój, o którym mówiliśmy; Sykstus osadził tam kanoników regularnych lateraneńskich.

Papieżom brak było w Watykanie prywatnej kaplicy, w którejby mogli odprawiać mniej wystawne nabożeństwa. Temu brakowi postanowił Sykstus zaradzić i polecił ulubionemu swemu architekcie, Giovanninowi de' Dolci z Florencyi, aby w gmachy Watykanu wbudował mały kościół, dopowiadający powyższemu celowi.

W ten sposób powstała kaplica Sykstyńska, która swymi freskami zasłynęła na świat cały. Były to czasy najświetniejszego rozwoju malarstwa we Włoszech, a ponieważ w Rzymie dużo się budowało, dużo kościołów było do ozdabiania, więc z całych Włoch przyjeżdżali tam malarze, zwłaszcza że miejscowych artystów nie było. Nepoci papiescy zaczęli w rozwoju sztuki ważną odgrywać rolę. Mając olbrzymie dochody, chcieli zasłynąć jako mecenas artytów, budowali pałace, ozdabiali je freskami, kazali sobie robić cenne sprzęty, zatrudniali mnóstwo złotników, wypełniali wolne od intryg chwile artystycznymi i literackimi planami. I rzec można, że ze stanowiska literatury i sztuki nepotyzm był bardzo korzystnym zjawiskiem, nowe rodziny chciały bowiem w jak najkrótszym czasie zasłynąć w społeczeństwie i gromadzić około siebie ludzi, którzyby rozgłosnem uczynili ich nazwisko, i zbytkiem zagasić sławę dawnych rycerskich rodów.

Nepoci Sykstusa IV dali w tej mierze świetny przykład następnym generacyom papieskich rodów. Girolamo i Katarzyna Sforza zatrudniali Melozza da Forli, rzec można, najznakomitszego ówczesnego malarza, i sprowadzili go do Rzymu. Melozzo był nie tylko wielkim artystą, ale i bardzo miłym człowiekiem; Katarzyna nadzwyczaj go lubiła, mianowała swoim podczaszym i mistrz stał się prawie domownikiem Riariów. W Rzymie pracował ze swoim uczniem



Markiem Palmezzanem; obydwa malowali portret Katarzyny w czasach, kiedy jeszcze jaśniała młodzieńczą urodą. Niebawem stał się Melozzo najbardziej wziętym artystą, papież powierzył mu ozdobienie freskami biblioteki watykańskiej, którą właśnie wtedy zakładał. Do dziś zachował się w papieskiej pinakotece przesliczny obraz, który stanowił część owych malowideł, przedstawiający Sykstusa IV, mianującego uczonego Platynę prefektem watykańskiego księgozbioru. Platyna w postawie klęczącej przed papieżem, w głębi stoi dwóch nepotów, z których wyróżnia się Giuliano della Rovere, późniejszy Juliusz II, swą nader charakterystyczną, namiętną, ale poważną, rozumną, lecz twardą postacią. Był to pierwszy zbiorowy portret papieża, otoczonego nepotami, który stał się prototypem podobnych późniejszych obrazów. Rafael przedstawił w podobny sposób Leona X, Tycyan Pawła III. W niedostępnych dzisiaj salach biblioteki Sykstusa IV utrzymały się jeszcze w lunetach pod sklepieniami resztki owych fresków, które miały być arcydziełem ówczesnej sztuki. Te malowidła tak się podobały, że kardynał Giuliano della Rovere powierzył Melozzowi ozdobienie absydy w kościele S. S. Apostoli, który jeszcze Pietro Riario rozpoczął przebudowywać na wielką skalę. Po śmierci Riaria nie oszczędził Giuliano funduszków, aby tak ów kościół, jak przytykający do niego pałac, zabrany Colonnem, z wielkim przepychem ukończyć. Melozzo przedstawił na murach absydy w S. S. Apostoli »Wniebowstąpienie Chrystusa«, z którego niestety tylko kilka fragmentów się zachowało. Miało to być najwspanialsze dzieło malarskie, powstałe za Sykstusa IV, pełne siły i polotu w kompozycji, a świadczy o tym jeszcze fresk, zachowany do dziś dnia w Kwirynale, przedstawiający samego Chrystusa, unoszącego się ku niebu, w otoczeniu całej chmury aniołów. Zupełnie to odmienny typ Zbawiciela od tych, jakie wówczas malowano, typ Chrystusa fizycznie i moralnie potężnego, o dużej głowie, okolonej bujnym włosom, o wyrazie proroka, a zarazem miłościwego monarchy. W sali kapitulnej u św. Piotra znajduje się także kilka przepięknych głów z owej wielkiej kompozycji w S. S. Apostoli.



Oprócz Melozza przybyli do Rzymu za rządów Sykstusa IV prawie wszyscy znakomitsi malarze z Umbryi i Florencyi, jak Domenico Ghirlandajo, Sandro Botticelli, Pietro Perugino, Pintoricchio, Cosimo Roselli, którzy znaleźli niesłychanie wdzięczne zadanie w ozdabianiu freskami ścian kaplicy Sykstyńskiej. W szlachetnem współzawodnictwie starali się oni nawzajem prześcignąć w swych kompozycjach i stworzyli dzieło, które przeszło od czterystu lat cały świat podziwiał.

Papież z niecierpliwością oczekiwał ukończenia tych fresków, a gdy 15 sierpnia 1483 zdjęto rusztowania, polecił kardynałowi Giulianowi della Rovere, aby w jego obecności uświęcił solennem nabożeństwem otwarcie wspaniałej kaplicy. Chcąc zachęcić rzymską publiczność do zwiedzania zawartych tam arcydzieł, kazał Sykstus IV ogłosić, że kto się w nowej świątyni wypowiada, otrzyma odpust zupełny. Tłumy też ludu wędrowały do Sykstyńskiej kaplicy i wędrują jeszcze do dziś dnia, aby podziwiać te niszczące niestety dzieła wielkiej epoki malarstwa.

Z papieskich nepotów Giuliano największą rozwijał architektoniczną czynność; przebudował kościół S. Pietro in Vincoli, w którym kiedyś miał stanąć jego grobowiec dluta Michała Anioła, a co więcej, jakby w przewidywaniu, że kiedyś będzie ostatecznym fundatorem państwa kościelnego, stawiał w Grottaferrata klasztor-fortecę o zwodzonych mostach, o basztach obronnych i groźnych strzelnicach. Dzisiaj jeszcze klasztor ten, siedlisko mnichów greckiego obrządku, poważnie spogląda na Kampanię i daje świadectwo, że ten wielki Juliusz, który w jednym ręku trzymał krzyż, a w drugim miecz, był tutaj wszechwładnym opatem. Mnisza ta forteca była w pierwszym rzędzie skierowana przeciw rycerskim rodóm w Albańskich górach, a w szczególności przeciw Colonnóm, miała im z boku zagrażać, gdyby mieli ochotę napaść na papieską stolicę. Strategiczne także cele miał kardynał na oku, stawiając potężne zameczysko w Ostyi, u ujścia Tybru, zabezpieczając w ten sposób Rzym od morza.

Także brat Sykstusa IV, kardynał Domenico Rovere, człowiek bez wykształcenia i nie odznaczający się żadnemi



zaletami, któreby go wynieść mogły na tak wysokie stanowisko w hierarchii kościelnej, używał swych dochodów na wielkie budowle, aby przynajmniej nimi się odznaczyć. Wystawił dla siebie duży pałac przy Piazza Scossacavalli, willę około Ponte Molle, a wreszcie kaplicę w S. Maria del Popolo. Jego nadwornym malarzem był Pintoricchio, gdyż ozdabiał tak powyższy pałac, jak i kaplicę licznymi freskami.

Pałac Girolama Riaria stawił niewiadomy nam budowniczy, ale świetne czasy nepota za krótko trwały, aby gmach zupełnie mógł być wykończony. Przeszedł on później na własność kardynała Marka Altempa, nepota Piusa IV, a budował go dalej architekt Martino Longhi il Vecchio. Po pierwszym architekcie zostało jednak piękne podwórze, świadczące do dziś dnia o jego świetnym talencie.

Najwspanialszą jednak spuścizną nepotów Sykstusa IV jest pałac Kancellaryi w Rzymie. Pałac ten istniał wprawdzie od dawna, ale dopiero kardynał Rafael Riario kazał go później przebudować według planów Bramantego w dzisiejszych wspaniałych rozmiarach. Rafael Riario wygrał wtedy w karty 60.000 skudów od Franciszka Cybò, nepota Innocentego VIII, i poświęcił te pieniądze na ów cel pożyteczny. Z budową Kancellaryi wiąże się jednak wspomnienie barbarzyńskiego pustoszenia rzymskich gmachów. Papież pozwolił kardynałowi zabierać olbrzymie bryły trawertynu z Colosseum od strony Monte Celio i z termów Dyoklecjana, a nadto marmury z jednego z rzymskich łuków. Rabunek materiałów ze starożytnych gmachów rozpoczął się wtedy na wielkie rozmiary; zły przykład był dany, to też w epoci późniejszych papieży jeszcze gorsze w zabytkach cesarskiego Rzymu robili spustoszenia.



## ROZDZIAŁ CZWARTY.

### KATARZYNA SFORZA.

#### I.

W muzeum miejskiem w Bolonii znajduje się stalowa zbroja z końca XV wieku, ukuta dla kobiety średniego wzrostu. Na pancerzu, zasłaniającym piersi, wyrytą jest postać św. Katarzyny Egipcyanki, a obok opromieniony monogram Chrystusa, który zaprowadził św. Bernardyn z Syeny. Mimo tych pobożnych znaków zdawałoby się, że kobieta, która tę zbroję nosiła, nie należała do ulubienic Kościoła. Papież Aleksander VI nazwał ją w akcie, podpisanym przez niego i przez siedmnastu kardynałów, »córą nieprawości«, »iniquitatis filia«, jakiś dokument miasta Imoli mówi o niej, jako o krwiożerczej i tyrańskiej kobiecie, »femina sanguinaria et tyrannissa«, jeden z poetów weneckich nadał jej miano »tygrysy z Forli«, inny orator rzeczypospolitej św. Marka wspomniiał, że była nasieniem dyabelskiego węża »semena di la serpe indiavolata«, a wielu innych wyrażało się o właścicielce pancerza jako o kobiecie-mężczyźnie, virago. W przeciwieństwie do tych obelg unosi się najdawniejszy biograf owej rycerskiej kobiety nad jej cnotami i utrzymuje, że w chwili, kiedy umierała, zstąpili aniołowie z nieba i błogosławioną, oczyszczoną z grzechu jej duszę zanieśli przed oblicze Stwórcy.

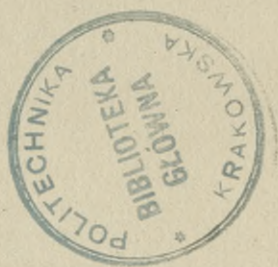


Sprzeczne te sądy odnoszą się do Katarzyny Sforzy-Riario, do tej uroczej, młodocianej wychowanki Bony di Savoia, którą widzieliśmy ofiarą polityki medyolańskiego i rzymskiego dworu. Otoczenie i stosunki zrobiły z niej inną kobietę, aniżeli nią być mogła, ale bądź co bądź została ona jedną z najwybitniejszych, najbardziej zajmujących postaci kończących się średnich wieków.

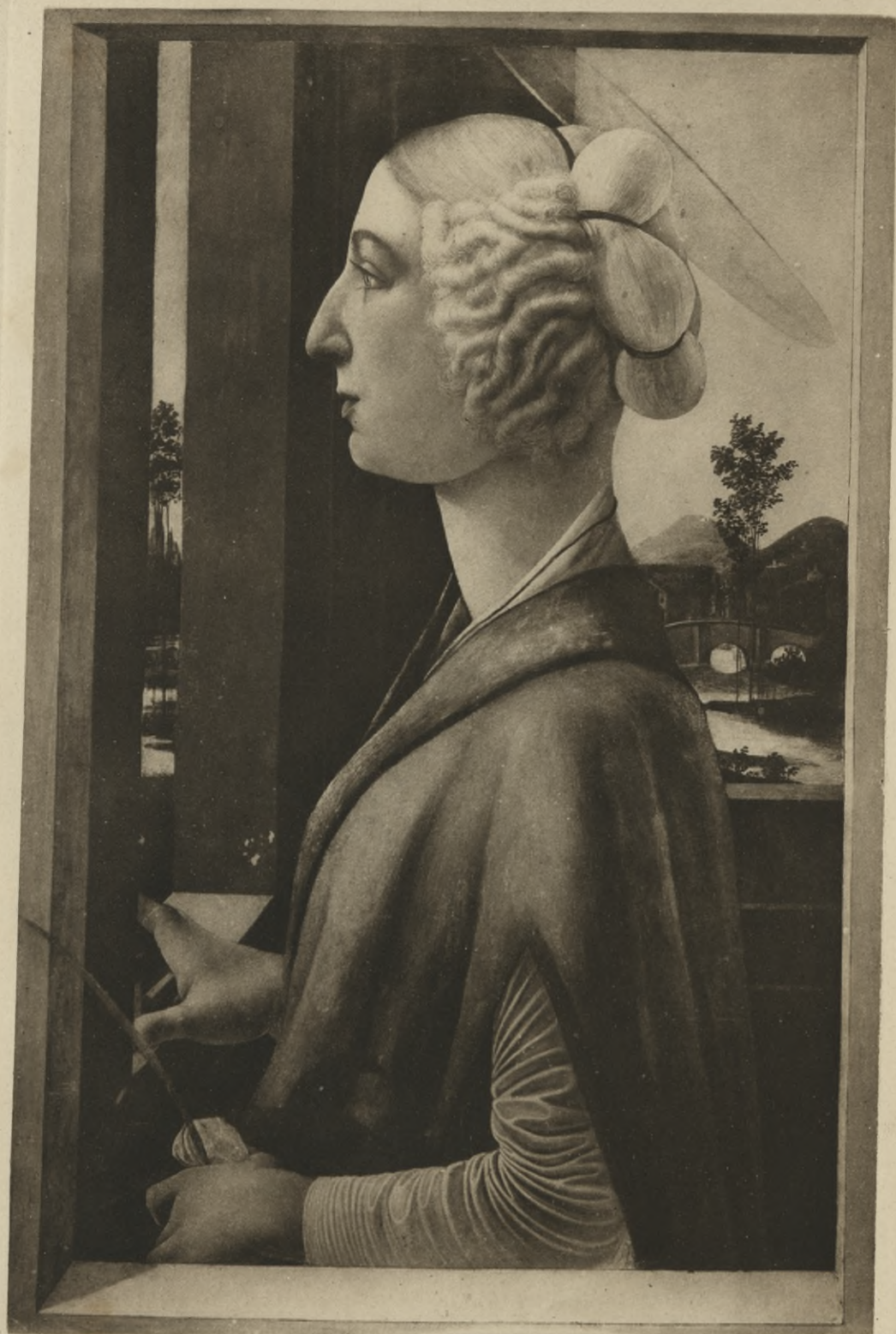
W chwili, kiedy Sykstus IV umierał, miała Katarzyna już troje dzieci, a czwartego potomka się spodziewała. Bawiła przy mężu w obozie pod Paliano i z niecierpliwością oczekiwała poddania się tej najważniejszej wówczas twierdzy Colonnów, która miała olbrzymimi posiadłościami wzbogacić Girolama Riaria. Papież umarł wcześniej, niż się w obozie spodziewano; zaraz też po śmierci Sykstusa IV wysłało Kollegium kardynałów posłańca do Girolama z poleceniem, aby natychmiast zaprzestał oblężenia i przeniósł się z wojskiem pod mury Rzymu, gdzie miał oczekiwać dalszych postanowień Świętego Kollegium. Małoduszny teraz Girolamo posłuchał rozkazu, ale Katarzyna postanowiła na własną rękę zapanować nad kardynałami i podyktować im wybór takiego papieża, jakiby widokom Riariów najbardziej dogadzał. Kto posiadał zamek św. Anioła, ten miał siłę w ręku, był władcą Watykanu i Rzymu. Katarzyna miała dość energii, aby wsiąść na koń i z oddanym sobie oddziałem zbrojnych jak najprędzej udać się pod zamek. Załoga tamtejsza, przyzwyczajona słuchać Riariów, otworzyła bramę, a lud rzymski widząc dzielną, rycerską kobietę, zaczął bezmyślnie wznosić okrzyki: »Niech żyje Riario!«. Ubrana była dość oryginalnie w atlasową suknię z dwulokciowym ogonem, na głowie miała czarny aksamitny kapelusz, a przy męskim pasie wisiał miecz zakrzywiony i sakiewka pełna dukatów. Dostawszy się do zamku, kazała natychmiast zabarykadować bramy, odprawiła tamtejszego wicekaszтеляna, Innocentego Codruchiego, któremu nie dowierzała, a swą energią najlepsze na załodze zrobiła wrażenie. Obawiano się jej, gdyż była małomówna, dumna, stanowcza, a wszyscy wiedzieli, że w potrzebie zdobędzie się nawet na okrucieństwo.

Gdy po odprawieniu żałobnych uroczystości przyszło



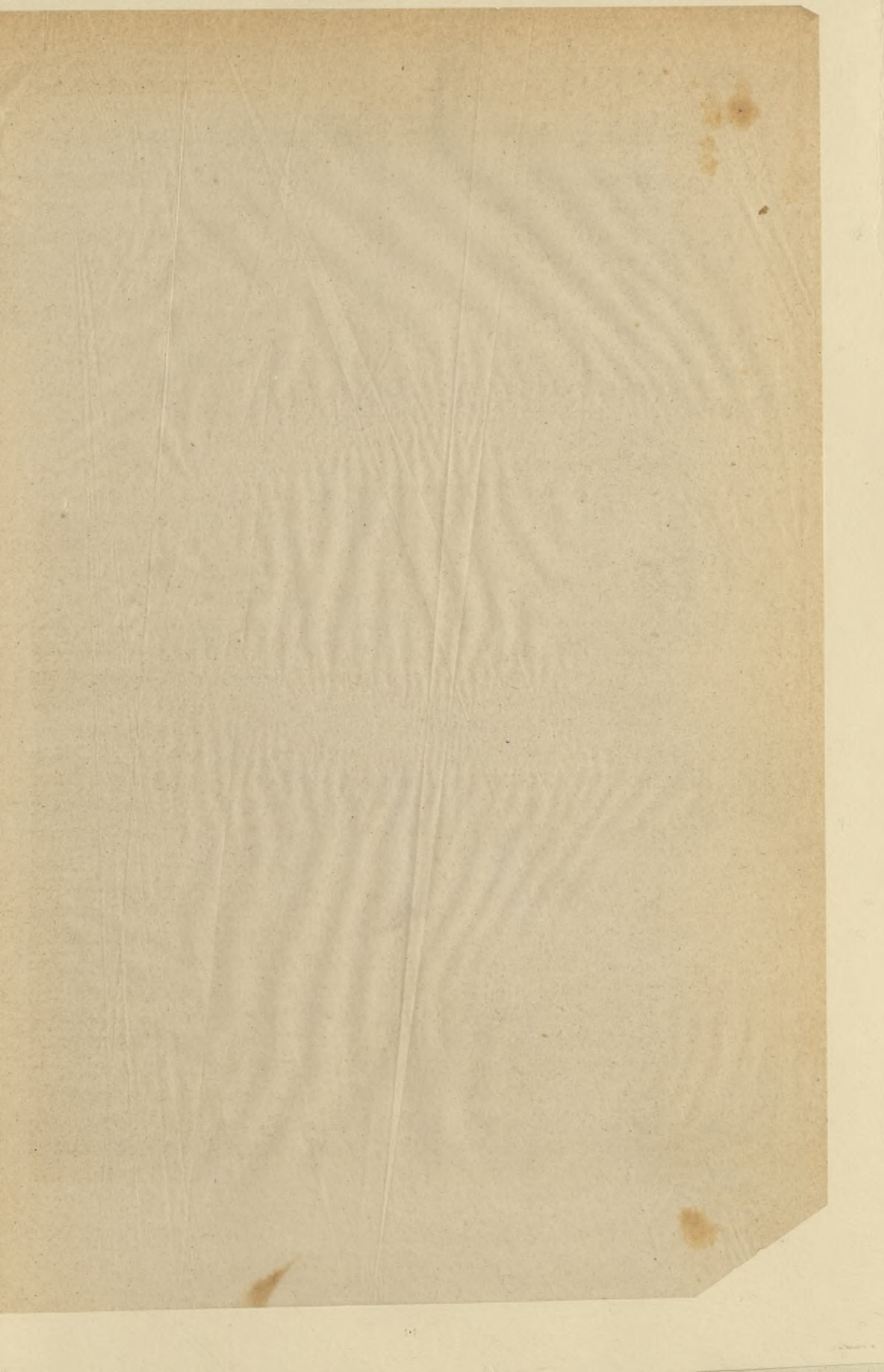




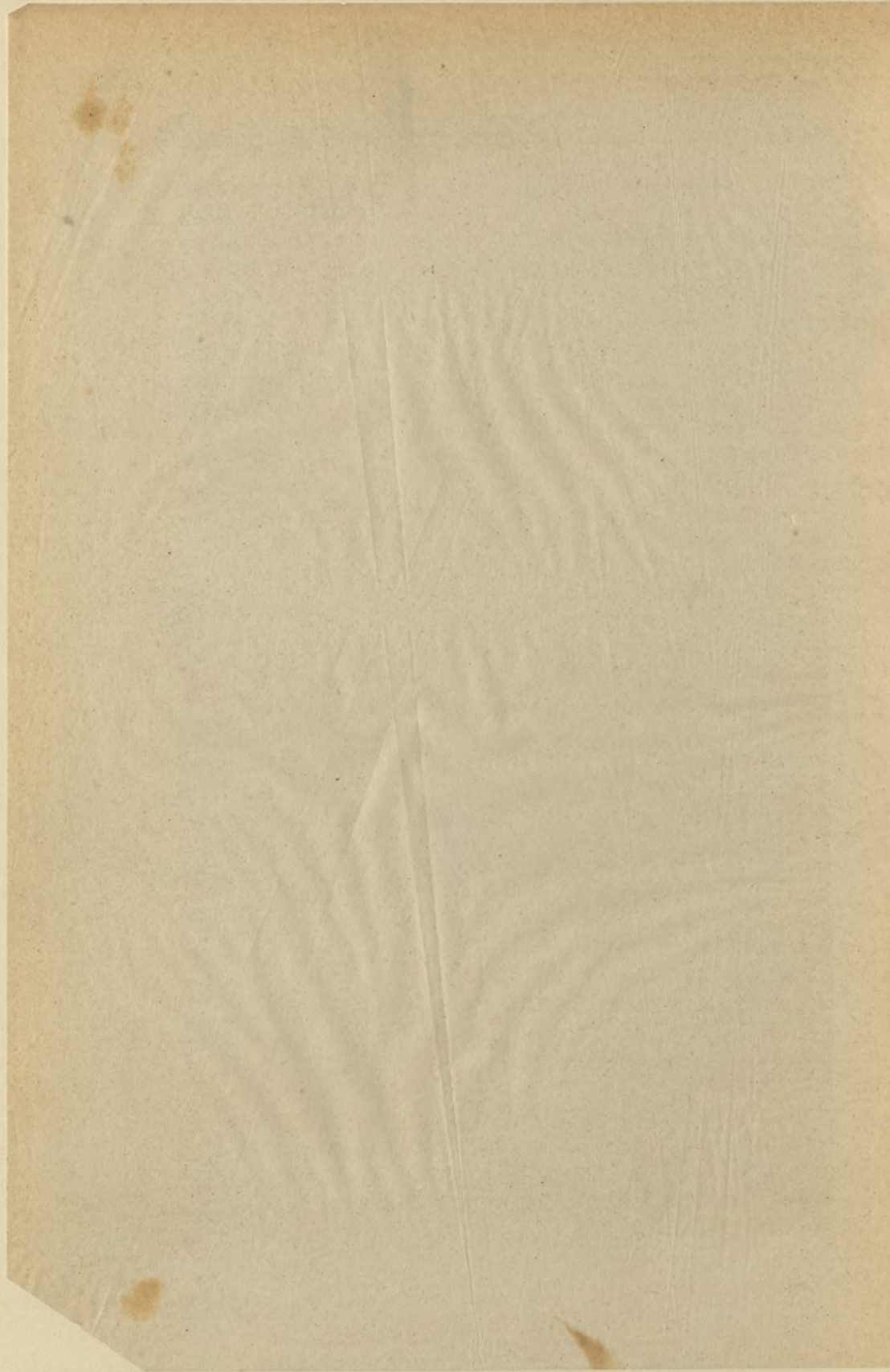


CATERINA SFORZA  
WEDŁUG PORTRETU PIERA DI COSIMO  
Muzeum w Altenburgu











do wyboru nowego papieża, oświadczyli kardynałowie Cybò, Savelli, Ascanio Sforza, a nawet Giuliano della Rovere, że nie przyjadą na conclave, dopóki Katarzyna znajduje się w zamku. Musiano więc rozpocząć układy i zwrócono się w tym celu najprzód do Girolama. Nepot żądał za opuszczenie twierdzy osiem tysięcy dukatów i dalszej wypłaty pensyi, którą mu zmarły papież przeznaczył jako głównemu dowódcy wojsk Kościoła, a nadto wymagał, aby się kardynałowie zobowiązali uzyskać dla niego u przyszłego papieża inwestyturę na Forli i Imolę. Katarzyna jednak nie chciała przystać na te warunki; widocznie zamiarem jej było pozostać tak długo w posiadaniu zamku, dopóki nowy papież nie został obrany i dopóki na nim nie wymusiła swych żądań. Kardynałom nie dowierzała. W świętem Kollegium nie małe też zapanowało przerażenie, gdy się dowiedziano, że Katarzyna wprowadziła w nocy z 24 na 25 sierpnia cichaczem 150 zaufanych żołnierzy do warowni, jak gdyby nie miała zamiaru tak prędko stamtąd ustąpić. Ale Giuliano della Rovere dodał kardynałom otuchy, a wskutek jego przedstawień święte Kollegium zdobyło się na krok stanowczy i kazało oznajmić Katarzynie, że kardynałowie żadnego z umówionych warunków nie dotrzymają, jeżeli im zamek natychmiast nie będzie oddany. Girolamo się zatrzwożył, a Katarzyna widząc, że w mężu nie znajdzie poparcia, postanowiła z Rzymu ustąpić, ale wytargowała jeszcze na kardynałach, że zatwierdzili pretensye Giroloma co do olbrzymich sum, których żądał od Kamery apostolskiej z powodu, że własnym kosztem przez dłuższy czas utrzymywał papieskie wojsko.

Z końcem sierpnia wyruszyła Katarzyna wraz z mężem do Forli i w drodze dowiedziała się o wyborze papieżem kardynała Cybò, który przyjął imię Innocentego VIII. Wiadomość ta nie była dla Riariów pomyślną; nowy papież należał do nieprzyjaciół Girolama i Katarzyna, będąc jeszcze w zamku św. Anioła, starała się jego wybór uniemożliwić. Pocięszała się jednak, że do wyboru Innocentego VIII przyczynił się głównie Giuliano della Rovere i że ten potężny kardynał będzie się nimi opiekował. Ta pociecha była jednak na razie złudną, gdyż Riario miał nieprzyjaciół bez liku, cały Rzym



do zamku bez zapowiadania się, nosił »złoty klucz« przy sobie, jak wtedy mówiono. Girolamo przywitał uprzejmie wchodzącego, podszedł ku niemu podając mu rękę, a Checco usprawiedliwiał tem swe odwiedziny, że chce pokazać hrabiemu list jakiegoś przyjaciela. W chwili kiedy Girolamo czekał na pokazanie tego pisma, Orsi szybko wyjął sztylet z pod płaszcza i błyskawicznym ruchem w pierś go ugodził. »Zdrajco!« zawołał Girolamo, starał się za stół schronić, ale w tej chwili wpadli Ronchi i Pansechi, którzy stali za drzwami, i chwycili ranionego, aby mu więcej śmiertelnych zadać ciosów. Bezbronny towarzysz Girolama, jego kanclerz, z którym rozmawiał, tudzież służący opodal stojący sądząc, że na schodach jeszcze się więcej znajduje sprzysiężonych, czempredzej uciekli innemi drzwiami. Służący pobiegł zawiadomić Katarzynę, która natychmiast kazała obecnym wołać przez okno »Pomocy, zamordowano hrabiego!« Zamiast pomocy wpadł Lodovico Orsi na dziedziniec zamkowy ze swymi zwolennikami, którzy zaczęli krzyczeć »Wolność, wolność! Niech żyje Orsi!« Lud uliczny słysząc, co się stało, a nienawidząc hrabiego, garnął się zewsząd i wydawał okrzyki dzikiej radości.

Katarzynę odbiegła męska służba, pozostała tylko z matką, siostrą, sześciorgiem dzieci i z dwoma piastunkami. Nie tracąc jednak przytomności, wyszła dumnie naprzeciw ludowi, a tłumy zaczęły przed nią ustępować, jakiś tylko łotrzyk chwycił Stellę Riario za piersi i za suknię szukając klejnotów; dziewczyna jednak zgrabnie się wysliznęła z objęć śmiałka i tak dosadny dała mu policzek, że natręt nie chcąc się okryć śmiesznością, szybko zginął w pomroku. Orsi, otoczony zbrojnym oddziałem, czekał już na hrabinę i kazał ją wraz z dziećmi prowadzić do swego domu. Ciemno było, kilka tylko pochodni rzuciło słabe światło na ten smutny pochód. W pierwszym jednak zamieszaniu miała Katarzyna dość przytomności, aby wysłać jakiegoś wiernego sługę do swego kasztelana Tomasza Feo, aby natychmiast rozpiisał listy do hr. Bentivoglia w Bolonii, jej sprzymierzeńca, i do księcia medyolańskiego, jej brata, uwiadamiając ich o tem, co się stało, i aby prosił o przysłanie dostatecznej liczby



wojska, któreby stłumiło rewolucję i przywróciło należną jej władzę.

Tymczasem lud wpadł do zamku i rabował, co się dało; wrywał nawet drzwi z zawias i wyjmował szyby z okien, a trzech wojskowych, którzy należeli do ulubieńców Girolama, wtargnęło do sali, w której popełnione zostało morderstwo, i wyrzuciło trupa oknem na plac, aby pospólstwo mogło się pastwić nad swym ciemżycielem. W jednej chwili zdarto kosztowne ubranie hrabiego i tłum byłby był ciało poszarpał w kawałki, gdyby nie nadeszli członkowie bractwa pogrzebowego Battutineri i nie zanieśli je do zakrystyi swego kościoła.

Gdy się to działo, odbywała się w domu Orsich narada, co dalej począć. Sami Orsi najchętniej byliby wdowie ten sam los zgotowali, co hrabiemu; ale inni poważni obywatele miasta, a mianowicie głowa magistratu, Niccolo Tornielli, przestrzegali, że poza Katarzyną stoi brat jej, ksiązę Medyolanu, i że cesarzowa jest jej siostrą, złe obchodzenie się więc z uwięzioną mogłoby miasto na wielkie narazić niebezpieczeństwo. Postanowiono też poddać miasto papieżowi, jako najwyższemu władcy, i zaprosić monsignora Savellego, namiestnika rzymskiej Kuryi w Cesenie, aby objął Forli w posiadanie imieniem Innocentego VIII. Orsi rozszerzali zresztą wieści, że zamordowali Riaria z wiedzą papieża »consciente pontifice« i że papież przyśle im posiłki, aby Forli poddać pod panowanie Stolicy Apostolskiej.

Savelli był dobrym, zacnym i pełnym serca prałatem; na wezwanie przybył zaraz do Forli, ale przedewszystkiem udał się do więzionej hrabiny, której wyraził swoje oburzenie z powodu popełnionego morderstwa, ubolewał nad jej losem i powiedział, że Turcy lepiejby się obeszl, aniżeli Orsi z tak dostojną, jak ona, kobietą. Katarzyna podziękowała prałatowi za współczucie, ale była małomówną, obawiając się zdradzić swe plany na przyszłość. Savelli, nie chcąc jej pozostawić na łasce złych ludzi, kazał ją wraz z dziećmi odprowadzić tymczasowo do zamku, znajdującego się przy bramie S. Pietro i oddał pod opiekę trzech najzaciejszych obywateli miasta: Bartłomieja Capoferri, Bartłomieja Seru-



ghi i Franciszka Denti, o których wiedział, że dotychczasowej swej pani sprzyjają. Miała ona pozostać więźniem papieża, dopóki by Innocenty o jej losach nie postanowił, więc Savelli rozkazał, aby się z nią obchodzono z wszelkimi względami. Zarządzenia papieskiego legata były Orsim nie na rękę, spodziewali się bowiem, że po usunięciu Riaria zostaną panami miasta, a niezadowolenie ich tem bardziej wzrastało, iż pełni byli obawy, że Katarzyna potrafi jeszcze skłonić księcia medyolańskiego do przystania zbrojnej pomocy i że może znowu zasiąść na zamku. Aby temu przeszkodzić, chcieli koniecznie zająć dwie silne pozycje, zamki Ravaldino i Schiavonia, które jeszcze były w posiadaniu kasztelanów i załogi, wiernej Katarzynie. O tej konieczności przekonali także papieskiego legata i w porozumieniu z nim rozpoczęli traktować z kasztelanami, aby ich skłonić do oddania tych fortec. Ale wszelkie namowy na nic się nie przydały. Kasztelani oświadczyli, że jako honorowi żołnierze tylko za zgodą hrabiny mogą otworzyć im bramy. Katarzyna znalazła tymczasem sposoby, aby uwiadomić kasztelana Ravaldina, że chce się dostać do jego zamku i tam oczekiwać posiłków, jakich się spodziewa od księcia medyolańskiego. Zaufany pośrednik hrabiny, niejaki Ervolani, tak rzeczy ułożył, że Orsi i Savelli zgodzili się na to, aby pod ich strażą zaprowadzić hrabinę pod mury Ravaldina, gdzie kasztelan stawi się w jednej ze strzelnic i głośno wobec świadków rozmówi się ze swą panią w sprawie poddania zamku. Tak się też stało. Orsi udał się otoczony całym orszakiem zbrojnych w towarzystwie hrabiny pod mury twierdzy; kasztelan przyszedł do jednej ze strzelnic, ale udał, że w głośnej rozmowie wobec świadków nie może załatwić rachunków ze swą panią, ma bowiem różne sumy od niej do żądania, że przeto najlepiejby było, gdyby Orsi pozwolili wejść jej na chwilę do zamku i że w tym celu każe zaraz spuścić most zwodzony. Orsi podejrzewali jakiś podstęp, więc nie chcieli na to przystać; ale wszyscy ich towarzysze byli tego zdania, że Katarzyna przecież wrócić musi, albowiem jej dzieci w Forli najlepszymi są zakładnikami. Tego samego zdania był także monsignor Savelli, więc dano



znak kasztelanowi, aby bramę dla Katarzyny otworzył i pozwolono jej pozostać w zamku trzy godziny.

Te trzy godziny wszakże minęły, a hrabina nie ukazała się w bramie; Orsi zaczęli się niecierpliwić, wołać i grozić. Według rozpowszechnionej dotąd legendy, którą Machiavelli w swych »Discorsi« także powtórzył, miała Katarzyna wyjść na mury, wyzywać spiskowców, którzy jej męża zamordowali, obelżywemi słowy i grozić, że przyjdzie czas, kiedy się na nich wszystkich pomścić będzie mogła. Równocześnie Orsi kazali przyprowadzić dzieci hrabiny pod mury, a wezwawszy ją, wyjęli noże z pochew i odgrążali się, że natychmiast wytępią jej zdradzieckie plemień, jeżeli słowa nie dotrzyma i z zamku nie wyjdzie. Wtedy Katarzyna miała podnieść z przodu swą suknię, obnażyć piękne ciało i zawołać: »Głupcy, czyż myślicie, że innych dzieci mieć nie mogę?«

Ale to ukazanie się Katarzyny na murach i owo powiedzenie jest tylko legendą, i to legendą, wziętą ze starożytnych autorów. Pisarze XVI wieku tak byli przejęci starożytną literaturą, że z pominięciem nieraz prawdy nie mogli się obejść, aby greckich lub rzymskich legend nie zastosowywać do współczesnej historii. Nie chcieli dopuścić, aby bohaterowie XV lub XVI wieku mieli być mniej dramatycznymi, aniżeli bohaterowie starożytności. Dlaczego Katarzyna Sforza miała być gorszą, aniżeli jakaś Spartanka?

Legendę o Katarzynie Sforzy na murach Ravaldina prostuje współczesny list Silvestra Calandry do mantuańskiego markiza, który niedawno wyciągnął profesor Cian z zaproszonych aktów. W liście tym donosi Calandra, że hrabina pozostawszy w zamku, kazała powiedzieć Orsim, iż nie wyjdzie już stamtąd, a z jej dziećmi niech postąpią, jak chcą; wystarczy jej syn, którego ma w Medyolanie i ten, którego nosi w swem łonie. Zapowiada im jednak, że jeżeli cokolwiek złego uczynią jej dzieciom, to ona swemi bombardami, zwróconemi ku miastu, obróci Forli w rumowisko i zrówna je z ziemią. Orsi ze swem otoczeniem odeszli, a Katarzyna chcąc im okazać, że groźbę swą potrafi wykonać, kazała kiedy niekiedy w dzień i w nocy strzelać na miasto i nawet kilka domów uszkodziła. Postanowiono więc w Forli



wznosić czempredzej ochronne palisady i skierować działa i moździerze w ten sposób, aby na pociski hrabiny można było odpowiadać waleniem murów jej zamku. Savelli ściągał do Forli papieskie wojsko z Ceseny, przygotowywano się do oblężenia niebezpiecznego gniazda. Wojska tego wszakże było bardzo mało, a inne papieskie posiłki, których się Orsi spodziewali, nie nadchodziły. Innocenty VIII, słabego charakteru, chwiejny, działał zawsze powoli, a jego nepoci nie byli ludźmi tej miary, co nepoci Sykstusa IV albo późniejsi synowie Aleksandra VI. Członkom rodziny Cybò nie tyle chodziło o polityczne wpływy, o ufundowanie państwa dla siebie, ile o szybkie wzbogacenie się, nabieranie złota i kosztowności co niemiara. Wiedzieli, że gotówka jest pewniejszą, aniżeli jakieś małe państewka, które im przysły papież odbierze. Nadużywali więc swoich wpływów na Kuryę rzymską za brzęczącą monetę, pożyczali na lichwę, a z politycznych stosunków nie umieli korzystać. Nim też w Rzymie postanowiono, jak się zachować wobec rewolucji w Forli, skłoniła Katarzyna księcia Medyolanu i Bentivoglia do pośrednictwa na swoją korzyść. Obydwaj książęta wyprawili posłów do Forli, rozkazując ludności, aby oddała panowanie prawym władcom Riariom, gdyż Sykstus IV nadał im inwestyturę aż do wygaśnięcia rodu. Orsi chcieli posłów uwięzić, rozgłaszali po mieście, że za trzy dni przybędą papieskie wojska i potrzebne pieniądze, kazali nawet odczytywać ludności sfalszowane breve papieskie, zachęcające do oporu przeciw Katarzynie. Ale trzy dni upłynęły, a rzymskich posiłków nie było, natomiast ukazało się wojsko księcia Medyolanu i Bentivoglia pod dowództwem Galeazza d'Aragona-Sanseverino, a liga powyższych władców, tudzież panujących Neapolu, Ferrary i Mantuy, którzy się obawiali powiększenia papieskiego państwa, żądała od ludności oddania rządów Katarzynie Sforzy, jako opiekunce małoletnich Riariów.

Położenie Orsich było krytyczne; obawiali się, że Katarzyna straszną na nich wyrwie zemstę, jak tylko rządy obejmie, nie widzieli zatem innego ratunku, jak zabrać ruchoomości i uciekać z Forli. Ale nie chcieli opuścić miasta, zanim nie wygrają ostatniej karty, jaką mieli w ręku; uradzili



więc uprowadzić ze sobą sześcioro dzieci Katarzyny i mając tych zakładników, dyktować jej prawa, albo przynajmniej wyrzucić na niej zemstę i wymordować to nieprzyjacielskie plemię. Zamiar ich jednak nie udał się; napadli wprawdzie na Torre di S. Pietro z dwunastoma ludźmi, ale nie mogli się dostać do dzieci, ich stróże bowiem Capoferri, Serughi i Denti dzielnie bronili wieży, rzucali z góry pociski, tak że wzięcie jej wymagałoby było prawie formalnego oblężenia. Czas jednak nagił; Orsi obawiali się, że hrabina lada chwila może zająć miasto, więc czempredziej uciekli w nocy i schronili się na weneckie terytoryum.

Po ucieczce Orsich nikt nie spał w mieście, barykadowano domy, wynoszono sprzęty do piwnic z obawy, że medyolańskie wojsko, wchodząc do Forli, będzie rabowało. Łupienie bowiem miast zdobytych było niejako przywilejem owego kondotyerskiego żołdactwa, które zresztą walczyło tylko w nadziei wzbogacenia się. Katarzyna jednak, zawsze roztropna, w ten sposób zarządziła zajęcie miasta, aby mieszkańcy jak najmniej ucierpieli na zmianie rządu. Trzydziestego kwietnia 1488 złożyła żałobne szaty, ubrała się w przepyszne jasne suknie, wsiadła na koń i na czele doborowego oddziału wojska wjechała na plac miejski, gdzie ją oczekiwał magistrat z najstarszym jej synem Oktawianem, imieniem którego miała objąć rządy. Chłopak, zobaczywszy matkę po tylu doznanych niepokojach, głośno się rozplakał; Katarzyna przycisnęła go do piersi, a następnie w otoczeniu starszyny objechała rynek na znak, że znowu obejmuje Forli w posiadanie, i udała się do wieży San Pietro, aby z resztą dzieci się przywitać.

Tymczasem lud rabował domy Orsich, jako nieprzyjaciół Riariów; przez szczególną tylko uprzejmość dla hrabiny pozostawił kilka beczek dobrego wina, aby i ona miała jakiś pożytek z tego rabunku, zwłaszcza że Orsi zabierając wszystkie ruchomości z zamku, jej wino wypili.



## II.

Katarzyna z całą energią rozpoczęła rządy, wydała sporo bardzo praktycznych rozkazów, aby porządek w mieście utrzymać, a przede wszystkim postanowiła pomścić zamordowanie męża. Ponieważ w Forli nie było kate, któryby dość posiadał wprawy w zastosowywaniu tortur i ścinaniu głów, więc sprowadziła osobnego »bargella« z Castel Bolognese. Był to sławny Matteo, zwany Babone, mistrz w swoim rzemiośle, o którym miejscowy kronikarz pisze, że mu się nie wydawał być chrześcijaninem, ale dzikim, krwiożerczym Turkiem. Jak tylko Babone przybył, spostrzegł, że wielu uczestników sprzysiężenia brakuje, pomimo że lochy w zamku były przepelnione; przybrawszy więc sobie straż, zaczął szukać po rozmaitych kryjówkach ludzi podejrzanych. Nawet ojca Orsich, starca, który nic nie zawinił, a co więcej, odradzał synom zamordowania hrabiego i tylko z obawy u Dominikanów się ukrył, wywlókł straszny oprawca, kazał go katować i zawlec do zamku. Starzec płakał jak dziecko, a chociaż zapewniał i chciał dowodzić świadkami, że nie należał do zbrodniczego ruchu, Babone go nie oszczędził. Wyroki wykonywano po większej części na tem miejscu, przy tem samym oknie w zamku, z którego spiskowcy zamordowanego hrabiego na plac wyrzucili. Vendetta wymagała, aby winnych w ten sam sposób męczono, w jaki oni ze swą ofiarą się obchodzili. Babone więc zaprowadził najprzód trzech więźniów przed owo okno, tam zakładał każdemu stryczek na szyję, dusił i wyrzucał ciała tak zręcznie, że spadały na to samo miejsce, na którem leżał zabity hrabia. Żołnierze medyolańscy otaczali plac, ale na widok trupów rzucali się na nie jak dzikie zwierzęta, szarpali je w kawałki, rozłupywali czaszki i roznosili odcięte nogi, ręce na mieczach i lancach z tryumfem wśród ochrypłych okrzyków po placu, tak że niebawem cały bruk był pokrwawiony. Staro Orsiego także przyprowadził Babone do owego fatalnego okna, a że był »pobożny«, kazał mu, aby według staro zwyczaju prosił zgromadzony lud na placu o odmó-



wienie »Ojczy nasz« za swoją duszę. Starcowi zabrakło głosu, aby spełnić ten rozkaz, więc jeden z oprawców wyręczył go w przemówieniu do tłumu. Babone nie powiesił jednak Orsiego na oknie, jak jego poprzedników, lecz sprowadził go na dół, na rynek, przywiązał starca do konia i kazał pędzić przestraszone zwierzę wokoło placu, dopóki delinkwent ducha nie wyzionął. Następnie żołdactwo posiekało trupa w kawałki, a jeden z medyolańskich potworów »wydarł krwawe serce z ciała, wziął je do ust i jak pies je kąsał«. Tego rodzaju zwierzęce okrucieństwa musiały równie straszną wywoływać zemstę, a łańcuch zbrodni przedłużał się w nieskończoność.

Babone zburzył w Forli kilkadziesiąt domów, powiesił lub podusił mnóstwo ludzi, tak że u każdej strzelnicy zamku wisiał trup człowieka, który śmiał się być zbuntować przeciw panowaniu Riariów. Hrabina chciała naocznie okazać, jak umie się mścić za krzywdy, rodowi jej zadane. Głównych sprawców jednak morderstwa nie miała w ręku; kazała więc ośmiu trębaczom ogłaszać na placach i ulicach, że ktokolwiekby dostawił jednego z pięciu naczelników zbrodni: Checca i Ludwika Orsich, Giacomę Ronghi, Ludwika Pansechi i Mateusza Galessi, otrzyma tysiąc dukatów. W mieście znajdowało się jeszcze kilku »podejrzanych«, a pomiędzy nimi Ser Niccolo Pansechi i Szymon Fiorini; tych kazała zawołać i powiedziała im, »że za zamordowanie Riaria rzuci ich psom na pożarcie«. Ale obydwaj klękali przed nią i tłumaczyli się jak mogli, więc im tylko domy skonfiskowała i skazała ich na wygnanie.

Gdy nareszcie stało się zadość wendecie, wydała hrabina obiad dla kapitanów wojska posiłkowego, dla Sanseverina, Giovanniego di Bergamo, Rudolfa Gonzagi i Bentivoglia, tudzież dla innych rycerzy, którzy brali udział w uwolnieniu jej ze szponów Orsich. Po bankiecie zaś przyjmowała dwudziestu pięciu najpoważniejszych obywateli miasta, którzy synowi jej Oktawianowi i jej samej jako opiekunce małoletniego wierność zaprzysięgli. Katarzyna siedziała milcząca i nieruchoma za stołem, na którym leżała wielka księga, ewangelia na pergaminie, z pysznymi malowanymi inicja-



łami. W miarę jak notaryusz czytał nazwiska mieszczan, przystępował każdy z nich przed hrabinę, kładł rękę na wielkiej literze malowanej, od której się zaczynało pismo święte i składał uroczystą przysięgę. Świadkowie tego aktu utrzymywali, że hrabina każdemu z nich bystro w oczy patrzyła, czy myśli dotrzymać przysięgi, czy nie.

Fakt, że Katarzyna potrafiła stłumić rewolucję, że pomógł jej Sforza i Bentivoglio, sprawił w Rzymie takie wrażenie, że papież za staraniem kardynała Juliana della Rovere i innych przyjaznych Katarzynie kardynałów potwierdził Oktawianowi inwestyturę Forli i Imoli aż do wygaśnięcia linii, a Katarzynę zamianował opiekunką. Uszczęśliwiona hrabina kazała wybudować na podziękowanie Stwórcy, że jej pozwolił zwyciężyć nieprzyjaciół, kościół w Piratello koło Imoli, na miejscu, dokąd ludzie odbywali pielgrzymki, gdyż przed sześciu laty miał się tam jakiś cud wydarzyć.

Odtąd poświęciła się pani na Forli dobru swego państewka, a liczne jej listy, które się dotąd utrzymały, tudzież kroniki współczesne świadczą, że umiała być nie tylko rycerską kobietą, ale że i wybornie sprawowała rządy. Pomimo że Forli z Imolą należały do najmniejszych tyranii we Włoszech, obawiano się wszędzie hrabiny, »gdyż była dość zuchwałą, aby każdego ze swych nieprzyjaciół od Medyolanu do Rzymu kazać zamordować na publicznej drodze«, w domu zaś była sprawiedliwą, do bogatych i ubogich równą stosowała miarę, a jeden z dawnych pisarzy utrzymuje w swej kronikarskiej przesadzie, że mieszkańcy Romanii powinni składać pocałunki na kamieniu, który leży na jej grobie. Dwory też włoskie zawsze z wielką ciekawością śledziły jej czynności i uważały ją za ważny czynnik w dyplomatycznych stosunkach półwyspu. Z tego powodu Wenecya i Medyolan utrzymywały w Forli swoich agentów, a florentyńska rzeczpospolita miała ich nawet dwóch, aby się nawzajem tem lepiej mogli podglądać.

Hrabina nadzwyczaj o to dbała, aby dwór jej uchodził za jeden z najświetniejszych we Włoszech. Filippo Foresti da Bergamo, który pisał żywoty sławnych kobiet, począwszy od Ewy w raju, Sary, żony Abrahama, Semiramidy, a skoń-



czywszy na Katarzynie Sforza, podnosi, że na zamku w Forli panował przepych jakby na największym dworze, że hrabina otwartą dłonią rozrzucała pieniądze. Hojność miała wówczas polityczne cele i stanowiła jedną z ważnych sprężyn rządzenia w ręku tyranów. Przy swym obronnym zamku wystawiła Katarzyna pałac, który z powodu pysznych sprzętów rajem nazywano. Komnaty były tam ozdobione obrazami znakomitych mistrzów, na rzeźbionych i złożonych sufitch powtarzały się węże Sforzów i róże Riariów. Ulubionym budowniczym hrabiny był Giorgio Fiorentino; on stawił pałac Riario-Sforza w Imoli, harmonijną, poważną budowę, przypominającą pałac Strozziów we Florencyi, jego dziełem jest także pałac Sersanti w Imoli z imponującą kolumnadą. Palmezzano ozdabiał na rozkaz hrabiny według kartonów Melozza da Forli freskami kościół S. Girolamo, gdzie się utrzymały portrety samej Sforzy w pielgrzymim płaszczu, z białym welonem na głowie, Girolama Riario także w stroju pielgrzyma i syna ich Oktawiana, stojącego pod kolumną i wpatrzonego w matkę.

W zamku wielki panował rygor i porządek; hrabina nie pozwalała, aby ktokolwiek z domowników bez jej wiedzy opuszczał mury, a nawet mnich fra Archangelo Giorgi, będący w jej służbie, nie śmiał, jak się okazuje z jednego listu, zmienić pokoju i łóżka bez opowiedzenia się swej pani. Wieczorem zamykano bramę, nikomu nie wolno było wchodzić, a gdy raz któryś z domowników o północy wrócił, madonna bardzo się gniewała. Najdrobniejsze zarządzenia były na jej głowie. Do Mantuy, słynącej z chowu gęsi, posłała raz żyda faktora, aby tam zakupił pierza na dwadzieścia pięć dużych poduszek. Stosownie do ówczesnych wymagań grzeczności napisała do markiza mantuańskiego o pozwolenie wywiezienia kosztownego puchu. Podobnie jak większość ówczesnych pań umiała szyć i haftować, a jednemu z Riariów posłała do Blois siedm koszul, podobno własną ręką uszytych.

Namiętnie lubiła zwierzęta, znała się wybornie na koniach, psach i sokołach. Muły sprowadzała, podobnie jak inne włoskie dwory, z Hiszpanii, w rasowe konie zaopatrywała się w słynnym stadzie mantuańskiego markiza, zajmo-



wała się nawet ich kuciem. Przy swych staraniach o zwierzęta nie zaniedbywała domowego ptactwa, wiemy bowiem, że raz długo rozpytywała się o dobrego kaczora i gęsiora, a mimo rozmaitych zachodów dostać ich nie mogła.

Katarzyna nosiła wprawdzie w wojennych czasach pancerz pod suknią i umiała żyć w obozie; ale w czasie pokoju dbała bardzo o piękne ubrania i o swą urodę, może więcej, aniżeli byśmy przypuszczać mogli. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zachował się do dziś dnia duży zbiór recept, które własnoręcznie spisywała. W księdze tej większość przepisów odnosi się do utrzymywania piękności ciała, mnóstwo z nich ma tytuł: »Jak się piękną uczynić«, »A far Bella«, inne pouczają, czem twarz obmywać, aby nie być zbyt czerwoną, aby nie mieć piegów, aby oczy blask swój utrzymywały, lub zęby i ręce zawsze były białe. Jeden z tych środków nazywał się »aqua celeste«, inny wreszcie »matką balsamów«, »mater balsami«. Do każdej prawie części ciała stosują się inne recepty, a niemało ich zawiera sekret farbowania włosów, na jasne i czarne, na złotawe a nawet na czerwone. Hrabina zajmowała się też leczeniem domowników; stąd w jej zbiorze jest wiele recept na rozmaite choroby, a nawet miała zupełnie zdrowe wyobrażenia o higienie. W czasie morowej zarazy w r. 1497 kazała chorych odosabniać, palić ich pościel, suknie a nawet i domy, zakazywała odbywać targów i wogóle bardzo rozumne wydawała zarządzenia. Niektóre lekarstwa sama przyrządzała, co we wspomnianej księdze bywa notowane. Jak wszyscy współcześni, wierzyła w tajemnicze właściwości pewnych kamieni i leków; magnesowi przypisywała moc usuwania niesnasek pomiędzy mężem i żoną i zbliżania ich do siebie, gdy się poróżnili. Żydówki w miastach, a osobliwie w Rzymie, nadzwyczaj ważną rolę odgrywały w toaletowych i innych domowych tajemnicach, były one w posiadaniu »najpewniejszych« środków utrzymania piękności i rozmaitych lekarskich recept. Hrabina miała też przyjaciółkę, Annę Hebrę, żydówkę w Rzymie, która jej niejedno poleciła arcanum; posiadamy nawet list tej Anny, który był załączony do jakiejś przesyłki czarnej maści przeciw zmarszczkom na twarzy. Owa Hebra



pisze, jak tej maści używać należy, i dodaje, że ma smak bardzo gorzki z powodu zawartego w niej aloesu; gdyby się więc cokolwiek dostało do ust, nie pociągnie to za sobą żadnych złych skutków. Oczywiście przyjaciółka Anna nie zapomina w liście o poleceniu innych środków toaletowych, których dostarczyć może, i o ich cenie. A ceny te są bardzo »amatorskie«, gdyż uncya »białej maści«, albo »słodkiej wody« kosztowała dukata. Widocznie tego rodzaju zajęcie dobrze się opłacało.

Ze wszystkich jednak recept i uwag, które się znajdują w książce naszej hrabiny, najcharakterystyczniejsze są dwa ustępy, znajdujące się już przy końcu tego oryginalnego dzieła. Katarzyna zapisała tam łacińską modlitwę z wplecionymi w nią hebrajskimi wyrazami, jako podnoszącymi jej skuteczność, a bezpośrednio po niej umieściła pod sztyrowanym tytułem przepis na sporządzenie trucizny, która zabija w ciągu miesiąca, albo w razie większej dawki w terminie dwóch tygodni. Nic tak nie charakteryzuje owych czasów, jak to naiwne sąsiedztwo modlitwy i środka do pozowywania się nieprzyjaciół.

### III.

Katarzyna była jeszcze młodą i piękną kobietą, a ostatnie smutne przejścia po śmierci męża nie ostudziły bynajmniej jej wulkanicznych namiętności. Zaledwie też w spokoju zamieszkała na zamku w Forli, a już całe Włochy zaczęły sobie opowiadać o jej miłostkach. Przedewszystkiem wymieniano nazwisko Antonia degli Ordelaffi, przystojnego sąsiada, pochodzącego z rodu tyranów, którzy do niedawna panowali w Imoli. Antonio musiał przy jakiejś sposobności poznać hrabinę, a zapłonawszy do niej miłością, posyłał do zamku dawnym rycerskim zwyczajem listy, przywiązane do strzał, wypuszczanych z łuku. Strzały wraz z korespondencją wpadały do Castello i jak się zdaje, były początkiem wzajemnych stosunków pomiędzy Antoniem a młodą wdową. Zwraçało powszechną uwagę, że Ordelaffi, pomimo że da-



wniej zawikłany w rozmaite spiski przeciw Riariom, bardzo był dobrze widziany u Sforzy, którego nawet zaprosiła na dłuższy pobyt do Forli. Mówiono także, że mieszkał z nią jakiś czas w willi, zwanej »ogrodową«, którą Katarzyna posiadała w pobliżu Imoli. Publiczność zaczęła przypuszczać, że zamkowa pani wyjdzie za mąż za Ordelaффiego i że w ten sposób roszczenia Ordelaффich do panowania w Forli i Imoli będą zaspokojone. Wiele rodzin, mających stosunki z dworem madonny tak było przekonanych, że to małżeństwo wkrótce przyjdzie do skutku, że kazało na uroczystości ślubne porobić służbie liberye z herbami Riariów i Ordelaффich, a niektórzy z przyjaciół Antonia spieszyli do Rawenny, aby mu składać powinszowania, które on z radością przyjmował. Ale Katarzyna nie myślała tym razem o małżeństwie, gdyż związek z Ordelaффim, jako roszczącym sobie prawa do panowania w Forli, byłby zaszkodził jej dzieciom i sprowadził cały szereg zawikłań i sporów. Hrabina zaczęła więc bardzo energicznie zaprzeczać owym pogłoskom, a nawet karać tych, którzy je rozsiewali. Pomiędzy innymi dotknął jej gniew kronikarza Cobellego, człowieka wszechstronnych zajęć, był bowiem malarzem, tanecmistrem i nauczycielem muzyki w Forli. Umiał on się wkraść w łaski hrabiny, a ponieważ wiedział o wszystkich dworskich plotkach, więc spisywał, jak się zdaje, zajmujący dziennik, w którym wielbił Katarzynę. Pogłoski o nowym jej związku małżeńskim bardzo go cieszyły, zaczął więc radość łączyć z interesem i malował na zamówienia mnóstwo połączonych herbów Riariów i Ordelaффich na tarczach i rozmaitych ozdobach. Gdy się hrabina o tem dowiedziała, kazała go wrzucić do więzienia, za co Cobelli tak się na nią zawziął, że wyszedłszy z więzy, spalił swoją dotychczasową kronikę, w której ją w najlepszym przedstawiał świetle, i zaczął pisać nową, przedstawiając w bardzo czarnych barwach niedawną swą bohaterkę.

Gniew hrabiny z powodu pogłosek o związku z Ordelaффim miał zapewne jeszcze i inną przyczynę. Zwróciła ona bowiem od pewnego czasu uwagę na dwudziestoletniego, bardzo przystojnego młodzieńca z ubogiej rodziny, Giacoma Fea, brata kasztelana zamku Ravaldino, Tomasza.



Katarzyna chciała nowego swego ulubieńca wywyższyć, mianować go kasztelanem w miejsce Tomasza, a zarazem mieć wyborną sposobność, aby w osamotnionym zamku z nim się widywać. Trudność była tylko w usunięciu Tomasza, który niczem nie zawinił i owszem bardzo był oddany Riariom, tak dalece, że słysząc o możliwym związku hrabiny z Orde-laffim postanowił nie oddać nigdy zamku w inne ręce, jak tylko swemu panu, Oktawianowi Riario, gdy dorośnie. Tym razem jednak kasztelan w swej żołnierskiej prostocie nie mógł dorównać podstępnemu charakterowi »tygrysy«, która umiała wysunąć swe kocie pazury. Pewnego dnia zajechała hrabina do Ravaldino, serdecznie powitała Tomasza i poprosiła go, aby jej towarzyszył w oglądaniu nowego ogrodu, który założyła w kierunku Bertinoro. Nic złego nie przewidując, udał się z nią kasztelan do ogrodu, gdzie hrabina była dla niego czułą, jak nigdy, zagłębiała rozkochany wzrok w jego spojrzeniu, skłoniła go, aby z nią usiadł pod figowem drzewem i częstowała go słodkim owocem. Tomasz pełen jeszcze sił młodzieńczych, nie mógł być obojętnym na przymilania się hrabiny i pod wpływem promienistych oczu i sierpniowej temperatury ujął ją w ramiona. Na to tylko czekała hrabina: udała, że się czuje zwyciężoną, pociągnęła go za sobą przez ogród ku schodom, które prowadziły do jej sypialnej komnaty. Schody były kręte, wąskie, tygrysyca szła szybko naprzód, jakby namiętności w niej kipiały. Zaledwie jednak kasztelan się tam znalazł, uczuł, że go ktoś chwycił z tyłu za ramiona żelaznymi rękami. Obrócił się i zobaczył, że zamiast w objęciach hrabiny znajduje się w twardych uściskach Giovanniego Ghetti, kapitana wielkiej wieży przy zamkowej bramie, człowieka o herkulesowej sile. »Nie trwóście się, rzekł do niego Ghetti, jesteście więźniem hrabiny«. Kasztelan zaczął wołać na służbę; ale zanim się dowiedziano, co się stało, Ghetti wtrącił już Fea do jakiejś komory i drzwi za nim zatrzasnął. Żołnierze na zamku przywiązani do kasztelana, sądząc, że hrabina chce go życia pozbawić, zwrócili szybko kilka armat ku komnacie, w której się znajdowała, zaczęli w tym kierunku strzelać, a jedna kula przeleciała nawet tuż obok głowy Katarzyny. Ale zrę-



czna kobieta już z góry ułożyła cały plan kampanii: kazała żołnierzom powiedzieć, że Tomaszowi nic się złego nie stanie, że tylko zamiast niego zamianowała kasztelanem jego brata Giacoma. Załoga się uspokoiła, Giacomo objął kasztelanie, a Tomasz odesłano z należnymi mu honorami do Bolonii. Giacomo stał się uprzywilejowanym kochankiem Sforzy; umiała ona skłonić księcia medyolańskiego do nadania mu rycerskiego orderu, zamianowała go namiestnikiem Forli i Imoli, otoczyła świetnym orszakiem dworzan i rzec można, że zostawała pod nieograniczonym jego wpływem. Po niejakiś czasie mówiono, że hrabina ma z Giacomem syna, którego nazwała Bernardinem; gdy jednak te głosy doszły do jej wiadomości, kazała »dla przykładu« schwycić pierwszego lepszego ubogiego człowieka, maestra Santa di Sole, i tak go bić za rozsiewanie rzekomo nieprawdziwych wiadomości, że biedak umarł niebawem. Gdy zaś nie ustawano w mieście opowiadać sobie o jej najmłodszym synu, kazała kilku ludzi jako plotkarzy powiesić. Strzeżono się zatem wspominać o Bernardinie i dopiero później spotyka się jego nazwisko. Na Giacoma Fea spadały coraz to nowe zaszczyty, nawet monarchowie z nim się liczyli, a gdy Karol VIII przybył do Włoch, nadał mu tytuł barona Francyi, Katarzyna zaś wyniosła go na stanowisko jeneralnego gubernatora i wice-regenta swego państwa. Mówiono nawet powszechnie, że hrabina potajemnie poślubiła Giacoma, co zresztą potwierdzało jego zachowanie się, był bowiem coraz bardziej pysznym i na każdym kroku nadużywał swej władzy. Bello da Castracaro, florentyński wysłannik, wspominał w jednym ze swych listów o posłuchaniu swem u hrabiny. Otóż Katarzyna przyjęła go siedząc w wielkim krześle, a koło niej stał Giacomo bardzo swobodnie oparty o framugę okna. Miał na sobie kaftan z karmazynowego atlasu i płaszczyk ze złotolitego brokatu. Posłowi wydawała się ta para jak dwa »słońca piękności«, a oboje tak się ze sobą zgadzali, że co jedno powiedziało, to drugie starało się zaraz potwierdzić. Wiemy jednak skądinąd, że Feo dzierżył właściwą władzę; on zarządzał wszystkimi państwowymi dochodami, wypłacał żołnierzy i stał się osobistością, przed



którą całe miasto drżało. W Rzymie i we Florencyi brano hrabinie bardzo za złe, że się dała opanować takiemu młodzieńcowi, a nawet komisarz florentyński we Faenzy, Puccio Pucci, przewidywał, że ten stosunek musi się tragicznie zakończyć, i sądził, że albo Katarzyna każe swego kochanka potajemnie zamordować, albo on zgładzi ją i wszystkie jej dzieci, albo wreszcie Oktawian Riario, gdy tylko dorośnie, zamorduje matkę i Giacomą. Florentyński komisarz dobrze ocenił stosunki, gdyż to, co przewidywał, stało się po dwóch latach tyranii, jaką Feo umiał rozciągnąć nad hrabiną. Doszło do tego, że owa silna, nieraz okrutna Katarzyna była prawie niewolnicą Giacomą, że dzieci jej nienawidziły intruza, który je w codziennem życiu najdotkliwiej obrażał. Oktawian miał już lat szesnaście, czuł każdą krzywdę, jaką matka dzieciom wyrządza, i potajemnie związał się z dwoma patrycyuszowskimi rodami, Marcobellich i Orciolich, także palającymi zemstą ku Giacomowi, aby zgładzić wszechwładnego kochanka matki. Bezpośredni powód wybuchu nienawiści wkrótce się znalazł. Pewnego dnia Feo tak rozdrażnił swą gburowatością Oktawiana, że tenże odpowiedział mu śmiało i obraźliwie. Feo się zapienił z gniewu i uderzył w twarz młodzieńca, a przytomna tej scenie hrabina rozplakała się, nie mając siły, aby groźnie wystąpić przeciw ulubieńcowi. Oktawiano postanowił się pomścić; wysłał swego wiernego strzelca, Gian Antonia Ghetti, potajemnie do Marcobellich i Orciolich, aby z ich pomocą urządził morderczy zamach na Fea. Sprzysiężenie niebawem zorganizowano, a Ghetti czekał tylko na odpowiednią sposobność.

Dwudziestego siódmego sierpnia 1495 mógł być zamach wykonany. Całe towarzystwo zamkowe, hrabina, jej córka Bianka, Oktawian, Cesare Riario i Giacomo Feo w orszaku jeszcze kilku pań i panów wybrało się na polowanie na wodne ptactwo. Zabawa dobrze się udała; wracano w wesołem usposobieniu, panie jechały powozami, mężczyźni w pewnem oddaleniu za nimi konno, śpiewając rozmaite pieśni. Droga prowadziła przez most de' Bogheri przy S. Bernardo. Tam się ukryli Gian Antonio Ghetti i jego krewny Damiano ze swym wiernym służącym i oczekiwali Fea, który



jechał ostatni. Spiskowcy wyszli naprzeciw niemu, grzecznie się witając, wskutek czego Feo zatrzymał konia i zapytał, gdzie idą; zanim się jednak mógł spostrzedz, już służący Domenika wepchnął mu w bok sztylet prawie po rękę-jęść. Feo się zachwiał, wyjęknął jeszcze słowa »Panie Jezu umieram!«, a spiskowcy ściągnęli go z konia, zadali mu jeszcze mnóstwo ran sztyletami i twarz cięciami w straszny sposób zespecili. Feo wyzionął ducha, a mordercy wrzucili go do przydrożnego rowu. Tymczasem hrabina spostrzegła, co się stało, a sądząc, że i jej życie zagrożone, wsiadła na koń, którego jej podał towarzyszący żołnierz i zaczęła uciekać ku zamkowi, wołając na synów, aby za nią jechali. Ale synowie, czując się winnymi morderstwa, nie podążyli za nią, lecz zwrócili konie ku domowi przyjaciela, Paola Denti, gdzie się przed matką ukryli. Mordercy zaś, wiedząc, jak Feo przez ludność był nienawidzony, pospieszyli do miasta, wołając do przechodzących: »Cieszcie się, zabiliśmy Fea na rozkaz hrabiny i Oktawiana!«. Hrabina dowiedziawszy się o tych podstępnych okrzykach, kazała zaraz zaprzeczyć, jakoby była sprawczynią zamachu, a zarazem obiecała sto dukatów temu, kto mordercę dostawi żywego. Uderzono w dzwony, zaczęła się pogoń za winnymi, hrabina kazała bramy miasta zamknąć, aby nikt z nich nie uciekł. Mimo to trzech członków rodziny Ghettich skoczyło z murów otaczających miasto i zdołało się ukryć, Antonia Ghettiego schwyciono jednak i zamordowano na ulicy. Katarzynie nie wystarczyło jednak, że Antonio zginął, kazała jeszcze trupa dla hańby powiesić na haku przy bramie zamkowej. Księża Dominika Ghettiego znaleziono ukrytego w wielkim kufrze; oddano go na tortury, a następnie przywiązano do końskiego ogona i wleczono po rynku, dopóki go rozbestwione żołdactwo nie dobiło i nie powiesiło obok trupa Antonia. Hrabina szalała z gniewu, żonę Antonia, spodziewającą się potomka, jej pięcioletniego synka, a nawet niankę, która go ukryła, kazała zamordować. Nie dość jej było tych ofiar; wyprawiła z zamku trębaczów, aby przebiegali miasto i głosili, że będzie wypłacała po tysiąc dukatów każdemu, kto dostawi jednego ze sprzysiężonych. Ludność kipiała z oburzenia,



a obawiając się, aby hrabina nie wywarła wendetty i na swych synach, Oktawianie i Cezarze, wyprowadziła ich z ukrycia przed zamek, dając do poznania, że całe miasto stoi przy Riariach i że ich bronić będzie. Gdy jednak tłumy, odgrażając się, stanęły przed zamkową bramą, hrabina kazała wypaść oddziałowi wojska, porwać z pomiędzy tłumów obydwu Riariów i uprowadzić do zamku. Fortel się udał; lud odgrażał się wprawdzie i miotał przekleństwa przez chwilę, ale cztery strzały armatnie dane z wieży wystarczyły, aby rozpedzić stronników Oktawiana. W Romanii okrucieństwa hrabiny wywołały zgrozę i oburzenie. Poseł księcia medyolańskiego donosił z Bolonii, że cały kraj woła o pomstę do nieba, że matka zamknęła Oktawiana w wieży i nikomu z nim mówić nie pozwala. Szał tygryscy po kilku tygodniach się jednak uspokoił; synowi przywróciła wolność, ale straszne te przejścia pozostawiły w jej usposobieniu niezatarte ślady. Stawała się nieraz ponurą, twardą, niepodobną do owej pogodnej córki Sforzów, która za młodu przybyła do Rzymu.

#### IV.

Jeszcze za życia Girolama starała się Katarzyna zbliżyć do Medyceuszów, a po śmierci Lorenza il Magnifico okazywała w listach i rozmowach wielki żal za owym najznakomitszym politykiem pomiędzy włoskimi panującymi. Także jego syna, Piera de' Medici, wyszczególniała przy każdej sposobności, a do Florencyi lgnęła całą duszą; wiązały ją z tem miastem najczulsze wspomnienia młodości, gdy jako dziesięcioletnia dziewczynka, towarzysząc ojcu, bawiła w domu Medyceuszów. Obecnie znalazł się jeden z ich rodu, który ją jeszcze bardziej zbliżył do Florencyi. Wkrótce po śmierci Fea spotykamy na zamku w Forli innego ulubieńca hrabiny, bądź co bądź godniejszego, aniżeli ostatni. Był nim blisko trzydziestoletni wówczas Medyceusz, zwany Giovanni Popolano, jak mówiono, najpiękniejszy mężczyzna we Florencyi. Giovanni kochał się przed kilkoma laty w kobiecie, o której



łaski starał się także Piero de' Medici i bardzo był o nią zazdrosny. To też gdy Piero spostrzegł razu jednego na balu maskowym, że Giovanni zbyt uprzejmie z jego ulubioną rozmawia, posunął się do takiej nikczemności, że oblał atramentem jego piękne srebrzyste ubranie. Giovanni zerwał maskę napastnikowi i pchnął go sztyletem, ale Piero miał pancierz pod płaszczem i ostrze się ześliznęło, nie zadawszy mu rany. Nie tylko zresztą zazdrość grała rolę w tej balowej napaści, Piero i Giovanni byli także politycznymi współzawodnikami. Ród Medyceuszów dzielił się na dwie gałęzie. Do pierwszej należeli dawniej Lorenzo il Magnifico, a teraz jego syn Piero, wywierający prawie despotyczny wpływ na rządy Florencji; drugą gałąź przedstawiali Giovanni de' Medici i jego brat Lorenzo, zupełnie odsunięci od publicznych urzędów. Otóż ci dwaj bracia, a osobliwie Giovanni, czuli się daleko godniejszymi władzy, aniżeli brzydki, chytry i rozpustny Piero, i starali się ją osiągnąć częścią popularnością u ludu, częścią łączeniem się z Francją. Zajęcie na balu maskowym miało ten skutek, że najwyższa władza florentyńska, La Pratica, stojąca pod wpływem politycznym Piera, wytoczyła Giovanniemu i Lorenzowi proces o spiskowanie z nieprzyjacielem rzeczypospolitej, z królem Francji, i skazała obydwu na więzienie. Niebawem jednak stronnictwo republikańskie opanowało rządy, wyгнаło znenawidzonego Piera, a Giovanni mógł zająć bardzo wybitne stanowisko w rewolucyjnym ruchu. Chciał on tak dalece przypodobać się ludowi, że zaparł się Medyceuszów i przyjął nazwę Giovanniego Popolano, a w roku 1496 mianowała go rzeczpospolita swym posłem u Katarzyny Sforzy-Riario. Poseł tak dobrze korzystał ze swego stanowiska, że się zakochał w hrabinie i jej wzajemność pozyskał. Katarzyna kazała przepysznie urządzać dla niego pokoje przytykające do jej sypialni w zamku w Forli, pozwoliła mu trzymać szesnastu służących, dwadzieścia pięć koni i we wszelki możliwy sposób starała się mu przypodobać. Doszło nawet do tego, że Popolano zaczął brać otwarcie udział w rządach hrabiny, a ktokolwiek chciał jakiejś łaski, musiał się do niego udawać. Wkrótce też rozeszła się wieść, że Katarzyna potajemnie



zaślubiła Popolana i że ma z nim syna. Wieści te zaniepokoiły bardzo Bentivogliów w Bolonii, Lodowika Mora w Medyolanie, tudzież wenecką Signorię, ze względu, że nowy stosunek hrabiny zbliżał ją do Florencyi; chcieli więc koniecznie dowiedzieć się przez swych posłów, o ile te pogłoski są prawdziwe. Katarzyna jednak wypierała się stanowczo, jakoby poślubiła Popolana, a nawet oświadczyła posłowi Bentivogliów, że »nie jest już w tym wieku, kiedy kobietę można posądzać o młodzieńcze zachcianki, i że od śmierci hrabiego Riaria nie przyszło jej na myśl, aby wstępować w związki małżeńskie, a z Giovannim Popolanem wiąże ją tylko przyjaźń, bo w sprawach publicznych bardzo jej jest pomocny, a co więcej, że jej pożyczył 10.000 dukatów na wykupienie sreber i klejnotów, które jeszcze za życia hrabiego Girolama zastawiła«. Ale zapewnienia Katarzyny były nieprawdziwe, a jeden z posłów pisał z tego powodu, »że kobietom i księżom wierzyć nie można« i wogóle że »*maledictus homo, qui confidit in homine et maxime in muliere*«. Hrabina nie chciała się przyznać do małżeństwa, ponieważ obawiała się, aby jej nie odebrano w Rzymie opieki nad dziećmi i zarządu nad ich majątkiem.

Florentyńska Signoria dobrze jednak o wszystkim wiedziała, a nawet nadała hrabinie i jej dzieciom obywatelstwo florentyńskie, nie wymieniając wszakże w swym akcie nazwiska Popolana. To zbliżenie się do Florencyi wyzyskała Katarzyna, ażeby Oktawiana wprowadzić w rzemiosło ryceerskie, a ponieważ rzeczpospolita prowadziła wtedy wojnę z Pizą, więc go hrabina posłała z licznym i dobrze uzbrojonym oddziałem żołnierzy Florencyi na pomoc. Popolano także się z nim wybrał, aby go wspierać swą radą; ale niebawem zachorował i lekarze florentyńscy wysłali go do wód w San Piero in Bagni. Stamtąd pisał kilka razy do hrabiny, a w jednym z listów prosił, aby mu przysłała dwie czarne czapki do zmiany, gdyż w ciągłej znajduje się transpiracyi, tudzież dwie czapki różowe do kąpieli, a nadto kawałek sukna lukkańskiego także na dwie czapeczki z kutasem, jakie nosił w Forli. Troskliwość o zdrowie, jaką Popolano w tym liście okazywał, nie na wiele jednak się przydała, bo niebawem



bardzo ciężko zachorował, o czym dano znać Katarzynie umyślnym posłańcem. Hrabina zaraz przybyła, ale zastała go już umierającym. W nocy z dnia 14 na 15 września 1498 zakończył Popolano życie.

Rodzina Medyceuszów poczuwała się do obowiązku opiekować się małym synem Popolana, Giovannim, a gdy następnego roku, jak zobaczymy, hrabina była zagrożoną napaściami Borgiów, wezwali ją Medyceusze, aby dla bezpieczeństwa odesłała dziecko do Florencyi. Ale Katarzyna była tak przywiązana do ostatniego swego syna, że w żaden sposób malca wydać nie chciała. Medyceusze, którzy widocznie nie bardzo dowierzali jej macierzyńskiej stałości, ułożyli się z nią, że oddadzą jej wprawdzie opiekę nad dzieckiem, ale musi ona złożyć kaucyę 25.000 dukatów, że mu żadnej krzywdy nie uczyni i że nie naruszy majątku, który mu się należy po ojcu. Za kaucyę zaręczył Oktawian swoim majątkiem, a ponieważ to Medyceuszom nie zdawało się dostatecznym, więc jeszcze jeden z przyjaciół Riariów, Luffo Numai, dał porękę in solidum. Nadto zmusili Medyceusze Katarzynę, aby dla honoru ich domu i dziecka uznała małżeństwo z Popolanem za ważne i zachowywała się jako wdowa po Medyceuszu. Katarzyna zastosowała się do tych słusznych żądań potężnej florentyńskiej rodziny i kazała nawet przy tej sposobności wybić medal ze swoim wizerunkiem i napisem: Catharina Sfortia Medices.

## V.

W czasie kiedy Giovanni Popolano bawił na zamku hrabiny w Forli, zaszły wielkie zmiany w Rzymie. Innocenty VIII, na którego kardynał Giuliano della Rovere miał wielki wpływ, pozostawiał Katarzynę w spokoju, mogła też za panowania tego papieża czuć się w swem państwie bezpieczną. Ale Innocenty, stary, schorowany, umarł w r. 1492 po długiej agonii. Jego lekarz, żyd z Ghetto, starał się wszelkimi sposobami życie mu przedłużyć, wstrzykiwał nawet krew trzech młodych chłopców w żyły konającego papieża.



Innocenty jednak nie wyzdrowiał, chłopcy poumierali, a zbrodniczy lekarz uciekł, obawiając się odpowiedzialności wobec kardynałów, którym śmierć papieża była pożądaną.

Szóstego sierpnia 1492 rozpoczęło się conclave w kaplicy Sykstyńskiej, a współzawodników na tron papieski było wielu. Na pierwszym miejscu Julian della Rovere, popierany przez Francję, następnie Rodrigo Borgia, mający za sobą Hiszpanię, która świeżo pokonała resztki Maurów i zawładnęła Neapolem, a wreszcie Ascanio Sforza, brat księcia Medyolanu. Przez trzy dni było conclave podobne do giełdy, na której najpotężniejszym bankierem był Rodrigo Borgia. Starał się on przedewszystkiem usunąć Sforzę, któremu za zrzeczenie się kandydatury i popieranie jego wyboru darował pałac w Rzymie z całym urządzeniem, dał mu tyle złota, ile kilka mułów unieść potrafiło, a nadto przyobiecał wicekanclerstwo Stolicy Apostolskiej; ponieważ zaś nie było rzeczą obojętną mieć Colonnów, Orsinich i Savellich za sobą, więc zręczny Hiszpan przyrzekł Orsinim znaczne lenna, Colonom opactwo Subiaco i kilka zamków na rzymskiej ziemi, a Savellim Civitę-Castellanę. Najmniej otrzymał od Borgii patriarchy wenecki Gherardi, gdyż według kronikarza Infesury, poczciwy starzec zwykł był wszystkiemu potakiwać, ruszając głową. Tak wielkich obietnic, jakie poczynił kardynał Rodrigo nie mógł robić ani Rovere, ani Ascanio Sforza; więc też w nocy z dziesiątego na jedenastego sierpnia wyszedł Borgia z wyborczej urny jako Aleksander VI.

Rodrigo był niepospolitym człowiekiem; rozumny, wymowny, o wykwiśniętym obejściu, umiał sobie otoczenie ujmować. Wysoki, o czarnych oczach, zmysłowych, nabrzękłych ustach, silny, zdrowy, niestrudzony, zawsze uprzejmy i uśmiechnięty, pociągał ku sobie magnetycznym wzrokiem. Gwałtowny jednak i popędliwy, nie zdołał osłaniać na zewnątrz swych uczuć, a ambasador wenecki, Giustiniani, dobrze go ocenił, pisząc do Signorii, że zawsze coś takiego powie, co zdradza stan jego duszy, a gdy chce ukryć swe myśli, czyni to tak niezgrabnie, że mu nieprawdę na ustach wyczytać można. Nadzwyczaj zdolny, był Rodrigo za kardynalskich czasów jedną z najdzielniejszych podpór świętego Kollegium,



zwłaszcza że z łatwością umiał traktować zawile polityczne sprawy. Co więcej, należał do najbardziej pracowitych kardynałów, tak że przez lat trzydzieści siedm prawie nigdy nie opuścił posiedzeń konsystorza, chyba że był rzeczywiście chory. Gdy więc został papieżem wybrany, powszechnie się z tego ciesząco, spodziewając się po jego energii i doświadczeniu, że w Rzymie ład zapanuje. Ludność pragnęła porządku, gdyż w krótkim czasie od choroby Innocentego VIII aż do koronacji Aleksandra popełniono w Rzymie dwieście dwadzieścia morderstw.

Do zalet papieża należała też osobista odwaga, którą nieraz podziwiano jego otoczenie. Gdy raz płynął galerą ku Porto Ercole i gwałtowna burza się zerwała, on jeden z całej załogi głowy nie stracił. Podczas gdy kardynałowie jęczeli z przestachu, papież siedział spokojnie u steru, żegnał się od czasu do czasu i wysyłał majtków do kuchni, aby mu prędko obiad podawali, bo głodny. Na zarządzie majątku wybornie się rozumiał, oszczędnie dwór swój prowadził, a tak skromnie jadał, że kardynałowie Ascanio Sforza, Juan Borgia i Cezar, przyzwyczajeni do dobrych obiadów, rozmaitych sposobów używali, aby się uwolnić od zaproszeń do papieskiego stołu. Utrzymanie też całego dworu papieskiego kosztowało miesięcznie tylko siedmset dukatów.

Na świeckiego więc panującego miał Borgia zalet mało, ale na papieża nie był stworzony, sprawy kościelne nie wiele go zajmowały, często nawet nudziły, obrzędów liturgicznych nigdy się dobrze nie nauczył i co chwila popełniał rozmaite niestosowności. Gdy raz w kościele św. Piotra odprawiał mszę w obecności Karola VIII, tak ceremonię zagmatwał, że asystujący mu duchowni w największym byli kłopotcie, jak wybrnąć z tych błędów, aby się publiczność nie spostrzegła. Nadeszła jednak chwila, a było to w lecie roku 1497, kiedy miał szczerą chęć i ambycję zostać wzorowym papieżem i zabrać się nawet do reformy Kościoła. Do skruchy tej dało powód zamordowanie jego najstarszego ulubionego syna, księcia Gandi. Papież w pierwszych dniach po tej tragedii ciągle płakał, nie przyjmował żadnego pożywienia, nie spał, a na konsystorzu z 19 czerwca oświadczył,

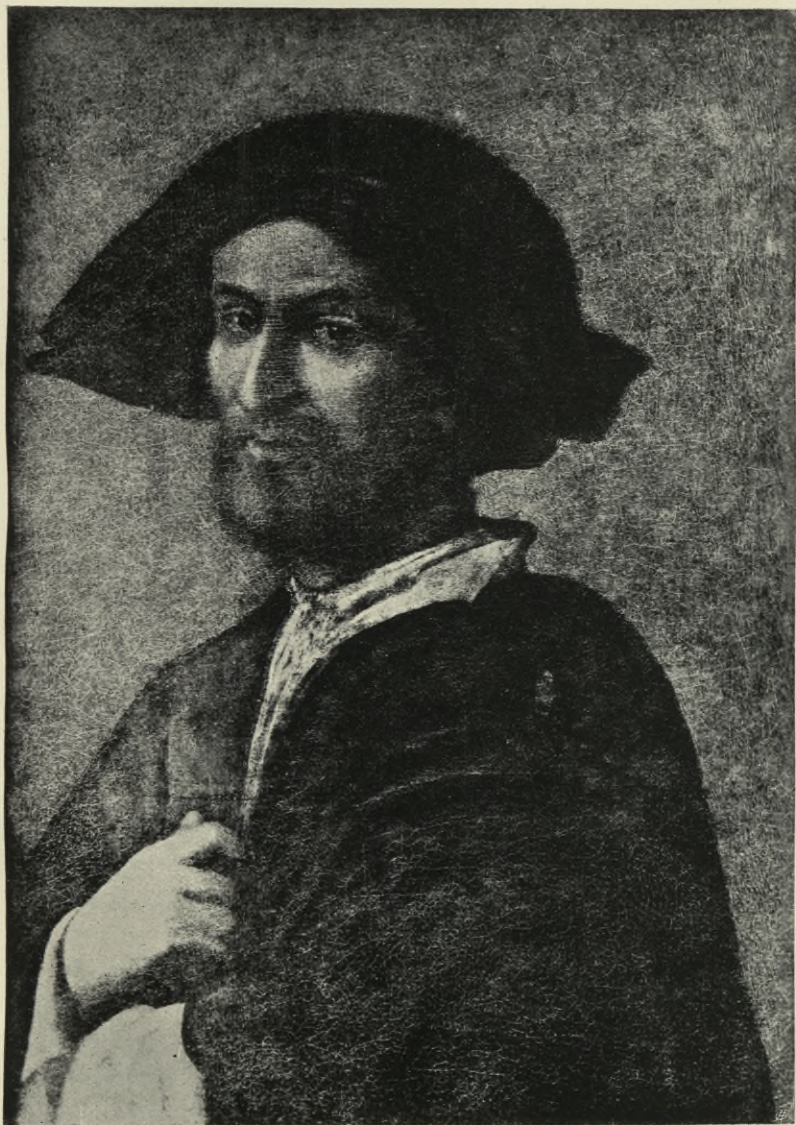












Fot. Brogi.

Cezar Borgia.

Według portretu w pinakotece w Forli.

Do str. 199.







że cięższy cios nie mógł go spotkać w życiu i że dałby siedm tyar papieskich, gdyby księcia Gandyi można do życia przywrócić. Co więcej, przyrzekał kardynałom, że chce najzupełniej zerwać z nepotyzmem i zacząć reformę Kościoła od siebie samego, mówił nawet, że na przyszłość wydali swe dzieci i nepotów z Rzymu, a nawet ukochaną córkę Lukrecyę odesłał do Walencji. Ale Cezarowi nie były tego rodzaju zamiary po myśli; miał on za wiele ambitnych planów przed sobą, aby się dać usunąć z Rzymu i pozbawić korzyści, jakie dlań wypływały z pobytu przy boku papieża. Burchard w swym dyaryuszu notuje, że dalsze okazywanie rozpacz byłoby papieża naraziło na wielkie niebezpieczeństwo, oczywiście od Cezara. Aleksander musiał więc zamilknąć, obawiając się syna. Tłumił swoją rozpacz, kazał często w nocy konie zaprzęgać i pędzić na Kampanię, albo szedł polować na dzika z oszczepem. Odtąd stał się narzędziem Cezara, który go umiał zrobić współwinnym swych zbrodni i jak szatan trzymał jego duszę na uwięzi. Dla bezmiernej miłości do dzieci poświęcił Aleksander wszystko, zapomniał niebawem o przyrzeczeniach, że nie będzie wspierał nepotów, zapomniał o reformie Kościoła, ale przeciwnie, ulegając synowi, był gorszym, aniżeli przed zamordowaniem księcia Gandyi, dążył tylko do ufundowania wielkiego państwa we Włoszech, ale nie dla Kościoła, lecz dla Cezara. Rok 1497 był przełomowym w życiu papieża.

Mało tak demonicznych postaci znamy w dziejach, jak Cezar Borgia; szatański jego charakter tem bardziej staje się zajmującym, że ten syn Aleksandra VI łączy w sobie wykwintność kultury Odrodzenia z dzikością hiszpańskiego bandyty. Powszechnie utrzymywano w XVI wieku, że Borgie są rodziną Maranów, przechrzczonych Maurów hiszpańskich, którzy zmuszeni do przyjęcia religii chrześcijańskiej, zachowali w sercu pierwotną wiarę, a przeto w bezustannej musieli żyć rozterce duchowej i ciągłej obłudzie, aby nie popaść w ręce inkwizycyi. Postać Aleksandra nie usprawiedliwiała tej tradycyi, ale w Cezarze gnieździła się jakby długo ukrywana nienawiść do społeczeństwa; nie znał on uczucia miłości, a litość nawet przelotnie nie zawładnęła jego ser-



cem. Nie wiemy nawet, aby Cezar kiedykolwiek szczerze kochał jaką kobietę; zawsze i wszędzie zajęty był tylko sobą, a sprężyną jego działania było zaspokojenie własnej ambicyi i zmiżdżenie tych, którzyby mu stanęli w drodze. Światła nie lubił, a nawet tylko w nocy przyjmował tych, którzy z nim mówić chcieli. Przy słabym blasku świec woskowych łatwiej mu było ukrywać swe myśli. Oslaniała go wogóle atmosfera pomroku i tajemniczości, nikt z jego otoczenia nie wiedział, co w pewnej chwili czynić zamierza, a gdy bawił w Watykanie, ludność rzymska nawet się nie domyślała, że tygrys papieski tam na swoje ofiary czatuje. Na ulicę wychodził w masce, gdyż nie chciał być poznanym, a może i z powodu brzydkich wyrzutów, jakie mu na twarzy pozostawiła francuska choroba. Jedynym jego towarzyszem w przechadzkach po Rzymie był wierny brawo, don Micheletto, który szedł za nim o kilka lub kilkanaście kroków, aby na każde skinienie swego pana utopić sztylet w piersi jego nieprzyjaciela. Rzecz jednak szczególna, że ten zbrodniarz, ten krwiożerczy tyran, miał chwile dobrego humoru, śmiał się, bawił wybornie w towarzystwie poetów i artystów, albo tańczył noc całą do umęczenia. Te napady dobrego humoru były dziedzictwem po ojcu.

Gdy w r. 1502 oblegał Cesenę, szedł czasem przebrany za wieśniaka do najbliższych osad i tam dla zabawy mocował się z chłopami, biegał z nimi do mety albo przeskakiwał rowy. Nadzwyczaj silny, gdy nie miał innej sposobności ćwiczyć swych muszkułów, łamał gałęzie na drzewach, przeorywał powrozy, albo kruszył podkowy. Ludzie, którzy mu byli bezwzględnie oddani i wiernie służyli, byli zupełnie zadowoleni, albowiem tyran miał hojną rękę. Wydawał dużo, pieniądze nie miały dla niego wartości, a gdy ich potrzebował, nie wahał się nawet otruć bogatego kardynała Michiela, a może i innych prałatów, aby zagarnąć po nich kapitały.

Cezar najczęściej milczał, kilkoma zaledwie słowami odpowiadał na zapytania, a jeżeli w dłuższą wdał się rozmowę, to tylko w tym celu, aby obalamucić przeciwnika. Czasem jednak potrzebował w jakiś gwałtowny sposób okazać swe życie, swój gniew, swą zemstę, dzika natura pra-



gnęła widoku krwi. Wtedy, jeżeli nie mógł inaczej zaspokoić swych chuci, zstępował na arenę i potrafił jednym zamachem miecza przeciąć kark młodego bawoła, albo co gorsza, najdrobniejszy powód wystarczał mu, aby własną ręką zamordować człowieka, który mu wszedł w drogę. Razu pewnego pchnął sztyletem w przytomności Aleksandra VI ulubieńca papieskiego, Perotta, tak że krew młodzińca obryzgała twarz papieża. Sanuto opowiada, że trupa tego Perotta »znaleziono w Tybrze, a obok niego ciało młodej dziewczyny, panny honorowej Lukrecyi, o której mówiono, że była una creatura di Pontefice«. Wody Tybru kryły wtedy niejedną straszną tajemnicę. Jedną tylko z owych tajemnic niesłusznie, jak się zdaje, obarczono i tak obciążone sumienie Cezara. Wszyscy nowsi badacze dziejów Aleksandra VI na to się zgadzają, że Cezar nie jest winnym morderstwa swego brata, księcia Gandyi. Tak Reumont i Hoefler, jak Brosch i Pastor, z Włochów Alvisi, Leonetti i sumienni Luzio-Renier, którzy wszystkie źródła ściśle badali, z Francuzów Maury i L'Epinois, z Anglików Creighton, dowodzą, że Cezar nie miał wówczas najmniejszego powodu godzić na życie swego brata, a postępowanie Aleksandra VI wobec Cezara po zamordowaniu księcia Gandyi każe przypuszczać, że papież bynajmniej nie posądzał o tę zbrodnię swego drugiego syna. Wieść, że Cezar zamordował brata, powstała w trzy lata po spełnieniu zbrodni, a powodem jej była powszechna nienawiść ku Cezarowi, którego wtedy posądzano o wszelkie możliwe morderstwa. W nowszych czasach głównie Gregorovius przyczynił się do rozszerzenia tej wieści.

Cezar, którego ojciec jeszcze przed śmiercią księcia Gandyi zamianował był kardynałem, nie chciał później wiązać się z Kościołem, lecz postanowił złożyć duchowną godność, ożenić się i starać o udzielne księstwo. Papież na razie się temu sprzeciwiał, rezygnacya z godności kardynalskiej była prawie bezprzykładną; gdy jednak król francuski, Ludwik XII, chcąc sobie w sprawie rozwodowej z królową Joanną, pozyskać Aleksandra VI, nadał Cezarowi księstwo Walencji i obiecał ożenić go z francuską księżniczką, papież przystał



na zdjęcie z syna kardynalskiej purpury. Skutkiem tego było zawarcie z Francją najściślejszego przymierza i zwrócenie się przeciw Sforzom w Medyolanie, ponieważ Ludwik XII chciał z pomocą papieża zająć to księstwo, do którego rościł sobie prawa. Największy dotychczasowy przyjaciel papieża, kardynał Ascanio Sforza, widząc, na co się zanosi, uciekł z Rzymu, obawiając się, aby go Aleksander VI nie kazał zamordować, zwłaszcza że papież wyraźnie zapowiedział, że medyolańska dynastia musi być zniszczoną. Z rozmaitych stron robiono papieżowi bardzo poważne przedstawienia, że przymierze z Francją, obliczone tylko na wyniesienie Cezara, a grożące powszechnemu pokojowi, nie zgadza się z celami i zadaniem Stolicy Apostolskiej; ale Aleksander VI nie zwracał na to uwagi i odtąd widział tylko jedyny cel swego działania, utworzenie dla syna udzielnego państwa we Włoszech. W bitwie pod Novarą dostał się Lodovico Moro do niewoli francuskiej, siła Sforzów w Medyolanie została złamaną, dwóch braci Katarzyny Sforzy schroniło się do niej, do Forli; trzymał się tylko Giovanni Sforza w Pesaro, którego papież zmusił przed czterema laty do rozwodu z Lukrecją Borgią. I ten jednak wkrótce uciekł ze swej siedziby, gdyż Cezar w porozumieniu z Francuzami wyruszył na zdobycie Romanii i Marchii, gdzie było najłatwiej dojść do celu, do utworzenia udzielnego państwa, rugując małych despotów, stanowiących pozostałość systemu feudalnego dawnego państwa kościelnego. Hrabiowie Romanii i Marchii, których jeszcze kardynał Albornoz w XIV wieku związał z Kościołem, uważali się z czasem prawie za udzielnych panujących, nie chcieli płacić danin Stolicy Apostolskiej; Borgie więc mieli dość powodów, aby ich wypędzić.

Pierwszą ofiarą zaborów w Romanii miała paść Katarzyna Sforza. Cezar »el fiol del papa« zaczął swoją wyprawę od oblężenia Imoli francuskim wojskiem, połączonem z zaciężnymi Szwajcarami. Jakiś zdrajca otworzył bramę nieprzyjacielowi i miasto bez wystrzału się poddało; ale kasztelan dowodzący w zamku, Naldi, pozostał wiernym Katarzynie, »nie chciał umierać jak zdrajca, wołał zginąć jak chrześcijanin i żołnierz«, a przygotowany na śmierć, przyjął już



ostatnie sakramenta. Bronił się zawzięcie, wielu Francuzów z najznakomitszych rodzin padło pod murami. Cezar obiecał swoim sprzymierzeńcom przechadzkę połączoną z rabunkiem, a tymczasem zastali oni twardego nieprzyjaciela i zawzięty opór. To ich zniechęciło, nie widzieli dalszego powodu ginąć za papieskiego syna. Nadeszły jednak nowe posiłki, kasztelan w Imoli musiał uleść przemocy; pozostała sama hrabina, która się zamknęła w twierdzy w Forli. Z nią niełatwa była sprawa; bohaterska kobieta przygotowała się wybornie do obrony i chciała okazać trwożliwym włoskim księżętom, jak się umiera z honorem. Pieśń ludowa romaniolska wyraża jej uczucia:

Ah! Italiani impauriti  
Io verrò, io stessa armata!  
Io vo' perder per bataglia  
E morire con honore,  
Ma 'l me dole ben d'Italia...!

Samo miasto Forli musiało się poddać, gdyż pozostali tam jedynie starcy i dzieci, większość ludności uciekła. Katarzyna kazała powiedzieć mieszkańcom: »Wiem, że się boicie jak zajęce; róbcie co chcecie, ja pozostanę w zamku i pokażę Francuzom, że we Włoszech nawet kobieta potrafi strzelać z bombardów«.

Valentino, jak Cezara od nadania księstwa Walencji zwano, rozpoczął oblężenie zamku 18 grudnia 1499; wojska zebrał tyle, że kapitanom hrabiny zdawało się, że wyglądają jak cztery muchy pod kamieniem młyńskim. Rozsądek nakazywał więc wejść w układy z nieprzyjacielem, Katarzyna kazała powiedzieć Cezarowi, że odda twierdzę, jeżeli jej pozwoli wyjść z całą załogą i jeżeli jej syn Oktawian zostanie kardynałem. Cezar na takie pakti nie przystał, więc dzielna kobieta oświadczyła, że pierwaj syn papieski zobaczy dyabła jadącego na koniu z księżycą, aniżeli ją proszącą o łaskę. Artyleria francuska zaczęła grać nie na żarty, a Valentino tam kierował pociski, gdzie spostrzeżono na murach hrabinę. Ale żadna kula jej nie dosięgła. Cezar się gniewał, że mu się kobieta opiera; posłał więc pod mury parlamen-



tarza i kazał Katarzynie powiedzieć, że nie chce nieszczęścia jej dzieci, że jeżeli się podda, gotów dać jej 4000 dukatów rocznego dochodu i pozwolić zamieszkać, gdzie jej się podoba. Hrabina odrzekła, że nad tego rodzaju przyrzeczeniami zastanowi się dopiero po nowych zbiorach (za sześć miesięcy), gdyż nie chce być niewolnicą Borgiów. Wtedy Cezar poprzecinał wodociągi, które dostarczały wody oblężonym i kopał tunele popod mury twierdzy, a zarazem użył pośrednictwa kardynała Rafaela Riaria, aby Sforzę skłonić do przyjęcia jego warunków. Hrabina się roześmiała, odpowiadając, że kardynał »jest tchórzem podszyty«, a na zamku kazała grać muzyce i pozwoliła tańczyć żołnierzom. Po tańcu załoga tak dobrze strzelała, że wojsko oblężnicze ogromne poniosło straty. Katarzyna miała nadzieję, że cesarz, przeciwny rozpanoszeniu się Francuzów we Włoszech, przysśle odsiecz i że wtedy Cezar będzie miał ważniejsze sprawy do załatwienia, aniżeli oblegać zamek w Forli. Ale nadzieje jej były płonne, a tymczasem Francuzi zaczęli dwunastego stycznia tak bić z dział w mury zamczyska, że po kilkugodzinnym bombardowaniu zrobili wyłom i niespodziewanie wdarli się do środka. Katarzyna widząc, że niema ratunku, kazała ogień podłożyć pod prochownię, aby się wraz z załogą wysadzić w powietrze; ale żołnierze nie posłuchali rozkazu i tylko kochanek hrabiny, Giovanni da Casale, »famoso per l'amore noto di quella madonna«, zapalił cztery wieże, aby w zamieszaniu ułatwić jej ucieczkę. Ale Francuzi opanowali tymczasem most zwodzony, walka zawrzała mordercza, wyjścia już nie było. Nieprzyjaciel uderzył kilka razy w trąby, Cezar chciał się z hrabiną rozmówić. Katarzyna ukazała się w oknie od strony tak zwanego Inferno, ponurej komnaty, przeznaczonej na tortury. Cezar nie zsiadając z konia, pokłonił się bardzo uprzejmie i błagał ją, żeby się już nie opierała, gdyż on nie może dłużej utrzymać w karności wojska łaknącego krwi i rabunku, i ochronić jej i jej otoczenia od niechybnej śmierci. Katarzyna miała krótko odpowiedzieć: »Książę, idę do ciebie«, ale w tej chwili chwycił ją już za ramię kapitan wojska francuskiego, mówiąc: »Jesteście więźniem mego pana, Bailli de Dijon«.



Cezar nie wiedział, że Francuzi już wpadli do zamku; spostrzegłszy więc, że hrabina uwięziona, cofnął się za mury, dopóki nie miał zupełnej pewności, że mu w zajętej twierdzy żadne niebezpieczeństwo nie grozi i wszedł do środka, gdy się jego wojsko tam zupełnie rozgospodarowało. Teraz zaczęły się targi pomiędzy nim a owym kapitanem, który pierwszy rękę swą na Katarzynę położył. Zdaje się, że Cezar obiecał temu, który ją żywą dostawi, 20.000 dukatów; gdy się jednak francuski kapitan zbliżył do Cezara, żądając zapłaty, Valentino chciał mu dać tylko dwa tysiące. Wtedy Francuz z wściekłością zaczął wyrzucać Cezarowi, że nie dotrzymuje danego słowa, porwał za miecz, aby Katarzynę na miejscu zamordować. Przytomni jednak temu zajściu rzucili się na kapitana i Borgia miał w swym ręku tygrysyce żywą. Ale zdobycz ta nie była zupełną; gdy bowiem francuski dowódca, Yves d'Alègre, nadszedł i zobaczył hrabinę, tak był zachwycony jej pięknnością i godnym zachowaniem się, że się stał odtąd jej obrońcą wobec Cezara. Katarzyna miała wówczas, 12 stycznia 1500, wprawdzie lat trzydzieści siedm, ale wszyscy współcześni zapewniają, że jeszcze prawie młodzieńczą jaśniała urodą.

Po trupach, po rozwalonych murach i kamieniach wyszła hrabina wieczorem z zamku, wsparta na ramieniu Cezara i d'Alègra. Zaprowadzono ją w towarzystwie dwóch wiernych służących i jednej z dam dworskich, Argentiny, do domu patrycyusza Numai, gdzie Cezar miał swoją kwaterę.

W tem zwycięstwie spotkał Cezara niemały zawód. Był on przekonany, że synowie Katarzyny są także w zamku i że jednym zamachem zniszczy cały ród Riariów; tymczasem przekonał się, że hrabina przewidując przyszłość, jeszcze przed oblężeniem Forli wyprawiła ich do Toskanii i tam ukryła pod opieką Florencyi. Cezar kipiał od gniewu; miał już pozwolenie od papieża na wymordowanie Riariów, cel więc jego wyprawy był do połowy chybiony. Zmienił też natychmiast swe postępowanie wobec hrabiny, z honorowego rycerza stał się od razu tem, czem był, hiszpańskim rozbójnikiem. Zamknął ją w swoim pokoju i obchodził się z nią, jak z niewolnicą. »Gdybym mogła wszystko opowie-



dzieć, pisała później Katarzyna, toby się cały świat oburzył na moich katów, na Borgiów«.

Nazajutrz powstała nowa walka o więźnia. Bailli z Dijon rościł sobie prawo do hrabiny, żądał jej wydania, albo okupu, tak wysokiego, że Borgia nie był w stanie go złożyć. Gdy więc Cezar chciał uprowadzić Katarzynę z Forli do Rzymu, Bailli zastąpił mu drogę ze swoim wojskiem i stanowczo oświadczył, że Sforza jest jeńcem Francyi. Valentino, widząc przemoc przed sobą, ustąpił, Katarzynę odprawiono do francuskiego obozu. Borgia zwrócił się natychmiast do głównodowodzącego d'Alègra, zaczęto radzić nad losami nieszczęśliwej, a Bailli stanowczo się upierał, że według praw francuskich nie wolno więzić kobiety, która się w wojnie dostała do niewoli i że Sforza stoi pod opieką króla francuskiego. Przyszło pomiędzy nim a Cezarem do gwałtownej sceny, tak że d'Alègre obawiając się krwawego zajścia, sprawę w ten sposób załatwił, że Cezar miał odprawić tymczasowo Katarzynę do Rzymu, ale nie jako więźnia, lecz jako poddaną króla francuskiego, który o jej losie rozstrzygnie.

Gdy się Katarzyna dowiedziała o tych targach i gdy ją znowu zaprowadzono do Valentina, nieustraszona dotąd kobieta po raz pierwszy w życiu zemdląła z przerażenia i straciła przytomność. Cezar kazał ukuć złote łańcuchy i jak starożytny bohater wprowadził ją w tryumfie do Rzymu, papież zaś przeznaczył jej na mieszkanie pokoje w Watykanie, w Belwederze, i dodał straż dwudziestu żołnierzy. Pomimo tej opieki zdołała Katarzyna porozumieć się z synami we Florencyi, którzy mieli jej ułatwić ucieczkę. Cezar jednak odkrył podstęp i uwięził hrabinę w castello S. Angelo, tam, gdzie ona przed laty dyktowała prawa kardynałom zgromadzonym przed wyborem Innocentego VIII.

Zdawało się teraz Borgiom, że od uwięzionej z łatwością wymuszą zrzeczenie się praw do Imoli i Forli na rzecz Cezara, a jak dalece im o to chodziło, dość powiedzieć, że jeszcze teraz obiecywali jej inne małe lenno i trzy tysiące dukatów rocznego dochodu, tudzież kapelusz kardynalski dla Oktawiana, który był już arcybiskupem pizańskim. Cezar



miał tym razem silnego sprzymierzeńca, samego Oktawiana, który nie myślał teraz ani o matce ani o uratowaniu Imoli i Forli, ale tylko o tem, aby zostać kardynałem. Drugi syn Katarzyny, Cezar, także chciał uzyskać jaką korzyść i skłaniał matkę do układów z Borgiami, obydwaj nawet napisali do niej list niegodny, który ją musiał więcej zboleć, niż utrata Forli. Synowie oświadczyli, że jeżeli matka nie zawrze z papieżem ugody, to niech się od nich żadnej nie spodziewa pomocy, gdyż obydwaj za mało ją kochają, aby z jej powodu zostać mieli ubogimi ludźmi; papież Aleksander VI jest sprawiedliwy, nie robi im krzywdy, a o matce nic więcej wiedzieć nie chcą. Borgie musieli się dowiedzieć o usposobieniu Riariów i zapewne byliby się pozbyli niewygodnego więźnia i kazali otruć Katarzynę, gdyby nie wzgląd na jej siostrę cesarzową i na Ludwika XII. Aby więc mieć powód wobec tych protektorów do wystąpienia przeciw uwięzionej, posądzili ją, jakoby knuła spisek, mający na celu otrucie papieża, i jakoby jeszcze przed oblężeniem Forli wysłała przez zaufanego sługę do papieża listy ukryte w lasce, tak nasycone jakąś tajemniczą trucizną, że gdyby je Aleksander był wziął do ręki, byłby z pewnością się otrul. Dla upośrowania zaś, że taki spisek został odkryty, kazał nawet papież odprawić nabożeństwo w S. Maria della Pace, dziękując Bogu, że go ochronił od trucizny nieprzyjaciół, *quod a veneno et insidiis inimicorum liberatus esset*. Na podstawie rzekomych zeznań współwinnych wytoczono proces Katarzynie, a papież kazał przesłuchiwać oskarżonych w swojej obecności. Obwiniona oświadczyła bardzo stanowczo, że cały proces jest kłamstwem, wymyślonem na to, aby ją zgubić, a gdy na tem oświadczeniu nie poprzestano, wpadła w gniew i zaczęła tak straszne zarzuty robić Borgiom i takie fakta opowiadać, że papież kazał przesłuchiwania podstawionych świadków zaprzestać i cały proces umorzyć.

Tymczasem stosunki polityczne pomiędzy Francją a Aleksandrem VI coraz się bardziej pogarszały (1502), zbrodnie Cezara oburzały nawet ówczesnych ludzi, przywykłych do miecza, sztyletu i trucizny, a Ludwik XII wyrażał się, że wojna przeciw Borgiom byłaby równie świętą, jak wyprawa



przeciw Turkom. Gdy Ludwik po raz wtóry ukazał się we Włoszech, potrafił go wprowadzić Cezar ułagodzić, ale nieporozumienia trwały dalej. Zdaje się, że zachowanie się Cezara wobec Katarzyny także obraziło króla, a jeszcze więcej dotknęło starego wodza d'Alègre, który dobre obchodzenie się z nią poręczył. Gdy też Yves d'Alègre stanął ze swem wojskiem pod Viterbo, porzucił jednego dnia obóz i z trzema tylko towarzyszami pojechał wprost do Rzymu i prosił papieża o posłuchanie. Papież i Cezar, który wówczas był w Watykanie, zdziwili się niemało, a osłupienie było tem większe, gdy żołnierz francuski żądał w sposób najenergiczniejszy uwolnienia Sforzy i zagroził, że jeżeli papież nie uczyni zadość temu żądaniu, to w kilku dniach cała armia francuska, stojąca w Viterbo, znajdzie się w Rzymie, aby pomścić honor Francyi. Cezar z razu sprzeciwiał się uwolnieniu uwięzionej; ale gdy widział, że d'Alègre rzeczywiście siłą zamierza poprzeć swe żądanie, zgodził się na otwarcie dla niej bramy zamku św. Anioła, pod warunkiem, że się zrzecze praw swych do Forli. Katarzyna zgodziła się na to żądanie, licząc na śmierć Aleksandra VI i przypuszczając, że potęga Cezara, równie jak i dawniejszych papieskich nepotów, długo trwać nie będzie. Kamerdyner Aleksandra VI, Troccio, wykonawca najtajniejszych jego zbrodni, »dyabeł w ludzkiej skórze«, jak mówi jeden ze współczesnych, odprowadził uwięzioną pod eskortą z zamku św. Anioła do domu kardynała Riaria, gdzie musiała podpisać dokument zrzeczenia się swych posiadłości, a zarazem zobowiązała się nie opuszczać Rzymu bez pozwolenia papieża, pod grzywną 25.000 dukatów.

Ten pobyt wolnej Katarzyny w stolicy papieństwa niepokoił wszakże Borgiów, Cezar wymyślił więc niebawem nowy plan, aby ją usunąć. Zamach na jej życie w Rzymie zanadto byłby obciążał Borgiów wobec króla francuskiego, łatwiej było zgładzić ją gdzieindziej. Otóż po kilka dniach od chwili wypuszczenia Sforzy z więzienia pozwolił jej papież wyjechać do dzieci do Florencyi i tam zamieszkać, a zarazem napisał do tamtejszej Signorii list, polecający »ukochaną córkę w Chrystusie, Katarzynę Sforzę«, aby ją



tam przyjęto i otoczono łaskawą opieką. Papież wyznaczył jej drogę do Florencyi przez Romanię, gdzie się Cezar o to postarał, aby jego siepacze przebrani za bandytów napadli ją i zamordowali. Ale Katarzyna zanadto dobrze знаła Borgiów, aby pójść w ich sieci; udając więc, że jedzie na Imolę, ukryła się czem prędzej, zapewne przebrana, w barce płynącej Tybrem do Ostyi, stamtąd morzem dostała się do Livorna, a następnie lądem do Florencyi. Tam oczekiwali ją już synowie i dwudziestotrzechletnia córka Bianka, która po matce odziedziczyła wielką urodę.

Gdy Lorenzo de' Medici dowiedział się o przyjeździe bratowej, powitał ją z należnymi honorami, zwrócił nawet część należącą się jej spuścizny po mężu, ale w rzeczywistości obecność Katarzyny była mu bardzo niemiłą. Natomiast wielka rada miejska, pamiętna zasług Popolana, nadała jej prawo obywatelstwa. Tak przyjacielskie przyjęcie we Florencyi nie podobało się Borgiom, Cezar otwarcie się wyrażał, że wielki błąd popełnił, uwalniając niebezpieczną kobietę z zamku św. Anioła.

## VI.

Ośmnastego sierpnia 1503 umarł papież Aleksander VI, a w Katarzynie odżyły nadzieje odzyskania Imoli i Forli; więzienie w zamku św. Anioła nie złamało jej energii. Już w miesiąc później pisała do jednego ze swych przyjaciół, że jak tylko jej stronnicy przygotują ludność, natychmiast wsiądzie na koń i odbierze to, co się jej i Riariom należy. Katarzyna ludziła się jednak, gdyż miasta Imola i Forli byłyby może w najgorszym razie oddały rządy Oktawianowi, ale matce nigdy. Obawiano się jej i nienawidzono z powodu dawniejszych twardych, nieraz okrutnych rządów. We Florentyńczykach miała wprawdzie sprzymierzeńców, chcieli oni bowiem jak najprędzej wyrzucić Imolę i Forli Cezarowi Borgii, ale z miejscową ludnością trzeba się było liczyć. Medyceusze, którzy najczęściej pieniędzmi odnosili polityczne korzyści, wpadli na myśl, aby przekupić kasztelana zamku



w Forli, oddanego Cezarowi, i obiecać mu zawsze jeszcze piękną Sforzę za żonę, jeżeli tylko wydrze Borgii ważne dla nich miasto. Katarzyna, żądna panowania, zgodziła się nawet na ten plan i kasztelan już się chwalił, że będzie jej mężem; ale projekty robiono bez najważniejszej wówczas osobistości, bez gospodarza we Włoszech, Juliusza II, a papież o Sforzy nawet słyszeć nie chciał. Jej nadzieje zatem odzyskania posiadłości Riariów spełzły na niczem, a co gorsza, spotkały ją bardzo ciężkie rodzinne zawody.

Katarzyna zamieszkała pod Florencją w willi Castello, która dawniej należała do jej męża, i zajęła się wychowaniem dzieci, mianowicie najmłodszego syna Giovanniego, zwanego później dalle Bande Nere, i córki Bianki. Ale Pier Francesco i Lorenzo de' Medici nie chcieli jej przyznać opieki nad Giovannim i nie pozwalali rozporządzać dochodami, do dziecka należącymi. Lorenzo miał zresztą ważne powody, aby tak postępować; będąc bowiem w ostatnich czasach w nader przykrych stosunkach pieniężnych, wydał znaczną część kapitałów, złożonych przez Popolana, na rzecz swego syna. Wskutek tych spraw majątkowych powstał pomiędzy Katarzyną a Medyceuszami bardzo zawzięty spór, a hrabina, podobnie jak dawniej przy posiadaniu zamku w Forli, tak obecnie upierała się całą siłą przy swych prawach do willi Castello, powtarzając, że pierwiej Medyceusze posiekają ją w kawałki, zanim willę odda. Nie znamy dobrze stosunków majątkowych, jakie zachodziły pomiędzy Katarzyną a jej synami, a mianowicie najstarszym Oktawianem; tyle wszakże wiemy, że te sprawy doprowadziły do bardzo przykrych dla matki nieporozumień i że synowie zabrali jej prawie cały majątek, a nadto wzięli ją niemal pod kuratelę, ustanawiając w jej domu jako rządcę czy gospodarza, jakiegoś Alberta, który tak zaczął znęcać się nad hrabiną, że to powszechne wywołało zgorszenie. Rozgoryczona Katarzyna pisała do Oktawiana, że ma dwadzieścia cztery gęb, pięć koni i trzy muły do wyżywienia, a nie posiada ani solda, że jej nikt nawet szklanki wody nie poda, że nie ma ani obrusa, ani serwety, ani prześcieradła, że w całym życiu nie była tak nieszczęśliwą jak teraz, i że jej nigdy tak nie



lekceważono; synowie powinni jej byli powiedzieć, że nie mają środków na jej utrzymanie, toby była poszukała jakich sposobów do życia, ale okrucieństwem było oddać ją pod rozkazy rządcy.

W tej ostateczności zastawiła w największej tajemnicy kosztowności, jakie jeszcze miała u bankiera Soderiniego, za 2464 dukatów i uciekła z willi Castello, zabierając z sobą małego Giovanniego i nie mówiąc nikomu, dokąd się udaje. Do tej ucieczki skłoniła ją głównie trwoga, aby Lorenzo de' Medici nie kazał otruć Giovanniego. Przetrwoniwszy bowiem znaczną część fortuny synowca, mógł się obawiać, że Giovanni, gdy dorośnie, upomni się o dokładne rachunki z zarządu majątkiem ojca, coby odkryło nieuczciwość stryja i wywołało wielkie oburzenie w całej Florencyi.

Jak się później okazało, schroniła się Katarzyna w żeńskim klasztorze w Annalena i stąd, zapewne z pomocą proboszcza Fortunatiego, który jedynie wiedział o jej miejscu pobytu, potrafiła zawrzeć polubowny układ z Medyceuszami, zapewniający jej znaczny dochód ze spuścizny po mężu. Teraz znowu Oktawian przypomniawszy sobie matkę, chciał ją wyzyskiwać i prosił o pieniądze i podarunki. Tytułarny arcybiskup pizański musiał zresztą w nadzwyczaj skromnych żyć warunkach, skoro w liście z 12 sierpnia 1507 błagał matkę, aby mu przysłała trochę pieniędzy, a przynajmniej sztukę kamlotu, aby sobie mógł sprawić przyzwoitą sutannę na przyjazd papieża i nie potrzebował się wstydzic innych prałatów. Licząc zawsze jeszcze na stosunki i wpływy Katarzyny, prosił także, aby mu wyrobiła za pośrednictwem cesarzowej siostry kapelusz kardynalski. Ten aspirant do purpury polecał nadto opiece matki swą nieslubną córkę Kornelię.

Podczas pobytu Katarzyny w klasztorze przebrany był mały Giovanni za dziewczynkę, gdyż tylko w takim stroju mogły go przyjąć zakonnice. Późniejszy więc bohater, walczący z nieprzyjaciółmi ojczyzny, którego posąg dzisiaj jeszcze oglądać można przed S. Lorenzo we Florencyi, spędził z ośm miesięcy pomiędzy zakonnicami, a tak im był później wdzięcznym, że go ukryły przed zasadzkami Lo-



renza de' Medici i życie mu uratowały, że im niejedno wyświadczył dobrodziejstwo.

W ośm miesięcy po ukryciu się Katarzyny w Annalena umarł Lorenzo, a skołatana ciężkimi losami kobieta nie potrzebowała już obawiać się o życie swego ukochanego Giannina i wróciła do willi Castello, gdzie się zupełnie oddała wychowaniu syna. W doborze nauczycieli nie była zresztą szczęśliwą, obchodziła się z nimi jak ze służącymi, więc nie łatwo jej było przywiązać do swego domu człowieka prawdziwie wykształconego. Wyszukiwaniem nauczycieli zajmował się przyjaciel, proboszcz Fortunati, który ostatecznie natrafił na jakiegoś przyzwoitego pedagoga, nazwiskiem Massaconiego; ale ów młodzieniec stawiał pewne warunki, chciał mieć osobny pokój, a nie jak wróbel żyć na gałęzi, słyszał bowiem, że hrabina obchodziła się z dawniejszymi nauczycielami w najgorszy sposób, kazała im jadać i spać ze służbą. Natomiast Katarzyna skarżyła się, że ci młodzi nauczyciele to same nicponie, z którymi sobie rady dać nie można. Ale też każdy pedagog miał z Gianninem niełatwą sprawę; chłopak uczyć się nie chciał, bawiła go tylko konna jazda, robienie bronią, pływanie, co znowu matkę nadzwyczaj cieszyło, czuła bowiem, że w nim płynie krew Sforzów i że z czasem syn jej wyrośnie na dzielnego wojownika. Nadzieje te nie zawiodły jej, chociaż sama nie doczekała się, aby widzieć Giannina na czele zwycięskich hufców. W kwietniu roku 1509 zachorowała śmiertelnie; kazała się przenieść do Florencji, gdzie dwaj lekarze tak ją zaczęli męczyć gorącymi kataplazmami, że ich za drzwi kazała wyrzucić, aby spokojnie umrzeć. Pozostał po niej bardzo szczegółowy testament, w którym oddawała wychowanie Giannina swym przyjacielom, księdzu Fortunatiemu i bankierowi Salviatemu, dopóki nie dojdzie do lat ośmnastu. Pochować kazała się w oratoryum klasztoru zakonnice S. Maria delle Murate we Florencji.

Umarła w poniedziałek 28 maja 1509, a lekarze sądzili, że powodem śmierci było »male de costa«; ponieważ jednak nie wszyscy zgadzali się na tę dyagnozę, więc zarządzono sekcję i przekonano się, że wątroba przyrosła do nerek.













Giovanni delle bande nere.

Według portretu w galerii w Turynie.  
Portret po raz pierwszy reprodukowany.







Młody Giovanni uczył się we Florencyi, gdzie stał się postrachem miasta. Szukał tylko burd ulicznych, nikt nie umiał okiełzać junaka, tak że gubernator miasta, Piero Soderini, musiał go skazać na wygnanie poza pierścień dwudziestu mil od Florencyi. Później wyrok ten został o tyle złagodzony, że Giovanniemu wolno było mieszkać w do-  
brach, które do niego należały. Leon X polubił awanturnika, zapłacił za niego długi i pozwolił przybyć do Rzymu. Ale Giovanni rozrzucał bez miary pieniądze i szukał tylko zaczepki, aby mógł młodzież wyzywać na pojedynki i bić się, gdzie się tylko zdarzyła sposobność. Raz przedarł się sam jeden przez most św. Anioła, pomimo że mostu broniło przeciw niemu dwustu żołnierzy Orsinich. W Watykanie sądzono, że Giovanni się uspokoi, gdy zostanie ojcem rodziny; ożeniono go zatem z córką jego opiekuna, Maryą de Salviati, ale w burzliwym synu Katarzyny Sforzy nie było materiału na poważnego patryarchę. W roku 1519 miał syna, ale w oryginalny sposób pojmował jego wychowanie. Gdy razu pewnego powrócił do Florencyi, a żona wzięła na ręce owego jednorocznego dzieciaka i wyszła z nim do okna, aby męża powitać, Giovanni będąc w zbroi, stanął pod oknem na ulicy, rozłożył ramiona i zawołał do swej Maryi: »Rzuć go«. Żona struchlała, ale obawiając się gniewu męża, zrzuciła dziecko z pierwszego piętra, a Giovanni zręcznie schwycił malca, któremu się nic złego nie stało.

Giovanni zapisał się świetnie na kartach dziejów włoskich, ale niestety żył dla ojczyzny za krótko. W roku 1526 starał się wraz z księciem Urbinu powstrzymać koło Mantuy pochód czterestu tysięcy Niemców, którzy pod wodzą generała Frundsberga szli do Rzymu. Medici uderzył na Niemców i cztery tysiące trupem położył; w chwili jednak, kiedy zwycięstwo prawie było pewne, kula nieprzyjacielska strzaskała mu kolano. Dwadzieścia godzin leżał nieopatrzonej; wreszcie zaniesiono go do Mantuy, gdzie lekarze uznali, że trzeba nogę odjąć. Pomimo strasznych bólów nie kazał się ani trzymać ani przywiązać podczas operacji, ale przypatrywał się spokojnie, jak go męczono, zapytał się tylko chirurga, czy można być dwa razy w życiu za jeden grzech



karanym, a gdy mu odpowiedziano, że nie, uśmiechnął się i powiedział, iż jest pewnym, że teraz odpokutował za wszystko, co zawinił. Odcięcie nogi na nic się nie przydało, rzucała się gangrena i chory zmarł po wielkich cierpieniach. Aretino, z którym Giovanni w wielkiej był przyjaźni, pielęgnował go i kazał Giuliowi Romanowi zdjąć jego maskę pośmiertną. Tycyan wymalował według tej maski swój świetny portret Giovanniego, znajdujący się dzisiaj we florentyńskiej galerii. Portret Giovanniego z lat młodszych, o którym historycy widocznie zapomnieli, istnieje w galerii królewskiej w Turynie, a ponieważ należy do najlepszych podobizn dzielnego wodza, więc go tutaj załączamy w reprodukcji, zdjętej po raz pierwszy.

Po śmierci Leona X zmieniło wojsko, które pod Giovannim służyło, swe białe sztandary na czarne chorągwie, wskutek czego nazwano go Giovannim dalle Bande Nere. Syna jego, Cosima, owego dzieciaka, zrzuconego w ramiona ojca z pierwszego piętra, wybrali później Florentyńczycy swym panującym, papież Pius V nadał mu tytuł wielkiego księcia Toskanii, a jego następcy panowali we Florencji do roku 1737. Przez nich przeszła krew Katarzyny Sforzy w żyły najcelniejszych rodów panujących w Europie.

Katarzyna Sforza była jedną z najwybitniejszych kobiet, żyjących na przełomie średnich wieków i czasów Odrodzenia, ale należała raczej do dawnej, aniżeli do nowej epoki.

Główną cechą jej charakteru była żądza władzy, żądza okazania swej wrodzonej siły. Dumna z tego, że należała do dzielnego rodu Sforzów, pełna energii i wytrwałości, zdolna każdej chwili do bohaterskich czynów, była córką swej epoki i chcąc jakiś cel osiągnąć, nie wahała się użyć wszelkich, choćby zbrodniczych środków, jakie ówczesna polityka miała w zapasie. Namiętności, rozpierające jej duszę, wyrwały ją co chwilę z utartych torów życia wielkiej pani i górowały nad jej czynnościami, »za swych kochanków byłaby chętnie



dyabłu duszę poświęciła», »avrebbe dato volontieri l'anima al diavolo«, mówi jeden z dawniejszych pisarzy. Nie zapomnijmy, że Katarzyna była dzieckiem miłości i że ojciec jej, Galeazzo Maria, miał lat ośmnaście, gdy mu ją powiła Lucrezia Landriani.

Katarzyna żyje do dziś dnia w legendzie i w poezji. Pomiędzy ludem Romanii pełno o niej opowieści. W Piancaldoli ukazuje się Sforza w Boże Narodzenie o północy w starej zamkowej wieży: piękna, ale straszna, z lancą w rękę, rozniecająca wokoło pożary. W Riolo błędzą dotąd postacie nieszczęśliwych, których straszna pani zaprosiła do zamku, aby ich strącić w przepaść zapomocą ruchomych drzwi w podłodze, zapadających się pod stopami. W Bubano wystawiła zamek w przeciągu jednej nocy, gdyż szatan był jej budowniczym. W oknach tej twierdzy widać ją nieraz podczas pełni, jak wzrok zagłębia w gwiazdach i bada przyszłe swe losy.

Inaczej, prawdziwiej występuje ona we francuskich tradycjach. Rycerski naród był zachwycony jej dzielnością podczas oblężenia Forli. Kroniki francuskie, pisane około r. 1500, wspominają o niej jako o podziwieniu godnej bohaterce. Ludwik XII kazał w r. 1503 ułać wielką armatę, którą na cześć Sforzy nazwał »Madame de Fourly«.

Wreszcie w poezji włoskiej wywołała pamięć Katarzyny dwie przepyszne postacie rycerskich kobiet: Bradamanty w »Rolandzie szalonym« Ariosta i Kloryndy w »Jerozolimie« Tassa. Gdyby tygrysica z Forli nie miała innej zasługi, jak tylko tę, że stała się wzorem do powyższych typów, jużby winy swe hojnie okupiła.

Dzieje Odrodzenia włoskiego opowiadają jeszcze o innej, wojowniczością do Katarzyny Sforzy podobnej kobiecie, o Hipolicie Fioramonda, markizie di Scaldasole, o której Castiglione raz pisał, że była »valente donna nell' armi«.

Autentycznych podobizn Katarzyny na współczesnych medalach jest kilka, ale te odbicia przedstawiają bohaterkę z Forli już w dojrzałym wieku, o rozwiniętej tuszy, silnych rysach twarzy i charakterystycznym, dużym, ale pięknym nosie, będącym cechą rodziny Sforzów. Młodzieńczą



Katarzynę zachował nam według wszelkiego podobieństwa do prawdy <sup>1)</sup> portret pędzla Piera di Cosimo, znajdujący się w muzeum w Altenburgu w Niemczech. Portret ten był, jak się zdaje, malowany w pierwszej połowie r. 1481 w Rzymie, kiedy Katarzyna liczyła dopiero lat siedmnaście, a miała już troje dzieci.

<sup>1)</sup> Gottschewski Adolf: Über die Porträts der Catherina Sforza Strassburg 1908.



## ROZDZIAŁ PIĄTY.

### OTOCZENIE JULIUSZA II.

#### I.

Mamy dwa portrety Juliusza II, charakteryzujące go wybornie w dwóch epokach życia: w młodości, za Sykstusa IV i z czasu, kiedy jako starzec szedł z właściwą sobie furją oblegać Mirandolę. Pierwszy portret zachował się w Watykanie w słynnym fresku Melozza da Forli, przedstawiającym Sykstusa IV, jak mu Platina w obecności nepotów przedkłada akt fundacyi biblioteki papieskiej. Giuliano della Rovere stoi tam na boku, albowiem papież najmniej go lubił z nepotów; wysoki, silny, o mądrym, ale prawie brutalnym wyrazie twarzy, w której znać siłę woli, upór i zawziętość, a przytem zmysłowych instynktów niemało. Oko przenikliwe, czoło niezbyt wysokie, za wczesnie pomarszczone, broda i dolna szczęka mocno osadzona. Patrzącemu się na tę postać mimowoli przypomina się powiedzenie Ludwika XII o Juliuszu II, że to chłop, za którym trzeba iść z kijem. Ale do tych słów królewskich wypadaloby dodać, że to chłop tak potężny, że jak się odwróci, to i kij połamie i złośliwego króla może poturbować.

Drugi portret podał Klaczko w swoim dziele o Juliuszu II według obrazu, przechowanego w pałacu Bruschi



w Corneto. Taki sam portret znajduje się wszakże i w salo-  
nach księcia Chigiego w Rzymie, a widocznie artysta oddał  
w nim tak dobrze ówczesną postać papieża, że sobie kopie  
zamawiano. Juliusz wygląda tam jak kondotyer o twardym  
wyrazie twarzy i ciemnem przenikliwem spojrzeniu, »stary  
lew o białej grzywie«, ale na pierwszy rzut oka poznać  
można, że mamy przed sobą tę samą osobistość, którą wi-  
dzieliśmy młodszą na fresku Melozza. Najlepszy to dowód,  
że obydwaj portrety były podobne do charakterystycznego  
oryginału. Podobizny te zresztą najzupełniej się zgadzają  
z tem, co wiemy o Juliuszu, a wiemy o nim dość dużo.

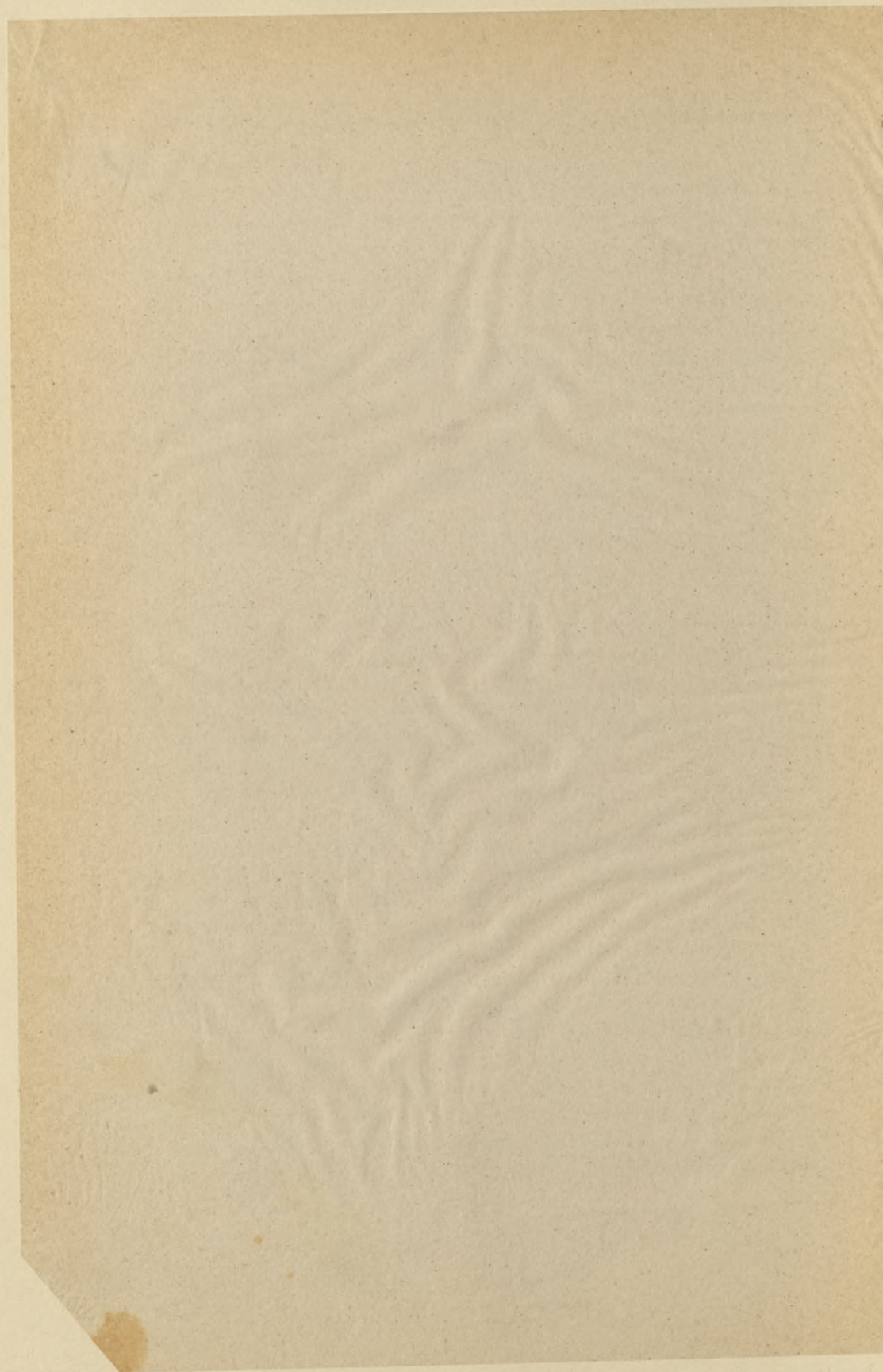
Za czasów swego stryja uchodził kardynał Giuliano, ja-  
keśmy wspomnieli, za człowieka podstępnego, chciwego,  
o nieokiełznanej ambicyi, wskutek czego papież nie bardzo  
mu ufał i powierzał tylko takie dyplomatyczne sprawy, które  
mniejszej były wagi; do spisku na życie Medicich go nie  
wciągnął. Pod następcą Sykstusa IV, Innocentym VIII, po-  
trafił Giuliano zaraz dojść do wielkiego wpływu. Wyniósł  
on, rzecz można, Innocentego na tron papieski: tak zręcznie  
zyskiwał mu głosy w conclave. Wiedział zresztą, co czynił,  
był to bowiem dla niego najwygodniejszy papież, ulegał  
łatwo wpływom swego otoczenia, a zresztą pochodził z Ge-  
nuy, z Liguryi, co także ich wiązało.

Giuliano tak dalece stał się papieżowi niezbędnym, że  
Innocenty kazał mu się sprowadzić do Watykanu, aby móżdż  
każdej chwili zasięgać jego rady. Nazywano nawet kardyna-  
ła drugim papieżem. Później stosunek Giuliana do Inno-  
centego trochę się oziębił, ale zawsze nie był nieprzyjaznym.  
Dopiero pod Borgiami nastąpiły ciężkie czasy dla Rovera, na-  
leżał on bowiem do tych pięciu kardynałów, którzy przy  
wyborze Aleksandra VI głosowali przeciw Hiszpanowi. Stąd  
nienawiść Borgiów. Rozumny Giuliano nie czekał też na  
zemstę, lecz się cofnął do swojej Ostyi, gdzie w pobliżu mo-  
rza mógł każdej chwili udać się do Francyi. Jako jeden  
z najbogatszych kardynałów miał dość środków ku temu,  
aby Ostyę ufortyfikować, a nawet utrzymywać mały oddział  
wojska ku własnej obronie. Wiedząc, czego się od Borgiów  
może spodziewać, zaczął się łączyć z ich nieprzyjaciółmi,

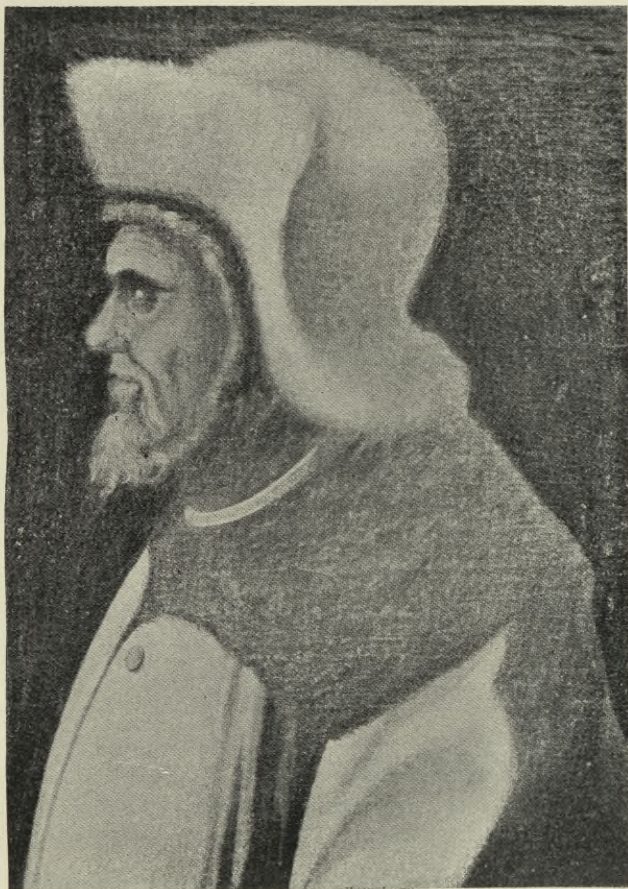












**Juliusz II.**

Według portretu w pałacu ks. Chigich w Rzymie.

Do str. 218.







z Orsinimi, a gdy mimo to nie czuł się bezpiecznym we Włoszech, uciekł 23 kwietnia 1494 do Francji, najprzód do swego biskupstwa w Avignonie, a następnie na dwór Karola VIII. Układał śmiało plany zemsty, w porozumieniu z Ludwikiem Morem z Medyolanu zamierzał sprowadzić króla francuskiego z wielką armią do Włoch i detronizować Aleksandra VI. Przez jakiś czas stał się też głównym doradcą króla i byłby Aleksandra zrzucił ze Stolicy Apostolskiej, gdyby nie miał do czynienia z monarchą słabym, bez energii, bez ustalonego planu w działaniu. Cała wyprawa Karola VIII do Włoch spełza wskutek niedołęstwa króla na niczem; Aleksander VI panował dalej, kardynał Giuliano nie mógł wracać do ojczyzny i przez lat siedm musiał bawić prawie bezczynnie we Francji. Wkońcu za wiele mu było tego spokoju, zwłaszcza że Borgie coraz się bardziej wzmacniali, a Aleksander VI groził krnąbrnemu kardynałowi, że mu odbierze wszystkie beneficya. To przstraszyło Giuliana; zaczął się więc z papieżem układać, a ponieważ na dworze francuskim miał wielkie wpływy, więc go i papież potrzebował. Interesa się znalazły: Aleksander chciał Cezara ożenić z jaką francuską księżniczką, a zarazem z pomocą Ludwika XII stworzyć w północnych Włoszech księstwo dla nepota, okrawując ziemie medyolańskie. W tych intrygach i układach stał się Giuliano mężem zaufania Borgiów i króla francuskiego. Wynikiem tego pośrednictwa było, że Ludwik XII oddał Cezarowi w lenno hrabstwo Valentinois i odznaczył go książęcym tytułem. Serdeczne węzły pomiędzy Borgiami i kardynałem tak się zacieśniły, że młodego syna prefekta Rovera zaręczono z siostrzenicą papieską, Angelą Borgią. Ale ta przyjaźń trwała niedługo, a główną przyczyną oziębienia świeżo zawiązanych stosunków był ów komin w Watykanie, który spadł na Aleksandra i o mało go w gruzach nie zagrzebał. Rozniosła się wtedy pogłoska po Włoszech, że Aleksander VI jest śmiertelnie chory, i natychmiast zaczęto myśleć o wyborze nowego papieża. Ludwik XII wysłał nawet rozkaz do swego wojska w Medyolanie, aby ruszyło na Rzym i wymusiło wybór Giuliana Rovera na papieża, a poseł królewski w Wenecji przedłożył Signorii pismo, objawiające jej ży-



czenie Ludwika XII, aby kardynał San Pietro in Vinculis otrzymał tyarę.

Tymczasem Aleksander wyzdrowiał i jeszcze większą nienawiścią zapalał do swego rywala; owe zaręczyny pomiędzy Angielą Borgią a młodym Roverem zostały zerwane, a kardynał zaczął się obawiać, że go papież każe otruć albo zamordować. Miał zresztą dobre przeczucie. Dwa razy w roku 1502 nastawał Aleksander VI na jego życie; najprzód w maju wysłał za nim szajkę oprawców do Genui, aby go tam schwytali, a gdy się ten zamach nie udał, urządził na niego zręcznie obmyślaną zasadzkę. Aleksandrowi VI spieszyło się dostać kardynała w ręce; w kilka tygodni po nieudaniu się pierwszego planu, wypłynęła do Savony papieska galera, na której znajdował się kardynał d'Albret, szwagier Cezara Borgii, i monsignor Francesco Troccio, szambelan papieski, wtajemniczony we wszystkie zbrodnie Aleksandra VI. Ci dygnitarze zabrali ze sobą dwie piękne rzymskie kurtyzany na ponętę, a przybywszy do portu w Savonie, zaprosili bawiącego tam wówczas Giuliana na bankiet na okręcie, aby go uwięzić i do Rzymu z nim popłynąć. Ale kardynał znał za nadto Borgiów, aby się dać złapać w zastawione sidła; nie poszedł na okręt i od tej chwili miał się jeszcze bardziej na ostrożności, znikł też bez śladu, aby Borgie nie dowiedzieli się o miejscu jego pobytu. Umiał się tak dobrze ukryć, że nawet rada dziesięciu w Wenecyi, która miała po całym świecie wybornie rozgałęzioną policję i chciała dociec, gdzie kardynał Rovere przebywa, nie mogła się w tej mierze nic pewnego dowiedzieć.

Aleksander VI widząc, że Giuliana do rąk nie dostanie, postanowił Roverom dobra konfiskować i zaczął od Sinigalii, gdzie mieszkała wdowa po prefekcie, bracie kardynała. Ale śmierć papieża (18 sierpnia 1503) przerwała wszystkie te zamiary. Rovere wyszedł ze swego ukrycia i czem pręcej udał się do Rzymu na conclave. Kardynałowie nie mogli się zgodzić na następcę Aleksandra, więc wybrali starego i schorowanego. Był nim Pius III Piccolomini, który nie zawiódł oczekiwań swych wyborców, gdyż umarł po 26 dniach panowania.



Teraz przypadła kolej na Rovera. Zręczny i bogaty kardynał ułożył się najprzód z Cezarem Borgia, który rozporządzał głosami hiszpańskich kardynałów; obiecał mu, że go zamianuje dowódcą papieskiej armii i że ożeni syna prefekta, Giovanniego Rovera, z małą córką Cezara. Z kardynałami zawarł formalne kontrakty na tysiące i dziesiątki tysięcy dukatów; to też conclave trwało tylko sześć godzin i z niego już bez trudności wyszedł jako papież Juliusz II Rovere (31 października 1503). Z kontraktów skorzystali tylko kardynałowie, gdyż otrzymali gotówkę; Cezara Borgia umiał bowiem papież niebawem usunąć na zawsze z Rzymu, a umówione małżeństwo córki Cezara nie przyszło do skutku.

Juliusz miał lat sześćdziesiąt, gdy wstąpił na tron papieski, ale siły go nie opuszczały, choleryczny tylko jego temperament z wiekiem się zaostrzał; papież często wybuchał gniewem, stawał się coraz bardziej despotycznym i nie znosił przeciwnego zdania. Czasami zapytywał zaufanych o opinię w ważnych sprawach, ale nigdy nie postąpił według ich rady, lecz według własnego zdania. Gdy Erazm Rotterdamski bawił w Rzymie, prosił go kardynał Rafael Riario imieniem papieża, aby napisał memoriał o projekcie wojny z Wenecją, o której Juliusz wtedy myślał. Erazm ułożył długie pismo, w którym występował z całą stanowczością przeciw wojnie. To się papieżowi nie podobało, albowiem chciał wojny; więc zamiast uznać pracę Erazma, którą sam spowodował, kazał mu powiedzieć, aby się nie mieszał w sprawy panujących, bo to nie jego rzecz. Mimo to ulegał często wpływowi swych blizkich, jak zapewnia jeden z weneckich posłów, dworzanie bowiem, znając jego słabość, że o wszystkim samowolnie chce postanawiać, tak zręcznie podsuwali mu nieraz swe myśli, że je za swoje uważał.

Dla otoczenia bywał Juliusz bardzo przykry. Osobliwie w ostatnich latach życia co chwilę się unosił, a najmniejszy powód wystarczał, aby go rozdrażnić. Raz o piątej zrana, a było to w zimie r. 1512, ktoś szedł korytarzem w pobliżu sypialnego pokoju papieża i nucił półgłosem piosenkę, zaczynającą się od słów »O mia cieca e dura sorte«. Juliusz



myślał, że to przymówka do jego ówczesnych niepowodzeń politycznych; zerwał się więc z łóżka, chciał z łaską pobiedz za mniemanym śmiałkiem i dopiero jakiś dworzanin go uspokoił, prosząc: »Ojczy święty, idźcie do łóżka, to jakiś stary próbuje głosu, czy ma jeszcze przyjemny«. Papież się roześmiał i poszedł dalej drzemać. Innym razem prałat z Medyolanu, Angelo da Milano, miał jakąś prośbę do papieża, a zobaczywszy go przypadkowo chodzącego po ogrodzie belwederskim, uklęknął z daleka i zaczął wołać: »Ojczy święty, polecam się waszej łasce«, myśląc, że papież się zbliży i jego prośby wysłucha. Ale się zawiódł, bo Juliusza tak rozgniewało to śmieszne zachowanie się petenta, że krzyczał na służbę, żeby wypędziła tego »furfantona, cerretana, poltronazza«. A papież rozporządzał w razie potrzeby nie-małym zasobem słów podobnych.

Jeszcze inną zabawną w tym rodzaju anegdotę opowiadają o Juliuszu. Siedmnastego grudnia r. 1512 powstał ogień w sypialni papieskiej właśnie w chwili, kiedy Juliusz II leżąc jeszcze w łóżku, rozmawiał z ambasadorem weneckim. Papież pierwszy spostrzegł tlejący się sufit, wyskoczył z łóżka wołając o pomoc »ajutati, ajutati!« Służba w przedpokoju myśląc, że Wenecyanin chce udusić papieża, straciła głowę i posłała po gwardyę szwajcarską. Papież zniecierpliwiony, że nikt nie przychodzi, wybiegł z kijem do antykamery i zaczął nim okładać, kogo tylko spotkał. Szczęściem znalazł się poseł cesarski, Alberto da Carpi, i jeden z delegatów parmeńskich, którzy zaczęli zaklinać papieża, aby się uspokoił; jeżeli bowiem wszystkich porozpędza, to nikt ognia nie ugasi. Ta uwaga ułagodziła Juliusza i z tą samą energią, z jaką służbę wyganiał, zwoływał ją do gaszenia pożaru.

W chwili dobrego humoru umiał być Juliusz II jowialnym. I tak gdy raz biskup z Cerwii przymawiał się o zamianowanie go gubernatorem jakiegoś miasta, a na poparcie niejako swej prośby dodał, że już w całym pałacu mówią o tej nominacyi, Juliusz szybko odpowiedział: »Nie wierz temu: kłamia, ani słowa prawdy niema w tych gadaninach«. Innym razem prosił Proto di Luca, błazen watykański, papieża, aby mu nadał biskupstwo w Cagli, koło Urbino, po



prałacie, który właśnie umarł. »A czy wiesz, zapytał go Juliusz, co znaczy po hiszpańsku caglio?« — »Nie wiem, Ojczy święty«, odrzekł błazen. »A więc znaczy: milcz, a ponieważ jesteś gadułą, więc nie mógłbym cię zamianować na posadę, na której trzeba milczeć«.

Juliusz nigdy nie był drobiazgowym, wszystkie jego plany, jego zamiary nosiły cechę potęgi, wielkości; na śmiertelnym łożu, w gorączce, jeszcze rozprawiał o śmiałych projektach, a z tą wielkością duszy łączyła się rzadka u ludzi renesansowych zaleta, brak mściwości. Zdobycie Mirandoli, jak później zobaczymy, dużo go kosztowało mozołu, kosztów i niebezpieczeństw, ale mimo to nie zemścił się na wdowie po Trivulziu, która się tam dzielnie broniła, lecz pozwolił jej spokojnie wyjechać. Również zarzucić mu nie można okrucieństwa w charakterze, nie wtrącał ludzi do więzy bez koniecznej potrzeby, nie męczył uwięzionych, jak Borgia i wielu jego poprzedników, w lochach zamku św. Anioła; był naturą gwałtowną, ale rozum panował zawsze nad jego czynami i Juliusz nie robił więcej złego, niż jego polityczne zamiary wymagały.

Aby wykonać swe na szeroki rozmiar zakrojone plany, a przedewszystkiem ugruntować państwo papieskie na silnych podstawach, zaczął wcześniej zbierać wielkie skarby. Posądzano go o skąpstwo; ale skąpym, rozkochanym w złocie nie był, uważał tylko pieniądź za podstawę wszelakich czynności. Jeden z korespondentów margrabiny Izabelli z Mantui donosił swej pani, że papież kazał sobie przynieść dwie tyary i z lubością przypatrywał się drogim kamieniom. Nie było to wszakże zamiłowanie do klejnotów, jakie w wysokim stopniu cechowało Pawła II i Leona X, lecz po prostu Juliusz przypatrywał się uważnie tyarom, ponieważ miał je naza jutrz zastawić u bankiera Chigiego. Zbieranie skarbów było u niego tylko politycznym celem, a doprowadził w tej mierze do mistrzostwa i żaden papież ani przed nim ani po nim nie pozostawił po sobie takich majątków. Głównymi źródłami dochodów Juliusza było sprzedawanie beneficjów, dziedziczenie po zmarłych prałatach i podatki, nakładane na północne kraje. W roku 1511 przechowywał papież, jak do-



nosił poseł wenecki swej Signorii, około 200.000 dukatów, których nie chciał za nic w świecie naruszyć, a po śmierci Juliusza znalazło się w zamku św. Aniola o wiele więcej. Alberto Pio da Carpi pisał do cesarza Maksymiliana, że papież pozostawił 213.000 dukatów w gotówce, cztery tyary sadzone drogimi kamieniami, tudzież złotych i srebrnych naczyń w wartości 50.000 dukatów.

Kilku historyków podnosiło, że Juliusz II zawdzięczał swoje powodzenie wielkiemu szczęściu, które go prawie nigdy nie odstępowało. Zaprzeczyć się nie da, że zamiarom Juliusza sprzyjały wielokrotnie okoliczności, ale dodać trzeba, że papież umiał tem szczęściem kierować, że szybkimi postanowieniami, nadzwyczajnem doświadczeniem dyplomatycznym i energią przywiązywał Fortunę do swego rydwanu. Rozum, doświadczenie i pieniądz były tajemnicą jego powodzeń.

## II.

Z całej rodziny był Juliusz II najbardziej przywiązany do swej siostry Luchiny, która z pierwszego męża, Gianfranceska Franciotto, mieszczanina z Lukki, miała dwóch synów, Galeotta i Niccola. Luchina mieszkała w chwili, kiedy jej brat został papieżem, w Savonie, a przy niej bawiła nieślubna córka Juliusza, Felicya. Papież miał trzy córki z jakiejś signory Lukrecyi, która później wyszła za mąż za Bernarda de Cuppis de Montefalco. Z dwóch młodszych córek Juliusza, Klarysa wyszła za jakiegoś Cristofora del Bufalo, o Giulii zaś nie mamy żadnej wiadomości.

Miłość ku siostrze przeniósł Juliusz II jeszcze jako kardynał na jej najstarszego syna i dopomógł mu do szybkiego posuwania się w kościelnej hierarchii, tak że Galeotto był już biskupem w Luce, kiedy wuj jego został papieżem. Ponieważ zaś nazwisko ojcowskie Franciotto nie było tak chlubne, jak nazwisko matczynej rodziny, więc Galeotto, równie jak i jego brat młodszy Niccolo, pisali się zawsze Rovere.

We dwa miesiące po wstąpieniu na tron mianował Juliusz II kilku kardynałów, a pomiędzy nimi i Galeotta, któ-



remu oddał kościół tytularny Roverów w Rzymie, S. Pietro in Vincoli. Nominacya ta nie przyniosła papieżowi krzywdy; Galeotto stał się wprawdzie uprzywilejowanym nepotem, którego Juliusz obsypywał najbogatszymi beneficjami, ale kardynał umiał swe olbrzymie dochody obracać na szlachetne cele, czynił w Rzymie dużo dobrego, wspierał literatów i artystów i niebawem stał się najpopularniejszą osobistością w mieście. Galeotto miał także poetyczne porywy, pisał sonety, które jako pochodzące od tak wysoko postawionej osobistości krążyły w Rzymie w odpisach. Marco Dandolo, poseł francuski przy rzeczypospolitej weneckiej, wyrażał się o nim, że bardzo miłym jest człowiekiem i źrenicą w oku papieża, »la pupilla di l'occhio di Sua Santità«. Papież mianował go też wkrótce wicekanclerzem Stolicy Apostolskiej i przeznaczył mu na mieszkanie pałac Kancellaryi, którego budowa za Aleksandra VI ukończoną została. Galeotto żył w wielkiej przyjaźni z kardynałem Medicim, późniejszym Leonem X, łączyły ich te same zamiłowania do literatury i sztuki, umarł w młodym jeszcze wieku, 11 września 1508.

Mniej szczęśliwe były promocye dwóch innych krewnych, mianowicie Klemensa i Leonarda Grosso-Roverów, którym papież także w początkach swego panowania nadał kardynalskie godności. Do blizkich papieża należał jeszcze synowiec Girolama Riaria, Rafael, którego zawsze nazywano kardynałem Sancti Georgii, ponieważ jego tytularnym kościołem był kościół San Giorgio in Velabro. Mieszkał on także w Kancellaryi i był jednym z najbardziej wykształconych członków świętego Kollegium. Wielbiciel sztuk i starożytnych zabytków, gromadził około siebie towarzystwo literatów i poetów i pozwalał Pomponiuszowi Laetusowi, aby w jego salonach przedstawiał rzymskie komedye.

Najważniejsza jednak osobistość z rodziny Roverów bawiła jeszcze w Paryżu. Był to trzynastoletni Francesco Maria, syn Giovanniego Rovere, pana na Sinigaglii, i Joanny z Montefeltrów, siostry Guidobalda, księcia Urbinu. Jako mały jeszcze chłopak miał Francesco Maria w rodzicielskim domu nauczyciela fra Grazię, zakonnika ascetę, nadzwyczaj surowych obyczajów, co zupełnie nie odpowiadało żywemu uspo-



sobieniu dziecka. Mentor chciał z chłopaka zrobić świętego, a nie mogąc do tego doprowadzić, wszczepił w niego fałszywą bigoteryę, która później była charakterystyczną cechą Franciszka. Nosił on na sobie szkaplerze i różańce, w sypialnej komnacie miał mnóstwo świętych obrazów i relikwii, co wszakże nie przeszkadzało, że był, jak później zobaczymy, okrutnikiem i zawziętym w wendecie. Jak tylko wyrósł z lat chłopięcych, oddali go rodzice na dwór francuski, aby się tam kształcił i uprawiał w wojenne rzemiosło. Szkoła musiała być dobra, bo za towarzysza nauki miał Gastona de Foix, bohatera z bitwy pod Rawenną.

Otóż co do Franciszka Maryi miał papież daleko sięgające zamiary. Kazał mu też przybyć do Rzymu i zamianował natychmiast trzynastoletniego młodzieniaszka prefektem Rzymu. Papież życzył sobie, aby bezdzietny Guidobaldo adoptował Francesca i zapewnił mu następstwo na tronie księstwa Urbinackiego. Ponieważ zaś Juliusz II każdą myśl wykonywał szybko i nie cierpiał zwłoki, więc mimo iż kardynałowie sprzeciwiali się temu zamiarowi, rzecz w kilka miesięcy była skończona. Guidobaldo adoptował Franciszka Marię Rovera 10 maja r. 1504.

Pierwszy wielki zjazd Roverów w Rzymie odbył się 11 czerwca 1504, przybyła nawet Luchina z Felicją. Felice jaśniała pięknnością, była wysoka, smukła, bardzo wykształcona, miła w obejściu, a powszechnie podnoszono jej odwagę i roztropność. Otaczała ją już zajmująca legenda. W czasie swego pobytu w Rzymie za Borgiów musiała swą urodą zwrócić uwagę Cezara, a obawiając się jego niebezpiecznych zalotów, opuściła miasto i udała się morzem do Savony, do ciotki. Ale w drodze spostrzegła, że jakieś galery zdają się gonić statek, na którym się znajdowała. Gdy poznała galery papieskie, postanowiła rzucić się do morza, aby nie wpaść w ręce hiszpańskiego rozpustnika. Szczęściem jednak statek zdołał uciec przed galerami i Felice nie potrzebowała ginąć tragiczną śmiercią. Imię jej już było na ustach Rzymian, a Giovan Filoteo Achillini, literat, którego poemat »Viridario« miał pewien rozgłos, dał swemu dziełu w roku 1504 jako przedmowę rodzaj polecenia na drogę,



aby szło do Rzymu i tam przed innymi pozdrowiło piękną Felicyę:

Dapoi che lieto avrai parlato alquanto  
l'alta Felice, il cui stile appregiato  
merita tanta laude et onor tanto,  
saluta, e se un »ben venga« sol ti dica,  
con sua felicità sarai felice.

Wraz z Luchiną przybyła także matka Franceska Maryi, Joanna, którą pospolicie zwano prefetessą, ponieważ jakśmy wspomnieli, mąż jej piastował za Sykstusa IV godność prefekta Rzymu. Giovanna była rozumna, pobożna, ale *hic mulier*, nieustraszona, rozumiejąca się wybornie na rządach. Miała ona trochę podobieństwa z Katarzyną Sforzą; przed Cezarem Borgia zamknęła się w zamku w Sinigaglii, nie dała mu się schwycić, lecz przebrana za mnicha, zdołała się uratować ucieczką.

Wszystkie krewne papieża, przybywszy do Rzymu, nie zamieszkały w Watykanie, lecz w pałacach rodzinnych, a do Juliusza udały się na posłuchanie do zamku św. Anioła konno, w licznym otoczeniu kardynałów i dworzan. Prefetessa zwracała uwagę swym bogatym strojem, a że należała do wielkich elegantek, więc przy każdej sposobności mówiono, jak była ubrana.

Juliusz II zapatrywał się na wszystko ze swego stanowiska monarchy, który chce papieskie państwo wzmocnić, poodbierać dynastom ziemie, do których Stolica Apostolska rościła sobie prawo, powypędzać Baglionich z Perugii, Bentivogliów z Bolonii, a nawet Estów z Ferrary. Aby cel ten osiągnąć i przedsięwziąć przeciw tyranom wojenne wyprawy, trzeba było przedewszystkiem mieć spokój w domu, w Rzymie i w Kampanii, trzeba się było ubezpieczyć przed Colonnami, Orsinimi i innymi rycerskimi rodami. Do tego w znacznej części miała posłużyć rodzina.

Juliusz zaczął też od ożenienia w r. 1505 młodego Nicola Rovery, brata Galeotta, z Laurą Orsini, córką owdowiałej Giulii Farnese, kochanki Aleksandra VI. Nawet taka koligacya nie przestraszała papieża, pomimo iż powszechnie



o tem wiadano, że Laura była córką Aleksandra i że piękna jeszcze Julia nie spocznie na dotychczasowych miłosnych wawrzynach.

Ślub odbył się w Watykanie, w obecności donny Julii, kardynała Aleksandra Farnese, kardynała Riaria i wielu innych dostojników Kościoła. Donna Giulia zapowiedziała ślub córki w dość zabawny sposób; ogłosiła bowiem, że każdemu wolno być przytomnym tej uroczystości, »prócz zdrajców i renegatów«. Bawiono się tym pomysłem w całym Rzymie, a miano sposobność jeszcze więcej mówić o autorce dziwnego ogłoszenia, albowiem donna Giulia zaraz po ślubie wyszła za mąż za jakiegoś neapolitańskiego szlachcica, znanego w Rzymie ze swojej siły. Wyjechała też z mężem do Neapolu, ale nie była zadowolona z południowca i została dalej wierną swym lekkim obyczajom. Śladami matki poszła też i córka; niewiele się troszczyła o domowe ognisko, prowadziła życie bardzo swobodne, tak że literat Tebaldeo przestrzegał przyjaciela przed stosunkami z nią i pisał 19 lipca 1515 do Baltazara Castigliona, że mężczyzna, który chce spokoju, niech od donny Laury daleko ucieka, a jeżeli przypadkowo odmawia litanie, niech doda słowa »a consuetudine Laurae libera nos Domine«. Biedny Tebaldeo skarży się, że miał z nią stosunek piętnaście dni, ale te dni pozostaną mu na zawsze w pamięci jakby ciężkie lata; zaklina Castigliona, aby się nie dał usidlać niebezpiecznej kobiecie.

Następną ofiarą polityki Juliusza II miała paść piękna Felice. Papież chciał ją zrazu wydać za mąż za księcia Salerno, ale zamiar ten nie przyszedł do skutku, a Emilia Pia, którą w Urbino poznamy, wyrażała się już w marcu r. 1505, że projekt ten pójdzie z dymem »anderà in fume«. Felice odmówiła swej ręki, ponieważ księżę nie miał ani stanowiska ani majątku. Wtedy zaczęto układać się z Giangiordanem z Bracciano, głową rodu Orsinich. Giangiordano był wdowcem, za pierwszą żonę miał Maryę Cecylię Aragońską, naturalną córkę króla Ferdynanda neapolitańskiego. Uchodził za dzielnego żołnierza, ale za dziwaka, nawet za półgłówka, a Francesco Maria Rovere, złośliwy jak zawsze, nazwał go skończonym błaznem. Otóż Orsini nie chciał zrazu słyszeć



o pięknej Felicji, gdyż uważał sobie za poniżenie stanąć do ołtarza z córką papieża, i do tego papieża ze świeżej, kramarskiej rodziny, ale z czasem się rozmyślił. Nie mamy wiadomości, co go skłoniło do tego małżeństwa, zwłaszcza że papież niezbyt duży dał posag córce, tylko 15.000 dukatów; dość że ślub odbył się 24 maja 1506 w pałacu wicekanclerza, w dzisiejszym pałacu Sforza-Cesarini. Papież nie życzył sobie ślubu głośnego, wystawnego, aby nie przypominać publiczności czasów Aleksandra VI i zaślubin Lukrecji Borgii. Giangiordano jeszcze w tej mierze przesadził i jak gdyby chciał cały ten akt lekceważyć, kazał się dopiero na chwilę przed ślubem ogolić, ubrał się jakoś od niechcienia, a jak tylko się ceremonia odbyła, wyprosił wszystkich znajomych z kaplicy i zamknął się z Felicją w sąsiednim pokoju. Zaczęto z tego powodu robić sobie złośliwe uwagi, sądzono, że pan młody ma jakieś tajemnicze zamiary wobec małżonki, »che facessino altri secreti«; ale następnie okazało się, że Giangiordano, przejęty hiszpańskimi zwyczajami, chciał się tam połączyć z Felicją jeszcze według hiszpańskiego ceremoniału i prosił ją, aby odtąd była panią jego domu i spełniała obowiązki padrony.

Wychodząc, oświadczył Orsini, że radby wracać piechotą do swego pałacu na Montegiordano, na co się panie towarzyszące Felicji zgodziły; ale gdy pan młody chciał wybrać drogę ulicą Pozzo Bianco, gdzie mieszkały same kobiety złego życia, towarzystwo założyło protest przeciw takiemu pomysłowi złośliwego półgłówka i Orsini musiał się zwrócić w inną ulicę. Odprowadzały pannę młodą madonna Giulia, siostry kardynała Franciotta della Rovere i jeszcze kilku krewnych, a gdy towarzystwo zbliżało się do pałacu, zaczęto na pannę młodą rzucać z okien confetti. Wtedy Orsini, pragnąc zapewne ochronić głowę Felicji od słodkich pocisków, chciał ją ubrać w swój kapelusz, na co jednak młoda małżonka nie pozwoliła.

Gdy goście weselni weszli do pałacu, powstało pomiędzy nimi powszechne oburzenie, że nic nie było przygotowane na przyjęcie panny młodej, pokoje jak najgorzej urządzone, a kolacja jakby w ostery: dwie baranie pieczenie,



pół jagnięcia, kawał sarniny i jeden kapłon na kilkanaście osób. Wszystkie te mięsiwa podano na jednym wielkim półmisku, a co gorsza, na stole nie było nożów. Niektórzy z mężczyzn zaczęli wśród ogólnego śmiechu paznokciami mięso rozdzierać, sam tylko gospodarz nic na to nie zważał, ale według hiszpańskiego zwyczaju kazał sobie podczas kolacji trzymać paziowi kapelusz nad głową, a po kolacji pocałował kapelusz i znów przykrył nim głowę.

O pożyciu Felicyi z Orsinim niewiele wiemy; zresztą nie mogły biednej ofiary długo trapić mężowskie dziwactwa, gdyż Giangiordano umarł w kilka lat po ślubie. Felicya miała córkę Klarysę, którą po śmierci męża w roku 1532 chciała wydać za Guidobalda, syna Franceska Maryi Rovere, ale ksiązę nie zezwolił na związek syna z córką znanego waryata.

Felicya stała się jedną z najbardziej zajmujących kobiet Rzymu, a jeden ze znajomych Izabelli Mantuańskiej pisał markizie, gdy się wybierała w r. 1514 do Rzymu, że wielką tam będzie miała przyjemność z jej towarzystwa.

Zaledwie przebrzmiały opowiadania o ślubie Felicyi, a już papież w lipcu r. 1508 błogosławił trzecie dla swoich politycznych zamiarów bardzo ważne małżeństwo. Tym razem chodziło o pozyskanie sobie Colonnów i rzec można, że zamiary Juliusza wybornie się udały. Panną młodą była Lukrecya Rovere, córka siostry papieskiej Luchiny, panem młodym Marcantonio Colonna, z linii książąt Paliano. Marcantonio uciekł z Rzymu za panowania Aleksandra VI, obawiając się prześladowania Cezara Borgii, i wstąpił do służby w neapolitańskim wojsku pod dowództwem Gonsalwa z Cordowy. W r. 1503 walczył za sprawę Aragonów w wojnie przeciw Francuzom, a gdy Ferdynand Katolicki zawarł pokój z Ludwikiem XII, Colonna zaciągnął się z oddziałem siedmdziesięciu ludzi pod sztandar florentyński; gdy zaś Juliusz II zbierał wojsko na wyprawę przeciw Bolonii, Marcantonio przeszedł do armii papieskiej i w niej już pozostał. Juliusz nauczył się cenić jego odwagę i roztropność i miał go ciągle przy boku, dopóki go nie zaprowadził przed ołtarz ze swą siostrzenicą.

Papież bardzo był zadowolony z tego małżeństwa;



w dzień ślubu, drugiego stycznia 1508, podarował Colonne pałac, który sam za kardynalskich czasów wystawił przy Santi Apostoli, na placu, który dawniej należał do Colonnów, a nadto oddał mu w lenno Frascati. Ślub odbył się uroczyście; panna młoda miała na sobie białą suknię, przybraną złocistym brokatem, a na szyi i głowie kosztowne klejnoty. Szła do ołtarza pomiędzy francuskim a hiszpańskim ambasadorem. Bankiety, przedstawienia teatralne z powodu tego wesela trwały prawie cały karnawał; młodsi kardynałowie, jak Luigi d'Aragona, Federico Sanseverino, Franciotto della Rovere, tudzież Alidosi, biskup pawijski, korzystali z dobrego usposobienia Juliusza II, aby go prosić o pozwolenie chodzenia w maskach w czasie karnawału.

Trzeciego marca odbyły się rozmaite zabawy ludowe, na Piazza di Agona; kilku kardynałów brało w nich udział, a osobliwie kardynał di Sanseverino zwracał uwagę swoim pysznym strojem. Czarny i karmazynowy aksamit przeważał w jego ubraniu, na krótkim płaszczu karmazynowym, skrojonym według niemieckiej mody, jaśniały jakieś litery wyhaftowane; maska, broda i nakrycie głowy były czarnego koloru. Po bokach konia szło dwóch masztalerzy bez masek, w czarnych żupanach i szkarłatnych spodniach ze srebrnymi łańcuchami przewieszonymi przez piersi, trzymając miecze na ramionach. San Pietro in Vincoli i Aragona ubrani byli za Turków »alla mamelucha«, a biskup z Pawii miał piękną kapuzę z niebieskiego adamaszku, przetykanego złotem.

Mówiono jeszcze o jednym ślubie familijnym, którym, jak się zdaje, więcej się zajmowała księżna Elżbieta na Urbinie, aniżeli sam papież. Księżna, z domu Gonzaga mantuańska, od dawna starała się w Rzymie, aby Juliusz mianował jej brata Zygmunta Gonzagę kardynałem. Rzecz napotykała na trudności, więc księżna wzięła się na sposoby. Sądziła, że jeżeli ułoży małżeństwo pomiędzy Franceskiem Maryą Roverem a małą córką margrabiny Izabelli mantuańskiej, to tem samem zbliży papieża do Gonzagów, a swego brata do kardynalstwa. Księstwo więc wysłali z ręcznego dworzana, hr. Ludwika Canosę, do Mantuy, aby rzecz z Izabellą omówić. Canossa dobrze się sprawił; mała margra-



bianka Eleonora liczyła wprawdzie w r. 1505 dopiero 11 wiosen, ale i Francesco Maria miał nie więcej jak lat piętnaście, mógł więc czekać na swoją narzeczoną. Papież na ten projekt się zgodził, ale podał warunek, aby Gonzagowie dali Franciszkowi Maryi okazały posag. Rzeczą szybko załatwiono, Gonzagowie zobowiązali się wypłacić 25.000 dukatów gotówką, a 5000 w kosztownościach i w bogatej wyprawie. Papież natomiast obiecał mianować Zygmunta kardynałem przy najbliższej sposobności.

Ponieważ księżnie Elżbiecie było pilno połączyć swych nepotów, a nawzajem papież nie lubił rzeczy postanowionych odkładać, więc ślub przez prokurę odbył się już 2 marca 1505 w Rzymie. Narzeczoną zastępował Giovanni Gonzaga, a prawie wszyscy włoscy kardynałowie byli temu aktowi przytomni. Rovere, zdaje się, że jeszcze nie widział przyszłej swej żony i tylko jeden z dworzan scharakteryzował mu ją żartem, przestrzegając, aby się miał na baczności i dobrze uczył, bo narzeczoną »wybornie umie gramatykę«.

W cztery lata po rzymskim ślubie pojechała księżna Elżbieta z Emilią Pia do Mantuy, aby przywieźć do Urbino młodą małżonkę. Mimo lat piętnastu okazała się Eleonora bardzo przezorną, wymagała ścisłej wypłaty posagu, chociaż matka była wówczas w wielkich kłopotach, gdyż markiza więzili Wenecyanie a ona sama musiała się zajmować interesami domu Gonzagów. Zdaje się, że różnorodne wymagania Eleonory co do posagu oziębły wtedy na zawsze stosunek pomiędzy matką a córką. W drugiej połowie grudnia 1509 wyruszyła wyprawa z Mantuy pod przewodnictwem Aleksandra Picenardiego, dworzanina Gonzagów. Astrolog kardynała Zygmunta Gonzagi źle się popisał, oświadczając, że podróż można przedsięwziąć i wszystko się uda jak najlepiej; tymczasem droga była jak najgorsza, zrazu taka mgła kraj obsiadła, że jeźdźcy nawzajem zaledwie się widzieć mogli, a następnie deszcz lał bezustanny. Towarzystwo jednak nie traciło humoru, a na głównych stacyach, przeznaczonych na odpoczynek, tańczyło do rana. Do Modeny i do Bolonii pojeżdżało się mnóstwo pań i panów z okolicy, aby powitać młodą księżnę, a powitania kończyły się na tań-



cach. Ale koło Forli ciężka była przeprawa; rzeka wezbrała, Picenardiego o mało że woda nie porwała wraz z koniem, przez trzy dni następne nie mógł przyjsć do siebie ze strachu i przeziębienia. Panie przeprowiały się na wozach, zaprzężonych w silne woły, a zapomniawszy o niebezpieczeństwie śmiały się, gdy cały zaprząg zaczął pływać. Szczęściem jednak nic się złego nie stało, rzeczy się tylko trochę pomoczyły. Ale deszcz i błoto towarzyszyły dalej podróżnym, a jedyną rozrywką nudnej drogi było wysłuchanie na noclegu w Cesenie jakiejś eklogi na cześć Gonzagów, którą panią młodą tam powitano. Ekloga była bardzo nieudana; ochota wstąpiła w towarzystwo dopiero za Montefiore, gdyż Rovere wyjechał tam na ładnie przybranej mulicy naprzeciwko Eleonory, otoczony muzykantami, którzy dęli z całych sił w trąby i piszczałki i wybijali takt na tamburynach. Księżę uściskał zaraz swoją nieznaną małżonkę i widocznie był zadowolony z wyboru, gdyż pocałunki trwały bardzo długo. Gdy zajechano przed zamek w Urbino i towarzystwo wyszło na wysokie schody, księżna Elżbieta zaprowadziła pannę młodą do jej pokoi. Francesco Maria, obcesowy i gwałtowny jak zawsze, chciał zaraz wejść do niej i tylko księżna Elżbieta go powstrzymała, napominając, »że przecież nie jest Turkiem, lecz chrześcijaninem«.

Zresztą zwłoka w bliższem poznaniu się państwa młodych nie była długa; znaleźli się wieczorem, a gdy z rana mimo późnej godziny z sypialni nie wychodzili, księżna Elżbieta zapukała do drzwi. Wybiegł Francesco Maria, prawie nieubrany, i prosił, aby jeszcze chwilę ich samych pozostawiono. Gdy później Elżbieta bratance żartobliwie robiła wyrzuty, czy to pięknie, czy to wypada, aby się młoda kobieta zamknęła z mężczyzną w jednym pokoju, Leonora słusznie odpowiedziała: »Madonna, samaś tego chciała«.

Małżeństwo Roverów było bardzo przykładne i obfite w potomstwo. Leonora nie należała, jak jej matka i ciotka, do kobiet zajmujących się literaturą i sztuką, gromadzących około siebie znakomitych ludzi, lecz natomiast była wzorem pani domu i umiała sobie radzić w najtrudniejszych okolicznościach. Słabość tylko miała do bogatych strojów



i rada była swą pięknosć uwydatnić. Sposobność do zaspokojenia tej namiętności nadarzyła się niespełna w rok po przybyciu do Urbino. Papież chciał, aby to małżeństwo, zawarte bez hucznego wesela, raz jeszcze w Rzymie uroczyscie obchodzono. Zaprosił więc Roverów na karnawał roku 1510 i przy tej sposobności zjechała się do Rzymu liczna rodzina. Papież był dobrze usposobiony, ponieważ zwyciężył Wenecyan i podyktował im warunki pokoju.

Księstwo Urbino przybyli do Rzymu z licznym dworem, bardzo wspaniale. W ich otoczeniu znajdował się także Rafael Hermenz, któremu głównie zawdzięczamy opisy rzymskich uroczystości. Z Urbino przyjechała i księżna Elżbieta, a papież polecił kardynałom Aragonie i Narbonie, aby się zajęli zabawieniem księstwa. Dygnitarze sumiennie wywiązywali się ze swego zadania; co wieczór bywały bale, urządzano koncerty, moreski, wyścigi, a starsi nawet kardynałowie ochoczo tańczyli, podobnie jak poważni panowie z towarzystwa rzymskiej szlachty. Papież pragnął, aby przyjęcia wypadły jak najlepiej, a zawsze pełen życia, chciał wszędzie być, wszystko widzieć i gdyby nie wzgląd na mistrza ceremonii, Parysa de Grassi, toby może i do kuchni był poszedł, aby nałajać kucharzom.

Najstarsza z rodziny, prefetessa, przybyła także na uroczystości, wskutek czego powstała pewna niechęć pomiędzy paniami, gdyż wdowa po Giulianie nie lubiła urbinackiej Elżbiety, a spokojna księżna także się jej nieprzyjaźnią odwdzięczała. Charaktery tych pań były zanadto odmienne, aby się ze sobą zgadzać miały; były »due cose incompatibile«, prefetessa żadna władzy, honorów, chciała wszędzie być pierwszą i nie mogła tego przeboleć, że Urbino większe od Sinigalii.

W tłusty czwartek udało się całe towarzystwo w otoczeniu może pięciuset konnych na Piazza Agona, gdzie na cześć Juliusza miano przedstawiać zwycięstwo armii papiejskiej nad Wenecyanami. Panie mogły się wybornie przypatrywać widowisku z okien domu kardynała Adriana, położonego tuż przy placu. W piątek i w sobotę były przyjęcia u kardynałów, a w niedzielę wybrano się na Monte Testac-



cio, gdzie się odbywały walki byków i rozmaite ludowe zabawy. Wieczorem wielka kolacja w Watykanie, na którą wystąpiły panie w świetnych toaletach. Młoda księżna Leonora kazała sobie jednemu z artystów rzymskich wyrysować przepyszną suknię z czarnego aksamitu, ozdobioną ornamentami z kutego złota. Model był bardzo piękny, a księżna poświęciła 900 dukatów z posagu na owe ozdoby. Ale niestety złotnik miał za mało czasu, aby ornamenty wykończyć zupełnie według rysunku artysty, i suknia nie zrobiła takiego wrażenia, jak się spodziewano.

Papież miał osobno stół nakryty na podwyższeniu; poniżej ustawiono dwa stoły, jeden dla kardynałów, których było ośmiu, a drugi dla rodziny papieskiej. Przy tym ostatnim zasiadły: księżna Urbinu wdowa, młoda księżna Urbinu, prefetessa, madama Laura, Giangiordano Orsini z małżonką, signor Niccolo Rovere i Marcantonio Colonna, inni zaś goście mieli swój stół w sąsiedniej sali. Juliusz II trzymał się tego zwyczaju, aby przy większych zebraniach jadać osobno, co mu bardzo dogadzało, bo nie lubił dużo mówić, chętnie w milczeniu na gości spoglądał, a zresztą jadł i pił tak dużo, iż wołał, aby mu się nie przypatrywano. Dworzanin mantuański, Grossino, pisał raz do swojej markizy, że »è una terribile cosa, come manza sua Santita«, a Lodovico Domenici opowiada z tego powodu w swoich »Facecyach« następującą historyjkę. W jednej ze stanc kazał się Juliusz II przedstawić we freskach rafaelowskich, raz, jak słucha mszy klęcząco, drugi raz, jak wraca z Belwederu, niesiony w lektyce. Na tym drugim portrecie wypadła twarz papieża o wiele czerwieniąsza, aniżeli na pierwszym, co zaczęto krytykować. Przytomny rozmowie Marcantonio Colonna zauważył, że Rafael miał słuszną rację, gdyż pierwszy portret przedstawiał Juliusza II na czczo, a drugi wracającego z obiadu.

Gdy goście papiescy wstali od stołu, grano łaćnińską komedję i dwie eklogi miłosne po włosku, które jednak nie urażały nikogo z obecnych. Papież lubił przedstawienia teatralne i chętnie im się przypatrywał.

Serya zabaw urządzanych dla rodziny papieskiej nie została jeszcze wyczerpana tym obiadem; w poniedziałek



zgrupowało się znowu całe towarzystwo w Watykanie, aby się przypatrywać wyścigom bawołów, poczem tańczono w jednym z salonów mieszkania papieża Innocentego. Tańce nie były zapowiedziane, ale Juliusz II ciekawy, jak kuzynki tańczą, kazał zawołać pifferarów i zachęcił panie, aby się przed nim popisywały. Młodej księżnie na Urbinie dał papież na pamiątkę pobytu jej w Rzymie duży złoty łańcuch wartości około 400 dukatów do opasywania się według mody francuskiej. Wieczorem było przyjęcie u kardynała Sanseverino, gdzie grano dwie komedye; jedną po łacinie, która trwała aż cztery godziny, drugą po włosku. Obydwie miały za temat miłosne zajścia, »ambe amorose«, ale takie były nudne, że książę Francesco Maria zabrał żonę i pojechał do domu. Tylko duchessa Elżbieta ze swojemi donzellami do-trwała do końca przedstawienia.

W ostatni wtorek wreszcie znowu się zgromadzono w Belwederze, gdzie urządzono walki byków i wyścigi wschodnich koni, barbaresków. Walki byków były przerywane popisami komików, rodzajem dzisiejszych kłownów, którzy nadzwyczajnie zbierali poklaski. W przestankach pomiędzy jednym a drugim krwawem przedstawieniem wychodził dziwnie przebrany aktor, który trzymał w prawym ręku miecz, a lewe ramię owijał sobie płaszczem jak espada i zaczął udawać walkę z bykiem, którego przed nim nie było. Raz nacierał na niewidzialnego nieprzyjaciela, to znowu cofał się i uciekał przed nim, co pobudzało tłumy do wesołości. Wyścigi nadzwyczaj wszystkich zajęły, albowiem koń markizy mantuańskiej pobił czterdziestu swoich współzawodników i otrzymał nagrodę, palio. Okrzyki też na cześć zwycięzcy nie miały końca; publiczność wołała przez długi czas, »Mantua! Mantua! Turcho! Turcho!« zwłaszcza że wiedziała, iż te objawy radości ucieszą młodą księżnę. Papież także bardzo był zadowolony z tego zwycięstwa, gdyż przed biegiem jeszcze powiedział, że koń markizy Izabelli zwycięży.

Wieczorem zebrało się towarzystwo u bankiera Chigiego, gdzie przed kolacją grano bardzo zabawną miłosną komedye, a na pożegnanie gości wypowiedziano piękną eklogę w stylu klasycznym. W środę popielcową pozostały



panie w domu, a we czwartek poszły na stacye, »a le statione«, które były właściwie dalszym ciągiem karnawału.

Od kościoła do kościoła ciągnęły tłumy ludu i pań z klas wyższych, które także brały udział w tem »nabożeństwie«; młodzież rzędami stała przed portalami, przypatrując się wchodzącym pięknościom i szukała sposobności do zawiązywania stosunków. Chodzenie po stacyach miało dość dwuznaczną opinię, a cudzoziemcy z Północy bardzo się gorszyli tymi uświęconymi zwyczajami, nadużywaniem kościołów do romansów. Castiglione opowiada, że Messer Jeronimo Donato, chodząc po stacyach w Rzymie z wieloma innymi towarzyszami, znalazł się w tłumie pięknych kobiet, a jeden z młodzieży zwracając się do niego, szybko złożył heksametr, że Rzym liczy tyle ulicznych dziewcząt, ile niebo gwiazd:

Quod coelum stellas, tot habet tua Roma puellas;

Na co Donato z równą przytomnością dodał:

Pascua quotque haedos, tot habet tua Roma cinaedos.

Ile kozłów pastwisko, tyle twój Rzym plugawców.

Ówczesni pisarze niejednokrotnie wspominają o »stacyach« i o kazaniach, które służyły raczej ku zabawie, aniżeli ku zbudowaniu wiernych. Aretino uważał stacye za przedłużenie karnawału, mówiąc, że Roma po oblężeniu w r. 1527 została wdową, nie zna już ani karnawału, ani stacyi, ani wycieczek do winnic, ani żadnych innych zabaw. W innym duchu skarżył się Filippo Strozzi podczas pobytu swego w r. 1514 w wiecznem mieście, że Alfonsina Orsini zmusza go co rano chodzić z paniami na stacye, co go strasznie nudzi, a co gorsza, zamęcza go kazaniem, spowiedziami i odpustami. Filippo prosił też Boga, aby mu dał tyle siły i cierpliwości, ażeby się mógł wydostać z rąk tej baby, nie straciwszy rozumu.



## III.

W roku 1506, w trzy lata po wstąpieniu na tron papieski, postanowił Juliusz II odzyskać dla państwa kościelnego Perugię i Bolonię, miasta dawniej podległe Stolicy Apostolskiej, wówczas jęczące pod rządami tyrańskimi Baglionich i Bentivogliów. Przedsięwzięcie zdawało się szaleństwem, gdyż papież mało miał wojska i nie mógł liczyć na sprzymierzeńców. Ale Juliusz, łączący w sobie wyobraźnię południowca z siłą bohatera Północy, wierzył w siebie i niczego się nie obawiał.

Dwudziestego szóstego sierpnia przed wschodem słońca poszedł do kaplicy św. Mikołaja, a pomodliwszy się, przeczytał cichym głosem, ale wyraźnie antyfonę: »In viam pacis«, »w drogę pokoju«. Wybierał się wprawdzie na wojnę i słowo »pax« musiało tego dnia dość dziwnie brzmieć w jego ustach, ale trzeba przypuścić, że uspokojenie Włoch było jego marzeniem, a więc myślał o pokoju przyszłości.

Po skończonej modlitwie wyjęli klerycy puszkę z Sakramentem z ołtarza, a zapaliwszy sześć pochodni, nieśli ją przed papieżem. Juliusz wraz z kardynałami jechał konno aż do bramy »Beatae Mariae de Populo«, skąd część kardynałów powróciła do miasta, a na wojnę wybrało się tylko dziewięciu, pomiędzy nimi Franciotto della Rovere i Grimani.

Wódz w papieskim rocchetto miał za sobą niewielką armię, tylko 3000 zbrojnych, natomiast dwór jechał za nim liczny: czterech referendarzy, auditor Rotae, cały szereg prototypotaryuszów i abbreviatorów, adwokatów, subdyakonów, kleryków, dwóch mistrzów ceremonii, kilku lekarzy, ba, nawet muzyka watykańska z całym chórem śpiewaków szła na wyprawę. Nie brakło i papieskiego golarza, a na jucznych mulach zapakowana była cała kościelna garderoba papieża z wyjątkiem żałobnych ornatów, które zapomniano zabrać z Rzymu, co się zdawało być dobrą wróżbą. Kardynałowie i wszyscy dygnitarze mieli ze sobą mnóstwo służby, tak że ten pochód wojowniczy nie oparłby się był nieprzyjacielowi, czyhającemu w zasadzce. Niemało do czynienia miał mistrz













Fot. R. Moscioni.

Typy renesansowe z Viterbo.  
Z fresku Lorenza di Viterbo.

Do str. 233.







ceremonii, Parys de Grassi, musiał bowiem ułożyć nadzwyczaj szczegółowe przepisy dla papieża i dla duchowieństwa, jakie obrzędy trzeba zachować przy wejściu do miast, do kościołów, do zamków, jakie paramenty mieć ze sobą. Później jednak narzekał biedny mistrz ceremonii, że papież się często nie trzymał tych jego rozporządzeń, uświęconych nieraz wiekową praktyką.

Armia ciągnęła na Nepi, na Cività Castellana do Viterbo, a papież kazał jechać górami, obawiając się malaryi na nizinach. Pochód opóźniały bardzo przyjęcia po miasteczkach, ofiarowanie kluczy papieżowi, nabożeństwa w kościołach, śpiewanie »Te Deum laudamus«, błogosławienie ludności albo chłopców wychodzących z różczkami oliwnymi i dziewcząt biało ubranych. W Cività Castellana zatrzymał się papież dwa dni z powodu święta decollationis sancti Joannis i dnia poświęconego świętemu Augustynowi. To opóźnianie nagradzał rannem wstawaniem i szybką jazdą, a ponieważ biskup, wiozący przenajświętszy Sakrament, nie mógł mu nadażyć, więc wysyłał go naprzód, aby poza sobą nie pozostawiać »Ciała Pańskiego«. Papież tak się spieszył po tych górskich drogach, że śludzy, idący przy koniach, nie mogli mu nadażyć i kilku zmarło z tego powodu po drodze.

Nim Juliusz stanął w Viterbo, mógł się pocieszyć dobremi wiadomościami; markiz mantuański donosił, że się przyłączy do wyprawy ze stu pięćdziesięcioma jeźdźcami, Florentyńczycy zaś i król francuski obiecywali przysłać posiłki. Do Viterbo wjeżdżał papież o drugiej w nocy przy pochodniach, a mnóstwo ludu wyległo koło drogi, aby widzieć namiestnika Chrystusa i przyjąć od niego błogosławieństwo. Nad papieżem niesiono niebieski, nad puszką z Sakramentem wspinały biały baldachim, a na rynku postawiono sztuczny dąb, herb Roverów, na którym siedziało sporo chłopaków przebranych za aniołów z Orfeuszem na czele i śpiewało łacińskie wiersze na cześć znakomitego gościa.

W Viterbo przyłączył się do orszaku książe Urbinu; w drodze do Perugia zatrzymał się Juliusz także nad jeziorem Trazymeńskim, a nawet łodziami dopłynął do klasztoru



na wyspie, gdzie go przyjęli Franciszkanie i obdarowali mnóstwem ryb, które były bardzo pożądane, gdyż wyprawie zaczęło brakować żywności.

Szczęście sprzyjało Juliuszowi. Tyran Perugia, Gian-Paolo Baglione, przestraszył się papieskiej energii, a nie ufając ludności, którą nękał okrucieństwami, nie stawiał oporu; oddał papieżowi swe posiadłości, a nawet ofiarował się w sto pięćdziesiąt rycerzy pomagać przy zdobywaniu Bolonii. Takie powodzenie upoiło starego Juliusza; obejmując swym orlim wzrokiem z wyżyn perugiańskich dolinę ku Trazymeńskiemu jezioru, miał śmiałe marzenia, snił o tem, że gdy włoskie stosunki doprowadzi do porządku, gdy państwu kościelnemu zdobędzie wszystkie ziemie, do których Stolica Apostolska rościła sobie prawo, to zbierze wielką armię i pójdzie do Konstantynopola, zniszczy Turków i wydrze Jerozolimę z rąk niewiernych. A ponieważ u niego każda idea w mgnieniu oka, jak błyskawica w piorun, w czyn się zamieniała, więc kazał zaraz słynnemu kaznodziei Egidyuszowi z Viterbo głosić z ambony w Perugia zdobycie Jerozolimy. Iskry geniuszu papieża zapalały umysły, cała Perugia marzyła już o wojnie krzyżowej. Ale papież nie zapomniał bliższych spraw dla dalekich planów i po ośmiodniowym pobycie w nowo odzyskanem mieście ruszył szybko bez wytchnienia do Bolonii na Urbino, gdzie stanął 25 września, na Maceratę, San Marino, przez Apeniny górskimi ścieżkami, aby omijać okolice, które zajmowali Wenecyanie. Deszcze lały bez ustanku, drogi były nie do przebycia; sześćdziesięcioczeroletni papież wspinał się konno lub piechotą po urwiskach, pomimo że artretyczne bóle zaledwie mu oddychać pozwalały. Dziesięć razy musiał się przeprowiać przez wezbrany strumień; zmoczony, zgłodniały przytaczał zrozpaczonym kardynałom zastosowane do okoliczności wiersze Wergiliusza i szedł dalej. Na dolinie czekały go dobre wiadomości; król francuski przysłał posiłki, Bentivoglio stracił nadzieję utrzymania się w mieście i uciekł z rodziną do Mantuy. Papież zajął Bolonię bez rozlewu krwi, pomimo że mu astrologdy »i niektórzy matematycy« odradzali, aby nie wchodził do miasta z powodu możliwej zdrady. Juliusz jednak nie zważał na przestrogi uczo-



nych, lecz powiedział, że w imię Boże Bolonię zajmuje, in nomine Domini procedamus et ingrediamur. W mieście zastał zupełny spokój, zamieszkał w pałacu Bentivogliów i zaprowadził sprawiedliwe rządy. Aby zaś ludność nie zapomniała o żelaznym papieżu, powziął zaraz myśl postawienia swego pomnika nad portalem świątyni San Petronio. Kazał sprowadzić w tym celu Michała Anioła; wielki artysta dąsał się jednak na papieża, chciał opuścić »ten Rzym niewdzięczny, który się poi jego potem i handluje jego skórą«, i pójść do Wielkiego Turka. Pomimo to kapryśny rzeźbiarz zwrócił się z drogi, przybył do Bolonii ku wielkiej radości Juliusza i zabrał się do pracy nad wspaniałym pomnikiem papieża.

Z powrotem do Rzymu wybrał się Juliusz 22 lutego 1507, zamianowawszy legata, który z władzą prawie wicekróla miał dalej rządzić Bolonią. Legatem został kardynał Antonio Ferreri, jak się okazało, człowiek zupełnie nieudolny, który jątrzył ludność i zamiast przywiązać do Stolicy Apostolskiej, uczynił ją nieprzyjazną Rzymowi. Stosunki się jeszcze pogorszyły, gdy następcą Ferreriego został kardynał Alidosi, ulubieniec papieski, który na tem stanowisku okazał się okrutnym, chciwym, gorszym od Bentivogliów, jak powszechnie mówiono.

Alidosi pochodził z rodu tyranów Imoli i przybył jeszcze za Sykstusa IV do Rzymu; nadzwyczaj przystojny, o różowym obliczu i wielkich zaletach ciała, jak powiada Giovio, dostał się na dwór kardynała Juliusza Rovere i tak urósł u niego w łaskach, że go ktoś nazwał Ganimedem kardynała. Mówiono później, że nie dał się Borgiom przekupić, gdy chcieli go skłonić do otrucia Rovera, co jeszcze ściślej połączyło go węzłem z kardynałem. Juliusz też, gdy został papieżem, opiekował się nim, jak własnym nepotem, i w r. 1504 zamianował biskupem Miletu, w r. 1505 biskupem pawijskim, a w kilka miesięcy później kardynałem. W r. 1506 powierzył mu ważne stanowisko legata papieskiego patrymonium, następnego roku mianował legatem Romanii, a w r. 1510 arcybiskupem Bolonii. Alidosi doszedł do pewnej popularności w Rzymie, gdyż protegował literatów i artystów, ale jak Bembo powiada, był to człowiek



złego życia, bezwstydnym, bez czci i wiary, dla którego nie było świętem. Gdy też stanął na czele rządów Bolonii, prześladował w sposób barbarzyński tych obywateli miasta, których podejrzewał, że pozostali wiernymi Bentivogliom, i kazał im się okupywać tysiącami dukatów, czterech zaś senatorów i znaczną liczbę mieszczan kazał ściąć bez litości. W krótkim czasie pozyskał sobie imię najbardziej krwiożerczego kardynała, o jakim słyszano w czasach Odrodzenia.

Zaszczyty, którymi go Juliusz II obsypywał, nie były dlań wszakże dostatecznymi; chciał, aby mu papież oddał w lenno Imolę, jako potomkowi tamtejszych tyranów. Tego Juliusz wszakże nie uczynił, a wtedy według wszelkiego podobieństwa do prawdy Alidosi potajemnie związał się z Bentivogliami i z Francuzami, sądząc, że za ich pomocą osiągnie to, czego u papieża nie uzyskał. Zresztą wskutek okrucieństwa legata cała ludność Bolonii odwróciła się od Stolicy Apostolskiej. Szukała pomocy u dawnych swych tyranów, których teraz popierał zmienny król francuski, Ludwik XII. Ludwik, który nienawidził Juliusza II, miał daleko sięgające zamiary; chciał swym wojskiem Rzym obsadzić, detronizować Rovera i wybrać powolnego sobie papieża.

Juliusz II więc na króla nie czekał, lecz postanowił uderzyć na Francuzów, a przedewszystkiem zdobyć Ferrarę, gdyż Este, sprzymierzony z Ludwikiem XII, najbardziej był dlań niebezpiecznym. Pomimo niezdrovia wybrał się pierwszego września r. 1510 z małym oddziałem ludzi drogą na Viterbo, Orvieto, Asyż, Foligno do Ankony. W Loreto odprawił mszę, gdyż szczególne miał nabożeństwo do tamtejszej Madonny. W Ankonie wsiadł na okręt i popłynął do Rimini, gdzie wylądował, aby iść na Cesenę do Bolonii. Ale takie deszcze lały, jak gdyby się niebo otwarło i chciało zatopić całą papieską armię, a mieszkańcy włości, przez które papież przejeżdżał, zamiast witać okrzykami radości głowę Kościoła, nie mogli się powstrzymać od śmiechu, widząc dziwną kawalkatę, zmoczoną, obryzganą błotem, niepodobną do wojennej wyprawy. Znużony też, znękany papież dostał się do Bolonii, a zamiast radosnego przyjęcia zastał



całe miasto wzburzone z powodu tyrańskich rządów kardynała Alidosiego.

Czekały tam Juliusza przykre niespodzianki. Księżę Urbinu, który dowodził armią Kościoła, przysłał siódmego października papieżowi z Modeny kardynała Alidosiego pod eskortą stu pięćdziesięciu jeźdźców z rękami zakutymi w łańcuszki, jako zdrajcę stanu, który z Ludwikiem XII i księciem Ferrary porozumiewał się przeciw Stolicy Apostolskiej. Naczelnik eskorty przywoził listy, które miały udowodnić winę jeńca, a gdy kardynała doprowadził pod mury Bolonii, odesłał żołnierzy napowrót do obozu, kazał więźniowi zdjąć żelaza i tylko otoczonego dwunastoma łucznikami, zapewne dla niezwracania uwagi, zaprowadził przed papieża. Kardynał okazał się hojnym wobec żołnierzy, każdemu z nich dał po trzy dukaty, gdyż się dobrze z nim obchodzili.

Alidosi tak zręcznie umiał się usprawiedliwić przed papieżem, że Juliusz zwrócił swój gniew przeciw księciu Urbinu, zaznaczając, że sam chce panować i nie pozwoli sobą rządzić tak, jak Cezar Borgia rządził Aleksandrem VI. Natychmiast też uwolnił kardynała, a w mieście nie wiedziano na razie, co myśleć o tem zajściu; zaledwie bowiem rozeszła się wieść o uwięzieniu Alidosiego, a już widziano go wychodzącego z pałacu papieskiego, otoczonego dworzanami, jakby nic nie zawinił. Co więcej, papież chciał zdjąć z niego wszelki cień podejrzenia, gdyż go nazajutrz zamianował arcybiskupem Bolonii. Ale najbliższe dni musiały przecieżyć zachwiać w papieżu wiarę do Alidosiego, gdyż na wiadomość, że armia francuska zbliża się do Bolonii, nie powierzył mu obrony miasta, lecz oddał władzę wojskową w ręce arcybiskupa z Reggio i młodego kardynała Ludwika Aragony, synowca Ferdynanda I. Gdy się ludność dowiedziała, że Alidosi usunięty, przyjęła tę wiadomość z radością, zaczęła skwapliwie się zbroić, tak że po kilku dniach wojennych przygotowań mogła Bolonia wystawić 15.000 piechoty i 1000 jeźdźców. Obawiano się, że Francuzi będą miasto rabować, więc nie tracono czasu, a ufność w energię papieża dodawała otuchy. Tłumy też przeciągały koło papieskiego pałacu, wywołując nazwisko Rovere.



W tych krytycznych chwilach zachorował Juliusz ciężko na febrę, a astrologowie przepowiadali bliską śmierć papieża. Zgromadzeni w Bolonii kardynałowie zaczęli już obradować, kogo mają podać na kandydata do papieskiej tyary. Osobliwie w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego października bardzo się papieżowi pogorszyło; leżał w gorączce, nie spał, rzucał się na łożu i co chwilę krzyczał, że umiera, że umrzeć musi, a gdyby żył, to się otruje, aby się nie dostać do francuskiej niewoli. Ale u Juliusza II powroty do zdrowia były nagłe, niespodziewane; dwudziestego października z rana febra go opuściła i natychmiast odzyskał właściwą sobie energię. Gdy się dowiedział, że jego nazwisko jest na ustach ludu, kazał się wynieść na balkon i błogosławił tłumy, a następnie skrzyżował ramiona na piersiach, jak gdyby wszystkich chciał z miłości do serca przycisnąć; aby zaś zatrzeć chwilowo przynajmniej złe wrażenie, jakie pozostawiły po sobie rządy legatów, zrobił miastu wiele korzystnych ustępstw.

Wskutek niedołęstwa i powolności francuskiego wodza Chaumonta zdołało się sprzymierzone wówczas weneckie wojsko połączyć z papieskim, a Juliusz, rozporządzając znacznymi siłami, o niczem nie mówił, jak tylko o zdobyciu Ferrary. Kluczem strategicznym do państwa Estów była Mirandola, którą książe Francesco Maria oblegał; ale jego działanie zdawało się niecierpliwemu papieżowi za powolne; sierdził się więc i wymyślał na nepota, że ten »urwisz dwudziestoma tysiącami ludzi nie potrafi zdobyć śmierdzącej... któremi on, papież, zajmie nie tylko to gniazdo Franceski Trivulzio, Mirandolę, lecz i Ferrarę«. Juliusz postanowił więc sam kierować oblężeniem i z pięćdziesięcioma jeźdźcami wybrać się pod Mirandolę. Kardynałowie i całe otoczenie papieża odradzało mu tej wyprawy ze względu, że jeszcze nie był zupełnie zdrow po przebytej febrze i że zima ciężka się srożyła. Papież jednak na nikogo nie zważał, »lecz z niesłychaną furią«, z trzema kardynałami i z budowniczym Bramantem wybrał się drugiego stycznia 1511 r. do armii. Drogi były bardzo złe, więc Juliusz kazał zaprząść cztery woły do dwukolistego zwykłego wozu i tak wyjeżdżał



z Bolonii ku wielkiej radości uliczników. Wyglądał jak niedźwiedź, gdyż od ostatniej choroby nie pozwolił golić sobie brody, mówiąc, że dopóki Francuzów z Włoch nie wypędzi, dopóty balwierza do siebie nie dopuści; a do tego ubrał się w płaszcz zapięty pod szyję, z grubą kapuzą i włożył na głowę dziwną wełnianą czapkę w kształcie helmu, chroniącą także szyję od zimna. Piątego stycznia stanął pod Mirandolą. Śnieżycą była straszna, jakiej tam nigdy nie zapamiętano, konie się zapadały, ale Juliusz nie zważał na zimno i na zasy, »natura terribile«, dodaje Sanuto. »Natura nadludzka«, mówi inny Wenecyanin. »Zdaje się, że mimo mrozu i zawiei, papież zdrów i nic nie cierpi«.

Juliusz II zamieszkał w kuchni klasztoru S. Giustino, a kardynałowie Cornaro i Aragona w niecałkiem zabudowanej stajni. Siódmego stycznia nieprzyjacielska kula armatnia przebiła dach papieskiego mieszkania, zraniła dwóch służących i zbudziła ze snu wojowniczego Juliusza. Po wojnie kazał papież umieścić kulę tę w Santa Casa w Loreto, gdzie ją do dziś dnia pokazują. Otoczenie namówiło papieża, aby się z owego niebezpiecznego klasztoru przeniósł do domu kardynała Isvaliesa, mniej narażonego na nieprzyjacielskie pociski; ale uparty Juliusz niedługo tam pozostał i wrócił do swojej kuchni, a tak się gniewał, że oblężenie się przeciąga, iż ciągle wymyślał na dowódców. Wreszcie dwudziestego stycznia Mirandola się poddała; papieża taka opanowała niecierpliwość, aby się już raz dostać do miasta, że nie chciał czekać na otwarcie zabarykadowanej bramy św. Antoniego, ale po drabinie, chociaż z wielką biedą, wyszedł na mury i spuścił się do środka.

Dwudziestego czwartego stycznia odbył Juliusz przegląd wojska księcia Urbinu; szedł od konia do konia, gromił każdego żołnierza, u którego nie znalazł wszystkich przyborów w porządku, i koniecznie chciał ruszać na zdobycie Ferrary. W tym celu udał się do Rawenny, aby od południa wejść w posiadłość Estów; ale Francuzi, którzy mieli nowego dowódcę, sławnego Trivulzia, szli wprost na Bolonię i zmusili papieża do zapomnienia o Ferrarze. Juliusz, obawiając się, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciół, musiał pozostać w Ra-



wennie; a tymczasem los Bolonii bardzo szybko został rozstrzygnięty, gdyż armia księcia Urbinu uciekła, pozostawiając cały tabor obozowy Francuzom. Trivulzio wprowadził 25 maja Bentivogliów na nowo do miasta, pospólstwo zaś, mszcząc się za rządy Alidosiego, rozbiło w kawałki posąg Juliusza II, arcydzieło Michała Anioła, które niedawno zostało ustawione. Biedny Michał Anioł źle wyszedł na zamówieniu posągu, dwa lata pracował nad nim w Bolonii, walcząc z najkonieczniejszymi potrzebami, a gdy go ułat i potracił wydatki na bronz i robotę, pozostało mu  $4\frac{1}{2}$  dukata czystego zysku. Alfons ferraryjski kupił ten cenny metal, aby z niego, jak mówiono, ułać armatę. Gdy się papież o tem dowiedział, jeszcze większym zawrzał gniewem na księcia Ferrary, zwłaszcza że resztki posągu wywożono z Bolonii w dzień, a tłum uliczników biegł za wozem i naigrawał się z rozbitego papieża. Dowiedziawszy się o furji Juliusza, starał się Alfons usprawiedliwić i użył pośrednictwa siostry, markizy Izabelli, i jej męża, aby papieża ułagodzić. Markiz udał się w tej sprawie do kardynała Mediciego, aby papieżowi wytłómaczył, jak się rzecz miała. Otóż Alfons zakupił rzeczywiście różne resztki metalu, kazał je włożyć na wóz zaprzężony ośmioma parami wołów i zawieźć do Ferrary; gdy zaś ulicznicy bolońscy zobaczyli tyle wołów i kawałki posągu, zaczęli wyprawiać hałasy i biedz za wozem, jak to ich zwyczajem; gdy ksiązę to spostrzegł, wysłał natychmiast swego cameriera, aby hołotę kijem porozpędzał, metal zaś z posągu złożył w ferrarskiem castello i nie kazał go bynajmniej przetapiać.

Zajęcie Bolonii przez Francuzów było strasznym ciosem dla papieża; tracił on w ten sposób najpiękniejszy owoc swych trudów, swych walk, a główną winę przypisywał księciu Franceskowi Maryi, jego niedołężnemu prowadzeniu wojny. Odgrażał się przed kardynałami, że go katu odda.

U Juliusza II jednak wybuchy gniewu szybko przemięły, a gdy ksiązę niebawem przybył do Rawenny, aby się usprawiedliwić, papież przyjął nepota najśrońszymi wyrzutami, ale o uwięzieniu go nie było mowy. Francesco Maria dowiedział się jednak, że przyjaciele Alidosiego już pierwej



znalezli się u papieża i podstępnie umieli zwalić na księcia wszelką odpowiedzialność za poniesione klęski.

Nieszczęście chciało, że w chwili, kiedy ksiązę rozgoryczony, kipiący gniewem na intryganta, który go zawsze przed Juliuszem oczerniał, wychodził z pałacu, spotkał Alidosiego, jadącego do papieża. Pełen fałszu pralął przywitał księcia przyjacielskim uśmiechem, zdejmując kapelusz, co tak Rovera wzburzyło, że zeskoczył z konia, uchwycił mulicę kardynała za cugle, wyciągnął miecz i z okrzykiem »Przecież cię mam, zdrajco!« zadał mu aż 8 cięć w głowę i w niższą część ciała. Kardynał umarł po chwili i miał powiedzieć jeszcze słowa: »Słuszna nagroda za moje grzechy«. Z otoczenia kardynała nikt go nie bronił, a gdy później pytano Guida Vaini, spokrewnionego z Alidosim, kapitana jego łuczników, dlaczego nie skoczył z pomocą, odpowiedział, że się obawiał narazić papieżowi, sądził bowiem, że ksiązę napadł na Alidosiego z rozkazu Juliusza II.

Parys de Grassi, który wówczas bawił w Bolonii, pisze, iż na wieść o zamordowaniu kardynała taka radość zaplanowała w mieście, że głośno wykrzykiwano: »Niech Pan Bóg księcia błogosławi«; kardynałowie zaś i pralaci także nie ukrywali swej radości, tylko jedyny papież rozpaczał, płakał, jeść nie chciał i we dwie godziny po dokonaniem morderstwa opuścił Rawennę. Ludzie, którzy go nieśli w lektyce do Rimini, mówili, że łyż ocierał w drodze, a na najbliższą stację naumyślnie przybył w nocy, aby nie spostrzeżono, że ma oczy zapłakane. Grassi kończy swoje sprawozdanie o tem morderstwie uwagą, że wszyscy Wszzechmocnemu dziękowali, iż Alidosi nie żyje, i błogosławili imię Boskie z tego powodu. Paolo Giovio napisał wiersz, unoszący się nad dzielnością i siłą księcia Franceska Maryi.

Po dokonaniu morderstwa uciekł ksiązę do Urbino, a papież przybywszy do Rzymu kazał wytoczyć mu proces. Ale z dochodzenia okazało się, że właściwie zamordowany był winnym, a nie mordercą. Prokurator fiskalny utrzymywał, że Alidosi dążył do tego, aby zasiąść na Stolicy Apostolskiej jeszcze za życia Juliusza II, że starał się z pomocą nieprzyjaciół papieża zająć Imolę, że sprzeniewierzył znaczne



sumy na szkodę kamery apostolskiej, że zdradziecko się zachowywał podczas wojny z Ferrarą i podczas zajęcia Bolonii przez Bentivogliów, że wreszcie nastawał na życie Franceska Maryi. Prócz tego dał prokurator nadzwyczaj czarny obraz obyczajów Alidosiego, zarzucał mu brak wszelkiej wiary, podstępność i podniósł wiele innych brzydkich właściwości jego charakteru. Proces skończył się prawdziwą gloryfikacją księcia Urbinu, który został uwolniony od zarzutu zbrodni, a papież podarował mu jeszcze 12.000 skudów.

Mimo to Juliusz II nie oddał Franceskowi Maryi dowództwa nad wojskiem papieskim, które miało walczyć z innemi wojskami »świętej Ligi« przeciw Francuzom i księciu Ferrary, podejrywał go bowiem i zdaje się, słusznie o francuskie sympatyje. Księżę nienawidził Hiszpanów, którzy dążyli do tego, aby mu odebrać księstwo Urbino.

W bitwie pod Rawenną księżę nie brał udziału; Francuzi i księżę Ferrary zwyciężyli, ale tylko pozornie, gdyż Gaston de Foix, o którym mówiono, że jak piorun spadł na Włochy, poległ na placu boju, a wojsko, którem dowodził, w największe popadło rozprzężenie.

Na wieść o klęsce »świętej Ligi« zapanował na razie popłoch w Rzymie nie do opisania; przypuszczano, że Francuzi uderzą teraz na papieską stolicę, ale gdy się dowiedziano, że zwycięstwo Francuzów było właściwie ich klęską, szybko się uspokojono, zwłaszcza że papież przygotowywał nową wyprawę przeciw Francuzom i zawiązywał układy z cesarzem, z Anglią i ze Szwajcarami. Pierwszy posłaniec ze złowrogą wiadomością przybył do Rzymu 14 kwietnia; papież w pierwszej chwili myślał o ucieczce i kazał dwom galerom czekać u ujścia Tybru, któreby go do Neapolu przewieźć mogły. Na drugi dzień przyjechał jednak Juliusz de' Medici i przywiózł uspokajające wiadomości, że Gaston zabity, a następca jego, de la Palice, niedołącznym jest dowódcą, że Francuzi nie mogą iść na Rzym, gdyż obawiają się, że w takim razie Szwajcarzy wpadną w Medyolańskie.

Papież zbierał pieniądze, skąd mógł, srebra posłał do mennicy, a co dość dziwne, odebrał swej córce 12.000 dukatów, które jej przed sześcioma miesiącami podarował.



Szwajcarzy stali się główną podporą papieża, przysłali 18.000 doborowego wojska, z którego pomocą osiągnął papież swój ideał, wypędził z Włoch Francuzów. Księżę Urbina zajął wtedy imieniem Stolicy Apostolskiej Bolonię, która już odtąd pozostała pod papieskimi rządami; Ferrarze odebrał Juliusz Modenę i Reggio, a z księstwa medyolańskiego wyłączył dla państwa papieskiego Parmę i Piacenzę, gdyż do tych miast rościła sobie Stolica Apostolska prawo z tytułu zapisu margrabinie Matyldy; ba, nawet Genua z rodziną ziemią Juliusza II została uwolnioną z pod francuskiego jarzma.

O ustąpieniu Francuzów z włoskiej ziemi otrzymał Juliusz wiadomość 22 czerwca r. 1512. Kardynał Mateusz Schinner, głowa Szwajcarów, napisał mu o rozsypce nieprzyjaciół długi list z Pawii, który papież otrzymał w obecności Parysa de Grassi. Juliusz przeczytał najprzód po cichu radosne pismo, a potem z rozpromienioną twarzą zawołał: »Zwyciężyliśmy, Parysie, zwyciężyliśmy!« Parys rzucił się na kolana, aby podziękować Bogu i papieżowi, że uwolnił Włochy od jarzma barbarzyńców, poczem Juliusz raz jeszcze głośno list wszystkim przytomnym powtórzył. Nazajutrz, chociaż słaby, kazał się zanieść do S. Pietro in Vincoli i tam długo przed głównym ołtarzem gorąco się modlił, dziękując Bogu za szczęście, którego dożył. Dwudziestego czwartego czerwca jeszcze raz wrócił do swego tytularnego kościoła i w tamtejszym klasztorze przepędził cztery dni na rozmyślaniu i modlitwie. Rozporządził jednak, aby tymczasem odbywały się w całym mieście dziękczynne procesye, które się miały zakończyć wielką illuminacją miasta. A gdy wracał w lektyce 27 czerwca wieczór z S. Pietro in Vincoli do Watykanu, otoczony swoim dworem, cały Rzym zajaśniał od ogni. Ulicami przeciągały tłumy z pochodniami, każdy kardynał miał czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi niosących łuczywo, przed kościołami jaśniały całe snopy świateł, w oknach domów prywatnych paliły się pochodnie, lampy albo świece, ale najwspanialej wyglądał most św. Anioła i zamek, który się zdawał być jednym olbrzymiem ogniskiem. Z zamku były równocześnie działa, a lud witał wszędzie papieża okrzykiem



»Giulio! Giulio!« Tego samego dnia kazał papież rozpisać breve do wszystkich krajów chrześcijańskich, do Niemiec, do Hiszpanii, Anglii, Polski i Węgier, nawet do Cypru i Grecyi, aby urządzano procesye i nabożeństwa dziękczynne z powodu wielkiego zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi Stolicy Apostolskiej. Klasztorom i ubogim polecił Juliusz rozdawać jałmużnę, a kardynałowi Schinnerowi nadał hrabstwo Vigevano za ów list ze szczęśliwą wiadomością. Kościół św. Piotra otrzymał bogate paramenty i złote pallium »na chwałę Bożą i podziękowanie za uwolnienie Włoch« od nieprzyjacielskiej przemocy, Szwajcarom wreszcie nadał papież tytuł »obrońców wolności Kościoła«, auxiliatores sanctae Sedis apostolicae, i powysyłał pyszne sztandary do miejscowości, które na wojnę wysłały swój kontyngent. Niektóre z tych chorągwi zdobią do dziś dnia muzea kantonalne w Zurychu i w Bernie. Szwajcarom jednak bardziej chodziło o złoto, aniżeli o honorowe odznaki. Byli oni bardzo tkliwi na wysoki żołd i regularną wypłatę. Gdy raz kasyer papieski spóźnił się z przywiezieniem zaległych pieniędzy, ten sam obrońca Kościoła, kardynał Schinner, gniewnie przyjął go groźbą: »Gdybyście nie byli biskupem, kazałbym was powiesić«.

Podczas gdy o mury Rzymu odbijały się głosy radości, w Ferrarze panował głęboki smutek. Juliusz II odebrał Estom Modenę i Reggio, a zachodziła obawa, że odbierze wszystko. Książę Alfons postanowił więc udać się do Rzymu i prosić papieża o łaskę, a liczył na wstawienie się swego szwagra, margrabiego Mantuy, na poparcie posła hiszpańskiego i na pomoc Colonnów. Mianowicie liczył Alfons wiele na posła hiszpańskiego, ponieważ wiedział, że Hiszpania sobie nie życzy, aby Juliusz II urósł we Włoszech w zbytę potęgę. Colonnów ujął sobie Este, wzięwszy bowiem pod Rawenną Fabrizia Colonnę do niewoli, obchodził się z nim nie jak z jeńcem, lecz jak z przyjacielem; Colonnowie też z wdzięczności za tak rycerskie postępowanie wystarali mu się o list żelazny do Rzymu. Papież pozwolił Alfonsowi przybyć do stolicy celem układów i zapewnił mu wszelkie bezpieczeństwo. Książę stawiał się 4 lipca 1512 przed Juliuszem w pokorze, otoczony



orszakiem czterdziestu pięciu konnych. W orszaku był także poeta Aryost.

Zrazu wolno było bawić się Alfonsowi w Rzymie, zwiedzać starożytne ruiny, a nawet papież nie miał nic przeciwko temu, aby młody Fryderyk Gonzaga, który, jak niebawem zobaczymy, był wówczas zakładnikiem w Rzymie, dał obiad na cześć swego wuja. Uczta wypadła wspaniale; godziny spędzone w mieszkaniu markiza uprzyjemniali księciu muzykanci i błazny, których, jak się zdaje, papież wypożyczył. Ba, nawet bankier Chigi, który nic nie robił wbrew woli Juliusza, wydał bankiet dla znakomitego gościa; ale gdy przyszło do układów, papież stał się twardym, zdjął wprawdzie interdikt z księcia, żądał jednak, aby Estowie Ferrarę oddali Stolicy Apostolskiej, za którą im papież »hojnie« ofiarował małe Asti, albo Rimini. Na to się Alfons nie mógł zgodzić; Colonnowie starali się pośredniczyć, ale papież w niczem nie chciał ustąpić, a co gorsza, ksiązę czuł się w Rzymie niepewnym mimo listu żelaznego i obawiał się, że go Juliusz każe wrzucić do zamku św. Anioła. Papież powiedział posłowi weneckiemu, »że dał księciu glejt dla jego osoby, a nie dla jego państwa«, skoro zaś ksiązę nie chce oddać Ferrary, to i list żelazny nieważny.

Nie pozostało Alfonsowi nic innego, jak uciekać, a do wymknięcia się ze szponów straszego Juliusza dopomogli mu Colonnowie i ukryli go w zamku Marino; im bowiem także o to chodziło, aby papież nie posiadał Ferrary i nie stał się jeszcze silniejszym.

Z końcem września rozeszła się w Rzymie pogłoska, że Prosper Colonna chce w otoczeniu 600 jeźdźców wyprowadzić Alfonsa z Marino i z państwa kościelnego, a gdy się papież o tem dowiedział, kazał natychmiast rozstawić czaty, aby pochwycić uciekającego. Ale księciu wraz z towarzyszącym mu Aryostem udało się w przebraniu, po niesłychanych trudach i niebezpieczeństwach, szczęśliwie dostać do Florencji. Ariosto opisał ową ucieczkę w barwnym liście, wysłanym z Florencji do Ludwika Gonzagi, księcia na Sabbionecie, w którym się wyraża, że straszny Juliusz ścigał ich jak dzikie zwierzęta.



Gdy Francuzi opuścili półwysep, zebrał się kongres przedstawicieli świętej Ligi w sierpniu roku 1512 w Mantui, który miał rozdzielić, co się dało, pomiędzy zwycięzców. Przedewszystkiem chodziło o to, aby Florencję ukarać, że nie przystąpiła do związku, wiernie trwając w przymierzu z Francją, i zamiast rzeczywospolitej zaprowadzić tam napowrót rządu Medyceuszów. Wojsko hiszpańsko-papiejskie miało wykonać tę egzekucję. Przeprowadzenie mantuańskich wyroków było straszmem; Hiszpanie zdobyli florentyńskie Prato i pokazali tam, że umieją mordować i rabować, jak nikt inny w Europie. Florencya się poddała. Medyceusze wrócili, a z nimi rozszerzył się wpływ hiszpański i papież wkrótce się przekonał, że zamiast jednych »barbarzyńców«, Francuzów, wypiastował sobie drugich, o wiele gorszych, Hiszpanów.

#### IV.

Do nierozłącznych prawie towarzyszy Juliusza II należał Parys de Grassi, mistrz ceremonii, wielki pedant, jak na tego rodzaju dostojnika przystało, ale mający niemałą wobec potomności zasługę, że spisał duży dziennik, w którym notował wszystko, co mu się w życiu papieża pamięci godnem wydawało. Niestety Parys miał bardzo ciasny horyzont widzenia; najbardziej go obchodziło to, co do jego zakresu działania należało, a więc, jak papież przy tej lub owej sposobności był ubrany, czy miał na sobie stulę, czy wielki lub mały krzyż przed nim niesiono, ile kardynałów go otaczało, w jakim porządku siedzieli w stalach kościelnych duchowni dygnitarze, jakiego koloru był baldachim, pod którym szedł papież, i setki podobnych szczegółów. Szczęściem, że Juliusz II był człowiekiem ruchliwym, przenośli się z miejsca na miejsce i z mnóstwem ludzi miał do czynienia, więc mimowoli musiał Parys zapisywać wiele rzeczy, które potomność więcej zajmuje, aniżeli ilość kardynałów, towarzyszących papieżowi w procesyi. Pomimo więc, że Grassi tylko przygodnie podaje jakiś szczegół charakte-



ryzujący ludzi współczesnych i nie ma szerszego poglądu na wypadki, przecież jego dyaryusz stał się jednym z najważniejszych źródeł do obyczajowych dziejów Juliusza II, a później i do czasów Leona X, gdyż Grassi i za Medyceusza pozostał na swym urzędzie, tak że prawie lat trzydzieści służył Stolicy Apostolskiej.

Pochodził on ze starożytnej bolońskiej rodziny i bardzo był dumny ze swego szlachectwa; a gdy jadąc z Juliuszem do Bolonii, zobaczył na jakimś zamku herb rodzinny, cieszył się, jak gdyby spotkał dawnego przyjaciela. Grassi urodził się około r. 1450 i po raz pierwszy dostał się w roku 1473 do Rzymu, gdzie miał brata Achillesa kardynałem. Wogóle jego rodzina musiała się bardzo przejąć starożytnością i jakiegoś helenistę mieć w rodzie, gdyż oprócz Parysa i Achillesa, spotykamy pomiędzy Grassimi i Agamemnona. Parys poświęcił się w Rzymie stanowi duchownemu, a służbę publiczną rozpoczął w ciężkich warunkach, bo pod Cezarem Borgią, który go w r. 1494 mianował gubernatorem w Orvieto. Ale widocznie był zręcznym człowiekiem, gdyż jeszcze za Aleksandra VI został kanonikiem w S. Lorenzo in Damaso, a następnie »ceremonierem« nabożeństw papieskich i na tym urzędzie zastał go Juliusz II. Wielkim mistrzem ceremonii był jeszcze wówczas Burkhard, stary Niemiec, człowiek namiętny, zawistny, zazdrosny, który także spisywał dyaryusz o papieżach, będący również ważnym dla nas źródłem do historii Odrodzenia. Burkhard nie mógł znieść Grassiego, ponieważ widział w nim swego następcę; usuwał go więc od czynności urzędowych, gdzie mógł, i nie chciał w niczem zdradzić arkanów swego urzędowania. Szczęściem jednak dla naszego kanonika Niemiec umarł 17 maja 1506, a Grassi odetchnął, gdyż nienawidził tego człowieka, którego uważał za »najgorsze bydłę pomiędzy bydłętami«. Po śmierci swego pryncypała miał Grassi nie mało trudności, aby się odnaleźć wśród niezliczonych form i formułek, które stanowiły papieski ceremoniał. Burkhard bowiem z zazdrości, aby nikt po nim nie nauczył się tych wiekami uświęconych zwyczajów, nikogo w nie nie wtajemniczył, a zapiski swoje nau-myślnie notował jakimiś dziwacznymi literami, tak »że ani



dyabeł ani Sybilla nie byłiby w stanie chaosu tego zrozumieć». Powoli, z pomocą dawnych ksiąg stał się Grassi mistrzem w znajomości kościelnych obrzędów i tylko żał miał do Juliusza II, że nie zawsze chciał się stosować do jego przepisów. Gdy więc samowolny Juliusz przekroczył w czemkolwiek ceremoniał, Grassi uniewinniał się z tego powodu przed potomnością i notował w swoim pamiętniku, że papież tak sobie życzył, a nie inaczej, »sed Papa sic voluit«. I tak n. p. chciał Juliusz w tryumfie wjeżdżać do Rzymu po wyprawie bolońskiej w niedzielę palmową, Grassi jednak przedstawiał, że przecież nie wypada, aby namiestnik Chrystusa odnosił tryumf w dzień, kiedy cierpiał Zbawiciel, co jednak nie przekonało papieża; kazał milczeć zbyt pedantycznemu mistrzowi ceremonii i wjazd odbył się według najwyższej woli.

Pomimo podobnych zajęć lubił Juliusz II swego mistrza ceremonii i z czasem ponadawał mu sporo tłustych prebend. Grassi jednak miał dobry apetyt; nigdy mu tych donacyi nie było za wiele i korzystał z każdej sposobności, aby powiększać swoje dochody. Nie zawsze wszakże mógł żyć w spokoju; za panowania Leona X, w r. 1517, znalazł się jakiś biskup, i to aż z Korfu, nazwiskiem Christoforo Marcello, który wydał w Wenecyi drukiem »Ceremoniał rzymski« i nawet w Rzymie go sprzedawał. Tajemnice więc, których zazdrośnie strzegł Burkhard, i do których Grassi doszedł mozolnemi studyami, naraz stały się publiczną własnością. Urok, jaki otaczał wiedzę Parysa, mógł zniknąć. Ów biskup z Korfu wydrukował rękopis mistrza ceremonii papieskich nabożeństw za Innocentego VIII, Agostina Patrizi, i miał jeszcze tę śmiałość, aby poświęcić książkę Leonowi X. Nasz Parys nie mógł ochłonąć z oburzenia; przedstawiał całą sprawę jako zdradę największych religijnych tajemnic Stolicy Apostolskiej, jako karygodny plagiat i z pomocą kilku kardynałów chciał nakłonić papieża, aby wydał zakaz sprzedawania tego dzieła. Ale ani papież, ani większość kardynałów nie widziała w tej publikacyi tak nadzwyczajnego niebezpieczeństwa dla religii, jak się to Parysowi wydawało, i skarga mistrza ceremonii nie odniosła pożądanego skutku. Zrozpaczony Grassi



zaczął wtedy za swe własne pieniądze skupywać egzemplarze książki biskupa z Korfu i palić ten zniechęcony papier. W ten sposób osiągnął przynajmniej to, że owo pierwsze wydanie »Rzymskiego ceremoniału« stało się nadzwyczaj rzadkiem.

Grassi był wogóle człowiekiem energicznym, a chcąc swą wolę przeprowadzić, nie przebierał w środkach. Okazał to raz podczas żałobnego nabożeństwa w rocznicę śmierci Piusa III, 20 października 1508. Lud według zwyczaju rozrywał po uroczystości świece i inne przedmioty, które służyły do ozdoby katafalku, a celowali pod tym względem zakonnicy, wprawni w te kościelne rabunki. Otóż tym razem płótno, pokrywające katafalk, było ładnie malowane i kaznodzieja, który miał żałobną oracyę, chciał je dla siebie zatrzymać. Gdy też Grassi zobaczył zakonników rzucających się na to malowidło, schwycił jednego z nich za habit i odepchnął; inni ujęli się za swym towarzyszem i zaczęli się Parysowi odgrażać, że mu głowę rozbiją. Dzielny mistrz ceremonii tak wskutek tego wytargał za uszy i za włosy owego śmiałego mnicha, że inni ze strachu się rozbiegli, a lud śmiał się i cieszył, przyklaskując bohaterskiemu kanonikowi. Grassi bardzo był dumny z tego czynu i przekazał go potomności w swoich zapiskach.

Parys ukończył swój dziennik 9 grudnia 1521 opisem egzekwii Leona X. Od tej chwili nie mamy o nim bliższych wiadomości; tyle wszakże wiemy, że zmarł w Rzymie 10 czerwca 1528 i że został pochowany w kościele św. Piotra.

Szczerze Juliuszowi II oddanym, prawie domownikiem w Watykanie i prawą ręką papieża w sprawach publicznych był Sigismondo de Conti, kronikarz humanista, a przy sposobności wierszokleta łaciński, »artefice di versi latini«. Pochodził on z Foligno, gdzie został za Pawła II w r. 1466 konsyliarzem i strażnikiem miasta, »cancelliere e custode della città«, trzymał więc w jednej ręce księgę praw a w drugiej miecz. Kardynał Pietro Rovere, słynny nepot Sykstusa IV, będąc legatem Umbryi, poznał Sigismonda jako zdolnego człowieka i zabrał ze sobą do Rzymu, gdzie prowincjonalny humanista osiągnął niebawem w r. 1476 urząd skryptora,

de! 1503!



a następnie sekretarza Stolicy Apostolskiej. Odtąd służył on wiernie Roverom. W Rzymie wszedł Conti w towarzystwo humanistów, został członkiem akademii Pomponiusza Laeta i należał do jej znakomitości. Gdy po śmierci mistrza uczniowie obchodzili »parentalia«, rodzaj żałobnej uroczystości, deklamując w ogródku zmarłego wiersze, na jego cześć ułożone, występował i Sigismondo z jakąś, na smutną nutę nastrojoną elegią.

Conti był znakomitym stylistą i takim kaligrafem, jakby się urodził średniowiecznym mnichem, a przytem odznaczał się nieskazitelnymi obyczajami, żył przykładnie z żoną, którą przywiózł z Foligno, i umiał milczeć, co w służbie watykańskiej niemalą było zaletą. Sykstus IV używał go do samodzielnych misji dyplomatycznych, a kardynał Giuliano tak go polubił, że jak tylko został papieżem, mianował Sigismonda tajnym sekretarzem. Odtąd Conti nie opuszczał Juliusza aż do swej śmierci, do r. 1512, gdyż umarł przed papieżem. Omawiał z Juliuszem codziennie najważniejsze sprawy, nocował nawet najczęściej w Watykanie, pomimo że miał własny domek na Janikulu, gdzie żona jego mieszkała. Papież ufał mu zupełnie i był do niego przywiązany, jakby do najbliższego krewnego; chciał go nawet mianować kardynałem, ale w takim razie musiałaby była signora Conti wstąpić do klasztoru, czego sobie nie życzyła. Powierzył mu także papież przewodnictwo w najważniejszym przedsięwzięciu, jakie chciał w swym życiu do skutku doprowadzić, w budowie kościoła św. Piotra, i mianował go prefektem »della reverenda fabbrica di San Pietro«. Na tem stanowisku miał Conti sposobność zaprzyjaźnić się z Rafaelem, który mu wymalował Madonnę, zwaną di Foligno, i odportretował go tam jako donatora klęczącego przed Matką Boską, ubranego w czerwoną czapczkę, odznakę sekretarza papieskiego. U stóp Madonny widzimy na obrazie także św. Hieronima w kardynalskim stroju, ponieważ według tradycji święty ten był pierwszym sekretarzem apostolskim. Słynny ten obraz znajdował się za życia Contiego w Aracoeli, jako jego własność; siostrzenica Sigismonda zabrała go wszakże w r. 1565 do rodzinnego Foligno i umieściła cenne dzieło u zakonnic



w klasztorze św. Anny. Napoleon I kazał je zabrać do Paryża, a gdy Francuzi obraz oddali, wrócił on już do Watykanu, a nie do Foligno.

W wolnych chwilach pisał Conti wielką swą księgę, historię współczesną, w której nam pozostawił żywot Juliusza II. Dzieło to było tak cenione w XVI wieku, że Sigismonda uważano za najznakomitszego współczesnego historyka, a Bembo nazywa go »*nostri temporis historiographo*«. Ale to była sława chwilowa, przelotna, gdyż jego kronika napisana blado, a autorowi chodziło głównie o gładkość stylu łacińskiego; chciał być Ciceronem. O papieżach, o których głównie pisze, wyraża się tylko z pochwałami, osobistości nie umie charakteryzować, drobnych rysów, rzucających na nie jaśniejsze światło, prawie nigdy nie przytacza. Pod jednym wszakże względem staje się dla nas zajmującym: o Borgiach, na których zbrodnie się patrzył, o Aleksandrze VI mówi tak, jak o człowieku nie przekraczającym granic ówczesnej moralności; widocznie oko jego tak już stępiejało, patrząc się ciągle na społeczeństwo zepsute, że nawet Borgie nie byli dlań jakimś nadzwyczajnym zjawiskiem.

Juliusz II nie szukał przyjaciół; zamknięty w sobie, doradców nie potrzebował, własna głowa mu wystarczała; najwięcej też przestawał z dyplomatami, z posłami obcych mocarstw, z którymi mógł bezpośrednio traktować o interesach. Obok dyplomatów mieli do niego przystęp bankierzy, którzy mu dostarczali pieniędzy na wyprawy wojenne, a pomiędzy nimi wyjątkowe stanowisko zajmował Sienieńczyk Chigi. Ale o nim osobno mówić będziemy.

Z dyplomatów najwięcej może cenił Juliusz II Alberta Pia da Carpi, który przez dłuższy czas był posłem francuskim, a później cesarskim przy Stolicy Apostolskiej. Z Albertem łączyły papieża dawne stosunki.

Małe północnowłoskie dwory dostarczały przez długi czas papieżom, cesarzom, królom Francji i Hiszpanii sporo dyplomatów. Synowie lombardzkich rodów, wyćwiczeni od młodości w walce z mocniejszymi sąsiadami o utrzymanie odziedziczonego mienia, wprawni w prowadzeniu intryg, trzeźwi w zapatrywaniach, rzadko kiedy łudzący się pozo-



rami, znający wybornie świat i ludzi, przytem oczytani, obyci w towarzystwach, zręczni, głady w formach, nadzwyczaj się nadawali do służby dyplomatycznej. Jednym z najwybitniejszych typów tego rodzaju był Alberto Pio, wykształcony, wymowny, przytem przystojny, fizycznie silny, posiadający w wysokim stopniu talent przekonywania ludzi, których chciał ująć, umiejący być wiernym przyjacielem i niebezpiecznym wrogiem. Nieszczęściem jego życia była okoliczność, że połowa państewka Carpi należała do księcia Ferrary, a tylko druga połowa do niego. A że Alfons I chciał być właścicielem całego Carpi, więc walka z potężnym sąsiadem była ciężka, Alberto musiał zawsze szukać oparcia u nieprzyjaciół księcia Ferrary. To go zbliżyło do Juliusza II, a podczas swej kampanii przeciw Bolonii używał już papież Alberta do układów z Giovannim Bentivogliem. Pio okazał wtedy tyle zręczności, że Juliusz wynagradzając go za usługi, obiecał brewem z dnia 26 lutego 1507 otoczyć Carpi swoją opieką. Następnie używał go papież jako posła do Francji, gdzie Alberto tak się podobał Ludwikowi XII, że król mianował go swym posłem przy Stolicy Apostolskiej. Pio miał dopiero lat 33 i już zajmował jedno z najważniejszych dyplomatycznych stanowisk, a co więcej, głównie się przyczynił do zawarcia ligi w Cambray. Wtedy miał sposobność dać się poznać i cesarzowi Maksymilianowi, który mu nadał inwestyturę na całe Carpi i zaszczycił tytułem hrabiowskim, unieważniając roszczenia Alfonsa I do tego państewka. Była to wszakże donacya w teoryi, albowiem cesarz rezydował daleko, a ksiązę Ferrary był blisko ze swemi armatami. Ale łaska cesarska w inny sposób stała się Albertowi przydatną; gdy bowiem przyszło do wojny pomiędzy papieżem a królem Francji i Alberto jako blizki Juliuszowi II nie mógł być dłużej posłem Ludwika XII, wtedy Maksymilian powierzył mu w r. 1512 swoje sprawy przy Stolicy Apostolskiej. Na tak ważnych dyplomatycznych stanowiskach Alberto był zawsze lojalnym wobec Juliusza II i należał prawie do domowników papieża, pomimo że raz przyszło pomiędzy nim a papieżem do gwałtownego zajścia. Gdy bowiem Pio imieniem swego króla robił papieżowi przedstawienia, że



chce Francuzów wyprzeć z Genui, na co sobie Ludwik XII nie zasłużył, Juliusz z gniewem odpowiedział, że króla uważa za swego osobistego nieprzyjaciela i nie chce o nim więcej słyszeć, a posłowi drzwi wskazał, zastrzegając się przed dalszymi rozmowami w tej sprawie. Pio mieszkał nawet dłuższy czas w Watykanie, co się okazało bardzo pożytecznym. W chwili bowiem, gdy Juliusz umierał, a ludność rzymska, korzystając z bezkrólewia, jak zwykle chciała rabować Watykan, jedyny Alberto swoją powagą i stanowiskiem potrafił utrzymać porządek w pałacu.

Ten dyplomata, ten człowiek realnych interesów, miał dość czasu, aby zajmować się i naukami i brać żywy udział w rzymskim ruchu literackim. Uczeń sceptyka, filozofa Pomponaziego w Bolonii, przyjaciel i protektor Alda Manuzia, w młodości umysł szukający nowych dróg na podstawie badań przyrody<sup>1)</sup>, później oddał się nadzwyczaj gruntownym studjom teologii i scholastyki, tak odmiennym od krytycznych kierunków bolońskiej szkoły. Zdaje się, że go do tej zmiany zapatrywań skłoniły początki reformacyi, sądził bowiem, że w naukach teologicznych znajdzie broń przeciw prądom antykatolickim, które wcześniej może, aniżeli wielu innych współczesnych mu ludzi, uważał za szkodliwe a nawet groźne. Alberto był jednak zanadto człowiekiem Odrodzenia, aby poza teologią i scholastyką nie szukać zadowolenia w literaturze starożytnej i sztuce, a ile razy bawił w Rzymie, obcował z ludźmi uczonymi i artystami, a nawet uczęszczał na zebrania rzymskiej akademii, która za Juliusza II na nowo się rozwinęła.

Niektórzy historycy sztuki utrzymywali, że Alberto podał Rafaelowi myśl do tematów w pierwszej stanzie w Watykanie, zwanej della segnatura, bawił on bowiem właśnie w Rzymie jako poseł francuski (1509) wówczas, kiedy innych uczonych, przyjaciół Rafaela, jak Bemby, Bibbieni, a zwłaszcza Castigliona jeszcze tam nie było. Tematy do fresków w stanzach nie powstały jednak w pobieżny sposób, za poradą tylko tego lub owego z przyjaciół mistrza. Bez

<sup>1)</sup> Por. »Dwór w Ferrarze« str. 137—140.



głębszych studyów, bez przyzwolenia papieża nie się wtedy nie działo, zwłaszcza jeżeli chodziło o ozdobienie komnaty, w której miał pracować, która miała być jego »studio«. Juliusz II nie lubił apartamentów Aleksandra VI, gdzie mu wszystko Borgiów przypominało, więc chciał mieć szereg własnych komnat, a Paolo Giovio zapewnia, że Rafael wymalował pierwszy z tych pokoi według przepisów, a raczej według wskazówek samego papieża. To nie ulega wątpliwości, ale też i przypuścić trzeba, że sam papież jako człowiek mało odczytany w klasykach, a nawet niezbyt biegły w teologii, powoływał ludzi uczonych, aby z nim i z artystą owe tematy omówili, tem więcej, że chodziło o przedstawienie tak trudnych, abstrakcyjnych przedmiotów, jak teologia, filozofia, poezya i prawodawstwo. Zasięgał więc Juliusz II rady ludzi uczonych, a pomiędzy nimi był z pewnością i Alberto Pio. Ostatecznie jednak sam papież postanawiał, jakie tematy mają być wybrane, gdyż zanadto był samodzielnym umysłem, aby komu innemu w podrzędnych nawet sprawach pozostawiać ostatnie słowo.

Że Alberto wskutek obcowania w Rzymie z takimi artystami, jak Bramante, Rafael, Peruzzi i Michał Anioł musiał nabrać wprawy w traktowaniu rzeczy artystycznych, dowodzi tego do dziś dnia owo Carpi, które stworzył z małej nieznaney mieściny i zamienił w jedno z najbardziej zajmujących ognisk sztuki włoskiego Odrodzenia. Ale to Carpi, jak wspomniałem, było źródłem nieszczęść Alberta. Za młodu zaręczył się z córką Gonzagów z Mantui, wtedy, kiedy się jeszcze zdawało, że się potrafi utrzymać przy rodzinnem państewku. Gdy jednak później Alfons I z Ferrary wyciągnął chciwą rękę ku Carpi, markiz mantuański zerwał dawne układy. Alberto ożenił się później w Rzymie z Cecylią Orsini i miał z nią syna i dwie córki. Było to już za czasów Leona X, kiedy posłował imieniem cesarza Maksymiliana przy Stolicy Apostolskiej. Z Cecylią otrzymał w posagu kilka miasteczek w obrębie państwa papieskiego, a jeden z jego wielbicieli, Gianfrancesco Ciarlini, uwiecznił ten związek z Rzymianką nawet łacińskimi heksametrami.

Po śmierci cesarza Maksymiliana utracił Alberto stano-



wisko posła niemieckiego w Rzymie, opierał się bowiem jedynie na cesarzu. Niemcy wogóle go nie lubili i sądzili, że nie szczerze pilnuje ich interesów; przewalili go nawet dyabłem. Może w tej mierze mieli trochę słuszności, gdyż Alberto odwzajemniał im się, równie jak Hiszpanom, szczerą nienawiścią; był zawsze wiernym Stolicy Apostolskiej, pozostał w Rzymie nawet w czasie oblężenia z r. 1527, dzielił z Klemensem VII więzienie w zamku św. Anioła, gdzie się bardzo zbliżył do tego nieszczęśliwego papieża. Klemens zamianował go też później swym posłem na dworze Franciszka I w Paryżu, ale to były już lata moralnych i fizycznych cierpień Alberta. Umarła mu żona, umarł syn jedyny, a Carpi, w które włożył pracę niemal całego życia, przeszło wskutek klęsk politycznych w posiadanie księcia Ferrary. Na domiar złego tak strasznie cierpiał na podagrę, że miesiącami nie mógł wstawać z łóżka. Umysł jednak czynny, nie spoczywał nawet wobec grozy śmierci, a z owych czasów pochodzi jego uczona polemiczna rozprawa, która mu w dziejach ruchu reformacyjnego zapewniła niepoślednie miejsce. Jeszcze w Rzymie miał się Alberto przed znajomymi kardynałami bardzo niepochlebnie wyrażać o Erazmie Rotterdamskim, utrzymując, że Erazm nie ma prawa nazywać się filozofem lub teologiem, gdyż jest człowiekiem powierzchownym, nie posiadającym głębokiej nauki i że on jest właściwie tym złym duchem, od którego nauka Lutra pochodzi. Erazm, który wprawdzie sercem sprzyjał ruchowi reformacyi, ale nie chciał ze względów praktycznych zrywać z Rzymem i obawiał się narazić inkwizycyi, napisał list otwarty do Alberta, w którym zaprzeczał jego twierdzeniom i w ostrą się z nim wdał polemikę. »Wszystko dzisiaj tak rozjątrzone, mówi on pomiędzy innymi, że gdziekolwiek się zwrócić, stąpamy po gorącym popiele, pod którym ogień się żarzy; wszystko, czego się dotkniemy, zdaje się być bolącym wrzodem, pod każdym kamieniem śpi wąż jadowity«. Na ten list odpowiedział Alberto długą rozprawą, którą, już chory, dyktował swemu sekretarzowi w Paryżu i w sposób bardzo spokojny starał się zbijać twierdzenia reformatorów, a przede wszystkim Erazma, bronić zasad wiary i dotychczasowej



nauki. Rozprawa ta napisana była tak poważnie, że treścią swą i stylem odbija od owych pism namiętnych, które wówczas podburzały umysły całej Europy. Ale wyszła już po śmierci Alberta i wywołała odpowiedź Erazma, uderzającą w sposób zjadliwy na zmarłego. Albert nie mógł już odpowiedzieć, lecz obronił go przyjaciel uczony, Johannes Sepulveda, w piśmie, które się stało prawdziwą apologią tego rzadkich zalet człowieka.

Stoi on obok Baltazara Castigliona, jako jedna z najpiękniejszych postaci włoskiego Odrodzenia. Castiglione począwszy od r. 1505 często także bywał w Rzymie i jak zobaczymy, ważne zajął stanowisko w tamtejszym świecie literackim i artystycznym.

## V.

Humaniści dużo mówili, dużo pisali, stało się to ich przyzwyczajeniem i potrzebą życia. Zakładanie akademii, schadzki u przyjaciół, u protektorów, wszystko to wynikało z namiętności rozprawiania, spierania się, a nawet walczenia zjadliwem słowem i obelgą. Korzystali więc z wolności, jaka panowała za Juliusza II, i prowadzili nader ruchliwe życie towarzyskie. Każdy trochę zamożniejszy i chcący się w społeczeństwie odznaczyć kardynał, prałat lub świecki uczony, gromadził u siebie czasami literatów. Papież zanadto był zajęty sprawami państwa, aby się mógł oddawać kierowaniu ruchem umysłowym; on robił, co do niego należało, sprowadzał profesorów do rzymskiego studio, popierał ludzi zasłużonych w nauce, ale się bezpośrednio nimi nie otaczał. Nie miał na to czasu i sam nie był uczonym. Gdy Michał Anioł, modelując statuetkę papieża w Bolonii, zapytał go, co brązowy Juliusz ma trzymać w lewej ręce, czy książkę? — żywy papież szybko odpowiedział: »Miecz, miecz; ja nie jestem uczonym!« Rozprawy też, zwłaszcza drobiazgowy, humanistyczne, nie bardzo go zajmowały; zresztą nie lubił i nie umiał mówić, nie chciał zbyt odsłaniać swych słabych stron. W czasach, kiedy wymowa, krasomówstwo



należało do konieczności dobrego wychowania, brak łatwego wysławiania się uważany był za wielki błąd. Juliusz nie bał się kul armatnich, nie wahał się wyrzucić za drzwi posła francuskiego, ale gdy przyszło rozprawiać wśród uczonych, bladł, mieszał się, pomimo że mów swych przez trzy dni naprzód uczył się na pamięć. Grassi opowiada, że gdy Juliusz II miał przemawiać w konsystorzu, wydawał się jakby strętwiały, a usłużny mistrz ceremonii musiał mu słowa podpowiadać.

Jeżeli więc w Watykanie literaci się nie zbierali, to poza pałacem papieskim mieli domów bez liku, w których się wygadać mogli. Nawet u jednej z kobiet wyższego towarzystwa, u Felicji della Rovere, bywały czasami gościnne przyjęcia dla uczonych, co wówczas w Rzymie należało do wielkich wyjątków, jeżeli się pominie zebrania u znakomitszych kurtyzan. Felicja zawiązywała stosunki z uczonymi Grekami; pomiędzy innymi bywał u niej Scipione Carteromaco, przez jakiś czas dworzanin kardynała Galeotta Franciotta della Rovere, a Aldo Manuzio należał do jej przyjaciół. Zawsze stały otworem dla uczonych podwoje komnat u kardynałów Giovanniego de' Medici, Oliviera Caraffy, Galeotta della Rovere, Riaria, a nawet u biskupa pawijskiego, Francesca Alidosiego, którzy szczególną opieką otaczali artystyczne i literackie koła.

Więcej przyjacielską cechę nosiły zebrania u samych uczonych, jak u Contiego na Janikulu, u bibliotekarza Ingheramiego. Ponieważ zaś mieszkania tych humanistów zwykle były bardzo małe, więc się zdarzało, że gość, gdy za późno mu było wracać do domu, zjadł skromną wieczerzę z gospodarzem i zostawał na noc u niego, a według ówczesnego zwyczaju kładł się z nim do tego samego łóżka, aby jeszcze dalej prowadzić rozmowę o Ksenofoncie albo Cyceronie. Gdy Erazm Rotterdamski bawił w Rzymie, odwiedzał go często po południu Carteromaco i zazwyczaj tak długo rozprawiali, że helenista zostawał u niego na noc i obydwaj spali na tym samym materacu. Podobne niewygody nie zrażały uczonych, a Erazm wyjeżdżając z Rzymu, tak był tamtejszym życiem zachwycony, że »nie mógł zapomnieć i przeboleć



tych miłych przechadzek wśród ruin, tego spokoju usposabiającego do studyów, tych bibliotek, tego tłumu ludzi uczonych, będących świecznikami społeczeństwa, tego ogniska, gdzie nauka zaszczyt przynosi».

Osobliwie liczne księgozbiory, których w takiej ilości i w takim doborze nie było w żadnym innym mieście, zachwycały uczonych. Oprócz z Watykanu mogli korzystać z biblioteki kardynała Grimaniego, liczącej 8000 tomów, którą właściciel zapisał później swemu rodzinnemu miastu Wenecyi, i rozczytywać się w innych księgozbiorach kardynałów, a zwłaszcza klasztorów, które dla ludzi zajmujących się naukami stały otworem.

Każdy niemal uczony cudzoziemiec znalazł w Rzymie grono swoich rodaków, zajmujących się studyami, tak że nie czuł się tam obcym. Istniały towarzystwa angielskie, flamandzkie, francuskie, hiszpańskie, a Niemcy mieli w Rzymie bardzo popularnego przedstawiciela, Goritza z Luksemburga, którego pospolicie zwano Coriciem. Coricio, pomimo że nie był zbyt zamożnym, nie odznaczał się zbyt wielkim talentem, umiał swoją uprzejmością, dobrocią i gościnnością tak sobie pozyskać uczonych, że się u niego zgromadzały najwykwintniejsze umysły Rzymu. Erazm nazywa go najczystsza duszą, »vir candidissimi pectoris«. Miał on willę i ogród położony na pochyłości kapitolijnskiego wzgórza, który zwano bosco di Coricio. W cieplejszej porze zastawiał Luksemburczyk pod drzewami cytrynowemi, pod wawrzynami stoły ze skromnem śniadaniem i tam rozprawiano o starożytności, o niedoścignionych, klasycznych autorach. Otoczenie usposabiało do takiej rozmowy; Coricio zebrał mnóstwo starożytnych marmurów, sarkofagów i tablic z napisami; miał i pięknie rzeźbioną cysterne, na której kazał wyryć słowa: »Nimphae loci. Bibe, lava, tace, Coricius«. Wyraz »tace«, milcz, miał u niego ważne znaczenie, gdyż nigdy obmowa, złośliwa uwaga o znajomych z ust jego nie wyszła. Blossio Palladio poświęcił mu w r. 1524 książkę zbiorową, zawierającą wiersze stu trzydziestu poetów, pomiędzy którymi znajdują się nawet bardzo udatne. Podczas rabunków, których się wojska Burbona w r. 1527 dopuszczały, własni ziomkowie Coricia,



niemieckie landsknechty, rozproszyli całe mienie poczciwego starca i tak go znękali, że biedak w rozpacz, z rozdartem sercem uciekł z ukochanego Rzymu, aby się dostać do ojczyzny; ale nie miał już sił do przebycia Alp i w drodze, w Mantui umarł.

Wielce charakterystycznym dla stosunków towarzyskich za Juliusza II jest opis, jaki Erazm Rotterdamski podaje o swoich odwiedzinach u kardynała Dominika Grimaniego. Kardynał mieszkał obok kościoła św. Marka, w dzisiejszym Palazzo di Venezia, a wiedząc, że Erazm bawi w Rzymie, zapraszał go kilkakrotnie, aby przyszedł do niego na pogadankę. Północny uczony nie lubił wszakże odwiedzać kardynałów i wogóle ludzi wysokie zajmujących stanowiska, gdyż się obawiał zbyt protekcyjnego przyjęcia. Ale nareszcie, na wyjeździe z Rzymu, »więcej dla przyzwoitości, aniżeli przyjemności«, wybrał się jednego popołudnia do pałacu Grimaniego. Jechał konno, według zwyczaju, koło niego szedł służący; a gdy zsiadł ze swego rumaka na wielkiem podwórzu, obejrzał się, chcąc zapytać o kardynała, ale nie widać było nikogo ani we drzwiach, ani w oknach, służba drzemiała po kątach. Zostawił więc konia, a sam poszedł na zwiady. Na piętrze zaglądnął do pierwszego otwartego salonu, następnie do drugiego i trzeciego, ale nigdzie nie spotkał żywego ducha. Przy ostatnich drzwiach wreszcie stała jakaś osóbką z ogoloną głową, pilnująca otwartych drzwi do kardynała. Był to lekarz Grimaniego, Grek. Erazm pyta go, czy kardynał w domu; grecki człowieczek odpowiada, że jest, ale rozmawia teraz z jakimś panem rzymskim. »A czego sobie Messer życzy?« pyta nawzajem Grek i »czy mam uwiadomić kardynała?« Erazm jednak szczęśliwy, że Grimani nie ma czasu, chce wyjść; ale Grek mu zastępuje drogę i prosi, aby powiedział swoje nazwisko, a dowiedziawszy się, że cudzoziemiec jest słynnym humanistą, szybko znika i jeszcze szybciej wraca, prosząc go do kardynała. Grimani przyjmuje Erazma z szczerą grzecznością włoskich magnatów, nie jako mało znaczącą osobistość, lecz niemal jak dobrego znajomego, jak znakomitego prałata. Przysuwa mu krzesło, nie pozwala zdjąć kapelusza i natychmiast zawią-



zuje się żywa rozmowa, która trwa przeszło dwie godziny. Wreszcie uprzejmy kardynał pozwala Erazmowi odejść, ale namawia go, aby został w Rzymie, który żywi wielkie umysły, i zachęca, aby przyjął gościnę w jego domu i dzielił z nim jego życie. Grimani zapewnia, że klimat rzymski będzie bardzo odpowiadał jego wątłemu zdrowiu, a osobliwie w tej części miasta, w której mieszka; papież Paweł II zbudował pałac św. Marka właśnie tutaj ze względu na bardzo zdrowe położenie. Przed rozstaniem się z Erazmem kazał kardynał poprosić jeszcze swego siostrzeńca, kilkunastoletniego chłopaka, który był już arcybiskupem. Gdy młody dygnitarz wszedł do pokoju, nie pozwolił gospodarz wstać z krzesła Erazmowi, dodając grzecznie, że nie przystoi, aby mistrz wstawał wobec ucznia. Po krótkiej rozmowie z młodzieńcem, zaprowadził Grimani Erazma jeszcze do swojej sławnej biblioteki, a Rotterdamczyk rozstał się z Wenecyaninem pod jego urokiem.

»Gdybym tego człowieka poznał był pierwej, kończy Erazm swoje opowiadanie, nie byłbym Rzymu opuścił, gdzie doznałem przyjęcia, przechodzącego zasługi. Ale mój wyjazd był postanowiony, nie mogłem tam pozostać dłużej. Kardynał też przestał mnie namawiać, ale prosił kilkakrotnie, abym nie wątpił w szczerość jego zaprosin i nie sądził o nim, jak o zwykłych dworzanach«.

Erazm spieszył się do Anglii, gdyż Henryk VIII, jego uczeń, wstąpił na tron, więc spodziewał się dojść do wysokiego stanowiska. Opuściwszy jednak stolicę papieską otrzeźwiał trochę z rzymskich zachwyków, właściwy mu zmysł krytyczny zaczął roztrząsać tamtejsze wrażenia i jeszcze w drodze do Londynu napisał »Pochwałę głupstwa«.

Osobliwie raziło go w Rzymie osłabienie wiary; znalazł wprawdzie wielu ludzi szczerze wierzących, ale koła osób wykształconych przejęte były tradycjami Pomponiusza Laetusa, bezwzględna czcąc dla starożytnego poganizmu. Ta »sodalitas pagana«, dbająca więcej o literaturę, aniżeli o religię, wydawała mu się szkodliwą. Mówiono mu, że w Wielki piątek będzie miał jeden ze sławnych kaznodziejów kazanie wobec papieża, że trzeba, aby poszedł posłuchać znakomi-



tego oratora. Erazm udał się do kościoła, zgromadzenie było bardzo liczne, Juliusz II otoczony kardynałami siedział na przeciwko mównicy. Kaznodzieja rozpoczął pochlebstwami na cześć papieża i jego wojennych czynów, nazwał go Jowiszem, »Jupiter optimus maximus«, rzucającym gromy ze swego tronu i rządzącym światem, a przeszedłszy do właściwego przedmiotu, za ledwie wspomniał o Chrystusie i o krzyżu, a natomiast rozwodził się o poświęceniu Decyuszów, o Kurcyuszu, o Ifigenii i miał niemal wykład z historii starożytnej. Ale mowa była wypowiedziana stylem zapożyczonym z Cicerona i zrobiła wielkie wrażenie w kołach humanistów.

## VI.

W drugiej połowie panowania Juliusza II znajduje się w najbliższym jego otoczeniu młodzieniec, który na poważnym, a czasem nawet ponurym wówczas dworze rzymskim odgrywa sympatyczną, ożywczą rolę. Był nim Fryderyk Gonzaga, syn markizy Izabelli z Mantuy.

Cesarz, chcąc utrzymać markiza mantuańskiego po swojej stronie, a nie bardzo ufając umowom z nim zawartym, żądał od niego jako zakładnika dziesięcioletniego syna Fryderyka. Markizę doprowadzało do rozpaczki to żądanie, dwór cesarski bowiem nie słynął z dobrych obyczajów; troskliwa matka obawiała się więc, że chłopak dostanie się w złe towarzystwo, co wpłynie niekorzystnie na jego wychowanie. Izabella posłała też swego ajenta, Donata di Preti, aby przedstawił cesarzowi, jakiby to dla niej był straszny cios, gdyby się musiała rozstać ze swym ulubieńcem i powierzyć go obcym ludziom. Cesarz odstąpił od swego żądania, które Izabella nazywała »impia domanda«, ale rzecz na tem się nie skończyła. Juliusz II zamianował w lecie roku 1510 markiza mantuańskiego gonfalonierem Kościoła na miejsce księcia Ferrary, który popadł w niełaskę, jednak równie jak cesarz nie bardzo Gonzadze dowierzał. Znowu więc papież zażądał od markiza, żeby Fryderyka przysłał do Rzymu jako porękę, że będzie szczerze pilnował interesów Kościoła. Temu posta-



nowieniu już się nie sprzeciwiała Izabella, spodziewając się, że pobyt chłopaka w Rzymie przyczyni się do jego wykształcenia i że tam będzie miał dobrą sposobność poznać znakomitych ludzi. Papież więcej jeszcze ufał Gonzadze, aniżeli Izabelli, był bowiem przekonany, że markiza wszelkimi sposobami gotowa popierać swego brata Alfonsa i że jest niebezpieczną nieprzyjaciółką. Izabella d'Este bardzo się w rzeczywistości różniła od tej idealnej istoty, za jaką ją do ostatnich czasów przedstawiano. Pierwszorzędną intrygantką i według wyrażenia własnego męża, »una donna di sua opinione«, która zawsze i wszystko chce robić na swój sposób i swoją głową, z markizem nie żyła w zupełnej harmonii, a oboje byli w tej mierze trochę winni. Gonzaga chętnie romansował z damigellami i w stosunkach swych nie był wybrednym. To markizę gniewało, wskutek czego przychodziło pomiędzy małżonkami do scen bardzo gwałtownych. Raz stała się powodem takiego zajścia dworska panna, Isabetta Tosabezzi, którą markiza podejrzewała o stosunek z markizem. Schwyciła ją też Izabella za włosy, targała, biła, krzycząc ciągle: »Teraz idź, nimfo, do pana«, »va mo', fa la nimpha al Signore«. Szczęściem przyjechał wtedy kardynał Giovanni de' Medici a następnie Ariosto i domowa burza w Mantui trochę się uspokoiła.

Nawzajem markiz miał niejedno do zarzucenia małżonce. Osobliwie podejrzewał ją o zbyt wielką sympatyę dla Ludwika Sforzy Mora, gdyż tak w Medyolanie, jak i w Wenecyi, bawiono się plotkami o tym stosunku.

Juliusz II miał więc słuszność, żądając od Gonzagów syna za zakładnika.

Wyjeżdżającego do Rzymu ukochanego syna zaopatrzyła Izabella w bransoletę z relikwiami, dodała mu za towarzyszy zaufanych dworzan, Stazia Gadia i Mattea Ippoliti, tudzież lekarza Łukasza dei Coffani, oprócz zwykłej służby, a po drodze w Bolonii kazała wymalować jego portret.

Papież przyjął bardzo serdecznie Fryderyka jako krewnego Roverów, kazał mu dać świetne mieszkanie w Belwederze, gdzie osobliwie z logii, urządzonej na jadalny pokój, przepyszny był widok, i tak dbał o to, aby chłopiec za



matką nie tęsknił, że posyłał mu codziennie dla rozrywki to muzykantów, to kuglarzy, to poetów, którzy wiersze deklamowali.

Zresztą Fryderyk zadziwiał wszystkich swem dobrem zachowaniem się, a przyjaciel markizy, Bibbiena, pisał do niej, że marchesino jest nad wiek rozumny i poważny, że bardzo uprzejmy i ludzki, a schlebając jej, wykrzykuje w liście: »Oh madama V. ha il raro figliolo!« Wkrótce stał się młodzieniaszek ulubieńcem rzymskiej publiczności; przystojny, gdy wyjeżdżał na swym pięknie przybranym koniu, zwracał powszechną uwagę. Nosił beret z białego aksamitu z agrafą, na której były dyamentami wypisane litery A. C. R. V. Dewiza ta rozciekawiająca rzymską publiczność miała znaczyć: Amor caro ritorna vivo. Unico Aretino, inny przyjaciel markizy, o którym później mówić będziemy, oprowadzał Fryderyka po ruinach Rzymu, jeździł z nim na Kapitol i do Colosseum. W domu uczył się młodzieniec pilnie Wergiliusza na pamięć i recytował Eneidę przed Ausonim, preceptorem synów Bartłomieja della Rovere, który codziennie do niego na lekcye przychodził. Zdaje się jednak, że chłopak nie bardzo jeszcze to pojmował, czego się uczył, gdyż dopiero w rok później pisze jeden z korespondentów markizy, że Fryderyk zaczyna rozumieć Wergiliusza. Z rówieśnikami, z młodymi Roverami bardzo się marchesino zaprzyjaźnił, wspólnie brali lekcye tańca a la francesca i konnej jazdy a la spagnola. Czasami robili wycieczki, a nawet raz zabrał Fryderyk jednego z nich na swego konia »in croppa« i pojechali na tak daleki spacer, że aż późnym wieczorem wrócili.

Stazio Gadio zdawał często sprawę markizie z najdrobniejszych szczegółów życia jej syna, a listy te pozwalają nam poznać stosunek Fryderyka do papieża. Juliusz II nadzwyczaj chłopaka polubił, chciał go mieć zawsze przy sobie, a Fryderyk starał się też papieżowi przypodobać i niebawem tak dobrze poznał słabostki starca, że go zawsze umiał w dobry humor wprowadzić i nawet łagodzić największe wybuchy gniewu. Gdy papież wyjeżdżał do Bolonii w r. 1510, zabrał Gonzagę ze sobą. Tam również, jak<sup>1</sup> w Rzymie, publiczność polubiła marchesina, a gdy raz jego koń zwyciężył



na wyścigach i młody właściciel otrzymał jako palio ośmaście łokci złotem tkanego brokatu, popołanie na całe gardło krzyczeli: »Turco! Turco! Mantua! Mantua!«

Szczerze mówiąc, Fryderyk musiał być z natury bardzo dobrym charakterem, jeżeli się gruntownie nie zepsuł w rzymskim otoczeniu przyjaciół markizy. Gdy Juliusz II wyjechał z Bolonii, aby rzucać pioruny na Mirandolę, marchesino został w mieście wśród takich hulaków, jak Bibbiena i poeta Molza, i szczęście, że mu papież pozwolił stamtąd wyjechać do Urbino na karnawał r. 1511, gdzie znalazł się w przyzwoitszem towarzystwie. Ale w Urbino znowu czekało na niego inne niebezpieczeństwo; dworskie damigelle zastawiały na niego swe sidła. Nikt się jednak tem nie gorszył, a sama markiza matka bynajmniej mantuańskim damigellom tego za złe nie brała, że pisały do piętnastoletniego Fryderyka miłosne listy. Obok zabawiania się z pannami w Urbino musiał młody markiz znaleźć czas i na poważniejsze zajęcia; zaczął tam bowiem uczyć się śpiewać i grać na klawikordzie, a prócz tego jeszcze powtarzać Wergiliusza na pamięć.

W kwietniu r. 1511 wrócił Fryderyk do Rzymu z papieżem, który coraz bardziej się do niego przywiązywał, tak dalece, że chciał go zawsze mieć przy swoim stole i cieszył się, gdy Gonzagę uroczystie przyjmowano. Doszło do tego, że senatorzy i konserwatorzy dali obiad dla Fryderyka na Kapitolu, po którym grano Menechmów Plauta.

Otoczenie Juliusza II tak o tem wiedziało, że nie można mu większej zrobić przyjemności, jak chwalić Gonzagę, że na jednym z obiadów papieskich jakiś poeta wypowiedział wiersz na cześć Fryderyka. Papież życzył sobie także, aby go Rafael odportretował w jednym z fresków stanzы della segnatura, co się też stało, a piękna głowa młodzieńca o kędzierzawych jasnych włosach w »szkole ateńskiej« ma być głową marchesina.

Juliusz II lubił wycieczki na wieś albo nad morze i jak tylko miał czas i zdarzyła się ku temu sposobność, opuszczał Watykan, aby odetchnąć innem powietrzem i cieszyć się widokiem pięknej przyrody. Na te wycieczki zabierał zawsze ze sobą Fryderyka. W sierpniu r. 1511 pojechał papież na



kilka dni do Ostyi, tam polował, a gdy zastrzelił bażanta, tak się śmiał i cieszył, jak gdyby jaki nadzwyczajny odniósł tryumf. Obnosił zabitego ptaka, szczycił się, że jest dobrym strzelcem i każdemu z otoczenia pokazywał swoją zdobycz.

Ostya w lecie z powodu malaryi bardzo była niebezpieczną; Juliusz II zachorował tam na febrę i musiał pospiesznie wracać do Rzymu. Zawołano przede wszystkim nadwornego lekarza, żyda, rabiego Samuela Zarfati, następnie innych doktorów; ale papież w gorączce gniewał się, rzucał, przeklinał, wołał na Fryderyka, aby tych hiszpańskich żydów, tych maranów przez okno powyrzucał. Tak na całe otoczenie wymyślał, że nikt już do niego nie chciał przystąpić i jedynie młody Gonzaga potrafił go ułagodzić i namówić, aby zażywał przepisane lekarstwo i czemś się posilił, gdyż nic jeść nie chciał. Gonzaga przyniósł choremu do łóżka filiżankę rosółu z dwoma żółtkami i prosił, aby wypił, jeżeli go kocha i jeżeli kocha loretańską Madonnę. Papież wypił rosół, lecz następnego dnia była jeszcze trudniejsza z nim sprawa; przyniesiono mu wprawdzie dwa jaja, Juliusz jednak zacisnął zęby i nie chciał nic jeść. Jak tylko kogo obcego zobaczył w komnacie, wołał, aby go przez okno wyrzucono. Jeden z przytomnych w Watykanie prałatów, biskup z Ivrei, utrzymywał, że papież chce się głodem zamorzyć: tak go to gniewało, że francuscy kardynałowie w porozumieniu ze swym królem zwołali koncylium do Pizy, które miało Juliusza detronizować.

Po pierwszym ataku febry papież się uspokoił; 24 sierpnia zrana kazał przywołać spowiednika, przyjął komunię i zrobił testament; krewnych swych polecił opiece kardynała Riaria i kazał rozdzielić pomiędzy nich 34.000 dukatów. Ale po tem chwilowem polepszeniu nastąpiło znowu pogorszenie; papież przez cztery dni nic nie wziął do ust, lekarze go odstąpili, uważając śmierć za niechybną. Kollegium kardynałów się zgromadziło, wydano rozporządzenia co do pogrzebu, co do egzekwii i przyszłego conclave. Krewni Juliusza wszakże w porozumieniu z jego kamerdynerem sądzili, że papież umiera z głodu, a nie wskutek febry, i kazali przywołać ja-



kiegoś innego lekarza, Scipiona Lancelota, który pozwolił choremu wszystko jeść, na coby miał tylko ochotę. Papież zażądał owoców, przyniesiono mu brzoskwinie, śliwki, orzechy, a ponieważ szczególnie pragnął małych cebulek i poziomek, więc i tych mu nie szczędzono. Uczta ta wskrzesiła papieża; zrazu żuł tylko owoce, później zjadł kilka brzoskwiń i śliwek, napił się małmazyi i zasnął. Dwa dni trwało pasowanie się ze śmiercią, silna natura jednak zwyciężyła; w kilka dni, 30 sierpnia, papież odżył, jadł, pił, rozmawiał, śmiał się nawet i zupełnie wyzdrowiał. A czas był już najwyższy, aby się w Rzymie dowiedziano, że Juliusz, »il terribile«, żyje.

## VII.

Jeden z korespondentów margrabiny Izabelli donosił jej w czasie choroby Juliusza II, że w Rzymie niewidziane zamieszanie: ludzie biją się, rabują, mordują po ulicach, pospólstwo nikogo się nie boi, nikogo nie słucha. W tym chaosie zaraz się rzymska szlachta obudziła, Colonnowie podnieśli głowy. Małżeństwo Marcantonio z nepotką Juliusza bynajmniej ich nie zaspokoilo; byli oni przekonani, że papież krzywdzi Colonnów, nie powoławszy żadnego z ich rodu do świętego Kollegium. Uważali za wiekami uświęcone prawo mieć własnego kardynała w Rzymie, a tymczasem Juliusz, nie chcąc wzmacniać potęgi rycerstwa, które tyle klęsk przyniosło papieżstwu, wykluczał ich od purpury. A był właśnie pomiędzy Colonnami człowiek bardzo zdolny, ambitny, dumny, porywczy, którego rodzina przeznaczyła na kardynała, Pompeo, syn Girolama, który w r. 1482 poległ podczas rzymskiej rewolucyi. Stryjowie, Prospero i kardynał Giovanni, wychowali go do stanu duchownego, ale młody Pompeo zaciągnął się do szeregów Gonsalwa w neapolitańskiej wojnie i walczył dzielnie w bitwie nad Liris w r. 1503. Prospero prawie go zmusił, aby został księdzem, gdyż inaczej nie mógłby dziedziczyć olbrzymich beneficjów po kardynale Giovannim. Gdy też Giovanni umarł w r. 1508, zamianował



Juliusz Pompea biskupem w Rieti, opatem w Subiaco, tudzież w Grottaferrata. Mimo to czuł się Pompeo pokrzywdzonym, gdyż nie został kardynałem, tem bardziej, że z wielkich rodów rzymskich nie było wówczas żadnego przedstawiciela w świętem Kollegium. Dotychczasowi ich zastępcy, jak Colonna, Orsini, Savelli i Cesarini, powymierali. Na wiadomość więc, że Juliusz II niebezpiecznie chory, udał się Pompeo czem prędzej do Rzymu, porozumiał się z innymi przewodcami szlacheckich rodów, jak z Robertem Orsinim, synem zamordowanego przez Borgiów Pawła, Jerzym Cesarinim, Antymem Savellim, pojechał na Kapitol i tam wobec licznego zgromadzenia dał hasło do rewolucyi przeciw rządowi księży, gubiących lud i szlachtę.

Pompeo wystąpił z całą namiętnością Colonna i Gibellina, zachęcał do wskrzeszenia rzeczypospolitej rzymskiej, mówił, że wstydem jest, aby życie i mienie obywateli było łupem chciwości duchowieństwa, które odebrało Rzymowi wszelkie odziedziczone po przodkach prawa, z ludu zrobiło niewolników, a z senatorów śmieszne manekiny, ustrojone w złociste brokaty. Dwa tylko, sądził Colonna, istnieją podobne do siebie rządy, papieski i sultański w Egipcie. Ale w Egipcie przodują przynajmniej ludzie zdolni do oręża, a w Rzymie panuje zniewieściała i próżniacza kasta księży. Pompeo wzywał ludność, aby się zbudziła z letargu i aby każdy przypomniał sobie, że jest Rzymianinem.

Mowa Pompea zrobiła wielkie wrażenie; konserwatorzy Marcantonio Altieri, uczeń Pomponiusza Laetusa, i Giulio Stefanuccio podali wniosek, aby lud uzbroić i zmusić kardynałów do przywrócenia jego dawnych wolności. Uchwalono obsadzić zamek św. Anioła na zawsze ludową milicyą i żądać, aby w świętem Kollegium zasiadał jeden kardynał, wybrany z pomiędzy rzymskiej szlachty. Po mieście rozeszła się wieść, że Colonnowie i Orsini sprzysięgli się, aby zrabować castello S. Angelo, gdzie był zamknięty skarb Juliusza II, i zmusić conclave, aby wybrało papieżem Rzymianina. Lud zresztą nie czekał na postanowienia starszyny na Kapitolu, lecz zaczął rabować Watykan, a służba papieska w porozumieniu ze swymi przyjaciółmi z miasta wynosiła, co mogła,



z pałacu, nawet kościelne przedmioty. Dopiero 30 sierpnia kazali kardynałowie zamurować bramy w Watykanie, z wyjątkiem jednej, przy której ustawiono sześć armat i oddział gwardyi szwajcarskiej.

Gdy się jednak 28 sierpnia rozeszła wiadomość, że papież ma się lepiej, paniczny strach ogarnął kardynałów i przywódców szlachty rzymskiej, liczących na pewną śmierć Juliusza. Sanuto opowiada, że niektórzy purpuraci wydawali się jakby martwi z przerażenia. Zawziętość wielu prałatów przeciw Juliuszowi II dochodziła do tego stopnia, że biskup Ludwik Canossa napisał 7 września 1511 do markizy mantuańskiej list, w którym się żali, że mu zginął pies, którego od niej dostał w podarunku, i dodaje, »że śmierć Perotina bardzo mu była przykra; lepiej, żeby zeszło z tego świata to inne zwierzę, uno altro animale, niepotrzebne naszemu wiekowi«. Jeżeli jednak biskup śmiał coś podobnego o Juliuszu II pisać do markizy, to widocznie wiedział o tem, że i w Mantui znajdzie sympatyczne echo dla owych wyrazów.

Pompeo Colonna wraz z innymi baronami, chcąc się szybko wycofać z owej zamierzonej rewolucyi, zamienił ów zjazd, mający powalić rządy papieskie, na pokojowe święto. Już od niejakiego czasu powstała myśl, aby ze względu na koncylium Lateraneńskie, które wkrótce miało być zwołane, i ze względu na cudzoziemców, którzy się z tego powodu zjadą do Rzymu, doprowadzić do zgody pomiędzy Colonnami a Orsinimi i wogóle do porozumienia pomiędzy szlachtą, aby owe domowe niesnaski nie sprawiały na cudzoziemcach niekorzystnego wrażenia. Obecnie więc zwołał Altieri zgromadzenie szlachty i patrycyatu na Kapitol i tam w gorącej przemowie przedstawił klęski, jakie niezgoda pomiędzy rodami rzymskimi sprowadzała na miasto i społeczeństwo. Usprawiedliwiał nawet Juliusza II, że głównie z tego powodu nie powierza wyższych godności członkom znakomitych rodzin, ponieważ obawia się, aby stąd nie powstały niesnaski szkodliwe miastu, i wzywał zgromadzonych, aby raz już zatarli owe nienawiści, które się stały dziedziczne z powodu nieszczęsnego rozłamu społeczeństwa na Gwelfów



i Gibellinów. Na cześć dzisiejszego papieża wzywał Altieri do zawarcia powszechnej zgody.

Przywódcy też szlachty, jak Fabrizio Colonna, Giulio Orsini, Antimo Savelli, Giovan Conte, Fabio Anguillara, zastępca Cesarinich i wielu innych zaprzysięgli 28 sierpnia na Kapitolu układ, na mocy którego obowiązywali się, że odtąd żyć będą w spokoju, unikać starć zbrojnych pomiędzy sobą i starać się o dobro miasta. Pokój ten nazwano pax Romana, a chociaż nie wypłynął on z serca tych, którzy go podpisywali, dowodził wszakże, że szlachta już się czuła za słabą, aby prowadzić otwartą wojnę z papieństwem. Jeden tylko Pompeo Colonna paktu nie podpisał, jak Giovio utrzymuje, wskutek intryg księżnej Elżbiety Rovere, która się obawiała, że Colonnowie, pogodziwszy się zupełnie ze Stolicą Apostolską, zaczną sobie rościć prawa do księstwa Urbino. Fabrizio Colonna był bowiem ożeniony z siostrą Guidobalda di Montefeltro i miał synów, którzy mogli pod innym papieżem wystąpić jako prawni spadkobiercy Guidobalda.

## VIII.

W sobotę in albis roku 1506 wyruszała uroczysta procesja z głębi dawnej bazyliki św. Piotra, a na jej czele szedł papież z trzydziestu pięciu kardynałami. Procesja zatrzymała się niebawem na miejscu, które pokrywa dzisiejsza wspaniała kopuła świątyni, gdyż tam, powiada Parys de Grassi, był wykopany dół, w którym położono kamień węgielny pod nowy kościół wielkiego apostoła. Juliusz II jakby młodzieniec zeszedł po schodkach na spód, a gdy się kardynałowie zanadto przybliżali do brzegu, krzyczał na nich, aby się odsunęli, bo mogą powpadać. Papież przypatrywał się, jak zamurowywano pergaminy i monety, a poświęciwszy fundament, znów wyszedł na górę ku ucieście wszystkich przytomnych, podziwiających gibkie ruchy starca.

W głębi znajdował się także sześćdziesięcioletni człowieczek, łysy, o bardzo wysokiem czole, żywych oczach, wesoły, jowialny, zadowolony, że odniósł tryumf prawie nad



całym Rzymem i skłonił papieża, aby pozwolił zburzyć bazylikę św. Piotra, poważną dawnymi tradycjami i przeszło tysiącem lat istnienia, a postawić nową, któraby się stała chwałą epoki Odrodzenia. Był to Donato Bramante, rodem z Urbinu, który przez długie lata pracował w Medyolanie, a po upadku Ludwika Mora we wrześniu r. 1499 musiał szukać gdzieindziej zajęcia i w r. 1500 przybył do Rzymu. Studyował on najprzód starożytne zabytki, błądził przez długi czas pomiędzy ruinami, a w jego duchu odbywał się przewrót idei, powstawały pomysły, które zaprzeczały całej jego przeszłości. Ten artysta, który w Lombardyi musiał budować z cegły, wymyślać ornamenty z terrakotty, a w swych kościołach medyolańskich, w San Ambrogio, w San Satiro, w katedrze d'Abbate Grasso, starał się przedewszystkiem wywołać lekkość i wdzięk, mistrz, który tam na północy utworzył już szkołę, po raz pierwszy stanął w Rzymie wobec potężnych zabytków starożytnej architektury, wobec innego materiału, marmuru. Miał wszakże pomimo lat sześćdziesięciu dość jeszcze sprężystości, dość giętkości umysłu, aby się przemienić prawie w innego artystę, aby przejąć się całą prostotą starorzymskich budowli i zastosować ją do nowych idei Odrodzenia i do nowych potrzeb. Wybudował najprzód ów mały architektoniczny klejnot, Tempietto, w podwórzu kościoła San Pietro in Montorio, jakby na próbę; następnie ową kolumnadę klasztoru Santa Maria della Pace, która jest rodzajem jaja Kolumba w architekturze. Patrząc się na ten perystyl skromny, nieozdobny, mimowoli pytamy się, czyż trzeba było na to aż Bramantego, aby wynaleźć styl architektoniczny, który lada kamieniarz powinienby był nakreślić. A przecież, gdyby nie było owego perystylu, nie byłoby logii watykańskich, nie byłoby podwórza św. Damazego.

Na tych pierwszych dziełach architektonicznych Bramantego poznał się zaraz wielki papież, przeczuł w nim budowniczego, jakiego mu było potrzeba. Zaczął więc usuwać Giuliana da Sangallo, dotąd najulubieńszego swego architekta, który mu wystawił za czasów kardynalskich obronne mury w Ostyi i w Grottaferrata, tudzież pałac w Savonie. Sangallo towarzyszył kardynałowi na wygnanie do Francyi,

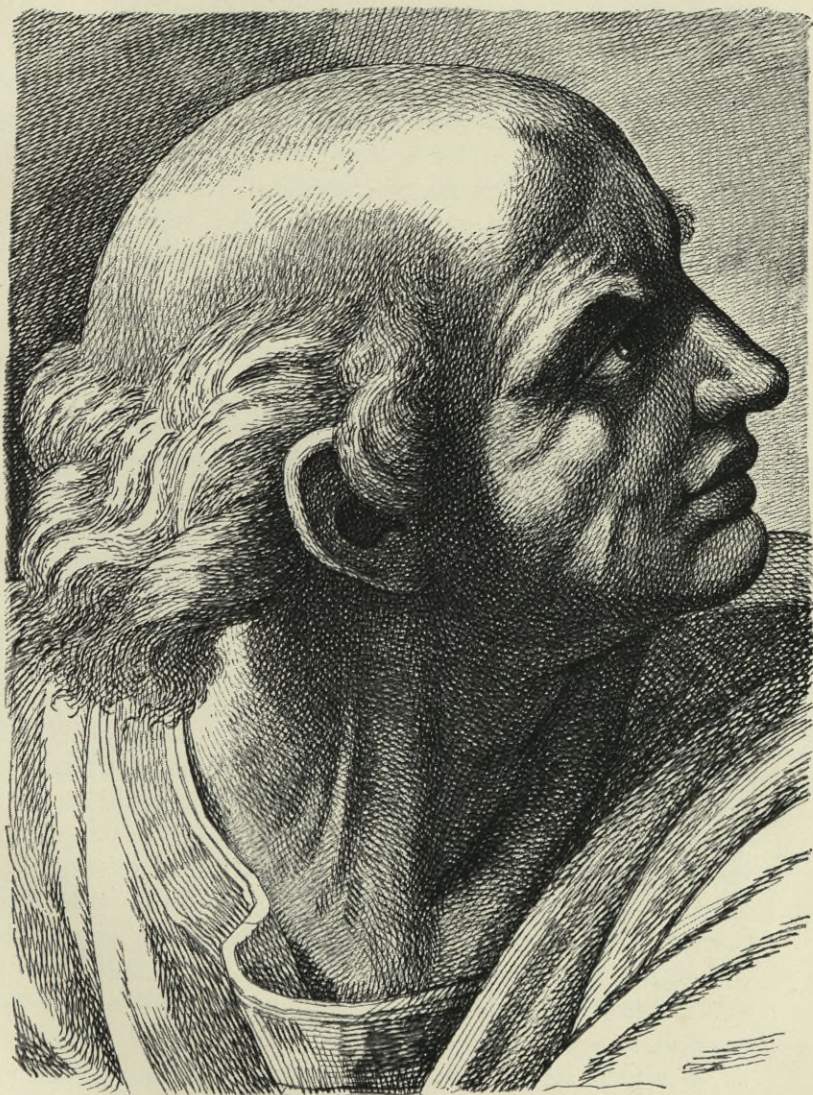












*BRAMANTE, celebre Architetto, e Pittore da Urbino, parente di Raffaele dipinto da lui nel Palazzo Vaticano.*

Bramante.

Według rysunku w księdze: Collezione de' ritratti raccolti da G. M. Cassini. Roma 1808.







a gdy Rovere został papieżem i zaczął wielkie w swej głowie snuć architektoniczne projekty, budowniczy przyjaciel stał u jego boku. Papież dał mu mieszkanie w Watykanie, on pośredniczył w sprowadzeniu do Rzymu Michała Anioła i Andrzeja Sansovina. Gdy dwóch takich ludzi, jak Juliusz II i Michał Anioł, znalazło się obok siebie, musiało powstać jakieś wielkie dzieło; i rzeczywiście zrodziła się myśl postawienia dla papieża tak olbrzymiego grobowca, że w całym Rzymie nie było świątyni, któraby go pomieścić mogła. Chciano dobudowywać osobną trybunę do kościoła św. Piotra, aby tam wstawić owo wspaniałe dzieło Michała Anioła, ale i w tej mierze okazały się trudności nie do pokonania. Papież zawołał wtedy do siebie Bramanta. Powstała walka pomiędzy artystami o wpływ u papieża; z jednej strony Sangallo i jego protektor Michał Anioł, z drugiej nowa gwiazda, Donato Bramante. Niebawem Sangallo rozboleał musiał ustąpić i wyjechał do Florencji, a Michał Anioł pozostał wprawdzie na razie w Rzymie, ale dąsał się i gniewał.

Bramante był niebezpiecznym człowiekiem, nosił się bowiem z olbrzymimi projektami; aby zaś uzyskać miejsce na ich wykonanie, chciał wszystko burzyć, co dotąd istniało. Przedewszystkiem i jemu i papieżowi zawadzała waląca się prawie bazylika św. Piotra. Przebudować ją, uzupełnić, jak radzili inni architekci, było za mało. Bramante marzył o czemś potężnem, o świątyni, któraby godną była przeszłości Rzymu i wielkości chrześcijaństwa. Wykonał też projekt, którym sobie odrazu pozyskał papieża. Gdy się Michał Anioł o tem dowiedział, mówił, że nie sztuka poukladać miliony cegieł jedną na drugą, ale niechby Bramante stworzył jedną z takich kolumn, jakie nieogłędnie chce pogruchotać. W planie swym połączył Donato geniusz architektury starożytnej z ideami Odrodzenia. Miała to być świątynia o wspaniałej kopule tworzącej środek greckiego krzyża, a na zewnątrz obejmowały budowę cztery wieże splecione z kręgów przejrzystych galeryi. Wokoło rozciągały się krużganki o przepysznych słupach, a mnogość kolumnad, teras czyniła budowę niejako przejrzystą, lekką, wesołą i słoneczną. Był to wyskok południowej architektonicznej wyobraźni,



gmach daleki od ponurego gotyku. Wieczna też szkoda, że ta świątynia nie została wykonaną według pierwotnych planów, lecz później przeinaczoną, zmienioną na gmach, któremu brak prostoty i piętna geniuszu. Św. Piotr Bramantego byłby stanął co do architektonicznego pomysłu na równi z rzymskimi gmachami i jaśniał jako widomy znak chrześcijańskiej kultury, podczas gdy dzisiaj zawsze jeszcze Pantheon, Moles Hadriani i Colosseum przewyższają wszystko, co późniejsze czasy w Rzymie zbudowały.

W chwili, kiedy prawie połowa dawnej bazyliki św. Piotra już zburzoną została i kiedy oddzielono ją tylko tymczasową ścianą, aby w części położonej ku miastu odprawić nabożeństwa, przybył Luter jako młody mnich augustyński do Rzymu. Wierzył on wtedy, że idąc na klęczkach po schodach, prowadzących do przedsionka świątyni, zyskuje się tyle razy po siedem lat odpustu, ile było schodów; wierzył, że gdyby umarł jako pielgrzym w Rzymie, to aniołowie wyniosą duszę jego wprost do nieba. Szczególnie pragnął zobaczyć chustkę św. Weroniki, »na której widać oblicze naszego umiłowanego Pana Jezusa«, i powróz, na którym się Judasz powiesił. Mnich z Północy dziwił się bogactwu papieskich ornatów i tak kosztownej tyarze, »że całe Niemcy wraz ze swymi książętami zapłaciły jej nie mogły«.

Pomiędzy pokornym jeszcze mnichem a budową wspinałej świątyni istniała tragiczna łączność. Kościół św. Piotra miał stanąć w znacznej części z pieniędzy północnych ludów, a Luter, który szukał tam odpuszczenia grzechów, miał się niebawem przyczynić do oderwania od Kościoła większości germańskich narodów.

Niszczenie bazyliki św. Piotra wywołało wielkie oburzenie nie tylko w Rzymie, lecz i we wszystkich prawie krajach chrześcijańskich. Bramantego nazwano maestro Rovinante, maestro Guastante, ale architekt miał za sobą Juliusza II, który na krytyki nie zważał, a artystę tak polubił, że go zabrał ze sobą nawet pod Mirandolę, aby tam kierował oblężniczymi pracami. Także nadał mu papież urząd piombatora bul, który nie przysparzał architekcie dużo zajęcia, a przynosił przeszło 800 dukatów rocznie. Gdy się jeden



z przyjaciół pytał Bramantego, jak mu się powodzi na tej nowej posadzie, odpowiedział piombator, że wybornie, »poiché la mia ignoranza mi fa le spese«. Nieprzyjaciele Bramantego głosili bowiem, że jest on nieukiem, jakich mało, że nawet czytać i pisać nie umie, co się mogło odnosić do pierwszych lat jego młodości, kiedy zapewne jako murarski pomocnik nie miał czasu poświęcać się sztuce pisania. Jakkolwiekby, był on największym z analfabetów.

Równocześnie z kościołem św. Piotra rozpoczął Bramante jeszcze inne olbrzymie budowle. Gmachy papieskie składały się z całej grupy pałaców, stawianych w różnych epokach bez jednolitego planu, a pomiędzy nimi a Belwederem istniała niezabudowana przestrzeń, nie zamieniona nawet na ogrody. Juliusz II postanowił objąć tę pustkę architektonicznym planem, łączącym pałac papieski z Belwederem, i utworzyć w ten sposób wspianą całość. Bramante wypracował projekt godny jego geniuszu. Na froncie Belwederu zwróconym ku dolinie, ku pałacom papieskim, postanowił zbudować owo przepyszne nicchione, które dzisiaj zasłonięte przez bibliotekę i Braccio nuovo straciło swą monumentalną wartość. Z Belwederu, z nicchione miało się schodzić do ogrodu ozdobionego wspianą fontanną, a stamtąd do cyrku, urządzonego na turnieje, walki byków i wyścigi. Otwarty ów cyrk miał być otoczony trzema piętrami łóż, opierających się na lekkich pilastrach, do których służyły Bramantemu za wzór starożytne teatry.

I papieżowi i Bramantemu spieszyło się, aby te budowle jak najprędzej ukończyć, gdyż obydwaj stali już na granicy ludzkiego żywota; roboty więc prowadzono z niesłychanym pośpiechem, pracowano cały dzień i w nocy przy pochodniach, a zazwyczaj było tam zajętych 2500 robotników. »Uno esercito«, powiedział raz papież i może żałował, że małej tej armii nie może prowadzić przeciw Ferrarze. Z powodu pośpiechu nie mógł nawet Bramante wchodzić w szczególności budowy, kreślił tylko plany, wykonanie zaś pozostawiał po największej części swemu pomocnikowi, Giulianowi Leno. Roboty na tem cierpiały, mury niebawem pękać zaczęły, tak że już za Klemensa VII część ich się zawaliła i trzeba było



je stawiać na nowo. Mimo pośpiechu całe dzieło nie zostało ukończone za życia Juliusza II, wybudowano tylko jedną galerię teatru i nicchione. Cyrk o tyle był ukończony, że tam w r. 1565 za Piusa IV odbył się głośny turniej; ale za Sykstusa V zniszczono wszystkie plany Bramantego, stawiając na przestrzeni, objętej budowami mistrza, poprzeczny gmach »Braccio nuovo«, a później długą galerię biblioteczną, nie mającą artystycznego znaczenia. Z dzieł Bramantego istnieje już tylko nicchione, którego przez zamknięcie resztek ogrodu Juliusza II, dzisiejszego giardino della Pigna, publiczność podziwiać nie może.

Po Bramantem pozostało wszakże jeszcze w Watykanie inne dzieło architektoniczne, loggie w podwórzu św. Damazego, dające wyobrażenie o tej lekkości w traktowaniu największych gmachów, jaka mistrzowi była właściwą.

Równocześnie z kościołem św. Piotra i z połączeniem Watykanu z Belwederem stawiał Bramante olbrzymi gmach, zwany San Biagio przy via Giulia, w którym Juliusz II chciał pomieścić sądy i urzędy rzymskie. Miała to być budowa spoczywająca na wielkich głazach, jak pałac Pitti we Florencyi, a przechodząca w górnych piętrach w lżejszą konstrukcję. Budowa ta zaledwie wyszła z fundamentów, nigdy nie została ukończoną, a dzisiaj śladów nawet po niej nie pozostało. Pałac Farnese tylko jest w części jej naśladowaniem.

Wogóle w całym Rzymie wtedy dużo budowano, miasto się przeistaczało; pomiędzy starożytne zwaliska, pomiędzy wieże obronne i wystrzępione mury średnich wieków, w ciemne, kręte uliczki, które się skromnie przytuliły do przeszłości, wprowadzała epoka Odrodzenia pogodę, wesołość, kipiącą chęć życia. Burzyła więc bez litości dawne mury i wznosiła nowe gmachy. Powstawały takie budowle, jak Cancellaria, jak pałace Borgiów, Massimów, Caffarellich, willa Chigiego, a przede wszystkim siedziba Pawła II, San Marco. Dzisiejsze Corso odgraniczało miasto ku wschodowi, poza tą ulicą rozciągały się już mniejsze pałace i wille, w kierunku ku termom, gdyż wskutek zwiększania się ludności miejsca zaczęło brakować na dole. Nad Tybrem największe działały się przewroty; oprócz budowy San Biagio



kazał Juliusz II prostować na drugiej stronie rzeki Lungarę, koło której stawiano później świetne pałace.

Ludność miasta się zwiększała, ruch na ulicach był wielki, cudzoziemiec spostrzegł od razu, że Rzym stał się międzynarodową stolicą całego świata, prawdziwą Cosmopolis. Różne ubiory bawiły oko, różnorodne mowy zaciekawiały ucho, nie było narodu w Europie, którego wysłańców nie spotykałoby się w tym gwarze. Duchowni starający się o beneficya, literaci chcący zgrabnym sonetem zdobyć sobie przyszłość, kupcy z Anglii, Francji i Hiszpanii, ofiarujący swój towar, rycerze przemysłu, radzi chwytać okruchy kardynalskich bogactw, przepychali się przez ciemne ulice. A pomiędzy tym tłumem uderzała wielka ilość Żydów, Niemców i kobiet lekkiego życia. Pierwsi zachwalali swój towar, wciągali prawie przemocą cudzoziemców do sklepów, mieniali im pieniądze, drudzy utrzymywali gospody, restauracje, byli piekarzami, szwcami lub stolarzami. Kurtyzany niskiego rzędu, przeróżnych narodowości, przeważnie Włoszki, Hiszpanki i Niemki czyhały po ulicach na ludzi mówiących ich rodzinnym językiem. Pomędzy niemi bywały i Polki, jak zapewnia monsignor Delicado, autor współczesnej powieści »Lozana Andaluska«, Hiszpan, który mieszkał wówczas w Rzymie i z szczególnem zamiłowaniem oddawał się tego rodzaju statystyce. Co chwila przejeżdżał ulicą ten lub ów kardynał na pięknie przybranej mulicy, otoczony konną i pieszą gawiedzią, albo ukazywały się znane w pewnej dzielnicy postacie miejscowej szlachty. W regionie Monte Giordano szczególnie witano Orsinich, w dzielnicy del Ponte Maffeich, Nardich, Quatraccich, Pontanich i innych.

Co kilkanaście kroków była botega balwiera, a co kilkadziesiąt apteka, zastępująca po części miejsce dzisiejszej kawiarni; mężczyźni bowiem klas średnich schodzili się tam na pogadankę, na plotki, na krytykowanie papieża, kardynałów i całego rządu. Swoboda mówienia i pisania za Juliusza II była bezgraniczna, słyszało się w Rzymie rzeczy, za które w północnych krajach albo w Hiszpanii, palono na stosie. Erazm Rotterdamski rozprawiał tam raz z jakąś osobistością, która zaprzeczała nieśmiertelności duszy, opierając się na po-



wadze starego Pliniusza. Niektórzy duchowni, należący do papieskiego dworu, głosili tak wstrętne bluźnierstwa, »abominandae blasphemiae in Christum et in illius Apostolos«, że północny uczony słuchać ich nie chciał. Erazm uważał tolerancję papieską za zanadto daleko posuniętą, za szkodliwą. Co nocy przylepiali nieznani wierszokleci po murach epigramy, nie oszczędzając nikogo, ani papieża ani kardynałów. Juliusz II był pewny wielkości Kościoła, a brzęczenie komarów nic mu nie zawadzało. Nie było w mieście sławniejszego człowieka nad pamphleciście Stunica; gdy się ten zjadliwiec zjawił na campo Florae, w ognisku ruchu ulicznego, to pełno wielbicieli gromadziło się około niego i rękę mu podawało, a ludzie pokazywali go sobie, jakby jakie dziwowisko. Ten Stunica tak gorszył Erazma, iż północny uczony sądził, że Rzym zapewne z tego powodu nazywają alma Urbs, ponieważ żywi (alit) najrozmaitszego rodzaju potwory, a pomiędzy nimi tego paszkwilanta.

Na Campo di Fiori napatrzeć się było można rozmaitych ciekawości; tam kuglarze pokazywali dziwne sztuki, z czoła naprzykład wytaczając wino, częstowali niem pospółstwo; tam sprzedawano kartki z ulotnymi wierszykami, z paszkwilami i prognostykami; tam wróżbiarze przepowiadali przyszłość, tam zresztą można było dostać, czego dusza zapagnie: owoców, cukierków, ciast, nawet jaj na twardo.

Targi i jarmarki, które się odbywały dawniej na Kapitolu, z końcem XV wieku przeniesione zostały na Piazza Navona. Plac ten stał się za Juliusza II ogniskiem miejskiego życia i publicznych zabaw i aż w wiek XIX zachował swą ruchliwą cechę.

## IX.

Trzeciego maja r. 1512 miał mistrz ceremonii Parys de Grassi dużo do czynienia. W dzień ten zbierało się wielkie koncylium w Rzymie, które w Lateraneńskiej bazylice miało odbywać swoje posiedzenia. Trzeba było zamienić świątynię na wielką salę obrad, oznaczyć miejsca dla prała-



tów w ten sposób, aby żadnemu nie uchybić i ułożyć porządek wielkiej procesyi, która miała podążyć z Watykanu aż do kościoła św. Jana.

Akt, który się rozpoczął, miał w dziejach papieżstwa niesłychanie doniosłe znaczenie. Od wielkiej szyzmy zachodniej, od czasów awignońskich, toczyła się ciągła walka w świecie chrześcijańskim o zasadę, w czyich rękach ma spoczywać najwyższa władza w Kościele; jedni utrzymywali, że w rękach papieża jako namiestnika Chrystusa, drudzy, że w zebraniach biskupów i kardynałów, w koncyliach. Przeciwnicy zespolenia władzy w osobie papieża sądzili, że reforma Kościoła możliwą jest tylko wtedy, jeżeli się ją zaczyna od Stolicy Apostolskiej; dopóki bowiem papież może działać nieograniczenie, według swojej woli, dopóty nadużycia będą się w nieskończoność powtarzały; najwyższą więc władzę w Kościele trzeba oddać soborom. Znaczna zaś część duchowieństwa, osobliwie rzymskiego, starała się dowodzić, że papież jest panem w Kościele, że postanowienia koncyliów są nieważne, jeżeli nie otrzymają jego zatwierdzenia, że władza biskupów wynika tylko z absolutnej władzy papieża.

Zwołanie Lateraneńskiego soboru było wymierzone głównie przeciw Ludwikowi XII i złożonemu za jego sprawą koncylium w Pizie, do którego się przyłączyło oprócz francuskich prałatów, także kilku kardynałów. Zebranie to powzięło sobie za zadanie zrzucić Juliusza II ze Stolicy Apostolskiej. Papież więc wyrwał z ręce owym kościelnym rewolucjonistom, zwołując powszechny sobór do Rzymu. W bulli, ogłaszającej to postanowienie, wypowiedział Juliusz II wyraźnie, że zwoływanie soborów jest wyłącznym prawem papieża, że w inny sposób zebrane koncylia są nieważne.

Sobór otwarto z nadzwyczajną uroczystością, a papież był tak wesół, że spostrzegłszy Fryderyka Gonzagę, ubranego w rycerską zbroję, roześmiał się, porwał laskę i stanął jakby do pojedynku, mówiąc: »No, chcesz się bić?« Pochód do Lateranu odbywał się w wojskowym porządku, jak przystało w stolicy wojowniczego papieża. Piętnastu kardynałów,



czternastu patryarchów, dziesięciu arcybiskupów, pięćdziesięciu siedmiu biskupów, po większej części włoskich, kilku opatów i generałów zakonów jechało konno lub na mułach w strojach pontyfikalnych. Towarzyszyło im kilku posłów zagranicznych i kilkudziesięciu członków rzymskiego rycerstwa. Wogóle mało było obcego duchowieństwa, a z panujących książąt nikogo. Porządek utrzymywali rycerze rodyjscy, a na końcu tej poważnej procesji jechało około stu ludzi ciężkiej kawaleryi papieskiej, poruszał się oddział artylerji z dziesięcioma działami i szła kompania łuczników. Dopiero za wojskiem cisnęły się niezliczone tłumy publiczności.

Najsłynniejszy kaznodzieja rzymski, generał Augustyanów, Egidyusz z Viterbo, miał z polecenia papieża mowę, otwierającą pierwsze posiedzenie soboru. Ponieważ bitwa pod Rawenną w świeżej jeszcze była pamięci, więc Egidyusz rozpoczął od uwagi, która dziwnie brzmiała wobec wojowniczych czynów Juliusza II, że klęska wojska papieskiego może być uważaną za znak dany od Boga, ażeby Kościół, zwyciężony tam, gdzie się opierał na niewłaściwej mu broni, szukał zwycięstwa w religii i prawdzie i ażeby jego orężem była teraz modlitwa, będąca pancierzem wiary i mieczem światła. Czynami miłości, a nie krwią i żelazem podbiła świat religia chrześcijańska, więc mówca wyraża nadzieję, że to zebranie przywróci pokój i naprawę w Kościele.

Mowa ta nadzwyczajnie sprawiła wrażenie, nikt się bowiem nie spodziewał, że właśnie wobec wojowniczego papieża w tym duchu wypowiedzianą zostanie, i zwróciła powszechną uwagę na śmiałego kaznodzieję.

Ów Egidyusz z Viterbo, a właściwie Egidyusz Canisius, był jednym z najznakomitszych uczonych w otoczeniu Juliusza II. Urodził się w Viterbo r. 1470, wstąpił bardzo wcześnie do Augustyanów, odznaczył się później jako kaznodzieja w cycerońskim stylu i wskutek tego został powołany do Rzymu, a z czasem został generałem zakonu. Był to erudyta, jakich i czasy Odrodzenia miały niewiele; władał wybornie łacińskim i greckim językiem, a dla studyów biblijnych nauczył się także po chaldejsku, hebrajsku, turecku, persku



i arabsku. Pisał gramatykę hebrajską, komentarz do talmudu, traktat o obyczajach Turków i jako wierny syn owych czasów pozostawił po sobie rozprawy o Platonie i Arystotelesie, madrygały i sonety, jeden nawet do Wiktoryi Colonny. Ale głównem jego dziełem miała być historia powszechna, »Historia viginti saeculorum«, nie wydana drukiem, będąca właściwie zapiskami historycznymi bez wielkiego ładu i składu. Historia ta z tego jednak względu jest dość ważna, że zawiera sporo rzetelnych uwag o papieżach Odrodzenia, a osobliwie bardzo surową krytykę Aleksandra VI.

Erazm Rotterdamski bardzo się zbliżył do niego podczas swego pobytu w Rzymie i cenił go wysoko, ponieważ Egidyusz należał do niewielu ówczesnych humanistów w Rzymie, którzy nie byli poganami, lecz żywili w sobie rzetelne chrześcijańskie uczucia. Także z Reuchlinem był Egidyusz zaprzyjaźniony, a dwóch tych uczonych miało wspólne zamiłowanie do hebrajskich studyów i do badania mistycznej treści kabały. Reuchlin bawił prawie cały rok 1498 w Rzymie, a uczonego żyd Obadja Sforno z Ceseny uczył go po hebrajsku.

Ważniejszemi, aniżeli pierwsze i drugie posiedzenie soboru Lateraneńskiego, były trzy obrady jesienne w pierwszej połowie grudnia r. 1512. Papież zawarłszy w listopadzie przymierze z cesarzem, czuł się już dość silnym, aby użyć soboru do zupełnego zgniecenia szyzmatyckich tendencyi francuskich, które w koncylium pizańskiem wyraz swój znalazły. Główną postacią, występującą wtedy, był Mateusz Lang, biskup z Gurk, którego we Włoszech Gurgensem nazywano, najbardziej wpływowy doradca cesarza Maksymiliana. O Langu mówiono, że cesarz jest wprawdzie pierwszym człowiekiem w państwie, ale dopiero po biskupie z Gurk, który zagarnął wszelką władzę. Miał on wówczas przeszło czterdzieści lat, a chociaż był przystojnym blondynem, odpychał ludzi swem gburowatym obejściem, zdradzał na każdym kroku brak dobrych obyczajów i nadymał się jak paw przy każdej sposobności. Gładki mistrz ceremonii, Parys de Grassi, nie mógł go znosić i wogóle nie lubiano we Włoszech tego cesarskiego posła. Papież oczekiwał jednak



w r. 1512 z niecierpliwością jego przybycia do Rzymu, chodziło mu bowiem bardzo o to, aby cesarz uznał synod Lateraneński, a nadto łudził się nadzieją, że cesarz pomoże mu w zdobyciu Ferrary. Juliusz kazał przyjąć Langa w Rzymie jakby panującego, a Parys de Grassi niemało miał kłopotu, bo wiedział, że z Gurgensem trzeba się ostrożniej obchodzić, aniżeli z monarchami. Grassi uczynił, co było możliwem, aby gburowaty Niemiec był zadowolony, i powiada w swoich zapiskach, że wjazd Langa do Rzymu równał się najświetniejszemu tryumfalnemu pochodowi i że sam, pomimo że już dużo w życiu widział, takiej wspaniałości sobie nie przypomina. Dwóch kardynałów wyjechało naprzeciw Langa aż do Monte Mario; przy Porta del Popolo czekali na niego gubernator miasta i wszyscy posłowie obcych panujących, będący wówczas w Rzymie, a z dział tak bito z zamku św. Anioła, że całe miasto zdawało się trząść w swych posiadach. Po obiedzie w Watykanie, danym dla Langa, grano komedję, w której występował Apollo z muzami i śpiewał wiersze pochwalne na cześć papieża, cesarza i jego posła, sławiąc unię zawartą pomiędzy Stolicą Apostolską a Maksymilianem. Następnie papież z Gurgensem wieńczyli dwóch poetów, jednego z Parmy, drugiego Rzymianina. Wreszcie jakiś ciemny bard śpiewał, przygrywając na lirze, łacińskie wiersze na cześć papieża i Langa.

Papież osiągnął to, czego pragnął; Lang odczytał na czwartem posiedzeniu soboru oświadczenie, że cesarz nie uznaje pizańskiego koncylium i przystępuje do lateraneńskich obrad. Co więcej, Juliusz II był już przekonany, że posiędzie Ferrarę, gdyż Lang się na to zgodził, a Ferdynand Katolicki, król hiszpański, którego wojsko stało jeszcze w Medyolanie, miał przysłać papieżowi w tym celu posiłki. Gdy też Lang wyjechał z Rzymu do Medyolanu, Juliusz z niecierpliwością oczekiwał wiadomości, kiedy Hiszpanie ruszą na Ferrarę.

Ale nowym sprzymierzeńcom nie spieszyło się, aby pomagać Juliuszowi, gdyż ani Ferdynand Katolicki ani cesarz nie pragnęli, aby papież, ubezwładniając Estów, jeszcze był potężniejszym. A i dowódcy hiszpańscy nie mieli ochoty



wyruszyć z Medyolanu, by walczyć za cudzą sprawę, i szli za przykładem Langa, który ani myślał o wykonaniu obietnic danych papieżowi, gdyż mu w Medyolanie bardzo dobrze się działo. Przybyła tam wtedy Izabella Mantuańska z trzydziestoma pięknymi donzellami i prowadziła politykę na swoją rękę, aby brata, Alfonsa ferrarskiego, ocalić od drapieżności Juliusza II. Nowa Circe wstrzymywała z pomocą swego babieńca, jak mogła, Hiszpanów i Gurgensa od wyprawy na Ferrarę i umiała wicekróla hiszpańskiego, Rajmunda z Cardony, dowódcę wojsk, Prospera Colonnę, i biskupa z Gurk tak w romanse zawikłać, tak ich w krótkim czasie zrobić zniewieściałymi, że jak powiada kronikarz, »stali się niezdolnymi do wojennej wyprawy«. Papież tymczasem gniewał się, pisał, napominał, posyłał kuryerów, aby zdobywano Ferrarę; ale markiza śmiała się z niego w duchu, gdyż jej piękna donzella Brognina potrafiła rozkochać w sobie i wicekróla i Gurgensa <sup>1)</sup>.

## X.

W tłusty czwartek r. 1513 urządzili Rzymianie przepyszny festyn karnawałowy, który miał być apoteozą zwycięstw i politycznych powodzeń Juliusza II. Papież leżał jednak chory, od świąt Bożego Narodzenia roku 1512 nie wstawał z łóżka, nie mógł spać, a całym jego pożywieniem były dwa jaja dziennie. Zgryzota powaliła tego siedemdziesięcioletniego starca, który się zdawał dotąd ukutym ze stali. Marzenia jego, aby Włochy uwolnić od cudzoziemców, nie ziściły się; przyczynił się sam dwa razy do sprowadzenia Francuzów do Włoch, raz za Borgiów, drugi raz za własnego panowania przeciw Wenecyanom, którzy część papieskich posiadłości w Romanii zagrabili. Zawziętość pomiędzy papieżem a rzecząpospolitą św. Marka była wielka; papież w gniewie zagroził, że z Wenecyan zrobi znowu pokornych rybaków, jakimi byli dawniej, ale poseł wenecki, Pisani, odpowiedział,

<sup>1)</sup> Bliższe szczegóły o tych romansach »Dwór w Ferrarze«, str. 428.



— że jeżeli ojciec święty nie będzie ostrożniejszy, to go Wenecyanie wysłą na małe probostwo.

Groźby Pisaniego były płonne; papież przystąpił do antiweneckiej ligi w Cambrai, gdzie król francuski, Ludwik XII, i cesarz Maksymilian ręce sobie podali, aby się podzielić weneckimi krajami, a dumna rzeczpospolita w jednym dniu, 14 maja 1509, po bitwie pod Agnadello, straciła całe swe panowanie na stałym lądzie i musiała oddać papieżowi zabrane miasta w Romanii. Ale Juliusz II spostrzegł niebawem, że bez potężnej Wenecyi nie obroni Włoch przeciw cudzoziemcom, i z upokorzoną nieprzyjaciółką znowu się połączył. Odtąd wyteżał swe siły, aby wyprzeć Francuzów, którzy nie tylko swymi zaborami Włochom grozili, lecz co więcej, starali się wydrzeć Juliuszowi II duchowną władzę. Ludwik XII miał zamiar francuskiego kardynała wynieść na Stolicę Apostolską, cesarz Maksymilian zaś marzył o połączeniu tyary z cesarską koroną. Nie widząc innej rady przeciw grożącemu niebezpieczeństwu, zawarł Juliusz II przymierze z Hiszpanami i popełnił znów wielki błąd, sprowadzając ich przeciw Francuzom. Wpływ hiszpański stał się we Włoszech przemożnym, gorszym od francuskich zapędów. Papież umierał na hiszpańską zgryzotę, przeczuwał, że ta rasa Maranów stanie się największą nieprzyjaciółką Włoch. Lud rzymski jednak nie rozumiał jeszcze, czem się stanie hiszpańska potęga, więc cieszył się chwilowem powodzeniem papieża.

Karnawał więc odbywał się, jakby żadna troska nie ciążyła nad miastem, sam papież chciał, aby lud się bawił. Jednego dnia potwierdził Juliusz II program uroczystości karnawałowych, drugiego wydawał swemu wiernemu mistrzowi ceremonii rozporządzenia, w jaki sposób ma jego pogrzeb urządzać. Papież nie żądał wspaniałości, gdyż się miał za wielkiego grzesznika, ale zarazem uważał za obelgę Stolicy Apostolskiej, aby go pochowano tak, jak Aleksandra VI, albo kilku innych papieży, bez należnego uszanowania. Pytał się Parysa, w jakiego koloru szaty ubierano dotąd ciała zmarłych papieży. Mistrz ceremonii odpowiedział, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa w czerwonych na pamiątkę, że wielu było męczennikami, później jednak



w białych lub czerwonych. Juliusz II kazał się pochować w białej sukni.

Trzeciego lutego rozwijał się na Kapitolu wspaniały pochód, pełen alegorycznych wozów, których przystrojeniem zajęli się najpierwsi mistrze Odrodzenia. Doszły nas dwa dokładne opisy tej karnawałowej uroczystości, jeden w liście B. Stabelliniego do Izabelli d'Este, drugi w poemacie floren tyńskiego lekarza, Jakóba Penni, który wówczas bawił w Rzymie. Penni musiał czasami układać okolicznościowe wiersze, a rzymskie festyny tak go poetycznie usposobiły, że przekazał potomności ich rymowany opis. Niczego podobnego, powiada Penni, dotąd w Rzymie nie widziano:

Forse non mai più visse all' età nostra  
A Roma festa di tel gentilezza.

Z Kapitolu ruszyły reprezentacje wszystkich dzielnic miasta »Caporioni del populo di Roma« ze swymi sztandarami ku ponte S. Angelo przez via Florida. Od mostu zwrócił się pochód na plac Navona, do ogniska karnawałowych zabaw. Na czele jechali konno paziowie z literami karmazynowemi na piersiach S. P. Q. R., za nimi urzędnicy ludu zwani marescalchi, w zbrojnym otoczeniu, tudzież najwyższy sędzia z mieczem w ręku. Obok monsignora de la justitia szła niezbyt karnawałowa postać, kat z pachołkami niosącymi przyrządy do ucinania rąk i wieszania, a następnie postępowały oddziały wojska i korporacje ze wspaniałymi wozami, w których się miała uwydatnić apoteoza Juliusza II. Na pierwszym rozłożył swe gałęzie symboliczny dąb Roverów, do którego się tuliła przestraszona kobieta, Italia uciśniona przez Francuzów. Na drugim już piękna Italia była wyzwoloną; ziemię włoską, jaśniejącą na malowniczej mapie, ocieniała palma. To były niejako ogólne znaki panowania Juliusza, następne wozy charakteryzowały szczegóły jego rządów. Powszechną uwagę zwracał wóz, przedstawiający miasto Bolonię, ze złowrogim napisem na bramie »causa mali tanti«, »przyczyna tak wielkiego nieszczęścia«. W Bolonii prześnił Juliusz II swe najpiękniejsze nadzieje, ale też z jej powodu doznał najstraszniejszych zawodów.



Trzy następne wozy Juliuszowego tryumfu przedstawiały trzy dalsze miasta, które papież dla swego państwa odzyskał: Reggio, Parmę i Piacenzę. Na wozie parmeńskim rozsiadła się piękna kobieta »aurea Parma«, pisząc na tarczy wyrazy »Julio secondo«. Piacenzę przypominały znowu dwie kobiety, z których jedna, Rzym, siedząca na tronie, druga przed nią klęcząca »Piacentia, fida colonia del Popul Romano«.

Nie brakło i Savony, rodzinnej ziemi Juliusza; wienczyła ją Genua za to, że wydała taki ród, jak Rovery. Następował jeszcze cały szereg symbolicznych wozów, ale największe znaczenie miały dwa, przedstawiające concylium Lateraneńskie, które niedawno rozpoczęło swe obrady. Na jednym klęczał biblijny Aron w otoczeniu kapłanów przed ołtarzem z kadzielnicą w ręku, na drugim zasiadł cały europejski areopag: papież, cesarz i król hiszpański na tronach, a obok nich zgromadzili się królowie angielski i węgierski, tudzież najznakomitsi kardynałowie i księżęta Kościoła. Żywi aktorzy w przepysznych strojach przedstawiali owe duchowne i świeckie osobistości.

E passò il bel Concilio Laterano  
Sopra un carro, dove si vedeva  
Il Papa in sedia e lo Imperio Romano  
Che accanto a quello a seder si poneva  
E quel rè detto Cattolico Ispano  
Che come gli altri ancora lui sedeva:  
L'Unghera, lo Inglese, e cardinali  
Ed altri Ecclesiastici principali.

Naturalnie że nie brakło i wozów przypominających starożytność; ale tym razem bogowie Olimpu nie mieli w Rzymie szczęścia, wóz bowiem przedstawiający świątynię Apollina przewrócił się na skraj, przy moście św. Anioła, i na chwilę zatamował cały pochód. Szereg wozów zamykał znowu dąb Roverów, obejmujący swemi gałęziami portret papieża, a za nim szli przedstawiciele sztuk i rzemiosł. Młodzież zaś szlachecka i patrycyuszowska jechała w starożytnych strojach, na pysznych nieosiodłanych koniach, przykrytych kapami z aksamitu i brokatu, a nazwiska swe miała

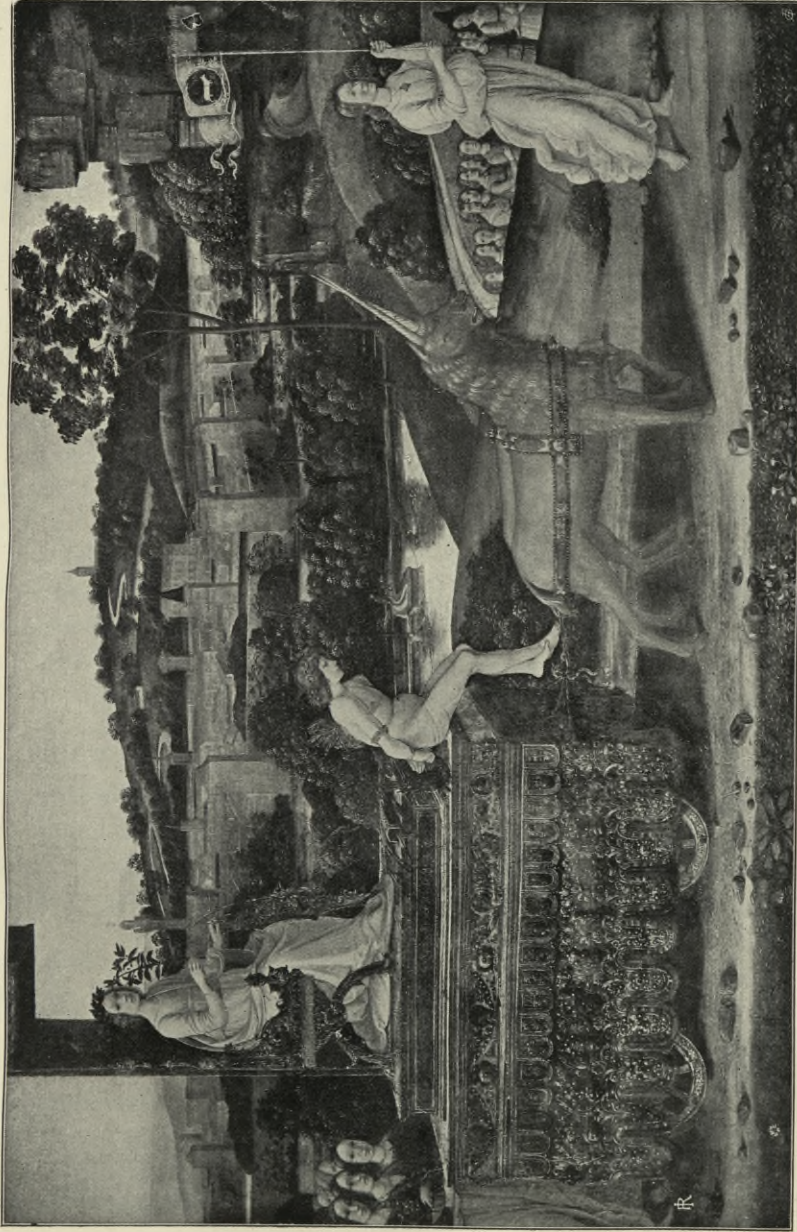












Fot. Anderson.

Wóz tryumfalny. «Tryumf czystości».  
Według obrazu artysty szkoły Botticellego w galerji w Turynie.







wypisane na hełmach albo na ramionach. Pomędzy tymi improwizowanymi Rzymianami rzeczypospolitej znajdowali się Horacyusze, Kuracyusze i Scypiony, a wielu z nich trzymało dębową gałązkę w ręku na uczczenie papieża. Kto miał jaki kosztowny klejnot, przypiął go wtedy do swego stroju, tak że naszemu florentyńskiemu lekarzowi zdawało się, że wszystkie skarby egipskie zostały tego dnia zgromadzone.

Credo che tutte le gioie del Nilo  
Si volson ritrovare a questo ludo,

powiada Penni.

Gdy ta grupa przejeżdżała, cały Rzym się radował, że ma taką młodzież, ojcowie i matki w oknach domów wydawali okrzyki radości.

Senatorowie i konserwatorzy miasta wraz ze swą służbą zamykali pochód, a za nimi tłoczyła się nieprzejrzana liczba pieszej i konnej ludności.

Papież już tych świetności nie widział. Pomimo choroby ciągle jeszcze przywoływał do siebie ambasadorów, rozprawiał o ważnych rzeczach, a czasami dobywał tak silnego głosu i spoglądał tak płomiennym wzrokiem, jak gdyby miał jeszcze żyć długie lata. Przywoływano do niego wielu lekarzy, ale ufał tylko rabbiemu, ponieważ się do niego przyzwyczaił. Madonna Felice chciała skorzystać z ostatnich chwil papieża, aby uprosić nominację swego przyrodniego brata, syna madonny Lukrecyi i Bernardina da Montefalco, na kardynała. Miała w tem interes, gdyż Montefalco obiecał, że się zrzecze spuścizny po ojcu, wynoszącej 30.000 dukatów, na jej korzyść, jeżeli otrzyma purpurę. Papież jednak znał Montefalca jako człowieka niegodnego tak wysokiego stanowiska i nominacyi stanowczo odmówił.

Czternastego lutego trochę się Juliuszowi polepszyło, ale niewstrzeźmięzliwy, kazał sobie podać ośm gatunków najmocniejszych win, aby się wzmocnić. Kordyały na nic się przydały, dwudziestego lutego czuł, że się zbliża kres jego życia. Kazał też przywołać do swego łóża kardynałów, a pobłogosławiwszy ich, żegnał się z wieloma ze łzami w oczach, poczem mu wszyscy rękę ucałowali. Umierał zupełnie przy-



tomny, z wiarą w Boga i wielkością ducha. W ostatnich nawet chwilach dobrze widział, dobrze słyszał, rozumiał, co do niego mówiono, wydawał rozporządzenia i przewidywał wszystko, jak gdyby był w pełni swych sił. Alberto da Carpi i madonna Felice, którzy nie odstępowali umierającego w dzień i w nocy, dali mu jeszcze wieczorem pić rozpuszczone złoto, które zdaniem lekarzy miało albo przyspieszyć śmierć, albo ją wstrzymać dwa lub trzy dni. I ten środek nie pomógł, papież umarł w nocy z 20 na 21 lutego. Ciało ubrano w pontyfikalne szaty, które szacowano na 2000 dukatów. Same dwa pierścienie warte były 1200 dukatów. Dotąd nie balsamowano zmarłych papieży, po raz pierwszy zwłoki Juliusza II zabezpieczono przed rozkładem.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

---

### OTOCZENIE LEONA X.

#### I.

Lorenzo de' Medici miał trzech synów: Piera, Giovanniego i Giuliana. O pierwszym mówił, że głupi, o drugim, że mądry, a o trzecim, że dobry. Ów drugi urodził się 11 grudnia 1475, a ponieważ był mądry, więc Magnifico przeznaczył go jeszcze w kolebce na kardynała, a jeżeli okoliczności sprzyjać będą, na papieża. Zaledwie też chłopak siódmy rok ukończył, wystrzyżono mu tonzurę na głowie, a Lorenzo już wtedy zwrócił się do Ludwika XI, króla francuskiego, aby jego ulubieńcowi nadał jaką prebendę, oczywiście odpowiednią wysokiemu rodowi Medyceuszów. Królowi chodziło o przyjaźń Lorenza, więc dał ośmioletniemu Giovanniemu opactwo w Font Douce a i papież Sykstus IV, rad wyświadczyć przysługę łagodnemu despocie florentyńskiemu, przeznaczył dla przyszłego kardynała dochody bogatego klasztoru w Passignano. Odtąd zwano malca Messire.

Promocye na dygnitarstwa kościelne szybko teraz po sobie następowały w życiu Giovanniego. Ludwik XI nadał mu już w roku 1483 arcybiskupstwo w Aix w Prowancyi, ale Sykstus IV zastanowił się nad tem odznaczeniem młodzieniaszka i mimo nalegań Lorenza nomina-



cyi nie potwierdził. Papież umarł jednak w rok później, a jego następca, Innocenty VIII, przyjaciel Medyceuszów, nie tylko przystał na to, aby Giovanni został arcybiskupem, ale rozsypał na niego cały róg obfitości prebend i zaszczytów. Znaczne dochody przynoszące opactwo w Vallombrozie, a nawet poważne opactwo w Monte Cassino dostało się Medyceuszowi, a równocześnie prawie został kanonikiem trzech kapituł, rektorem sześciu klasztorów, priorem w Monte Varchi, proboszczem w Prato i opatem szesnastu klasztorów tak we Włoszech, jak we Francyi. Później przybyło szczęśliwcowi jeszcze arcybiskupstwo w Amalfi, tak że nawet autorowi żywota Leona X, Fabroniemu, było tego gromadzenia kościelnych dochodów w jednym ręku zawiele i z pewnem rozgoryczeniem woła on: *Quot in uno iuvene cumulata sacerdotia!*

Tego rodzaju kumulacye prebend były zresztą od wieków w zwyczaju; wszak poetyczny Petrarca uchodził za jednego z najrzęczniejszych łowców kościelnych dochodów, a w Avignonie bawił raczej dla starań o bogate kanonie, aniżeli dla pięknych oczu madonny Laury. Takim w tej mierze był mistrzem, że nawet swemu piętnastoletniemu naturalnemu synowi Giovanniemu, nicponiowi, który się nie chciał uczyć i tylko hulać umiał, wyrobił kanonię w Weronie.

Nie dziwny się więc i Medyceuszowi. Stary Lorenzo chciał koniecznie przed śmiercią mieć syna kardynałem, trzeba się było spieszyć. Rzecz się ułożyła pomyślnie. Papież Innocenty VIII miał kilkoro dzieci, zanim został księdzem. Najstarszy jego syn, Franciszek Cybò, ożenił się w r. 1487 z córką Lorenza, Magdaleną; obydwie rody, papieski i Medyceuszowski, zbliżyły się do siebie, zaczęły i protekcyja dla Giovanniego stała się łatwiejszą. Ze względu jednak na młodość kandydata papież zwlekał z nominacją ze dwa lata, ale w końcu otrzymał Lorenzo z Rzymu wiadomość, że syn jego został 9 marca 1489 kardynałem di S. Maria in Domnica. Innocenty postawił wszakże warunek, aby młodzieniec przez trzy lata jeszcze nie nosił szat i odznak kardynalskich i nie zasiadał w świętem Kollegium.

Gdy nadeszły do Florencyi pogłoski o nadaniu Giovanniemu godności kardynalskiej, Lorenzo nie wiedział jeszcze



o warunku papieża; pisząc więc natychmiast do swego posła w Rzymie, zapytywał, jakim orszakiem ma otoczyć młodego kardynała, jak się Giovanni ma zachowywać, jak się ubrać. Uradowany ojciec załączył do listu miarę na suknie kardynalskie, które miał posel w Rzymie zamówić i żartobliwie dodał w liście, że Giovanni »urósł od wczoraj«.

Przedwczesne wszakże były te krawieckie troski. Papież powiedział, że od warunku trzechletniej próby odstąpić nie może, i rozkazał, aby się młody kardynał uczył przez ten czas teologii i prawa kanonicznego. Innocenty miał zupełną słuszość, bo chłopak był dotąd pod kierunkiem słynnego humanisty Policjana, uczył się filozofii Platona, Arystotelesa, filolog Demetrius Chalkondylas wprawiał go w grecki język, a żyjąc w towarzystwie samych humanistów i artystów, znał się więcej na poezjach Wergiliusza, na obrazach, medalach i rzeźbach, aniżeli na komentarzach do biblii.

Policjan mimo swej wiedzy i talentu do pisania wygładzonych wierszy nie mógł być dobrym wychowawcą. Pochlebstwo należało do głównych właściwości jego charakteru, a Lorenzo musiał mieć dużo odporności, aby znieść atmosferę tych kadzideł, któremi go słynny humanista otaczał. Raz pisał Policjan, że przed Lorenzem była Florencya tylko nieforemną kłodą drzewa, innym razem dowodził, że w Medyceuszu »nie czuć nic ziemskiego« i że wszystko w nim do nieba się odnosi. Gdy Giovanni został kardynałem, Policjan napisał także i od siebie list z podziękowaniem do papieża, w którym tyle było pochwał dla malca, że nawet posel Medyceusza przy dworze rzymskim uważał za śmieszne te pochlebstwa i pisma papieżowi nie oddał.

Zabawniejszym od Policjana towarzyszem Giovanniego był Bernardo Dovizi, późniejszy kardynał Bibbiena, wesoły, dowcipny, nadzwyczaj zdolny i zręczny chłopak, któremu tylko psoty i rozpusta chodziły po głowie. Wychowywał on się od dziewiątego roku życia na dworze Lorenza i był tylko o pięć lat starszy od Giovanniego. Ponieważ papież wymagał od młodego kardynała koniecznie wiedzy teologicznej, więc ojciec posłał go do Pizy, gdzie właśnie zreformowano



uniwersytet, i powierzył kasę Giovanniego Bibbienie. Młody Medyceusz nie mógł mieć wygodniejszego kasyera.

Na uniwersytecie poświęcał się Giovanni raczej pisaniu łacińskich i włoskich wierszy, aniżeli studjom prawa kościelnego, w którym nigdy nie był biegłym. Mimo to posyłał Policyan do Rzymu sprawozdania, że przyszły kardynał z wielką sumiennością przygotowuje się do swego zawodu, czem wzruszony papież pozwolił, aby Giovanni został już w marcu 1492 czynnym członkiem świętego Kollegium.

Konfirmacja owego znakomitego laika na godność kardynalską odbyła się 9 marca 1492 w klasztorze w Fiesole, a w kilka dni później udał się młody Medyceusz z wielkim orszakiem dworzan do Rzymu, dokąd wjeżdżał przez Porta del Popolo. Ojciec Lorenzo, obłożnie już wówczas chory, nie mógł brać udziału w tych uroczystościach odjazdu z Fiesole swego »mądrego« syna, kazał mu tylko w Rzymie pysznie pałac urządzić. Odpocząwszy z drogi, pojechał Giovanni wraz ze swem otoczeniem konno do Watykanu, aby papieżowi nogę ucałować, a gdy stamtąd wracał do domu, deszcz go przemoczył do nitki i zniszczył nowy strój kardynalski.

Giovanni zrobił nawet na starszych kardynałach jak najlepsze wrażenie, chwalono jego skromność, układność i roztropne odpowiedzi. Był zresztą nad wiek poważnie usposobiony, a może i dlatego, że właśnie od umierającego ojca otrzymał list, który mu nie jedną łzę musiał z oczu wycisnąć. Lorenzo napominał Giovanniego, aby prowadził żywot cnotliwy i honorowy, »tem potrzebniejszy w Rzymie, w tem zbiorowisku wszystkiego złego«. Jak Scylli i Charybdy powinien unikać obłudnych i złych ludzi, a w mowie zawsze być roztropnym, uprzejmym zaś w obcowaniu z kardynałami. »Gdyby inni byli kardynałowie, sądził Lorenzo, toby lepiej było na świecie, albowiem wybieraliby zacnego papieża«. Te ogólne uwagi kończył napomnieniem: »Poświęciłem cię Bogu i Kościołowi, zostań przykładnym kapłanem«. Praktyczny Medyceusz przeszedł następnie w swym liście do bardziej szczegółowych uwag; radził synowi, aby na posiedzeniach konsystorza przyłączał się ze względu na swoją młodość do zdania Ojca świętego i z początku jak najmniej













Fot. Anderson.

Mały kardynał.

Portret Emanuela Filiberta sabaudzkiego w galerji w Turynie.

Do str. 296.







od niego żądał, następnie przypominał mu, aby ze względu na swe stanowisko miał piękne konie, doborową służbę i w domu utrzymywał porządek. »Jedwabie, klejnoty nie odpowiadają twojej godności, pisał Lorenzo, raczej piękne książki, dzieła sztuki starożytnej powinny zdobić twój pałac, a przede wszystkim ludzie uczeni. Zamiast wydawać wspaniałe, rozgłosne uczty, odpowiedniej będzie, jeżeli częściej zaprosisz do siebie przyjaciół i literatów«. Ojciec daje młodemu kardynałowi nawet higieniczne przepisy, poleca mu, aby w jedzeniu był skromnym, aby kazał sobie podawać proste potrawy i dużo ruchu używał. Wstawać powinien rano, wtedy znajdzie czas na wszystko, zwłaszcza jeżeli wieczór nad tem pomyśli, co nazajutrz ma robić.

Giovanniemu nie było trudno zastosować się do tych uwag, albowiem miał usposobienie spokojne, za wiele tkwiło w nim rozwagi a za mało namiętności, charakteryzowała go pewna fizyczna i moralna ociążałość. Od kobiet stronił i w tej mierze odrodził się od ojca i braci, a cielesnych nadużyć nie lubił ze względu na swe słabe zdrowie, jadał bardzo skromnie.

W Rzymie mógł kardynał pozostać tylko kilka tygodni, gdyż z powodu śmierci ojca musiał powrócić już w kwietniu do Florencji. Ale i tam nie długo bawił. Innocenty VIII umarł wkrótce po Wawrzyńcu, a na lipiec r. 1492 zwołane zostało conclave. Wszedł z niego Rodrigo Borgia jako Aleksander VI, a że Medyceusz Hiszpana nie lubił i sprzeciwiał się jego wyborowi, więc obawiał się zemsty i pojechał znów do Florencji, gdzie się czuł bezpieczniejszym. W r. 1494 wybuchła jednak we Florencji rewolucya, która Medyceuszów pozbawiła na jakiś czas panowania, Giovanni przebrany za Franciszkanina musiał się ratować ucieczką; tułał się po Włoszech, bawił dłuższy czas na gościnnym dworze w Urbino, podróżował po Niemczech, Hollandyi i Francyi, aż wreszcie zapewniwszy się, że od Aleksandra VI nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, wrócił w r. 1500 do Rzymu.

Jako dojrzały już i zmiennością losu doświadczony kardynał zamieszkał w swym pałacu koło Sant' Eustachio, w dzisiejszym pałacu Madama, skupywał obrazy, starożytne rzeźby



i medale, powiększał bibliotekę i przyjmował poetów i literatów. Pieniądzy tylko brak mu było na wystawniejsze życie, należał bowiem do uboższych kardynałów: miał zaledwie 6000 dukatów rocznego dochodu, podczas gdy taki Ascanio Sforza mógł wydawać 30.000, a Caraffa, Cybò, Juan Borgia, Orsini po 10.000 dukatów rocznie. Oszczędzać jednak Giovanni nie umiał, popadał w długi, a chcąc raz jakąś ucztę urządzać, musiał część sreber zastawić. Zapomniał widocznie o przestrofach starego Lorenza.

Rok 1503 przyniósł Giovanniemu nowe troski; papież Aleksander VI umarł, a przy wyborze Juliusza II Medyceusz należał do jego przeciwników i popierał kardynała d'Amboise. Stosunek więc Giovanniego do nowego papieża nie był najlepszym, minęły czasy Innocentego VIII, kiedy beneficja spadały na kardynała jak z rogu obfitości. Ku końcowi wszakże panowania potrzebował Juliusz do swych politycznych zamiarów Florencyi i Medyceuszów, więc zwrócił się do Giovanniego i zamianował go legatem papieskim na Bolognię i Romanię. Ale powolny i chwiejny zawsze kardynał nie zupełnie odpowiadał swemu stanowisku, a na domiar złego dostał się w słynnej bitwie pod Rawenną, stoczonej 11 kwietnia 1512 r. przez hiszpańsko-papieską z francusko-ferrarską armią, do francuskiej niewoli. Liczba 11, w którą wierzył, że mu szczęście przyniesie, gdyż się urodził jedenastego grudnia, zawiodła tym razem Giovanniego, chociaż mimo to szczęście nie zupełnie go opuściło. W drodze do Francyi potrafił uciec Francuzom koło Mortary i stamtąd schronił się, przebrany za żołnierza, na dwór Franciszka Gonzagi, który go przyjął z wielką przyjaźnią.

Juliusz II postanowił się zemścić na Florencyi, ponieważ nie przystąpiła do hiszpańsko-papieskiej ligi, i osadzić tam znowu Medyceuszów. Rajmund da Cardona, wódz hiszpański z pod Rawenny, miał za zadanie zdobyć Florencję i oddać rząd Giulianowi Medyceuszowi, albowiem najstarszy Piero już był umarł. Wyprawie tej towarzyszył Giovanni jako legat papieski i był świadkiem strasznego zniszczenia miasta Prato. Giovanni starał się poskromić barbarzyństwa i okrucieństwa, jakich się tam wojsko Cardony dopuszczało,



ale na hiszpańskie hordy nie było wędzidła. Dzień 30 sierpnia 1512 pozostanie na zawsze jako jeden z najsmutniejszych w historii włoskiej i jako dowód dzikich instynktów iberyjskiej rasy.

Po upadku Prata nie było dla Florencyi ratunku, rzeczpospolita poddać się musiała. Cardona podyktował jej warunki, z których głównym był powrót Medycich. Jedenaście września wkroczył Hiszpan do miasta. Giuliano objął rządy, gonfalonier rzeczypospolitej, Soderini, uciekł wraz z rodziną i zamieszkał w Raguzie.

Medyceusze znając wesołą Florencyę, zaczęli od tego, że bawili ludność; rozpoczęły się, jak za Lorenza, festyny, karnawałowe pochody, o poważne miasto odbijało się znowu echo muzyki i śpiewów. Synowiec kardynała, Lorenzo, syn Piera de' Medici i Alfonsyny Orsini, był duszą tych zabaw, a i sam kardynał przystąpił do jednej z wesołych kompanii, do której należała patrycyszowska młodzież. Giovanni obrał sobie wtedy charakterystyczną dewizę, jarzmo z napisem: »Iugum meum suave est et onus meum leve«, moje jarzmo słodkie, a moje brzemie lekkie. Wkrótce jednak okazało się, że to brzemie nie było tak lekkie, jak mu się zdawało; poważni republikanie nie dali się pozyskać zabawami, powstało pomiędzy nimi sprzysiężenie przeciw Medyceuszom, do którego należał także Macchiavelli. Medyceusze jednak dość wcześnie się o spisku dowiedzieli, Macchiavellego i wielu innych uwięziono i na razie niebezpieczeństwo minęło.

W tych poważnych chwilach nadeszła do Florencyi wiadomość, że Juliusz II umarł. Kardynał Giovanni był wtedy chory, od dłuższego czasu cierpiał na fistułę w nodze; czasu jednak nie było do tracenia, miał bowiem nadzieję, że zostanie papieżem. Kazał się więc w lektyce nieść do Rzymu; wziął ze sobą chirurga, który w drodze ranę opatrywał. Mimo pośpiechu przybył Medyceusz jako ostatni z kardynałów na conclave.



## II.

Tymczasem w Rzymie wypływali codziennie nowi kandydaci na papieża. Bankier Filippo Strozzi pisał stamtąd do swego brata we Florencyi, że nie pamiętają podczas conclave takiego rozbicia się głosów i tylu kandydatów; kardynał S. Giorgio ma 18, Medici i Fiesco po 16, inni spodziewają się trzynastu lub sześciu głosów. W bankach dawano z razu 25, później już tylko 16 od sta za Medyceusza.

Mało kto przypuszczał, aby na Giovanniego padł wybór z powodu jego młodości. Medici miał dopiero trzydzieści siedm lat, a kardynałowie niechętnie głosują na młodego kandydata, któryby im na długie lata odebrał możność wyniesienia się na Stolicę Apostolską. Mimo to Medici wbrew wszelkim przypuszczeniom został papieżem, »Contra ogni credere del mondo fù fatto papa«, pisze Benvenuto Cellini. Młodzi bowiem kardynałowie, a przedewszystkiem Alfons Petrucci z Syeny, byli za Giovannim, lubili go z powodu łatwego obejścia, grzeczności, dobrych obiadów i świetnych uczt, które zwykł był urządzać. Prałaci pragnęli zresztą spokojnego człowieka na papieskim tronie. Aleksander VI był zanadto chciwym i zanadto wywyższał swoją rodzinę, Juliusz II tylko wojny prowadził, narzucał swoją wolę całemu otoczeniu, »przeklinał jak poganin«, a nawet kija używał jako skutecznego argumentu; cały Rzym wzdychał do łagodnych rządów. Wreszcie i niektórzy ze starych kardynałów dali się przekonać na korzyść Medyceusza, widzieli bowiem, że Giovanni chorowity, że mu nikt długiego życia nie wróży. Mimo młodego wieku bardzo otyły, miał krótką szyję, ciągle niedomagał, lada chwila mógł uleść atakowi apoplektycznemu. »Papabili« nie tracili więc nadziei, że go przeżyją, i w ten sposób przy wyborze większość głosów za nim się oświadczyła.

Medyceusz był dopiero dyakonem, trzeba go było wyświęcić na kapłana i konsekrować na biskupa, zanimby został koronowany papieżem. Te formalności z powodu nadchodzących świąt wielkanocnych szybko się odbyły; 15 marca 1513 otrzymał Leon X, takie bowiem przybrał imię nowy



papież, zwykle a 17 biskupie święcenia. Tych ostatnich udzielił mu kardynał Riario. Dziewiętnastego marca odprawił papież pierwszą mszę w kościele św. Piotra przed wielkim ołtarzem Ara maxima, gdzie się znajdowały relikwie ś. ś. Piotra i Pawła. Przed nim szedł mistrz ceremonii, niosąc w obydwu rękach dwie trzciny. Do jednej była przywiązana paląca się świeca, a do drugiej pęk konopi. Doszedłszy do ołtarza, uklęknął Parys de Grassi przed papieżem i zapalił świecą konopie, mówiąc: »Pater Sancte, sic transit gloria mundi«. Ojciec święty, tak przemija wszelka sława na świecie. To napomnienie nowego papieża przed aktem koronacji było od dawna w zwyczaju. Po mszy odbyła się koronacja. Nadzwyczaj kosztowną, perłami i drogimi kamieniami wysadzaną tyarę, Regno di tre corone, włożyli mu na głowę kardynałowie Farnese i d'Aragona, uderzono w trąby i grano na rozmaitych innych instrumentach ku wielkiej uciesze zgromadzonego ludu.

Głównym aktem wszakże, uświęcającym rządy nowego papieża, było tak zwane »possesso«, objęcie w posiadanie bazyliki Lateraneńskiej, a ta uroczystość odbywała się z wielką wspaniałością, jeżeli tylko papież w Rzymie przebywał. Leon X chciał wszakże pod tym względem przewyższyć wszystkich swoich poprzedników i nie za dużo mu było wydać 100.000 florenów, aby tylko blask Medyceuszów olśnił ludność rzymską. Jedenasty kwietnia, rocznicę bitwy pod Rawenną, wybrał sobie papież na ten pochód z Watykanu do bazyliki Lateraneńskiej, aby niejako zmazać w swem życiu niepowodzenie, jakie w wojnie z Francuzami go spotkało i »jedenastce« znów honor przywrócić.

Cały program pochodu ułożył w porozumieniu z papieżem mistrz ceremonii Grassi, najdrobniejsze szczegóły zostały umówione. Papież chciał jechać na tym samym tureckim koniu, który mu służył w bitwie pod Rawenną; kardynałowie zastanawiali się, czy wybrać konie czy muły. Zdania były w tej mierze podzielone; powoływano się na dawniejsze zwyczaje, według których białe muły były używane przy podobnych uroczystościach, ale skończyło się na tem, że niektórzy kardynałowie jechali konno, inni na mu-



łach. Konni purpuraci byli później niezadowoleni ze swego wyboru; gdy bowiem podczas pochodu zaczęły grzmieć bombarardy na zamku św. Anioła i lud z pełnych piersi krzyczał »Palle! Palle!« hasło Medyceuszów, wierzchowce się płoszyły zaczęły, podczas gdy strzelanie i hałasy publiczności żadnego na muły nie robiły wrażenia. Na papieskim szpaku wjechał najprzód książę Ferrary pomiędzy tłumy, aby go przyzwyczać do okrzyków, ale koń, który słyszał huk armat Alfonsa pod Rawną, okazał się zupełnie obojętnym na hałas ulicznego ludu.

Pochód do Lateranu był niesłychanie świetny, mówiono, że od czasów cesarskich Rzym czegoś podobnego nie widział. Na czele szło czterech błaznów w otoczeniu muzykantów, grających florentyńskie melodye; za nimi jechał oddział lekkiej kawaleryi o barwach Orsinich, zwykłych sprzymierzeńców papieskich, a teraz tem bliższych Watykanowi, ponieważ matka Leona X, Klarysa, była córką tego niespokojnego rodu. Konnica ta z lancami i biało-czerwonemi chorągiewkami dzielnie wyglądała, ale przyćmiewał ją kwiat rzymskiej szlachty, bezpośrednio za nią jadący na pysznych rumakach. Było tam wyżej stu rycerzy, Orsinich, Colonnów, Savellich, Contich w złotolitych brokatakach i lśniących aksamitach. Za szlachtą szli senatorowie w papieskich barwach, białej, czerwonej i zielonej, tudzież gonfaloniere rzymskiego ludu, Giovanni Giorgio Cesarini, trzymający wielki czerwony sztandar z wyhaftowanemi literami S. P. Q. R. Dalej jechali przedstawiciele krajów hołdujących Stolicy Apostolskiej, a więc książę Urbinu, w żałobie po zmarłym papieżu, obok niego bardzo strojnie ubrani Giovan Maria da Varano, pan na Camerinie, Baglioni z Perugii i inni pomniejsi, książę Ferrary zaś znajdował się jako najznakomitszy wasal papieski pomiędzy kardynałami, ubrany w karmazynowy płaszcz książęcy, z pod którego wyglądała szata ze złotolitego brokatu. Ze wszystkich grup zamiejscowych gości najbardziej zwracali uwagę Florentyńczycy, których się mnóstwo zjechało. W Rzymie przeczuwano, że oni będą ulubieńcami papieża i że najkorzystniejsze urzędy im się dostaną. Później ich bliżej poznamy; byli pomiędzy nimi Medici, Salviati, Tornabuoni, Soderini, Strozzi, Ricasoli i wielu innych.



Mniej więcej w środku procesyi wieziono na białym koniu przenaświęty Sakrament pod baldachimem, który trzymało ośmiu rzymskich patrycyuszów, a za tym symbolem wiary jechało konno i na mułach około dwustu pięćdziesięciu arcybiskupów, biskupów, opatów, patryarchów, wszyscy w uroczystych szatach, w infułach i mitrach. Dopiero za duchowieństwem prowadzono konia, na którym siedział papież, otoczony szwajcarską gwardyą w malowniczych strojach. Tuż za papieżem posuwali się kardynałowie, a każdy z nich miał przy sobie ośmiu młodzieńców ze swego rodu.

Czterystu łuczników zamykało pochód z kontrolorem Kamery apostolskiej na czele, rozdawcą pieniędzy. Ten »projector pecuniae« miał dwie torby u siodła z nowo wybitymi złotemi i srebrnemi monetami i rozrzucał je pomiędzy tłumy. Ale cennego kruszcu wystarczyło zaledwie do Lateranu; tam czekał kasyer papieski, który co chwila wypróżnione sakwy na nowo napełniał.

Do wielkich ciekawości procesyi należało dziewięć białych koni ze stajen papieskich, które zwano Achinee, i trzy białe muły, przykryte kapami z czerwonego aksamitu. Każdego prowadził osobny koniuszy.

Cały ten tłum ludzi i zwierząt zgromadził się na placu przed św. Piotrem i powoli się rozwijał w kierunku zamku św. Anioła wśród okrzyków ludności: »Niech żyje Leon X, Palle, Palle!« Przeszkód po drodze było niemało, wąskie ulice tamowały szybki ruch, zresztą w niedalekich odstępach od siebie pourządzano ołtarze, przy których ustawiło się niższe duchowieństwo, a śpiewając pieśni kościelne, okadzało ambrawą przejeżdżającego papieża. Wszystkie domy były przybrane w kwiaty, dywany i jedwabne materye, girlandy zaś z liści dębu i wawrzynu poprzeciągano przez szerokość ulic, w oknach powystawiano, co kto miał najpiękniejszego: srebrne naczynia, rzeźby i obrazy, a przedewszystkiem kobiety. Obok posągów ś. ś. Kozmy i Damiana, patronów domu Medyceuszów, stali bogowie Olimpu, a obok napisów biblijnych można było czytać epigramy, sprowadzające Wenere i Marsa na uroczystość papieską.



Już u mostu św. Anioła musiał się pochód zatrzymać: żydzi z rzymskiego Ghetto urządzili tam estradę, pysznie przystrojoną drogocennymi tkaninami, na której zebrali się rabin, trzymając w rękach świece z białego wosku. Gdy Leon X koło nich przejeżdżał, ofiarował mu najstarszy rabin nadzwyczaj cenny egzemplarz Pentateuchu, który papież przyjął, wypowiadając sakramentalne wyrazy: »Confirmamus, sed non consentimus«, potwierdzamy, ale nie zgadzamy się. Nie wszyscy jednak papieżę odpowiadali tą krótką formułą na uroczyste powitanie żydów; wielu z nich, biorąc z rąk rabinów księgę praw Mojżesza, oświadczało, że wprowadzie czczą owe święte przepisy, dane od Boga przez usta Mojżesza, ale potępiają sposób, w jaki żydzi tłómaczą sobie słowa wielkiego zakonodawcy, albowiem Messyasz, którego oni na darmo oczekują, przyszedł już na świat według katolickiej wiary, a jest nim Jezus Chrystus, panujący wraz z Ojcem i Duchem świętym po wsze czasy.

Mnóstwo bram tryumfalnych wystawiono po drodze do Lateranu, jedną z najpiękniejszych urządził Rafael Petrucci, biskup z Grosseto i kasztelan zamku św. Anioła. Stał na niej wprawdzie posąg Apollina, ale i na chrześcijańską scenę oddania kluczy św. Piotrowi znalazło się miejsce. Także łuk Agostina Chigiego przed jego domem na via del Banco zwracał powszechną uwagę, gdyż był ozdobiony żyjącymi figurami, które przedstawiały Apollina, Merkurego, Palladę i różne symboliczne postacie. Bankier, znając skłonność papieża do otaczania się artystami, do spokojnego życia, a nie do wojen, wypisał złotemi literami na fryzie łuku dwuwiersz:

Olim habuit Cypris sua tempora, tempora Mavors  
Olim habuit: sua nunc tempora Pallas habet.

Niegdyś Wenus panowała, później marsowe nastąpiły czasy, obecnie rządzi Pallada.

Dowcipnie się znalazł jeden z sąsiadów Agostina, złotnik Antonio da San Marino, który przeczytawszy ten wierszyk, czempredziej wystawił w swem oknie posąg Wenery z podpisem: »Mars wprawdzie panował, a po nim nastąpiła Minerwa, ale Wenus zawsze będzie swe berło dzierżyła!«













Fot. M. Frankenstein w Wiedniu.

Leon X.

Według akwareli znajdującej się w ces. muzeum w Wiedniu.  
Portret po raz pierwszy reprodukowany.

Do str. 305.

















Fot. Alinari.

Magdalena Cybò, siostra Leona X.  
Według portretu w galerji Torlonia w Rzymie.

51

Do str. 305.







Większa część łuków była ozdobiona mitologicznymi postaciami, a jeden z rzymskich patrycyuszów, Ewangelista Rossi, całą fasadę swego domu przybrał w prawdziwe starożytne posągi. Gdy Leon X zbliżał się pod łuk tryumfalny, który postawiła bankierska rodzina Genuieńczyków Saulich, wyszedł mały chłopczyk na urządzoną w tym celu galeryjkę i zaczął deklamować powitalne wiersze na cześć papieża. Wkońcu jeszcze jedna niespodzianka czekała Leona X. Na bramie Zinchy, naczelnika mennicy, mógł czytać wiersz, sławiący cyfrę jedenaście, fatalistyczną swą liczbę.

Jeden ze świadków uroczystości zauważył, że całą procesję najbardziej upiększała madonna Laura Farnese, która nigdy mu się tak uroczo nie wydawała, jak wtedy. Siedziała w oknie w pobliżu bramy tryumfalnej Cancellaryi i swymi płomiennymi oczyma rzucała blask na całą okolicę.

Na znużonych uczestników pochodu czekał obiad w Lateranie; ponieważ jednak o tym bankiecie milczą kronikarze, więc trzeba przypuszczać, że nie był zbyt świetny. Przeciągnął się jednak do wieczora, tak że papież wracał do Watykanu ulicami pełnymi świateł. Z domów i z aptek wynoszono tysiące pochodni z białego i żółtego wosku. Rzym kąpał się w jasnościach.

### III.

Leon X był nie tylko fizycznie, ale i moralnie ociężały, a ten brak ruchliwości przebijał się w całej jego postaci i w usposobieniu. Żywotność Medyceuszów wyczerpała się w ostatnich dwóch generacjach; po Cosimie i Lorenzu ród ten stracił energię. De Grassi skarżył się, że papież zawsze się spóźnia, nie chce wstać z łóżka, nie przyjdzie na czas do obiadu, nigdy nie można na niego liczyć, że dotrzyma oznaczonej godziny.

Papież był najbrzydszy z rodziny; prawie odrażający wskutek swej niestosunkowo dużej głowy, obrzękłej, bladej twarzy i okrągłych, wypukłych oczu, z których trudno było wyczytać, aby do jakichkolwiek szlachetnych porywów był



zdolny. Krótkowidz, zawsze patrzył przez szkło powiększające, niestosunkowo otyły, zaledwie się trzymał na słabych nogach, idąc, opierał się zwykle na ramionach dwóch służących, a ręce zbyt białe, jakby krew z nich uszła, jeszcze bardziej podnosiły chorobliwe wrażenie, jakie jego postać sprawiała. Rafael wyidealizował go w swym florentyńskim obrazie, prawdziwy portret Leona X, jakby fotograficznym aparatem schwycony, istnieje w cesarskiej galerii w Wiedniu. Do tego portretu niestety bardzo podobny jest ów brzydki posąg grubego dłuta, ustawiony teraz w kościele Ara Coeli w Rzymie, któryby wielbiciele Leona X chętnie w kawałki porozbijają chcieli. Robiąc to nieudane dzieło, musiał jednak artysta mieć przed sobą autentyczną podobiznę papieża. Słynny wenecki kronikarz, Marino Sanuto, widział Leona X jeszcze jako kardynała w Wenecyi, wówczas, kiedy tenże przejeżdżał do Francyi, i opisuje go jako dużego mężczyznę o brzydkiej twarzy, krótkim wzroku, małowownego, »*huomo grande, ma brutta effigie e pocha vista, huomo grossolan, tamen disse alcune parole, e sempre si cavava la barete*«.

Po wyborze Leona X obiegał wiersz, który postaci i charakteru papieża nie przedstawiał sympatycznie. Nieznany poeta nazwał Leona złym i o słabym wzroku, sądził jednak, że kardynałowie jeszcze gorsze mieli oczy, byli ciemni, skoro go wybrali.

Mostro natura per molti segnali  
 Ch'era mala, ante pessima electione  
 Far papa quel che si chiamò Leone,  
 Na piu che lui fur ciechi i cardinali.

Wzrok papieża przerażał wierszopisa, nazwał straszniemi te oczy, mogące wzbudzić niepokój nawet w odważnym człowieku.

Viso hebbe horrendo et monstuoso aspetto  
 Da spaventare ogni anima sicura.

Gdyby nie tradycyjne przyzwyczajenia, które Leon X wyniósł z domu, a więc kult dla sztuki, otaczanie się litera-



tami, wielka grzeczność w obcowaniu z ludźmi, hojność, przechodząca wszelkie rozsądne granice, toby się nie był różnił od pierwszego lepszego prałata, który utonął w egoizmie i w wygodnym życiu. Leona X nie można nawet posądzić o prawdziwy epikureizm; brak mu było do tego zdrowia i namiętności, jego rozkosze ograniczały się do wesołego towarzystwa, do słuchania muzyki i śpiewu, śmiechu z grubych żartów, patrzenia na zabawne sztuki teatralne i na błaznów, których lubił nad wszystko. Jeżeli Leon X powiedział bratu swemu Julianowi: »Godiamoci il papato, poichè Dio ce l'ha dato«, cieszymy się papieństwem, skoro nam je Bóg dał, to takie powiedzenie daleko mniej było materyalne i epikurejskie, jakby się zdawało.

Jedna muzyka sprawiała papieżowi prawdziwą rozkosz, sam miał ładny głos i nadzwyczaj delikatny słuch. W sypialnym pokoju wisiała zawsze lutnia, aby mógł wygrywać melodye, które mu przez myśl przeszły. Podczas przedstawień muzycznych w Watykanie siedział z zamkniętymi oczyma, cały pogrążony w rozkoszy, jaką mu gra lub śpiew sprawiała, a często cichym głosem wtórował artystom.

Mało ruchliwy Leon X chciał mieć przyjemnie urozmaicony spokój, a przede wszystkim obawiał się wojen i tych Turków, którzy coraz bardziej zbliżali się do włoskiego półwyspu. Spokoju zresztą pragnęli wszyscy, a ideał ten był dla Leona tem bardziej pożądanym, że papież z natury chwiejny i namyślający się, nienawidził ważnych postanowień. Nie dorównał on ojcu w politycznej zręczności; podczas gdy Magnifico w najtrudniejszych chwilach klęsk finansowych i politycznych umiał zawsze wyzyskać swoją aureolę, aby wyjść jeżeli nie z korzyścią, to przynajmniej nie z wielkimi stratami z zawikłań, które go krępowały, Leon X swą chwiejnością, swymi manewrami nie wzbudzającymi zaufania, nigdy nie dochodził do celu. Prawie zawsze co innego mówił, a co innego czynił, a ta dwulicowość charakteru tak mu była wrodzoną, że czy było potrzeba czy nie, najczęściej sam sobie zaprzeczał. Jak wiele chwiejnych umysłów, nigdy nie wiedział do ostatniej chwili, co zrobić, i dopiero wtedy, kiedy okoliczności zmuszały do czynu, ule-



gał przypadkowym wrażeniom. Ludzie chwiejni najczęściej nie lubią wyjawiać swych zamiarów, gdyż nie wierzą sobie samym, iż pójdą tą drogą, którą iść zamierzali. Podobne postępowanie i brak wszelkiej stanowczości w usposobieniu papieża zniechęcało do niego całe otoczenie, a jak dawniej narzekano na porywczosć Juliusza II, tak teraz przypominano sobie jego żelazną postać, a nawet podnoszono osobistość Aleksandra VI, mówiąc: »Quello era un papa«, tamten był papieżem.

Usposobienie więc Leona X zupełnie się do tego nadało, aby w Watykanie zapanowała rodzina. Papież najbardziej kochał swego brata Giuliana, który także nosił na sobie wszelkie cechy człowieka pochodzącego z upadającego rodu. Nie miał bynajmniej ambicyi rozkazywania, panowania, grzązał w rozmaitych miłostkach w Wenecyi, w Rzymie, w Urbino i w Ferrarze, wyczerpał swe siły fizyczne i moralną energię do tego stopnia, że dał się opanować czarownikom, stał się mistykiem, szukał zaspokojenia w przesadnych religijnych praktykach, a wreszcie ogarnęło go takie obrzydzenie życia, że je sobie chciał odebrać. Wysoki blondyn, o niebieskich oczach, o długiej szyi, długich rękach, poważny w ruchach, w chodzie i w mówieniu, bardzo uprzejmy, grzeczny, miłosierny, ludzki, często zadziwiający błyskami wyższego umysłu, był niezdolnym do praktycznego życia. Każde większe moralne natężenie, każda dłuższa rozmowa męczyły go, musiał się kłaść na chwilę do łóżka, spoczywać. Wtedy układał sonety miłosne, i to nie najgorsze. W wojowniczej postaci dowódcy armii papieskiej, w tym Rzymianinie, którego Michał Anioł wyrzeźbił na grobie Giuliana, z trudnością moglibyśmy poznać zdenerwowanego członka niknącej rasy.

Giuliano po wypędzeniu Medyceuszów z Florencyi bawił długi czas w Urbino, a nawet część pałacu nazwano od niego appartamento del Magnifico. Tam się zaprzyjaźnił z Bembem i Castiglionem, który wprowadza go w »Cortegianie« jako przyjaciela kobiet i wkłada mu w usta określenie zalet damy dworu. Giuliano nie mając w Urbino nic innego do czynienia, romansował i wiersze pisał. Tam mu

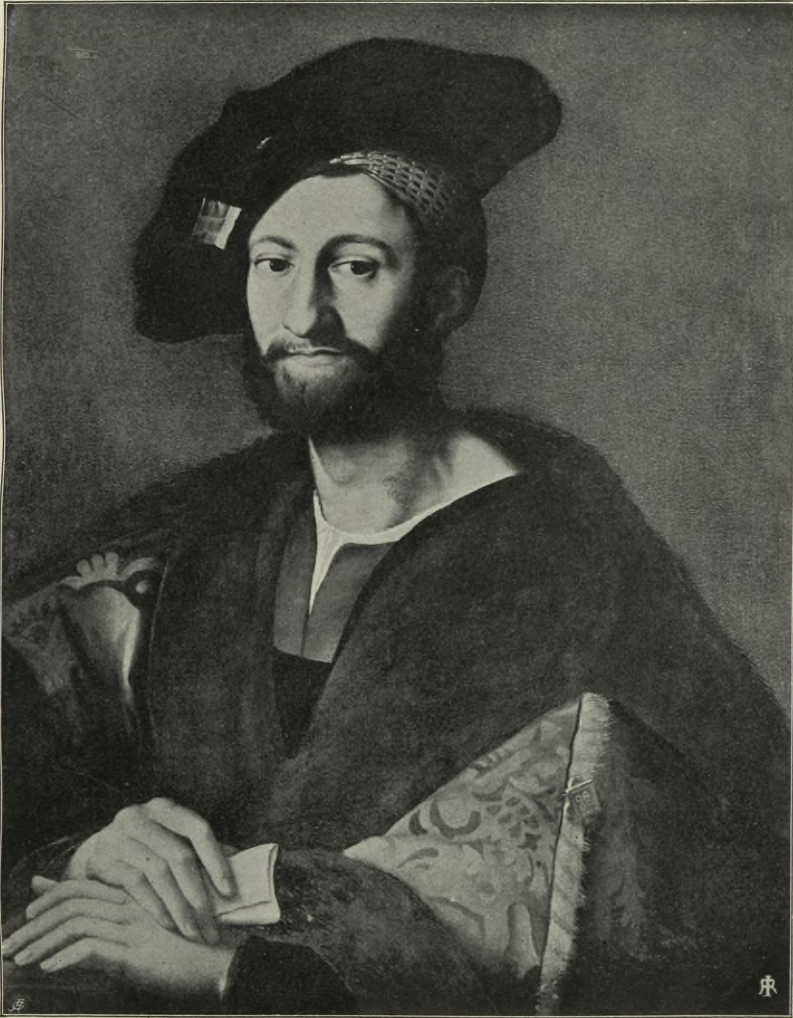












Fot. Brogi.

Giuliano de' Medici.

Według portretu Alessandra Allori, w Uffiziach.

Do str. 308.







się urodził syn Hipolit z niewiadomej historykom matki, który później, za Klemensa VII został kardynałem. Giuliano zachował, jedyny z rodziny, dużo wdzięczności dla Elżbiety Gonzagi z Urbino.

Zdrowszy i silniejszy od Giuliana był Lorenzo, synowiec papieski, syn Piera de' Medici i Alfonsyny Orsini. Nadzwyczaj skromny w jedzeniu i piciu, wyborny jeździec i myśliwy, prowadził życie moralniejsze, aniżeli wielu innych, nie wdawał się we Florencyi prawie z kobietami, bardzo mu bowiem na tem zależało, aby utrzymać dobrą sławę swego rodu. Otaczał się więc tylko poważnymi ludźmi, a grosza publicznego nie dotykał, aby dawać przykład »czystych rąk«, »per dare esempio a ciascuno, che si ha le mani nette«, jak sam o sobie mówił. W usposobieniu więc miał dużo rozwagi i spokoju, ale mało ambicyi i niewiele umysłowych zdolności. Do śmiałego działania, do zdobycia sobie państwa, jak Cezar Borgia, nie miał dość siły; jego ideałem było dobrze się ożenić, zagarnąć duży posag i osiąść na spokojnem państewku. W przyszłość swego rodu nie wierzył, sądził bowiem, że po śmierci papieża Florencya skaże znowu Medyceuszów na wygnanie i z tego powodu rad był mieć małe księstwo i majątek. »Altro non penso, ne altro desidero«, pisał do kardynała Giulia. Przeszłość nauczyła go, że fortuna braci i nepotów papieskich niestała. Michał Anioł stworzył we florentyńskim mauzoleum, na uczczenie pamięci Lorenza, jedną z najpiękniejszych swych postaci, owego potężnego Medyceusza, pogrążonego w zadumie. Któżby przypuszczał, że »Pensieroso« myśli tylko o tem, jakby się bogato ożenić! Także patryotyczna fantazyja Machiavella chciała wynieść marną osobistość Lorenza do wysokości panującego, którego sobie wielki pisarz wymarzył w swoim »Principe«.

Ani Giuliano ani Lorenzo nie byli ludźmi, którzyby chcieli i mogli wywierać stanowczy wpływ na papieża. Zaraz po wyborze Leona X przybył jednak do Rzymu jego brat stryjeczny Giulio, po którym się spodziewano, że owdanie słabym papieżem.<sup>8</sup> Giulio był synem naturalnym stryja papieskiego, Giuliana de' Medici, który zginął od sztyletów Pazzich w Santa Maria del Fiore. Wskutek nalegań matki



Lorenza Medyceusza z rodu Tornabuonich, wzięto kilkodniowe dziecko Fioretty, kochanki zamordowanego, do pałacu Medicich i wychowywano je z synami Magnifica. Leon X przywiązał się do owego brata stryjecznego, mianował go kardynałem; ale i ten Medyceusz nie był charakterem, któryby mógł zawładnąć papieżem, całej generacyi brak było siły i stanowczości. Energię natomiast miały dwie kobiety, należące do rodziny papieża: Alfonsina, matka Lorenza, i jej córka, Klarysa Strozzi. Alfonsina była córką Roberta, młodszego syna Carlosa, założyciela linii Orsinich z Bracciano, miała też wszystkie zalety i wady Orsinich. Urodzona despotką, gwałtowną, dumną, stanowczą, nie mogła się przywiązać do słabego Piera Medyceusza i żyć z republikańską Florencją, z tem wzbogaconem mieszczaństwem, które nie odpowiadało jej arystokratycznym nawyknieniom. Alfonsina miała oprócz syna Lorenza także córkę Klarysę, z usposobienia bardzo do niej podobną. Klarysę chciano zrazu wydać za mąż za Baltazara Castigliona; ponieważ jednak autor »Cortegiana« nie był dość zamożnym człowiekiem, więc wybrano jej bogatego Filipa Strozzi, syna także Filipa, którego nazywano »Starym«.

Strozzi byli dawną możną florentyńską rodziną, ale dopiero Filip »Stary« położył fundament pod potęgę ich bankowego domu. Prowadził przeważnie interesy w Neapolu; wygnany bowiem w połowie XV wieku z ojczyznościanego miasta, tam osiadł i pozyskał sobie zaufanie króla Ferranta, którego został bankierem. Strozziiego bank zasłynął z wielkiej rzetelności w interesach, wskutek czego znaczna część ludzi bogatych z Włoch południowych i środkowych oddawała mu swe kapitały i składała u niego kosztowności. Zakład finansowy Strozziiego był w całym tego słowa znaczeniu bankiem familijnym, bo Filip powierzał ważniejsze posady w swych kantorach po większej części tylko członkom rodziny, tak że przy jego stole jadalnym zasiadało zazwyczaj ośmnastu Strozziich. Zebrawszy olbrzymi majątek, skorzystał Filip ze zmienionych stosunków politycznych we Florencyi, aby w podeszłym już wieku wrócić do ojczyzny i wybudować ów przepyszny Palazzo Strozzi, który dotąd jest jedną z naj-

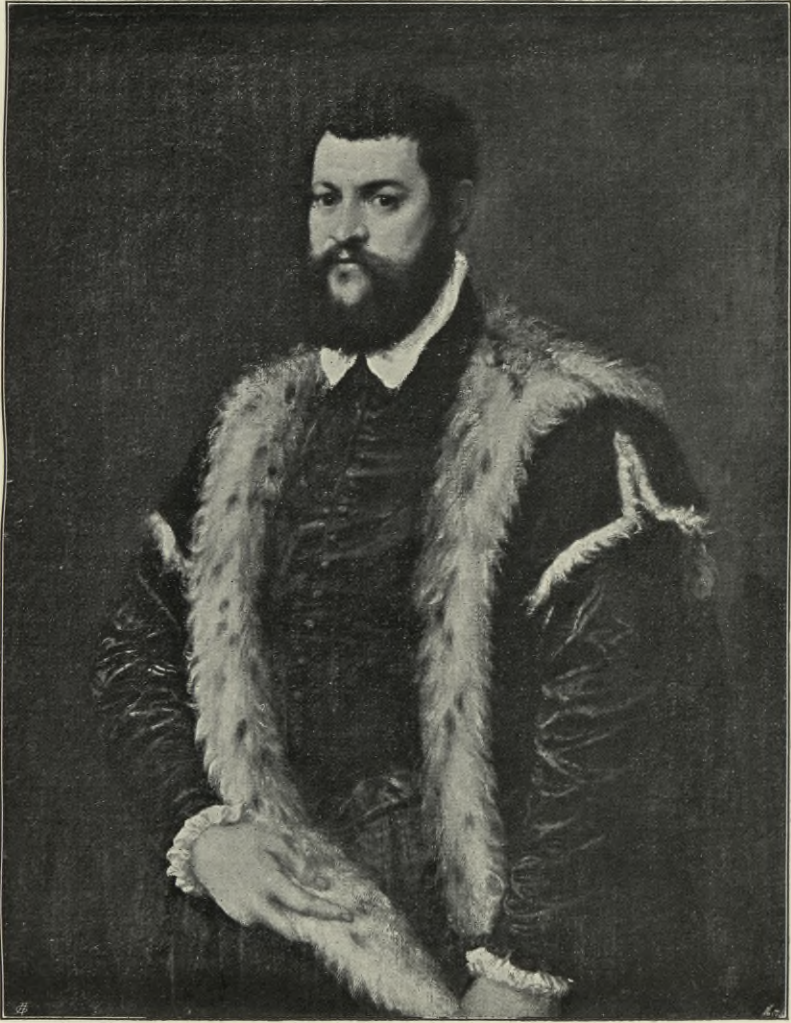












Filippo Strozzi.  
Według portretu Tycyana.







piękniejszych budowli we Włoszech, jakie pozostawiły czasy Odrodzenia. Strozzi mieli także swój bank w Rzymie, a młodszy Filip, ożeniony z Klarysą Medici, przeniósł się zaraz po wyborze Leona X do stolicy, aby tam korzystać z pokrewieństwa swej żony z papieżem.

Leon X miał jeszcze drugiego bankiera w swej najbliższej rodzinie. Jedną z sióstr papieża, Lukrecyę, wysłał za mąż za Jakóba Salviatego, potężnego florentyńskiego kupca, wskutek czego załagodzona dawniejszą nienawiść pomiędzy Medyceuszami i Salviatami, którzy należeli do spisku Pazzich. Salviati miał filię swego banku w Rzymie, przebywał teraz prawie ciągle na dworze papieskim, a bardzo zręczny w interesach, stał się jednym z głównych doradców i powierników Leona X, osobiście w sprawach finansowych. Salviatemu zarzucano, że zanadto z papieża korzystał; ale z drugiej strony Leon X tak dalece jego kredytu nadużywał, że zbyt usłużnemu bankierowi groziła z tego powodu przez jakiś czas majątkowa ruina. Dopiero za Klemensa VII, który go również obdarzał swym zaufaniem, wyrównał Salviati straty, poniesione za rządów Leona X.

Ci dwaj bankierzy, Filippo Strozzi i Jacopo Salviati, wspierani przez starą Alfonsinę i zręczną Klarysę, stanowili właściwą kamaryllę Leona X, która głównie wpływała na rozwinięcie się szkodliwej rodzinnej polityki papieża. Ulegając Alfonsinie, nadał papież kapitanat Florencji Lorenzowi, a następnie wygnał Francesca Marię della Rovere z całą rodziną z Urbino, a zagrabiwszy księstwo na rzecz nepota, popełnił najohydniejszy czyn polityczny, którym splamił swe panowanie. Na tok spraw państwa papieskiego wywarła Alfonsina kilkakrotnie wpływ bardzo ważny, była zawsze przeciwniczką polityki antyfrancuskiej. Gdy po zwycięstwie Franciszka I pod Marignano i zajęciu Medyolanu przez wojska francuskie papież chciał jeszcze za poradą Bibbiena wytrwać w przymierzu z ligą zawartą przeciw Francji, Alfonsina uderzyła w rodzinie na alarm, że niedoświadczony Bibbiena swemi machinacjami zniszczy ród Medyceuszów, i przeparała, że papież zbliżył się do Franciszka I. We Florencji Alfonsina chciała zaprowadzić despotyczne rządy, a gdy papież



w grudniu r. 1515 tam przybył, krążyło mnóstwo złośliwych z tego powodu wierszyków, pomiędzy innymi epigram:

Perdita libertas post hoc, Florentia nam te  
Femina ab Ursino sanguine sola regit.

Straciłaś swą wolność Florencyo, gdyż rządzi tobą jedynie kobieta z rodu Orsinich.

Za rodziną ścigała do Rzymu niemal cała Florencya, aby korzystać z hojnej ręki papieża, najkorzystniejsze urzędy dostawały się Florentyńczykom, niczem jednak się nie zadawali, chcieli zagarniać każde opróżniające się beneficjum. Jeneralnym depozytaryuszem Stolicy Apostolskiej został Filip Strozzi, a prócz niego jeszcze blisko trzydzieści florentyńskich banków otwarło w Rzymie swoje kantory. W służbie dworskiej spotkać było można Tornabuonich, Capponich, Albizzich, Ricasolich i wielu innych członków wybitnych rodzin z nad Arna, a wskutek protekcji pomnożyła się liczba wyższych i niższych dworzan do niebywalej dotąd wysokości. Blisko 700 dygnitarzy, urzędników i sług miał papież do utrzymania, tak że wydatki na dwór pożerały większą część dochodów. Nawet niemiecki poeta Hutten, który tak ważną odegrał rolę w reformacyi, gorszy się tym napływem Florentyńczyków i skarży się, że cały Rzym oddany jest na łup podstępnych Toskańczyków.

Thuscus opum vacua mercator regnat in Urbe,  
Tota Florentino est tradita Roma dolo.  
(Epistola Italica).

Rzecz dziwna, że po rodzinie najważniejszą rolę w otoczeniu papieża odgrywał kamerdyner a zarazem kasyer prywatnej szkatuły Leona X, Serapica. Zjadliwy Aretino powiada, że Serapica »najprzód psy wiązał, a potem został papieżem i światem rządził«, a w tem powiedzeniu było trochę prawdy. Ulubieniec papieski służył za młodu za psiarczyka u kardynała Sanseverino, jednego z najbardziej zapalonych myśliwych Kuryi rzymskiej. Nazywał się Giovanni Lazzaro de Magistris, pochodził z Anagni, a przezwisko Serapica, oznaczające komara, dano mu, ponieważ był mały, brzydki, ruchliwy i miał głos brzęczący. Serapica znany był ze swej chudości i miał



tylko jednego w tej mierze współzawodnika, Golpina, służącego u Magnifica, o którym Giuliano opowiadał, że raz, gdy Golpino zapalał drzewo na kominku, dym go za sobą pociągnął i wyniósł aż na dach pałacu. Od tego czasu obciążono mu podeszwy u butów ołowiem. Serapica dostał się do służby Leona X jeszcze za jego kardynalskich czasów, a już wtedy padrone tak polubił zręcznego sługę, że mu wyrobił jakieś beneficjum w Aquili, w Abruzzach. Gdy zaś Medici został papieżem, odstąpił zaraz Serapice dochód sześciuset dukatów, który jako kardynał pobierał z opactwa w Monte Cassino. Papieski sługa »camerier segreto« doszedł niebawem do niemałego znaczenia, nazywano go »clericus Aquilanus et cubicularius secretus« i pobierał sto dukatów rocznej pensyi. Kto zwykłą drogą nie mógł otrzymać u papieża posłuchania, udawał się do niego, a Serapica potrafił za kilka dukatów wprowadzić petenta nawet do prywatnych pokojów Leona X. Humanista Marco Musuro pragnął zostać opatem w Gaecie, a napotykając na różne w tej mierze przeszkody, udał się do Serapiki. Ze zaś cameriere miał od papieża upoważnienie otwierać podwoje tylko ludziom zabawnym, błaznom i wesołym poetom, więc przedstawił Greka swemu panu jako błazna. Papież się uśmieł z podstępem i zamianował humanistę opatem.

Serapica tak zręcznie korzystał ze swego »stanowiska«, że dochód jego miał wynosić rocznie około dziesięciu tysięcy dukatów, a cały dwór zazdrościł mu wpływu na papieża. Niebawem kupił sobie dom w rione Ponte, a papież często u niego pieniędzy pożyczał. Poeta Gwido Postumo mówi w jednym ze swoich epigramów o »zawiści«, która się trzszczy i gryzie, że jedyny Serapica jest w łaskach u ziemskiego Jowisza, Leona X, »quod unus terreno fuerat proxima cura Jovis« Cameriere prowadził rachunki osobistych wydatków papieża, a ci, co je przeglądali, zapewniają, że często się zdarzało, iż jedna i ta sama pozycja po dwa razy bywała zapisaną. Papież był za wygodny, aby badać notatki swego sekretarza, Serapica mógł zapisywać, co mu się podobalo. Zapiski te są bardzo zajmujące, okazuje się z nich bowiem, jakie papież miał słabostki i na co najczęściej wy-



dawał pieniędzy, a więc na muzykantów i na instrumenty muzyczne, na złotników i drogie kamienie, na komicznych poetów i błaznów, na rozmaite wesołe przedstawienia i na polowania.

Jednak i na Serapikę przyszły smutne czasy. Leon X umierając, był mu winien 18.000 dukatów, cameriere stał nad brzegiem ruiny, po ulicach sprzedawano drzeworyt, przedstawiający cameriera w towarzystwie Acursia, służącego »dobrej pamięci papieża Juliusza«, siedzących na chudej szkapie. Pod obrazkiem było podpisane: sic transit gloria mundi. Ale Serapica umiał się ratować: po śmierci papieża pozabierał, co mógł z Watykanu, srebrne naczynia, klejnoty, kosztowne ubrania i wyjechał z Rzymu. Kamera apostolska wytoczyła mu jednak proces i albo go schwytano, albo sam się stawił przed sąd, gdyż w czerwcu r. 1523 został uwięziony. Jakie były jego późniejsze losy, nie wiemy; zapewne nie ciekawe.

#### IV.

Leon X objawił zaraz po swoim wyborze życzenie, aby bratu jego Giulianowi i nepotowi Lorenzowi de' Medici zostało udzielone rzymskie obywatelstwo. Nazwa civis romanus miała jeszcze zawsze swój urok, osobliwie od czasu, gdy Pomponiusz Laetus cały Rzym spaganizował. Senat miejski ani na chwilę się nie wahał, aby woli papieża, po którym się wiele spodziewano, zadość uczynić. Postanowiono nawet na Kapitolu, aby wyniesienie dwóch Medyceuszów do godności patrycyuszów obchodzić ze szczególną wspaniałością.

Polecono więc natychmiast budowniczemu senatu, który się nazywał Messer Pier Possello, aby na placu pomiędzy Kapitolem a pałacem konserwatorów wybudował z drzewa rodzaj wielkiej halli, któraby mogła służyć jako teatr i jako sala jadalna. Budynek wypadł pięknie, aniżeli by się po takiej chwilowej robocie spodziewać było można. Frontową ścianę zdobiło sześć kolumn, pomiędzy którymi jaśniały wspinałe obrazy o tematach z legendarnej przeszłości Rzymu, jak np. Romulus ofiarujący Jowiszowi przedmioty zdobyte



na Arruncie, królu Fidenatów, Saturn przybywający do Rzymu, i inne. Wnętrze sali, która mogła pomieścić trzy tysiące osób, także było ozdobione malowidłami z historii miasta, a w głębi na podwyższeniu urządzono scenę, do której prowadziło z zewnątrz pięć wielkich drzwi, zasłoniętych portyerami ze złocistej materii.

Na prezydenta festynu wybrano gonfaloniera Gian Gorgia Cesariniego i zaproszono na ucztę całe Kollegium kardynałów, mnóstwo prałatów, baronów z Kampanii i najznakomitszych członków rzymskiej szlachty. Ponieważ jednak Lorenzo Medici wyjechał już był do Florencyi, przeto w uroczystości brał udział tylko Giuliano.

Po gościu wyjechało do Watykanu pięćdziesięciu szlachty na doborowych koniach ze służbą i nieskończoną ilością trębaczy i piferarów; gdy cały ten pochód przybył na Kapitol, odprawił biskup z Aquili nabożeństwo przy ołtarzu ustawionym na nowowypudowanej scenie, a Lorenzo Vallati, młodzieniec rzymski, miał mowę do Medyceusza. Poczem uprzątnięto ołtarz, publiczność wyszła i tylko czterdzieści cztery osób z Giulianem na czele zasiadło do biesiady.

Wspaniałość tego obiadu przechodziła wszystko, co tylko wyobraźnia ludzi renesansu wymyślić mogła. Stół tak bogato był ubrany, że naczynia złote i srebrne, na nim się znajdujące, szacowano na 17.000 dukatów, a prócz tego najpiękniejsze puhary, półmiski, konwie na wino zdobiły ustawione wokoło kredensy. Pomiedzy półmiskami jaśniały chorągiewki z herbami papieża i rzymskiego ludu, a w fałdach obrusów umieszczono najróżnorodniejsze żywe ptaki w ten sposób, że skoro tylko goście po umyciu rąk w różanej wodzie mieli zasiąść do stołu, ptaki powylały ze swego ukrycia i ożywiły salę swem barwnem upierzeniem. Niektóre, oswojone, nie uciekały, lecz skakały po stole od jednego gościa do drugiego, co wielką wywoływało uciechę.

Potrąw i napojów roznoszono tyle, że jeden z biesiadników opisując bankiet w liście do swej narzeczonej, prosi ją, aby się nie pytała o nazwy win, gdyż nie istnieje taki napój, którego tam nie było, a półmisków podawano tyle, że cała ludność Rzymu mogła się była posilić. Ponieważ go-



ście nie mogli spożyć ani części tych kulinarnych przysmaków, więc ku największej radości ludu zgromadzonego na placu Kapitołińskim, zaczęto wyrzucać całe pieczone koźleta, prosiaki, kapłony, bażanty, gołębie, wśród okrzyków na cześć Medyceuszów i gonfaloniera.

Po bankiecie teatr. Najprzód ukazało się trzech wyrostków, przebranych za nimfy, z których jeden przemawiał do Magnifika, wielbiąc jego sławę, a dwaj towarzysze nieśli mu kosze pełne kwiatów. Następnie weszło dwóch wieśniaków i opowiadało Medyceuszowi »le miserie d'Italia«, jak sędziowie publicznie dają się przekupywać, jak teraz słysząc o dobroci i sprawiedliwości nowego papieża, spodziewają się lepszych czasów.

Te żale nie byłyby wszakże zabawiły Magnifika, więc też prędko je zakończono, contadini znikli, a na scenie ukazała się w głębi skała Tarpejska, z której wyszedł znowu młody chłopak, przebrany za dawnego Rzymianina, i wystąpił z okolicznościową mową. Gdy mały orator zakończył, wjechał wóz, zaprzężony w czwórkę koni, z kobietą mającą miasto Rzym przedstawiać. Wóz otaczały nimfy, śpiewając pieśni zastosowane do okoliczności. Przedstawienie przeciągnęło się do późnego wieczora, poczem Magnifico wrócił do pałacu św. Piotra, jak wówczas powszechnie Watykan nazywano. Odprowadzali go konserwatorowie, oratorzy obcych państw, nieskończona ilość szlachty, a sto pochodni oświetało im drogę.

Opowiadania o tej uroczystości tak rozciekawiały papieża, że kazał powtórzyć owe przedstawienia na Kapitolu, aby się mógł także nacieszyć ich widokiem.

## V.

Jak tylko Medici został papieżem, mianował zaraz swego towarzysza młodości, Bernarda Bibbię, skarbnikiem Kamery apostolskiej, a trochę później, 23 września 1513, kardynałem św. Maryi in Porticu. Bibbiena nie rozłączał się prawie dawniej z Giovannim; jeździł z nim do Francji i do Nie-













Kardynał Bernardo Bibbiena.  
Według portretu Rafaela w galeryi Pitti.

Fot. Brogi.

Do str. 317.





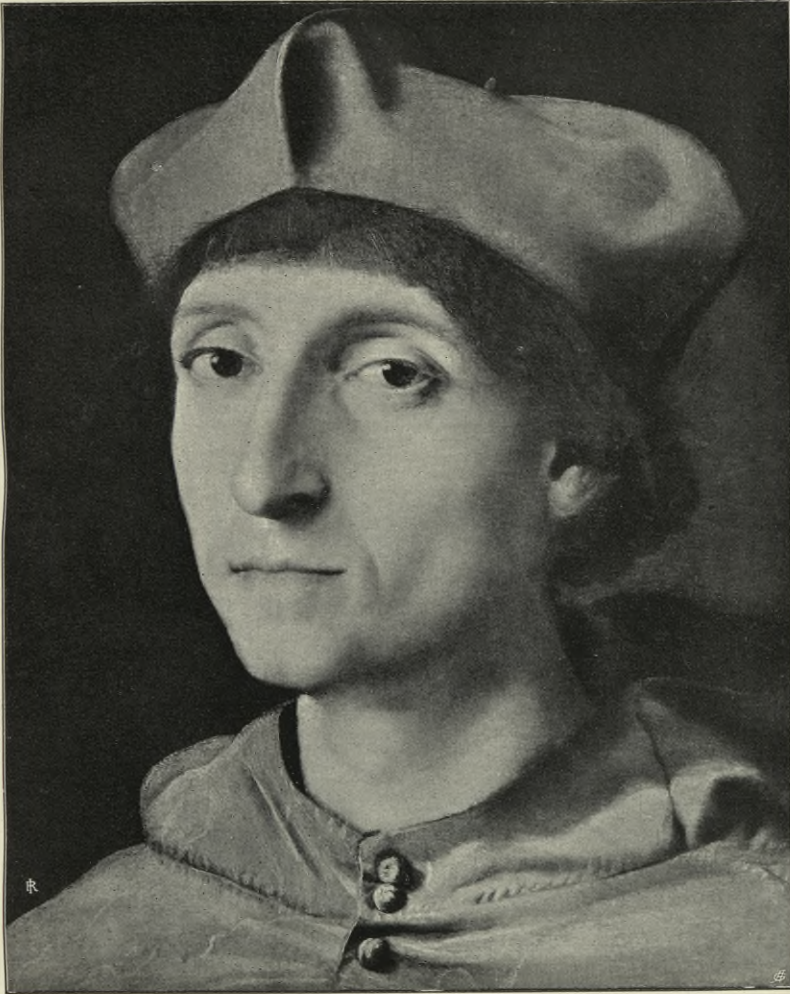












Fot. Anderson.

Kardynał Bibbiena.  
Według portretu Rafaela w Prado.

31

Do str. 317.







miec, był przez dłuższy czas w Rzymie zarządcą domu kardynała, dopóki Juliusz II, poznawszy zdolności Bernarda, nie nadał mu dość wysokiego urzędu przy Kuryi. Po śmierci Juliusza przyczynił się Bibbiena niemało do wyboru Leona X, zręczny bowiem, układny, zdołał wielu kardynałów przychylnie dla Medyceusza usposobić. Był on wysoki, szczupły, a subtelny uśmiech na ustach i przenikliwe oko ożywiały jego postać. Tak jak go widzimy na portrecie pędzla Rafaela, znajdującym się w galerii Pitti w Florencyi, należał Bernardo do najcharakterystyczniejszych typów prałata XVI wieku, dyplomaty Kuryi rzymskiej, który dużo wie, a niepotrzebnie nic nie powie, który przechodzi wszystkie skale namiętności ludzkich, a na zewnątrz pokrywa je kardynalską purpurą. Bibbiena chętnie w żarcie chwalił się ze swej urody i powodzenia, jakie miał u kobiet. Skorzystał z tej słabostki Castiglione, aby mówiąc w »Cortegianie« o pięknej postaci, jaką powinien mieć dworzanin, przytoczyć w tej mierze zdanie Bibbieny. Otóż kardynał sądził, że uroda konieczna jest dla dworzanina i że on sam odpowiedziałby temu ideałowi, gdyby tylko o twarz chodziło. Oblicze ma bowiem piękne i dużo uprzejmości w wyrazie twarzy, tak że mnóstwo kobiet pała ku niemu miłością, ale niestety cała postać nie odpowiada jego marzeniom, a osobliwie ze swoich nóg nie jest zadowolony. Hrabia Canossa jednak, który w »Dworzaninie« zaraz po Bibbienie głos zabiera, nie zupełnie chce się zgodzić nawet na piękność jego twarzy, z której Bernardo jest tak dumny. Canossa sądzi, że Bibbiena nie ma delikatnych rysów i że tylko wyraz męski pokrywa te braki. Pomiedzy znajomymi musiał wszakże Bernardo uchodzić za przystojnego mężczyznę, gdyż w jednym z listów, pisanych w r. 1513 do Castigliona, pozdrawiając znajomych, dodaje żartobliwie, że zawsze jeszcze jest tym samym »pięknym Bernardem«, jakim go znano w Urbino. Io sono quel medesimo bel Bernardo, che voi sapete. Fregoso powiada w »Cortegianie«, iż Bibbiena ma głos tak miły, że gdy mówi, wywołuje wrażenie, jak gdyby się spoczywało pod cienistym drzewem, a strumyk szemrał przyjemnie.

Bibbiena był lubianym towarzyszem; umiał równie do-



brze prowadzić dyplomatyczną intrygę, jak urządzić wesołe obiady, na których bywały najpiękniejsze cortegiany. Gdy wpadł w dobry humor, naśladował wybornie znakomite rzymskie osobistości. *Giovio* pisze, że kardynał bawił nieraz w ten sposób papieża, że ludzie poważnych, w dojrzałym wieku, w tak dobry humor wprowadzał, iż zachowywali się jak błazny. Wybrawszy sobie jakąś ofiarę dworskich żartów, obiecywał jej rozmaite podarunki, opowiadał niestworzone rzeczy i z prostaczków robił najśmieszniejszych głupców. *Izabella Mantuańska* słusznie go nazywała *mocciconem*, *mataczem*. Był on wogóle w wielkiej przyjaźni z *mantuańskim* dworem, bawił tam kilkakrotnie przez dłuższy czas, a doszło nas kilka jego listów do *Izabelli*, które ciekawe światło rzucają na ówczesne wyobrażenia o moralności. *Mantua* wogóle była *Capuą* dla prałatów. *Monsignor Gurgense*, poseł cesarski, kochał się w *Brogni*, pannie dworskiej markizy; *Bibbiena* zalecał się najprzód w r. 1512, kiedy jeszcze nie był kardynałem, do *Aldy Bojardo*, a później do *Izabelli Lavagnoli*, które były także pannami z *mantuańskiego* babcieńca. W liście z 3 maja 1516, pisanym do markizy, dodaje *Bibbiena* jako *postscriptum* następujące słowa, odnoszące się do *Lavagnoli*: »Moja droga, droga *Izabello*, ściskam cię z całej duszy i proszę, abyś o mnie pamiętała, na co zasługuję tą gorącą miłością, jaką ku tobie pałam«. »*Isabella* mia chara, chara, chara, te baso con tucta l'anima mia sin de qua et prego che ti ricordi di me, come merita il grandissimo amore che ti porto«.

Markizie ani na myśl nie przyszło obrażać się z powodu takich zwierzeń, tyczących się jej panny dworu, zwierzeń, które zresztą częściej się musiały powtarzać, albowiem w innym liście prosi *Bibbiena* markizę, aby go poleciała pamięci *Lavagnoli*, którą kocha i kochać będzie i jest jej ciałem i duszą oddany. Ta *Lavagnola* była, jak się zdaje, siostrą słynnego baletnika *Lorenza Lavagnoli* i często się o niej czyta jako o *mantuańskiej* piękności.

Z markizą łączyły *Bibbienę* przyjacielskie stosunki, co się już okazuje z wymiany podarunków, jakie sobie nawzajem posyłały. Markiza mająca zapewne nie dość dobre wyo-



brażenie o pościeli kardynała, posłała mu raz pierzynę, albowiem Mantua wtedy, jak dotąd, słynęła z gęsi i z dobrego pierza. Kardynał się świetnie wywdziękzył, ofiarując swej przyjaciółce pięknego konia tureckiego. W listach do markizy podpisuje się Bibbiena zawsze tak, jak go Izabella dawniej nazywała, Moccicone. Wogóle w Mantui spodziewano się, że przez Bibbienę będzie można mieć wpływ na Leona X.

Moccicone umiał być przyjacielem i nawzajem zyskiwał sobie przyjaciół. Bardzo się przywiązał do Giuliana Medyceusza i lubił go daleko więcej, aniżeli papieża. Towarzyszył nieraz Giulianowi w podróżach, bywał z nim w Mantui i w Urbino, mnóstwo wspomnień młodości ich wiązało. Także z Rafaelem i Castiglionem łączyły go bardzo ściśle stosunki, a autor »Cortegiana« wyznaczył mu w swej słynnej książce wdzięczne zadanie określenia dowcipu i istoty śmieszności. Ustęp ten należy do najszcześniejszych w »Cortegianie«. Za Rafaela chciał Bibbiena wydać za mąż swoją siostrę, ale Rafael nie chciał się wiązać małżeństwem. To nie zmieniło wszakże przyjacielskich stosunków pomiędzy kardynałem a artystą. Rafael wymalował Bibbienie portret, o którym wspomnieliśmy, a nadto zrobił mu cztery kartony do jego łazienki w Watykanie, przedstawiające: narodzenie Wenery, Wenere z Amorem na falach morskich, zranioną Wenere i tę samą boginię, jak wyciąga cierń z nogi.

Kardynał posiadał też niemało dramatycznego talentu, czego dowodem słynna jego komedia »Calandria«, którą po raz pierwszy przedstawiał na dworze w Urbino, podczas karnawału w r. 1513. Calandrya była jedną z pierwszych komedyi włoskich, zdradzających trochę oryginalności. Dotąd bowiem naśladowano niewolniczo Plauta i Terencyusza i dopiero Ariost w swej »Cassaryi«, granej w r. 1508 w Ferrarze, zrzucił na scenie pęta nałożone przez starożytnych nowszym dramatycznym pisarzom. Bibbiena użył wprawdzie w Calandryi także motywu z Menechmów Plauta, a mianowicie podobieństwa dwóch bliźniaków i wynikających stąd komicznych zawikłań, ale nadał tematowi więcej barwności, zamieniając chłopców Plauta na brata i siostrę. Komedia zaleca się żywym dyalogiem, wielką scenicznością, a lekko zakryte albo



zupełnie wyraźne nieprzyzwoitości, jakich w niej nie brak, trzeba położyć na karb powszechnego smaku w początkach XVI wieku. Autor nazwał swą komedię Calandrią, od Calandry niemądrego małżonka, którego począwszy od żony wszyscy oszukują.

Bibbiena miał zrazu wielki wpływ na papieża w sprawach politycznych, zwłaszcza że podobnie jak sam Leon X był stronnikiem Hiszpanii, a więc z ideałami papieża się zgadzał. Po zwycięstwach jednak Franciszka I przerzucił się kardynał w interesie Medyceuszów do stronnictwa francuskiego i wytrwał już w tym kierunku nawet wtedy, kiedy papież znowu się zaczynał przechylać ku Hiszpanom. W chwili, kiedy papież wahał się jeszcze, z kim się połączyć, czy z Hiszpanią, czy z Francją, umarł Bibbiena 9 listopada 1520. Posądzano Leona X, że go kazał otruć, ponieważ kardynał chciał z pomocą Francji zostać papieżem. Mówiono, że zastosowano do niego sposób otrucia, który pospolicie nazywano »lisem«, »la volpe«, polegający na wmieszaniu powolnie działającej trucizny do jajecznicy. To posądzenie wszakże nie ma dostatecznych podstaw. Bibbiena był od dłuższego czasu chory i według wszelkiego podobieństwa do prawdy umarł śmiercią naturalną. Wpływ kardynała na Leona X zmniejszył się wogóle w ostatnich latach panowania papieża, gdyż głównym w tym czasie jego doradcą stał się Giulio de' Medici, który zawiądnął prawie zupełnie kierunkiem spraw politycznych. Mimo wszystkich wad i lekkości obyczajów, pozostanie Bibbiena jedną z najbardziej sympatycznych i najwybitniejszych postaci dworu Leona X.

## VI.

Rządy kamarylli, bezwzględny wpływ Florentyńczyków i rozdawanie im najkorzystniejszych posad musiało wywołać oburzenie pomiędzy kardynałami i doprowadzić do jakiejś katastrofy. Najbardziej wrzał gniewem młody kardynał Alfonso Petrucci, który w znacznej części przyczynił się do wyboru Leona X, a przeto rościł sobie prawo do wdzię-



czności i udziału w łaskach, którymi papież hojnie swych blizkich obdarzał. Ojciec Alfonsa, Pandolfo Petrucci, był tyranem Syeny, a brat jego, Borghese, zajmował po ojcu najwyższe stanowisko w Rzeczypospolitej. Ponieważ jednak nie chciał we wszystkim folgować Medyceuszom, których zamiarem było zupełnie owładnąć Syeną i przyłączyć ją do państwa florentyńskiego, przeto nie cieszył się łaską Leona X. Papież też popierał stronnictwo nieprzychylnie obydwoim Petruccim, które doprowadziło do rewolucyi i do wygnania Borghesa. Rzeczpospolita, ulegająca wpływowi papieża, powołała do rządów powolną Leonowi X osobistość, dotychczasowego kasztelana zamku św. Anioła, okrutnego, dzikiego Rafaela Petrucciego.

Wtedy Alfonso powziął zamiar otrucia papieża i skorzystania z bezkrólewia w Rzymie, aby z pomocą uknutego już spisku w Syenie przywrócić rządy swego brata. Narzędziem do wykonania zamachu na papieża miał być słynny we Florencyi lekarz francuskiej choroby, Battista da Vercelli. Ponieważ papież cierpiał od dawna na fistulę w nodze, przeto Petrucci starał się przez różnych dworzan namówić Leona X, aby sprowadził Battistę, któryby przekupiony przez kardynała, zatrul krew w ranie papieża. Podejrzliwy Medyceusz nie chciał się jednak powierzyć opiece obcego lekarza, wskutek czego zamiar Petrucciego nie mógł być wykonany.

Mówiono, że Alfons kilka razy przyszedł na konsystorz z pugińcem ukrytym w rękawie, aby Leona X zamordować, że myślał zastrzelić go na polowaniu, ale w stanowczej chwili brakło mu odwagi do wykonania zamachu. Zaslepiiony nienawiścią ku papieżowi, był Petrucci tak nieostrożnym, że starał się formalną urządzić znowę pomiędzy kardynałami, aby uwolnić święte Kollegium od wszechwładnej kamarylli i wybrać papieżem jednego ze starszych kardynałów. Do spisku wciągnął dwóch przyjaciół, kardynałów Saulego i Soderiniego, a nawet poważny Riario, który już widział na swej głowie papieską tyarę, dał się tą nadzieją olśnić i przystąpił do znowy. Ale w Watykanie powstało podejrzenie, że coś się złego knuje, a gdy młody kardynał się o tem dowiedział, uciekł natychmiast z Rzymu do Colonnów, którzy zawsze



dawali przytułek papieskim nieprzyjaciołom. Petrucci jednak i teraz nie porzucił swego planu, aby Battistę da Vercelli sprowadzić do papieża. Zaufany jego sekretarz, Marc Antonio Nino, miał się porozumieć w tej mierze z Vercellim. I rzeczywiście tak się stało. Nino nakłonił lekarza, że na wezwanie przybędzie do Rzymu, miał bowiem nadzieję, że z pomocą Serapiki potrafi przekonać Leona X, aby pozwolił się leczyć Battiście. List jednak szyfrowany, w którym Nino o tem wszystkiem donosił swemu panu, dostał się w ręce policyi, która natychmiast uwięziła Nino i wzięła go na tortury. Rzeczą jednak w takiej tajemnicy prowadzono w Watykanie, że Petrucci się o niczem nie dowiedział i ani się domyślał, że spisek odkryty. Chodziło teraz o uwięzienie samego kardynała; Leon X postąpił w tej mierze z prawdziwym machiawelizmem. Kazał oświadczyć Petrucciemu, że po dłuższym rozmyśle gotów jest jego bratu oddać napowrót rządy Syeny, że jednak w tej mierze potrzebuje się pierwej z nim, z kardynałem, porozumieć. Petrucci wahał się zrazu zadość uczynić woli papieża, ale Leon X dał mu list żelazny, a nadto zapewnił posła hiszpańskiego, że się kardynałowi nic złego nie stanie. Petrucci przybył więc do Rzymu i udał się do papieża wraz z kardynałem Saulim na posłuchanie. Zaledwie jednak obaj księżęta Kościoła weszli do pałacu, natychmiast ich uwięziono i odprowadzono do zamku św. Anioła, gdzie zostali umieszczeni w najgłębszej ciemnicy, zwanej Marocchio. Papież zwołał zaraz konsystorz, na którym zawiadomił zgromadzenie o tem, co zaszło, i wyznaczył osobną komisję z trzech kardynałów, Remolina, Accoltięgo i Farnesęgo, mającą się zająć wytoczeniem procesu winnym. Śledztwo nakazał papież przeprowadzić prokuratorowi fiskalnemu, Maryi de Perusco, osobistości najbardziej w Rzymie znienawidzonej, a cały Watykan otoczyć wojskiem z obawy, czy spisek nie jest w mieście rozgałęziony.

Posel hiszpański, Pedro Urrea, założył protest przeciw uwięzieniu Petrucciego, ponieważ papież dał mu słowo honoru, że się kardynałowi nic złego nie stanie. Leon X jednak odpowiedział, że list żelazny nie może chronić człowieka, który czyhał na życie swego monarchy, chyba gdyby ten list



był wydany z wyraźnym wymienieniem ohydnej zbrodni. Równocześnie wydał papież rozkaz, aby we Florencyi uwięziono Battistę da Vercelli i przystawiono go do Rzymu.

Ale stać się miało jeszcze coś ważniejszego. Na 29 maja było zapowiedziane posiedzenie konsystorza. Gdy się kardynałowie w tym celu w Watykanie zgromadzili, kazał papież przywołać do siebie kardynała Accoltięgo i ku wielkiemu zdziwieniu Parysa de Grassi naradzał się z nim bez świadków przeszło godzinę. Rozciekawiony mistrz ceremonii nie mogąc pojąć tak długiej konferencyi, zaglądnął przez dziurkę od klucza do papieskiej komnaty i z przerażeniem ujrzał tam oddział gwardyi. Przeczuwając coś złęgo, milczał.

Po chwili kazał papież przywołać kardynałów Riaria i Farneseęgo; Parys sądził, że chodzi o mianowanie nowych kardynałów, ale nadspodziewanie spostrzegł, że jak tylko Riario wszedł, Leon X pobiegł do drzwi i zatrzasnął je za sobą, pozostawiając Riaria ze strażą wojskową. Papież wyszedł błady i niesłychanie wzburzony, a gdy go Parys zapytał, czy ma mu przynieść stulę, sądząc, że się zechce udać na konsystorz, papież kazał mu pójść do kardynałów i powiedzieć, że dzisiaj obrad nie będzie.

Riario został uwięziony; na razie pozwolił mu Leon X pozostać pod strażą w Watykanie, po kilku dniach jednak, czwartęęgo czerwca, kazał go odprowadzić do więzienia w zamku św. Anioła. Gdy kardynała uwiadomiono, że ma się udać do złowrogiej wieży, zemdłał i musiano go tam zanieść na krześle.

Na ósmęęgo czerwca zwołał papież nowy konsystorz, na którym oświadczył zebranyęm kardynałom, że jeszcze dwóch winnych znajduje się pomiędzy nimi, ale że za przykładem Chrystusa, którego na ziemi zastęępuje, przebaczy im, jeżeli się przyznają do winy. Gdy jednak żaden z obecnych się nie zgłosił, postanowiło zgromadzenie, aby każdy z członków św. Kollegium z osobna przystęępował do papieża i złożył swoje oświadczenie. Kilku kardynałom, którzy się do tronu zbliżyli, nie zrobił papież żadnej uwagi; dopiero gdy Soderini się zbliżył, powiedział mu Leon X gniewnie, że jest jednym z winnych. Kardynał wypierał się na razie, ale gdy



mu papież zagroził, że go odda sądowi, jeżeli się nie przyzna do winy, Soderini upadł do nóg Leona X i prosił o przebaczenie. To samo uczynił Adriano Castellesi. Papież ich uwolnił, ale na każdego nałożył grzywnę w kwocie 12.500 dukatów.

Cały Rzym był zaniepokojony, co się stanie z uwięzionymi; posłowie zagraniczni wstawiali się za nimi u Leona X, odpowiedziano im jednak, że mniej winni otrzymają papieskie przebaczenie, Petrucci zaś, Sauli i Riario będą oddani w ręce świeckiej sprawiedliwości.

Śledztwo ciągnęło się tygodniami; tymczasem papieżowi przyszło na myśl, że od kardynałów Soderiniego i Adriana zażądał za niskiej grzywny, gdyż byli ludźmi bogatymi, podwyższył więc ich okup, każdemu na 25.000 dukatów. Soderini zapłacił i został w Rzymie, Adriano w obawie, że po złożeniu pieniędzy może go ten sam los spotkać, co Riaria, uciekł cichaczem w nocy 20 czerwca w towarzystwie jakiegoś mnicha i swego koniuszego do Tivoli. Papież wysłał za nim siepaczy, aby go napowrót sprowadzili; ale kardynał dostał się tymczasem do któregoś z portów Adryatyku, wszedł na okręt, który go zawiózł do Zary, a stamtąd schronił się do Wenecyi, gdzie go osłonił doża Loredano swoją opieką. W Wenecyi zamieszkał kardynał przez jakiś czas, a gdy później na wiadomość o śmierci papieża wracał do Rzymu na conclave, zniknął w drodze i wieść o nim zaginęła. Mówiono, że go własny służący zamordował.

W połowie czerwca zaczęto w Rzymie o tem mówić, że papież ułaskawi trzech uwięzionych kardynałów; ale gdy 16 czerwca powieszono w więzieniu Tor di Nona służącego kardynała Petrucciego, który nosił mało obiecujące nazwisko Pocointesta, wtedy znów się o ich los zaniepokojono. We dwa dni później przyjechał Lorenzo de' Medici podobno umyślnie do Rzymu i z całą energią wpływał na papieża, aby jak najostrzej ukarał winnych.

Papież zwołał więc znowu konsystorz na 22 czerwca i w dłuższej przemowie zawiadomił kardynałów o wyniku dochodzenia, które było jak najniekorzystniejszym dla uwięzionych. Za rzecz udowodnioną uważał Leon X, że Petrucci



i Sauli pozyskali Battistę da Vercelli, aby go otruł, i że o tych machinacyach wiedział także kardynał Riario, że nadto Petrucci i Sauli porozumiewali się z Franciszkiem Maryą della Rovere, aby przywrócić panowanie księcia w Urbino. Podczas czytania aktów, które trwało około 13 godzin, przychodziło do gwałtownych scen pomiędzy niektórymi kardynałami a papieżem, osobliwie Grimani bardzo ostro występował, uważając dochodzenie za stronnnicze, prowadzone na niekorzyść obwinionych. Kardynałowie byli jednak tak przestraszeni okrucieństwem papieża, że gdy nadeszła stanowcza chwila głosowania nad tem, czy uwięzieni stali się winnymi zbrodni stanu, czy mają być na śmierć skazani, wszyscy z wyjątkiem Grimaniego, który czuł za sobą poparcie rzeczypospolitej weneckiej, głosowali w myśl życzenia Leona X. Zgromadzenie zdobyło się przynajmniej na tyle odwagi, że polecało winnych łasce papieża.

Piotr Bembo przeczytał wyrok, skazujący wszystkich trzech ksiąząt Kościoła na utratę kardynalskich godności i beneficjów, na konfiskatę dóbr i oddanie ich świeckiej władzy. Papież jakby na teatralno-dramatyczne zakończenie konsystorza położył beret Petrucciego na stole, mówiąc, że skazany nawet tę godność stawiał na kartę.

Surowy wyrok sprawił w Rzymie nadzwyczajne wrażenie, a publiczność została przejęta jeszcze większą grozą, gdy 27 czerwca prowadzono z więzienia na miejsce stracenia Battistę da Vercelli i Marc Antonia Nina, bijąc i męcząc ich w najstraszniejszy sposób po drodze. W pobliżu mostu św. Anioła powieszono ich i poćwiertowano ciała na cztery części.

Z tłumionym gniewem na papieża czekano losu uwięzionych kardynałów. Leon X musiał się sam swej srogości przestraszyć, gdyż nie kazał już ściąć Petrucciego publicznie, ale za przykładem Borgiów odebrać mu życie po cichu w więzieniu. Egzekucyi dokonał wielkiej siły murzyn Roland, jeden ze służby Medyceusza, który kardynała w podziemiach zamku św. Anioła udusił. Petrucci miał wtedy lat dwadzieścia siedm; jego młodość i jego lekkomyślność bynajmniej Leona X nie wzruszyły.



Oburzenie o władnęło także posłów mocarstw zagranicznych, którzy chcieli przynajmniej ocalić Soderiniego, Adriana Castellesi, Saula i Riaria, zwłaszcza że jak mówiono, ci kardynałowie tylko tem zawinili, że wiedząc o spisku, nie zawiadomili o nim papieża. Że wszyscy z nich w duszy życzyli sobie, aby zamach się udał, to rzecz niewątpliwa. Riario nie mógł znieść rozpanoszenia się Florentyńczyków w Watykanie, a zapewne marzył i o tyarze, Sauli tłumił w sobie gniew na papieża, że biskupstwo w Marsylii, przynoszące znaczne dochody, dał Giuliovi de' Medici a nie jemu, wszędzie nepotyzm papieża kłuł jak ostre żądło kardynałów. Soderini i Castellesi byli prawie niewinni.

Z całej Europy zaczęły napływać listy z prośbami o łaskę dla uwięzionych. Król francuski i Genua wstawiali się za Saulim, poseł cesarski, rzeczpospolita wenecka i Henryk VIII angielski za Riariem. Powszechnemu parciu musiał nareszcie uleść Leon X, postanowił jednak zrobić na ulaskawieniu nieprzyjaciół świetny interes. Riario był najbogatszym z kardynałów, na niego można było nałożyć niesłychaną na owe czasy kontrybucję. Papież kazał mu zapłacić 150.000 dukatów w trzech kilkumiesięcznych ratach. Ponieważ kardynał nie miał tyle gotówki, więc bankier Chigi, który żył z nim w przyjaźni, pożyczył mu bezzwłocznie 50.000 dukatów na uiszczenie pierwszej raty. Ale nie dość było pieniężnych rekojmi; papież żądał jeszcze, aby posłowie cesarza, króla Francji, Hiszpanii, Portugalii, Anglii, rzeczypospolitej weneckiej, tudzież dwunastu kardynałów poręczyło za przyszłe uległe papieżowi zachowanie się Riaria. Kardynał należał od lat czterdziestu do św. Kollegium i z powodu swej dobroczynności był jedną z najpopularniejszych osobistości w Rzymie, wzgląd więc na to, a jeszcze więcej obawa wzburzenia przeciw sobie ludności, skłoniły papieża do łaskawości. Leon X drżał tak dalece przed zemstą za swe niesłychane postępowanie wobec kardynałów, że nie tylko kazał Watykan wojskiem otoczyć, ale podczas nabożeństwa w kościele św. Piotra był odłączony gwardją od publiczności.

Pomimo powyższych poręczeń i ostrożności musiał jeszcze sam Riario w wielkiej sali zamku św. Anioła wobec



prokuratora i kardynała Trivulzia złożyć przysięgę, że wypełni wszelkie nałożone mu warunki i z Rzymu bez pozwolenia papieża się nie wydali, krewni zaś kardynała musieli się zobowiązać, że zapłacą kasie papieskiej 75.000 dukatów na wypadek, gdyby Riario z Rzymu wbrew woli Leona X wyjechał.

Leon X jako syn bankiera umiał liczyć wielkimi sumami.

Po załatwieniu wszystkich formalności udał się Parys de Grassi po Riaria do więzienia, przyprowadził go przed papieża i zgromadzonych kardynałów, a Leon X mając już dukaty w kasie, podał rękę nieprzyjacielowi i uściskał go. Ponieważ zaś żaden akt uroczysty w czasach renesansu nie mógł się odbyć bez oracyi, więc i Riario w krótkiej przemowie spowiadał się ze swej wielkiej winy, przyznawał, że zasłużył na śmierć i wynosił łaskę papieża pod niebiosa.

Mimo zapewnień, że wszelkie urazy, jakie papież miał do Riaria, będą zapomniane, doświadczony kardynał nie wierzył Leonowi X, a złamany więzieniem prosił go o pozwolenie zamieszkania w Neapolu, sądząc, że tam będzie bezpieczniejszy. Papież przychylił się do jego żądania, kardynał zamieszkał stale pod Posilipem i umarł w Neapolu w roku 1521.

Sauli musiał się także okupić; ponieważ jednak mniej był zamożnym, aniżeli Riario, więc papież nałóżył na niego grzywnę tylko 25.000 dukatów. Kardynał udał się do Orsinich do Monterotondo, gdzie chory wskutek ostatnich przejść zupełnie się usunął od spraw publicznych. Za kardynałem Soderinim wstawiał się Franciszek I, więc papież uwolnił go, pozwalając mu zamieszkać w Fondi.

Jeden finansowy interes był skończony, zaczynał się drugi. Papież potrzebował pieniędzy, więc korzystał ze sposobności usunięcia się kilku kardynałów, aby zamianować nowych. A postanowił urządzić tak wielką promocyę, o jakiej jeszcze dzieje papiestwa nie słyszały, rozdać aż trzydzieści jeden beretów. Kollegium kardynałów sprzeciwiało się z początku tego rodzaju gromadnemu mianowaniu, ale widząc, że papież i tak rzecz przeprowadzi, umilkło.



Większa część nowomianowanych musiała wysokie sumy zapłacić, a jeden z nich, Ponzetti, wniósł aż 30.000 dukatów do papieskiej kasy. Ci, na których nie nałożono pieniężnej taksy, byli albo krewnymi Leona X, albo osobistościami, które trzeba było wziąć na listę ze względu na stosunki z obcymi dworami. Najmniej było tych, którzy własnym zasługom zawdzięczali to wyniesienie. Pomiedzy nimi znajdował się Francesco Armellini, osobistość w Rzymie znieawidzona, drapieżnik, który wynajdywał papieżowi coraz to nowe źródła dochodu. Pasquino ostrzył na nim swój dowcip. Mówiono, że główną sprężyną do tych nominacji był Giulio de' Medici, który chciał mieć kollegium kardynałów według swej woli i myśli, gdyż wzdychał do papieskiej tyary. Co do jednego z nowomianowanych pomylił się jednak doradca Leona X. Dopomógł on bowiem do kardynalskiej godności Pompejuszowi Colonnii, który się stał później jego najzaciętszym wrogiem.

Dramat Petrucciego i towarzyszy zakończył się zatem wesoło, papież miał pieniądze, a wielu prałatów, którzy nie marzyli nawet o kardynalskiej godności, osiągnęło teraz zaszczyt zasiadania w św. Kollegium. Wspaniały bankiet, wydany dla kardynałów, miał zatrzeć do reszty nieprzyjemne wspomnienie.

## VII.

Pełnymi żaglami przybywali uczeni, literaci i artyści do Rzymu z początkiem panowania Leona X, na skromnych łódkach wracali do domu, albo na posady w innych miastach lub w innych dworach. Do końca wytrwała tylko rodzina papieska, Florentyńczycy i błazny. Tym się dobrze działo.

Papież nie był głębszym znawcą literatury, lubił jednak muzykę łacińskiego wiersza, albo szumnymi frazesami falującej prozy, do której go Poliziano przyzwyczał. Jaka w tym wierszu była treść, co ta proza w sobie mieściła, to mu było dość obojętnem, byle jego muzykalne ucho używało. Słuchał



też czasem godzinami pustych deklamacji pseudocycerońskich oratorów, jak brzęczenia owadów. Nad wszystko bawił go wszakże gruby, płaski koncept, łatwo zrozumiały, który poruszał od razu tłuszczem oblane nerwy. Papież mówił bardzo mało, gdyż zanadto był wygodny, aby się trudzić rozmową; zazwyczaj też milczał, ale gdy jakiś dowcip go rozruszał, wtedy śmiał się szczerze, a śmiał się tak często, że Parys de Grassi ciągle w swych pamiętnikach wspomina: »papież powiedział uśmiechając się, odrzekł z uśmiechem itp.« Mądrych ludzi potrzebował, więc musiał ich mieć w swoim otoczeniu, ale te poważne postacie go nudziły.

Zaraz z początku swych rządów powołał Leon X Sadoleta i Bemba na swych sekretarzy. Jacopo Sadoletto, urodzony 17 czerwca 1472, uczony prałat, filozof, poeta, dyplomata, znakomity mówca, człowiek wielkiej cnoty i prawości, cierpliwy zresztą wskutek swej pobożności, potrafił się utrzymać, ale takich było niewielu. W najważniejszych chwilach dla państwa i Kościoła występował Sadoletto i gdy w marcu r. 1518 papież kazał odbywać w Rzymie procesy, aby prosić Boga o odwrócenie tureckiego niebezpieczeństwa, Sadoletto miał w kościele S. Maria sopra Minerva słynną, cycerońską prawie łaciną wypowiedzianą oracyę, wzywającą do wojny z Turkami. Procesya poruszała się od św. Piotra aż do pomienionej świątyni, a papież, jak piszą współcześni, szedł całą drogę boso; przypuszczać trzeba, że w zakonnych sandałach. Sadoletto był człowiekiem surowych zasad; gdy papież zarządził sprzedawanie odpustów na budowę kościoła św. Piotra, Sadoletto bardzo był temu przeciwny i miał słuszość, gdyż ten handel łaskami bożemi był jednym z powodów wystąpienia Lutra.

Sadoletto pisywał łacińskie poezye, z których najpiękniejsza może wyraża jego uczucia po odkryciu grupy Laokona. Osobliwie początek ładny i poważny:

Ecco, e da monti di ruine immense,  
Dopo si lungo volgere di tempo,  
Torna di nuovo a rividere il sole  
Laocoonte, che un di ne le regali  
Aule ebbe sede, a ch'adornava, o Tito,



La tua magione. Ei torna, monumento  
 D'arte divina; nè giammai la saggia  
 Vetusta età piu nobil opra vide  
 Di questa che, alle tenebre sottratta  
 Della Roma novella risaluta  
 L'eccelse mura.

Tłóm. z łacińskiego L. Grilli.

Do innego rodzaju ludzi należał Bembo, rodem patrycyusz wenecki, który część swej młodości spędził w Ferrarze i tam się kochał w Lukrecyi Borgii, bywał także często w Urbino, człowiek układny, bardzo wykształcony, znany stylista w duchu wielbicieli Cyclerona. Leon X zamianował go notaryuszem Stolicy Apostolskiej, nadał mu tytuł hrabiowski, przyjął go do swego herbu i pozwolił dołączyć do nazwiska Bembo nazwę Medyceuszów. Ale wenecki patrycyusz uważał się za równie »dobrze urodzonego«, jak patrycyusz florentyński, i tytuły mu nie wystarczały. Ambicya jego sięgała wyżej, chciał zostać kardynałem, a miał do tego pewne prawa, gdyż odznaczał się wielkimi zdolnościami i niezwykłą pracowitością, stylizował najpiękniejsze pisma, wychodzące z kancelaryi papieskiej, a nawet był obarczony prywatną korespondencyą papieża. Leon X wszakże nie chciał tych marzeń zaspokoić, a za zasługi dawał mu niekiedy beneficya, ale niestety takie, które albo nic, albo bardzo mało przynosiły, lepsze bowiem dostawały się Florentyńczykom. Wenecyanin był niezadowolony, zwłaszcza że kardynałami zostawali ludzie, którzy ani zasługą, ani zdolnościami dorównać mu nie mogli. Brak większych dochodów coraz więcej czuć mu się dawał, tem bardziej, że miał stosunek z piękną Rzymianką, która go trojgiem dzieci obdarzyła. Bembo, jak większa część literatów w czasach Odrodzenia, nie umiał się zastosować do swoich dochodów, żył z dnia na dzień, jak sam w jednym ze swych listów wspomina, zaciągał długi, a wyjeżdżając z Rzymu musiał od Sadoleta pożyczyć kilka dukatów, których przez dłuższy czas mimo najlepszych chęci nie mógł mu oddać. Dużo pracy, kilkoro dzieci, a mało dochodów, tego było humaniście za wiele; zniechęcił się więc do Rzymu



i do papieża, a widąc, że niema nadziei, aby za Leona X mógł otrzymać godność kardynalską, udał, że na zdrowiu niedomaga i wyjechał z wiosną r. 1519 na dłuższy czas do Wenecyi, a w rok później zamieszkał w małej posiadłości, którą miał w okolicy Padwy. Żałował lat straconych w Rzymie, wzdychał do spokoju i wolności.

Pobyt Wenecyanina w stolicy papieskiej za Leona X nie był wszakże tak bezowocnym, jak mu się zdawało. Bembo przyczynił się niemało do ożywienia tamtejszego ruchu literackiego i artystycznego, miał, podobnie jak Baltazar Castiglione, wielki wpływ na Rafaela, z którym go ściśle łączyła przyjaźń.

Wpływ ten może nie zawsze był szczęśliwy; gładkość prozy i wiersza słynnego humanisty przeszła po troszę na Rafaela. Bembo był uważany w Rzymie za jedną z pierwszorzędných powag pisarskich, nad jego stylem unosili się wszyscy; nie dziw też, że i Rafael był pod jego urokiem i starał się w sztukę przelać to, co w literaturze powszechnie się podobało, harmonię kompozycyi na niekorzyść siły. Humanista służył Rafaelowi nieraz za przewodnika wśród rzymskich ruin, o wiele od artysty wykształceńszy, otwierał mu horyzonty starożytnego świata. Rafael natomiast wywdzięczzył się Bembie, malując jego portret; uczony bowiem z zamiłowaniem zbierał obrazy i rozmaite dzieła sztuki, a co mu w Rzymie nie było tak trudno, gdyż żył pomiędzy artystami. Portret poety Sannazara, pędzla Sebastjana del Piombo, zdobił jego mieszkanie, a nawet dyptych Memlinga, dzieło bardzo cenne, miał w swojej pracowni. Gdy Bembo kupił później dom w Padwie, przeniósł tam obrazy i »antykalie« i z czasem zamienił swe mieszkanie w prawdziwe muzeum, które miłośnicy sztuki z daleka przyjeżdżali oglądać. Jego biblioteka należała do najcenniejszych, jakie z początkiem XVI wieku zebrano.

Z dziesięć lat mieszkał Bembo częścią w Padwie, częścią w swej wiejskiej posiadłości i z polecenia weneckiej Signorii pisał historję rzeczypospolitej. Dwutomowe to dzieło zawiera dużo zajmujących faktów, trudno tylko do nich się dokopać: tak szczelnie są spowite w kwieciste frazesy.



Wreszcie za Pawła III doczekał się Bembo spełnienia swych życzeń, został kardynałem, ale w późnym już wieku. Zdaje się, że marzył jeszcze o tyarze, ale świątobliwa zakonnica, siostra Franceschina da Zara, wręcz mu oświadczyła, że tak dalekim jest od tego, aby osiągnąć tyarę, jak daleką jest ziemia od słońca. Przepowiednia siostry Franciszki była trochę za śmiałą; gdyby bowiem Bembo żył dłużej, byłby z pewnością po śmierci Pawła III został był papieżem.

Pomiędzy duchownymi, stojącymi bliżej Leona X, znajdował się jeszcze Gian Matteo Giberti, sekretarz kardynała Giulia de' Medici, który później zajmował nadzwyczaj wpływowe stanowisko w hierarchii kościelnej i był jednym z pierwszych dygnitarzy kościelnych, pracujących nad reformą duchowieństwa. Giberti młody, bardzo zręczny, szedł co rano do papieża, aby mu donosić o bieżących sprawach państwowych i wysłuchać jego poleceń. Mimo urzędowego zajęcia znajdował jeszcze dość czasu, aby się poświęcać naukom, utrzymywać stosunki z uczonymi, a nawet przyjmować ich u siebie.

Mniej bliską papieża, ale nadzwyczaj charakterystyczną postacią ówczesnego Rzymu był Paolo Giovio, po Guicciardinim i Macchiavellim najznakomitszy historyk włoski w pierwszej połowie XVI wieku. Giovio urodził się w roku 1483 w Como, gdzie się do dziś dnia w tamtejszem muzeum sporo pamiątek po nim zachowało. Ojciec odumarał go wczesnie, więc starszy brat Benedykt, humanista, historyk, zajął się jego wychowaniem, starannie go kazał kształcić w Padwie, Medyolanie i Pawii, gdzie Paolo został doktorem medycyny. Od młodych lat zajmowały go wszakże i inne nauki, a mianowicie historia i filozofia; chciał się więc wydobyć na szerszy horyzont i pojechał, jak tylko Medyceusz został papieżem, do Rzymu, aby tam próbować szczęścia. Zaczął praktykować jako lekarz, ale więcej, niż pomiędzy kolegami, żył w towarzystwie uczonych i literatów. Posiadał nadzwyczaj wiele zmysłu spostrzegawczego, zajmowało go wszystko: ludzie, polityka, intrygi, plotki, a widząc, że zapas jego wiadomości o współczesnych stosunkach coraz bardziej się zwiększa, powziął myśl napisania historii Europy od chwili wej-

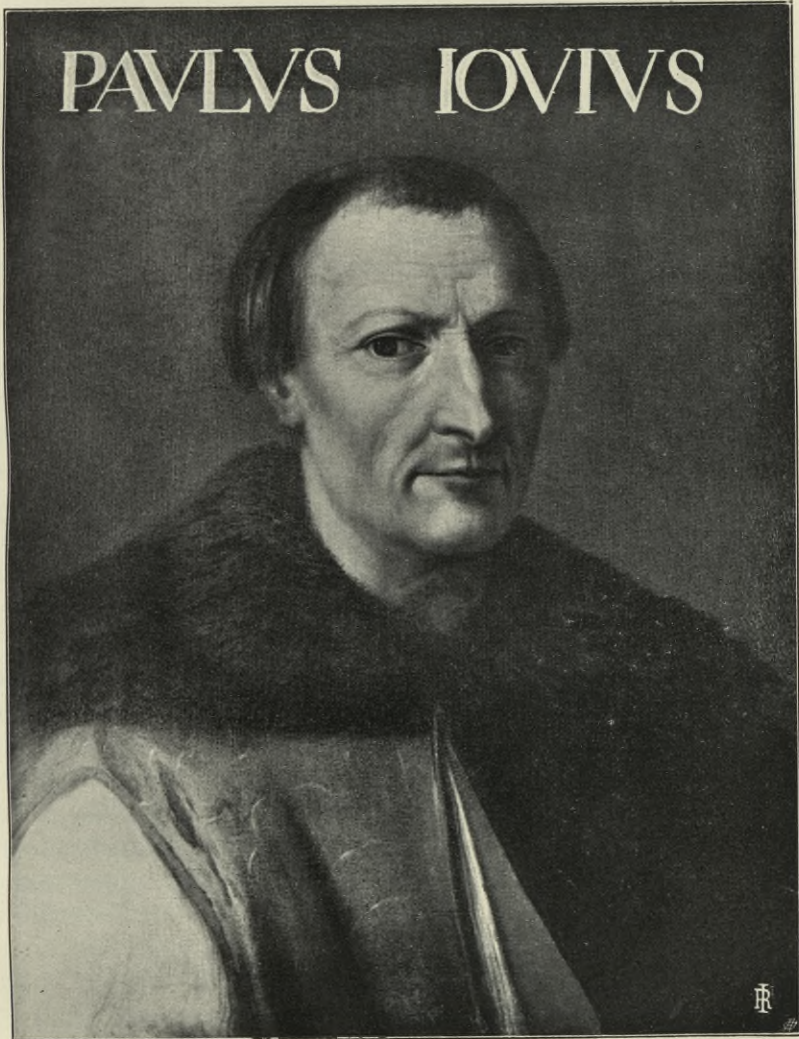












Fot. Alinari.

Paolo Giovio.  
Według portretu w Uffiziach.

Do str. 333.







ścia Karola VIII do Włoch, jako najważniejszego zdarzenia w ostatnich latach. Pisał to dzieło po łacinie, a ustępy z niego czytał w r. 1514 papieżowi, który się miał wtedy wyrazić, że po Liwiuszu jeszcze nikt tak pięknie historyi nie pisał. Leon X zamianował go wskutek tego profesorem w tamtejszem Studio, ale profesorem retoryki, do czego Paolo nie nadawał się wcale, a następnego roku zabrał ze sobą do Bolonii, na słynny zjazd z Franciszkiem I.

Giovio był więc ciągle w ogniskach politycznych zdarzeń, miał sposobność dużo widzieć i słyszeć, a historia jego, mimo wielu fałszów, niesprawiedliwych sądów o ludziach, jest przecież jednym z najcenniejszych źródeł do początków XVI wieku. Jak wielu jego poprzedników humanistów, pisał on, aby mu za to dobrze płacono. Kto chciał w pięknej szacie przejść do potomności, musiał mu przynieść brzęczącą sakwę. Nie krył się z tem wcale, owszem przyznawał się swym przyjaciółom, że niektórych swoich bohaterów, którzy umieli być wdzięcznymi, odział w złotogłów, innych, może równie zasłużonych, ubrał w zwykły szaraczek. Sądził, że fałsze w historyi nikomu nie szkodzą; po śmierci tych, o których się pisze, wszystko będzie uważane za prawdę. Podobnie jak Filelfo lub Valla, groził każdemu, kto by go zaczepił, lub wybrał za cel swoich pocisków, wytoczeniem ciężkich dział, zmiażdżeniem wroga. Mówiono o nim, że ma dwa pióra pod ręką: żelazne i złote; raz nawet pisał do Henryka II, że już dla niego umaczał złote pióro w najsubtelniejszym atramencie. »Io ho già temperata la penna d'oro col finissimo inchiostro«. Z tego powodu nazwał go raz Pasquino bogiem hańby Stolicy Apostolskiej, *il dio del vituperio della sede apostolica*.

Rękopis jego historyi dziwne przechodził koleje. W czasie rabunku Rzymu przez wojska niemiecko-hiszpańskie w r. 1527, ukrył Giovio swe pergaminy w pace ze srebrami i oddał je Dominikanom w S. Maria sopra Minerva do przechowania, sądząc, że cudzoziemskie żołdactwo nie znajdzie tam jego skarbów. Ale dwóch hiszpańskich oficerów zwierzyło skrzynię, znalazło ją; jeden z nich, nazwiskiem Herrera, widocznie znawca ksiąg, zabrał rękopis, drugi zado-



wolnił się srebrem. Gdy się jednak Herrera dowiedział, że właścicielem księgi jest Giovio, ofiarował mu ją wspaniałomyślnie zwrócić za dobrą zapłatę. Historyk nie miał wszakże pieniędzy, gdyż Hiszpanie całe mienie mu zrabowali; udał się więc do papieża o pomoc i dopiero Klemens VII wykupił rękopis, obiecawszy Herrerze beneficjum w Cordovie.

Prócz »historyi« pisał Giovio dużo, a najbardziej znanem i do dziś dnia czytaniem dziełem jego jest żywot Leona X. W tej biografii dowiódł zręczny autor prawdziwości swej tezy, że wszystko można wmówić w świat czytający. Przez długie wieki bowiem aż do najnowszych czasów przedstawiano sobie Leona X tak, jak on go opisał, jako idealną postać, która stała się synonimem złotej epoki Odrodzenia. Jego Leon X nie miał prawie ujemnych stron charakteru, wszystko zlewało się w nim w dziwnie sympatyczny i wspaniały obraz, który tem więcej pociągająco występował na dziejowym horyzoncie, że po Leonie i krótkim panowaniu Adryana nadeszły smutne czasy Klemensa VII i rabunek Rzymu przez wojska Burbona. Giovio kończy też historję swego ulubionego papieża żalosną uwagą, że z powodu późniejszych klęsk, napadu barbarzyńców, Hiszpanów i Niemców, morowych zaraz, głodów, wszystko, co było dobrem, nawet sztuki piękne zostały pogrzebane w jednym grobie z Leonem. Za Gioviem poszli późniejsi historycy, nazwali złoty wiek Odrodzenia wiekiem Leona, »Saecla Leonis«, a najznakomitszy z późniejszych biografów tego papieża, Anglik Roscoe, także się do nich przyłączył. Dopiero włoski archeolog, Carlo Fea, zaczął w pierwszej połowie XVIII wieku wyjmować cegły z tego łuku tryumfalnego, pod którym postać Leona X przechodziła z wieku do wieku. Ale aureola, otaczająca głowę papieża Medyceusza, była tak jasną, że nawet badacze przeszłego wieku, taki Ranke, Gregorovius, stawiali go na czele »najświeźszej epoki postępu ludzkości«; Giovio ciągle zwyciężał.

Na dworze papieskim słynął Giovio jako wielki gastronom i kulinarna powaga, co w mieście, w którym mieszkało tylu kardynałów i prałatów, niepoślednie miało znaczenie. Gdzie tylko dobry dawano obiad, tam Giovio i poeta Blosio



Palladio byli niezbędnymi gośćmi. Nasz historyk tak się dobrze znał na morskich i rzecznych przysmakach, że w roku 1524 wydał książkę o rybach, *De romanis piscibus*, w której przytoczył wiele anegdot, pozbieranych przy kardynalskich obiadach, i mnóstwo cytatów uczonych z Pliniusza, Galena, a nawet z Platiny. Bibliotekarz watykański był nie tylko słynnym humanistą, ale i wybornym kucharzem, zajął też niepospolite miejsce w kulinarnej literaturze renesansowej, napisał książkę higieniczno-kuchenną, pod tytułem *De honesta voluptate et valetudine tuenda*, którą poświęcił kardynałowi Roverelli.

Giovio ofiarował swój traktat o rybach także bogatemu smakoszowi, kardynałowi Ludwikowi Bourbonowi, spodziewając się, że dostanie za nią sporo dukatów, albo otrzyma jakie beneficjum; tymczasem wielki go spotkał zawód, kardynał wypłacił się autorowi, jak sam Giovio powiada, »mityczną prebendą, położoną na wyspie Thule, gdzieś za Orkadami«.

Pomiędzy dwoma gastronomami, Gioviem i Blossiem Palladio, przyszło raz do literackiego starcia. Stała się bowiem rzecz niesłychana, niekoleżeńska. Blossio miał wybornego bażanta i spożył go sam, nie zaprosiwszy na ucztę nikogo z przyjaciół. Powstało więc w obozie literatów wielkie oburzenie, a żarłok Blossio chcąc rzecz naprawić, obawiając się zresztą, aby na niego satyr nie pisano, dał obiad wspomniały, na który zaprosił także i Giovia. Ale nasz lekarz-historyk nie dał się tym bankietem przekupić, miał on za owego bażanta głęboki żal do poety. Dalej więc pisać satyryczną odezwę do towarzyszy okrągłego stołu. »Nie łudźcie się, mówił Giovio, uczyty nie wydał on z dobrej woli, albo z wesołem obliczem; wymogły ją strach, lęk i groza. Że jednak zastawa wspomniała i poprawa ma życzliwości pozory, wypada wam okazać pobłażliwość. Przy stole surowość ustaje«.

Giovio zastanawia się nad przyczyną egoizmu Blossia. »Jakiż to szal, biedny Blossio, popchnął cię do tak potwornej zbrodni? Jakiż bóg nieprzyjazny natchnął cię myślą tak czarnego czynu? Sam jeden zjadłeś ptaka z Fasydy, zjadłeś go cichaczem, niepomny ni starego druha Joviusza, ni żadnego z przyjaciół!«



»Za taką zbrodnię nie pomogą wymówki, nie pomoże skrucha, musisz się z lichwą wypłacić. Inaczej pójdziesz przed sąd, bogowie będą mścicielami, cały twój dobytek na folwarku zmarnieje. Więc jeżeli nie wydasz uczty, jakiej świat jeszcze nie widział, to cię takim piętnem naznaczę, tak opiszę, że plam tych nie zmyje woda Nilowa i będą na ciebie na całym świecie wskazywać, żeś sam zjadł bażanta«.

Mimo swego dowcipu musiał i Giovio czasem znosić przykrości. Raz w karnawale ośmieszył go tak poważny człowiek, jak Giberti. Gdy bowiem historyk wystroił się na uliczny pochód i pełno miał złośliwych dowcipów w zapasie, aby pod maską ludziom dokuczać, Giberti kazał mu cichaczem przylepić kartkę na plecach, »Io sono maestro Paolo Jovio«. Giovio do śmierci nie mógł Gibertiemu zapomnieć tej psoty.

Giovio był także zapalonym zbieraczem starożytności, a przede wszystkim skupywał portrety znakomitych ludzi od upadku rzymskiego państwa aż do XVI wieku. W ciągu lat doszedł do najznakomitszej kolekcji ikonograficznej w epoce Odrodzenia, ale niestety obrazy te i ryciny oddawna zostały rozproszone.

Po śmierci Leona X umiał się zręczny lekarz i historyk przypodobać także Adryanowi VI, był u niego w łaskach, równie jak i u następcy tego cudzoziemskiego papieża, u Klemensa VII. Drugi Medyceusz na papieskim tronie zamianował Giovia w roku 1528 biskupem Nocery de' Pagani, co wówczas za złe wzięto papieżowi. Mimo to Giovio bardzo niepoehlebny sąd wydał w swych pismach o Klemensie. Ale i nad Gioviem znęcała się potomność. Aretino, Lasca i wielu innych pisało nad jego grobem brzydkie epitafia, niektóre z nich powtórzyć trudno, przytaczam choć jeden, który nieprzyzwoitością nie razi.

Qui giace il Giovio pescator maturo,  
Istorico mendace, adulatore,  
Prelato indegno e grande affrontatore:  
Viator, non temer, passa sicuro.



Jedną z najpoważniejszych osobistości z literackiej rzeszy, grupującej się około Leona X, był Marco Girolamo Vida, pochodzący z Kremony (ur. r. 1480). Powołał go do Rzymu jeszcze Juliusz II, ale Leon X szczególnie go polubił. Vida rozpoczął swój zawód poety od napisania wierszy o szachach, które poświęcił Izabelli Mantuańskiej. Sam autor nie przypisywał wielkiej wagi do tego młodzieńczego utworu, który nazywał »adolescentiae suae lusum«; Leon X był jednak zachwycony tym utworem i unosił się nad »nowością« pomysłu. Również co najmniej oryginalnością tematu odznaczał się drugi z jego poematów p. t. »Bombyx«, wierszowana rzecz o jedwabnikach, i niktby po takich początkach nie przypuszczał, że Vida kiedyś napisze wielką epopeję po łacinie, pod tytułem »Christias«. W Chrystyadzie oparł się poeta na opowiadaniu ewangelii i gdzieś tam umiał się wznieść do wysokości potężnego tematu, a osobliwie »męka Pańska« z wielką siłą jest tam przedstawiona. Tasso wcielił w swoją »Jerozolimę wyzwoloną« całe ustępy z Chrystyady w wolnem tłumaczeniu, a osobliwie przepyszny opis koncylium dyabłów w czwartej księdze Jerozolimy. Chrystyada służyła później Miltonowi i Klopstokowi za wzór epopei chrześcijańskiej.

Powiadają, że Leon X zazdrościł Neapolowi dwóch słynnych poetów nowolacińskich, Pontana i Sannazara, i pragnął, aby także i Rzym zasłynął wielką epopeją. Osobliwie bolało papieża, że poemat religijny tego ostatniego, »De partu Virginis«, nie powstał w stolicy papieżstwa. Miał też Leon X poddać Vidzie myśl napisania wielkiej epopei chrześcijańskiej, a chcąc zapewnić poecie spokój i możliwość zajęcia się tem wielkiem dziełem, mianował go przeorem klasztoru S. Silvestro we Frascati. Papież jednak nie doczekał dokończenia tego poematu, gdyż Vida mógł go wydać dopiero za panowania Klemensa VII, w r. 1535. *z Me Klem. VII + 26. IX. 34*

Do ulubieńców Leona X, a można powiedzieć, do ulubieńców całych Włoch, należał Bernardo Accolti z Arezzo, liryczny poeta, często sentymentalny błazen, który swe utwory najczęściej śpiewał, wtórując na lutni. Był to rodzaj renesansowego trubadura, który gdziekolwiek się ukazał, wywoływał gorączkowy entuzjazm. Nazywano go »jedynym«,



»l'unico Aretino«, a nawet Aryost uważał go za znakomitego w swoim rodzaju poetę, gdyż go nazwał »wielkiem światłem«, *il gran lume Aretin, l'unico Aretino*.

Bernardo pochodził z okolicy Arezzo i miał już dwóch poetów w rodzie: Benedetta i Francesca, a starszy brat jego, Pietro, był kardynałem i autorem słynnej bulli *Exsurge* przeciw Lutrowi. O młodości »Unica« niewiele wiemy; spotykamy go dopiero w roku 1490 jako trzydziestoletniego mężczyznę w Rzymie, gdzie Pietro Accolti był wtedy audytorem Roty. Bernarda znano już z sonetów z dramatycznego utworu »Virginia«, który po raz pierwszy był przedstawiony na weselu bankiera Antoniego Spanocchiego w Syenie. Dramat ten, jeżeli tę słabą próbę dramatyczną tak nazwać można, był osnuty na nowelli Boccaccia »Giletta di Narbone«, którą Accolti nazwał Virginią.

Więcej, niż o poezjach, mówiono o miłosnych przygodach Bernarda, a ponieważ na dworze Aleksandra VI mimo ohydnych zbrodni kwitnął liryzm, więc dziwić się nie można, że Accolti, mając zwłaszcza poparcie brata audytora, został abbreviatorem apostolskim. Do ulubieńców Cezara Borgii należał poprzednik Bernarda, także rodzaj trubadura, Serafino d'Aquila, któremu kazał Cezar sprawić świetny pogrzeb w Rzymie. Bernardo dużo zawdzięczał Serafinowi, od niego się nauczył komponować »strambotti«, krótkie wierszyki do śpiewu, bardzo wówczas rozpowszechnione. Strambotti przyniosły sławę Accolciemu, często je improwizował, a chociaż niewiele w nich było sensu, mimo to połączone z muzyką, robiły wielkie wrażenie na publiczności. Jeden ze współczesnych pisze, że Unico miał szczęśliwe pomysły, słowa mu łatwo płynęły i w zadziwiający sposób publiczność za sobą porywała. Ażeby mieć wyobrażenie, co wówczas uważano za »szczęśliwe pomysły«, dość przypomnieć jego sonet o karczochu. Sonet to był miłosny, przeznaczony jakiejś pani, do której poeta płonął gorącym uczuciem. Tłumaczy on swojej ukochanej, co znaczy karczoch: śpiczaste liście, to cierpienia rozkochanego serca, zieleń to nadzieja, a smak gorzkawo słodki przedstawia przykre i dobre strony miłości.

Zdaje się jednak, że podobne sonety bardzo do serc



trafiały, gdyż wszędzie, gdzie się poeta za młodu pojawił, w Mantui, w Ferrarze lub w Urbino, wszędzie towarzyszyły mu westchnienia kobiet; mówiono, że Elżbieta Gonzaga nie była obojętną na jego dźwięczny głos, a i Lukrecyę Borgię, księżnę Ferrary, posądzano o wielkie sympatyje dla Unica.

Za panowania Leona X Accolti miał już przeszło pięćdziesiąt lat, szanował się i ufny w swoją wielkość, rzadko kiedy publicznie śpiewał. Był częstym gościem w Watykanie i ulubieńcem papieża, którego bawił swą żywością i dowcipem. Czasami jednak raczył Unico pozwolić, aby go i tłum uwielbiał. Pietro Aretino opowiada, że gdy się wieść po Rzymie rozniosła, że Accolti będzie w Watykanie improwizował i grał na lutni, to zamykano sklepy jakby w niedzielę a różne wysokie osobistości jechały do Watykanu, aby słuchać wielkiego artysty. Raz nawet posłał papież młodego wówczas Piotra Aretina do Unica, aby mu przypomnieć obietnicę śpiewania w pałacu. Gdy Accolti przybył, tyle się już zgromadziło publiczności, że papież kazał wszystkie drzwi potwierać, aby i ludzie niższego stanu mogli korzystać z muzycznej biesiady. Unico wtedy zaśpiewał hymn do Matki Boskiej, który taki wywołał zapal, że zewsząd słyhać było głosy: »Niech żyje boski poeta, niezrównany Aretino!« Dzisiaj nie można pojąć, że owa banalna ramota tak się podobała; musiał to być wpływ śpiewu i lutni. Trzy osobliwie wiersze, w których poeta apostrofował Madonnę, wywarły wielkie wrażenie:

Quel generasti di cui concepisti;  
Portasti quel di cui fosti fattura;  
E di te nacque quel di cui nascesti.

Widocznie muzyka słowom tutaj pomagała.

Accolti musiał śpiewaniem swych strambottów dużą zebrać fortunę, gdyż prowadził życie wystawne, miał piękny ogród i dom graniczący z domem Rafaela. To sąsiedztwo bardzo go gniewało, gdyż wiatr roznosił dym z kominów Urbinata po jego ogrodzie. Po śmierci też młodego mistrza zakupił Unico porafaelowską realność, aby na jej miejscu



zbudować pałac. Ale i ten pałac nie zadawał mu jego próżności, pomimo że był położony w jednej z najpiękniejszych części miasta, w pobliżu pałaców kilku kardynałów i przepysznego domu Braconia, papieskiego chirurga. Unico chciał zostać księciem, a korzystając raz z wielkiej potrzeby Leona X, kupił od Kamery apostolskiej księstwo Nepi za 5000 dukatów. Miasteczko jednak nie chciało przyjąć takiego księcia, który śpiewa strambotty, a papież musiał posłać trzystu Szwajcarów, aby go wprowadzili w posiadanie zamku. Po rozmaitych trudnościach został wreszcie Accolti panem na Nepi i kazał wyryć nad bramą starych murów słowa: »Unicus custos: procul hinc timores«. Stróżem Unicus, precz stąd obawy! Miał dobre o sobie wyobrażenie i zdarzyła się nawet sposobność, że mógł dowieść, iż napis nie był próżną przechwałką. Gdy bowiem w r. 1527 jakiś mały oddział Niemców i Hiszpanów, idących na Rzym, chciał zająć Nepi, Unico potrafił miasteczko obronić i nad obcem żołdactwem odnieść zwycięstwo.

To »zwycięstwo« nie pozyskało mu wszakże serca poddanych; gdy bowiem minęła wielka zawierucha, która Rzym spustoszyła, mieszkańcy Nepi zdobyli się na odwagę i wypędzili śpiewaka, którego nigdy za swego władzcę nie uznawali.

Nie tylko Unico improwizował poezye na dworze Leona X, popisywali się tam także Ferraryjczyk Tebaldeo, Rafael Brandolini z Florencyi i Andrea Marone. Brandolini nawet mieszkał w Watykanie i należał do najwykształceńszych ludzi w otoczeniu papieża, że zaś z łatwością na wszelkie możliwe tematy układał łacińskie wiersze, przeto był w wielkich łaskach u Leona X. Nieraz przy obiedzie poddawał mu papież jakąś treść do improwizacji, a Brandolini ubierał ją po krótkim zastanowieniu się, jeżeli już nie w poetyczne myśli, to przynajmniej w muzykalnie brzmiące wiersze. Ten poeta na zawołanie był prawie ciemny; dziwnie też nie zgadzało się z jego ułomnością przezwisko, które mu dali dworzanie: »Oko papieskie«, »oculus Pontificis«. Z wdzięczności dla papieża, który go swemi łaskami obdarzał, napisał Brandolini dyalog pod tytułem »Leo«, zawiera-



jący sporo anegdot z życia Leona X i wogóle rzucający dużo światła na ówczesne stosunki.

Ostatni z tych improwizatorów, Andrea Marone, rodem z Brescyi, był także ulubieńcem papieża, a przewyższał jeszcze Brandoliniego w łatwości układania łacińskich wierszy. Podczas jednego z większych obiadów w Watykanie, na który byli zaproszeni liczni znakomici goście, wezwał go papież, aby wypowiedział wiersz na temat ligi europejskiej przeciw Turkom. Marone, niewiele się zastanawiając, tak pięknie wywiązał się ze swego zadania, że zyskał poklask wszystkich biesiadników, a papież udzielił mu za ten udany popis jakiegoś beneficyum w arcybiskupstwie Kapuy. Innym razem, w dzień św. Kozmy i Damiana, patronów rodu Medyceuszów, urządził papież rodzaj turnieju improwizatorskiego, w którym brało udział kilku poetów papieskiego dworu. Wtedy powstał Marone, uderzył w lutnię i zaczął pieśń od słów: »Infelix Europa, diu quassata tumultu bellorum«..., »O nieszczęśliwa Europo, długo nękana wojennym rozruchem«..., a wszystkie pieśni innych poetów, nawet Brandoliniego, zbladły przy jego improwizacji pełnej niezwyklej siły. Valeriano w swej satyrze »Simia« powiada, że poeci niższego rzędu skakali około papieża, jak małpy około lwa, napastowali go na każdym miejscu, pod portykami, w prywatnych pokojach, w Belwederze, w lasku pomarańczowym, a nawet kiedy papież jeszcze w łóżku leżał. Ale przez Valeriana mówi zazdrość, że Colocci dostał 400 skudów za czterdzieści wierszy ułożonych na cześć papieża, że Tebaldeowi za podobną poezję wypłacono 500 dukatów, że tak hojnie a niezasłużone dary otrzymywali Guido Postumo, Querno, Filomuso i inni. Papież lubił to brzęczenie literackich komarów wokoło siebie i chętnie ich płacił.

Nie do poetów, lecz już do błaznów można było liczyć innego improwizatora, który często rozweselał papieża, Kamilla Querno, zwanego archipoetą. Był to Neapolitańczyk pełen zarozumiałości i blagi. Przyjechał do Rzymu za Leona X z poematem rycerskim pod tytułem »Alexias« w kieszeni, liczącym dwadzieścia tysięcy wierszy, i chciał, aby go literaci słuchali. Rzymscy poeci spostrzegli jednak, że Nea-



politańczyk wprawdzie dużo wierszy pisze, ale jeszcze więcej potrzebuje wina do pobudzenia swej imaginacji, przeto zaprosili go do jakiejś gospody na wyspie Tybru, aby się tam popisywał. Południowy bard dokonywał cudów, niestrudzony tyle pił i tyle śpiewał, że zgromadzeni uznali go za poetę nad poetami, nadali mu miano archipoety i włożyli na skroń wieniec spleciony z winnych latorośli, z liści kapusty i wawrzynu. Uszczęśliwiony Querno, uważając te hołdy za prawdziwe, zalał się łzami radości, a szczęście jego w Rzymie było zapewnione. Papież się uśmieł, gdy mu opowiadano o tem uwieńczeniu Neapolitańczyka, i zapraszał go odtąd często do swego stołu, bawiąc się jego żarłocznością. Co chwilę kazał mu podawać półmiski, ale wina pozwolił tylko wtedy dolewać, kiedy Querno zaimprovizował pewną z góry oznaczoną liczbę wierszy. Jeżeli ich mniej było, albo jeżeli nie odpowiadały regułom prozodyi, wtedy Neapolitańczyk dostawał wody zamiast wina. Querno skarżył się raz przy stole, że musi za tysiąc poetów wiersze komponować:

Archipoeta facit versus pro mille poetis,

na co mu papież również wiązaną mową odpowiedział, że niepotrzebnie się skarży, gdyż pije za tysiąc wierszopisów.

Et pro mille aliis archipoeta bibit.

Ku większej uciecze gości musiał Querno czasem przychodzić do stołu w przebraniu, a nawet raz występował jako Wenera w towarzystwie dwóch kupidynów i w lekkim stroju bogini deklamował wiersze. Za wszystkie te błazeństwa otrzymywał miesięcznie dziewięć dukatów z papieskiej kasy a później został profesorem w rzymskiem Studio. Apetyt jego wzrastał wszakże w miarę, jak go papież swą łaską odznaczał; doszło do tego, że razu pewnego jeden z biesiadników oburzony na żarłoczność Neapolitańczyka, sprawiającą obrzydzenie, tak go silnie w twarz uderzył, iż biedny archipoeta miał odtąd szpetny znak na ustach i rzadziej był zapraszany do papieskiego stołu.



Niepodobna rozpisywać się o wszystkich błaznujących poetach i rzetelnych błaznach, którzy »ozdabiali« dwór Leona X, ale był ich cały legion. Do znakomitszych należał Brandino, przezwany »Il Cordiale«, dawniej krawiec w Wenecyi, sławny żarłok i gracz w karty. Przywiózł on ze sobą z ojczyzny kurtyzanę Mariettę Tressa, z którą dał się uwiecznić na brązowym medalu. Aretino nazwał go wielkim »satrapą« w przyrządzaniu potraw na obiadach Leona X. Widocznie więc kucharze zasięgali w ważnych chwilach jego rad, a papież uznawał je za dobre, skoro go zamianował kawalerem rodyjskim. Był jeszcze drugi krawiec pomiędzy wesołą rzeszą Leona X, nazywał się Ceccotto i pochodził z Genui; porzuciwszy nożyce i igłę, został astrologiem, przepowiadał przyszłość z gwiazd i miał swe bardzo wyraźne przekonania polityczne, był bowiem zawziętym imperyalistą, a nawet cesarz go polubił. Do owego bądź co bądź »mieszanego« towarzystwa należał jeszcze Romanello, dawniej handlarz starzyzny, który się wybił swym samorodnym dowcipem tak wysoko, że mógł żartami swymi bawić papieża, a Aretino umieścił go w komedyi »Cortegiana«, jako jedną z występujących tam figur.

Na trochę wyższą nutę nastrojony był Pier Giovanni Cinotto, któremu dodawano nawet przydomek »divino«. Pisał on wiersze w bolońskim narzeczu, ale nie mógł ich sam deklamować, gdyż się bardzo jąkał i potrzebował pół godziny, aby wymówić słowo »Pimpinella«. Inni poeci wyśmiewali się z jego »gieniuszu«, a jeden z nich ułożył sonet bez sensu, drwiący z jego stylu; sonet ten zaczyna się od słów:

Lo stil de Pier Jovanni e di Cinotto  
fatto ha citar Cinotto e Pier Jovanni  
per saper se Cinotte e Pier Jovanni  
e se messer Pier Jovanni e Cinotto.,

Oprócz tych, o których mówiliśmy, wymieniają współcześnie jeszcze Giovanniego Gazolda, Girolama Brittonię, jakiegoś Andrzeja, bastarda, którego kardynał Rafael Petrucci wyszukał papieżowi w przytułku dla ubogich w Syenie, i Mora de' Nobili, połamanego od gościa biedaka. Znajdował się



między nimi także jeden z synów słynnego Poggia humanisty i jakiś zakonnik, frate Martino. Niektórzy nie mieli może usposobienia do błaznowania; widząc jednak, że głupota bardziej popłaca, aniżeli rozum, z umysłu dawali się używać do błazeńskiej roli. Leon X, równie jak większa część ówczesnych panujących, nie mógł się obejść bez półgłówek; ale widocznie zamiłowanie to nie było uważane w jego otoczeniu za odpowiednie, gdyż Aretino pisał do hr. Manfreda Collalto, że papież wpada z jednej ostateczności w drugą i nikt nie zdoła osądzić, co go bardziej bawi, czy rozum uczonych, czy niedorzeczności błaznów. Zdaje się wszakże, że ci ostatni byli w większych łaskach.

Do historycznej sławy doszedł pomiędzy błaznami Leona X fra Mariano, osobistość ściśle związana z postacią papieża, którego sobie w codziennem życiu bez owego Dominikanina, bez owego »króla błaznów«, »capo di matti«, wyobrazić trudno.

Skąd fra Mariano pochodził, milczą dzieje, tyle wszakże wiadomo, że nazywał się dawniej Fetti i w młodości był golarzem Wawrzyńca Medyceusza, którego zapewne bawił swymi konceptami. Uczęszczając jednak pilnie na kazania Savonaroli, tak się przejął zasadami sławnego kaznodziei, że został mnichem i wstąpił do Dominikanów. W habicie jednak zakonnym nie zmienił swego usposobienia i zawsze miał pełną głowę rozmaitych żartów, a Lorenzo przeznaczył go jako błazna dla syna Giovanniego, jadącego do Rzymu, aby zasiąść w kolegium kardynałów. Lorenzo widocznie bardzo lubił fra Mariana i zupełnie mu ufał, pomimo że nienawidził zakonników i zawsze mawiał, że człowiek trzech rzeczy strzedz się powinien: wołu z przodu, muła z tyłu, a mnicha z przodu i z tyłu. Fra Mariano nie zawiódł oczekiwania staro Medyceusza i był Giovanniemu a później Klemensowi VII wiernym sługą do śmierci. Lubił go także Bibbiena, chwalił jego dowcip i na równi stawiał z fra Serafinem, Franciszkaninem, błaznem na dworze w Urbino. Nawzajem fra Mariano z »wielkiem uznaniem« wyrażał się o humorze Bibbieni, a raz w liście pisanym do Gonzagi w Mantui nazwał go »swoim uczniem«.



Fra Mariano popisывał się już za czasów Juliusza II i był bohaterem uczty, którą arcybiskup neapolitański dawał 2 lipca 1512 w swej pięknej willi na Monte Cavallo. Pomiedzy gośćmi znajdował się i młodzieniaszek Federigo Gonzaga, a jego towarzysz Grossino donosił następnie o tej uczcie margrabiostwu, że Federigo wybornie się bawił, że fra Mariano rozweselał gości swemi »caprizi«, a Bibbiena dzielnie mu dopomagał. Podczas wieczerzy zupełnie niespodziewanie wyskoczył fra Mariano na stół i żartował z kardynałów i biskupów, nikogo nie oszczędzając.

»Capo di matti« szczycił się, podobnie jak większość błaznów, niepospolitą żarłocznością. Kronikarz syeneński Tizio opowiada o nim, że na jedno posiedzenie zjadł dwadzieścia kapłonów i czterysta jaj, oprócz innych potraw. Niczem Gorgantua! Jeżeli tego rodzaju daty są kronikarską przesadą, to z autentycznych już rachunków papieskiego dworu nabieramy przekonania, że o gościach Leona X możnaby rzeczywiście pisać kulinarne epepeje. Sam papież, jakeśmy wspominali, bardzo skromnie jadał, a mimo to na kuchnię szły dochody z całej Romanii, ze Spoleto i z Marchii. Fra Mariano niemało się przyczyniał do powiększania tych wydatków, gdyż lubił »komponować« nadzwyczaj kosztowne potrawy. On to uchodził za wynalazcę kiełbas z pawiego mięsa, kotletów z bażantów i różnych siekanin z piersi kapłonich. Papież lubił się przypatrywać niezwykłym apetytom swoich gości, a szczególną mu radość sprawiało, gdy podawano potrawy z mięsa małą lub kruków, a nikt się nie spostrzegł, jakie połykał przysmaki. Sam fra Mariano miał raz zjeść kawałek powroza zamiast węgorka i starą kamizolę w pasztecie.

W uznaniu tych »zasług« mianował go papież w kwietniu roku 1514 piombatorem, urzędnikiem Kamery apostolskiej, który przykładał pieczęć ołowianą do bull i dyplomów, wychodzących z kancelaryi papieskiej. Ponieważ zaś piombatorów mianowano tylko z zakonu Cystersów, przeto papież pozwolił, aby fra Mariano przeniósł się od Dominikanów do zakonu Cystersów w klasztorze S. Silvestro. Otrzymał on ten urząd po śmierci Bramantego, a jego następcą



był Sebastiano del Piombo — błazen pomiędzy dwoma wielkimi artystami! Fra Mariano mieszkał teraz w stanzach Innocentego VIII, które się nazywały officio del Piombo, a do markiza mantuańskiego pisał, że przy drzwiach jego pokoju są aż trzy łańcuchy i że widocznie przewidziano, iż te stanze będą kiedyś służyły za mieszkanie błazna waryata. Donosił także Gonzadze, że na starość został alchemikiem, że z ołowiu robi złoto i z tej swojej »bottegi« wyciąga rocznie osmset dukatów. Dochód ten musi rozdzielać na trzy części; jedną ofiarowuje Chrystusowi, od którego wszystko dobro pochodzi, drugą daje tej »kanalii«, krewnym, których ma tylu, że na zaspokojenie ich pragnienia nie wystarczyłyby wody z jezior mantuańskich, a trzecią pozostawia dla siebie i dla swych domowników, aby mieli co jeść i pić. Rachunek jest taki, że musi rocznie dopożyczać trzysta dukatów. Zdaje się wszakże, że tak źle nie było, gdyż frate założył sobie jakiś wcale ładny ogród na kwirynalskim pagórku, który nawet porównywano z ogrodem bankiera Chigiego. Ową trzecią część dochodów, przeznaczoną »dla Chrystusa«, musiał fra Mariano wydawać na kaplicę, którą zbudował w San Silvestro, i ozdobienie jej polecił tak znakomitym artystom, jak Baltazarowi Peruzzi i Polidorowi da Caravaggio. Istnieje ona do dziś dnia, dobrze zachowana, i nie pozwala zapomnieć o głośnym fra Marianie, o którym zresztą współcześni bardzo życzliwie wspominają.

U Aretina jeden z rozmawiających w »Ragionamento delle Corti« chwali fra Mariana, ponieważ był uprzejmy, zacny, pożyteczny wielu dworzanom i wszędzie lubiany. Na papieża miał wielki wpływ, a jako znający go od dziecka, a nadto »błazen«, mówił wszystko, co mu przez myśl przeszło. Raz powiedział Leonowi X: »Ojcie święty, używajmy życia, bo wszystko zresztą jest farsą«. »Viviamo babbo sante, che ogni altera cosa è burla«, a to charakterystyczne zdanie wyraża nie tylko myśli samego fra Mariana, ale i filozofię całego otoczenia Leona X. Wszak i sam papież rozpoczął swe panowanie od owego słynnego powiedzenia do swego brata: »Używajmy papieżstwa, skoro nam je Bóg dał«.



Wszyscy ludzie Odrodzenia świadomie lub nieświadomie byli przejęci epikureizmem.

Fra Mariano, jakeśmy wspomnieli, został Leonowi X do śmierci wiernie oddanym sługą, a dotychczas przeważało nawet u historyków przekonanie, że braciszek, będąc sam jeden świadkiem agonii Leona X, wezwał go, aby się wypowiedział i przyjął św. Sakramenta. Przyjaciel błazen miał konającemu papieżowi powiedzieć: »Reccordatevi di Dio, Santo Padre!« Jak profesor Pastor wszakże dowodzi, tradycja ta nie ma podstawy, gdyż papież kilka dni chorował, wiedział, że ciężko zaniemógł, i miał czas na ostatnie chwile się przygotować.

Po śmierci Leona X fra Mariano sprawował jeszcze z dziesięć lat urząd piombatora i był w wielkich łaskach u Klemensa VII, umarł w roku 1531, a monsignor biskup di Vaison wykonał jego ostatnią wolę i dał mu w liście do Piotra Aretina świadectwo, że poczciwy błazen zeszedł z tego świata jako zacny i święty człowiek, »morse da bono e santo omo«. Leon X inaczej go osądził w dowcipnym nagrobku, którego autorstwo samemu papieżowi przypisują, ale to epitafium było ułożone w przystępie dobrego humoru i nie ze złą wolą. Papież wzywa tam przechodnia, aby grobu fra Mariana nie kropił święconą wodą, ale dobrem winem, leży tam człowiek, który w nic nie wierzył, ale udawał religianta ze strachu.

Non acqua benedetta, non saltero,  
 Pigliarai, viator, ma solamente,  
 Se vuoi far cosa grata a la sua mente,  
 Buon vin ci spargi e ragiona del zero.  
 L'altro perso saria, che'ei credde poco,  
 Ben che già simulo religione;  
 Ma lo fe' per fuggir più tristo gioco<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ani wody święconej, ani psalterza nie będziesz potrzebował, przechodniu. Pokrop go dobrem winem i rozmawiaj o zerze. Wszystko inne byłoby zbyteczne, gdyż zmarły niedowiarek udawał tylko pobożnego, aby smutnych uniknąć następstw.



## VIII.

Poeci i błazny zbiegali się ze wszystkich stron włoskiego półwyspu do Rzymu; muzyków i śpiewaków najczęściej sam Leon X sprowadzał, i to nie tylko z Włoch, lecz także z Francyi i Hiszpanii. Papież dowiadywał się, gdzie jaki z tych artystów zasłynął, i nie wahał się nawet pisać do Franciszka I lub innego potentata, aby ową znakomitość pozyskać. Płacił muzyków lepiej, aniżeli poetów, a jakeśmy wspomnieli, księgi rachunków papieskich dowodzą na każdej karcie, że najwięcej pieniędzy szło na muzykantów, śpiewaków i złotników. Aby sobie ująć jakiego muzyka, wynosił go papież nawet na wysoką godność kościelną, a jednemu z żydów niemieckich, lutniście Giammarii, pozwolił dodać do nazwiska przydomek Medici i mianował go kasztelanem i hrabią di Verruchio. Innego artystę, Hiszpana Gabryela Merina, zamianował Leon X arcybiskupem Bari, ponieważ śpiewał pięknie. Za rządów też Medyceusza miała orkiestra kościelna u św. Piotra rozgłos na cały świat i z owych czasów pochodzi sława papieskiego chóru. Pierwszy Leon X sprowadził z Francyi śpiewaków trzebieńców, których przedtem nigdy Włochy nie znały. Jednym z najślawniejszych śpiewaków w orkiestrze watykańskiej był Bidon da Asti, o którym hr. Canossa w »Cortegianie« Castigliona opowiada, że swym potężnym głosem tak słuchaczy wzrusza i zapala, że duch ich niejako do niebios się wzbija. Folengo, mierny poeta, ale wielki znawca muzyki, unosi się nad nim, nad jego towarzyszami.

O felix Bido, Carpentras, Silvaque, Broger,  
Vosque leoninae cantorum squadra capellae.

Orkiestra watykańska była najzupełniej kosmopolityczną instytucją; kapelmistrzem mianował papież raz znakomitego Hiszpana, Juana de la Encina, innym razem florentyńskiego żyda, Piotra Aarona, lub znowu Włocha, Ganetiego. Ten ostatni otrzymał jakieś kościelne beneficjum.

O gorącym zajmowaniu się Leona X swą orkiestrą wiedzieli malarze; to też umieszczono ją na fresku w stanzach watykańskich, przedstawiającym koronację Karola Wielkiego,



a w ornamentach loggii co chwilę napotykały na instrumenty muzyczne, które papież zbierał ze szczególnym zamiłowaniem i sprowadzał z Neapolu, a nawet z Norymbergi. Jeden z niezliczonych wierszy satyrycznych, które się ukazały w Rzymie po śmierci Leona X, przedewszystkiem każe muzykom opłakiwać zmarłego papieża:

O musici, con vostre barzelette,  
Piangete o sonator di violoni,  
Piangi e piangete o fiorentin bajoni,  
Battendo pratti, mescole e cassette.

Z koncertami łączyły się przedstawienia sceniczne, ale tylko zabawnych komedii i moresk, rodzaju baletów. Wszystkie te farsy i burle były bardzo nieprzyzwoite, bo wówczas tylko to bawiło, co się wyróżniało grubymi żartami. Bez dwuznacznych albo sprośnych dowcipów nie było komiczności. Nie widziano w tem nic zdrożnego, ba, nawet w roku 1552, a więc w czasach kiedy kościelna reakcja wzięła górę, przedstawiano w Rzymie cztery razy komedię Hipolita Salviatego, przybocznego lekarza Pawła IV, pod tytułem »Ruffiana«, pełną najpospolitszych nieprzyzwoitości. Zwykłą ofiarą dowcipów w komedii za Leona X byli zakonnicy, co nie raziło nikogo. »Mandragolę« Machiawella grano w przytomności papieża w r. 1514, »Calandrię« Bibbieni na uczczenie Izabelli Mantuańskiej, a o tem przedstawieniu jeszcze mówić będziemy.

Wspaniałe także było przedstawienie komedii Aryosta »Suppositi«, w ostatnią niedzielę karnawału r. 1519. Urządzał je kardynał Cybò, siostrzeniec Leona X, syn Francescheta Cybò i Magdaleny de' Medici, w swoim mieszkaniu w zamku św. Anioła, ale papież dał mu na ten cel tysiąc dukatów ze swojej szkatuły. Sala pomieściła dwa tysiące osób, dekoracye z widokiem miasta Ferrary, ponieważ komedya tam się odgrywała, malował Rafael. O tem przedstawieniu mamy wyborne sprawozdanie w liście, który poseł ferrarski, Paolucci, przesłał swemu księciu. Idźmy więc za opowiadaniem tego naocznego świadka. Z jednej strony sali była urządzona scena, z drugiej amfiteatralnie wznosiły się siedzenia, w środku



zaś półkole na dole, na małym podwyższeniu stały krzesła dla papieża, kardynałów i posłów obcych dworów. Przepyszne kandelabry oświecały scenę, a urządzono je w ten sposób, że każdy z nich tworzył jedną literę z napisu: »Leo X Pontifex Maximus«. Na kurtynie był wymalowany fra Mariano w opałach, jak go szarpia na wszystkie strony małe dyabluki; podpis: »Questi sono li capreci de fra Mariano«, rzecz objaśniał.

Przed rozpoczęciem przedstawienia stanął papież przy drzwiach i błogosławił wchodzących, mówiąc do każdego: »Dignus es intrare«. Prawdziwe renesansowe błogosławieństwo wobec sceny, na której miała się odegrać nieprzyzwoita komedia. Gdy »piferari« dali znak na trąbach, papież ze swym otoczeniem wszedł do sali, a na scenie ukazał się herold, który miał krótką przemowę do publiczności i objaśnił tytuł komedyi »Suppositi«. Ten prolog taki był zabawny, że Leon X zaczął się głośno śmiać, ku zgorszeniu Francuzów. Obecny tam ferrarski sprawozdawca nie rozumiał powodu tego zgorszenia i w liście do swego księcia litował się nad Francuzami, pisząc, »si scandalizorno, poverini i Francesi«. Komedię grano bardzo dobrze, a pomiędzy aktami popisywała się muzyka składająca się z piferarów, cornamuzy, dwóch kornetów, wioli i małych organów. Koncert wokalny mniej się udał, natomiast ostatnie intermezzo, przedstawiające fabułę o Gorgonie, dość się podobało.

Po przedstawieniu papież znowu pobłogosławił gości, którzy tak szybko i z takim impetem zaczęli salę opuszczać, że nasz Ferrarczyk, przyciśnięty do ławki, o mało nogi nie złamał, czego, jak utrzymuje, nie byłoby mu wynagrodziło nawet papieskie błogosławieństwo. Spieszono się do wieczerzy, która była zastawiona w sąsiednich pokojach, dla papieża zaś, kardynałów i posłów, razem dla trzydziestu sześciu osób, przygotowano wspólnie przystrojony stół w osobnej sali, gdzie grała muzyka. Komedia Aryosta bardzo się podobała; nie brakło jednak ludzi poważniejszych, którzy utyskiwali, że takie nieprzyzwoitości przedstawia się wobec papieża. Leon X był wszakże bardzo zadowolony z ferrarskiego poety i kazał go poprosić o jaką nową komedię.



Ariosto przysłał w r. 1520 »Negromanta«, ale się okazało, że autor wyśmiewa w prologu sprzedawanie odpustów, »które są droższe, niż karczochy w maju«, a nadto nazywa Rzym »pełnym kłamstw i złośliwości«, »Roma piena d'inganni e di malizie«, więc papież nie mógł pozwolić na granie takiej komedyi.

W tłusty poniedziałek zabawy trwały dalej; na placu św. Piotra urządzono walkę byków, w której trzech ludzi zginęło, czterech ciężkie odniosło rany i dwa konie padły, pomiędzy nimi koń Serapiki. Sam ulubieniec papieski, który tego dnia zabawił się w torreadora, był w wielkiem niebezpieczeństwie, albowiem rozwścieczony byk powalił go na ziemię i tylko szybkiej pomocy innych walczących zawdzięczał Serapica swoje ocalenie.

Wogóle jednak lud nie był zadowolony z tego za mało krwawego widowiska, które nie wypadło dość świetnie, ponieważ oprócz papieża żaden z kardynałów nie chciał dać na nie pieniędzy. Wspominano też przy tej sposobności z żalem biednego kardynała Petrucciego, który jednego dnia wydał cztery tysiące dukatów na walki byków.

Natomiast koniec karnawału zaznaczył się oryginalną uctwą u bankiera Lorenza Strozzi, w której wzięli udział kardynałowie Rossi, Cybò, Salviati, papiescy nepoci, kilku błaznów i kilka cortegian. Gdy goście weszli do pałacu bankiera, prowadzono ich po jakichś bocznych schodach, przez czarne drzwi, do ciemnej sali pokrytej kirem i »przyozdobionej« w trupie czaszki. W czterech rogach stały cztery szkielety oświetlone z tyłu małymi świeczkami, aby jeszcze ohydniej wyglądały. W środku sali znajdował się stół, także czarną kapą pokryty, z wielkim drewnianym półmiskiem, na którym systematycznie były ułożone dwie głowy trupie, cztery piszczele i cztery drewniane naczynia z winem. Kardynałowie osłupieli na tego rodzaju bankiet, ale Strozzi z wyszukaną grzecznością, jak gdyby go to pogrobowe otoczenie nie obchodziło, poprosił gości, aby tutaj cokolwiek przekąsili, a potem przeszli do innej sali na wieczerzę. Tymczasem służba odkryła owe trupie głowy, a pod niemi ukazały się świeżo upieczone bażanty, a w piszczelach kielbasy. Nikt



wszakże nie miał ochoty do jedzenia, fra Mariano tylko nie stracił humoru, a zobaczywszy pieczone, rzucił się na nie i połykał kawały dziczyzny, popijając je winem. Gdy się braciszek posilił, otworzono następną salę, przemienioną w jakiś czarujący świat o gwiazdzistym niebie, ze stołem w środku, nakrytym na czternaście osób. Tam były znowu niespodzianki: talerze z potrawami i butelki z winem wyskakiwały dla każdego gościa z osobna z pod stołu, nie wiedzieć jakim sposobem, a w czasie tego dziwaczного obiadu naraz światło przygasło i weszło dwóch błaznów, wybornie przebranych za fra Mariana i za Brandina. Owe sobotwory chciały wypędzić prawdziwego fra Mariana i Brandina, ale żartobliwa walka musiała być przerwana, bo kilku gości, może z powodu swych trupich wrażeń, a może i z powodu źle przyrządzonych potraw musiało wstać od stołu. Nastąpiły nieprzyjemne katastrofy, jeden tylko fra Mariano wyszedł zdrów i wesół z tej karnawałowej kampanii.

Wracając jednak do teatralnych przedstawień, to ulubionym Leona X autorem fars i burli, często grywanych w Watykanie, był Niccolo Campani, zwany Strascinem, którego bankier Chigi papieżowi z Syeny sprowadził. Strascino pisał farsy z życia wieśniaków, śmiał się z ich naiwności, z ich miłostek, uroczyści i bójek, a sprosne żarty miały w tych scenicznych obrazkach zastępować dowcip. W jednej z burli noszącej tytuł »Mezzuchio«, kocha się dwóch parobków w pięknej dziewczynie »Vice«, a z zazdrości zaczynają się bić o nią na scenie. Trzeci towarzysz chce ich pogodzić, prowadzi więc przed Wikę, aby z nich tego wybrała, który się jej bardziej podoba. Ale dziewczyna radaby mieć obydwóch, oświadcza więc, że zadość uczyni afektom jednego i drugiego, a w szczeroci przyznaje się, że ma już jednego kochanka. W tych warunkach wszelka zazdrość ustaje, a burla kończy się tańcem i wesołą piosnką na cześć Wiki o przestronnem sercu.

Strascino napisał oprócz wielu fars i burli nadzwyczaj rozpowszechnione w XVI wieku »Lamento«, tudzież mnóstwo wierszy.

Także na mantuańskim dworze lubiono Syeneńczyka.



W styczniu roku 1521 zaprosił go markiz Federigo Gonzaga, aby uświetnił mantuański karnawał, i przysłał mu do Rzymu 25 dukatów na opędzenie kosztów podróży. Papież dał pozwolenie na wyjazd tego wielkiego człowieka, markiz wysłał po niego konie i przyjmował go tak uroczyście, jak głośnego artystę, albo znakomitą osobistość polityczną. Zdaje się, że z Mantuy udał się Strascino na dwór w Urbino, gdzie także odgrywaniem swych fars zabawiał towarzystwo.

Nie wszystkim komedyopisarzom tak się dobrze działo, jak Syeneńczykowi. Raz kazał papież różgami wychłostać Gazolda, kapelana rzymskiego Studio, ponieważ napisał niezgrabne wiersze. W tłusty poniedziałek roku 1519 przedstawiano w obecności papieża komedię »Arboro de' matti« jakiegoś zakonnika, która najzupełniej się nie podobała. Wtedy Leon X, chcąc ukarać autora, że złe komedye pisze, wymyślił niewidzianą dotąd moreskę. Kazał przynieść wielką kołdrę i podrzucić na niej na scenie, jak piłkę, nieszczęśliwego autora, który rozwścieczony bolesną i niebezpieczną igraszka, a nie mając żadnej broni przy sobie, ukąsił aż trzech podrzucających go posługaczy. Za karę kazał go papież wsadzić na barki fachina i tak niby na koniu jeździć po scenie, przy czem go służba tak pięściami potłukła, że musiano biedaka wynieść ciężko chorego ze sceny. Litościwy papież dał mu na pocieszenie dwa dukaty.

Leon X zanosił się od śmiechu, a w tej samej niemal chwili, w pierwszych dniach roku 1519, Zwingli rozpoczął w Żurychu kazania, któremi odrywał tysiące wiernych od Kościoła katolickiego.

## IX.

Obok muzyki lubił Leon X namiętnie polowanie, chociaż właściwie czynnego udziału w niem brać nie mógł z powodu krótkiego wzroku. Urządzano mu więc rodzaj trybuny, tam gdzie najwięcej zwierza można było nagoniać, a papież patrzył na mordowanie jeleni, sarn, dzików, jakby w starożytnym cyrku. Czasami tylko, gdy się zwierz w sieci zaplątał,



szedł Medyceusz odważnie z kordelasem i ofiarę zabijał. Leon X był zresztą pierwszy z papieży, który na łowy często, systematycznie wyjeżdżał. Zdarzało się wprawdzie, że Watykan dla zabawienia obcych panujących urządzał polowania, ale sami papieże rzadko tylko brali w nich udział. Że polowania nie zgadzały się z powagą papieża i sprzeciwiały się kanonicznym przepisom, to Leona X niewiele obchodziło, pomimo że dla niższego duchowieństwa wydawał w tej mierze zakazy. Pomędzy kardynałami było od dawna wielu myśliwych, a sławę w tej mierze wyrobił sobie Ascanio Sforza, brat Ludwika Mora, którego nazwano Nemrodem św. Kollegium. Ascanio był kardynałem za Aleksandra VI i Juliusza II, który mu wystawił przepyszny grobowiec w Santa Maria del Popolo. Powrót Ascania z łowów należał przez długie czasy do najciekawszych widowisk rzymskiej ludności, która wylegała na ulice, aby się przypatrzeć tej barwnej drużynie prałatów i panów rzymskich, zbrojnych w lance, dziryty, oszczepy, kordelasy, topory, tej karawanie mułów z sieciami na grzbietach, szeregom sokolników, naganiaczy, psiarzy z niezliczoną ilością psów gończych i ogarów, wozów, na których poskładano zabitą zwierzynę, olbrzymie dziki, jelenie, sarny i przeróżne ptactwo.

Łowy Ascania znalazły swego poetę, także kardynała, Adriana da Corneto, który w swej myśliwskiej epopei sprowadza Dyane z Olimpu, aby towarzyszyła Sforzy. Dyana zabija dziką, Ascanio jelenia, poczem bogini i kardynał odpoczywają na murawie, pod cienistym platanem. Dyana musiała się niemało dziwić, gdy na tem polowaniu po raz pierwszy ujrzała »maszynę dziwną, straszną, groźną, niebezpieczną, której nawet dla Jowisza nikt w podziemnych kuźniach Plutona wymyślić nie potrafił, maszynę wyrzucającą ogień i ołowiane pociski«. Po łowach bogini i Ascanio, znużeni całodziennym mozołem, kładą się razem nel letto al triclinio, a zdobycz swą poświęcają Juliuszowi II.

Przykład Ascania Sforzy i innych kardynałów myśliwych, jak Ludwika d'Aragona, Zygmunta Gonzagi, Hipolita d'Este, Fryderyka Sanseverina, musiał podzielać na wyobraźnię Leona X, który z kupieckiej Florencyi nie mógł wy-



nieść zamięłowania do łowów. Giovanni Medici stał się dopiero w Rzymie wielkim zwolennikiem polowania, a zostawszy papieżem, kazał sobie zorganizować cały sztab myśliwski i systematycznie co roku na dłuższy czas wyjeżdżał na Kampanię. Niejako wielkim łowczym był w pierwszych latach panowania Leona X słynny kardynał Lodovico d'Aragona, a po nim objął ten urząd w roku 1517 Franciotto Orsini, żołnierz przemieniony w kardynała, który z wielkim zamięłowaniem oddawał się hodowli ptaków drapieżnych do polowania. Szczegółowy zarząd łowów i wszystkiego, co do nich się odnosiło, należał do Dominica Boccamazo, który później napisał książkę o polowaniach w Kampanii, znajdującą się w bibliotece Chigich. Nosi ona tytuł »Il cacciatore signorale«. Cały system łowów był francuski; z Francji przywożono najlepsze psy i sieci, które otaczano tę część lasu, gdzie polować miano, z Francji sprowadzano fachowych myśliwych i psiarzy. W lutym r. 1517 przybył do Rzymu wysłaniec króla francuskiego, mons. de Bordigle z wielu myśliwymi, przywożąc papieżowi w podarunku od króla sieci i psy wyuczone do chwytania dzika. Leon X kazał tych gości umieścić w osteryi Croce Bianca, na Campo di Fiore i zapłacił za nich rachunek wynoszący 1096 dukatów. Leon X miał zazwyczaj sześćdziesiąt do siedmdziesięciu psów do polowania, których wyżywienie kosztowało kwartalnie 50 do 60 dukatów. Były one w zimie umieszczone pod pagórkiem Santo Spirito, a w lecie odsyłano je do Viterbo. Na czele psiarzy stał Francuz Ughetto, a nad sieciami miał nadzór także Francuz, Morello.

Leon X wyjeżdżał na łowy w otoczeniu gwardyi szwajcarskiej z kilkoma kompaniami łuczników i z naganiaczami o długich kijach, którzy się ustawiali w miejscach, skąd zwierz mógłby się wymknąć. Do bliższego towarzystwa papieskiego dworu należeli młodzi kardynałowie, dworzanie, literaci i muzycy, zwykle około 140 osób. Z literatów spotykamy tam najczęściej nieodstępnego Unica, tudzież Gwida Posthuma, Vidę, Tebaldea, Molzę i wielu innych. Serapica i tutaj był niemal pierwszą osobistością, zwłaszcza że odważnie szedł na zwierza i wybornie się na tem rozu-



miał, aby papieża umieścić na stanowisku, gdzie się miała rozegrać główna akcja. Poeci i kardynałowie gniewali się na niego, że wszędzie zdobywał sobie łaski ziemskiego Jowisza.

Gdy barwny pochód ruszał, wojsko i cała drużyna zaczęła śpiewać jaką pieśń myśliwską, których było mnóstwo ułożonych do śpiewu. W jednej z nich powtarzała się ciągle zwrotka:

Iamo a la caccia,  
Iamo a la caccia,  
Su, su, su, ognun si spaccia!

Papież jechał konno, ale częściej kazał się nieść w lektyce. Był zazwyczaj ubrany w białą kamizelę bez stuyły i rocchetta, a natomiast miał długie buty, co do rozpaczy doprowadzało Parysa de Grassi, który sądził, że »contadini« po drodze nie mogą przecież całować papieża w myśliwskie buty. Kardynałom przebaczał Grassi, że się stroili, jak im się podobало: niektórzy mieli na głowie berety, inni lekkie ozdobne hełmy a na piersiach złote łańcuchy, pendent zaś u szpady był zwykle mistrzowską robotą jednego ze znakomitych rzeźbiarzy. Ludność wychodziła po drodze naprzeciw papieża, stawiała łuki tryumfalne, co się jej dobrze opłacało, bo Leon X był hojny, dawał posagi ubogim dziewczętom, albo płacił długi za starców, obarczonych liczną rodziną. Papież miał zawsze czerwoną sakiewkę przy sobie, którą Serapica napelniał dukatami.

W wilię łowów obchodzili leśniczowie Kampanię z francuskimi psami, zwanymi limieri, o nadzwyczajnym węchu, aby wiedzieć, w której stronie najwięcej zwierzyny. Tam zakładano sieci i ustawiano papieską trybunę. Fra Mariano siadywał czasami obok papieża, w bezpiecznym miejscu, raz nawet umieścił się na cyprysie. Zapewne doświadczył, że tam, gdzie Leon X miał swój tron polowy, nie zawsze było bezpiecznie. Zdarzyło się bowiem, że raniony wilk biegł prosto na papieża i tylko kardynałowie Salviati, Cybò, Cornaro i Augustyanin Egidio da Viterbo rzucili się szybko na rozwścieczone zwierzę i dobili je oszczepami.

Gdy wszystko było przygotowane, sam papież dawał



znak do rozpoczęcia łowów, a przypatrując się przez szkło powiększające, brał nadzwyczaj żywy udział w całej zabawie. Zwykle spokojny, stawał się teraz ruchliwym, zachęcał myśliwych, nawoływał, klaskał w ręce, ostrzegał o niebezpieczeństwie, a gdy który z towarzyszy łowieckich wykroczył przeciw zwyczajom, albo zwierza wypuścił, wpadał w gniew i lajał bez względu czy winny był kardynałem czy nepotem.

W maju wyjeżdżał Leon X na łowy do Magliany, miejscowości położonej przy dzisiejszej linii kolei żelaznej, prowadzącej z Rzymu do Cività Vecchia. Był tam letni zameczek otoczony murem i fosą ze zwodzonym mostem, wybudowany jeszcze przez poprzednich papieży, a upiększony za Juliusza II, który wszędzie lubił budować. Położenie Magliany niezdrowe, malaryczne, wokoło melancholijna pustka, a w salach zamku, noszących jeszcze ślady pysznych fresk, składają dzisiaj siano okoliczni wieśniacy. Leon X lubił tam bardzo przebywać na wiosnę, w jesieni albo nawet i w zimie z niechęcią wracał do Rzymu, aby spełniać swe papieskie obowiązki. W Maglianie chowano mnóstwo gołębi dla uciechy papieża, który kazał wypuszczać na nie jastrzębie i sokoły i przypatrywał się, jak drapieżniki rozszarpywały bezbronne ptactwo. W podobnym celu żywiono też łasice, które dławily znowu całe roje królików, bawiąc się poprzednio z nimi, jak koty z myszami. Te zwierzęta miały wszakże skrytych nieprzyjaciół, węzów, które się wślizgiwały do kurników, a nawet do psiarni i wielkie tam wyrządzały szkody. W rachunkach też dworskich spotyka się często wydatki na czarowników, którzy węże tępić umieli.

Do Magliany zjeżdżali się kardynałowie, szlachta i niemal wszyscy myśliwi rzymscy; wielu stamtąd uciekało z obawy febry, papieżowi jednak nic nie szkodził pobyt w tych moczarach, owszem był tam zdrow i w najlepszym usposobieniu. Wieczorem grała muzyka, śpiewano, fra Mariano wysilał się na nowe capricci, a inne błazny na przeróżne koncepta. Należał do nich Brundino, mistrz w błazństwach, gdyż umiał zawsze wynaleźć coś takiego, z czego całe towarzystwo się śmiało. Nawet tragiczne zajścia na polowaniach nie obeszły się bez dowcipów. Lancetto, giermek



kardynała Cornaro, upił się pewnego razu i zamiast dzika zabił psa Argusa swą strzałą, z czego odyniec skorzystał i kłami rozdarł w straszny sposób Lancetta, od szyi po nogi. Towarzystwo myśliwskie dość wesoło przyjęło tę wiadomość o śmierci giermka, a kardynał napisał mu zaraz nagrobek: »Tu leży Lancetto, którego zranił dzik, a zabiło wino«.

Papież schodził na wieczerzę pomiędzy tłum dworzan, jadał razem z nimi w »tinello«, dużej sali, właściwie refektarzu dla służby, gdzie jeszcze dzisiaj znajduje się marmurowe »lavabo«, w którym myto sobie ręce przed jedzeniem. Wstawszy od stołu grywał Leon X w karty, a gdy mu szczęście sprzyjało, rozdzielał wygraną pomiędzy partnerów. Papież bardzo lubił grę w karty, w kości, w szachy i posiadał nadzwyczaj piękne szachy ze srebra, pozłacane i inkrustowane słoniową kością. Gdy Izabella Mantuańska bawiła w Rzymie, musiała z papieżem grywać, grała bowiem bardzo dobrze. Leon X i markiza nie mogli tylko równać się z Anzelem dal Buffalo, który wszystkich zwyciężał.

Podczas gdy papież grał w Maglianie w karty, zabawiali się dworzanie i poeci wypróżnianiem butelek i naśladowali starożytnych Rzymian, pijąc »nazwisko«. Kto się podjął tego zadania, musiał wychylić tyle kielichów, ile liter miało nazwisko owego druha, któremu chciał sprawić owacy. Powiadają, że dla fra Mariana za mało było liter w nazwiskach, pijał więc zawsze do nazwisk i do imion, a nieraz jeszcze starał się uczcić w ten sposób braci i krewnych solenizanta.

W początkach panowania Leona X urządzali dlań także kardynałowie świetne polowania. Najpamiętniejszemi były łowy, na które kardynał Alessandro Farnese, późniejszy papież Paweł III, zaprosił Medyceusza w styczniu r. 1514 do Canino. Polowanie to uwiecznił nadworny poeta Farnesów, Baldassare Molosso di Casalmaggiore, w łacińskich heksametrach i przedstawił nam gości, którzy w niem brali udział. A więc przed innymi był tam kardynał Hipolit d'Este, magnat, o którym mówi Ariosto, że chcąc mu się przypodobać, nie trzeba być uczonym, ale umieć dobrze przypinać ostrogi i kapłona krajać na widelcu; dalej kardynał Cornaro, młody,



przystojny, ubrany w purpurową tunikę, którą przytrzymywał pas z klamrą rzeźbioną w złocie, przedstawiającą śmierć Adonisa; siłą i wzrostem górował w tem towarzystwie kardynał Sanseverino, o postaci olbrzyma, rozrzutny, rozwiozły, zapalony myśliwy, ubrany w płaszcz złocisty, z przewieszoną lwią skórą przez barki; doskonałą zaś męską urodą błyszczał kardynał Petrucci, któremu, jak mówi poeta, Kupido odstąpił swój kołczan, łuk i strzały, aby tem pewniej trafiał w serca nimf i uroczych dziewcząt. Nie przeczuwał on wówczas, że niebawem każe go ten sam papież, do którego wyboru nie mało się przyczynił, podstępnie zadusić w zamku św. Anioła. Do owego świetnego łowieckiego towarzystwa należał także kardynał Innocenzo Cybò, syn Magdaleny, siostry papieża, a wnuk Innocentego VIII, którego uważano za następcę Leona X, i kardynał d'Aragona, podróżnik, fantasta, ojciec Tulii d'Aragona, słynnej poetki-cortegiany.

Oprócz owych dygnitarzy Kościoła zjechało się na łowy farnezyjskie sporo wojskowych, należących do najznakomitszych rodzin włoskich, pomiędzy którymi wyróżniał się Ascanio, synowiec kardynała Sforzy, a zięć kardynała Farneseego, miał bowiem jego córkę Konstanzę za żonę. Wystąpił on świetnie w liczmem otoczeniu rzymskiej młodzieży. Nie brak było w towarzystwie i poetów, a osobliwie tych, którzy się żywili u stołu Farnesych, jak Francesco Maria Grapaldo, Dardano, Nardi i wielu innych o nazwiskach, nie mających już dla nas żadnego dźwięku.

Łowy udały się świetnie, Ascanio szalał na swym barbaresku z lancą w rękę, Serapica odznaczył się, pędząc dzielnie za jeleniem »Fortis equo, sumptisque minax Serapitius armis«; kardynał Sanseverino utopił oszczep w olbrzymim dziku i zyskał powszechny poklask myśliwych; a nawet poeci mogli się poszczycić ubitymi jeleniami. Kilka szczególnie dzielnych psów przyprowadzono przed papieża w tryumfie; były to: Melampo, pochodzący z Albanii, Jola z Krety, Trisa z Gaskonii, Liciska Transalpina. Niektóre ogary nosiły starożytnie nazwiska, jak Hektor, Eschile, Pluto, Diana, gdyż humanizm zstąpił wówczas nawet aż do psiarni. Biedny fra Mariano tylko musiał tego dnia z rana najprzód lewą nogę



wyciągnąć z łóżka, w chwili bowiem, kiedy jadąc lasem, śmiał się i kłamał jak zwykle, wpadł wraz ze swą mulicą do rowu i całą twarz sobie błotem powalał.

Po skończonych łowach wracano jakby w tryumfie do Canino, gdzie czekała na myśliwych wspaniale zastawiona wieczerza; a gdy humory już były podniecone, zaśpiewał poeta Grapaldo da Parma, przygrywając na cytrze, opowieść o Akteonie, którego Dyana zamieniła w jelenia i psami poszczuła, ponieważ ją zobaczył obnażoną u źródła.

Czasami jeździł papież na polowanie na wodne ptactwo i na połów ryb nad jezioro Bolszańskie, którego część należała do kardynała Farnese. Na jeziorze znajdują się wysepki Bisentina i Martana w pobliżu ujścia rzeki Marty, a do szczególnie przyjemności papieża należało płynąć barką do Bisentyny, gdzie był ubogi kościółek, do którego plan dawał Sangallo. Tam łowiono sławne węgorze z Bolseny, zwane capitoni, które się jeszcze do dziś dnia w jeziorze znajdują pod nazwą cannara. Podczas pobytu papieża nad Bolseną gromadziło się tam dużo okolicznej ludności; więc Leon X często bawił się w ten sposób, że rzucał dukaty do jeziora, zachęcając rybaków i wyrostków, aby je wyławiali, skacząc do wody. Serapica zapisywał w takich razach do swych rachunków: »Sześć, ośm, dziesięć dukatów wrzuconych do jeziora«. Fra Mariano nie mógł się po dukaty zanurzać w wodzie, a przecież tam wyłowił sobie ładny klejnot, papież darował mu bowiem jakiś kunsztowny pierścień starożytny, który rybacy znaleźli w jeziorze. Na drugiej wysepce, na Martanie, kazał Leon X chować pawie, bażanty, ortolany i rozmaite inne ptaki i chętnie tam na nie kazał niekiedy urządzać polowania.

Łowy odgrywały w życiu Leona X ważną rolę a zarazem przyczyniały się niemało do tego artystycznego uroku, jaki rzymskie towarzystwo w owym czasie wokół siebie roztaczało. Uderza tylko, że w owych zebraniach w Maglianie nie widzimy artystów, malarzy, rzeźbiarzy, chluby Odrodzenia. Gdy na ową epokę z dzisiejszego patrzymy oddalenia, to przecież twórczość Michała Anioła, Rafaela, Peruzziego, Sansovina i wielu innych daleko wyżej stawiać musimy, aniżeli



poematy Gwida Posthuma, Bemba, Tebaldea, a nawet Widy, którymi się Leon X otaczał. Był to po części skutek humanizmu, który miał także swoje uprzedzenia. Mową wyższych klas społeczeństwa, a osobliwie na papieskim dworze, był język łaciński; kto nie umiał po łacinie, nie mógł się ostać w watykańskim towarzystwie. Pierwszy lepszy zapomniany dziś poeta mówił po łacinie, co mu ułatwiało przystęp do komnat papieskich, albo do Magliany; artyści zaś zazwyczaj nie władali starożytnym językiem, a przeto czuli się obcymi pomiędzy tymi łacinnikami. Zresztą nawet bardzo znakomitych artystów uważano wówczas za rzemieślników, którzy wykształceniem i ogładą towarzyską nie mogli się równać z humanistami. Jeden może Rafael potrafił sobie pozyskać pewne stanowisko towarzyskie na papieskim dworze, innych zaś artystów uważano za niegodnych, aby zasiadali u papieskiego stołu. Taki Sodoma miał mniejszą wartość towarzyską, aniżeli fra Mariano. Tem się więc tłumaczy, że w Maglianie widzimy jakiegoś Grapolda, jakiegoś Nardiego, a o Rafaelu tam nie słyhać.

Leon przeżył swe najszcześniejsze chwile w tej malowniczej miejscowości, ale też i stamtąd wyniósł zaród swej śmiertelnej choroby. Kilka dni przed zgonem, 24 listopada 1521, bawił jeszcze w Maglianie, następnego dnia przybył do Rzymu, a 26 listopada umarł.

Bardzo charakterystyczną cechą żywota Leona X jest zakończenie rachunku Serapiki. Wszechwładny cameriere segreto zanotował w swej księdze, pod datą 20 listopada, wydatek 30 dukatów na zakupienie sześciu sokołów i 10 dukatów na sprowadzenie dwóch jastrzębi wyuczonych do polowania.

## X.

Wyróżnianie błaznów i muzykantów musiało zniechęcać ludzi znakomitych do pozostawania na dworze Leona X. Jak z początku panowania papieża mnóstwo z nich garnęło się do Rzymu, obiecując sobie złote góry po Medyceuszu, tak po kilku latach większa część uczonych i poe-



tów opuszczała dwór Leona X, albo żyła tam w niezadowoleniu i rozczarowaniu. Uczuciom tym daje wyraz Aryost w jednej ze swych satyr. Gdy książę Ferrary chciał wielkiego poetę wysłać do Rzymu jako swego posła przy Klemensie VII, Aryost odpowiedział, że woli zostać w domu, gdyż dość ma niemiłych wspomnień z czasów Leona X i od Medyceuszów niczego się spodziewać nie może. Od dnia, kiedy widział Leona X w Rzymie, spoczywają jego marzenia o złotej nagrodzie pod grobowym kamieniem. Gdyby mógł jeszcze zastać w Rzymie Bemba, Giovia, Cavalla, Molzę, Ałidę, Sadoleta i Blosia i z jednym z nich chodzić po siedmiu pagórkach z książką w ręku i oglądać dawne ruiny, toby tam chętnie pojechał, ale w obietnice Medyceuszów od czasów Leona X już więcej nie wierzy.

Dimmi, ch'io potrò aver ozio talora.  
 Di riveder le muse, e con lor sotto  
 Le sacre frondi ir poetando ancora.  
 Dimmi ch'al Bembo, al Sadoleta, al dotto,  
 Giovio, al Cavallo, al Blosio, al Molza, al Vida  
 Potrò ogni giorno e al Tebaldeo far motto:  
 Tor d'essi or uno, e quando un altro guida  
 Pe' i sette colli, che col libro in mano  
 Roma in ogni sua parte mi dividea.

Zrazu miał Leon X jak najlepsze chęci, aby uczonych do Rzymu sprowadzić, a osobliwie zreformować tamtejsze Studio, które istniało wprawdzie za Aleksandra VI i Juliusza II, ale potrzebowało nowych sił nauczycielskich. Powołał więc kilku uczonych na profesorskie katedry, jak Agostina Nifo, słynnego profesora, Christofora Aretina, profesora medycyny, a nawet postanowił założyć nowy instytut naukowy, *Ginnasio medico*, którego kierownikiem został humanista z Wenecyi, Marco Musuro, a głównym nauczycielem Lascaris, ulubieniec i doradca literacki papieża. Obok tego gimnazjum powstała pod kierunkiem Lascaris drukarnia, której zadaniem miało być wydawanie autorów greckich. Zapał jednak Leona X do tych zakładów szybko ostygł, Kurya papieska nie dawała na nie dostatecznych funduszków i zmuszała gminę rzymską, aby przejęła na swój budżet utrzymanie profesoro-



rów. Gmina jednak nie była w stanie pokrywać tych wydatków, zwłaszcza że papież nie zważając na żadne finansowe względy, coraz bardziej powiększał liczbę profesorów swymi ulubieńcami, lub poetami, którzy mu się przypodobać umieli. Pomiedzy innymi zamianował lektorem Studio niejakiego Giulia Simona Sicula, bakałarza szkoły na Trastevere, który z powodu nadania obywatelstwa rzymskiego Giulianowi de' Medici, napisał wiersz łaciński, »Epulum Populi Romani«, lichą ramotę, podnoszącą niewidzianą wspaniałość uczy, wydanej ludowi przez papieża. Simon Siculo był marną figurą, służącą w Rzymie za pośmiewisko. Mały, garbaty, z krzywymi rękami i nogami, brzydki, o kabłąkowatym nosie, długiej, capiej brodzie, rozczochranych włosach, uważał się za najpiękniejszego mężczyznę i najznakomitszego profesora na świecie.

Mianowanie bakałarza z Trastevere lektorem w Studio poruszyło i oburzyło wszystkich literatów rzymskich. Siedmudziesięciu dwóch z pomiedzy nich, a nawet takie znakomości, jak Bembo, Sadoletto, Wida i Giovio, postanowiło ośmieszyć wiersz »Epulum Populi Romani« i napisać satyryczny komentarz niemal do każdego słowa tego arcydzieła. Komentarz czytano na zebraniu u Savoji, który uchodził wtedy za najdowcipniejszego z literatów, »facetissimus Savoja«, a nadto deklamowano epepeję Fedra o bakałarzu, który się urodził z Polifema i z kozy.

Ośmieszanie Simona Sicula na nic się jednak nie przydało, był on i nadal w łaskach u papieża, który mu nawet kazał wypowiedzieć w roku 1518 mowę inauguracyjną przy otwarciu gimnazjum medycejskiego. Siculo przedstawił w swej oracyi Leona X jako Apollina, który muzy na ziemię sprowadził; ale rzecz była tak nieudolnie napisana, że bakałarz nie przyczynił się bynajmniej do ugruntowania powagi nowej instytucji. Wreszcie sprzykrzył się i Siculo kapryśnemu Leonowi; już następnego roku, 1519, inaugurował rok szkolny w gimnazjum Camillo Querno di Menopoli, pospolity błazen papieski, »archipoeta«, którego mieliśmy zaszczyt już poznać. Papież mianował go lektorem w Studio z płacą 150 florenów, podczas gdy taki historyk jak Giovio



pobierał tylko 130 florenów rocznie. Tego rodzaju nominacye zniechęcały poważnych profesorów, tem bardziej, że coraz rzadziej otrzymywali swą płacę. Powoli więc opuszczali rzymskie Studio. I tak Christoforo Aretino i Nifo przenieśli się do Pizy, kilku innych, a pomiędzy nimi słynny Lascaris i Flaminio, szukało utrzymania w Padwie, w Bolonii lub we Francyi. Studio bardzo upadło, a o owem gimnazjum medycejskiem i o greckiej drukarni w ostatnim roku panowania Leona X już nie słychać. Po śmierci Leona zwrócił się jeden z profesorów w Studio, Zaccaria da Rovigo, do Adryana VI z usilną prośbą, aby porządek w tej szkole zaprowadził, gdzie po poprzednim papieżu pozostał tłum nieudolnych profesorów, nie mających najpotrzebniejszych środków utrzymania.

W roku 1520 wydał zapewne jakiś profesor rzymskiego Studio długą wierszowaną jeremiadę w heksametrach, w której zwraca się imieniem ubogiej młodzieży i głodnych literatów do Pasquina, aby tych biedaków polecił łasce Leona X. Pasquino protektorem u papieża! Autor tej poezyi mówi, że Muzy błędzą teraz, z Rzymu wygnane, że na Helikonie ciernie tylko i nagie skały, że wszędzie w literackim świecie szerzy się ruina. Przypominano papieżowi jego ojca Lorenza, który przecież zasłynął z szcudrej opieki nad literatami.

Nie lepiej, aniżeli profesorom, działo się bibliotekarzom watykańskiej ksiąźnicy. Papież, jak zwykle, z razu bardzo się gorąco zajął watykańskim księgozbiorem, zwłaszcza że bibliotekarzem był jeszcze znakomity Tommaso Inghirami, zamianowany za Juliusza II. Leon X kazał skupywać dawne rękopisy i na wzór Mikołaja V rozsyłał uczonych aż do Skandynawii i na Wschód, aby wyszukiwali literackie skarby. Te starania jednak, nie poparte potrzebnymi funduszami, nie wydały zbyt pomyślnych rezultatów. Po śmierci Inghiramiego ustanowił papież bibliotekarzem bolońskiego humanistę, Filipa Beroalda młodszego, który dawniej był jego sekretarzem za kardynałskich czasów i należał do najznakomitszych uczonych i poetów w Rzymie. Ale wtedy nie zajmował się już Leon X Watykaną i jej bibliotekarzem, brakowało pie-



niędzy i księgozbiór nieznacznie się tylko powiększał. Liczba książek, która pod panowaniem Sykstusa IV wynosiła 3650 tomów, doszła za Leona X zaledwie do 4070 woluminów, wliczając już w to książki, które za Pawła II, za Aleksandra VI i za Juliusza II zakupione zostały. Powiadają, że Beroaldo umarł ze zgryzoty, że papież i jego i Watykanę zupełnie zaniedbał, tak że znakomity humanista musiał przy końcu życia prosić przyjaciół, aby go wspierali, gdyż kasa papieska zawsze była prózną dla bibliotekarzy. W jednej ze swych poezyi skarży się Beroaldo, że papież zapomniał o jego dwudziestoletniej wiernej służbie i prosi, aby go nareszcie w ubóstwie poratował. Także kustosz biblioteki, hellenista Guarino, narzekał przed Lorenzem Medyceuszem, że papież nie poprawia jego losu, »post tot labores et miserias«, po tylu pracach i trudach. Tylko pochlebstwo bywało zawsze hojnie wynagradzane. Młody poeta mantuański, Muzio Arelio, prosił Bemba o radę, w jaki sposób mógłby sobie zarobić na skromne przynajmniej utrzymanie; wytrawny dworzanin podsunął mu myśl napisania elegii, podnoszącej wielkiego papieża pod niebiosy. Rada była dobra, Leon X zamianował młodzieńca gubernatorem zamku Mondaino.

## XI.

Jedną z najświetniejszych chwil panowania Leona X był pobyt w Rzymie Izabelli d'Este w roku 1514 na 1515. Markiza nigdy dotąd nie była w stolicy papieskiej, a że taka podróż dużo kosztowała, więc trzeba ją było układać w tajemnicy przed mężem, aby się nie spotkać z odmową. Energiczna Izabella pojechała więc bez wiedzy markiza. Bawiąc w lecie r. 1514 w Medyolanie, zrobiła wycieczkę do Genui pod pozorem zobaczenia nowej latarni morskiej, podobno pierwszej we Włoszech, a ponieważ bawiła tak daleko od Mantuy, szkoda by było nie zobaczyć Rzymu. Gonzaga dowiedział się o całym projekcie, kiedy Izabella zbliżała się już do celu swych marzeń.



Markiza lubiła się ruszać; w Mantui często się nudziła, więc nic dziwnego, że od dawna wzdychała do upragnionej podróży. Swój wyjazd tłumaczyła synowi Fryderykowi, »że przecież wstyd, aby on, młodzieniaszek, znał Rzym, a matka musiała tylko słuchać opowiadania o wiecznym mieście«. Oprócz ciekawości miała Izabella i inne powody, które ją z domu wyganiały. Mąż był chory na francuską chorobę, leczył go zakonnik fra Serafino d'Ostuni; pobyt więc dla Izabelli nie był w Mantui przyjemny, a zresztą markiza miała zawsze jakieś polityczne plany, zwłaszcza teraz, kiedy na Stolicy Apostolskiej zasiadał jej przyjaciel a nawet kum, Leon X, trzymał bowiem w r. 1507 do chrztu w imieniu swoim i kilku innych kardynałów najmłodszego syna Gonzagów, Ferranta.

W październiku przybyła Izabella do Rzymu, zapowiadając, że chce tam przepędzić jakiś czas incognito, aby nie wywoływać zbyt głośnych przyjęć. Ale kum papież nie chciał pominąć tej sposobności, aby się nie wywdzięczyc za gościnność, z jaką go markiza podejmowała w Mantui, a kardynałowie także byli zadowoleni, że mają powód urządzania festynów dla pięknej kobiety. Markiza dobiegała wprawdzie do lat czterdziestu, ale powszechnie jeszcze podziwiano jej wdzięki. Papież bawił właśnie na polowaniu, obiecał jednak jak najprędzej powrócić, a tymczasem wysłał dwa pisma, które miały markizę powitać już w Bolsenie. Jedno breve było wystylizowane w poważnym tonie i wyrażało wielką radość Leona X, że przyjęciem Izabelli w Rzymie może się wywdzięczyc za dobrodziejstwa, które mu wyświadczała w czasie jego wygnania; treści drugiego, jakiegoś humorystycznego pisma nie znamy. To ostatnie zawiózł markizie l'Unico Aretino, odpowiedni orator do takiego poselstwa. Prócz Aretina wyjechali na spotkanie Izabelli magnifico Giuliano, kardynał d'Aragona i Bibbiena. Leon X wiedział, że markiza ma bardzo szczupłe fundusze do rozporządzenia, więc kazał jej zaraz na wstępie do Rzymu wręczyć torebkę z 500 dukatami i oświadczyć, że jak się to złoto wyczerpie, znajdzie się inne. Na mieszkanie oddał jej kardynał d'Aragona część swego pałacu.



Ośmnastego października przybyła Izabella do miasta, a odtąd aż do marca 1515 r. ciągle urządzano dla niej przyjęcia, obiady, teatry, festyny, bezustanny karnawał. Gdy się udawała na jaką wycieczkę, towarzyszyło jej zawsze przeszło stu pięćdziesięciu dworzan i rycerzy, jakby królowej Rzymu. Papież przyjął markizę dwudziestego dziewiątego października, nie pozwolił, aby przed nim ukleknęła, ale posadził ją obok siebie i obsypał najrozmaitszymi grzecznościami. Następnie odwiedzała Izabella kardynałów, z których każdy miał sobie za obowiązek urządzić dla niej jakiś festyn. »Czas nasz, pisała wtedy markiza, schodzi na oglądaniu starożytnych zabytków i na bankietach. Przed kilkoma dniami przyjął nas kardynał brat Este wybornym obiadem w Termach, poczem byliśmy na wspaniałym przyjęciu w jego pałacu, gdzieśmy zastali kardynałów Aragona, Cornara i Cybò, tak że cały dzień przepędziliśmy w ciągłych przyjemnościach, bo oprócz różnorodnej muzyki i śpiewu urządzone były wyścigi sześciu czy siedmiu jeleni. Wczoraj byliśmy na kolacyi u kardynała St. Georgio i siedzieliśmy przy stole aż cztery godziny, najprzyjemniej rozmawiając«.

Dwunastego i trzynastego listopada przedstawiano w Watykanie »Kalandryę« Bibbieny, do której sam autor chciał porobić przygotowania. Wkrótce jednak przekonał się, że nie jest wprawnym dyrektorem teatru, więc prosił księcia Franceska Maryę Rovere, aby się zajął urządzeniem wieczoru. Książę miał już w tej mierze wprawę, gdyż był reżyserem tej komedyi w Urbino, gdzie ją grano po raz pierwszy. Wtedy reprezentacya świetnie wypadła, osobliwie podobano się czwarte intermezzo z Junoną na wspaniałym rydwaniu, który ciągnęły tak dobrze zrobione pawie, że towarzystwo dziwiło się, w jaki sposób można było je tak wybornie naśladować. Za wozem tryumfalnym bogini szły orły, strusie i papugi w barwnem opierzeniu, poczem wszystkie ptaki zaczęły tańczyć »brandę«, rodzaj baletu, ku wielkiej ucieście publiczności.

Tym razem trzeba było zdobyć się<sup>14</sup> na nowe pomysły, zastosowane więcej do okoliczności. Książę przybrał sobie do pomocy Peruzziego, który wymalował bardzo piękne de-



koracye z głębokimi perspektywami, a intermezza wymyślono tak wspaniale, że przyćmiły samą komedję. Podczas jednego międzyaktu wjechała Wenus na rydwanie, zaprzężonym we dwa gołębie, całujące się w takt przygrywającej muzyki. Bogini miała w ręku zapaloną pochodnię jako znak miłosego żaru, a otaczające ją amorki bawiły się również pochodniami. Jeden z nich wygłosił wiersz zapowiadający, że jego pani roznieci płomień miłości na ziemi, w powietrzu i w wodzie, poczem puściły się amorki w płasy, trzymając ciągle w rękach zapalone pochodnie, które wydawały przedziwne zapachy. W następnem intermezzo, rozgrywającym się na ziemi, zabijał Jazon smoka, potem posiał zęby potwora na glebę, a z tych kłów wyrastali powoli zbrojni rycerze. W intermezzo, przedstawiającem powietrze, zapełniła się scena zręcznie zrobionymi ptakami, orłami, sokołami, papugami, które latały stosownie do dźwięków muzyki. Wreszcie wystąpił Tryton, otoczony morskimi potworami, a po reprezentacyi kapela grała tak długo, dopóki ostatni z gości sali nie opuścił.

Sama komedya Bibbieny nie zrobiła na Izabelli zbyt dobrego wrażenia; uważała ona za wielką niestosowność, aby wobec niej na papieskim dworze przedstawiano tak niemoralną sztukę i w żartobliwym tonie wyrzucała to Mocciconowi. Przeciwnie bardzo się podobała markizie komedya, którą grano po wieczery, już o północy u Giuliana de' Medici.

Wśród tych zabaw wyczerpywały się fundusze Izabelli, mąż napominał, aby przerwała pobyt w Rzymie, ale papież życzył sobie, aby jeszcze nie wyjeżdżała, i polecił Bembie napisać breve do Franciszka Gonzagi, aby małżonce pozwolił pozostać przynajmniej do Bożego Narodzenia, gdyż Rzym jest miastem pełnem cennych religijnych i świeckich zabytków, na których zwiedzanie potrzeba dużo czasu; zresztą po wylewie Tybru drogi są nie do przebycia. Markiz chcąc nie chcąc musiał się zgodzić na wszystko, a gdy minęło Boże Narodzenie, znalazły się znowu inne wymówki, które Izabella starała się męża uspokoić.

Tymczasem festyny następowały po sobie prawie bez przerwy, pomiędzy innymi obiad u dwunastoletniego hr. de



Claramonte, który trwał pięć godzin, a uprzejmy gospodarz podarował markizie artystycznie zrobioną małą szkatułkę, napełnioną perfumami wartości 70 do 80 dukatów. Po obiedzie tańczono i grano farsę alla spagnuola, która znowu trwała półtorej godziny. Ci ludzie mieli dużo cierpliwości.

Młody Claramonte tak się podobał markizie z powodu swej kortezy, że go stawiała swemu synowi za przykład pańskiego wychowania i galanteryi. Fryderyk też wkrótce dowiedział, że postępuje według rad matki, gdyż dał kolację dla czterech »damigell« i bawił je aż do rana rozmaitemi rozrywkami.

Będąc już w Rzymie, chciała Izabella zobaczyć jeszcze Neapol; wybrała się więc w grudniu nad uroczą zatokę, gdzie ją przyjmowano znowu z nadzwyczajnym zbytkiem. Z tamtejszemi paniami robiła rozmaite projekty nowych małżeństw, a pomiędzy innemi powstała tam myśl ożenienia syna markizy, Fryderyka Gonzagi, z Boną Sforzą, późniejszą królową polską. Ale Fryderyk miał lat czternaście, a Sforza była panną dojrzałą i nieładną, »donna matura e brutta«, jak się wyraził poseł mantuański w Rzymie, pomimo że się starała upiększać wszelkimi sposobami.

Dwudziestego trzeciego grudnia wróciła Izabella do Rzymu, przykładnie poszła w dzień Bożego Narodzenia do kościoła św. Piotra na kazanie brata Egidyusza da Viterbo, a po kazaniu bawiła się dalej. Damigellom markizy bardzo się także podobało w stolicy papieskiej, a gdy nie miały nic do roboty, pisywały do Fryderyka do Mantuy listy żartobliwomiłosne, w których jedna z nich, Delia, całowała mu wargę dolną, Tortorina górną, Liwia prawą rękę, Lucia lewą, a Izabella życzyła sobie jeszcze innych pocałunków.

Tymczasem kasa Izabelli coraz więcej się wypróżniała; zakłopotana markiza pisała do domu, aby sprzedano zapasy zboża, które miała w śpichlerzach, a nawet, aby szukano kupca na zboże na pniu, na rok przyszły. Ażeby zaś zaradzić najkonieczniejszym potrzebom, pożyczyła na razie 300 dukatów od bankiera Chigi, który był tak uprzejmy, że kazał wydać te pieniądze bez zastawu, tylko na słowo margrabiny. Chigi był jednym z wielbicieli Izabelli, więc mu



nie wypadało żądać fantu za dane dukaty. Nie tylko jednak u Chigiego, ale i u księcia Guigielma da Sermoneta zaciągnęła margrabina pożyczkę, i to znacznie większą, niż u bankiera, bo 700 dukatów. Papież musiał się dowiedzieć o finansowych kłopotach Izabelli, kazał jej bowiem wypłacić 1000 dukatów, aby miała fundusze na drogę do Mantuy. Ucieszona margrabina natychmiast napisała do domu, aby już zboża na pniu nie sprzedawano, a nawet nie mogła się oprzeć pokusie, aby nie kupić trochę antykaliów i nie zamówić obrazu u Rafaela, którego wszakże nigdy nie otrzymała.

Przed wyjazdem z Rzymu miała Izabella jeszcze rozmaite polityczne plany, które chciała u papieża przeprowadzić.

Ale gdy przyszło mówić o polityce, a zwłaszcza o Ferrarze, Leon X był taki milczący i tak skąpy w obietnicach, że nigdy nie można było wiedzieć, jakie ma zamiary. Natomiast wielką szczodrość okazywał, gdy chodziło o łaski duchowne, o odpusty, o beatyfikacje. I tak pozwolił na rozpoczęcie procesu celem beatyfikacji Osanny Andreasi, Mantuańskiej, która niezbyt dawno umarła jako wielce święta kobieta i nawet cuda działać miała. Trudniejszą rzeczą było wyrobić biskupstwo dla fra Serafina d'Ostuni, który wyleczył markiza z »mal francese«. Gonzaga pisał w tej sprawie do żony z prośbą, aby koniecznie wynagrodzić zakonnik za jego zasługi około dynastii mantuańskiej. I rzeczywiście »Madonna Izabella wstawiała się o tę łaskę u papieża tak gorąco, że nie tylko powinna była uzyskać dla fra Serafina biskupstwo, lecz nawet kardynalski kapelusze«. Co do tego biskupstwa nie wiemy wszakże, jak się rzecz skończyła, na razie otrzymała Izabella breve papieskie, uwalniające owego cudownego doktora od ostrej zakonnej reguły, pozwalające mu na wykonywanie praktyki lekarskiej i objęcie obowiązków lekarza tudzież starszego kapelana na dworze mantuańskim.

Izabella wyjechała z Rzymu 27 lutego 1515 z ciężkim sercem, z tęsknotą za stolicą, która ją tak świetnie przyjmowała, ze sporym ciężarem długów i niebawem pisała do Bibbieny, że ciało jej wprawdzie w Mantui, ale dusza w Rzy-



mie. Nawzajem otrzymywała listy, że po jej wyjeździe Rzym opustoszał i stał się nieznośnym, że powinna tam co roku jakiś czas przepędzać, a jeżeli nie wysłucha tej prośby, to wszyscy kardynałowie i całe miasto z nimi podąży do Mantuy. Markiza też słała do rzymskich przyjaciół upominki za upominkami, aby się wywdzięczyć za serdeczne przyjęcia; papież otrzymał od niej karpie z jeziora Garda i instrumenty muzyczne, inni znajomi dostali kołdry wypchane puchem ze słynnych gęsi mantuańskich i wyborne kiełbasy, kobietom posyłała ubrania na głowy, czepce, pachnące rękawiczki, perfumy, które sławnie umiała wyrabiać. Markiz zaś wyprawiał psy do polowania, konie i sokoły.

Zapewne w tajemnicy przed mężem spłacała Izabella długi, zaciągnięte w Rzymie i w Neapolu, ale uiściła się ze swych zobowiązań rzetelnie, ratami.

Wyobrażenia Izabelli o papieżu, o jego charakterze bardzo się w Rzymie zmieniły na niekorzyść dawnego przyjaciela. Niebawem nastąpiły jeszcze większe rozczarowania z powodu polityki Leona X wobec Ferrary i Urbino. Przekonała się, że Medyceusz kryje pod uprzejmymi formami egoizm, przechodzący w okrucieństwo.

## XII.

Jedną z postaci bliżej nas obchodzących na dworze Leona X był Erazm Ciołek, biskup płocki, człowiek zręczny, który umiał sobie w Kuryi rzymskiej i w tamtejszych kołach wpływowych wyrobić stosunki. Vitellius, jak się z łacińska nazwał, posłował już w r. 1501 imieniem Aleksandra, wówczas jeszcze wielkiego księcia litewskiego, do papieża Aleksandra VI i bawił kilka miesięcy w Rzymie. Drugi raz został wysłany za Juliusza II w r. 1505 do stolicy papieskiej głównie w sprawie zmuszenia mistrza Zakonu niemieckiego, aby złożył hołd królowi polskiemu. Biskup miał w Rzymie trudne zadanie, gdyż Juliusz II, podobnie jak i inni ówczesni papieże, sprzyjał Zakonowi; dał się wprawdzie nakłonić do upomnienia wielkiego mistrza, ale nie poparł energicznie tego



kroku. Tym razem bawił Erazm blisko rok w Rzymie i nawiązał tam dużo stosunków, pożytecznych na przyszłość, umiał się przypodobać kardynałowi Giovanniemu de' Medici, a widząc, jaki wpływ u Juliusza II ma bankier Chigi, zbliżył się do niego i bywał częstym gościem w pałacu na via dei Banchi. Ciołek polubił Włochy, a gdy później chodziło o wyszukanie żony dla króla Zygmunta, a cesarz radził, aby król pojął albo Eleonorę burgundzką, albo Bonę Sforzę, córkę Jana Galeazza, biskup płocki bardzo gorąco przemawiał za małżeństwem z Włoszką, sądził bowiem, że Bona większy posag królowi przyniesie.

Po raz trzeci przybył Vitellius w poselstwie do Rzymu 26 listopada 1518 i odtąd pozostał już w stolicy papieskiej aż do śmierci. Celem jego poselstwa były znowu po największej części »sprawy pruskie«, ale prałat, który już dobrze poznał Kuryę rzymską, rad był i dla siebie uzyskać jakie korzyści. Wyrobił sobie też kilka beneficjów, a posądzano go nawet w Polsce, że chce otrzymać jakieś biskupstwo w Niemczech, tymczasem Ciołek marzył o kardynalskiej godności. Rzecz, jak się zdaje, była już nawet bliska urzeczywistnienia, ale w poprzek tym staraniom stanął król Zygmunt, który wprost zakazał Erazmowi przyjmować kardynałstwo, nawet gdyby mu je papież z dobrej woli ofiarował. Powody tego zakazu nie są dostatecznie wyjaśnione, domyślić się ich wszakże dość łatwo. Król był w najwyższym stopniu niezadowolony z postępowania Stolicy Apostolskiej wobec Polski, miał do niej głęboki żal z powodu jej przychylnego stanowiska względem Krzyżaków. Królowie polscy starali się o zawarcie pokoju z Zakonem, ale cesarze nie chcąc wzmocnienia sąsiadki, zawsze temu przeszkadzali. Papieże zaś zamiast wspierać w tej mierze Polskę, szli zawsze z cesarzem, jako mocniejszym. Obecnie gorzej było, niż kiedykolwiek; Leon X chwiał się, a obok niego stał kardynał Medici, stanowczo przychylny Krzyżakom i odciągał papieża od Polski. »Prusak wyczekuje tylko sposobności do wojny — pisał Tomicki do Jana Lubrańskiego — pali, rabuje poddanych królewskich i doprowadza ich do rozpaczycy«. Z drugiej strony Moskwa zbliżała się z 50.000 ludzi do Wilna, a czter-



dziesięci tysięcy Tatarów zapędziło się aż w województwo lubelskie.

W tem położeniu pełnem niebezpieczeństwa musiało królowi Zygmuntwi bardzo na tem zależeć, aby mieć poparcie Stolicy Apostolskiej, o kardynałstwo Ciołka mniej mu chodziło. Owszem król obawiał się, że nadanie Ciołkowi godności kardynalskiej będzie uważane w Rzymie za łaskę wyswiadczoną Polsce i posłuży za dowód, że papież sprzyja polskiemu narodowi.

Leon X okazywał, swym zwyczajem, wiele uprzejmości posłowi polskiemu, sadzał go przy sobie na przedstawieniach teatralnych, zapraszał na ucztę w Watykanie, ale w politycznych sprawach był zamknięty, jak zawsze, i nic dla Polski nie robił. Ciołek zaś nie miał pieniędzy, aby interesa swej ojczyzny w Kuryi rzymskiej popierać, i oszczędność musiał posuwać do tego stopnia, że nawet listy do króla bał się posyłać przez bank Fuggerów, którzy je dostawali w 14 dniach do Krakowa, gdyż to dużo kosztowało. W Rzymie zaś bez złota nie można było nic przeprowadzić; sam król Zygmunt się żalił, »że tam każdą sprawę traktują graeca fide, niczego darmo nie robią, za wszystko trzeba płacić, za odpust, za kanonizacyę, za probostwo i kanonię«.

Biskup więc niewiele u papieża osiągnął, a najmniej w sprawach pruskich. Umarł w Rzymie 22 września r. 1522 na morową zarazę.

### XIII.

Niedawno jaśniała na okładce jednego z najznakomitszych dzieł sztuce włoskiego Odrodzenia wyślacana głowa Leona X z napisem »L'age d'or«. Czy ta głowa ma być rzeczywiście symbolem złotego wieku sztuki włoskiej, wątpimy. Leon X odziedziczył po swoim poprzedniku olbrzymie artystyczne zadania, o których mówiliśmy, zadań tych wszakże po większej części nie spełnił, architekturę i rzeźbę prawie zupełnie zaniedbał, a jedynie w malarstwie znajdował pewne zadowolenie. Treścią sztuki rzymskiej za Leona X był



Rafaël ze swymi uczniami, gdyż papież kierujący się w życiu po większej części sympatjami i antypatjami, a nie jasnym programem, szczególnie sobie upodobał urbinackiego mistrza. Nawet olbrzymie zadanie architektoniczne, rozpoczętą budowę kościoła św. Piotra, powierzył Rafaelowi, człowiekowi jeszcze niezbyt doświadczonemu w rzeczach architektury; ale na uniewinnienie papieża przyznać trzeba, że sam Bramante umierając, życzył sobie mieć Rafaëla swym następcą. Budowa zresztą św. Piotra była za panowania Leona X tylko teorią, postępowała nadzwyczaj leniwo, co wywoływało powszechne zgorszenie, gdyż na nią miały być obracane dochody ze sprzedaży odpustów w całym chrześcijańskim świecie. Papież miał zresztą, tak jak zwykle, i w tej sprawie najlepsze chęci w początkach swego panowania: postanowił co roku przeznaczać 60.000 dukatów na ową budowę, ale niebawem dobre chęci ostygły a pieniędzy nie było, gdyż na inne cele były wydane. Roboty przy budowie św. Piotra nie postąpiły prawie zupełnie za czasów Leona X i Klemensa VII. Tego ostatniego papieża można w tej mierze usprawiedliwić, gdyż nieszczęśliwy drugi Medyceusz musiał walczyć o istnienie papiestwa i nie miał ani czasu, ani funduszków, aby myśleć o nowych budowlach; ale Leon X miał na to czas i pieniądze. To też w jednym ze współczesnych złośliwych sonetów pyta się Juliusz II swego następcę, co się dzieje z jego św. Piotrem i z jego pieniędzmi?

Che è del mio san Pietro e del mio argento?

A Leon, broniąc się, odpowiada, że owa budowa jest tak wielkiem zadaniem, że przejdzie dwustu papieży, a końca jej nie będzie.

Per mia fè, credo passeran ducento  
Papa, che quel finito non vedrai.

Leon X pozostawił po sobie w Rzymie tylko jedno znakomitsze dzieło architektoniczne, Loggie w Watykanie, które rozpoczął Bramante w r. 1510, a skończył Rafaël w r. 1518; zresztą budował papież skromne zameczki w Maglianie,



w Palo, w Montefiascone, aby miał gdzie przemocować i odpocząć w czasie swoich wypraw myśliwskich. W Rzymie kazał Leon X nieco odrestaurować swój tytularny kościół S. Maria in Domnica i w baptysteryum laterańskim przeprowadzić niejaki zmiany. Nie były to wszakże prace, któreby usprawiedliwiały mniemanie, że za Medyceusza był złoty wiek rzymskiej architektury renesansowej.

O rzeźbie w Rzymie za Leona X niema nawet mowy; dość przejść w pamięci grobowce i ołtarze w tamtejszych kościołach, aby się przekonać, że należą one wszystkie do poprzedniej epoki. Minęły czasy, kiedy pracowali tam najznakomitsi rzeźbiarze Odrodzenia, Mino da Fiesole, Paolo Romano, Andrea Sansovino. Kardynałowie Sykstusa IV, Aleksandra VI, Juliusza II leżą pod przepysznymi pomnikami, kardynałowie Leona X w kamieniarskich grobach. Jeden z nowszych pisarzy powiada, że rzeźba straszną na Leonie wywarła zemstę za to, że ją tak zaniedbał. Domenico d'Amio wykonał wskutek polecenia rzymskiej Kamery ów brzydki posąg papieża, który się znajduje w Aracoeli i wygląda, jakby miał służyć na postrach małych dzieci.

Papież mógł przywiązać do siebie dwóch największych artystów Odrodzenia, Leonarda da Vinci i Michała Anioła, ale ani jeden ani drugi nie nadawał się do roli Serapiki, lub fra Mariana. Leonardo mieszkał nawet jakiś czas w Belwederze; Leonowi X zdawało się jednak, że ten człowiek do niczego nie może doprowadzić, ponieważ więcej czasu potrzebuje na rozpoczęcie, aniżeli inny artysta na ukończenie jakiegoś dzieła. Lekkiem więc sercem odstąpił Leonarda królowi Francyi, który lepiej, aniżeli Medyceusz, poznał się na talencie wielkiego mistrza.

Inaczej rzecz się miała z Michałem Aniołem. Leon X wiedział, że to wielki artysta, wszak istniały już jego arcydzieła na sklepieniu Sykstyny, a nazwisko florentyńskiego mistrza głośnem było w całych Włoszech. Ale ten mistrz zabrał się do olbrzymiej pracy, która miała na wieki uświetnić imię Juliusza II, mianowicie do jego grobowca. Małostkowość Leona X nie mogła dopuścić, aby to dzieło zostało ukończone, osobliwie gdy Michał Anioł wykuł postać Moj-



żesza, która miała zdobić grobowiec i powszechny wywołała podziw. Talent takiego mistrza trzeba było zużyć na sławę Medyceuszów i tyle stawiać mu przeszkód w wykonaniu owej marmurowej apoteozy Juliusza II, aż wreszcie artysta do niej się zupełnie zniechęci, a natomiast rozpocznie pracować nad dziełem, które miało się przyczynić do uświetnienia nazwiska samego Leona X, nad fasadą kościoła św. Wawrzyńca we Florencji. Michał Anioł wszakże nie był tego rodzaju człowiekiem, jak Rafael, który nie mając dość czasu, aby wykonać jakieś zamówienie, posługiwał się swymi uczniami. Florentyńczyk chciał na wszystkim, czego się podjął, wybić własne piętno. Zaprzestał więc chwilowo pracy nad pomnikiem Juliusza II, a myślał o fasadzie św. Wawrzyńca. Ale tutaj znowu względy, jakie papież miał wobec Florencji, stanęły mu na przeszkodzie. Michał Anioł pragnął marmury do owego dzieła łącać w Carrarze, Leon X zaś kazał mu je brać z Pietrasanta, miejscowości, którą Florentyńczycy niedawno na własność nabyli. Powstało współzawodnictwo pomiędzy właścicielami owych marmurowych łomów; Karraryjczycy używali wszelkich intryg i sposobów, aby sprowadzenie kamienia z Pietrasanty do Florencji uniemożliwić, Michał Anioł zaś tracił czas i zniechęcał się do tego stopnia, że w grudniu 1518 r. pisał do jednego ze znajomych, że umiera już z niecierpliwości i bólu, gdyż przeznaczenie nie pozwala mu czynić tego, co zamierza. Bolesć jego jeszcze się zwiększyła, gdy po trzech latach papież zniechęcił się do całego projektu fasady i zamówienie swoje cofnął.

Stosunki Leona X z Michałem Aniołem się skończyły, a dopiero Juliusz Medyceusz, jako Klemens VII, powierzył mu wykonanie wielkiego projektu, budowę grobów medyceuszowskich we Florencji. Geniusz wszakże Michała Anioła już się złamał; postacie o cienkich i długich szyjach, małych głowach i korpusach olbrzymów na owych grobowcach, nie odpowiadają sile artysty, który stworzył Mojżesza. Michałowi Aniołowi brak już było zapału, a jak sam wyznał swemu siostrzeńcowi Lionardowi, pracował z niechęcią i służył papieżom z przymusu.



Jeden tylko Rafael umiał dogodzić Leonowi X, podejmował się bowiem wszystkiego, czego kapryśny papież zażądał: malował mu dekoracje teatralne, przybory do festynów dworskich, a czego nie mógł sam wykonać, kazał robić uczniom. Leon X nie miał wyobrażenia o ekonomii pracy, zużywał talent młodego mistrza, nakładając na niego rozliczne obowiązki, a za przykładem papieża szli kardynałowie, którzy go także obarczali swymi zamówieniami. Przewszystkiem chodziło o dokończenie stanz, z których najpiękniejsza, stanza della Segnatura, a po części i druga, Heliodora, były już gotowe za Juliusza II. W nich objawił się wielki talent Urbinata, a kto się raz przypatrzył ich freskom, temu nie wyjdzie z pamięci postać samego Juliusza II i grupa owych Szwajcarów, którzy się niemal przyczynili do podniesienia jego potęgi. W dalszych stanzach, które za Leona X zostały ozdobione, łatwo spostrzedz, że Rafaelowi brakło tchu do pracy, że sam malował bardzo mało i posługiwał się pędzlem swoich uczniów, a w loggiach znać już tylko w kompozycji główne idee samego mistrza, przejętego wówczas klasyczną starożytnością, w wykonaniu jednak malowideł można się zaledwie tu i owdzie dopatrzeć śladów jego pędzla.

Jednym z najpotężniejszych dzieł, jakie Rafael za panowania Leona X wykonał, są bezsprzecznie kartony do arazzów, które miały w czasach wielkich uroczystości kościelnych zdobić niższą część kaplicy Sykstyńskiej. Kartonów tych było dziesięć, wszystkie wielkości samych arazzów, tkanych później w Brukseli. Przedstawiają one ważniejsze zdarzenia z żywotów św. Piotra i Pawła, a dotąd utrzymało się ich siedm w Kensyngtońskim muzeum w Londynie, podczas gdy same kobierce, po rozmaitych przejściach znalazły się wreszcie, przynajmniej częściowo w watykańskich zbiorach. Pomimo że jeden z najznakomitszych uczniów pomagał Rafaelowi w wykonaniu kartonów, przecież noszą niektóre z nich w wyższym stopniu cechę bezpośredniego udziału mistrza w wykonaniu, aniżeli freski w stanzach. Osobliwie »Połów ryb« i »Kazanie św. Pawła« są kompozycjami, należącymi do najpiękniejszych dzieł renesansowego malarstwa. Wpływ tych kartonów był bezmierny, późniejsi artyści



uważali je za szczyt genialnego układu i na tysiączne sposoby je naśladowali.

Leon X umiał Rafaela obarczać przeróżnymi pracami, a przede wszystkim, jakśmy wspomnieli, powierzył mu budowę kościoła św. Piotra. Mistrz się przestraszył odpowiedzialności i donosił wtedy przyjacielowi Castiglionowi, że wielki ciężar spadł na niego; wprawdzie ma nadzieję, że ta skała go nie zdruzgoce, gdyż model świątyni, który wykonał, podoba się papieżowi i wielu innym znakomitym ludziom, ale jego własnym ideom plan ten niezupełnie odpowiada. Rafael wznosi się wyżej swą myślą, chciałby znaleźć piękne kształty starożytnych budowli, obawia się jednak, aby ten wzlot jego fantazyi nie zakończył się upadkiem Ikara.

Nie dość na tem; papież powierzył mistrzowi czuwanie nad zabytkami starożytnego Rzymu i nad ich restaurowaniem. Ale tym razem sam Rafael zawinił, że spadło na niego to zajęcie, napisał bowiem ów słynny list do Leona X, w którym prosi o opiekę nad ruinami, »gdyż z tych murów, które się jeszcze widzi w Rzymie, przemawia boskość duszy starożytnej. Ta resztką sławy dawnych Włoch powinna pozostać na świadectwo dzielności i siły owych wielkich umysłów w starożytnym Rzymie i pobudzać terazniejszych ludzi do virtù«. Do napisania tego listu miał się głównie przyczynić Bartolomeo Castiglione.

Fatalizmem jednak wielkich zamysłów za Leona X było to, że zostawały tylko projektami; gdy przyszło do ich wykonania, brakowało funduszków. Jako architekt kościoła św. Piotra nie mógł Rafael przez pięć lat doczekać się płacy i dopiero w r. 1519 otrzymał ją naraz. Rozpowszechnionem było przekonanie, że Leon X miał zamiar mianować mistrza z czasem kardynałem, aby się w ten sposób uiszczyć wobec niego ze swych zobowiązań. Przekonanie to, które podzielał największy wielbiciel Medyceuszów, Vasari, dowodzi, jak wysokie sumy kasa papieska bywała dłużną mistrzowi. We wszystkim powtarzało się to samo: nieład, bezrząd w wydatkach; w postępowaniu Leona X nigdzie się nie można dopatrzeć logicznej myśli.

Juliusz II zbierał skarby, aby wypędzić cudzoziemców



z Włoch, skarbów tych użył Leon X zaraz z początku panowania na spłacenie swych kardynalskich długów. Wojna podjęta w r. 1516 w tym celu, aby nepotowi Lorenzowi dać księstwo Urbino, miała kosztować 100.000 dukatów; pokryły ją tylko w części sprzedane w r. 1517 kapelusze kardynalskie. Co chwilę zastawiano kobierce watykańskie, srebra stołowe, klejnoty i kosztowne posągi apostołów z Sykstyńskiej kaplicy. Leon X wpadał na najrozmaitsze pomysły, aby puste kasy zapłacić: chciał sprzedać Terracinę Gaetanum za 800.000 dukatów, innym razem szukał kupca na jezioro Bolszańskie, nakłaniał swych krewnych, aby zaciągali pożyczki na beneficja, któremi ich obdarzał, nadużywał kredytu florentyńskich bankierów, którzy za nim do Rzymu przybyli. Poselstwo weneckie obliczało, że Leon X wydał od chwili, kiedy go obrano papieżem, aż do śmierci okrągłą sumę czterech milionów pięciukroć sto tysięcy dukatów oprócz co najmniej pięciuset tysięcy dukatów, które wynosiły długi po nim pozostałe. To też gdy papież niespodziewanie umarł, nastąpiła finansowa katastrofa, jakiej stolica papieska nie pamiętała. Kilka banków się zachwiało, osobliwie kantor Binich, którzy pożyczili Leonowi X 200.000 dukatów. Banki Strozich, Gaddich, Ricasolich także utopiły wielkie sumy w tem morzu papieskiej rozrzutności, kardynałowie Salviati, Ridolfi, Rangoni, Pucci, Armellini widzieli przed sobą zupełną majątkową ruinę. Pucci stracił 150.000 dukatów. Jakiś dowcipniś najlepiej określił finansowe skutki rządów Leona X, mówiąc, że papież przetrwonil dochody trzech papieży: skarb Juliusza II, własne dochody i dochody swego następcy. Pasquino zaś utrzymywał, że gdyby Leon X żył był jeszcze dłużej, toby był sprzedał Rzym, Chrystusa, a wreszcie i siebie samego.

E tengo certo e vero,  
Che se'l viver anchor li era concesso,  
Venderà Roma, Cristo e poi se stesso.

Powszechnie mówiono o papieżu, że tak jak kamień nie potrafi się własną siłą wznieść do góry, tak i Leon X nie zdoła utrzymać 1000 dukatów w swej sakwie.



Tak zakończył swe panowanie ów papież, który nadaje miano »złotemu wiekowi« Odrodzenia. Ów zaszczyt mu się nie należy, gdyż Leon X nie umiał popierać ani literatury, ani sztuki i nie wpłynął bynajmniej na ów potężny ruch umysłowy, który powstał za papieży humanistów i rozwijał się dalej za Juliusza II. Mniemany wiek złoty Medyceusza jest tylko ostatnim aktem olbrzymiego rozwoju kultury humanistycznej, aktem, w którym się rozpoczyna rozkład świetnej epoki Odrodzenia. Współczesna satyra nazwała wiek Leona X wiekiem Serapiki i fra Mariana; żart to złośliwy, ale bliski prawdy, o ile się tyczy dworu papieskiego.

---



## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

---

### CHIGI IL MAGNIFICO.

#### I.

Włoskie Odrodzenie pochłaniało olbrzymie sumy pieniędzy, wielkie czyny muszą za sobą pociągać wielkie wydatki.

Przewrót odbywał się w każdym zakresie ludzkiego działania, w ustroju państw, w organizacyi społeczeństwa, w religii, w obyczajach, w nauce, w sztuce i w pieniężnym świecie. Książęta panujący nigdy poprzednio nie potrzebowali tak znacznych kapitałów, jak w epoce Odrodzenia. W średnich wiekach organizacya lenna dawała panującemu możność prowadzenia wojen bez wielkich stosunkowo środków pieniężnych; od czasu jednak jak kondotierzy ze swem wojskiem zastąpili dawne rycerstwo, trzeba było mieć gotówkę, aby wojnę prowadzić. Zdanie, że do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy, pieniędzy, pieniędzy i jeszcze pieniędzy, przypisywane różnym wodzom, pochodzi z owych czasów; miał je wypowiedzieć słynny Gian Giacomo Trivulzio, gdy go Ludwik XII pytał w roku 1499, jakich trzeba użyć środków, aby przygotować wyprawę przeciw księciu medyolańskiemu.

Z nową organizacyą wojenną, z powstaniem wojsk płatnych łatwo było temu, kto miał złoto na wynagrodzenie kondotierów, najeżdżać sąsiada; ogarnęła też panujących taka



żądza rozszerzenia swych granic, taka gorączka zdobywania krajów, że od papieża do cesarza wszyscy tylko myśleli o zaborczych wojnach. Każdemu z wodzów zdawało się, że nosi w swych sakwach koronę, czy się nazywał Visconti, czy Sforza, czy nawet był tylko hersztem band zbójckich, jak Alfonso Piccolomini.

Ale książętom trudno było o pieniądze i o kredyt. Za ledwie kilku monarchów zaczęło zbierać klejnoty i złoto, aby mieć skarb na wypadek wojny; do nich należał Henryk VII angielski, cesarz Fryderyk III, Alfons I z Ferrary, Galeazzo Maria Sforza z Medyolanu, a przedewszystkiem nauczony doświadczeniem papież Juliusz II.

Skrypta dłużny takiego Cezara Borgii, a nawet Leona X niewiele znaczył nawet u kapitalistów nie podlegających ich władzy. Kupiec, bankier wierzył mieszczaninowi z Florencyi lub z Medyolanu, ufał gminie każdego lepiej się rządzącego miasta, lub opatowi wielkiego klasztoru, ale książętom i papieżom, mogącym każdej chwili powiedzieć, iż pożyczki nie zwrócą, nie wierzył. Zresztą na kapitaliście zawsze jeszcze ciężyla obawa przed zasadą Kościoła, że pobieranie procentów jest niedozwolonem, zasadą, która w świeckie przeszła prawodawstwa. W opinii Kościoła pieniądze lichwą nabyte równały się kradzieży, a każdy, kto pożyczał na procent, musiał być przekonany, jeżeli należał do ludzi religijnych, że popełnia tem samem grzech śmiertelny. Konieczność jednak ekonomiczna pożyczania na procent była większą, aniżeli wszelkie inne względy, a tem samem znalazły się rozmaite drogi, aby obejść to hańbiące słowo »procent« albo »lichwa«.

Jeżeli bankier pożyczał na procent sługom Kościoła, usprawiedliwiano go, że pożyczka dla dobra religii albo dla dobra publicznego; jeżeli pożyczka osobom świeckim, to dopisywał odsetki odrazu do kapitału, albo w inny sposób uspakajał swe sumienie i zabezpieczał się przed prawnymi rygoremi. Z końcem jeszcze XVI wieku Lazaro Doria nie zawarł żadnego większego finansowego interesu, nie poradziwszy się swego spowiednika, czy w tym razie nie przekracza przepisów Kościoła.



Do najulubieńszych sposobów obejścia procentowej pożyczki należało kupno renty, kupno stałego dochodu. W ten sposób dłużnik otrzymywał kapitał, którego zwracać nie potrzebował, i tylko płacił wierzycielowi procent w formie renty. Ponieważ jednak wówczas łatwo było sprzedać rentę, zwłaszcza jeżeli była fundowana na pewnych, stałych dochodach, więc i wierzyciel mógł swój kapitał, często jeszcze z zyskiem, odebrać. Przeciw takiemu interesowi Kościół nie miał do zarzucenia. Interes rentowy zawierali bankierzy zazwyczaj tylko z gminami miejskimi, gdyż te najwięcej wzbudzały zaufania, że rentę sumiennie wypłacać będą, panujący zaś książęta, chcąc mieć gotówkę, zwykle pobierali naprzód swe dochody publiczne, wydzierżawiając je na długie lata. Najczęściej jednak pożyczano panującym na zastaw, a korony cesarskie i tyary papieskie wędrowały co chwilę do banków. Juliusz II zastawił u Agostina Chigi tyarę Pawła II za czterdzieści tysięcy dukatów, kupując zaś później niesłychanie kosztowną tyarę dla siebie, za którą można było nabyć małe królestwo, łączył chęć otoczenia blaskiem papieża z pożytkiem. Tyara stawała się skarbem na wypadek potrzeby. Posłużyła jednak Lutrowi za jeden z argumentów przeciw zbyt kom rzymskiego duchowieństwa.

Przedmioty wszakże, które zastawić było można, szybko się wyczerpywały, a wtedy skąd brać pieniędzy w razach nagłej potrzeby? O regularnych dochodach mowy nie było, zwłaszcza w papieskim państwie, gdzie administracja skarbowa prawie nie istniała i nie było maszyny urzędniczej, szybko działającej. Sprzedawanie dostojenstw i urzędów, które się stało jedną z największych klęsk Kościoła, przynosiło wprawdzie znaczne zyski, ale nie zawsze na nie liczyć było można. Nie pozostawało więc nic innego, jak wydzierżawiać dochody publiczne ludziom, którzy je ściągać potrafią. Takimi dzierżawcami mogły być wówczas tylko wielkie domy bankowe i handlowe, które miały całe armie wyćwiczonych urzędników i sług skarbowych. Dzierżawca dochodów publicznych był i z tego względu papieżowi bardzo pożytecznym, że on jeden mógł w razie potrzeby, przynajmniej do pewnego stopnia, pożyczyc na osobisty kredyt monarchy.



Mając w ręku czy to pobór opłat, czy wyzyskiwanie jakich kopalń, mógł na wypadek, gdyby mu groziła strata sum pożyczonych na osobisty kredyt, przecież uzyskać jakie takie zabezpieczenie. Wyciskał wtedy, co się tylko dało, z wydzierżawionych mu opłat, ceł lub innych publicznych dochodów.

Interesem zaś papieży i innych panujących było utrzymywać i wspierać kredyt bankiera. W braku własnego kredytu trzeba się było starać, aby ów bankier miał jak największe finansowe zaufanie. Im większym kredytem bankier rozporządzał, tem więcej można było z niego wycisnąć kapitału. Powstał więc taki stosunek, że bankier potrzebował wprowadzić panującego, ale panujący jeszcze bardziej musiał dbać o dobro bankiera.

We Włoszech handel pieniędzmi, pożyczanie kapitałów, jako specjalny interes, wyrobiły się najprzód w XIII wieku w Syenie, w Pizie i w Lukce. Florencyja dopiero w XIV stuleciu zapanowała nad pieniężnym targiem. Domy Bardich i Peruzzich stały wówczas na czele florentyńskich banków. Żydzi nie mieli tam ani w średnich wiekach ani w czasach Odrodzenia tego finansowego znaczenia, co na Północy, we Francyi, a nawet w Hiszpanii. Nie mogli dojść we Włoszech do wielkich interesów z powodu zrzeczności miejscowych bankierów.

Medici występują we Florencyi dopiero w drugiej połowie XIV wieku jako finansowa potęga. Pięć generacyi tego rodu musiało pracować, aby zebrać wielki majątek i zyskać sobie europejski kredyt. Giovanni Medici, ojciec Cosima, został bankierem Jana XXIII, Cosimo towarzyszył papieżowi na koncylium w Konstancyi, a gdy papieża w Niemczech uwięziono, wykupił go Giovanni z niewoli za 38.500 florenów, dał mu schronienie w swym domu we Florencyi i po śmierci sprawił mu wspaniały pogrzeb. Tyara Jana XXIII była tymczasem w zastawie u Medicich, Marcin V zażądał wszakże jej zwrotu pod groźbą ekskomuniki. Florentyński bankier nie zrobił najlepszego interesu z pierwszym papieżem, z którym wszedł w stosunki, ale zawarte raz interesa z Rzymem związały dom Medicich na przyszłość z Kuryą. Medici zostali aż do r. 1476 głównymi bankierami papieży.



Umierając, był Giovanni Medici jednym z najzamożniejszych ludzi we Florencyi, większy majątek miał tylko Palla Strozzi. W połowie XV wieku bogactwo Medicich wzmogło się najbardziej; szacowano ich wtedy na pół miliona florenów, stali się największą potęgą finansową w Europie. Około nich grupowały się mniejsze domy bankowe Portinarich, Tornabuonich, Sarsettich i Guidettich, których Medyceusze przypuszczali do większych interesów. Niezależnie od nich stały tylko dwa rody bankierskie: Pazzi i Strozzi, które także wyrobiły sobie międzynarodowe stanowisko.

W roku 1470 liczone we Florencyi trzydzieści dwa banki, z których najważniejsze były Pier Francesco de' Medici e compagni, tudzież Jacopo de Pazzi e nipoti. Filie swe mieli Florentyńczycy w Neapolu, w Wenecyi i w Rzymie, a rzymski targ pieniężny prawie zupełnie opanowali. Istniały wtedy w stolicy apostolskiej dwa duże banki florentyńskie, »gran case«, Medyceuszów i Pazzich, a nadto z dziesięć znacznych firm »degne case«, jak Bardi, Baroncelli, Boni, Capponi, Cambini, Neroni, Spinelli, Vernacci i blisko czterdzieści mniejszych florentyńskich banków. Wszystkie te domy miały dużo do czynienia z powodu interesów papieskich i kardynalskich i ogromnej ilości cudzoziemców, zwłaszcza w czasach jubileuszów.

Medici jednak doszli od początku XV wieku do największego wpływu u papieży i w Kollegium kardynałów. Dopiero za Sykstusa IV stosunki się zmieniać zaczęły. Pomiedzy papieżem a Lorenzem Medyceuszem powstały nieporozumienia, wskutek których papież zerwał w roku 1476 swe pieniężne interesa z Medyceuszami, a powierzył je Franciszkowi Pazzi. Okoliczność ta niemało się przyczyniła do większego jeszcze rozjątrzenia rodowej nienawiści, jaka istniała pomiedzy Medyceuszami a Pazzimi. We dwa lata później urządzili Pazzi znany spisek, mający na celu wydarcie władzy Medyceuszom.

Spisek się nie udał, lecz osłabił stanowisko finansowe Medyceuszów w Rzymie. Następny papież, Innocenty VIII, odnowił stosunki pieniężne z Lorenzem,<sup>14</sup> a chcąc jego domowi wynagrodzić szkody, jakie poniósł za Sykstusa IV,



wydzierżawił mu kopalnie alunu w Tolfa za czynsz 100.000 florenów, a nadto sprzedał Medyceuszom trzydzieści tysięcy cetnarów alunu po niskich cenach, wskutek czego cały handel tego minerału przeszedł w ręce florentyńskiego domu. Papież korzystał natomiast na szeroką skalę z kredytu Medyceuszów; Lorenzo wykupił papieżowi w r. 1490 kosztowną tyarę, zastawioną u Centurionich w Genui, a nadto pożyczył mu 100.000 florenów na przeciąg jednego roku, wypłacając tę sumę w trzech czwartych materyami wełnianymi i jedwabnymi, a w jednej czwartej gotówką. Ze śmiercią Innocentego stosunki pomiędzy Kuryą rzymską a domem bankowym Medyceuszów znowu coraz bardziej rozluźniać się zaczęły, zwłaszcza że wskutek rozrzutności Lorenza i zaniedbywania interesów finansowych kredyt potężnego dotąd banku bardzo ucierpiał.

Wybijały się tymczasem w Rzymie inne banki, miejsce Medyceuszów zajęli u papieskiej Kuryi głównie Altoviti i Chigi. Antonio Altoviti, także Florentyńczyk, miał już bank w Rzymie od dawna, a oprócz tego filie we Francyi, w Anglii i we Flandryi. Do większego wpływu doszli wszakże Altoviti dopiero za Innocentego VIII, gdy jeden z nich, Rinaldo, poślubił Klarencyę Cybò, siostrę papieża, drugi zaś, Antonio, ożenił się z Dianorą, córką Rinalda, i zakupił cały szereg domów w pobliżu mostu św. Anioła. Najsławniejszym z tego rodu stał się jednak Bindo, syn Antonia i Dianory, ów przyjaciel artystów, zbieracz przedmiotów sztuki, jako młodzieniec uwielbiany przez wszystkie Rzymianki, którego portret posiadamy w owej prześlicznej postaci pędzla Rafaela, znajdującej się w monachijskiej pinakotece, którą przez długi czas miano za podobiznę samego mistrza. Portret ten przechowywano dwieście pięćdziesiąt lat w rodzinie Altovitich i dopiero w r. 1808 sprzedano Niemcowi Metzgerowi za 3500 zecchinów, który go ofiarował do galeryi w Monachium. Dla Bindo wymalował także Rafael »Impannatę«, a Michał Anioł darował mu kartony do swych fresk w kaplicy Sykstyńskiej; Benvenuto Cellini zrobił jego popiersie z brązu. Bindo ożenił się z Fiamettą Soderini, prowadził wielki dom w Rzymie, odrestaurował w r. 1514



ojcowski pałac i należał do najwybitniejszych bankierów swego czasu. Ale obok niego wyrastał już wielki współzawodnik w interesach finansowych, równie zręczny, bardziej może przedsiębiorczy, Agostino Chigi.

Stolica papieska była Eldoradem dla bankierów. Rzym bowiem dużo wydawał, ale nie pracował i zaciągał długi. Ekonomicznej czynności trzeba było szukać we Florencyi, w Syenie, w Pizie, w Wenecyi, w Medyolanie, w Genui, ale nigdy w Rzymie. Jeżeli Rzym potrzebował pracy, to także ją pożyczał u innych, nawet pomiędzy artystami, którzy się przyczynili do jego świetności, trudno znaleźć Rzymianina. Rafael, Michał Anioł, Sodoma, Peruzzi, Bramante, Pintoricchio, Jan z Udine, to wszystko synowie Umbryi, Toskanii, Syeny albo Włoch północnych. Jeden Giulio Romano, malarz upadku sztuki, był Rzymianinem. Nawet grobowców dla swych papieży nie umieli stawiać Rzymianie; Andrea Bregno, rzeźbiarz z Lombardyi, najwięcej wpłynął na budowę rzymskich mauzoleów.

## II.

Chigi byli syeneńską kupiecką rodziną, a kardynał Sforza Pallavicini w swym żywocie papieża Aleksandra VII wywodził ich od hrabiów Ardenghesca, tych frankońskich rycerzy, którzy z obcymi najezdami przybyli do syeneńskiej ziemi. Nazwisko »Chigi« miało powstać z imienia jednego z członków owego rodu, jakiejś popularnej wówczas osobistości. Chigi zajmowali w XV wieku bardzo wybitne stanowisko; jeden z nich, Agostino, syn Nanniego, był w r. 1445 reformatorem syeneńskiego uniwersytetu, Mariano zaś, ożeniony z Małgorzatą Baldi, należał w r. 1480 do rządu rzeczypospolitej, a w r. 1492 posłował na koronację Aleksandra VI, miał zresztą w Rzymie dom bankowy, który założył jeszcze za Sykstusa IV. Kantor ten znajdował się w domu rodziny della Zecca, na małym placu, nazwanym później Cortile de' Chigi, przytykającym do Via del Banco. Syeneński bank tak szybko się rozwijał, że już za Aleksandra VI stał



się głównym zakładem finansowym, z którym Borgie mieli finansowe stosunki.

Mariano miał czterech synów: Lorenza, Agostina, Sismonda i Franceska, z których najstarszy zabity został w Watykanie walącym się kominem wtedy, kiedy i Aleksander VI o mało że z powodu tego wypadku nie zginął. Agostino urodził się około r. 1465, wychował w Syenie, tam się kształcił, ale do nauk nie miał ochoty. Życie realne bardziej go nęciło, aniżeli książki, wstąpił więc na praktykę do banku Ambrogia Spanocchiego w Rzymie, a za jego przykładem poszli i dwaj młodsi bracia. Spanocchi pochodzili także z Syeny, mieli rozgałęzione stosunki finansowe, pozakładali filie bankowe w Medyolanie i w Neapolu, a jako ludzie bogaci protegowali artystów. Oni to sprowadzili Sodomę z Medyolanu do Syeny, a tem samym niemało się przyczynili do rozbudzenia zamierającego tam artystycznego życia. Bank Spanocchich znajdował się także przy Via del Banco, która się wtedy nazywała Canal di ponte, ponieważ Tyber często tam wylewał. W ich kantorze więc Agostino uprawiał się w interesa; ale z czasem stanowisko w obcym banku mu nie wystarczało, umysł czynny, przedsiębiorczy, chciał samodzielnie pracować. Mając więc zaledwie lat dwadzieścia, połączył się z innym Syeneńczykiem, Stefanem di Galgano Ghinuccim, i założył w Rzymie »negotio«, które musiało się dobrze rozwijać, skoro stary Mariano Chigi dał synowi po dwóch latach próby dwa tysiące dukatów, aby jego spółkę z Ghinuccim utrwalić. Akt spółki pomiędzy Agostinem a Stefanem został zawarty 31 marca r. 1487 przed notaryuszem w Syenie, a nowa firma rzymska Chigi-Ghinucci zaczęła prowadzić handel zbożem i solą, a zarazem jak wszystkie większe domy kupieckie, trudnić się pożyczaniem pieniędzy.

Ojciec coraz bardziej się przekonywał, że Agostino stworzony na bankiera i wkrótce takie już miał zaufanie do jego zdolności, że w pięć lat później, 30 maja 1502, zawarł z nim i jakimś Tomasim »w imię Boga wszechmogącego spółkę do handlowania na dworze rzymskim, »per trafficare in Corte di Roma«. Spółka zawartą została na trzy lata z dość znacznym kapitałem, gdyż jej podstawą, »il corpo di compagnia«,













Medal wybity na cześć Agostina Chigi.  
Ze zbiorów księcia Maryi Chigi w Rzymie.

















Fot. Danesi.

Agostino Chigi.

Według portretu znajdującego się w Ariccii. Portret reprodukowany po raz pierwszy.

Do str. 389.







było 8000 dukatów, z których Mariano dał 3250, Agostino 3250, a Francesco Tomasi 1500 dukatów.

Duszą spółki stał się Agostino, a w przeciągu kilku lat uchodził już za jednego z bogatszych kupców w Rzymie, chociaż za Innocentego VIII nie należał jeszcze do wielkich bankierów Kuryi rzymskiej, lecz do znacznego pocztu owych »mercatores Romanam Curiam sequentes«, którym się dostawały mniejsze interesa.

Dopiero za Aleksandra VI od r. 1492 występuje Agostino jako potężny bankier. Hiszpańskie wpływy zaczynały być przemożnymi, Hiszpanie zalewali Rzym i o władnęli Watykan. Kastylska mowa niemal rugowała włoski język w wyższych towarzystwach; trzeba było nadzwyczajnej rozwagi i wytrwałości, aby tymi stosunkami się nie zrażać, a wielkiej zręczności, aby z nich korzystać. Agostino mówił dobrze po hiszpańsku i miał tę niepospolitą zaletę charakteru, że zamiast trwać w biernej opozycji, wyzyskiwał okoliczności na swoją i na włoską korzyść. Chwalił, gdzie mógł, Hiszpanów z powodu bystrości ich umysłu i zdrowego sądu o rzeczach. Łatwiej mu nawet było, aniżeli innym włoskim bankierom, zajmować przyjacielskie stanowisko wobec znieprawionych przybyszów, gdyż ród jego należał zawsze do stronnictwa cesarskiego, gibellińskiego. Tej sympatii dla Hiszpanów dał Agostino także wyraz, gdy folgując rozpowszechnionej wówczas modzie, aby hiszpańskie wybierać godła, przyjął kastylskie »por un« z emblematem czterech strzał, »dardos«.

Kilkakrotnie groziła Rzymowi klęska głodowa; papież zwrócił się do Agostina, aby miasto w zboże zaopatrzył, a bankier tak wybornie się z tego zadania wywiązał, że zyskał sobie zaufanie Aleksandra VI, który mu wskutek tego zaczął wydzierżawiać cła i podatki Kuryi.

Papieże nie tylko wymagali od swoich bankierów, aby w razie potrzeby dostarczali im pieniędzy, lecz także, aby umieli szybko i za niezbyt wysokie ceny zaopatrywać ludność w żywność. Rzymianie przyzwyczajeni byli jeszcze od czasów cesarskich, aby rząd pamiętał o ich koniecznych potrzebach. Za głód stawał się papież odpowiedzialny. Jeszcze Inno-



centy III w czasie wielkiego braku żywności, w r. 1202, sam przybył z Anagni do Rzymu, aby zarządzać żywieniem ludności i pamiętać o tem, aby 8000 żebraków miało codziennie chleba poddostatkim. Juliusz II i Leon X powierzali Chigiemu głodne żołądki Rzymian.

Za Aleksandra VI został Agostino dzierżawcą rzymskich i neapolitańskich salin, które nadzwyczaj szybko zwiększały jego fortunę. Około roku 1494 należał już do najpierwszych rzymskich bankierów, a gdy Karol VIII przez Rzym przechodził na neapolitańską wyprawę, Chigi zasilił jego wojenną kasę znacznymi sumami. Oczywiście że i Aleksander VI i Cezar Borgia czerpali z kas wielkiego bankiera; gdy Cezar w r. 1500 przedsięwziął drugą wyprawę do Romanii, zbierał papież fundusze, gdzie tylko mógł. Przedewszystkiem sprzedał 12 posad kardynalskich za bardzo wysokie ceny, obciążył dochody kościelne, spieniężył dobra, które wydarł Gaetanin i innym panom rzymskim, a wreszcie zapożyczył się u Chigiego.

Pożyczać Borgiom była to niemała odwaga, bo Cezar nie przebierał w środkach, aby się pozbyć swoich nieprzyjaciół i swoich wierzycieli; ale Chigi widocznie musiał nadzwyczaj dobre robić z nimi interesa, skoro się wiązał z tak niebezpiecznymi klientami.

Wskutek stosunków z Borgiami i z królem francuskim rozszerzyła się działalność Chigiego na Hiszpanię i Francję, a równocześnie na Belgię, Niemcy, Anglię, a nawet i na Azyę Mniejszą. Na Wschodzie, na dworze sułtańskim znanym był rzymski bankier jako »wielki kupiec chrześcijański«, »magnus mercator Christianus«, sułtan przysłał mu raz w podarunku pysznego konia i kilka psów myśliwskich szczególnej rasy.

Najświetniejsza epoka w życiu Agostina rozpoczyna się wszakże dopiero z wstąpieniem na tron papieski Juliusza II, który poznał jego talent finansowy jeszcze za panowania Borgiów i powierzył mu prawie zupełnie zarząd papieskiego skarbu. Fabio Chigi, prawnuk Agostina, który jako papież przybrał imię Aleksandra VII, pisze w swych »commentari della Casa Chigi«, że Juliusz zrobił go swym »tresoriere, notaro, familiare ed abbreviatore apostolico«. Ale też Agostino



przebył dobrą praktykę dworactwa pod Borgiami i umiał się przypodobać monarchom. Czynny, bystrego umysłu, nigdy nie próżnował; rano pracował w kantorze, popołudnie poświęcał towarzyskim stosunkom. W wolnych chwilach czytał przeważnie dzieła historyczne, a najczęściej go pociągała grecka literatura. Pierwsza książka grecka, jaką wydrukowano w Rzymie, poezye Pindara, wyszła z jego polecenia i w jego drukarni. Agostino ujmował swą powierzchownością, był średniego wzrostu, miał jasne oczy, ale trochę za długi, zakrzywiony nos, który zdaniem Aleksandra VII oznaczał roztropność.

Znany bankier stał się przyjacielem i doradcą Juliusza i jeździł prawie codziennie do Watykanu według ówczesnego zwyczaju w otoczeniu dworzan, swej »familii«. Ubiarał się bardzo skromnie, ale konia miał zawsze doborowego, krwi wschodniej.

Bez pomocy Chigiego nie mógłby był Juliusz prowadzić ciągłych wojen, Agostino zawsze znajdował potrzebne sumy dla papieża, a co więcej, nie był nigdy pedantycznym, drobiazgowym w swych interesach. Raz pożyczył Juliuszowi czterekroć sto tysięcy dukatów bez procentu na zastaw tyary Pawła II, która tej sumy nie była warta, innym razem udzielił Wenecyanom bezprocentowej pożyczki w ilości stu tysięcy florenów w złocie. Był to więc człowiek, który zupełnie odpowiadał potężnemu, niecierpliwemu, popędliwemu charakterowi papieża. Agostino, podobnie jak Juliusz II, nie namyślał się długo, lecz działał, stał się też niebawem doradcą i przyjacielem papieża, który omawiał z nim najważniejsze sprawy. Jako dobry finansista korzystał jednak ze swego wpływowego stanowiska i przede wszystkim postarał się o przedłużenie kontraktu dzierżawy kopalń ałunu w Tolfie, co mu posłużyło do zupełnego opanowania i zmonopolizowania handlu tym artykułem nie tylko w Europie, lecz nawet w Azji. Nadto w spółce z Fuggerami wydzierżawił mennicę papieską, a co najważniejsze, uzyskał od Juliusza II dzierżawę salin w Cervii, co było dla niego źródłem wielkich dochodów. Wszystkimi temi przedsiębiorstwami wybornie Agostino zarządzał, rzetelnie się papieżowi wypłacał i dawał mu



częste zaliczki, pomimo że z Juliuszem nie łatwa w tej mierze była sprawa. Autokrata Rovere niezbyt prawnie pojmował stosunek dłużnika do wierzyciela, i tak n. p. przysłał w roku 1512 Chigiemu kosztowną tyarę na zastaw, żądając 40.000 dukatów pożyczki; bankier dał pieniądze, a papież nazajutrz kazał odebrać fant drogocenny, nie zwróciwszy pieniędzy. Agostino należał jednak do zanadto zręcznych i rozumych ludzi, aby z tego powodu objawiać złe humory; wiedział dobrze, że papież uzna w duchu niesłuszność swego postępowania i że mu przy najbliższej sposobności w inny sposób zapłaci za swój czyn bezprawny. Tyary jednak papież nie zwrócił i dopiero po śmierci Juliusza oddało mu ją Kollegium kardynałów.

Z Syeną utrzymywał Chigi bardzo ściśle stosunki, rząd rzeczypospolitej znajdował w nim zawsze poparcie w swych interesach u Juliusza II, do czego się niemało przyczyniała przyjaźń Agostina z Pandolfem Petruccim, łagodnym tyranem Syeny, i jego głównym doradcą, Antonim Venafro. Syena, zawsze zagrożona przez Medyceuszów i Hiszpanów, starała się o przychyłność Juliusza II, aby mieć w potężnym papieżu sprzymierzeńca przeciw zachłanności swych wrogów. Zręczni Syeneńczycy przypomnieli sobie, że Francesco Rovere, późniejszy papież Sykstus IV, był przez dłuższe lata lektorem teologii w syeneńskim studio i zaczęli dowodzić, że rodzina Roverów pochodzi z Syeny, że do niej należały dobra Sugara w syeneńskiej ziemi, a tamtejszy historyk, Tizio, dostarczył natychmiast »dowodów«, że przodkowie papieża rzeczywiście byli Syeneńczykami. Cała ta historia należała wszakże do wymysłów znanych z bujnej imaginacji republikanów. Starali się oni usilnie, aby Juliusz II uznał swe syeneńskie pochodzenie i tem samem związał się z ich interesami. W tym celu postanowili ofiarować papieżowi w podarunku Sugarę, która należała częścią do Sarocinich, częścią do Chigich. Wobec tego Juliusz II chętnie uwierzył w wywody genealogiczne Tizia i zgodził się tak na syeneńskie pochodzenie Roverów, jak i na oddanie Sugary. Rząd więc syeneński odkupił te dobra od wspomnianych rodzin, co mu bracia Chigi ułatwili, żądając za swoją część mierną tylko



cenę. Akt darowizny Sugary pochodzi z r. 1508, a Juliusz II tak był zadowolony z tego podarunku i z gotowości, z jaką bracia Chigi swą część odstąpili, że chcąc się wywdzięczyć, przyjął Agostina i Sismonda do swojej rodziny, »in signum specialis dilectionis et benevolentiae«. Agostino używał odtąd pieczęci z napisem: »Augustinus Chisius Senensis de Rovere«. Nadto nadał papież obydwom braciom najwyższe stopnie naukowe, mianował ich doktorami nie tylko praw, lecz także teologii i medycyny, nadał im »la licenza e la laura in theologia, decretis, legibus ac medicina«.

Syena również wdzięczna Chigiemu za opiekę, którą ją otaczał w Rzymie, zamianowała go senatorem Balii rządzącej, a nadto jako szczególne odznaczenie nadała mu tytuł »Magnifico«, którego dotąd tylko Pandolfo Petrucci mógł używać. Gdy w r. 1507 rzeczpospolita w wielkiej była pieniężnej potrzebie, pożyczył jej Agostino ośm tysięcy dukatów, w zamian zaś Syena oddała mu w posiadanie Portercole, prawie najlepszy port syeneński wraz z zamkiem na lat czterdzieści, a gdyby miasto nie było w stanie zwrócić w owym terminie powyższej sumy, Portercole miało na wieczne czasy pozostać w rodzinie Chigich. O przystań tę bardzo Chigiemu chodziło, gdyż potrzeba mu było własnego portu dla licznej floty handlowej, którą utrzymywał, tudzież na składy alunu, zboża i soli. Port ten został w posiadaniu Chigich aż do r. 1526, w którym Andrzej Doria, jako wódz floty sprzymierzonej z Florentyńczykami i papieżem Klemensem VII, odebrał go Wawrzyńcowi Chigiemu i wywiózł stamtąd olbrzymie składy alunu.

Agostino własnym kosztem przystań w Portercole umocnił, zamek ufortyfikował, zaopatrzył go w działa ze swymi herbami i utrzymywał tam małą załogę z kasztelanem na czele. Portercole stało się głównym składem bogactw Chigiego, w ściany zamkowe od strony morza kazał bankier wmurować sześć kas żelaznych, w których przechowywano złoto i srebro, tudzież wielką ilość klejnotów.

Przyjaźń z Pandolfem Petruccim bardzo była cenną dla Chigiego, a nawzajem tyran Syeny czuł się silniejszym wskutek oparcia, jakie miał w potężnym bankierze. Dlatego



też nieprzyjaciele Petrucciego starali się wszelkimi sposobami stosunek ten rozerwać lub przynajmniej osłabić. Po między rozmaitemi intrygami, jakich w tej mierze używano, głośnym się stał list, który Agostino otrzymał od księdza Łukasza, znajomego z Syeny. Łukasz ostrzegał Chigiego, aby nie ufał swemu służącemu Tiphernatowi, gdyż Pandolfo przepił go i polecił mu, aby swego pana otruł. Chigi zawołał służącego, powiedział mu, o co go posądzają, ale z zachowania się Tiphernata przekonał się, że jest niewinnym. Tiphernato pojechał do Syeny, aby rzeczy dochodzić, a gdy się ksiądz Łukasz o tem dowiedział, zbiegł w obawie przed Pandolfem czem prędzej na terytoryum florentyńskie.

Stosunki kupieckie Agostina coraz bardziej się rozszerzały, a wskutek szczęśliwych pieniężnych obrotów i bogactwa szybko rosły, jak się to często zdarza w dobrze prowadzonym bankiersko-kupieckim interesie. Fortuna Chigiego stawała się olbrzymią na owe czasy; gdy go się później Leon X pytał, na jaką sumę szacuje swój majątek, bankier rozumnie odpowiedział, że trudnoby mu było oznaczyć wysokość tej cyfry z powodu mnóstwa interesów i oddalenia miejscowości, z którymi handel prowadzi. Tyle tylko może powiedzieć, że utrzymuje trzy wielkie domy handlowe, w Rzymie, w Portercole i w Neapolu i że ma ze sto filii po świecie, któremi zarządzają jego ajenci, pomiędzy innemi ma wielkie kantory w Bizancyum, w Aleksandryi, w Memfis, a w Europie w Lyonie i w Londynie. Przeszło sto okrętów, będących jego własnością, krąży bezustannie po różnych morzach, a w swych zakładach zajmuje przeszło 20.000 ludzi. W ziemi posiadał Chigi znaczne przestrzenie, na których pasło się trzysta koni, trzysta wołów i tysiąc dwieście owiec. Do najcenniejszych jego dóbr należało Portercole i Castel Vacone z częścią jeziora Fucino. Całe skarby złota, srebra i klejnotów spoczywały w kasach i piwnicach, mówiono, że majątek wszystkich magnatów rzymskich nie przewyższał jego fortuny. Część swych bogactw powierzył Agostino syeneńskiej rzeczypospolitej do przechowania. Jego dochody miały wynosić przeszło siedmdziesiąt tysięcy dukatów rocznie. Poeci opiewali bogactwa i szczodroblivość Chi-



giego, a pomiędzy innymi Lilio Gregorio Giraldi w swoich dyalogach powiada:

Chisia divitias superat quascunque fluentes  
Vel quae praecipiti, vel quae nascente seruntur,  
Sole, vel obliqui spectant altaria templi,  
Et quae suspiciunt ignaros aequoris Arctos.  
Tanta adeo unius surgunt opulenta per orbem  
Dona Augustini, rerum pulcherrima Roma  
Obstupet, ut nullum vectigal maius agatur<sup>1)</sup>.

Takie powodzenie i łaski, jakie Agostino miał u papieża, budziły mnóstwo zawiści, a osobliwie w kołach bankowych; gniewano się na Chigiego, że monopolizuje prawie wszystkie zyskowe interesa rzymskiej Kuryi. Ponieważ zresztą przypuszczano, że zręczny bankier nie ma odpowiedniej fortuny do swych olbrzymich interesów finansowych i że nadużywa kredytu, więc razu pewnego rzymskie domy bankowe urządziły »run«, aby jego bank przyprowadzić do upadku. Agostino był jednak przygotowany na tego rodzaju atak, kazał więc wypłacać gotówką w swych kasach wszystkie należności, a nadto jakby na wydrwienie swoich przeciwników, posyłał do nich ajentów z zapytaniem, czy nie potrzebują gotówki. Aby zaś łatwowiej publiczności dać wyobrażenie o skarbach, jakimi rozporządza, kazał zwozić z wielką ostentacją srebro z Portercole do swego domu w Rzymie. Dziwiono się wielkiemu bogactwu Chigiego, zaprzestano prezentować weksle do wypłaty w jego kantorach, nie wiedziano bowiem, że worki, które wyładowywano, nie zawierały srebra, lecz zboże.

<sup>1)</sup> Ród Chigich przewyższa swemi bogactwami skarby całego świata. Cały też świat podziwia olbrzymie dary, które jedyny Augustyn rozrzuca, a nawet Rzym olśniony jest tą szczodrością. Bogactwo nie może już większych składać trybutów. (Wolne tłumaczenie.)



## III.

Śmierć Juliusza II wielką była klęską dla Chigiego, a niepewność, kto będzie papieżem, jeszcze bardziej go niepokoiła; pragnął wyboru Medyceusza.

Najbardziej pomiędzy młodszymi kardynałami agitował za Medyceuszem kardynał Alfonso Petrucci, za którym stał nasz bankier. Nominacya Alfonsa na kardynała była dziełem Chigiego, który ją wymógł na Juliuszu II, aby mieć Syeneńczyka i brata Pandolfa w rzymskim Kollegium. Teraz pracował Chigi nad tem, aby z pomocą swego przyjaciela kardynała przeprowadzić wybór Giovanniego Medyceusza. Agostino spodziewał się, że z rozrzutnym Giovannim, potrzebującym zawsze pieniędzy, nie trudno będzie robić dobre interesy.

Bankier jednak się tym razem przeliczył; nie spodziewał się zapewne, że Florentyńczycy zupełnie o władzę Leonem X i że Strozzi i Salviati zagarną większą część interesów Kuryi.

Wobec nowych stosunków miał Agostino daleko trudniejsze stanowisko, aniżeli za Juliusza II; dawniej był wszechpotężnym finansistą na papieskim dworze, teraz stał się prywatnym bankierem. Leon X przy swjej rozrzutności nie gardził wszakże nikim, kto pieniędzy pożyczał, gdyby tylko mógł, byłby wyczerpał kasy nie tylko Florentyńczyków, ale i wszystkich bankierów Europy. Chigi więc niemało i z Leonem X zawierał interesów, raz nawet pożyczył papieżowi wysoką sumę 50.000 dukatów, a w czasie śmierci papieża część klejnotów watykańskich była u niego zastawioną. Zresztą dopóki kardynał Petrucci był w łaskach u Leona, Chigi miał w nim niemałe oparcie.

Nie tylko jednak Chigiemu, lecz wogóle wszystkim włoskim bankierom zaczęło z innej strony grozić wielkie niebezpieczeństwo, bo bankierzy niemieccy, a mianowicie Welserowie i Fuggerowie z Augsburga, wzrosli w światową potęgę i robili już w Rzymie konkurencyę tamtejszym domom bankowym. Opierali się oni o Antwerpię i Genuę, co jeszcze



wzmagalo ich finansowe siły. Już w roku 1500 istniał bank Fuggerów w Rzymie i należał do konsorcjum dzierżawiącego papieską mennicę, w roku zaś 1507 złożył Juliusz II u nich 100.000 dukatów. We dwa lata później powierzył im wybieranie sum, wpływających w Niemczech za odpusty, co ich ściśle związało z Kuryą rzymską. Raz kupił od nich Juliusz II dyament za tysiąc ośmset dukatów i zrobił wyborny interes, gdyż kamień wart był dużo więcej; Fuggerowie musieli go objąć z jakiejś masy spadkowej w wartości ośmnastu tysięcy dukatów. Tak samo Leon X był w ciągłych stosunkach z tym niemieckim domem, a gdy Fuggerowie zaliczyli papieżowi znaczne sumy na dochody z odpustów, stali się jeneralnymi dzierżawcami odpustowych opłat w Niemczech i niemało się przyczynili do wywołania reformacyjnego ruchu. Za każdym głównym kaznodzieją, który miał prawo udzielania odpustów, jeździł agent Fuggerów i po skończonym kazaniu zabierał połowę pieniędzy wrzuconych do kościelnej puszkii. Za Karola V stał się wpływ Fuggerów w Rzymie przeważnym, gdyż wybór tego monarchy na cesarza niemieckiego przeprowadził głównie ich dom bankowy. Fuggerowie zaliczali i wypłacali sumy, które król hiszpański przyobiecwał swym wyborcom, kurfirstom, za oddane na niego głosy i wogóle oni prowadzili owe wyborcze targi. Królowi hiszpańskiemu nie wierzono, że wypłaci umówione sumy, porękę zaś Fuggerów uważano za dostateczną rękojmię. Drugi kandydat do korony niemieckiej, Franciszek I, musiał uleść; zwyciężony nie bronią, nie zabiegami dyplomatycznymi, nie wolą narodów, lecz kredytem olbrzymiej firmy bankowej.

Można sobie wystawić, z jakim niepokojem spoglądali bankierzy włoscy na tę rosnącą potęgę; wpływy hiszpańsko-niemieckie zaczęły opanowywać Włochy nie tylko w polityce, lecz i na finansowem polu, na polu, które Wenecyanie i Florentyńczycy uważali za swoją wyłączną dziedzinę.



## IV.

Dzielnicą zakładów finansowych w Rzymie była ulica »di Banchi« w pobliżu Tybru, Watykanu, w ognisku ruchu cudzoziemców. Ulica wązka, jak wówczas prawie wszystkie w Rzymie, pełna składów, kantorów, sklepów, przepychających się pielgrzymów, księży, zakonników z Północy i z Zachodu, hiszpańskich wojskowych i awanturników. O mieszkania było tam trudno, wszystkie domy zajmowali od dawna w Rzymie osiedli kupcy; to też gdy się Mariano Chigi sprowadził z Syeny, musiał się zadowolnić niewielką kamienicą. Później jednak, gdy początkowy lokal nie wystarczał, zawarł Agostino z zakonem Augustyanów w r. 1509 kontrakt, na mocy którego mnisi oddawali mu w dzierżawę emfiteutyiczną, dla trzech generacji, dużą realność w nowej dzielnicy, której jedna brama wychodziła na ulicę »Banków«, a druga na »Strada Giulia«. Kamienicę tę mógł Agostino przebudować i urządzić stosownie do swych potrzeb, powstał więc z niej okazały, chociaż nie według jednolitego planu wykonany pałac o nieregularnych kształtach, pełen rozmaitych komnat i zakamarków. Od ulicy »di Banchi« mieściło się w nim pięć sklepów, a dopiero z podwórza wchodziło się do kantorów i mieszkań. Podwórze było obszerne, znajdowała się tam grota ze zbiornikiem wody do picia, tudzież cysterna z wodą rzeczną do pospolitego użytku. Na dziedzińcu odbywała się formalna giełda; klienci domu schodzili się pod studnią, aby omawiać interesa, słudzy bankowi zносили paki i wory z towarami, praczki, niańki krążyły wokoło, a gdy Agostino wybierał się do Watykanu, siadłano tam ulubionego jego szpaka. Z owego podwórza prowadziły drzwi do dużego kantoru, zajmującego całą szerokość kamienicy, w którym pracowali buchhalterzy, kantorzyści i gdzie siedział kasyer z podręczną kasą. Do tej sali przytykało archiwum wraz z bardzo cenną biblioteką, a obok niej znajdował się mały korytarzyk z sekretnymi schodami, scaletto secreto, którymi wychodziło się na pierwsze piętro do komory zamkniętej żelaznymi drzwiami i grubymi łańcuchami,



gdzie były złożone skarby banku i gdzie tylko stary kasyer, Syeneńczyk, i naczelnik biur, Cornelius Benigno z Viterbo, mieli przystęp. Na parterze, w stronę ulicy Giulia, znajdowała się jeszcze stajnia na cztery konie, wozownia i skład towarów, oddzielony murem od owego korytarzyka, którym się szło do skarbcza. Służba mieściła się w pokoikach nad stajnią i wozownią, do mieszkania zaś samych państwa prowadziły schody inne, także z podwórza, ale bliższe ulicy »di Banchi«.

Pierwsze piętro, »piano nobile«, składało się z dużego przedpokoju, salonu i siedmiu pokoi, drugie zaś podzielone było na osobne mieszkania i pokoje sypialne, po większej części urządzone z wielką wspaniałością.

Kronikarz Tizio wspomina o dwóch łózkach wykładanych kością słoniową, złotem, srebrem i drogimi kamieniami. Obydwa były przykryte jedwabnemi kapami, haftowanemi złotem, jedną czerwoną, drugą białą. Do stołu nie używano prawie innych naczyń, jak tylko srebrnych. W pokojach wszędzie freski, arazzy, obrazy, sufity kasetonowane. W jednej z komnat drugiego piętra utrzymały się jeszcze do późniejszych czasów ośmiokątne kasetony z obrazami o mitologicznych tematach: Mars i Wenus zawikłani w sieć zdradziecką, Wulkan pracujący w kuźni, Amor przypatrujący się tej robocie i myślący o swych intrygach miłosnych; pod tem napis: »Furto amoroso scoperto del Sole«. Wogóle cały sufit pełen był złożonych napisów, z których niektóre jeszcze przeczytać było można, jak np. »Pars regni est populi invidiam pati«, »Nil aliud est fortuna, quam ignarus medicus«, »Contraria sunt consilio ira et festinatio« — same rozumne sentencje.

Chigi trzymał mnóstwo służby, w pałacu roilo się od lokai i furmanów jednako ubranych, od kucharzy, kobiet do pokoju i do kuchni, nawet lekarza własnego miał bankier. Urzędników po większej części sprowadzał Agostino z Syeny, gdyż do Syeneńczyków miał najwięcej zaufania; o jednym z nich, Salvinim, wiemy, że należał do bardzo wykształconych ludzi, umiał po grecku i po łacinie, a gdy raz jeździł w interesach banku do Anglii i Hollandyi, przesyłał z drogi



bardzo barwne listy do historyka Tizia, opisujące Hollandyę, Zelandyę i okolice Renu.

Agostino wcześniej stracił pierwszą żonę, Margeritę Saracini, pochodzącą z poważanej syeneńskiej rodziny, z którą wszakże nie miał dzieci. Zdaje się, że wkrótce po jej śmierci zawiązał stosunek ze słynną kurtyzaną Imperyą, którą otoczył wszelkim możliwym zbytkiem i nadał jej stanowisko królowej w owym lekkim kobiecym świecie, panującym wówczas w Rzymie.

Różne wpływy na to się złożyły, że kurtyzany miały tam zupełnie wyjątkowe stanowisko. Za Borgiów kobiety najwyższego towarzystwa tak w Rzymie rządziły i tyle wokół siebie robiły hałasu ze szkodą Kościoła, że Juliusz II o ile możności wykluczył je z papieskiego dworu. Zresztą wobec zepsucia, jakie od czasów Aleksandra VI się rozwielmożniło, kobiety wyższego towarzystwa niechętnie do Rzymu zjeżdżały. Mężczyźni, którzy za Juliusza mieli interesa na dworze papieskim, zostawiali swe żony w domu, Rzym nie był zgoła odpowiednim miastem, aby tam córki wychowywać. Uczciwe kobiety musiały pozostawić panowanie kurtyzanom, które też na ich miejscu się rozsiadały. Kurtyzany wyższej kategorii, tak zwane »honeste«, gromadziły około siebie kardynałów, posłów zagranicznych, literatów, poetów, artystów, ich pałace stały się renesansowymi salonami. Taka Imperia wyjeżdżała na ulicę w towarzystwie swych przyjaciół i domowników, miała dwór podobny do dworów kardynalskich. Już samo imię, które przybrała, świadczy, że w Rzymie dużo mogła i że z otwartym czołem tam występowała.

Imperia była rodem z Ferrary; młoda, piękna, o wspaniałej postawie i regularnych rysach twarzy, w rozmowie ożywiona, śmiała, bardzo muzykalna, pięknie grająca na lutni, pisząca sonety i madrygały, zwróciła zaraz na siebie powszechną uwagę, jak tylko przybyła do Rzymu. Reumont wspomina, że na drzwiach swego mieszkania kazała napisać bardzo znaczącą sentencję: »Kto wchodzi, powinien być rozumny i dowcipny; kto wychodzi, niech zostawi złoto albo podarunek«. Sądzę, że to był żart, który o niej krążył,



a nie rzeczywisty napis; jakkolwiekby, Chigi nie byłby pozwolił, aby jego kurtyzana w ten sposób polecała się rzymskiej młodzieży.

Zdaje się, że Imperya, gdy przybyła do Rzymu, miała najprzód stosunek z bankierem Angelem dal Bufalo, bogatym, przystojnym, dzielnym mężczyzną, którego bardzo kochała; po kilku latach jednak uczucia bankiera i kurtyzany oziębły, a na miejsce Angela znalazł się inny bankier, Chigi, który jej urządził wspaniałe mieszkanie w pobliżu swego banku. Bandello opisuje w jednej ze swoich noweli, że sale i komnaty u Imperyi pełne były aksamitów, brokatów i bogatych kobierców, ściany buduaru pokrywała złocista haftowana materya. Podziwiano tam rzeźbioną serwantkę, ozdobioną złotem i ultramaryną, w której właścicielka poustawiała rzadkie majoliki, wazy z alabastru, porfiru i serpentynu. W środku pokoju umieściła zgrabny stolik, pokryty zielonym aksamitem, na którym leżały dzieła znakomitych łacińskich i włoskich poetów, pod ścianami zaś skrzynie rzeźbione i malowane przez najznakomitszych mistrzów. Na nich były porzrucane poduszki ozdobione najrozmaitszemi dewizami.

Tak tam było pięknie i tyle wokoło znajdowało się kosztownych rzeczy, że ambasador hiszpański, brutalny hidalgo, nie chcąc splunąć na dywany, napluł stojącemu obok służącemu w twarz, mówiąc: »Przepraszam cię, ale tutaj nie ma brzydszej rzeczy od twojej twarzy«. Służby męskiej i żeńskiej miała Imperya mnóstwo; zaledwie wszedł gość do jej mieszkania, a już nie mógł się opędzić od nizko kłaniających się i wskazujących mu drogę lokai, którzy z tą samą pompą odprowadzali go do bramy, gdy opuszczał pałac.

Gdy Chigi sprowadził do Rzymu Strascina, słynnego syeneńskiego aktora i pisarza wesołych komedyi, aby na dworze Leona X dawał przedstawienia ze swem towarzystwem Rozzich, kazał mu także uczyć Imperyę deklamacyi i syeneńskich pieśni, które mu młodość przypominały. Strascino tak długo kształcił piękną kurtyzanę, dopóki się sam w niej nie zakochał; ale stosunek z Imperyą miał dla poety bardzo



przykre skutki, gdyż go odtąd przez lat ośm trapiło, jak się wyraża, male incognito:

Otto anni fui da questo male afflitto  
Che in Roma e quasi noto ad ogni gente.

A co gorsza, za ledwie się wyleczył, został uwięziony, nie wiadomo z jakich powodów. W kaźni, powiada Syeneńczyk, nie przychodziły go pocieszać kurtyzany, lecz szczury i skorpiony i zdawało mu się, że jest Danielem pomiędzy lwami.

Qui vengono d'intorno a consolarme  
Ratti, ragni, bigatti, scorpioni,  
Con tanta puzza che sento disfarme  
Cimici, pulci, pidocchi e scorpioni  
Ancora mi fanno un cerchio d'intorno  
Che io son proprio un Daniel tra leoni<sup>1)</sup>.

Że ludowy poeta bywał u Imperyi i w niej się zakochał, to rzecz zrozumiała; ale dziwniejszem nam się wydaje, że do częstych jej gości liczył się poważny prałat, Jacopo Sadoletto, głośny na całe Włochy uczoney. »Kocha się szalenie w Imperyi, pisze o nim Francesco Lancelotti; poróżnił się z jej powodu z Beroaldem młodszym; mówią nawet, że miał z nią córkę«. Może to była córka, którą zręczna Imperya przyznała, jak zobaczymy, bogatszemu ze swoich wielbicieli, Chigiemu. Także Filippo Beroaldo, prawnik, człowiek wielkich zdolności, wówczas sekretarz kardynała de' Medici, późniejszego Leona X, bardzo się zajął Imperyą; za młody jednak, aby nim zazdrość miotła, wyraził swe złe humory w łacińskim wierszowanym dyalogu:

Tandem ad me Imperia, ut pollicita es, venis,  
Quem longa excruciaſti miserum mora?  
Quam valde timui verba mihi data,  
Credens te similem tui!

<sup>1)</sup> Zewsząd przychodzą pocieszać mnie szczury, pająki, robaki, skorpiony w takiej ilości, iż zdaje mi się, że zginę. Pluskwy, pchły, skorpiony okrażają mnie wokoło, jestem podobny do Daniela pomiędzy lwami.



Z dalszego ciągu tego wiersza dowiadujemy się, że oprócz Sadoleta i Beroalda posyłało jej bogate dary wielu innych znakomitych uczonych i literatów, jak Fedro Inghirami, bibliotekarz watykański, i Wida, autor Chrystyady, jak dowcipny Savoia, Bembo, Angelo Colocci, a nawet Baldasare Castiglione. Jakie to były dary, objaśnia Beroaldo także w powyższym wierszu:

Vellute hae manicae ergo unde? et hic annulus?  
 Haec donat Sadoleti gravitas tui,  
 A Phaetro data et haec vestis hyantina,  
 A capella hae soleae aureae.  
 O, quae sumina campanica porcina  
 Misit, quas balanos Laelius indicas!  
 Haec Fausti fuit argentea lunula,  
 Coloci haec Venus aurea.

Że ci ludzie potrafili kochać się w kobiecie, o której wiedzieli, że swemi łaskami obdziela cały legion znajomych i przyjaciół, to już zagadka psychiczna serc Odrodzenia.

Pierwszorządne stanowisko, jakie zajmowała Imperya w Rzymie, ilustruje zabawna anegdota, którą przytacza Giovio w swojej książce »De piscibus Romanis«. Przekupnie ryb konserwatorom miasta głowy ombrinów i jesiotrów, uważane za wielki przysmak. W owych czasach żył w Rzymie niejaki Tamisio, znany w całym mieście smakosz, który wyprawiał zawsze na targ swego służącego, aby go zawiadamiał, czy tam niema jakiej kulinarnej nadzwyczajności. Gdy mu raz ów sługa doniósł, że niezwykle dużą głowę ombriny posłano konserwatorom, udał się czempredzej na Kapitol, aby się wystarać o zaproszenie na obiad, na którym ów przysmak będzie podany. Ale Tamisio bardzo się zawiodł, konserwatorowie posłali już ombrinę w podarunku kardynałowi Riario. Smakosz więc pobiegł do kardynała, sądząc, że tam nie ujdzie wyborna ryba jego podniebieniu; ale i tu czekało go rozczarowanie, gdyż Riario, chcąc ucieszyć swego przyjaciela kardynała Federika Sanseverina, kazał zanieść ombrinę do jego pałacu. Sanseverino wprawdzie bardzo lubił rybę,



ale będąc dłużnym znaczną sumę pieniędzy bankierowi Chigiemu, rad był jemu okazać swą uprzejmość i posłał głowę do kuchni finansowego potentata. Chigi mieszkał już wtedy w swej willi za Tybrem; biedny Tamisio dowiedziawszy się więc o peregrynacjach ombriny, nie szczędził trudu i pobiegł aż tam, aby ostatecznie dopiąć swego celu i zasiąść przy stole, na którym postawią przyprawiony przysmak. Zaledwie jednak zbliża się do willi bankiera, gdy z przestachem widzi, że głowę ombriny, ubraną w kwiaty, niesie służący na srebrnym półmisku do domu Imperyi. Wraca więc zmęczony, zadyszany i po tylu zawodach dostaje wreszcie zaproszenie do kurtyzany na rybi bankiet.

Chigi znajdował odpoczynek w domu Imperyi po swych denerwujących bankowych pracach i bardzo był do niej przywiązany, tem więcej, że jak sądził, miał z nią córkę Lukrecyę, później wielkiej cnoty kobietę, »castissimam feminam«, która później doczekała się tragicznych losów. Lukrecya poszła za mąż w Syenie i zwróciła swą wielką pięknnością uwagę kardynała Rafaela Petrucciego, któremu Leon X powierzył rządy Syeny. Kardynał chcąc ją osiąść, zarzucił jej mężowi spiskowanie przeciw rzeczypospolitej i kazał go uwięzić, Lukrecyę zaś pochwyć i do swego mieszkania przystawić. Biedna kobieta była widocznie na ten gwałt przygotowana, gdy bowiem weszli pacholkiwie Petrucciego, oświadczyła z pogodnem czołem, że zaraz pójdzie, prosiła tylko o chwilkę czasu, aby się ubrać mogła. Poczem weszła do swojej sypialni i wypła truciznę. Słudzy kardynała, zniercierpliwieni długim czekaniem, otworzyli drzwi do pokoju Lukrecyi i zastali ją prawie nieżywą. Widocznie jednak za słaba była trucizna, bo Lukrecya nie umarła, ale po jakimś czasie przysła do zdrowia. Kardynał zapewne już przestał zastawiać na nią sidła.

Imperya wcześniej umarła, w dwudziestym szóstym roku życia. Chigi sprawił jej nadzwyczaj wspaniały pogrzeb, w którym wziął udział cały Rzym, będący w stosunkach z wielkim bankierem. Imperya wybrała sobie jeden z najpiękniej położonych kościołów w Rzymie na miejsce ostatniego spoczynku. Na pochyłości pagórka Celius wznosił jeszcze



św. Grzegorz w r. 575 w miejscu, gdzie stał jego dom rodzicielski, świątynię, która później przebudowaną została. Kardynał Borghese dodał do niej ten harmonijny portyk i fasadę, której strzegą fantastyczne smoki, herbowe znaki tego rodu. Atrium jednak już w XVI wieku istniało i tam, jak się zdaje, kazał Chigi wmurować piękny nagrobek Imperyi. Na marmurze miały być napisane słowa: »Imperia, cortisana Romana, quae digna tanto nomine, rarae inter homines formae specimen dedit. Vixit A. XXVI. Obiit MDXI, die XV Aug.« Z tego napisu, nie wstydzącego się słowa »cortisana«, wnioskowano do najnowszych czasów, że nikomu wówczas na myśl nie przyszło brać za złe zmarłej, iż prowadziła niemoralne życie, owszem, że powyższą nazwę prawie jej za zaszczyt poczytywano. Jeden z dzisiejszych rzymskich badaczy, zasłużony hr. Domenico Gnoli, mniema wszakże, że tak źle o czasach Odrodzenia sądzić nie trzeba, gdyż zamiast słowa cortisana, które było cokolwiek na marmurze zatarte, trzeba czytać Cognata, matka bowiem Imperyi tak się nazywała.

W ciągu wieków ślad grobowca słynnej kurtyzany zaginął, nawet się nie domyślano, gdzie istnieje. Dopiero niedawno rzymscy uczeni zaczęli go poszukiwać i przyszli do przekonania, że pod marmurowym pomnikiem, za który Chigi zapłacił pięćset dukatów, spoczywa jakiś kanonik z Santa Maria Maggiore, którego chciano tanio a pięknie pochować. Zakonnicy, do których kościół należy, umieli się w ten sposób pozbyć szczątków wielkiej grzesznicy, a na ich miejsce sprowadzić zwłoki człowieka, godnego ich dobrej sławy. Przypatrując się bliżej temu grobowcowi, wmurowanemu w ścianę pod lewą kolumnadą przedsionka, przychodzi się do przekonania, że tam rzeczywiście popełniono jakieś fałszerstwo. Podczas gdy oprawa pomnika nosi najzupełniejsze cechy marmurowych grobowców z końca XV i początków XVI wieku, środkowa płyta z napisem, że tam spoczywa ów kanonik, nie zgadza się z całością i widocznie została później wprawiona. Okolenie płyty odpowiada grobowcowi młodej kobiety. Na wierzchu miłosierna Madonna z dziećciem, po bokach dwa anioły pogrążone w adoracji, a na fryzie główki aniołów i ptaki ozdabiają przybytek



zmarłej. Na słupach, obejmujących tablicę z napisem, pną się stylizowane rośliny, które w górze kończą się bukietem, tym razem nie z lilii lub tulipanów, lecz z garstki fig. Jakkolwiek bądź, artysta nie byłby umieścił ornamentów z kwiatów i owoców na grobie kanonika; przypuszczenie więc, że tam spoczywały zwłoki Imperyi, zupełnie trafia nam do przekonania.

Na cześć zmarłej układano pochwalne epigramy, jak gdyby Rzym stracił jedną z najbardziej zasłużonych osobistości. Jeden z współczesnych pisze z dumą po jej śmierci, że znał wielką Imperyę, której sława dalej żyje. »Umarła we własnym domu z godnością, bogata, poważana«. Dom ten przy Cortile de' Chigi sprzedano w r. 1519 za 370 florenów w złocie cesarskiemu poczmistrzowi, Domingowi de Tassis. Blossius uczcił ją przesadnym wierszem. »Dwaj bogowie, powiada poeta, dwoma Rzym obdarzyli darami. Mars dał mu Imperium, Wenus Imperyę. Siły ich były nierówne, Mars założył Imperium, Wenus stworzyła Imperyę. Przeciw tym dwom darom powstały dwie nieprzyjazne potęgi, śmierć i fortuna. Fortuna zniszczyła Imperium, śmierć Imperyę. Nasi przodkowie oplakiwali Imperium, my oplakujemy Imperyę. Tamci stracili panowanie nad światem, my utraciliśmy siebie samych i serca«<sup>1)</sup>.

Nazwisko Imperyi służyło wogóle często za temat do kunsztownych produkcji poetyckich. I tak n. p. Fausto Evangelista de' Capo di Ferro pisał do Chigiego:

Illa tua Imperium, Auguste, est non illa, sed illa  
Nomine mutato dicitur Emporium.

Co mniej więcej da się w ten sposób przetłómaczyć, że Imperya jest twojem Imperium, Auguście, ale gdy zmienisz jej nazwisko, znajdziesz w Emporium, w handlu właściwie twoje panowanie.

<sup>1)</sup> Dii duo magna duo tribuerunt munera Romae,  
Imperium Mavors et Venus Imperiam.  
Ac pariter totis nisi sunt viribus ambo  
Condendo Imperium Mars, Venus Imperiam.

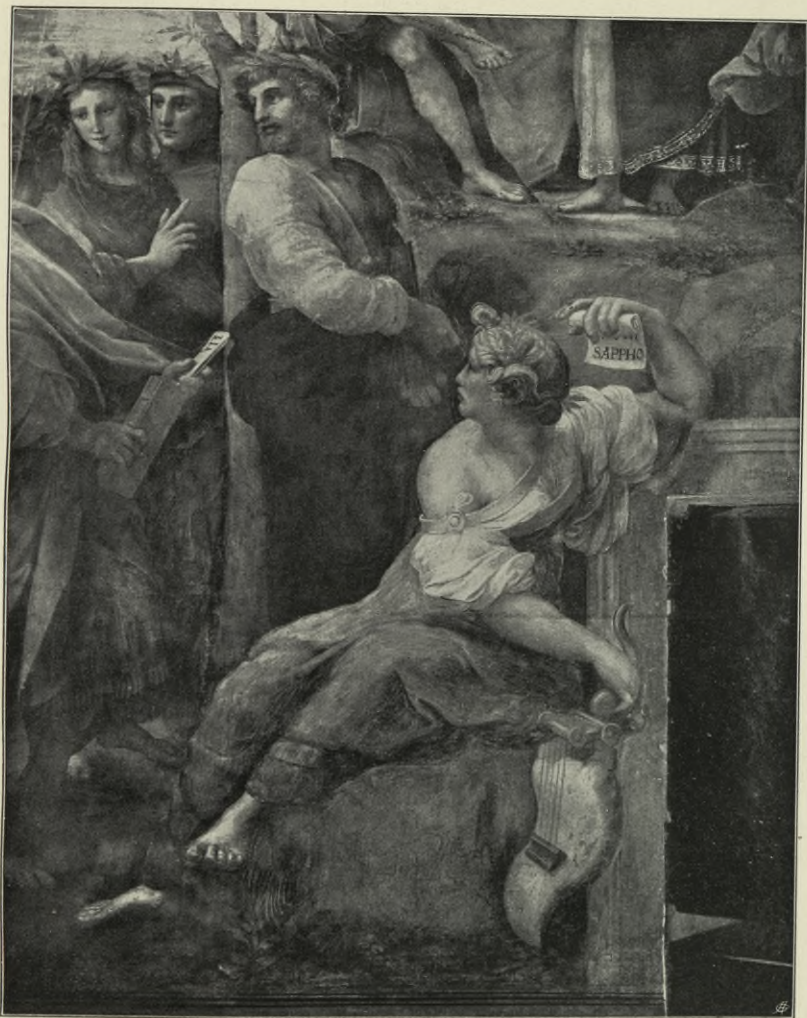












Fot. Anderson.

### Imperia jako Safona.

Szczegół z fresku Rafaela «Parnas» w stanzach watykańskich.

















Fot. Anderson.

### Imperia.

Szczegół z «Transfiguracyi» Rafaela w Watykanie.

Do str. 407.







Imperya stała się bardzo popularnym typem renesansowej »cortegiany« i urosła niemal w legendarną postać. Im mniej wiedziano szczegółów z jej krótkiego życia, tem bardziej pracowała wyobraźnia nad uzupełnieniem rysów słynnej kobiety. Osobliwie w epoce romantycznej XIX wieku pochwycono skwapliwie jej niewyraźny obraz, aby stosownie do ówczesnych pojęć stworzyć sobie osobistość kurtyzany demonicznej, zimnej, bez serca, siejącej naokoło siebie spustoszenie.

Że miała coś demonicznego w swej postaci, dowodzi jej portret, mający pewne prawo do autentyczności, który Rafael umieścił w stanzach watykańskich we fresku, zwanym Parnasem. Muza siedząca poniżej Apollina, trzymająca w lewej ręce zwój pergaminowy z napisem »Sappho«, o zmysłowych ustach i fantastycznie splecionych włosach, ma być według tradycji kochanką Chigiego. Rafael nadał tej postaci wszelkie cechy znanej w Rzymie piękności, obnażył jej ramię o klasycznym rysunku, aby potomność mogła podziwiać wdzięki ówczesnych kobiet. Obok kurtyzany-Safony umieścił mistrz lutnię, ulubiony jej instrument muzyczny. Szkic Rafaela do »Parnasu« z nagiemi jeszcze figurami istnieje w Oxfordzie w zbiorach Taylora, ale niestety jedynie Imperyi tam brakuje. Artysta może tak dobrze znał jej kształty, że nie potrzebował robić do niej osobnego studium. Dużo później, w dziesięć lat po śmierci Imperyi, przedstawił jeszcze Sanzio w swej »Transfiguracyi« słynną kurtyzanę jako klęczącą piękną kobietę o wyrazie twarzy pełnem przerażenia. Podobnie jak muzę na »Parnasie« charakteryzują i tutaj demoniczną Imperyę zmysłowe usta i przesłiczne ramię. Była to jedna z ostatnich postaci, jakie Rafael wogóle malował. Tradycya, jakoby Giulio Romano kończył »Transfigurację«, nie została stwierdzoną nowszemi badaniami.

Każda epoka ma własny, odrębny ideał kurtyzany. Po złotym wieku francuskich kochanek królewskich zajmowały

---

Hos contra steterunt mors et fortuna, rapitque

Fortuna Imperium, mors rapit Imperiam.

Imperium luxere patres, nos luximus ipsi hanc:

Illi orbem, nos nos cordaque perdidimus.



przez długi czas wyobraźnię panie Montespan, Pompadour, Dubarry; dzisiaj, w czasach egiptologii i badań archeologicznych sięgnięto aż do starożytności, aby stamtąd wydobyć bardzo zmysłowe lub rozumne hetery, które wprowadzili Anatol France, Pierre Lhuis i inni, jako Taidy lub Bryzeydy do literatury.

Mimo gorących afektów do Imperyi Chigi zbyt wiernym jej nie był; zwłaszcza w czasie letniego pobytu w Portercole niebezpieczną dlań była prefektówna z Gaety, z którą także miał córkę. W Syenie zaś wiedziano o jego stosunku z jakąś Eufrozyną, później zamężną za Leonardem Grifonio de Maestrellis, założycielem znanej rodziny na syeneńskim pobrzeżu. Wnuk Eufrozyny nie gorszył się stosunkiem swej babki, ale owszem cieszył się, że bankier hojnie ją wyposażył. Chigi umiał zapewniać przyszłość swoim kochankom. Bardzo dużo mówiono w wszystkich kołach artystycznych o jego potajemnych schadzkach z Fornariną, o którą Rafael bardzo był zazdrosny. Zdaje się nawet, że niewierności Fornariny dały powód do oziębienia się stosunków pomiędzy Rafaelem a Chigim, które zrazu bardzo były przyjacielskie.

Ówczesnym zwyczajem Chigi dużo grzeszył, ale też dużo robił dobrego i był człowiekiem wielce religijnym. Jako prawdziwy Syeneńczyk zachował szczere nabożeństwo do Madonny i co roku na Jej cześć i na odkupienie swych słabostek wyposażał i za mąż wydawał kilka ubogich dziewcząt. Dużo też czynił dla kościoła św. Katarzyny Syeneńskiej przy Via Julia i dla kościoła św. Wawrzyńca, do którego na mszę uczęszczał. Wogóle był bardzo szczodry i grosza, gdzie było potrzeba, nie szczędził. Mówiono o nim, że w zbieraniu bogactw jest kupcem, w rozdawaniu królem.

## V.

Gdy Imperya umarła, miał Chigi lat czterdzieści pięć, czuł się jeszcze zdrowym i zaczął myśleć o powtórnym małżeństwie; męskich potomków nie miał, szkoda było pozosta-



wieć synowcom olbrzymią fortunę. Ale o stosowną dla niego narzeczoną było dość trudno; jako przybrany członek rodziny Juliusza II nie rad był wchodzić w związki z miejscowymi patrycyuszowskimi familiami, chciał się podnieść, skoligacić z jedną z panujących rodzin. Stosunki towarzyskie zbliżyły go do Gonzagów. Izabelli d'Este, marchesanie mantuańskiej, bardzo chodziło, jakeśmy widzieli, o rzymskie stosunki przyjacielskie, częścią z politycznych względów, częścią, aby dostawać w podarunku antykalie, których pragnęła mieć zbiór jak największy. W roku 1508 posłał jej Christoforo Chigi dość dobrą główkę dziewczynki, starożytny marmur, wskutek czego napisała Izabella bardzo uprzejmy list do Agostina. To było, o ile wiemy, pierwsze listowne zbliżenie się Chigiego do Izabelli, chociaż nie ulega wątpliwości, że samego markiza Gonzagę znał od dawna. Także Eleonorze Gonzadze miał Magnifico dobrą sposobność się przypodobać. Gdy w roku 1510 przyjechali do Rzymu na karnawał Francesco Maria della Rovere i jego narzeczoną Eleonora, Chigi wystąpił ze wspaniałem przyjęciem, aby ubawić piękną księżną i kazał przed kolacją grać u siebie słodką i pełną miłosnych zwrotów komedję, »una bella et dolce et amorevole comedia«. Po przedstawieniu wprowadzono gości do sali jadalnej, gdzie stoły uginały się od srebrnych i złotych naczyń i najwykwintniejszych potraw, na jakie tylko Rzym stać było.

Podczas owego pobytu Eleonory w Rzymie powstała zapewne myśl ożenienia Agostina z naturalną córką markiza Franceska Gonzagi, Margeritą, która bawiła u Roverów w Urbino. Projekt tego małżeństwa bardzo musiał schlebiać Chigiemu, który w ten sposób mógłby się być połączyć z jedną z najznakomitszych rodzin panujących Włoch północnych, a z drugiej strony i Gonzadze na tem zależało, aby podeprzeć rodzinę wielką bankierską fortuną. Lodovico da Cappel, poseł Gonzagi, prowadził układy w Rzymie i pisał w tej mierze 23 września 1511 do swego pana, że Agostino bardzo pragnie pojąć Margeritę za żonę, że gotów złożyć dla niej dziesięć tysięcy dukatów, a nawzajem nie żąda żadnego posagu. Usłużny dyplomata dodał także, że majątek



Chigiego szacują na czterykroć sto tysięcy dukatów. Markiz jednak nie bardzo ufał bankierskim fortunom; wyraził więc przez swego posła życzenie, aby Chigi, poślubiwszy jego córkę, nie wystawiał się więcej na ryzyka »della mercatura«, lecz aby całe swe mienie w kapitałach zamienił na dobra ziemskie i realności. Zdaje się, że Agostino nie bardzo się tej myśli sprzeciwiał, albowiem był już zmęczony ciągłą denerwującą pracą i chciał także zajmować się mniej niebezpiecznymi interesami, jak handel z dalekimi krajami.

Całemu temu projektowi zdawał się sprzyjać pobyt syna markiza Gonzagi, młodego Federica w Rzymie, który właśnie wówczas bawił na dworze Juliusza II.

W jesieni, we wrześniu, urządził Agostino młodemu Gonzadze wycieczkę do kopalń ałunu, oddalonych siedm mil od Cività Vecchia. Wycieczka bardzo zabawiła nie tylko Gonzagę, ale i jego preceptora; jechano konno w towarzystwie samego gospodarza i kardynała Petrucciego Iesistą okolicą aż do małego domku w pobliżu kopalń, będącego własnością bankiera. Robotnicy pracowali w dwóch górach nad wydobywaniem ałunu, którego w owej chwili było tam na składzie w wartości pięćdziesięciu tysięcy dukatów. Agostino zrobił na ochmistrzu Fryderyka, Staziu Gadio, nadzwyczaj dobre wrażenie; wszędzie u bankiera widać było wielką zamożność. Umieszczono ich w małym domu fabrycznym jak było można najlepiej i dano wyborną kolację, ryby i mięsiwa, kuropatwy, kapłony, dzika i sarninę z tak rozmaitymi przyprawami, że wszyscy się dziwili, iż w tych pustych górach i lasach można było tak świetnie uraczyć młodego księcia.

Wszystkie te uprzejmości i przyjęcia nie doprowadziły jednak do celu; czterdziestopięcioletni bankier nie podobał się Margiericie Gonzadze, a markiz także nie nalegał, aby za niego wyszła, tem bardziej, że właśnie w owym czasie zaszyły nieporozumienia finansowe pomiędzy Juliuszem II a Chigim i Gonzaga przypuszczał, że stanowisko bankiera zostało w Watykanie zupełnie zachwiane. Czy Margierita osobiście poznała Agostina, nie wiemy; Chigi wszakże jeździł



w roku 1511 do Wenecyi, więc niedoszła narzeczona mogła w tej podróży mieć sposobność widzieć Magnifika.

Owe projekty małżeńskie nie zachwiały jednak dobrym stosunkiem, jaki panował pomiędzy Chigim a Gonzagami, a bankier dalej zapraszał do siebie młodego Fryderyka. Następnego właśnie roku 1512 był w Rzymie nadzwyczaj świętny karnawał, kardynałowie brali żywy udział w zabawach, rej wodził pomiędzy nimi kardynał d'Aragona, który wraz z kilku innymi prałatami, przebrany za Węgra, zwracał uwagę swym ubiorem i pysznym tureckim koniem. Wtedy i Chigi dał wspaniałą ucztę z »reprezentacją pasterską«, którą odegrały dziewczęta i chłopcy z Syeny. Federico należał także do gości Agostina i bawił się wybornie, gdyż Syeneńczycy wywiązali się po mistrzowsku ze swego zadania, a treść przedstawienia była zabawna, »fù bella materia«. — Także 28 lipca roku 1512 urządził Chigi bankiet dla Fryderyka, a Stazio donosił margrabinie, że stół był zastawiony najlepszymi rzeczami, podawano w wielkiej obfitości wyborne wina, niezwykle piękne melony i najrozmaitsze inne owoce. Po kolacyi znowu występowali »putti e putte senesi« i deklamowali śliczne poezye.

## VI.

W czasie, kiedy się odbywały układy z Gonzagami o małżeństwo z Margaretą, musiał Agostino wyjechać do Wenecyi, a jakie miał wówczas poważanie nawet w Rzeczypospolitej, dość powiedzieć, że go zaproszono na uroczyste posiedzenie wielkiej rady i dano miejsce obok doży, aby się mógł przysłuchiwać rozprawom. Na prośbę Chigiego zakazano jakiemuś jego nieprzyjacielowi, Aleksandrowi Betti, przebywać w Wenecyi, a gdy ów wróg bankiera, o którym właściwie nie wiemy, co zawinił, uciekł do Turcyi, sułtan kazał go schwycić i związanego odstawić Chigiemu do Rzymu.

W Wenecyi poznał Agostino jakąś szczególnie piękną kobietę, Franciszkę Andreozję, z którą pragnął być związać



bliższy stosunek. Bankier nie miał bynajmniej zamiaru prowadzić młodej Wenecyanki do ołtarza, natomiast rodzina jej, wprawdzie uboga, ale zacna, nie chciała na to pozwolić, aby Andreozia została kurtyzaną. Przedsiębiorczy więc bankier wykradł Wenecyankę, zawiózł do Rzymu, oddał ją na razie do jakiegoś klasztoru, aby ją zakonnice wykształciły, a następnie sprowadził do swego pałacu. Andreozia powiła mu w najkrótszym czasie, jaki tylko według praw przyrody był możliwy, dwóch synów i dwie córki, co jeszcze bardziej przywiązało do niej starzejącego się bankiera, nie mającego dotąd męskich potomków.

Pierwszego syna nazwał Agostino Wawrzyńcem Leonem na cześć papieża Leona X i sprawił mu tak uroczyste chrzciny, że cały Rzym długo o nich mówił. Sam papież w asystencji czternastu kardynałów chrzcił malca, poczem odbyła się wspaniała uczta, na którą przybyli także posłowie obcych państw. Jakieś szczególne, żywe ryby sprowadzono aż z Bizancjum, jesiotra i dwa nadzwyczajnej wielkości węgorze, które kosztowały 250 dukatów, a szczytem gastronomicznych rozkoszy miało być wątpliwej wartości danie, papuzie języki w potrawie. Bankiet kosztował dwa tysiące dukatów, a wydatek wzrósł jeszcze, gdyż po rozejściu się gości brakło jedenaście wielkich naczyń srebrnych. Widośnie służbie ówczesnych domów rzymskich ufać nie było można. Chigi wszakże był przekonany, że obcy lokaje kradzież popełnili; nie kazał więc rzeczy dochodzić, aby któremu z zaproszonych kardynałów nie sprawić nieprzyjemności. Odchodząc, powiedział papież do gościnnego gospodarza: »Equidem, Augustine, opinabar antea me tibi magis familiarum esse«. Na co z uśmiechem odrzekł Chigi: »Et antiquam tuam opinionem, Pater Beatissime, recens huius loci confirmavit humilitas«<sup>1)</sup>.

Laurentius Leo zdrowo się wychował; drugi syn, Aleksander, wcześniej umarł, starszą córkę, Margieritę, poślubił

<sup>1)</sup> »Sądziłem przecież Augustynie, że jesteś ze mną poufalszy«. Na co odrzekł Chigi: »I dawną opinię Waszej Świątobliwości potwierdziła skromność tego domu«.



dynasta rodu Sciarra-Colonna, a młodszą, Kamilę, Julian Salviati, florentyński bankier.

Po takiej uroczystości, jaką pierwszy syn Chigiego przyjęty został na świecie, było już prawie niemożliwym, aby Agostino żył z Andreozią w nieślubnym związku. Widocznie jednak bankier wahał się jeszcze lat kilka, czy się ożenić z tą Wenecyanką, która swem pochodzeniem nie odpowiadała jego wysokiemu społecznemu stanowisku, gdyż dopiero w roku 1518 postanowił połączyć się z nią kościelnym węzłem. Ślub odbył się znowu z nadzwyczajnym przepychem dnia 30 kwietnia 1518 i znowu sam papież błogosławił bankierskiej parze w otoczeniu wielu kardynałów. Przy obrzędzie ślubnym trzymał Leon X rękę Andreozii, gdy jej na palec wkładano pierścionek.

Po ślubie dał Chigi wielki bankiet w Logii nad Tybrem. Przyjęcie, jak zwykle, było wspaniałe, a hojny gospodarz kazał według dawnego zwyczaju wrzucać po każdym daniu złote i srebrne naczynia do Tybru, a pozostałe potrawy pomiędzy lud rozdzielać. Dziwiono się temu zbyt kowi i zamożności wielkiego bankiera, nie wiedziano jednak, że rozumny Chigi, znający dobrze wartość pieniędzy, kazał cichaczem zapuścić sieci na brzegu rzeki i po skończonej uczcie wyłowić drogocenne naczynia.

O tym bankiecie długo jeszcze w Rzymie mówiono, tak że Adrian de Jonghe, będąc później w stolicy papieskiej, słyszał o niezwyklej uczcie u Chigiego i poświęcił jej osobny rozdział w swoich »Animadversa«, wydanych w Bazylei w r. 1556, pod tytułem »De nepotino luxu Chiesii cuiusdam Romani civis«. W XVII zaś wieku niemiecki poeta, baron Ferdynand Fürstenberg, rozwodził się w »Żywotach sławnych ludzi« wierszem opisanych nad bankietem Agostina.

W rok później postanowił Chigi urządzić swe majątkowe stosunki na wypadek śmierci i sporządził dnia 28 sierpnia 1519 w swoje imieniny, które zawsze uroczyste, obchodził, testament, który podpisało tylu świadków, iż jak powiada biograf rodziny, papież Aleksander VII, »od stworzenia świata nikt inny, ani żaden król, ani żaden imperator« z taką uroczystością swej ostatniej woli nie objawił. Dwunastu kardy-



nałów położyło swe podpisy na tym ważnym akcie w przytomności papieża, a pomiędzy świadkami podpisał się i poseł króla polskiego przy Stolicy Apostolskiej, Erazm, biskup płocki, »Herasmus Episcopus Plotensis Orator Regis Poloniae ad Leonem X. P.«. Dom w Rzymie z ogrodami, tudzież zamek w Portercole zapisał bankier synom jako fideikomis, który w razie wymarcia potomków męskich w prostej linii przechodził na synów braci Agostina, a w razie gdyby i ci i żeńskie potomstwo wymarło, na »Bractwo Annunziaty« w Santa Maria sopra Minerva, mające za cel wyposażanie ubogich dziewcząt. Żonie wyznaczył oprócz daru, który przy ślubie otrzymała, roczne dożywocie w kwocie siedmiu tysięcy, a córkom stosunkowo małe posagi po dwanaście tysięcy dukatów. Natomiast zapisy na kościoły i pobożne cele były bardzo liczne i znaczne. Testament, długi akt zaopatrzoney w pieczęcie, rozpoczynał się według dawnego zwyczaju słowami: »In Nomine Domini Nostri Jesu Christi. Amen«.

Po podpisaniu testamentu znowu bankiet, który się tem odznaczał, że każdy z gości miał przed sobą srebrne talerze z własnymi herbami, a porządek dań był tak ułożony, że również każdemu z zaproszonych przyniesiono jedną narodową potrawę. Szkoda, że nie wiemy, czem uraczono biskupa Ciołka, czy zrazami z kaszą, czy kołdunami litewskimi. Dla gości, których miejsce rodzinne było niezbyt od Rzymu oddalone, poprzywozili umyślnie rozesłani kurjerzy przyrządzone tam przysmaki.

## VII.

Towarzystwo rzymskie dzieliło się za Juliusza II i Leona X właściwie na trzy wyraźnie się rysujące grupy. W okolicach Watykanu, w Borgo i na Trastevere, po tamtej stronie Tybru, mieszkał świat papieski, świat przybyszów, zmieniający się co chwilę, głośny, błyszczący, rozrzucający pieniądze, protegujący artystów i literatów. Świat ten nie był rzymski: raz nosił hiszpańską, raz francuską, raz florenetyńską cechę, stosownie do tego, kto został papieżem. Dla



prawdziwych Rzymian było to zawsze towarzystwo cudzoziemskie. Bracia, siostrzeńcy, krewni panującego papieża sprowadzali się tam Bóg wie skąd, korzystali z Watykanu jak mogli, robili majątki, zyskiwali tytuły. Ludzie ci, chcąc szybko zasłynąć w społeczeństwie, wydawali dużo, świetnie się ubierali, kupowali klejnoty, zamawiali obrazy u malarzy. Należeli tam oczywiście dyplomaci, bogaci cudzoziemcy, albo awanturnicy, szukający fortuny.

W przeciwieństwie do tego niestałego towarzystwa, pod wielu względami podejrzanego, zostawały dawne rody rzymskie, zadłużone, przywykłe do wojen domowych, w czasach spokojnych zajęte myślowstwem, gnieźdzące się w swych starych domach po lewej stronie Tybru i spoglądające gniewnie na papieży i tych wszystkich przybłędów, którzy z nimi Rzym najeżdżali. Rody te prawie zupełnie nie brały udziału w artystycznym i literackim ruchu Odrodzenia. Budować nie miały za co, a książki i obrazy ich nie zajmowały. Charakterystyczną w tej mierze jest rzeczą, że jedyny wielki pałac prywatny, jaki powstał w Rzymie w czasach Odrodzenia, jest pałac Farnese, podczas gdy inne tamtejsze pałace pochodzą dopiero z drugiej połowy XVI i z XVII wieku. Do tej arystokracji rodowej powoli przybywały familie dawniejszych papieskich nepotów, które z czasem, po stu latach, także siłą zwyczaju i familijnymi związkami do niej przyrastały.

Po środku, nawet geograficznie, bo w ulicach przytykających do Tybru, mieszkał świat bankierski, jak zwykle lgnący tam, gdzie go wiążą interesa. Bankierzy na prawym brzegu Tybru robili pieniądze, a na lewym córki za mąż wydawali, aby się skoligacić ze starymi rzymskimi rodami, ale właściwie bliższymi byli Watykanu. Chigiego potrzebowano na prawym i na lewym brzegu, a zręczny bankier zawsze i wszędzie umiał się przypodobać, gdyż nie brzęczał niezgrabnie pieniędzmi, ale wydobywał z nich dźwięk, który prawie artystyczne robił wrażenie.

Dom Chigiego stał się jednym z najgłośniejszych ognisk artystyczno-literackiego życia w Rzymie. Rafael, Sodoma, Peruzzi i mnóstwo innych artystów należało do najbliższych



przyjaciół bankiera. Sodomę polecił Agostino Juliuszowi II, Sebastiana del Piombo sprowadził z Wenecyi i długo we własnym domu utrzymywał, dopóki mu nie wyrobił stanowiska w Watykanie. Giulio Romano, Timoteo Viti, Johannes Franciscus, zwany Il Fattore, florentyński rzeźbiarz Lorenzetto, Girolamo Genga, architekt Bernardino da Viterbo, Antonino da Santo Marino, wszyscy znajdowali u niego pracę i pomoc w potrzebie. Michałowi Aniołowi tylko nie dawał żadnych poleceń, wierny bowiem swej przyjaźni dla Rafaela, nie chciał go urażać zamówieniami u rywala, zwłaszcza że Sanzio bardzo w tej mierze był drażliwy. Zresztą Michał Anioł gardził tem towarzystwem pochlebców i pasożytów, krzątających się około bankierskiego stołu, i drwił z Rafaela, że mu się w głowie przewróciło.

Także literaci jak ómy krążyli koło blasku, jakie roztaczało złoto Agostina, gdyż w każdym większym domu żywiono wtedy mnóstwo lichych poetów, którzy się wywdzięczali za chleb powszedni pisaniem panegiryków dla swych mecenasów. Należało do dobrego tonu znakomitszych osobistości, aby mieć liczną »familie« pismaków.

### VIII.

Sztuka ma to do siebie, że otacza ludzi, którzy się jej dotkną, świetlaną aureolą. Gdyby Chigi nie był wybudował i nie ozdobił freskami Farnesiny, bylibyśmy zapewne niewiele o nim wiedzieli. Willa nad Tybrem stała się jego sławą.

Okolo roku 1509 nabył Agostino na wieczystą dzierżawę dwie winnice za bramą Septimiana, za Tybrem, na przedmieściu, aby tam zbudować dla siebie dom otoczony ogrodami, gdyż pałac przy Via di Banchi nie nadawał się na wygodne mieszkanie. Winnice te należały dawniej do pobliskiego kościoła S. Giacomo in Septimiano, a następnie do Capella Giulia u św. Piotra. Bankier płacił za nie czynsz nie obciążający jego budżetu, szesnaście baryłek moczcu rocznie. Chigi chciał mieć skromny dom, wesoły, od-



powiadający przedmiejskiemu otoczeniu i dużą stajnię na sto koni, potrzebnych nie tylko do jego osobistego użytku, ale i do rozwożenia towarów.

Kto dawał plan do nowej budowy? Według dawniejszych historyków sztuki, według Vasarego — Peruzzi, według niektórych nowszych badaczy, jak Geymüller, Burckhardt — Rafael. Opierając się jednak na zapiskach Aleksandra VII, tudzież na fakcie, że bankier właśnie wtedy sprowadził Peruzziego z Syeny, gdy rozpoczął budowę, przychodzi się raczej do przekonania, że plan architektoniczny willi był dziełem Peruzziego. Być może zresztą, że Rafaela także się w tej mierze radzono, ale Peruzzi był głównym architektem. Utrzymuje to stanowczo Vasari, dodając jeszcze, że dom Chigiego ma tyle wdzięku, iż zdaje się być nie murowanym, ale urodzonym, »non murato, ma veramente nato«. Peruzzi już pomiędzy rokiem 1505—1506 był jednym z głównych rysowników Bramantego w studyach do budowy św. Piotra i wielką w budownictwie miał wówczas praktykę.

Loggię nad brzegiem Tybru i stajnię, którą Chigi chciał mieć wspanialszą od własnego domu i pałacu swych sąsiadów i współzawodników Riariów, budował także Peruzzi według swego planu<sup>1)</sup>.

Dom mieszkalny, podziwiana dotąd Villa Farnesina, odznacza się wielką prostotą, a najcenniejszą jej zaletą jest harmonia linii. Ściany zewnętrzne były przyozdobione malowaniami in chiaroscuro pędzla Peruzziego, które niestety niszczały. Freski te niemało musiały się przyczyniać do podniesienia przyjemnego wrażenia, jakie willa sprawiała, a gdy sobie przedstawimy całe jej otoczenie i pyszny ogród, to zrozumimy, że bogaty bankier nie mógł piękniejszego w Rzymie znaleźć ustronia, aby tam odetchnąć po męczącej pracy i gorączkowych zabiegach. Osobliwie ogród należał do cudów Rzymu, zdobiły go najrozmaitsze drzewa: dęby, mirty,

<sup>1)</sup> Augustinus pollicitus est elegantius aedificare se stabulum, quam futura erat domus illa; neque fidem fefellit adiuncto ad Balthasarem Peruzzium altero operis inventore ac dispositore Raphaele Urbinate consultisque aliis. (G. Cugnoni, Agostino Chigi, str. 31.)



cyprysy, wawrzyny, bukszpany, a pomiędzy niemi umieszczone były marmurowe posągi i groty nad Tybrem, z których jedna służyła za łazienkę.

Z budową spieszyło się Chigiemu. W roku 1510 już mury były gotowe, a nawet tymczasowo można je było urządzić, skoro gospodarz w karnawale r. 1510 przyjmował tam wystawnie księżnę Urbinu. Przyozdabianie ścian rozpoczęło w r. 1511. Pracą podzielili się głównie Rafael i Peruzzi; pierwszy miał malować parterową salę u wejścia, salę Psychy, drugi wschodnią Loggię, tak zwaną salę Galatei. Dwom mistrzom pomagali Giulio Romano, Francesco Penni i Giovanni da Udine. Plan fresków widocznie z góry został ustanowiony, idee i uczucia, które najbardziej poruszały jestestwem ludzi Odrodzenia, znalazły tam swój wyraz: miłość i wpływ, jaki ma wszechświat na człowieka, jego zależność od gwiazd.

Wiek XV i XVI jak wogóle był odrodzeniem nauk i sztuki, tak również stał się renesansem astrologii, która wówczas wyrobiła się w potężną gałąź nauki. Każdy wykształcony umysł zagłębiał się w badania astrologiczne. Kupiec czy kardynał, kondotier czy zakonnik, szukał nieraz pociechy w przepowiedniach nekromanta. Kościół tolerował astrologię. Chigi szczególnie był jej oddany, zwłaszcza że astrologowie przepowiedzieli mu bardzo długie życie, wyczytali w gwiazdach, że doczeka roku 1563. Nie dziw też, że bankier chciał mieć w loggii swego pałacu, od strony Tybru, skąd wieczorami widać gwiaździste niebo, wymalowany mistyczny wszechświat. Peruzziemu polecił wyrazić swe marzenia w tajemniczych znakach gwiazd zodyaku.

Peruzzi przybył niedawno z Syeny pod świeżem wrażeniem fresków ornamentacyjnych Pintoricchia w Librerii Piccolominich. Przedziwne malarsko-architektoniczne rozczłonkowanie sklepienia, jakie umbryjski artysta tam wprowadził, i rozliczne groteski musiały mu stać na myśli. Ale tutaj groteski nie były stosowne, tutaj czekało go poważniejsze, wznioślejsze zadanie. Aby stworzyć tło na przedstawienie znaków niebieskich, trzeba było także podzielić strop na architektoniczne pola; ale przez nie musiało niebo przegłębiać, wzrok musiał tonąć w perspektywicznej głębi. Zadanie było nowe.



Dotąd jedynie Melozzo da Forli próbował malarską perspektywą rozszerzyć mury ciasnej kaplicy w Loreto, przedarł niejako ściany swym pędzlem, tak że się budowa stała większą, silniejszą, a sceny biblijne zdawały się odgrywać na tle niczem nieograniczonego pejzażu. Za Melozzem poszedł w części Signorelli w innej kaplicy w Loreto, w Sagrestia della Cura, ale w Rzymie panował dotąd w dekoracyjnym malarstwie styl płaski bez użycia perspektywy. Głównym przedstawicielem tego stylu był Pintoricchio w swych freskach, w komnatach Borgiów. Peruzzi znalazł nową drogę, stworzył w Farnesinie architektoniczną dekorację pełną śmiałych pomysłów i perspektywicznych nowości. W części przejął artysta ornamentację Pintoricchia z syeneńskiej Librerii. W polach uzyskanych malowaną architekturą przegląda gwiaździste niebo, a na niem widać znaki zodyaku i inne światy niebieskie.

Wytlómaczenie owych symbolicznych obrazów zajmowało już nieraz zwłaszcza niemieckich uczonych. Nie wszystkie postacie odpowiadają tam zwykłym formułom; tyle zdaje się być pewnem, że artyści lub ci, którzy mu dawali potrzebne w tej mierze wskazówki, oparli się głównie na odwiecznej książce Hygina, będącej niejako kodeksem całej starożytnej poezyi firmamentu.

Ów Hygin był bibliotekarzem cesarza Augusta i w jakie czterdzieści lat przed narodzeniem Chrystusa napisał po grecku dzieło, w którym szczegółowo opisuje całą mitologiczną symbolikę firmamentu. Księga jego krążyła nawet po zaprowadzeniu chrześcijaństwa w niezliczonych odpisach, zajmowano się nią po klasztorach i uważano niejako za fundamentalne dzieło opisowej astronomii. Dotąd zachowało się sporo jej egzemplarzy, pochodzących z czasów od XI do XVI wieku, a pierwszy drukowany w Ferrarze w roku 1475. Średniowieczne wyobrażenia o wszechświecie w znacznej części opierają się na książce Hygina, w klasztorach ją odpisywano i dodawano do niej ilustracje, okraszone nieraz mniszą wyobraźnią. W czasach Odrodzenia miał ów podręcznik astronomiczny wielki rozgłos. Poeci włoscy, jak



np. Aryost, czerpali z niego swe obrazy, nie zawsze ściśle się trzymając opisów starożytnego uczonego.

Freski sali Galatei są koncepcją artystyczną, uzmysławiającą owe poetyczne pojęcia o ciałach, zapelniających wszechświat, a plan do nich dawał Peruzzi; czy jednak całe sklepienie sam mistrz malował, wątpić się godzi, ponieważ rozpoczął on swą pracę w roku 1510, a w ciągu jednego roku ją skończył. Musiał więc mieć pomocników, inaczej nie byłby był w stanie dokonać tego wielkiego dzieła.

Sala jest loggią o pięciu arkadach z widokiem na ogród. Peruzzi miał tutaj szerokie pole do popisania się swym architektonicznym zmysłem, podzielił też ścianę malowanymi pilastrami na pola, które miały zawierać odpowiednie do całości obrazy. Pilastry zdobne są w maski i różnorodne fantastyczne postacie, a na kapitelach stoją amorety malowane en grisaille. Peruzzi doszedł w oddaniu tych dzieciaków do takiej plastyki, że gdy Vasari oprowadzał tam Tycyana, mistrz wenecki nie chciał wierzyć, że to są malowidła, a nie płaskorzeźby. Sklepienie sali ma przedstawiać niebios przestworza z mitologicznem ich ożywieniem. W jednym wielkiem polu gwiazdzisty Perseusz zabija Meduzę, w drugim Kallisto kieruje wozem, ciągnionym przez woły, owa Kallisto, która była personifikacją »wielkiej niedźwiedzicy«. Dlaczego właśnie wybrał artysta te dwie grupy gwiazd, »Perseusza« i »niedźwiedzicę«, aby ozdobić firmament, roztaczający się nad loggią Chigiego, mógłby był odpowiedzieć tylko domowy astrolog bankiera; gwiazdy te musiały mieć jakiś szczególny związek z losami Agostina.

Inne malowidła na polach, łączących się ze sklepieniem, posłużyły Peruzziemu do pomieszczenia owych uosobionych znaków niebieskich, które wówczas wszystkim zrozumiałe, dzisiaj dość zagadkowo się nam przedstawiają. W lunetach zaś znajdujemy się w przestworzach bliższych ziemi, w których Juno panowała. Bogini znalazła się tam w swym rydwanie zaprzężonym w pawie, równie jak Boreasz, Zefir, Faeton strącony ze świetlanego wozu, tudzież Ikar spadający na ziemię — same ilustracje do metamorfoz Owidyusza,



a na ich odtworzenie wysiłał się Sebastyan del Piombo. »Metamorfozy« zwano wtedy biblią poetów i malarzy.

Największą ozdobą sali jest wszakże słynny fresk Rafaela »Tryumf Galatei«. Ze świata gwiazd, ze stref powietrznych spadamy na morza, na oceany. Tutaj znów Owidyusz jest nam przewodnikiem, a jeszcze więcej Policyan w wierszu, w którym florentyński humanista wznowił starożytną legendę. Fresk Rafaela zdaje się być ilustracją tej zwrotki Policyana z poematu »La Giostra«:

Due formosi delfini un carro tirano  
Sovr' esso è Galatea, che il fren correge,  
E quei natando parimente spirano;  
Ruotasi attorno più lasciva gregge.

Rafael podjął jeden z ulubionych tematów grecko-rzymskiego malarstwa. Ilustracje do legendy Galatei istniały na murach Pompei, w Stabiae i w Herculaneum. Artysta rzymski przedstawił Galateę płynącą na muszli zaprzężonej w dwa delfiny, a Nereidy i Tritony tłumią się wokoło: jeden z nich porywa towarzyszkę Galatei w namiętnym uścisku. Amorki krążące w powietrzu wypuszczają z łuków strzały, zatrute jadem miłości. Wszędzie wesele, światło, wiosna, pragnienie życia.

Rafael malował to arcydzieło kompozycyji w roku 1515 i skończył je w dniach piętnastu. Karton wszakże miał już poprzednio, jeszcze przed rokiem 1514 gotowy i niejedno doń robił studyum.

Rysunek kompozycyji posyłał na wiosnę albo w lecie r. 1514 Baltazarowi Castiglione, autorowi »Dworzanina«, swemu przyjacielowi, którego rad często zasięgał. Castiglione był zachwycony pomysłem, ale sam Rafael miał niejedną jeszcze wątpliwość, a przedewszystkiem skarżył się, że trudno tworzyć kobiece postacie, nie mając w Rzymie pięknych modeli. »Chcąc wymalować jedną uroczą postać, pisał, trzeba mieć kilka przed oczyma. Nie mając modeli, maluje się na pamięć, według idei, które do głowy przychodzą«. To malowanie »według idei« znać też na Galatei, wyraz jej twarzy banalny, nic nie mówiący. Ciało udane, kompozycya pełna



wdzięku, ale w postaciach, w ich ruchach brak tego tętna krążącej krwi, tej namiętności, która porywa, która wzburza naszym jestestwem. Wogóle na kobiety Rafaela patrzymy jak na greckie posągi, podziwiamy je, ale nie obudzają one w nas wrażenia życia. Wydają się nam najpiękniejszymi wtedy, kiedy im twarzy nie widać, albo kiedy ta twarz ma zupełnie podrzędne znaczenie, jak n. p. w owej postaci kobiety, wodę niosącej, we fresku przedstawiającym pożar w Borgo. Rafael przepysznie malował ciała kobiece, ale duch, namiętność rzadko te ciała ożywia. Nie mówimy tutaj o jego Madonnach, chociaż i te nie wyrażają zazwyczaj tych uczuć, które wyrażać powinny; na twarzach ich rozlany jest najczęściej jakiś blady sentyment, który nie objawia ani wielkiej miłości macierzyńskiej, ani nieskończonego cierpienia, ani niezmiernego miłosierdzia wobec ludzkości. Rafael miał niedoścignione poczucie linii, nadzwyczajną znajomość anatomii ludzkiego ciała i dlatego był przede wszystkim malarzem ciał a nie malarzem ducha. Wydaje się on podobny do znakomitego chirurga, który tak umie nad sobą panować, że ani boleść ludzka ani piękność nie robią na nim wrażenia, gdyż widzi przed sobą tylko spełnienie ważnego swego zadania.

Nic lepiej nie charakteryzuje Rafaela, jak to, co pisał do Castigliona, że musiałby kilka pięknych kobiet mieć przed oczyma, aby namalować jedną. Ponieważ niema modeli bez błędów, przeto trzeba z jednego wziąć ręce, z drugiego nogi i t. d. W ten sposób wielu postępuje artystów; ale Rafael posunął się za daleko, a chcąc stworzyć ideał kobiety, tworzył jakieś istoty ogólnikowe, zanadto generalizował piękności, układał formuły ludzkiego ciała. Chciał dojść do plastycznej definicyi piękna i w tej mierze błędził. Idąc tą drogą osiągnęłoby się pewien bizantyzm piękności, bezduszne modele malarstwa. W ten błąd popadli też uczniowie rzymskiego mistrza i dlatego jego szkoła była szkołą upadku włoskiej sztuki. Formy ciała ludzkiego dadzą się jeszcze do pewnego stopnia generalizować, ale twarze, odbicie duszy ludzkiej nigdy. Artysta, który chce stworzyć w piękności rysów,



w szlachetnym wyrazie twarzy jakiś ogólnikowy ideał, nie osiąga celu. Tylko indywidualizm może zająć i pociągnąć.

Galatea więc do nas nie przemawia, gdyż nie jest indywidualnością kobiecą, ale jakimś teoretycznie rozwiązaniem zdaniem, jak się piękną kobietę malować powinno. Taka Bardi w galerii Poldi Pezzoli, taka Wenus Tycyana, taka wiosna Boticellego we florenetyńskiej trybunie, taka św. Katarzyna Luiniego, to są kobiece postacie, które wywołują w nas pewne idee, złe czy dobre uczucia; Galatea Rafaela nie działa indywidualnie na umysł, pozostawia w nas jakies ogólnikowe wrażenie, które mdłym być musi, jak każda teoria. Prawie jedyną jego kobietą, która żyje, jest Fornarina w galerii Barberinich, nie sympatyczna, ale prawdziwa, pomimo że portret jej bardzo ucierpiał od restauracji. Rafael malował tę postać z namiętnością kochanka, więc nie jest ona teoretycznym wynikiem spekulacyjnego umysłu artysty. Gdziekolwiek w jego obrazach spotykamy jej ciało, jej rozrosłe ramiona, a spotykamy je często, tam płynie krew w tem malowaniu.

Kiedy Rafael tworzył Galateę, stał w rozkwicie swego talentu, miał lat dwadzieścia dziewięć i właśnie ukończył swe najpiękniejsze freski w Watykanie. Wówczas nie był jeszcze umęczony tem mnóstwem zamówień, które go obarczał Leon X. Dopiero rozpoczynał swój zawód artysty magnata. Nieco później robił już tylko rysunki do swych dzieł, rozkazywał całej rzeszy pomocników wpatrzonych w jego oblicze, miał swój pałac, wyjeżdżał z domu podobnie jak kardynałowie w otoczeniu licznych klientów, co na ustach poważnego Michała Anioła wywoływało serdeczny uśmiech.

Czy mistrz oprócz Galatei malował jeszcze w tej sali inne freski, czy restaurowany kilkakrotnie Polyfem sąsiadujący z Galateą jest jego dziełem, czy malowidłem Sebastjana del Piombo, trudno dzisiaj rozstrzygnąć. Inne pola na ścianach nie zostały wykończone, zapewne z powodu śmierci właściciela willi i dopiero później zapełniono je dość banalnymi pejzażami. Jest tam wszakże jeszcze jeden bardzo zajmujący fresk, owa silną ręką en grisaille malowana duża



głowa, którą przypisywano Michałowi Aniołowi. Jeden nawet z niemieckich krytyków w ferworze domysłów przypuszcza, że to głowa Boga Stworzyciela, który stamtąd wzrokiem swym ogarnia firmament i gwiazdy. Próżne zdają się nam usiłowania, aby znaleźć logiczne połączenie tej głowy z innymi freskami w sali Galatei. Malował ją, jak się zdaje, Peruzzi, nosi ona bowiem cechę jego pędzla. Związku jednak pomiędzy nią a innymi freskami tej sali dopatrzyć się trudno.

Portyk u wejścia do willi oddał Chigi do przyozdobienia Rafaelowi. Mistrz zabrał się do pracy około r. 1516, ale własnoręcznie malował tylko kartony, zresztą samo wykonanie fresków zostawił swym uczniom, Giuliowi Romano i Giovanniemu da Udine. Freski te nadzwyczaj wiele ucierpiały, były restaurowane i twarde tony, którymi dzisiaj rażą, przypisać zapewne należy późniejszym poprawkom.

Freski są poświęcone wszechwładnej miłości. Temat wzięty z metamorfoz Apulejusza, z dzieła, które zaraz po wynalezieniu druku wychodziło w częstych wydaniach. W Rzymie pierwsza edycja nosi na sobie rok 1469, inne wydania ukazały się w latach 1488, 1493, 1497. Książka więc była modna za czasów Chigiego i Rafaela, a swą treścią szczególnie się nadawała jako temat do wesołych fresków bankierskiej willi. Historia Psychy, początkowo zapewne bardzo duchowa, bardzo lotna, dzieje duszy człowieka, zmienione zostały w materialną historię zakochanych bogów, w romans pomiędzy Amorem i Psychą. Treść tego romansu, postacie Psychy, Amora, Merkurego, bankiet bogów na Olimpie, wszystko to było jakby wymyślone dla renesansowego pędzla młodego, jak Rafael, artysty. Talent kompozycyjny i dekoracyjny mistrza miał tam pole popisu, więc też wynikała stąd przepyszna ornamentacja ścian, która w świeżych barwach musiała stanowić dla oka prawdziwą biesiadę.

Jeżeli w portyku willi przystępnym dla szerokich kół znajomych bankiera panowała miłość bogów, miłość uszlachetniona pojęciem Psychy, to w sypialnej komnacie właściciela na pierwszym piętrze więcej ziemskie obrazy miały go rozweselać. Chigi wyszukał też mistrza, który mógł w tej mierze zupełnie odpowiadać jego życzeniom, syeneńskiego



Sodome. Za temat głównego obrazu posłużyła artyście historia Aleksandra Wielkiego i pięknej Roksany, którą słynny wódz, wzięwszy w niewolę, poślubił. Akt małżeński ma być spełniony, Roksana, typ pokrewny »Kusicielce« w Monte Oliveto, wstaje z pysznego łoża, nie miała czasu nawet ubrać się, a Aleksander, płonący żądzą miłości, już zbliża się i niesie jej koronę. Piękne służebnice Roksany szybko się oddalają, amorki szczęśliwe, że znów wyprawiły psotę, cieszą się wokoło, wszędzie pełno życia, pełno pięknych postaci, wszystko oddycha zmysłową rozkoszą. Drugi obraz, spokojniejszy, przedstawia Aleksandra przyjmującego rodzinę Daryusza i także nie jest pozbawiony zalet syeneńskiego mistrza; na trzecim, który ucierpiał wskutek nieszczęśliwych restauracji, widzimy Aleksandra, jak stara się okiełzać swego Bucefala. Fresk ten zaleca się pięknym, szerokim pejzażem, służącym za tło głównej akcji. W tym samym pokoju wymalował jeszcze Sodoma Wulkana kującego strzały, postać pełną siły, a wszystkie te freski wykończył w ciągu roku 1514 i zbierał za nie powszechne pochwały, tak dalece, że w Rzymie mówiono, iż artysta syeneński przewyższył w nich Rafaela.

Do pokoju, który ozdabiał Sodoma, przytyka duży salon o pięknych rozmiarach, »sala delle colonne«. Tutaj mamy przed sobą freski ornamentacyjne Peruzziego, architektoniczne koncepcje, które najbardziej odpowiadały jego artystycznemu kierunkowi. Peruzzi staje się w nich mistrzem perspektywy i rzec można, że ją doprowadza do najwyższego rozwoju w zastosowaniu do ozdabiania ścian. Malowana architektura, drzewa, dalekie widoki, wszystko się wybornie składa, aby stworzyć dużo przestrzeni i zręcznie poumieszczać w niej ludzkie postacie. Salon ten bardzo dużo ucierpiał wskutek przemalowań, początkowo musiał być jednak dziełem znakomitem, skoro Pietro Aretino uważał ozdabiającego malowidła za najpiękniejsze w całej willi. Owo rozszerzanie komnat zapomocą architektonicznej perspektywy było jeszcze wówczas nowością i więcej, niż dzisiaj, uderzało śmiałością pomysłów.

Pała stworzone architekturą pełne są scen mitologicznych, a pomiędzy tymi obrazami zasługuje szczególnie na



uwagę fryz, trochę chłodny, z postaciami zdradzającymi wpływ Rafaela. Niestety Peruzziego było stykanie się z tak potężnymi artystami, jak Rafael i Michał Anioł, ulegał im, zacierał swą indywidualność i zmieniał właściwy sobie sposób malowania. Syeneńczyk był większym architektem, aniżeli malarzem.

Przyozdabianie willi Chigiego trwało długie lata. Osobliwie Rafael mało czasu poświęcał malowaniu fresków i Chigi wielce się tem niecierpliwił. Według Vasarego powodem opieszałości Rafaela była miłość ku Fornarinie i stosunki z rozmaitemi kurtyzanami, »era persona molto amorosa et affezionata alle donne«, zanadto czasu poświęcał rozkoszom miłosnym. Zresztą był obarczony rozmaitemi pracami; Chigi wziął się więc na sposób i prosił Fornarinę, aby towarzyszyła Rafaelowi, gdy pracuje w jego willi. Ślady tego podstępu znać we freskach, a osobliwie w Horach weselnego bankietu są szczegóły, przypominające piękne kształty kochanki mistrza. Już w ciągu robót wzbudzała willa bankiera powszechny podziw. Gallo Egidio, rzymski poeta laureatus, wydał w roku 1511 wierszowany jej opis pod tytułem: »De viridario Augustini Chigi, Senensis, libellus«<sup>1)</sup>, w którym się zachwyca artystyczną wartością malowideł, pięknnością otoczenia i nie może się nacieszyć wonnością kwiatów i dobrocią owoców w świeżo założonym ogrodzie. W rok później inny wierszokleta z gór Sabińskich, Blasio Palladio, późniejszy biskup w Foligno<sup>2)</sup>, daje bardzo szczegółowy opis znajdujących się tam cudów sztuki i wspomina już o freskach Peruzziego i fra Sebastyana del Piombo. Aretino także opowiada w swych listach, że nie widział cenniejszych fresków, jak w willi Chigi, a nad pięknnością ogrodów unosi się w swej komedyi »Cortegianie«. Aryost w »Orlandzie« je opiewa<sup>3)</sup>, niektórzy artyści wszakże, zwiedzający willę, widocznie bardziej się cieszyli myślą o dobrym obiedzie, aniżeli piękno-

<sup>1)</sup> Romae MDXI.

<sup>2)</sup> Suburbanum Augustini Chisii per Blasium Palladium. Impresum Romae MDXII.

<sup>3)</sup> Orlando furioso, 46, 13.



ścią ogrodu i oglądaniem fresków mistrzów. I tak młody Be-roaldo powiada w swej odzie »Tricolos ad Aug. Chissium«:

Dum tu circumagis nos bone Chissie  
Per coenacula Villae et viridaria  
Perlustras, abit hora et  
Intestina quatit fames.  
Ne te crede meum pascere nobili  
Pictura stomachum: quod reliqui est, age;  
Miremur bene poti:  
Nil non me saturum iuvat.

Właścicielowi podziwianego gmachu spieszyło się, aby go pokazać smakoszom sztuki; pomimo więc, że willa jeszcze nie była ukończona, wyprawił tam Chigi ową wspa-niałą ucztę z okazji chrzcin syna, którego miał ze swoją Wenecyanką. Ponieważ jednak w pokojach nie można było przyjąć licznych gości, więc bankier przemienił stajnię na sto koni, wybudowaną według planów Rafaela, w pyszną salę jadalną, objając mury wzorzystymi kobiercami.

W roku 1519, kiedy już freski na piętrze były ukoń-zione, otworzył Agostino swe komnaty ponownym bankie-tem, w którym brał udział Leon X z dwunastu kardynałami i wieloma innymi książętami Kościoła. Bankiet odbywał się w salonie, ozdobionym freskami Peruzziego, i w przyległym pokoju Sodomy. Podziwiano przepyszne malowidła, ale nie-mniej uderzał kardynałów porządek, z jakim usługiwano do stołu, do czego widocznie wówczas społeczeństwo nie bar-dzo było przyzwyczajone.

Freski Farnesiny są niejako ostatnim wyrazem bezpo-średniego wpływu humanizmu na rzymskie malarstwo deko-racyjne. Późniejsze usiłowania w tej mierze były tylko na-śladowaniem tego, co w świetnej epoce powstało.

## IX.

Kościół Santa Maria del Popolo był świątynią wielkich grzeszników. Przed jej wybudowaniem znajdował się na tem



samem miejscu grobowiec Domicyusza, a według dawnego podania ukryła w nim Acte ciało Nerona, wskutek czego w średnich wiekach nikt w pobliżu nie chciał przechodzić, gdyż Nero miał się tam błąkać w postaci krwiożerczego upiora i dusić podróżnych.

Papież Paschalis II zlitował się jednak nad rzymską ludnością, ściał własną ręką rosnące na grobie Nerona duże drzewo orzechowe, w którym mieszkaly złe duchy i na tem miejscu postawił w r. 1099 klasztor z kościołem poświęconym Madonnie. W ten sposób uwolnione zostało miasto od zbrodniczego potępieńca.

Sykstus IV Rovere przebudował w r. 1475 skromny początkowo kościół, aby pielgrzymi przybywający do Rzymu ze wszystkich stron świata, mieli na wstępie do wiecznego miasta stosowny przybytek do złożenia dzięków Najwyższemu za szczęśliwie przebytą podróż. Borgie, jako cudzoziemcy, upodobali sobie ten kościół; Aleksander VI otaczał go szczególną opieką, kazał w nim swój portret zawiesić i tam pochował ukochanego syna, księcia Gandyi. Lukrecya Borgia odbywała w Santa Maria del Popolo religijne praktyki, a matkę rodu, Vanozzę, złożono tam w r. 1518 obok syna do grobu. Pogrzeb był wspaniały, chowano ją »z wielką pompą jak kardynała«, według słów Sanuda, który wówczas bawił w Rzymie.

Juliusz II, pomimo że rad był zacierać pamięć Borgiów, lubił ten kościół jako familijny, przez stryja zbudowany, i równie jak jego poprzednik, darował tam swój portret. Santa Maria del Popolo stała się rodzinnym grobowcem Roverów, większa część nepotów wielkiego papieża tam pochowaną została. Pierwszy ze słynnego rodu spoczął na grobie Nerona kardynał Christoforo Rovere w r. 1478 i postawiono mu tam szczególnie piękny pomnik dłuta Mina da Fiesole. Juliusz II kazał Bramantemu rozszerzyć prezbiterium kościoła i zrobić okna z malowaniami na szkle, może najpiękniejsze w Rzymie, które są dziełem dwóch Francuzów, Kludysza i Wilhelma Marcillat. Nadto polecił Andrzejowi Contucci z Monte Sansovino, uczniowi Pollajuola, aby tam wyrzeźbił pomniki dla dwóch kardynałów, dla Girolama



Bassa Rovere i Ascania Sforzy. Grobowce te, pełne artystycznych zalet, ukończył Contucci około r. 1509. Jeden z nepotów papieskich wreszcie, Jan Rovere, książe Sora, zgodził Pintoricchia, aby freskami ozdobił kaplice św. Hieronima i św. Augustyna.

Chigi licząc się do rodu Roverów od czasu, jak go Juliusz II przyjął do swego herbu, postanowił spocząć także w Santa Maria del Popolo. Już w roku 1503 polecił Rafaelowi, aby mu wyrysował plan kaplicy, którąby można wcielić do budowy Sykstusa IV. Sanzio dobrze się wywiązał z zadania: wystawił ośmiobok, na którym spoczywa rodzaj cylindra, zakończonego kopułą. Ściany kopuły są ozdobione mozaikami, do których sam mistrz malował kartony, a temat ich znów do połowy przynajmniej astrologiczny: Pan Bóg w chwili, kiedy stwarza gwiazdy i rzuca je na firmament. Czynność to stworzenia, którą Dante opisał na początku swego »Piekła«:

E'l sol montava in su con quelle stelle,  
Ch'eran con lui, quando l'amor divino  
Mosse da prima quelle cose belle <sup>1)</sup>.

Postać Boga umieścił artysta u szczytu kopuły w osobnym medalionie, wokoło zaś znaki zodyaku, planety personifikujące starożytne bóstwa: Jowisza, Dyane, Lunę, Wenerę, Apollina i Marsa. Aby zaś połączyć ideę chrześcijańską z pogańskim światem, towarzyszy każdej planecie anioł czekający na rozkazy chrześcijańskiego Boga.

Mozaiki w kaplicy ułożył w roku 1516 Luigi della Pace, a freski w kopule, przedstawiające stworzenie świata i Adama, malował Francesco Salviati, zwany Il Cecchino. Wogóle malarską pracę podzielili się tam Salviati i Sebastiano del Piombo, który umarł, nie dokończywszy swego zadania. Najpiękniejszym jednak dziełem sztuki w mauzoleum Chigiego jest posąg proroka Jonasza, rzeźba, jak niesie tradycja, sa-

<sup>1)</sup> Słońce wschodziło w otoczeniu swych gwiazd podwładnych, gdy Bóg w swej miłości po raz pierwszy nadał ruch tym pięknym ciałom niebieskim.



mego Rafaela. W tem podaniu tyle zdaje się być prawdy, że Urbinat zrobił model do statuy, a Lorenzo Fiorentino ją wykonał. Jako materyał posłużył rzeźbiarzowi kawał marmuru, który spadł ze świątyni Kastora i Polluxa na Forum. Do drugiego posągu, który się tam znajduje, do postaci proroka Habakuka, miał także Rafael dać rysunek, obydwie rzeźby wykonane jednak zostały dopiero po śmierci mistrza.

Agostino wydał na kaplicę 22.000 skudów, a Fabio Chigi odrestaurował ją później kosztem 3000. Schody pod balustradą wykuto z granitu, który bankier umyślnie na ten cel sprowadził ze Wschodu. Mimo znacznej sumy, jaką na budowę wydano, wygląda kaplica dość skromnie, harmonijnie i nie wskazuje bynajmniej, że jej fundatorem był najpotężniejszy bankier Juliusza II. Poważne grobowce samego Agostina i jego brata Zygmunta, w kształcie piramid z ciemnego marmuru, wykonał Lorenzetto. Na piramidzie umieszczone są medaliony z głowami Chigich, zrobionymi według wyobraźni, a nie według autentycznych portretów.

Roverowie mieli jeszcze drugi kościół w Rzymie, S. Maria della Pace. Była to także, jak wspomnieliśmy, budowa Sykstusa IV. Chigi czuł się w obowiązku do ozdobienia tej »familijnej« świątyni i za czasów Leona X w roku 1514 polecił Rafaelowi, aby wymalował freski w pierwszej kaplicy na prawo od głównego wejścia. Mistrz rozpoczął od ściany nad arkadą i z nadzwyczajnym artyzmem i prostotą zarazem ugrupował tam cztery Sybille i nad nimi czterech proroków z aniołami. Sybille sam Rafael wykonał, proroków miał malować w r. 1519 Timoteo Viti według szkiców Rafaela, z których jeden, przedstawiający proroka Daniela, dochował się w Uffiziach. O Sybillach mówi Vasari, że pomiędzy wielu pięknymi dziełami Rafaela należą te postacie do najpiękniejszych, osobliwie trzy młode Sybille: Frygijska, Perska i Tyburtyńska.

Vasari był bezsprzecznie zanadto stronnikiem w ocenianiu dzieł swego ukochanego Rafaela, a jego pochwały Sybil są przesadne. O ile całej kompozycji nic zarzucić nie można i ugrupowanie na fresku może rzeczywiście służyć za wzór rafaellowskiej kompozycji, o tyle w samych Sybillach



trudno się wiele piękności dopatrzeć. Są one bez wdzięku, o niemiłych twarzach. Że Rafael malował te postacie pod wpływem Sybil Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej, zaprzeczyć trudno, pomimo że bezwzględni wielbiciele Rafaela radziby dowieść, iż Urbinat w niczem nie zapatrywał się na wielkiego Florentyńczyka. W czasie jednak, kiedy Michał Anioł kończył swe wiekopomne freski w Sykstynie, rozpoczął Rafael malowidła w S. Maria della Pace i tak się przejął fizyczną potęgą ciał Buonarottiego, że chciał wido-  
cznie stworzyć coś podobnego. Poszedł jednak za daleko, gdyż nawet w twarzach tych Sybil starał się zatracić właściwą sobie słodycz.

Jako zadatek za pracę nad temi freskami wypłacili Chigi Rafaelowi pięćdziesiąt dukatów; po ukończeniu malowania żądał mistrz jeszcze czterystu czerwonych złotych. Bankierowi zdawała się ta suma za wysoką, wezwał więc Michała Anioła, aby jako znawca spór pomiędzy nim a Rafaelem rozstrzygnął. Wyrok był dla Agostina niekorzystny. Michał Anioł odpowiedział, że każda z tych przepysznych Sybil warta żądanej sumy. Wtedy Chigi z humorem odrzekł, że »trzeba się spieszyć z wypłatą, bo inaczej cały majątek pójdzie na Sybille« i kazał posłać pieniądze Rafaelowi.

Podobnie jak w Rzymie, chciał Agostino po sobie pozostawić i w Syenie pamiątki artystyczne. Do Sant' Agostino więc, do rodzinnego ołtarza Chigich, który ufundował Mariano Chigi roku 1502, zamówił u Perugina obraz i wypłacił zań artyście dwieście dukatów. Obraz przedstawia Chrystusa na krzyżu, ponad którym krążą aniołowie, u stóp zaś oplakują Zbawiciela: Marya, Marya Magdalena, św. Augustyn, Hieronim, Jan Chrzciciel i św. Katarzyna, po większej części portrety rodziny Maryana.

## X.

Agostino nie doczekał się ani dokończenia swej kaplicy w Santa Maria del Popolo, ani zupełnego ozdobienia willi za Tybrem. Zamieszkał w niej jednak przy końcu życia



i tam umarł dziesiątego kwietnia 1520 roku, na kilka miesięcy przed Leonem X, a w cztery dni po Rafaelu. Przepowiednie astrologów, którzy mu obiecywali długie lata, nie spełniły się, gwiazdy, w które tak wierzył, zawiodły. Pogrzeb wielkiego bankiera był jednym z najwspanialszych, jakie w Rzymie widziano. Oprócz duchowieństwa i zakonników stu pacholków, każdy z dwoma pochodniami w rękach, i stu Syeneńczyków ubranych w białe płaszcze, otwierało pochód. Na końcu tego korowodu niesiono trumnę, przykrytą złotolitą materyą, której zwoje sięgały aż do ziemi. Za trumną postępowała rodzina, kardynałowie i z osmdziesiąt osób, urzędników banku i służby zmarłego w długich habitach z kapuzami. Rzymskich obywateli było niewiele, może z pięćdziesięciu, co się zapewne tłómaczy nienawiścią, jaką wtedy żywiła publiczność rzymska ku obcym. Ciało złożono w Santa Maria del Popolo, stosownie do życzenia zmarłego. Również w Syenie obchodzono egzekwie z wielką uroczystością, a Zygmunt Chigi, pełen wdzięczności dla brata, kazał wypisać nad katafalkiem słowa: »Augustino Chigi, Sigismundus frater, beneficiorum memor«.

Zygmunt mógł być wdzięcznym zmarłemu, gdyż Agostino spodziewając się, że brat utrzyma stanowisko rodu, powierzył mu bank, który dwie generacye doprowadziły do niewidzianego rozkwitu, i zapisał mu większą część majątku. Pierworodny syn Agostina, Laurentius Leo, był jeszcze wtedy dzieckiem; opiekunem jego został Andrzej Bellanti, który jednak zawiadował dobrami powierzonych mu dzieci na korzyść własnej kieszeni. Doszedłszy do pełnoletności, nie umiał Wawrzyniec zarządzać wielką fortuną; niemoralnego umysłu, rozrzutnik, musiał być oddany w r. 1553 pod kuratele, »fù dichiarato prodigo e furioso«.

Wenecyanka umarła tego samego roku, co Chigi, 11 listopada, Alessandro Giovanni, drugi syn Agostina, także wkrótce umarł; pozostał Lorenzo Leone, który nie miał ani rozumu ani wykształcenia ojca. Po śmierci żony Agostina zamieszkał w willi nad Tybrem Zygmunt Chigi z żoną, Sulpicyą Petrucci, córką tyrańcy Syeny, Pandolfa, którą Benvenuto Cellini nazywa Porcją i nad jej pięknością i wdziękiem się unosi.



Benvenuto prosił Chigich, aby mu pozwolono przerysowywać freski Rafaela, co łatwo uzyskał, gdyż Sigismondo był zadowolony, gdy młodzi artyści zgłaszali się do willi, aby robić studia. Jednego dnia, gdy Benvenuto w przedsiönku rysował, zbliżyła się do niego Porcia i zapytała, czy jest malarzem, czy rzeźbiarzem? Złotnikiem, odpowiedział Cellini, na co Porcia zauważyła, że za pięknie rysuje, aby się poświęcał li tylko swej sztuce. Poczem kazała przynieść kamierierze lilię zrobioną z przepysznych dyamentów i prosiła go, aby ją oszacował. Zawiązała się dłuższa rozmowa, Porcia dała mu do oprawy dyamenty i jeszcze dwadzieścia dukatów zadatku za robotę. W czasie tej rozmowy nadeszła jakaś przyjaciółka pani domu, a widząc, że młodzieniec zabiera ze sobą dyamenty, zauważyła, że będąc artystą, chętnie uciekłaby z powierzonym skarbem. »Talent rzadko łączy się z występkiem«, odpowiedziała Porcia w obronie Celliniego.

Benvenuto nie zawiódł zaufania i po dwunastu dniach przyniósł jej przepyszny klejnot, zrobiony z tych dyamentów.

Piękna Porcia nie mogła długo mieszkać w willi Peruzzich i Rafaelów, gdyż fortuna Chigich szybko się chyliła ku upadkowi. Pierwszy cios zadała jej wojna Klemensa VII z Syeną w r. 1526. Gdy wojsko papieskie oblegało ojczyznię miasto Chigich, Rzeczpospolita dla braku pieniędzy zmuszoną była naruszyć depozyt, złożony jeszcze przez Agostina i posłać srebrne naczynia do mennicy. Rzeczpospolita wystawiła wprawdzie Zygmuntowi kwit dłużny na 80.000 florenów, ale z upadkiem państwa syeneńskiego i skarb Chigich przepadł na zawsze. Następnego roku wojska niemiecko-hiszpańskie zrabowały Rzym i Syenę, rodzina Chigich poniosła znowu olbrzymie klęski, Sigismondo musiał zwinąć bank, który przeszedł na własność Genuńczyka Szymona Centurione. W sześćdziesiąt lat po śmierci Agostina wymarli jego potomkowie w prostej linii, została tylko jedna prawnuczka w złych stosunkach majątkowych. W r. 1580 musiano rzymską willę wystawić na licytację z powodu długów, a głównie życzył sobie sprzedaży Lelio Camajoni z Arezzo, rycerz orderu Chrystusa, który się ożenił z prawnuczką Agostina, podczas gdy najstarszy siostrzeniec wielkiego bankiera założył protest prze-



ciw temu. Ale ciężary rosły, a po dwóch latach i ów przywiązany do pamiątek rodzinnych siostrzeniec musiał na sprzedaż zezwolić. Papież Grzegorz XIII zniósł w roku 1580 fideikomis, który ciążył na realności, z powodu, że potomkowie Agostina nie byli w możności utrzymać willi w dobrym stanie. Kupił ją najświetniejszy ówczesny kardynał Alessandro Farnese, wnuk Pawła, i zapłacił 10.500 skudów. Dwie trzecie tej sumy otrzymała jako posag Klarysa Chigi Camajani, resztę Aleksander Chigi.

Po śmierci kardynała w r. 1589 przeszła Farnesina na księżąt Parmy, a po wygaśnięciu ich męskiej linii w r. 1731 na Elżbietę Farnese, małżonkę Filipa V, króla hiszpańskiego. Odtąd klejnot ten włoskiej sztuki pozostał w hiszpańskich i francuskich rękach. Po Filipie odziedziczył Farnesinę syn jego Don Carlos, który został królem obojga Sycylii, a w ten sposób należała willa przeszło wiek cały do neapolitańskich Burbonów. Dopiero po upadku królestwa w r. 1860 wynajął ją Franciszek II na lat dziewięćdziesiąt dziewięć Hiszpanowi Bermudez de Castro, księciu Ripalda, dawnemu posłowi hiszpańskiemu w Neapolu. Księżę umarł w r. 1883, a Farnesina jest dzisiaj własnością jakiejś hiszpańskiej markizowskiej pary, która woli mieszkać w Madrycie, aniżeli w Rzymie. Jedynym w niej rezydentem był w ostatnich czasach stary ogrodnik, posmutniały i opuszczony jak willa, bo mu żona umarła a córka wyszła za mąż i sam musi sobie gotować polentę.

Za Farnesów willa tak niszczała, że w r. 1650 postanowił księżę Ranuccio II, około lat 140 po jej zbudowaniu, odrestaurować cenne dzieło sztuki. Księżę zebrał komisję znawców, a restaurację przedsięwziął znakomity ówczesny architekt Carlo Maratta. O piękności willi do tego stopnia nawet w późniejszych czasach zapomniano, że gdy w r. 1720 młodszy Richardson zwiedzał Rzym, znalazł Farnesinę opustoszałą i z trudnością tylko mógł się o klucze do niej dopytać. Może z powodu opustoszenia zrobiła willa na nim najsmutniejsze wrażenie; pisał też o Galatei, że »sa draperie, qui autrefois etoit rouge, est à present si noire, qu'elle parait extremement pesante«.



Inaczej sądził Göthe w 67 lat później. W czasie swego pobytu w Rzymie 1787 unosił się nad loggią Psychy i zapewniał, że ta galerya jest najpiękniejszym dziełem dekoracyjnym, jakie zna, pomimo że ją bardzo popsuto. Ale po Göthem jeszcze musiano restaurować opuszczoną Farnesinę. Kazał ją odnawiać duca di Ripalda w latach 1861 do 1870 pod kierunkiem architektów Antonia Sarti i Cipolli. Restauracyi fresków Sodomy dokonał Marieri Billand, fresków architektonicznych w salonie Domenico Fumanti.

Wreszcie w r. 1878, gdy zaczęto regulować ulice nad Tybrem i zakładać Lungo-Tevere, obcięto znaczną część ogrodu na wymurowanie wałów ochronnych, a roboty kamieniarskie tak wstrząsnęły ścianami samej willi, że sporo fresków mocno popękało.

Oto losy Farnesiny. Szczęśliwszy był ród Chigich w późniejszych czasach.

W praprawnuku Zygmunta, w Fabiu, doszli znów potomkowie Agostina do wielkiej potęgi. Fabio, urodzony 7 kwietnia 1655, został obrany papieżem 13 lutego 1699 pod imieniem Aleksandra VII i za jego to panowania wybudował Bernini przepyszną kolumnadę na placu św. Piotra, tudzież wspaniałe schody, scala reggia w Watykanie. Fabio napisał jeszcze za młodych lat ową kronikę swego rodu, »Commentari della Casa Chigiana«, która dzisiaj stanowi główne źródło do żywota Agostina.



## ROZDZIAŁ ÓSMY.

---

### TULLIA d'ARAGONA.

#### I.

Promienne postacie poważnej chrześcijańskiej matrony, albo rycerskim duchem owianej pani, która w nieobecności męża stawała na murach zamkowych, aby odpierać nieprzyjacielskie napady, nie wystarczały już w czasach Odrodzenia. Społeczeństwo wymagało jakichś przecywilizowanych istot, któreby grecką kulturę umiały naśladować i zamieniać ją w codzienną, błyskotliwą zabawkę.

Stąd owe dziesięcioletnie córki patrycyuszowskie, które po grecku rozprawiały, stąd owe znakomite postacie kobiet przyjaciółek i protektorek najgłośniejszych artystów, stąd wreszcie owe Tullie i Imperye, naśladowujące Corynny i Salfony, typy wzięte ze starożytności. Ponieważ wszelkie motyle i ćmy renesansowe okrażały dwory książąt i tyranów, przeto i na owe Aspazye przeniesiono miano »dworactwa« i nazwano je kurtyzanami. Odrodzenie zrobiło z nich rodzaj kapłanek, mających piastować ideały piękności, wdzięku i poezji.

Pierwszorządne kurtyzany zajmowały mniej więcej to samo stanowisko, co dzisiejsze gwiazdy teatralne, od których wymaga się w prywatnym życiu powierzchownego wy-



kształcenia, dowcipu, humoru, elegancyi. Za kotary ich bu-  
duarów się nie zagląda.

W ostatnią niedzielę października, w wigilię Wszystkich  
Świętych roku 1501, zaprosił ksiązę Valentino, Cezar Borgia,  
pięćdziesiąt cenniejszych kurtyzan na kolację do swych apar-  
tamentów w Watykanie. Towarzystwo było bardzo liczne;  
po wieczery tańczyły te panie prawie bez ubrania i rozwe-  
selały obecnych różnymi popisami. W uczcie brała także  
udział Lukrecya Borgia, a stary papież Aleksander VI tańcom  
się przypatrywał. Był to w swoim rodzaju balet renesansu.

Pomiędzy tanecznicami musiała się znajdować i Giulia  
Ferrarese, kurtyzana znana z dowcipu i piękności. Powia-  
dają o niej, że raz potrafiła przypadkowo jakąś gentildonę  
w Rzymie na ulicy, na strada del Popolo, gdzie się najwię-  
cej widywało kobiet lekkiego życia. Rozgniewana Rzymianka  
zaczęła Giulii wymyślać obelżywemi słowy, a kurtyzana  
jak najgrzeczniej ją przeprosiła, mówiąc: »Przebaczcie mi,  
madonno, ale widzę, że macie rzeczywiście więcej odemnie  
prawa do ulicy«. Ulica ta zresztą była prawie własnością  
kurtyzan, gdyż kazano ją wybrukować za podatek, umyślnie  
w tym celu na nie nałożony.

Zupełnie jak dzisiejsze artystki, przybierały kurtyzany  
rozmaite szumne lub poetyczne imiona, jak Virginia, Lu-  
crezia, Diana, Laura, Stella, a nadto pożyczaly sobie dowol-  
nie nazw od pierwszorzędných rodzin, albo od miast, skąd  
pochodziły. Jedna z głośniejszych ówczesnych kurtyzan  
rzymskich podpisywała się dumnie Lucrezia Porzia, patrizia  
romana, inna kazała się nazywać Caterina di San Celso,  
w Wenecyi zaś słynęła Zaffetta Grimani. Wówczas nikogo  
to nie gorszyło.

Giulia pochodziła z Ferrary i dlatego nosiła przydomek  
Ferrarese. Dostała się za młodu do Rzymu i tam zawiązał  
z nią stosunek ów słynny kardynał Lodovico d'Aragona, któ-  
rego ojcem był markiz di Gerace, nieślubny syn Ferdy-  
nanda I z Aragony, siostrzeńca króla Alfonsa II. Lodovico  
urodził się w Neapolu około roku 1475, ożenił się wcześniej  
z Battistiną Cybò, a owdowiawszy, poświęcił się zawodowi  
duchownemu i w roku 1497, za Aleksandra VI, został kar-



dynałem. Był to, jakeśmy widzieli, jeden z najwybitniejszych ksiąząt Kościoła, rycerski, wykształcony, dowcipny, zamiłowany w sztuce, zapalony myśliwy, utrzymujący najpiękniejszą kurtyzanę, za jaką uchodziła Giulia.

Kurtyzany brukowały wprawdzie za własne pieniądze ulicę del Popolo, ale nie były ograniczone do pewnych części miasta; wolno im było osiedlać się w całym Rzymie. Nawet w kamienicy, gdzie mieszkała madonna Vanozza, matka księcia Valentino, znajdujemy pomiędzy lokatorami praczkę, florentyńskiego stolarza, trzech kupców, kowala i najniższego rzędu kurtyzanę, zwaną »da la candella«, gdyż podobnie jak dzisiejsze stróżki, świeciła w nocy po schodach wracającym późno do domu lokatorom. Giulia Ferrarese mieszkała na Campo Marzio, w parafii San Trifone, w domu należącym do konwentu Augustyanów, gdzie prawie cała kamienica zaludniona była kurtyzanami. Mniej przyzwoite sąsiedztwo znoszono w Rzymie jako coś zwyczajnego; w jednym z domów, także na Campo Marzio, znajdowała się szkoła prywatna dla dzieci, mieszkał jakiś biskup i dwie kurtyzany, donna Speranza i donna Vascha. Najwięcej tych istot gnieździło się w okolicy Ponte Sisto i dlatego nazywano je wstawkami z mostu Sykstusa.

Giulia Ferrarese powiła w roku 1505 córkę Tullię, którą kardynał d'Aragona uznawał za swoją i nie miał nic przeciwko temu, aby przybrała jego rodowe nazwisko. Kardynał należał do bardzo hojnych ludzi, niczego Giulii nie szczędził, więc mała Tullia wychowana była w dostatkach i uczono ją wszystkiego, co do wykształcenia światowych kobiet wówczas należało. Miała nauczycieli muzyki, śpiewu, tańca, a nawet klasycznych języków, tak że po kilku latach wybornie umiała mówić i pisać po łacinie. Ale około r. 1517 stosunki materialne jej matki bardzo się pogorszyły; kardynał, obawiając się, aby go Borgie nie otruli, wyjechał był od dawna w daleką podróż do Niemiec, do Szwajcaryi, Flandryi i Francji i zdaje się, że niedostatecznie tylko mógł wspierać Giulię. Z niewiadomych nam powodów przeprowadziła się wtedy Giulia do Syeny, gdzie jakiś czas pozostała, zwłaszcza że kardynał tymczasem umarł w r. 1519. Bardzo jeszcze ładna,













Fot. Alinari.

Tullia d'Aragona.

Według portretu Alessandra Bonvicina, w pinokotece w Brescyi.

Do str. 439.







zawiązała w Syenie jakiś stosunek miłosny z zamożnym człowiekiem i znów miała dostateczne środki utrzymania. Młoda Tullia więc mogła się z wielkim zapędem oddawać nauce, kształcić się w rozmaitych gałęziach wiedzy i doprowadziła do takiej erudycji, że wzbudzała podziw w syeneńskich uczonych. Przytem nabrała światowych obyczajów i wprawiła się w mówieniu syeneńskim narzeczem, które uchodziło za najpiękniejszy język we Włoszech. Aretino też o niej pisze, że w Syenie nauczyła się »esser virtuosa e parlar sanese«.

Ale gdy dziewczynka dorosła, prowincjonalny świat syeneński był jej za ciasny. Wkrótce też powróciła z matką do Rzymu, gdzie ją otacza już aureola poetki, a najznakomitsi ludzie bywają w jej domu. Zręczna Giulia umiała córkę wprowadzić na szeroką scenę rzymskiego życia.

Bardzo piękny portret Tullii, pędzla Alessandra Bonvicina, zachował się w zbiorach po hrabi Tosio, w galeryi w Brescyi. Młoda Aragona musiała mieć przeszło lat dwadzieścia, gdy pozowała do tego obrazu. Artysta przedstawił ją na ciemnym tle, ożywionem gałęziami wawrzynu, opartą lewą ręką o kawał marmuru i trzymającą berło poetki. Na ramionach zawiesiła pyszne futro, pokryte czerwonym aksamitem, a w jasne włosy wplotła sznury pereł. Nie powiem, aby była sympatyczną pięknoscią. Owal twarzy i szyja bardzo ładne, ale usta dość duże, nos trochę za długi, a przede wszystkim z oczu jej wieje jakiś chłód i jakiś udany spokój w nich się przebija. Bardziej podobna do wyrafinowanej, niebezpiecznej kurtyzany, aniżeli do pełnej talentu poetki. Płeć musiała mieć piękną i zgrabne ruchy.

Portret ten uchodził za obraz, przedstawiający Herodyadę, ponieważ na marmurze, na którym się Tullia opiera, napisane są słowa: »Quae sacrum Joannis caput obtinuit«; ale napis prawdopodobnie później umieszczono, aby móżdżek powiesić w klasztorze. Hr. Tosio nabył je bowiem w r. 1829 i zdaje się, że obraz był pierwiej własnością jednej ze zniesionych korporacji religijnych. Autor podpisu znalazł się dość dowcipnie, gdyż o zimnej tej postaci można przypuszczać, że była mściwą i że pożądała głowy



św. Jana. Portret Bonvicina nie dorównywa poetycznym opisom Tullii, które nam hojnie przekazali ówcześni rymotwórcy, ani nawet wspomnieniom, które się tu i owdzie w listach o niej zachowały. Zdaje się, że poetka-kurtyzana podbijała serca raczej wielkim swym wdziękiem, aniżeli pięknnością. Jeden ze współczesnych opowiada, że Tullia odznaczała się taką gracją i taką uprzejmością, a przytem ubierała się tak uroczo i tak pociągająco, że nie można było sobie nic miłszego i nic zgrabniejszego nad nią wyobrazić. Wojowała żywością oczu, które zdawały się rzucać płomienie w serca jej wielbicieli. O tych oczach śpiewa Muzio:

..... occhi belli,  
occhi leggiadri, occhi amorosi e cari  
piu che le stelle belle e più che il sole.

Jasnymi jej włosami zachwycał się kardynał Hipolit de' Medici:

se'l dolce folgorar de i bei crini d'oro  
e'l fiammeggiar de i begli occhi lucenti,  
e'l far dolce acquetar per l'aria i venti  
co'l riso, ond'io m'incendio e mi scoloro...

Zdaje się, że to jedyny wiersz, który się dochował po tym sympatycznym młodym Medyceuszu.

Płomienne oczy i jasne włosy nie wyczerpują jeszcze zalet Tullii. Grała po mistrzowsku na rozmaitych instrumentach i śpiewała tak pięknie, że ją zwano »alma Sirena«. Nie mogę się powstrzymać, aby jeszcze nie przytoczyć kilku wierszy jednego z największych jej wielbicieli, poety Muzia:

Quando (com' Amor vuol) la donna mia,  
Tra suavi sospiri e dolci accenti,  
Move la lingua a angelici concerti  
E l'aure del bel patto a l'aere invia...

Nieraz bawiła Tullia swych gości, tańcząc »rosinę« albo »pawanę« i nucać jakąś piosenkę, a z taką łatwością umiała



prowadzić rozmowę, iż »podobna do Kleopatry«, porywała swym wdziękiem całe towarzystwo.

Zdaje się, że złym duchem Tullii była matka i że na jej losy bardzo szkodliwy wpływ wywarła. W jednym z ówczesnych sonetów znajduje się niepochlebna uwaga o Giulii, podczas gdy poeta nazywa córkę prawdziwą królową Parnasu i przepowiada, że na jej skroniach spocznie wieniec z wawrzynu.

W domu Tullii w Rzymie bywali najznakomitsi ludzie, mówiło się o polityce, o poezji, o najpoważniejszych przedmiotach. Domenichi pisze, że raz spierano się tam, czy Petrarca dużo myśli przejął od dawnych prowensalskich i toskańskich poetów. Kilku z przytomnych uważało takie zapożyczanie się u innych pisarzy za niegodne wielkiego poety. Wtedy jeden z gości, Umore da Bologna, człowiek dowcipny, włożył beret na głowę i powiedział, że Petrarca w ten sposób układał wiersze z pomocą starożytnych autorów, jak dzisiejsi Hiszpanie robią piękne nakrycia na głowy. Kradną Włochom berety, a nie chcąc być karanymi za złodziejstwo, przyszywają do nich nowe ozdoby, aby nikt swej własności nie poznał.

Przytomny rozmowie jakiś Hiszpan obraził się i zapytał: »Che dizis vos signor de los Espagnoles?« — A to pan Hiszpan? — odrzekł Umore — nie wiedziałem o tem...

Umore zaczął mówić o czem innem, a Hiszpan nie poczuwał się do obowiązku bronienia dalej honoru swego narodu.

Tak znakomity człowiek, jak Filip Strozzi, bywał często w domu Tullii. Powołał go wtedy Klemens VII do Rzymu, aby go skłonić do pomagania Aleksandrowi Medyceuszowi w zaprowadzeniu rządów despotycznych we Florencyi, a w czasie toczących się układów z papieżem i kardynałami przepędzał Filip wolne chwile u Tullii i tak dalece się nią zajął, że się jej zwierzał nawet ze spraw politycznych. Strozzi, jak wiemy, miał za żonę Klarysę de' Medici, ale od młodości lubił towarzystwo kurtyzan. We Florencyi znano go jako wesołego towarzysza, który co chwilę miał jakieś miłośne przygody. O jego stosunku z Camillą da Pisa powszechnie sobie opowiadano; dochowało się nawet kilka listów



tej florentyńskiej piękności, do Filipa pisanych. Listy techną prawdziwą miłością; w jednym zapewnia Camilla, że mu będzie wierną za życia i »po śmierci«, w innym nazywa go połową swej duszy, światłem swoich oczu; ale co najciekawsze w tych listach, to łacińskie frazesy, którymi kurtyzana swe wyrzucenia przeplata. Raz np. zaczyna szumnemi słowami: »Advenisti dilectus et desideratus meus, advenisti protector et defensor meus, advenisti salus et vita mea; advenisti, ut me ab omnibus insidiis inimici liberares, et ideo per mille e poi mille et milioni di volte tua Signoria sia la ben venuta«. Nie była to jakaś osobliwa łacina, ale wogóle Camilla pisała ładnie, a nawet z pewną godnością. Nie przeszkadzało to wszakże, że wkrótce, zapewne po zerwaniu stosunku ze Strozsim, posyłała równie gorące listy do Franciszka del Nero.

Strozzi bardziej cenił dowcip i umysłowe zalety u kobiet, aniżeli wielką urodę. Głos miał piękny, razem więc ze swoim bratem Wawrzyńcem śpiewał publicznie przy niejednej sposobności, zwłaszcza w dni świąteczne w kościołach, albo w karnawał, obchodząc w masce ulice w licznej kompanii. Pisał także wiersze i układał madrygały do muzyki, które jeszcze po jego śmierci śpiewano.

Hałasu narobiła w Rzymie jakaś sprawa honorowa, w której Strozzi chciał ze szpadą w ręku stanąć w obronie Tullii. Zapewne pogłoska o tem zajściu doszła do Florencyi, gdyż przyjaciel Filipa, Vettori, napisał do niego list z przedstawieniami, że taki człowiek, jak on, mający lat czterdzieści trzy, obywatel, jakich niewiele się rodzi w stu nawet latach, nie powinien się przecież narażać dla kobiety, która może bardzo jest zręczną i pełną dowcipu, ale nawet nie słynie z wielkiej piękności. »Załatwiał czem prędzej interesa, jakie masz w Rzymie, i wracaj do domu«, kończył rozumny przyjaciel.

List ten widocznie odniósł pożądany skutek, bo Strozzi wkrótce, w kwietniu r. 1531 bawił już we Florencyi.

Człowiek ten, pełen zalet, powszechnie lubiany, odebrał sobie życie w siedm lat później, w więzieniu.

W kilka miesięcy po wyjeździe Filipa z Rzymu, stała



się Tullia powodem nowego głośnego zajścia. Jacyś nieprzyjaciele kurtyzany zaczęli rozsiewać o niej obelżywe pogłoski, wskutek czego młodzież, która u niej bywała, poczuwała się do obowiązku publicznie ująć się za przyjaciółką i ogłosić wyzwanie, *cartello di sfida*, dotyczące się każdego, kto by chciał uwłaczać jej honorowi. Kartelus, napisany górnolotnym stylem, rozpoczyna się twierdzeniem, że ludzie szlachetni powinni się ująć za kobietą, którą natura szczególnymi obdarzyła zaletami. Więc sześciu z młodzieży, a na ich czele Emilio Orsini, ofiaruje się, według wszelkich praw wojskowych, bronić jej honoru i utrzymywać, że *Illustrissima Signora Tullia d'Aragona* błyszczy niepospolitymi talentami i cnotami i ma większe zasługi, aniżeli jakiegokolwiek inne kobiety przeszłych, terażniejszych i przyszłych czasów. Każdy z tych panów podpisał się na dokumencie z dodaniem równobrzmiącej formuły, że »obowiązuje się popierać to, co na karteluszu powiedziano«.

Widoczny to już wpływ hiszpańskich rycerskich zwyczajów, które zrodziły *Don Quixota*.

Pomiędzy Tullią a matką musiały w owym czasie zajść jakieś nieporozumienia, gdyż pięćdziesięcioletnia, ale pełna jeszcze gorących uczuć Giulia, przeniosła się z Rzymu do Adryi, małego miasteczka w Ferraryjskiem, i tam obdarzyła swą córkę nowonarodzoną siostrzyczką, którą nazwała także d'Aragoną, pomimo że kardynał już umarł przed dziewiętnastoma laty.

Ale i Tullia musiała wkrótce Rzym opuścić, zepsuła sobie bowiem zupełnie »stanowisko«, przyjąwszy raz w buduarze jakiegoś wprawdzie bardzo bogatego, ale brzydkiego Niemca, Gianniego. Młodzież rzymska uważała ten postępek ulubionej kurtyzany za zdradę narodową; Pasquino nawet zaczął ją ośmieszać, nie pozostawało więc nic innego, jak tylko wyjechać.



## II.

Na razie udała się Tullia do Adryi, do matki; ale ani puste ulice miasta, ani kwilenie małej siostrzyczki nie odpowiadało jej ideałom, przeniosła się więc w roku 1537 do Ferrary.

Niewiadomego nazwiska korespondent pisał wtedy z Ferrary do Izabelli d'Este, że przybyła tam na kilka miesięcy z Rzymu kurtyzana nazwiskiem Tullia, nadzwyczaj miła, skromna w obejściu, o najlepszem ułożeniu i prawdziwie boskich zwyczajach. Śpiewa prześlicznie, wyjątkowo wdzięcznie rozmawia, tak że niema kobiety, któraby jej wyrównać potrafiła. Nawet »*Illustrissima signora marchesa di Pescara*« (Vittoria Colonna) z nią się mierzyć nie może. Dom jej o każdej godzinie otwarty, pełen znakomitych gości. Bogactw posiada dużo: złotych łańcuchów, pierścieni, rozmaitych kosztowności i wogóle wszystkiego ma pod dostatkiem.

Wzmianka o Wiktorii Colonnii w tym liście ma swoje znaczenie, gdyż markiza bawiła wtedy w Ferrarze, aby popierać u księstwa Bernardina Ochina i pomagać mu w założeniu klasztoru Kapucynów. Ochino porывał tłumy swemi kazaniami, a pomiędzy pobożnymi słuchaczkami znajdowała się zawsze Tullia, przybrana w pokutniczą siermięgę. Podówczas tak się przejęła naukami pobożnego mowcy, że nawet poświęciła mu jeden ze swych najpiękniejszych sonetów, »*A Bernardo Ochino*«; nie mogła mu tylko darować, że występował przeciw muzyce i tańcowi, najpiękniejszym dąrom, jakie Pan Bóg dał ludziom. Po kazaniu zdejmowała wszakże Tullia włosiennicę i znowu przywdziewała aksamity i wkładała perły, naszyjniki i emalią zdobne bransolety. Ochino podbijał umysły, Tullia w wolnych chwilach podbijała serca. W tej mierze znowu nam powyższy list ciekawie opowiada fakty.

Potomek jednego z najznakomitszych domów w Ferrarze, którego nazwiska nie chce korespondent wymienić ze względu na honor rodu, zakochał się w Tullii bezmiernie, a chcąc pozyskać jej łaski, ofiarował jej sznury pereł i na-

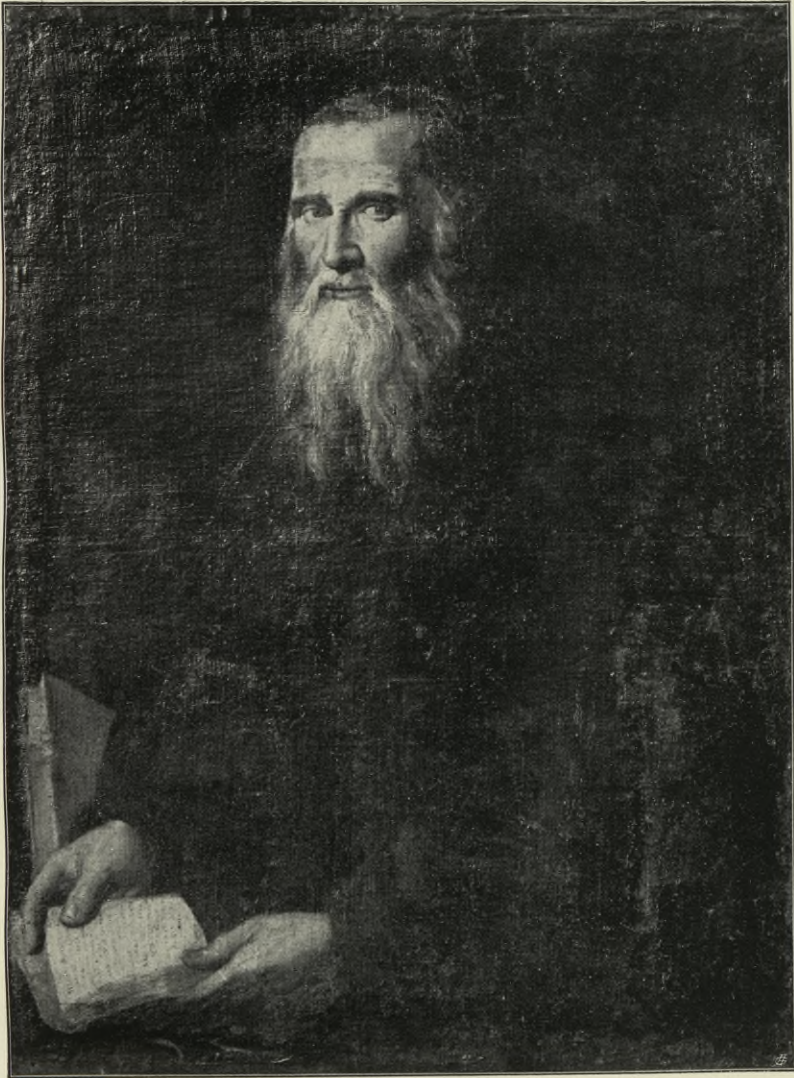












Bernardo Ochino.

Według portretu w galerii Pallavicinich w Rzymie.  
Portret reprodukowany po raz pierwszy.







szyjniku wielkiej wartości. Ale kurtyzana-pokutnica, jakby głaz najtwardszy, nie topniała pod ogniem miłości. Wtedy młodzieniec, doprowadzony do szaleństwa, oświadczył się o jej rękę, obiecał, że jeżeli tylko pójdzie z nim do ołtarza, pojmie ją natychmiast za małżonkę. Tullia odpowiedziała odmownie, utrzymując, że chce zostać wolną, oddawać się nadal poezji i nie wkładać na siebie pęt małżeńskich. Wtedy ów młodzian postanowił zdobyć ją podstępem. Napisał do Tullii, że jego siostra i jedna z krewnych, słysząc tyle o jej zaletach, chciałyby ją poznać i że w tym celu radeby przyjść do niej na kolację. Tullia odpowiedziała grzecznym zaproszeniem, a natarczywy kochanek przysłał swego kucharza i prowianty. Ale piękna gospodyni napróżno czekała na zaproszone panie, a natomiast przybył sam młodzian, bardzo późno, już o dwudziestej czwartej godzinie, z jednym ze swych towarzyszy. Przepraszał Tullię imieniem swej siostry, że przyjść nie mogła, ale że nie otrzymała od męża pozwolenia na wieczorną wycieczkę. W troje więc spożyto wieczerzę, a gdy dwaj panowie pomimo późnej już nocy nie odchodzili, Tullia prosiła ich, aby ją pozostawili samą. Na to ów wielbiciel zaczął ponownie swą miłość wynurzać, ofiarował jej perły wartości stu skudów, a nadto oświadczył, że wszystko już przygotowane do ślubu: ksiądz, świadkowie, pierścienie, i że akt uroczysty ich małżeństwa może się odbyć bez zwłoki. Gdy jednak Tullia stanowczo trwała w swoim oporze i o ślubie słyszeć nie chciała, młodzian wyjął puginał i pchnął się nim w piersi; szczęściem stał poszła w bok i rana, chociaż ciężka, nie była śmiertelną.

Cała Ferrara mówiła tylko o Tullii; Ercole Bentivoglio pisze w jednym ze swych sonetów, że od chwili, kiedy ta czarodziejka pozostawiła Tyber i siedm pagórków po sobie w żałobie, a swą obecnością uszczęśliwiła brzegi Padu, zgasła w Ferrarze wszelka pospolita żądza i namiętność, a tylko słodka, boska miłość nad sercami panuje.

Tullia nie była wszakże tak okrutną, jak się okazała wobec młodzieńca, o którym mówiliśmy. Miała ona i w Ferrarze swoje słabości, a do wybranych należał tam przed innymi poeta Girolamo Muzio, dworzanin księcia Ercola II.



Muzio mieszkał w pobliżu naszej kurtyzany, stosunek dość szybko się zawiązał, co nie przeszkadzało poecie, aby pisał miłosne eklogi, w których się skarży na srogość nimfy, którą ma być Tullia. Te poetyczne porywy pod tytułem »Amorose« należą do najlepszych rymów, jakie Muzio napisał, dużo w nich siły i prawdziwego uczucia. W pięciu księgach, mieszczących trzydzieści pięć eklog, opisuje poeta swe miłosne męczarnie, a gdzieniegdzie wynurzenia jego tchną wielkim realizmem, jak n. p. następujące wezwanie:

Vien, Nimfa bella, e fra le molli braccia  
raccogli quel, che con le braccia aperte,  
disioso t'aspetta, e nel tuo grembo  
ricevi lieta l'infocato amante.

W eklogach tych, opisujących także inne płomienne serca, występują znane postacie, jak marchesa del Vasto, Duca i Ducessa di Mantova, Ercole d'Este, kardynał Hipolit. Z wielkiem też zajęciem słuchano tych poezji, gdy Muzio czytał je w zamku wobec książęcej rodziny i dworzan. Ale poeta był nieostrożny; opisując piękność Tullii, którą nazywał »la Venere celeste«, zanadto zwracał uwagę Ercola II na rzymską kurtyzanę. To też duca długo się nie namyślał, lecz pragnąc zapewne zastąpić Muzia u tej »niebiańskiej Wenerzy«, wysłał poetę w sprawach dyplomatycznych do Medyolanu. Muzio prosił, aby Ercole komu innemu powierzył ową misję, ale prośby te nie odniosły skutku, poeta musiał wyjechać. Na tem wygnaniu pisywał Muzio listy do przyjaciół, z których się dowiadujemy, że niemałe przechodził niepokoje i cierpienia, nie dowierzał bowiem Tullii i obawiał się, że »poetessa« w jego nieobecności odda serce innemu wielbicielowi.

Muzio nie mylił się zresztą. Czy podejrzenia co do Ercola były prawdziwe, nie wiemy; ale po wyjeździe poety znalazł się inny literat, Ercole Bentivoglio, który owdładnął sercem Tullii. Po Bentivogliu nastąpili inni, a wkrótce powstała wokoło kurtyzany prawdziwa akademja uczonych, będących pod jej urokiem. Sama Tullia opowiada o tem w swym później napisanym dyalogu »Della infinità d'amore«, w któ-



rym rozmawia z Benedettem Varchim i Lattanzjem Benuccim o swych tryumfach. Benucci sądzi tam, że Tullia powinna się czuć najszczęśliwszą z kobiet, albowiem mało się pomiędzy współczesnymi literatami znajduje takich, którzyby się w niej nie kochali albo nie składali jej hołdów. Książęta, uczeni, kardynałowie schodzą się w jej domu, jakby w akademii. Że tak było, świadczą poezye i sonety sławnych ludzi, na jej cześć układane.

### III.

Tullia nie długo bawiła w Ferrarze; pociągała ją Wenecya, która po Rzymie była drugą stolicą kurtyzan. Zastała tam Bernarda Tassa, ojca wielkiego poety, który, pomimo że już nie młody, namiętnie się w niej zakochał. Tasso jednak był wówczas w przykrych materyalnych stosunkach i nie mógł poetce pomagać. Wogóle »stanowisko« nowej kurtyzany bardzo było trudne w Wenecyi; czyhała na nią zazdrość i zawiść osiadłych tam kurtyzan, które poruszyły wszelkie sprężyny, aby zmiażdżyć zamiejscową współzawodniczkę.

Najniebezpieczniejszą dla Tullii była Angela Zaffetta, albowiem popierał ją Aretino i pisał o niej, że jest »najpiękniejszą, najmilszą kobietą, jaką ma Kupido na swym dworze«. Angela wynajmowała pałac Loredanów, który urządziła po królewsku. Komnaty były tam obite kobiercami z Flandryi, brokatami, złożonemi skórami, a niektóre ściany ozdobili najznakomitsi malarze. Na posadzkach leżały tureckie dywany, na stołach aksamitne, złotem haftowane makaty. Meble, po większej części rzeźbione, albo zdobione intarzą, zapełniały liczne salony, a na kredensach lśniły się srebra, majoliki z Faenzy, z Cafaggiolo, z Urbino i najpyśniejsze szkła weneckie. Właścicielka, znana z niepospolitego smaku, porozrzucała po całym mieszkaniu w artystycznym nieporządku obrazy, kosztowną broń, książki pięknie oprawne, lutnie, mandoliny i rozmaite inne misternie robione drobnostki.



Zaffetta lubiła nadzwyczaj ptaki i rzadkie zwierzęta; więc po pałacu rozlegał się wrzask gadających papug i pisk małych dziwaczników, a przedsionki i loggie pełne były kwiatów i niezwykłych roślin. Zręczne i uprzejme pokojowe obsługiwały panią i wprowadzały gości, a dom był zaopatrzony we wszystko, co tylko smakosze wymarzyć mogli. Piwnica przechowywała najlepsze wina, a spiżarnia tak była urządzona, że o każdej godzinie można było stół zastawić najwyborniejszymi przysmakami.

Takich zamożnych kurtyzan było niemało w Wenecji, a w ich zaczarowanych pałacach gromadził się cały znakomity świat męski: ambasadorowie, najwyżsi dygnitarze rzeczypospolitej, prałaci i uczeni; każdy też ze sławniejszych przejezdnych starał się o to, aby być zaproszonym do jednej z modnych Aspazji. Te głośnie panie umiały się wszakże »szanować«; domy ich nie były dla każdego otwarte, używano nieraz najrozmaitszych protekcyi, aby przekroczyć te kwiatami ozdobione progi, a w przedpokojach spotkać tam było można, jak na książęcych dworach, ludzi pragnących zobaczyć piękną »padronę«. Do pałacu Lukrecji Romany w Rzymie tak trudny był przystęp, że nieraz czekano miesiącami, aby z nią kilka słów pomówić. Inna kurtyzana w taką się wzbija dumę, że mężczyznom pozwalała zbliżać się do siebie tylko na klęczkach, a do tej ceremonii były umyślnie przygotowane jedwabne poduszki. O jednej z nich śpiewa Mauro, że rozkazuje jak królowa:

Ella sta bene come una duchessa,  
E ne comanda come una reina.

Gdy jaka słynna kurtyzana wyjeżdżała z miasta albo powracała z podróży, powszechnie o tem mówiono; ambasadorowie donosili o takim zdarzeniu swym dworom, a wogóle ówczesne listy i sprawozdania dyplomatyczne pełne są wiadomości o tych paniach. Grały one do pewnego stopnia rolę polityczną, gdyż w ich komnatach uknuto niejedną ważną intrygę. Signora Salterella wjeżdżała raz do Rzymu w tyle koni, z tak liczną służbą i takim zbrojnym oto-



czeniu, że, jak powiada ktoś ze współczesnych, zdawało się, iż Marfiza przybywa do obozu Maurów. Do kościoła lub na publiczne festyny udawały się kurtyzany z licznym orszakiem. Pochód otwierał zazwyczaj maggiordomo, paziowie otaczali swą panią, a cała procesya wielbicieli szła w pysznych strojach na ostatku. Pomędzy nimi nie brak było takich, którzy każdej chwili gotowi byli wyciągnąć szpadę w obronie honoru diwy. Ślad takich zwyczajów zachował się w przedstawieniach kościelnych, w tak zwanych *sacre rappresentazioni*. W jednym z nich wchodzi Magdalena do świątyni, w świetnym stroju, w towarzystwie swoich przyjaciół i czterech panien pokojowych, aby słuchać nauk Chrystusa. Z wielką pompą zajmuje święta grzesznica stallę blisko ambony.

Grossino opowiada w liście swym, pisanym do Izabelli Mantuańskiej z Rzymu w styczniu r. 1512, że w kościele św. Sebastjana odbyła się wielka uroczystość, a pomimo deszczu tłumy ludzi się tam zgromadziły i uderzało mnóstwo kurtyzan wystrojonych z wielką pompą. Niektóre przyjechały konno, niektóre na mułach w otoczeniu tak świetnym, że trudno już w Rzymie rozpoznać przyzwoitą kobietę, »una donna da bene«, od kurtyzany. Kościołów tak dalece nadużywano do miłosnych schadzek i popisywania się strojami, że nawet madonna Nicolosa, kurtyzana, hiszpańska żydówka, znana w Rzymie około r. 1513, odwiedzała kościoły kosztownie ubrana, z ogromnym wachlarzem w ręku, w towarzystwie czterech lub sześciu panien służących. Rozsiadała się w świątyniach i czytała psalmy po hebrajsku. Wiedziała zresztą, że ma możną protekcję, gdyż Francesco Maria duca d'Urbino bardzo był nią zajęty.

Ale nie zawsze zbierały kurtyzany same tylko hołdy; bardzo często zdarzało się, że zrujnowani albo pogardzeni kochankowie mścili się na nich satyrą i paszkwilem. Często obok politycznych wierszyków przylepiano w Rzymie na torsie Pasquina, a w Wenecyi na tak zwanym »Gobbo di Rialto« zjadliwe sonety przeciw tej lub owej kurtyzanie. Przyjaciel Aretina, malarz Andrea, kazał raz w Rzymie zaprządź osła do wózka, na którym były poumieszczane por-



trety starych rzymskich kurtyzan, a gdy ten wehikuł poobjeżdżał główne ulice miasta, zatrzymał się nad brzegiem Tybru, gdzie ku wielkiej uciesze publiczności zaczęto topić te obrazki w nurtach rzeki. We Florencyi urządziło raz grono mężczyzn cały pochód, wymierzony przeciw kurtyzantom. Udawali oni złotą młodzież, którą lekkie kobiety doprowadziły do ubóstwa, i śpiewali satyryczne wiersze.

Garzoni w swej »Piazza universale« ubolewa, że kurtyzany posiadły nawet naukę, że naśladową gramatyków w swych listach, które bywają tak zręcznie pisane, że uczeni muszą je podziwiać. Umieją znakomicie prowadzić rozmowę i wyrażać swe najtajniejsze myśli w sposób prawdziwie subtelny. Wożą ze sobą sonety Petrarcki, rymy Cieca d'Ascoli, Arkadyę Sannazara, madrygały Paraboska, Furiosa Aryosta, a przede wszystkim kochają się w strambottach Sassoferrata d'Olimpo. Na swem łonie mają zawsze ukryty jakiś sonet do nich pisany, w ręce madrygał albo miłosną sestinę, na stole gładką kanzonę. Jedna z kurtyzan rzymskich, Squarcina, wybornie umiała po grecku.

Gdy się Tullia osiedliła w Wenecyi, chciała zrazu zająć jakieś wyjątkowe stanowisko kurtyzany-poetki i dlatego starała się o przyjaźń literatów; ale właśnie to odróżnianie się od innych kapłanek Wenery nie wyszło jej na dobre. Słynny literat, Sperone Speroni, profesor uniwersytetu w Padwie, napisał rozprawę »Dialogo d'amore«, w której wprowadził Tullię rozmawiającą z Bernardem Tassesem o zasadach miłości. D'Aragona utrzymuje tam, że prawdziwa miłość musi być połączeniem miłości duchowej z miłością zmysłową, co niczem nowem nie było, ale zarazem uderza na kurtyzany, wyznaje, że życie ich jest nędznem i niejako wstydzi się swej przeszłości. Autor korzysta z tego zwierzenia, aby ją tem bardziej podnieść, jako kobietę o zacnych ideałach, i porównywać ze słynnemi bohaterkami starożytności. Speroni utrzymuje, że obok Safony potomność będzie o Tullii wspominać jako o drugiej wielkiej kurtyzanie-poetce.

Dyalog ten wywołał wiele zazdrości, a przedewszystkiem Aretino gniewał się, że Speroni uwiecznił Tullię. Gniewał się tem bardziej, że rozprawę paduańskiego uczonego uważał za



jeden z najpiękniejszych literackich utworów i sądził, że tak jest zbudowaną, jak Panteon w Rzymie. Aretino powtarzał w całej Wenecyi, że Tullia nie zasługuje na wyniesienie jej do takiej wysokości i że te pochwały wywołują słuszne oburzenie cnotliwych kobiet. Posądzał także rzymską kurtyzanę o chciwość, brak uczucia, rozgłaszał o niej najrozmaitsze niepoehlebne anegdoty z czasów jej pobytu w Rzymie, mówił, że chce uchodzić za księżnę, za mużę, za nimfę, że całe jej zachowanie się jest ciągiem udawaniem. W rozprawie swej, »Raggionamenti del Zoppino«, wysmiewał się z jej »szlachetnego urodzenia« i sądził, że wszystkie kurtyzany chcą zostać wielkimi paniami. Tullia stała się celem i innych literackich napaści. Battista Giraldi, który ją musiał znać jeszcze za młodych czasów w Rzymie, wyrażał się o niej niepoehlebnie w swych »Ecatommiti«, a wszystkie kurtyzany nazywał krwiożerczemi wilczycami, drapieżnemi harpiami, zjadliwemi gadzinami i utrzymywał, że te kobiety są morzem wszelkiego złego, niebezpieczeństwem dla społeczeństwa, powiększającym się z dnia na dzień, ruiną mienia, życia i honoru mężczyzn. W nowelli »Saulo e Nana« daje portret Tullii, będący przeciwieństwem hymnów pochwalnych zakochanego Muzia, a nawet krytykuje urodę Tullii, wysmiewa się z jej długiego, cienkiego nosa, grubego na samym końcu.

#### IV.

Mając takiego nieprzyjaciela, jak Aretino, nie mogła Tullia długo ostać się w Wenecyi, przeniosła się więc do Syeny. Miała już wówczas lat trzydzieści siedm i sądziła zapewne, że łatwiej zdoła podbijać serca na głuchej prowincyi, aniżeli w stolicy zbytku, w Wenecyi. Kurtyzana, która z dumą odrzuciła przed kilkoma laty starających się o jej rękę, poszła w Syenie za mąż za jakiegoś Ferrarczyka nizkiego stanu, Guicciardiego, który, jak się zdaje, miał jej dawać tylko tytuł mężatki. Tytuł ten wszakże nie wystarczył na pokrycie jej właściwego życia, gdyż w kilka miesięcy po ślubie pociągnięto ją w urządzie miejskim do odpowiedzial-



ności, że pomimo iż jest kurtyzaną, mieszka poza ulicą, dla swych koleżanek przeznaczoną, i ubiera się tak, jak tym kobietom ubierać się nie wolno. Tullia jednak wykazała się, że jest mężatką, że prowadzi życie przyzwoite i że nie podlegając przepisom wydanym dla kurtyzan, może nosić suknie, jakie jej się podoba. Mimo tego usprawiedliwienia, znaleziono niebawem w puszcze, przeznaczonej na donosy, pismo, obwiniające Tullię, że się ubiera nieodpowiednio do statutów; ale capitano di giustizia nie uwzględnił tym razem denuncyacyi. Autor słynnych nowel, Firenzuola, musiał jednak lepiej znać stosunki Tullii, aniżeli syeneński sędzia; w jednej bowiem ze swych powiastek opowiada o jakimś złym mężu, któremu by się należała żona w rodzaju Tullii, która żyje z oszukiwania męża, a mimo to każe mu z głodu umierać.

W Syenie Tullia szczęścia nie znalazła. W rozdartem na stronnictwa, zubożałem społeczeństwie tego rodzaju kurtyzany, jak ona, nie miały powodzenia, a co więcej, zamieszana w jakieś polityczne intrygi, musiała z miasta wyjechać w roku 1544, pozbywszy się męża, o którym odtąd nic nie wiemy. Rewolucyoniści syeneńscy musieli jej bardzo dokuzyć, gdyż chcąc się przenieść do Florencyi, napisała do księcia tokańskiego sonet, w którym powołując się na nienawiść, jaką żywi ku syeneńskim rewolucyom, »rivolture sanesi«, prosi go o gościnność nad Arnem. Książę, nie lubiąc Syeneńczyków, chętnie pozwolił jej na pobyt we Florencyi. W zimie więc roku 1546 wyjechała Tullia z Syeny, prawie w ubóstwie, chora na ducha i na ciele, »poco fornita di roba ed in mala condizione d'animo e di corpo«. Ale w dużem, bogatym mieście odzyskała wkrótce humor i zdrowie; pomimo lat czterdziestu miała wybornie wyglądać, a jeden z jej wielbicieli pisał wówczas, że ciało jej było bielszem od alabastru i od najczystszej śniegu. Piękność jej ręki stała się przedmiotem zazdrości kobiet, śpiewem swym podziw wzbudzała, a Florentyńczycy nie mogli się nachwalić łatwości, z jaką prowadziła rozmowę. Znowu porównania jej z Safoną i Korynną sypały się jak z rogu obfitości.

W obcym dla siebie mieście szukała Tullia oczywiście protektora i znalazła go w Benedecie Varchim, słynnym poe-













Fot. Löwy w Wiedniu.

Benedetto Varchi. 161

Według portretu Tycyana w ces. Galeryi w Wiedniu.

Do str. 453.







cie i zajmującym człowieku. Varchiego, wygnańca, powołał był niedawno duca Alessandro de' Medici, aby miewał odczyty o literaturze w Akademii degli Umidi. Poprzedziło go głośnie imię, tak że ludzie stawali na ulicy, gdy przechodził, aby mu się przypatrzeć. Varchi pisał dzieje Florencyi, do dziś dnia bardzo cenione; ale publiczność ówczesna знаła go dopiero z miłosnych poezyi i wierszy okolicznościowych, okraszonych dziwnym dowcipem, które Berni właściwie wprowadził do włoskiej poezyi. Stąd owe wiersze zwano »poesia bernesca«, a dość powiedzieć, że pomiędzy tego rodzaju utworami Varchiego znajduje się pochwała wieprzowych nóżek, wiejskiego sera, albo nagana twardych jaj.

Sława Varchiego nie zawsze wypływała z zasługi i moralnych czynów. Należał on do tych ludzi swego wieku, którym nie trzeba się przypatrywać w prywatnym życiu. Niedawno przed przybyciem Tullii do Florencyi, w czasie, gdy bawił w małej swej willi w Careggi, posądzono go o uwiedzenie bardzo młodej dziewczynki. Signori ośmiu, tworzący wydział sprawiedliwości, polecili go uwięzić, wytoczyli mu proces i skazali dzięki możnym protekcjom tylko na wysoką grzywnę. Zdarzenie to narobiło w całych Włoszech wiele hałasu. Varchi poruszył wszystkich swoich przyjaciół, książąt, prałatów, aby się za nim wstawili do Medyceusza. Gdy zaś wolność odzyskał, schronił się na wieś, aby powstała przeciw niemu burza trochę się uspokoiła. Tullia, która znała Varchiego jeszcze z rzymskich czasów, albo z Wenecyi, chciała we własnym interesie ściągnąć go jak najprędzej do miasta, aby mieć w nim towarzyszką podpórę; pisała więc do niego listy i sonety, zachęcające do powrotu.

Varchi, il cui raro ed immortal valore,  
Ogni anima gentil subito invoglia,  
Deh perchè non poss'io com'ho la'voglia,  
Del vostro alto saver colmarmi il cuore.

Poeta miał jeszcze w zanadto świeżej pamięci mury Bargella, aby się śpieszyć do Florencyi; ale nareszcie nie mógł się oprzeć wezwaniom pięknej kurtyzany, pojawił się



w mieście i »mimo włosów, śniegiem przyprószonych«, o których często wspomina w swych wierszach, pisanych do Tullii, rozkochał się w niej całą namiętnością młodzieńczego serca.

W lecie r. 1546 Tullia przebywała w jakiejś willi nad brzegiem Mensoli; Varchi, słaby, pozostał we Florencyi, więc znowu krążyły pomiędzy nimi listy, do których najczęściej były dołączane miłosne sonety. U Tullii bawiła stara matka, obydwie d'Aragony przyjmowały licznych gości, a z rozmów, we Florencyi i nad Mensolą prowadzonych z rozmaitemi znakomitościami, wzięła poetka treść do swego dialogu »Dell' Infinità d'amore«, w którym jako główne osoby występują sama Tullia i Varchi, a jako podrzędny interlokutor doktor Benucci. Ale ani Varchi ani Benucci nie zakłócili spokoju jej duszy, niebezpieczeństwo ostatniej miłości, namiętnej, porywającej raz jeszcze całe jestestwo poetki-kurtyzany, groziło skądinąd. Nowa miłość nosiła wszelkie cechy romansu czterdziestoletniej kobiety, gdyż ukochanym był młodzieniec, liczący zaledwie lat dwadzieścia cztery i nazywał się Piero di Leonardo di Niccolo Mannelli. Nie była to już miłość szczęśliwa, lecz namiętność zaprawna męczarniami zazdrości, gdyż młody Florentyńczyk często dawał do niej powody. Literatura wszakże niezliczonych włoskich sonetów zyskała na tym romansie, gdyż najpiękniejszy sonet, jaki Tullia napisała, zwraca się do Manellego.

Miłość ta trwała niedługo, zapewne z winy florentyńskiego młodzieńca, a rozboleła Tullia szukała pociechy po doznanych zawodach w nowych znajomościach, w nowych stosunkach. Nie deszcz, lecz prawdziwa ulewa sonetów padała ciągle wokoło Tullii, a pomiędzy ich autorami było tak dużo uczonych i akademików, że starzejącą się kurtyzanę przezwano »cortegiana degli academici«.

Ale po poetycznej ulewie uderzył niespodziewany piorun. Duca Cosimo wydał 19 października 1546 ponowne rozporządzenie o ubiorach mężczyzn i kobiet, które pomiędzy innymi zawierało przepis, że kurtyzansom nie wolno nosić ubrań z sukna i jedwabiu i że powinny wychodzić na ulicę tylko w chustce na głowie, mającej szerokie obramowanie



ze złota albo z żółtego jedwabiu. Tullii ani na myśl nie przyszło zastosować się do takiego regulaminu, była przecież poetką i miała możnych przyjaciół! Jednak mniej więcej w pół roku po ogłoszeniu owych przepisów zawołano ją na ratusz i surowo przypomniano, jak się ma ubierać. Nieszczęśliwa poetessa była w rozpacz, poruszyła wszystkich swoich znajomych, a i stary Varchi musiał jej pomagać w tem nieszczęściu. Don Pedro di Toledo, siostrzeniec księżnej Eleonory, małżonki Cosima, wielki przyjaciel Tullii, radził, aby się do niej udała. Tullia więc napisała suplikę i dołączyła do niej sporo własnych i do niej pisanych sonetów na dowód, że jest poetką, a nie taką kurtyzaną, jak inne. Zresztą obiecywała ubierać się nadzwyczaj skromnie, nie nosić ani sukna, ani aksamitów, lecz wychodzić na ulicę tylko w czarnym płaszczu »alla romana«, bez wszelkich ozdób i wyszywań.

Protekcya Don Pedra di Toledo poskutkowała; Cosimo napisał na podaniu, aby je uwzględnić, »fasseli gratia per poetessa«, a minister, Lelio Tovelli, rozkaz ten podpisał. Tullia miała więc urzędowe poświadczenie, że jest poetką. Dokument powyższy i wydana rezolucya zachowały się do dziś dnia w archiwum państwowem we Florencyi.

Stanowisko poetki chciała teraz Tullia usprawiedliwić, uświęcić i postanowiła wydać swe poezye. Napisała dwa sonety celem okazania wdzięczności dla księżnej, a mianowicie jeden na śmierć małego Don Pedra, a drugi z okazji urodzin owego Don Garzii, którego prześliczny portret podziwiamy do dziś dnia w Uffiziach. Jest to obraz, przedstawiający małego chłopczyka o okrągłej, wesołej twarzy, bawiącego się szczygłem, którego trzyma w ręku. Na czele swej książki zamieściła poetessa list z dedykacją do księżnej protektorki, a Varchiego uprosiła, aby jej sonety poprawił. Książka wyszła jeszcze w roku 1547 w Wenecyi, w bardzo ozdobnem wydaniu. Poczciwy Varchi wszystko robił, czego tylko Tullia żądała, wygładził nawet sonet do swego rywala, Giordana Orsiniego, który we Florencyi miał stosunek z Tullią, a później ożenił się z Izabellą, córką Cosima Medyceusza. W czasie swego pobytu nad Arnem przerobiła d'Aragona



na poezję w oktawach romans rycerski, »Guerino il Meschino«, ale poemat ten wyszedł z druku dopiero w r. 1556, w cztery lata po śmierci autorki. W przedmowie występuje Tullia przeciw nieprzyzwoitej literaturze, psującej czystość duszy, a nawet gniewa się na Boccaccia z powodu jego Decamerona i na Aretina, że kala poezję; narzeka, że okolicznościami zmuszona, wiele w życiu przeszła i nauczyła się, i dziękuje Bogu, że ją jeszcze za młodu nawrócił; w tym poemacie chce dać przykład literatury czystej i chrześcijańskiej. I rzeczywiście zdaje się, że Tullia znajdowała się wówczas na drodze do duchowej przynajmniej poprawy. Matka Giulia była jednak przy niej i czuwała, aby ta poprawa nie stała się zupełną.

Stary Muzio nie zapomniał także o literackiej sławie kobiety, którą dawniej uwielbiał. Wydał on wówczas najznakomitszy utwór poetyczny Tullii, dyalog »dell' Infinità d'amore«, z listem służącym za przedmowę, w którym zapewnia, że teraz jeszcze więcej, niż kiedykolwiek, kocha poetkę, że wprawdzie oboje posunęli się w latach, ale że jej duchowa piękność, którą zawsze uwielbiał, wzmagą się coraz bardziej. Dyalog poświęcony jest miłości idealnej, w przeciwieństwie do miłości zmysłowej, i snuje mniej więcej te same idee, które Bembo wyraził w swych Asolanich. Miłość duchowa, sądzi Tullia, jest nieskończoną, jak wieczność, gdyż nie osiąga nigdy w zupełności swego celu cielesnego, połączenia kochanków. W całym dyalogu, żywo prowadzonym, okazuje Tullia zupełną znajomość dzieł Platona i Arystotelesa.

W jesieni roku 1548 wyjechała poetessa z Florencyi do Rzymu. Dlaczego? — Zapewne gwiazda jej gasła. Opuszczając Florencję, napisała jeszcze bardzo smutny list do Varchiego, polecając się nadal jego przyjaźni i posyłając mu na pamiątkę parę gołębi, z którymi zapewne nie wiedziała, co począć, butelkę małmazji i solniczkę z alabastru. Podarunki te świadczą, że owa Tullia, która przyjeżdżała do Ferrary ze złotymi naszyjnikami i mnóstwem pierścieni, dzisiaj była opuszczoną, ubogą. Matka żyła jeszcze, siostra Penelopa podraستاła i może Giulia, jak ongi Tullię, chciała teraz młodszą córkę w rzymski świat wprowadzić. Ale w Rzymie



panował już Paweł III, życie wesole, wolne dawnych czasów się skończyło. Tullia, która we Florencji unikła złotego welonu, musiała go tutaj na głowę zarzucić, gdyż ją znajdujemy w spisie kurtyzan rzymskich z r. 1549, jako płacącą podatek. Mieszkała wówczas znowu na Campo Marzio, w pobliżu pałacu Carpi. Tam wkrótce umarła jej siostra Penelopa, a Tullia pochowała ją w kościele św. Augustyna i położyła na jej grobie marmurową tablicę z napisem, wychwalającym zalety młodej istoty.

Biedna poetessa zestarzała się, nie było już do kogo pisać sonetów, nie było Varchiego, któryby je poprawiał, i przez lat siedm nic o niej nie słyhać. Dopiero mamy o niej wiadomość z drugiego marca 1556. Do ciężko chorej, leżącej w małej izdebce na Trastevere w domu, w którym miał Matteo di Parma austeryę, przyszedł wtedy notaryusz messer Virgilio Grandinelli. Lekarz, maestro Panunzio, kazał go zawołać, sądząc, że ostatnie jej chwile nadeszły. Przy chorej były dwie kobiety, Lukrecya, żona właściciela domu, w którym umierająca mieszkała, i służąca Christofora. Tullia miała jeszcze tyle siły, aby podpisać testament. Poleciała w nim przedewszystkiem duszę swą Bogu najwyższemu i Matce Jego, Pannie Maryi, tudzież całemu Dworowi na niebie, »a tutta la corte del cielo«. Donnie Lukrecyi zapisała urządzenie izdebki, łóżko, na którym umierała, i okalające je zielone kotary, a nadto przekazywała jej czarny, wełniany, używany już kaftanik, kilka sukien, płaszcz alla romana i dziesięć skudów w złocie. Słudze Christoforze dostało się także dziesięć skudów i ubranie.

Liczne zapisy poczyniła Tullia na cele kościelne i dobroczynne. I tak compagna del Crocefisso otrzymała parament z czarnego atlasu, zakonowi św. Augustyna przeznaczyła corocznie wosku za pół skuda na świece, które miały być zapalane w dzień zaduszny na jej grobie, a kościółowi di San Gregorio także corocznie po pół skuda, na odprawianie mszy za jej duszę. Lekarz Panunzio miał otrzymać nowy piękny żupan, a obowiązkowy niewielki legat należał się jeszcze mniszkom Konwertytkom na podstawie bulli Klemensa VII.



Testament zawierał wreszcie postanowienie, które cokolwiek zagadkowe światło rzuca na ostatnią epokę jej życia. Uniwersalnym bowiem spadkobiercą mianowała młodego chłopca Celio, którym się w czasie jej choroby opiekował messer Pietro Chiocco, naczelny kucharz u kardynała Cornaro. Odsetki z zapisanych mu funduszków miały być użyte na wykształcenie chłopaka, »per imparare lettere ed altre virtù«, a kapitał mógł być mu wydany dopiero, gdy Celio dojdzie do lat dwudziestu pięciu. Gdyby chłopak wcześniej umarł, majątek przechodził na Chioccę, a gdyby i ten nie żył, na cele pobożne.

Czy Celio był jej synem, nie wiemy.

W końcu testamentu rozporządzała Tullia, aby ją pochowano w kościele św. Augustyna, w grobie, w którym już leży jej matka. Pogrzeb miał się odbyć cicho, o dwudziestej czwartej godzinie, jak najskromniej, a konduktowi mieli towarzyszyć tylko bracia Augustyanie i członkowie kompanii del Crocefisso. Wykonawcami testamentu mianowała umierająca monsignora Antonia Trivulzia, biskupa di Tolone, i Maryę Frangipana, audytora roty. Opiekunem Celia został Orazio Marchiani, duchowny z Pistoii.

Po spisaniu testamentu modliła się Tullia jeszcze do Madonny i niebawem życie zakończyła.

Pozostałości po zmarłej sprzedano na licytacji. Klejnoty kupili złotnicy, Pompeo Fanetti a Santa Lucia, Maurizio Grano Piemontese i Francesco Alargon, Hiszpan. Stara skrzynia z papierami dostała się w ręce Franciniego z Arezzo. Znajdowało się w niej trzydzieści ksiązek włoskich i łacińskich, tudzież nuty i różne rękopisy.

---













Pasquino, na rogu pałacu Braschi w Rzymie.







## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

---

### POCZĄTKI PASQUINA.

#### I.

W czasie, kiedy się bardzo Pasquinem zajmowano, w początkach XVI wieku, mieszkał w Rzymie Teofil Folengo, człowiek dowcipny, najprzód zakonnik, następnie świecki nauczyciel w domu Kamilla Orsiniego, a wreszcie znowu zakonnik, a nawet biskup w jednym z miast Sycylii. Otóż ten Folengo w swoim humorystycznym poemacie »Maccharoniche« poświęca ustęp Pasquinowi, który tam opowiada swoją przeszłość. Przyszedł on z raję do Rzymu, a nie mając innego utrzymania, założył osteryę i przez lat pięćdziesiąt trudnił się nie tylko kuchnią, lecz i błażeństwem i rufiaństwem. Senat rzymski uznał jego zasługi i uczcił go otłuczonym posągiem na rogu pałacu Orsinich w dzisiejszym pałacu Braschich. Mając z różnymi ludźmi do czynienia, poznał ich błędy i zalety, a nauczony doświadczeniem, mówił zawsze prawdę. Ale prawda ludziom się nie podobała, oczerniono go przed Ojcem świętym, który skazał go na wygnanie z tego świata. Cały Rzym płakał z tego powodu, a nawet znaleźli się dygnitarze, którzy prosili papieża, aby, jeżeli już wypędza Pasquina, polecił go przynajmniej świętym Pańskim w niebie. Papież przychylił się do słusznych tych życzeń,



dano Pasquinowi odpuszczenie grzechów i list żelazny do raju, ale pod warunkiem, aby u bram niebieskich założył gospodę i gdy tam na mułach przybędą wypasieni pałacy, ugaszczał ich w komnatach wygodnie urządzonych na sposób niemiecki. Pasquino więc poszedł na ową wędrowkę i poświęcił się nowemu przedsiębiorstwu, ale duch jego pozostał w ukochanym Rzymie, wcielił się w ów posąg przy pałacu Orsinich i dalej mówił ludziom prawdę.

Tak sobie upoetyzował Folengo przeszłość Pasquina, rzeczywistość wszakże inaczej wyglądała. Pasquino był złośliwym dzieckiem humanizmu.

Uczniowie rzymskiego Studio święcili raz do roku uroczystość scholastyczną, w której popisywali się swymi łacińskimi wierszami, kto lepsze ułoży. Profesorowie zachęcali do tego turnieju i kierowali jego urządzeniem, gdyż im chodziło o naukę. Z czasem festyn studencki wyszedł z murów szkolnych na ulicę i stał się uroczystością całego Rzymu. Na rogu pałacu Orsinich na Piazza Navona, w którym mieszkał wówczas kardynał neapolitański, Oliviere Caraffa, leżał od dawna marmurowy tułów Menelausa, pochodzący z grupy greckiego dłuta, przedstawiającej Menelausa z ciałem Patrokla. Rzeźba potłuczona, bardzo zniszczona, zaledwie sterczała ze śmieci i nieczystości, a koło niej znajdowała się kamienna ławka, na której siadali zwykle księża podczas procesyi, odbywającej się w dzień św. Marka, dwudziestego piątego kwietnia. Na owo nabożeństwo przykrywano ławkę dywanami, a że zawalany Menelaus, którego wówczas zwano Herkulesem, bardzo raził duchownych, więc go także często przystrajać. Malarze z tej dzielnicy podjęli się tego zadania i zaczęli otłuczonej starożytnej rzeźbie nadawać co roku inny kształt i inaczej ją ubierać. W ten sposób mniemany Herkules przemieniał się raz w pielgrzyma, raz w Sybille, lub znowu w Merkurego, a nawet w Orfeusza.

Naprzeciwko pałacu Caraffy miał swą stancjnkę ubogi humanista, profesor, który się nazywał maestro Pasquino. On to wpadł na myśl, aby na torsie Herkulesa przyklepać swoje wiersze i rymowane utwory studentów. Wydawać drukiem młodzieńcze poezye nie było wówczas tak łatwo, więc



szkolarze chwycili się z radością owego sposobu, aby publiczność zaznajamiać ze swymi utworami. Powoli nazwisko maestra Pasquina przeszło na starożytną rzeźbę, która się stała miejscem popisów młodych humanistów. Szkolarze zaczęli się wyrażać o marmurowym Pasquinie jako o Mece-nasie, który ich popiera, u ludzi bowiem zamożnych nie znajdują żadnej zachęty. »Pytacie się, mówi jakiś zapo-znany poeta, dlaczego powierzamy nasze wiersze kamiennej postaci? Przyczyny tego postępowania niedługo szukać trzeba; jest nią skąpstwo ludzi zamożnych«. »Gdyby kamień mógł nas wynagrodzić, obsypałby nasze wiersze złotem«. Co do zarozumiałości, nie ustępowali młodzi humaniści swym poprzednikom z XV wieku. Turniej poetycki taki znalazł poklask, że niebawem nie wystarczał Herkules na pomieszczenie studenckich utworów; przylepiano je więc na ścianach w pobliżu, przyczepiano do dywanów, którymi kamienna ławka była pokryta. Czasami bywało tam po 3000 wierszy — olbrzymia literatura poetyczna, niestety bez żadnej prawie wartości.

Uroczystość św. Marka trwała kilka godzin, a jak się procesya skończyła, nakazywał kardynał służbie swej zdzierać poprzylepiane kartki, zapewne, aby tłum jego pałacu nie oblegał. Kardynalskim pachółkom dopomagali ulicznicy, którzy się rzucali na Pasquina, aby go rozbierać z chwilowych szat, wyśmiewać się z postaci bez rąk i nóg, jeździć na niej jak na koniu i w rozmaity sposób drażnić cierpliwy marmur. Ażeby więc ratować owe wiersze, płody geniuszu szkolarzy, cisnęli się już podczas procesyi studenci do Pasquina i odpisywali na prędcę, co się odpisać dało. Przychodzili z kałamarzami, przywiązanymi do pasa, a za pulpit służyły najczęściej barki stojących przed nimi kolegów. Na rozebrany ze świątecznego stroju Pasquinie przylepiano następnie zamiast heksametrów ogłoszenia urzędowe i kościelne, czytano na nim dekrety i bulle papieskie, tudzież obwieszczenia o odpustach. Starożytny posąg ponížono do podobnego użytku, do jakiego służyły dawniej mury domów na Campo di Fiori i na ulicy Banchi. A wielka szkoda, gdyż Pasquino nie był pierwszym lepszym odłamem mar-



mur, a zniszczenie go było zbrodnią przeciw starożytnej sztuce. Poznał się na nim Michał Anioł, a Bernini mówił, że tors Herkulesa w Watykanie i Pasquino, to najpiękniejsze dzieła rzeźby w Rzymie, gdyż oddają naturę bez przesad, właściwych nieraz artystom. Równie Winkelmann w wysokim stopniu cenił Pasquina. Rzeźbiarze i poeci unosili się później nad tym posągiem, który obudził się z wiekowego spokoju, aby zostać cenzorem renesansowego społeczeństwa.

Zarząd uroczystości Pasquina w dzień 25 kwietnia spoczywał przez długie lata, jak się zdaje, aż do czasów Adriana VI, w rękach profesorów uniwersytetu i po większej części tylko studenci zdobili posąg swymi wierszami, wskutek czego Pasquino przemawiał wyłącznie prawie językiem łacińskim i raczej się zajmował bóstwami Olimpu, aniżeli współczesnymi wypadkami. Fałszywe też dotąd panowało mniemanie, jakoby Pasquino w początkach XVI wieku był wyrazem ludowego humoru i ludowej satyry. Publiczność go nie rozumiała, bawił on tylko humanistów i duchowieństwo. Włoska literatura niewiele miała z niego pociechy.

Jako zupełnie lojalna osobistość miał Pasquino swego protektora, którym był kardynał Caraffa, i sekretarza, za zwyczaj profesora uniwersytetu. Pierwszym sekretarzem był, o ile wiemy, Florentyńczyk Donato Poli, nauczyciel retoryki, bardzo uczony humanista, ale pospolicity człowiek, ociążały, dziwaczny prostak, z którego się uczniowie wyśmiewali. Kardynał Caraffa miał go wszakże za wielkiego mowcę i wystarał się o sposobność w r. 1509, aby Donato miał kazanie w obecności papieża; ale oracya była niezgrabna, pełna błędów retorycznych i niemało się do tego przyczyniła, aby mowcę jeszcze bardziej ośmieszyć. Sekretarz urządzał uroczystość Pasquina, przeglądał studenckie ramoty, które miały być na torsie przyklepane i układał się z artystami, w jaką szatę mają przybrać nieszczęśliwego Herkulesa bez rąk i nóg.

Po śmierci Donata został w r. 1517 sekretarzem Pasquina znowu profesor uniwersytetu, Decio Sillano di Spoleto, który w przeciwieństwie do swego poprzednika tak był wymownym, że kiedy głos podniósł, »to się zdawało, że rzeka Anio lekkim szmerem płynie przez jego usta«.













Fot. Anderson.

Kardynał Oliviero Caraffa, klęczący przed Madonną,  
Według obrazu fra F. Lippi w S-ta Maria sopra\_Minerva.

19

Do str. 462.







W roku 1511 umarł protektor Pasquina, kardynał Carraffa, więc na uroczystość 25 kwietnia ubrano biednego Herkulesa, który już rozmaitym ulegał przemianom, w żałobę. Pomysł nieszczęśliwy; marmur otulono w czarny płaszcz, dorobiono mu ręce, które wystawały z pod okrycia, złożone jakby do modlitwy. Głowę przykryto mu czarną chustką, przyprawiono długą czarną brodę, a na twarzy Herkulesa pomalowano brunatne smugi, jakby ślady wylanych łez. Nad całą tą dziwaczną postacią rozpięto czarny baldachim. Poprzyklepane wiersze wyrażały prawie wyłącznie żal za zmarłym protektorem i wynosiły jego zasługi koło św. Kollegium i Pasquina.

Jakiś poeta wzywał przechodniów, aby płakali z Pasquinem nad wielkim ciosem, jaki go dotknął, bo ze śmiercią kardynała umilkną wesołe muz pienia. Inny wierszokleta prosił imieniem Pasquina, aby mu na grobie napisano słowa: Tu leży Pasquino, który zginął z żalu za swym patronem. Ale studenci, którzy Pasquina do życia powołali, nie chcieli jego śmierci, zaczęli więc szukać nowego protektora. Jedni radzili, aby się udać do brata zmarłego kardynała, Gianpietra Caraffy, biskupa teatyńskiego, późniejszego Pawła IV; ale Gianpietro myślał o czem innem, o reformie Kościoła, a nie o sprawianiu studentom ulicznych festynów. Znalazł się jednak inny protektor, kardynał Krzysztof Bainbridgy, Anglik, który wynajął pałac dawniej zamieszkały przez Oliviera Carraffę i uważa za swój obowiązek przejąć po swoim poprzedniku protektorat nad Pasquinem. Gdy zaś Juliusz II zamianował Anglika legatem apostolskim w wojnie z Francuzami, zajął się opuszczonym znowu Pasquinem biskup z Camerino, Antonio Bonjoannes, zarządca pałaców papieskich. Czasy to były niespokojne, wojenne, biskup więc z Camerino kazał na uroczystość z 25 kwietnia przybrać Pasquina za Marsa w pancerz, hełm i miecz mu przypasać. Pasquino odgrażał się Francuzom, że spokojnego humanisty stał się wojowniczym, wołał, że ziemia włoska przesiąknie krwią Gallów i że w przeciągu dziewięciu miesięcy cudzoziemcy wygnani będą z Italii:



Itala Gallorum pinguescet sanguine tellus:  
Ante novas segetes perficietur opus<sup>1)</sup>.

Pasquino wynosił wielkiego Juliusza, który Włochy znów zrobił Włochami:

Dicite, mortales, num quisquam maior Julio est,  
Per quem (quod fuit ante) Italia Italia est?<sup>2)</sup>

Swą duszę, miłującą ojczyznę, przelał Juliusz II nawet w kamiennego Pasquina. Gdy jednak papież zaczął się łączyć z Hiszpanami, Pasquino, zawsze dotąd uległy Watykanowi, po raz pierwszy stanął w opozycji wobec papieża i przemówił już nie po łacinie, lecz po włosku. Pasquino narzekał, że doznał zawodu, sądził, że papież chce barbarzyńców z Włoch wypędzić, a tymczasem sprowadza Hiszpanów zamiast Francuzów. Wyrzuca Juliuszowi II zmienność uczuć, zmienność polityki:

E questo è sol per la mobil tua corte  
Ch'or volta in Francia, or Spagna il mobil core.

Innym razem odgraża się Pasquino, że Mars nie chce być zabawką duchownych, że w ich służbę nie pójdzie.

Już w r. 1513 zrzucił Pasquino przybory boga wojny i został Apollinem, stosownie do zmiany, jaka nastąpiła na Stolicy Apostolskiej. Zaczął się teraz skarżyć, że za Juliusza II nauki i sztuki zamierały, że dopiero za Leona X będą złoto zbierać za swe wiersze:

Carminibus vates munera magna ferent.

Pasquino staje się do najwyższego stopnia rządowym, niema pochwały, którejby nie wypowiedział o Leonie X; utrzymuje, że Medyceusz będzie »Medykiem«, który zagoi

1) Krew Gallów użyźni włoską ziemię,  
Przed nowymi zasiewami dokona się dzieło.

2) Powiedzcie, śmiertelni, czy jest kto większy nad Juliusza,  
Który Italii znów życie przywrócił?



wszystkie rany włoskiego narodu. W drugim roku panowania Leona X przemienia się Pasquino w Merkurego. Zdawało się poetom, że za rządów tego papieża posypią się wszystkie dary boże jak z rogu obfitości, że nawet handel i rolnictwo zakwitną. Były to jeszcze miodowe miesiące panowania Medyceusza. W roku następnym (1515) ubrano Pasquina za Orfeusza, gdyż Watykan się bawił, a teatry, festyny, koncerty, polowania następowały po sobie bez przestanku. Jakiś wierszopis chwalił Pasquina, że zna swego pana, gdyż pomimo odgłosu trąb wojennych śpiewa i gra na lirze:

Inter bella, tubas, caedes canis ipse lyramque  
Percutis: hoc sapere est ingenium domini.

Pomimo że Pasquino uderzał w spokojne struny, tuż w jego otoczeniu odegrała się smutna tragedia. Kardynał angielski, będący człowiekiem gwałtownym, tak się po barbarzyńsku obchodził ze swem otoczeniem, że jakiś służący, doprowadzony do rozpacz, otruł swego pana. Pasquino stracił protektora, ale nie na długo, bo do pałacu Orsinich sprowadził się nowy kardynał, Antonio del Monte, człowiek uczony, wspierający artystów, i przyjął na siebie obowiązki, które już tradycyjnie dziedziczyli kardynałowie mieszkający w pałacu Orsinich. Co więcej, sam papież Leon X został obok kardynała protektorem uroczystości Pasquina. Radość z tego powodu była wielka, studenci cieszyli się, że Watykan będzie hojnie wynagradzał ich rymy. Pasquino śpiewał, że ten, który rządzi światem, ozdobi go bogatemi szatami, co mu się bardzo przyda, gdyż w ostatnich czasach był nagim na całym ciele. Posąg też Sybilli, w który Pasquino w r. 1521 został przemieniony, nosił już herb Leona X pomiędzy tarczami kardynała Del Monte i rzymskiej komuny.

## II.

W swych czasach najświetniejszych miewał Pasquino rozmaitych współzawodników. Sposób ogłaszania poezyi na



ulicy bardzo się podobał rymotwórcom, ale Pasquino miał w ich oczach tę wielką wadę, że przemawiał tylko raz do roku. Chcieli częściej cieszyć się poklaskiem publiczności. Więc najprzód powstał Marforio, który stał się niejako dopełnieniem Pasquina, gdyż odpowiadał na jego zapytania, czasem go krytykował, albo pomagał do ośmieszenia jakiej osobistości. Marforiem zwano ową olbrzymią leżącą postać marmurową brodatego mężczyzny, która dzisiaj ozdabia podwórze kapitolńskiego muzeum. Przedstawiała ona, jak się zdaje, jakąś rzekę, prawdopodobnie Nar, dzisiaj Nerę, płynącą niedaleko Rzymu, i była ustawiona naprzeciwko wężenia Mamertyńskiego. Ale i Pasquino i Marforio zanadto wielkimi stawali się ulicznikami, oddalali się coraz bardziej od humanistycznej powagi i nie zadawalniali wybredniejszych poetów. Pegaz humanistyczny wyszukał więc nowe miejsce do swoich popisów. Mieszkał wówczas w Rzymie ów Niemiec Goritz, o którym wspominaliśmy, i gromadził około siebie poetów i uczonych. Goritz, zwany Coricio, miał szczególne nabożeństwo do św. Anny i zamówił u Sansovina marmurową grupę, przedstawiającą św. Annę z Madonną i bambinem. Bardzo piękne to dzieło ustawił właściciel w kościele św. Augustyna, pod jednym z pilastrów środkowej nawy, na którym także swoim kosztem polecił Rafaelowi wymalować proroka Izajasza. Otóż Coricio wpadł na pomysł, aby koło grupy Sansovina ustawić cztery tablice i w dzień św. Anny przylepiać tam rymy swoich znajomych. Tych literatów było wszakże tak dużo, że cztery tablice nie wystarczały na bezgraniczną obfitość poezyi, musiał więc Coricio z czasem dodać jeszcze piątą deskę. I Hutten posyłał tam swe wiersze, a chory na nogi, modlił się w jednej z tych poezyi do św. Anny, aby mu przywróciła zdrowie i siły, »a palić będzie zawsze świece i kadzidło na jej ołtarzu«:

Da morbum cessare pedis, da robur ademptum,  
Sic nunquam his desint ceraque thusque focis.

Autorzy, ozdabiający grupę św. Anny, podpisywali swoje nazwiska, co różniło tę uroczystość od poetycznych turniejów Pasquina.



Znalazł się jeszcze niższego rzędu przedsiębiorczy poeta, który chciał współzawodniczyć z Pasquinem, a był nim balwierz, nazwiskiem Luca Grilli, który, począwszy od roku 1521, wystawiał w dzień św. Marka przed swoją botęgą satyryczne wiersze. Nie był on humanistą, a podczas gdy Pasquino przemawiał do wykształconej publiczności, Grilli chciał sobie pozyskać serca ludu. O tym popularnym Pasquinie wiemy jednak bardzo mało; ówcześni literaci nie zajmowali się ludową poezją, więc też i o Grillim nie pisali.

O dalszych losach Pasquina niebawem mówić będziemy<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Liczne zbiory rymów, przylepianych na torsie Pasquina, wychodziły z początkiem XVI wieku. Do najbardziej znanych należą: *Carmina, quae ad Pasquillum fuerunt posita in A. 1509* i *Carmina ad Pasquillum Herculem* z r. 1510.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

### PIETRO ARETINO.

#### I.

Za panowania Leona X około roku 1517 przybył do Rzymu młody malarz z Arezzo, chcąc cokolwiek zaczerpnąć z tego potoku złota, który tam, jak powszechnie mówiono, spływał na artystów i literatów. Ale młodzieniec miał więcej talentu do układania dowcipnych i złośliwych wierszy, aniżeli do malarstwa. Był szczupły, wysoki, lekki zarost twarzy mu okalał, a z całej jego postaci przebijała raczej skromność i uprzejmość ujmująca ludzi, aniżeli złośliwość. Żądło było jeszcze ukryte.

Młodzieniec dostał się, nie wiadomo wskutek jakich protekcyi, na dwór Agostina Chigiego, gdzie szybko się dał poznać jako bardzo zdolny satyryczny poeta i człowiek bystrego sądu, »vir acerrimi iudicii«. Bankier musiał go polubić, gdyż wkrótce wymieniają Aretina jako należącego do »familii« Magnifika, inter familiares.

Kim właściwie był ten Aretino? Jego początki osnuto grubą pajęczyną obmowy, po większej części bardzo dlań nieprzyjaznej. Berni, współczesny autor biografii Pietra, porównując go z Antychrystem, opowiada, że był synem ulicznicy, że siostry jego prowadziły haniebne życie; inny pisarz



posądza go, że przytulony w domu Chigiego ukradł srebrną filiżankę, że poprzednio był ulicznym śpiewakiem w Vicenzy, posługaczem w Austrii, że wstąpił do zakonu w Rawennie, ale znudzony klasztorną klauzurą, został pośrednikiem w nieczystych interesach, błaznem u papieża Leona X i Klemensa VII. W całym słowniku obelg i oszczerstw, które już w XVI wieku rzucano na Aretina, a z drugiej strony w całym nawale pochwał i uwielbień trudno się na razie rozemnieć. Jedni mówili, że przybędą z Arezzo to oszust, nieuk, pyszałek, zarozumialec, zdrajca, potwór bez czci i wiary, bożyszcze zepsucia, rzezimieszek, głupiec, błazen, urwisz, że na to się tylko urodził, aby okradać książęce kieszenie, tagliatore de' principi, że się stał olbrzymem idiotów i Sardaniapalem wydrwigroszów, a na dodatek ma złe oko i należy do najniebezpieczniejszych jettatorów, że wreszcie cuchnie dyabelskim fałszem i jest ryczącym słoniem, wrzodem rozsączającym wszelkie choroby, hersztem alchemików, gwałciicielem niewinności i t. p.

Tak zaczęli mówić przedewszystkiem dwaj współcześni literaci, Niccolo Franco i Antonio Francesco Doni, do których, prawdę powiedziawszy, także dałoby się zastosować sporo powyższych epitetów. Za nimi powtarzali te obelgi inni, a w ten sposób urosła na grobie Aretina olbrzymia piramida śmieci i najrozmaitszego niechlujstwa. Ba, ale wielu ze współczesnych nazywało Aretina odpowiednio do przesadnych wyrażen owego czasu, boskim, nieśmiertelnym, pełnym cnót, czcigodnym, zbawieniem świata, chwałą niebios, filozofem, dobroczyńcą ludzkości. A do wielbicieli literata liczone prałatów, kardynałów, mnichów, panujących, uczonych i znakomite kobiety. Do najbliższych jego przyjaciół należeli artyści tego pokroju, jak Tycyan, Sansovino, Tintoretto, Giulio Romano, Vasari, poeci, jak Ariosto, Bernardo Tasso, literaci, jak Benedetto Varchi, Paolo Manuzio, Carlo Tolomei, uczeni, jak Trifone Gabrielli, którego zwano »nowym Sokratesem«, historycy, jak Giovio, słynne kobiety, jak Veronica Gambara, a przed innemi Vittoria Colonna, która mu w swych listach wyrażała przyjaźń i podziw. Wreszcie Florency, Syena i Padwa mianowały go członkiem swoich



akademii, a wielu poetów i uczonych poświęcało mu swe dzieła.

Natomiast nawet umrzeć nie pozwolono mu uczciwie, lecz pisano, że rażony apopleksją upadł podczas uczy, zanosząc się od śmiechu, gdy mu opowiadano o bezecnych miłośkach jego siostry. W najnowszych czasach zaś słynny malarz niemiecki, Anzelm Feuerbach, przedstawił na jednym ze swych obrazów ową chwilę weneckich bachanalii, kiedy Aretino, uwieńczony liściem winogrodu, leży nieżywy na posadzce, a towarzystwo pięknych kobiet, podniecone winem i wesołością, szumi jeszcze rozpustą.

Gdy odrzucimy plewy od ziarna, rzecz się nam tak przedstawia: Pietro Aretino urodził się w nocy z dnia 19 na 20 kwietnia r. 1492 w Arezzo z ojca Łukasza, szewca, i matki Tity, uczciwej kobiety, do której Pietro całe życie był bardzo przywiązany. Ojca, jak się zdaje, trochę się wstydził i dlatego przezwał się Aretinem, co zresztą nie było dziwnem w owych czasach, kiedy sobie często dawano dowolne nazwiska. Dwie siostry Pietra wyszły za mąż w Arezzo, jedna za messer Scipiona, druga za Orazia Vanotti, żołnierza. Obydwie wczesnie umarły; pierwsza zostawiła dwoje dziewcząt, druga dwóch synów, którymi się nasz Aretino opiekował.

W chłopięcych latach dostał się Pietro do Peruggii, gdzie się dość pobieżnie wykształcił, nauczył trochę malować, a zapewne i pochwytał okruchy łaciny, gdyż czasem używał frazesów łacińskich, nigdy jednak nie doprowadził do wielkiego znawstwa klasycznych autorów. Mimo to wczesnie zaczął pisać po włosku i już w dwudziestym roku życia (1512) wydał w Wenecji pierwsze swoje rymy.

Szczerze jednak szukano wówczas nie w Peruggii, ani w Arezzo, ale w Rzymie na papieskim dworze. W ten sposób spotykamy Aretina u Chigiego. Bankier musiał go jednak polecić papieżowi, gdyż niebawem przeniósł się młody poeta na dwór Leona X, w tłumie rozmaitych uczonych, polityków, artystów, literatów, wśród uciech i zabaw nauczył się poznawać ludzi. A miał niemało daru spostrzegawczego i talentu, albowiem z pomocą swego złego języka i gryzącego dowcipu wyrobił sobie nadzwyczaj szybko w swoim



rodzaju wybitne stanowisko. Wszyscy się go bali. »Staraj się o przyjaźń Aretina, mówi Calandra w farsie Calandra i Silvano, gdyż biada temu, kto mu się narazi«.

Fa sol che lo Aretino ti sia amico,  
Perchè gli è mal nemico a chi lo acquiste.

-----  
Dio ne guardi ciascun dalla sua lingua.

W r. 1520 umarł Chigi, co było wielkim ciosem dla Aretina, poważał bowiem i czcił swego pierwszego protektora, który miał dobry wpływ na niego. Literat nie mógł wtedy żyć bez możnego opiekuna, coby go wspierał i zaślaniał w potrzebie. Trzeba się było oglądać za nowym Mecenasem, zwłaszcza że na humory Leona X nie można było liczyć, a zresztą papież był schorowanym człowiekiem i mógł wkrótce umrzeć. Protektorów na przyszłość szukało się pomiędzy kardynałami, którzy mogli zostać papieżami, pomiędzy »papabili«. Z tych najpotężniejszym był Giulio de' Medici.

Gdy też Leon X umarł, Aretino znajdował się już w obozie kardynała Medici, stał obok niego ze swem gryzącym piórem w ręku, a Giulio wiedział dobrze, jaką ma w niem siłę.

Aretino znalazł w Rzymie od dawna wkorzeniony zwyczaj, który mu posłużył do rozwinięcia swego dowcipu. Wszak dwudziestego piątego kwietnia obchodzono festyn Pasquina, który trzeba było tylko ożywić, aby z niego zrobić potężny czynnik krytycznej opinii publicznej. Dotychczasowy Pasquino był, jakśmy widzieli, pedantem humanistą, który się wprawdzie cieszył najwyższą protekcją kardynałów, a nawet papieża, ale właściwie nie miał żadnego ani politycznego, ani literackiego wpływu. Cała ta »poezya« była chwilowym błyskiem ciężkich szkolarskich conceptów i niczem więcej. Jak dalece przylepiane na Pasquinie wiersze nie miały trwalszego rozgłosu, dość powiedzieć, że gdy w r. 1521 Federico Gonzaga prosił Castigliona, bawiącego wówczas w Rzymie, aby mu przysłał utwory Pasquina z lat ostatnich, poseł mantuański odpowiedział, że tych wierszy nigdzie nie dostanie: giną one bez śladu. Ale już za czasów Juliusza II



pojawiły się kilkakrotnie złośliwe satyry polityczne, które się podszywały pod powagę Pasquina i budziły wśród publiczności wielkie zajęcie. Pomędzy innymi pisał je niemiecki poeta Ulrich von Hutten, ów zawzięty później nieprzyjaciel papiestwa, który w roku 1515 przybył do Rzymu, obracał się w kołach szkolarzy i chodził na uniwersytet na wykłady prawa. On zasilął swymi wierszami Pasquina, a jego rymy były zjadliwe; krytykował Rzymian, chciał w stolicy papieskiej znaleźć samych Scypionów Afrykańskich. Tam gdzie Rzym, mówił, niema nic rzymskiego:

Romanum invenies hic, ubi Roma, nihil.

Wiersze Huttena i pojawiające się niekiedy złośliwe satyry były wszakże tylko chwilowymi wybrykami ulicznego humoru, a dopiero Aretino opanował Pasquina, skorzystał z jego rozgłosu i wykształcił go na politycznego, zjadliwego satyryka, który nie czekał na 25 kwietnia, aby jad swój wyrzucić, lecz istny gaduła, prawił swe morały, jeżeli nie codziennie, to przy każdej zdarzonej sposobności. Taka sposobność nadarzyła się, gdy Leon X umarł i Adryan VI został wybrany. Rzym tak był wówczas roznamiętniony, że nawet na grobie Medyceusza składano złośliwe wiersze, szarpiące sławę zmarłego, które jeden z korespondentów Izabelli mantuańskiej nazwał »Cose diaboliche«. Aretino zaczął się bawić w Pasquina, otoczył się młodymi poetami, którzy go uważali za swego wodza i założył rodzaj akademii, której członkowie schodzili się w jakiejś osteryi i tam kuli strzały, mające wywierać wpływ na wybór nowego papieża. Zamiast martwego powstał inny Pasquino, dowcipny, ruchliwy, który w kamienny tułów wlał humor i życie.

Paweł III pytał się raz fra Baccia, kiedy najweselej w Rzymie? »Jak papież umrze«, odpowiedział zakonnik. A po śmierci Leona X było rzeczywiście najweselej: walczyły ze sobą najrozmaitsze interesa, intrygi poruszały całem społeczeństwem, rozciekawienie panowało bez granic. Czy przyszły papież będzie wspierał literatów i artystów, jakie rody



rzymskie otoczą Watykan, jacy ludzie osiągną w pałacu wpływ największy? Wszystkie te pytania wprawiły publiczność w taką gorączkę, że po kantorach zakładano się o wysokie sumy, kto będzie Leona X następcą. Senzale bankowi chodzili z dukatami w kieszeni i z gotowymi do podpisu blankietami, aby formalne zawierać układy. Co rano szły procesy ludu pod okna Watykanu, skąd miał się rozleść okrzyk: »Habemus Papam!« a o zakonnikach mówiono, że ochrypli od ciągłego śpiewania »Veni creator«.

Zaraz po śmierci Leona X wskazywała opinia publiczna kardynała Giulia de' Medici, jako przyszłego papieża, a 30 grudnia zakładano się siedm dukatów przeciw stu, że następnego dnia Medici zostanie wybrany papieżem. Atoli wbrew wszelkim oczekiwaniom i nadziejom wyszedł z urny 9 stycznia 1522 kardynał z Tortozy, Adrian Florisze, który przybrał nazwę Adryana VI. Nowy papież był cudzoziemcem, synem budowniczego okrętów z Utrechtu, protegowanym Karola V, człowiekiem skromnym, pobożnym, nie nadającym się do tego artystyczno-literackiego ogniska, które ostatnie czasy w Rzymie wytworzyły. Niezadowolenie też było powszechne, wymyślano na kardynałów, a na bramie pałacu papieskiego napisano, że jest do wynajęcia, »est locanda«.

Dla satyryka żniwo się otwierało.

Większą też część wierszyków, które teraz bezustannie przylepiano na torsie Pasquina, układał Aretino. Satyry nie były podpisane, jednak cały Rzym wiedział, kto jest ich autorem. Nazwisko Aretina stało się głośnem na całym półwyspie. Gdy później Pietro bawił w Bolonii, zaadresował do niego malarz Andrea list w następujący sposób: »Do tego Aretina, który w czasie conclave tyle pięknych sonetów napisał na chwałę świętego Kollegium, w Bolonii«.

Adryan miał daleką drogę i dopiero po kilku miesiącach przybył do Rzymu, z końcem sierpnia 1522. Aretino na niego nie czekał; obawiał się gniewu papieża, więc na razie pojechał do Bolonii, a następnie do Florencyi, aby tam żyć pod opieką kardynała de' Medici, za którego walczył podczas conclave. We Florencyi było wszakże burzliwemu poecie zanadto spokojnie, więc ufny zapewne w poparcie Me-



dyceuszów, udał się znowu do Rzymu w r. 1523, gdzie niebawem tak się naraził papieżowi jakimś paszkwilem, że Adryan byłby go kazał wrzucić do Tybru, gdyby nie ambasador Karola V, ksiązę de Sessa, który dowcipnem powiedzeniem życie mu uratował. Gdy bowiem papież w gniewie o tem wspomniał, duca di Sessa zauważył, że Pasquino jak żaba będzie jeszcze w wodzie skrzeczał.

Aretino nie czuł się wszakże bezpiecznym w pobliżu Adryana VI i schronił się znów do Florencyi. Stamtąd zaprosił go Federico Gonzaga na swój dwór do Mantuy, gdzie się zawiązała pomiędzy markizem a gościem przyjaźń, która przetrwała długie lata. Federico był tak uszczęśliwiony z dowcipnego satyryka, iż dziękował kardynałowi Giuliowi, że mu pozwolił ozdobić dwór mantuański tak cennym klejnotem.

W Mantui było wszakże Aretinowi za nudno; nienawdził papieża, pragnął walki, więc w tym samym roku jeszcze wrócił do Florencyi i posyłał swe wierszyki do Rzymu, którymi ciągle Adryanowi dokuczał. Wyśmiewał się z jakiejś praczki, którą znany z dobrych obyczajów papież miał trzymać na swoim dworze, nazywał ją »la sacratissima religiosa lavandaia«. Papież też tak się wskutek tego rozsierdził, że zagroził w straszny sposób ukarać wierszokletę, skoro go tylko do rąk dostanie. Wobec gniewu papieża nie wypadało i kardynałowi Medyceuszowi osłaniać paszkwilanta, zresztą i we Florencyi mogła go osiągnąć zemsta Adryana. Aretino schronił się więc do innego Medyceusza, do owego kondotiera Jana, syna Katarzyny Sforzy, który wówczas przebywał w Reggio.

Kondotier oręża i kondotier pióra od razu do siebie przyłgnęli. Gran Diavolo, jak wtedy nazywano Jana Medyceusza, polubił Aretina; podobala mu się w nim zapewne odwaga młodego literata, który się nie uląkł nawet papieża, podobala mu się natura otwarta, wesola, rozweselał go dowcip i sarkazm Pietra, tudzież zajmowały jego opowiadania o Rzymie i o osobistościach na dworze papieża, łączyła ich nadewszystko wspólna nienawiść do tego cudzoziemca, intruza na Stolicy Apostolskiej, nie nadającego się do włoskiej



kultury. Nawzajem Jan Medyceusz musiał wywierać niemały wpływ na Aretina. Literat widział przed sobą człowieka wolnego, nie potrzebującego się starać o niczyje łaski, żyjącego w dostatkach, który odwadze i mieczowi u boku cały swój los zawdzięczał.

Dlaczego pióro ma być gorszym narzędziem od oręża, pomyślał zapewne Aretino, dlaczego nie dałoby się inkaustem wywalczyć także wolności? Dotąd większość humanistów, większość literatów należała właściwie tylko do dworskiej służby. Setki pisarzy i poetów ubolewało nad swoją niewolą. Aretino postanowił być człowiekiem wolnym.

Tymczasem rzymskiemu Pasquinowi źle się działo. Adryan VI zakazał obchodzenia uroczystości 25 kwietnia, a nadto odgrażał się, że jeżeli się dalej będą pojawiać złośliwe satyry, każe zastosować najsurowsze kary przeciw tym pismakom, a Pasquina wrzucić do Tybru. Mimo to rozpuszczano zjadliwe wierszyki, a gdy papież w kilka miesięcy umarł, libelliści tryumfowali i tułów Pasquina od góry do dołu został oblepiony wierszami, zawierającymi największe obelgi na zmarłego. Zarazem przestrzegał Pasquino kardynałów przed wyborem Giulia de' Medici, przed nowymi Serapikami i fra Marianami.

Aretina w Rzymie nie było; bawił w Medyolanie przy Giovannim, nie mógł więc bronić na razie swego protektora, lecz rozpisywał listy, krzycząc: »Victoria, victoria«, gdyż pewnym był wyboru Medyceusza. Do Rzymu zaś przesłał długie epitaphium na śmierć Adryana VI, zaczynające się od słów:

Qui iace Adrian sesto, homo di — vino,

albowiem złe języki rzymskie rozpuściły wieść, że papież umarł z przepicia się. Aretino wybrał się zaraz do Rzymu, ale po drodze, w Reggio, zakochał się w jakiejś prostej dziewczynie, której Laura było na imię, i spóźnił się na conclave.



## II.

Gdy wreszcie Aretino przybył do Rzymu, Klemens VII przyjął go bardzo łaskawie; satyryk stał się jedną z wpływowych osobistości, wszyscy starali się o jego łaski, jako papieskiego ulubieńca.

Złośliwy poeta nie miał na razie z kim walczyć, Pasquino stał się dworakiem i umilkł. Ale natomiast inna statua, Marforio, zaczęła mówić, a przedewszystkiem wyśmiewać się z Aretina, że poszedł w służbę i dowcip utracił. Co więcej, przychylność papieża nie podobała się innym dworzanom i poruszyła mnóstwo zawistnych. Pierwsze starcie nastąpiło z potężnym Gibertim.

Giovan Matteo Giberti, biskup Werony, obecnie dataryusz papieski, zaczynał od czasów Leona X coraz to większy mieć wpływ w Watykanie. Urodzony w Palermo, nieślubny syn genueńskiego admirała, nadzwyczaj ambitny, zdolny, uczony, pragnący reformy duchowieństwa, starał się otaczać literatami, aby uświetnić swe stanowisko w Rzymie. Zręcznością swą umiał niebawem owładnąć słabym Klemensem VII i przez dłuższy czas był prawie drugim papieżem.

Giberti miał wszakże potężnych przeciwników: kardynała Schomberga, arcybiskupa kapuańskiego, i Girolama da Schio, biskupa z Vaison, którzy byli rzeczywiście szczerze oddani papieżowi. Z nimi połączył się Aretino i wskutek tego ściągnął na siebie nieprzyjaźń Gibertiego, który szukał tylko sposobności, aby usunąć niewygodnego literata, szkodliwego z powodu swego gryzącego dowcipu. Sposobność łatwo się znalazła.

Marcantonio Raimondi, słynny rytownik, zrobił wyborny portret Aretina (1523), który miał być mistrzowskim dziełem sztycharskiej sztuki. Portret ten zbliżył do siebie artystę i literata, których odtąd przez całe życie łączyła serdeczna przyjaźń. Niebawem jednak Raimondi naraził się Kuryi, rozpowszechnił bowiem swym rylcem szesnaście wielce niemoralnych obrazków, które Giulio Romano wymalował w przystępie zanadto dobrego humoru. Sztychy Raimondiego podo-



bały się w pewnych kołach, lecz wywołały wielkie zgorzenie pomiędzy ludźmi, którzy chcieli uchodzić za wyjątkowo cnotliwych. Osobliwie Giberti był bardzo oburzony i wystarał się o pozwolenie uwięzienia Raimondiego. Właściwemu twórcy nieprzyzwoitych obrazów, Giuliowi Romano, nic się nie stało, miał bowiem licznych protektorów i był w Rzymie zanadto wybitną artystyczną osobistością.

Za Raimondim wstawił się Aretino u papieża, wskutek czego Klemens VII kazał artystę uwolnić z więzienia. To rozgniewało Gibertiego, było to bowiem niejako zaprzeczeniem jego wpływu i poniżało go w oczach dworzan.

Butny swem zwycięstwem Aretino posunął się dalej i napisał sprośne sonety, zastosowane do każdego z obrazków Raimondiego, i tem samem włożył znów Gibertiemu w rękę broń przeciw sobie.

Tym razem i papieżowi było za wiele śmiałości satyryka; przyjaciele mu też doradzili, aby opuścił Rzym i gdzieindziej przeczekał burzę, którą przeciw sobie wywołał. Pietro udał się na razie do swego ojczystego miasta, do Arezzo, ale wkrótce otrzymał list od Giovanniego de' Medici, który go do siebie zapraszał. Tym razem był obóz kondotiera ogniskiem ważnych wypadków. Toczyła się walka pomiędzy Karolem V a Franciszkiem I, do którego stronników należał Giovanni. Aretino udał się do obozu Medyceusza w Fano i towarzyszył mu w wojennych ruchach, wskutek czego miał sposobność zapoznać się z Franciszkiem I, który go tak polubił, że odtąd stał się jednym z jego najszczerzych protektorów.

Na dłuższy czas wszakże obozowe życie nie dogadzało Aretinowi; tęsknił za Rzymem i jak tylko się dowiedział, że Klemens VII już mu winy darował, wrócił na dwór papieski. Satyryk w lot odzyskał łaskę Klemensa i rzecz można, że tym razem stał się jeszcze bardziej wpływową osobistością, aniżeli dawniej. Papież zasięgał chętnie jego rady, tak dalece, że markiz mantuański prosił Aretina o polecenie go Klemensowi. Nasz literat ułożył wtedy dwie kanzony, pełne uwielbienia dla papieża, w których wzywa zastępcę Chrystusa na ziemi, aby pośredniczył w zawarciu pokoju pomię-



dzy Karolem V a Franciszkiem I i działał w tym kierunku, aby siły chrześcijańskie zwrócone zostały przeciw Turkom. Wywdzięczając się zapewne za te pochlebne apostrofy, nadał Klemens Aretinowi godność rycerza rodyjskiego.

Giberti widząc, że na razie o łaski papieskie z Aretinem skutecznie walczyć nie zdoła, zawarł z nim pozorne przymierze, a zbliżenie to uwiecznił poeta kanzoną, w której przepowiada swemu niedawnemu nieprzyjacielowi kardynałską godność. Wówczas, w pierwszych miesiącach r. 1525, napisał także Aretino najgłośniejszą swoją komedię, »La Cortegiana«, w której były pochlebne słowa tak dla papieża, jak i Gibertiego. Ułożył ją w dziewięciu dniach, ale wydał dopiero w r. 1534 w Wenecyi, bardzo zmienioną. »La Cortegiana« powstała pod świeżem wrażeniem rzymskich stosunków za Klemensa VII i jest dotąd nadzwyczaj cennym obrazem owych czasów. Obraz to jednostronny, bo przedstawia same ujemne cechy społeczeństwa, ale wielce charakterystyczny, z żywością i talentem nakreślony. Treść cokolwiek zawikłana, gdyż komedia składa się właściwie z dwóch bardzo luźnie ze sobą związanych fabuł. Główną postacią jest tam messer Maco, Syeneńczyk, który przybywa do Rzymu z zamiarem zostania kardynałem. Z Syeneńczyków wyśmiewano się jako z karyerowiczów i ludzi trącających prowincyą, do czego się niemało przyczynił Agostino Chigi, który zanadto popierał swych rodaków. Messer Maco uważa się za poetę i uczonego, przeplata swe rozmowy haniebną łaciną, układa wiersze, nie mające najmniejszego sensu. Zaznajamia się z malarzem Antoniem, który go uczy, jak się ma zachowywać w stolicy, a osobliwie na papieskim dworze, i daje Syeneńczykowi rodzaj podręcznika dworskich obyczajów, wcale niepodobnych do tych, jakich uczył Castiglione. Że z pod pióra Aretina nie wychodzi korzystny obraz watykańskich stosunków, można sobie wystawić. Karyerę robią tylko pasorzy, prostacy, oszuści. »Lepiej smażyć się w piekle, powiada autor Cortegiany, aniżeli przebywać na rzymskim dworze. Aby obcować z książętami, trzeba być głupcem, albo udawać, że się ma sieczkę w głowie«.



Obok najróżnorodniejszych scen ulicznych, szynkowych, powkładanych do komedyi na to, aby przedstawić życie i zwyczaje rzymskiego motłochu, rozgrywa się także rodzaj miłosnej intrygi. Messer Parabolano, stary Neapolitańczyk, zakochał się w młodej Rzymiance, w Liwii. Nie ma nadziei, aby jej łaski pozyskał, ale sprytny służący Rosso umie rzecz urządzić na swoją i na pana korzyść. Zamiast do Liwii, prowadzi go do Togni, żony piekarza Arcolana, a stary wierzy, że to była Liwia. W całej intrydze pomaga mu Alvia, doświadczona w tych rzeczach faktorka. Dawny służący Valerio odkrywa swemu panu brzydki podstęp, ale messer Parabolano nie bardzo się gniewa i komedia kończy się wesoło, bo Neapolitańczyk nie lubi dramatów, nie chce »zabijać komedyi«.

Wybornym typem jest owa Alvia, opowiadająca swe dawne dobre czasy, jak to się przed jej oczyma przesuwały tylko maskarady, kawalkaty, walki byków, kozy o złoconych rogach, papugi, jak miewała tuzinami pokojowych, jak sobie drwiła z signorów, monsignorów i ambasadorów, jak raz infule zdjęła z głowy biskupa i włożyła ją na głowę swej kameryery, jak się w niej kochał handlarz cukru i jak wtedy wszystko się w kuchni przyrządzało na słodko... Później szybko się zestarzała, gdyż była zmuszona za wiele lekarstw zażywać, dobre czasy minęły, zaczęła sprzedawać pierścionki i rozmaite drobiazgi, musiała prac haftowane koszule, aż zesłała na dzisiejszą biedę. W jej opowiadaniach znać, że się obracała w pobożnym świecie, co chwilę wtrąca do swojej gadaniny jakieś słowa łacińskie ze znanych modlitw, albo zaklina się na wszystkich świętych.

W komedyi widać niezaprzezony wpływ syeneńskich ludowych aktorów Rozzich, którzy grywali u Chigiego i na papieskim dworze. Aretino pierwszy wyzwala się z form teatralnych Plauta i Terencyusza. Wyzwolenie to było w części mimowolne, gdyż nasz satyryk bardzo mało znał starożytnych pisarzy. Bądź co bądź, brak książkowego wykształcenia wyszedł na korzyść komedyi i włoskiej literatury. Aretino kreśli swe postacie grubymi rysami, ale bierze je z życia, z osób, które znał, z którymi obcował. Artysty-



cznego kunsztu w tem wszystkim niema, lecz jest ruch, dowcip i niezrównany talent spostrzegawczy.

Obok »Cortegiany« zaczął Aretino znowu pisać Pasquinady, tym razem nie na papieża, lecz na osobistości papieskiego dworu, a nawet w roku 1525 sam przewodniczył uroczystości maestra Pasquina. Zdaje się, że w tej nowej satyrycznej szermierce musiał czemś urazić Gibertiego, albo że wogóle prątał poprzysiągł zemstę od dawna Aretinowi i chwilowo tylko dobre z nim utrzymywał stosunki. W nocy bowiem 28 lipca 1525 r. napadł Achille della Volta, domownik Gibertiego, na przejeżdżającego konno Aretina i sztyletem zadał mu kilka ran, z których jedną ciężką w piersi, drugą lżejszą w wielki palec prawej ręki. Aretino bronił się rozpaczliwie, więc morderca, obawiając się zapewne przechodniów, uciekł nieschwytany.

Całe miasto, cały dwór papieski wskazywał zaraz na Gibertiego jako właściwego sprawcę zbrodni, a współczesne listy to podejrzenie potwierdzają. Della Volta wrócił najspokojniej do domu swego potężnego protektora, a papież, nie chcąc zapewne brzydkiej sprawie jeszcze więcej nadawać rozgłosu, a może i obawiając się »ministra swoich tajemnic«, za jakiego Giberti uchodził, nie kazał nawet zarządzić dochodzenia.

Młody, silny Aretino nie uległ ranom, a we dwa dni po owej fatalnej nocy donosił już biskup di Vaison markizowi mantuańskiemu, że »z Bożą pomocą spodziewamy się go ocalić; daj Boże, żeby się to udało«.

Della Volta był dość bezczelnym, aby się w kilka dni po napadzie dowiadywać w mieszkaniu Aretina o zdrowie chorego.

Więcej, niż rany, bolało Aretina, że papież, który здаwał się tyle mu zawsze okazywać życzliwości, teraz się zupełnie za nim nie ujął i że Giberti tryumfował. Aretino zniechęcił też Rzym i dwór papieski i postanowił stamtąd oddalić się na zawsze. Gojenie się ran trwało kilka miesięcy, do jesieni, poczem wykolejony dworzanin opuścił Rzym 13 października 1525.



W późniejszej poprawce do »Cortegiany« każe Aretino Flaminiowi i Valeriowi wypowiedzieć uczucia autora w chwili, kiedy Rzym opuszczał.

— Gdzie pójdziesz? — pyta się Valerio.

— Świat wielki — odpowiada Flaminio — pójdę do Mantuy, gdzie zacny markiz Federico nikomu chleba nie szczędzi. Ale milczeć nie będę...

To była pogrożka dla Rzymu i dla papieskiego dworu, zapowiedź wendetty pióra.

Na razie udał się Aretino nie do Mantuy, ale do swego przyjaciela, Giovanniego de' Medici, który w Mantuańskim starał się podeprzeć sprawę Franciszka I. Cały rok bawił tam w obozie, biorąc udział w wojennem życiu, i zaprzyjaźnił się z całą bandą awanturników, jak Vincenzo Bovetto, Mario Bandinni, Bino Signorelli, il Faloppia, którzy otaczali wielkiego wodza.

Giovanni de' Medici tak polubił Aretina, że nawet miał zamiar, jeżeli jego plany się powiodą, zrobić go panem Arezzo. Tym kondotierom wszystko zdawało się możliwem.

Giovanni nieraz mu o tem wspominał, jak pisze Aretino z tęsknotą:

Sotto Milan dieci volte, non ch'una,  
Mi disse: Pietro, se di questa guerra,  
Mi scampa Dio e la buona fortuna,  
Ti voglio impadronir della tua terra....

Projekty dwóch towarzyszków ziścić się jednak nie miały; w listopadzie roku 1526 został Giovanni ciężko ranny w nogę pod Governolo, co sprawiło wielki popłoch pomiędzy jego żołdactwem.

Aretino zawiózł przyjaciela do Mantuy, pielęgnował go i otaczał braterską opieką; ale wszelkie starania na nic się nie przydały, Giovanni umarł 30 listopada.

Obecny wtedy w Mantui Giulio Romano zdjął maskę zmarłego, według której później Tycyan wymalował portret, a Sansovino wykuł statwę kondotiera w marmurze.

Aretino szukał po stracie swego druha pociechy w pracy i tak dużo pisał, że markiz mantuański donosił wówczas



(w styczniu 1527) komuś ze znajomych, że Pietro w przeciągu miesiąca tyle rzeczy nakomponował wierszem i prozą, ileby wszyscy autorzy włoscy nie napisali w przeciągu lat dziesięciu.

Ale w sercu Aretina wrzał gniew przeciw papieżowi i jego otoczeniu, którego ukryć ani powstrzymać nie umiał, stał się więc wskutek tego, po raz wtóry, niewygodnym gościem dla markiza. Federico obawiał się, aby go paszkwiliant nie poróżnił z papieżem. Markiz nie odmawiał wprawdzie swej gościnności Aretinowi, lecz starał się go pojednać z Klemensem i prosił Guicciardiniego, pełnomocnika papieskiego w Parmie, aby w tej mierze pośredniczył. Guicciardini podjął się tego zadania, ale w chwili, kiedy jego list nadszedł do Rzymu, narobiła hałasu świeżo co napisana satyra Aretina, »Disperata«, pełna obelg na kardynałów i papieża, że pozwala Hiszpanom szarpać włoską ojczyznę. Klemensa nazywał tam niepowściągliwy satyryk gorszym od Adryana, »più misero et da poco di Adriano«.

Jeszcze bardziej oburzyła papieża tak zwana przepowiednia, »Judicio albo pronostico de maestro Pasquino« na rok 1527.

Było od dawna w zwyczaju, że astrologowie co roku ogłaszali rodzaj przepowiedni, które ogromne miały powodzenie i rozchodziły się w niezliczonych egzemplarzach po całych Włoszech. W owych »judicyach« były artykuły o pogodzie, o zbiorach, o możliwych wojnach, o stosunkach pomiędzy książętami, mnóstwo zajmującej gadaniny w owych zabobonnych czasach. »Prognostica« niemalą później odegrały rolę w walkach protestantów z katolikami, gdyż zręczni astrologowie, stojący pod wpływem luteranizmu, wyzyskiwali każde zaćmienie słońca, albo ruchy ciał niebieskich, aby przepowiadać klęski, które mają spadać na biskupów.

Aretino także chwycił się tej formy, aby ogłaszać przyszłość. Mógł to zręczniej czynić, aniżeli astrologowie, gdyż nie opierał się na ruchu gwiazd, lecz na znajomości osób stojących na czele państw włoskich i na dokładnych wiadomościach o rozmaitych intrygach prywatnych i politycznych. Zaczął więc z Mantui rozpowszechniać swe przepowiednie,



które rozchwytywano, gdyż zawierały mnóstwo ciekawych wiadomości, okraszonych złośliwym, gryzącym dowcipem.

Owe »giudici« Aretinowskie stały się niejako drugim wynalazkiem na drodze do dziennikarstwa. W Pasquinatach trudno jeszcze było rozeznaczyć przyszłej gazety, giudici już do pewnego stopnia ją zapowiadały. Forma zresztą, w której się te ulotne druki rozchodziły, miała dużo podobieństwa z dzisiejszym kolportażem. W pierwszym akcie »Cortegiany« wprowadza Aretino na scenę takiego łobuza, który sprzedaje »historye« i woła: »Piękne historye, historye, historye, wojna turecka na Węgrzech, kazania fra Martina, koncylium, sprawy angielskie, pompy papieskie i cesarskie, obrzezanie wojewody, oblężenie Rzymu i t. d.« W Wenecyi na moście Rialto sprzedawano »giudici«.

Otóż w prognostyku na rok 1527, »judicio da maestro Pasquino quinto evangelista«, którego doszedł nas tylko początek, miał Aretino przepowiadać ową katastrofę, jaka Rzymowi groziła od wojsk nieprzyjacielskich, i pisemko to poświęcił markizowi mantuańskiemu. Dedykacja satyry, skierowanej przeciw papieżstwu, wywołała w Watykanie najżywsze oburzenie. Papież uważał za obelgę, aby tego rodzaju paszkwile wychodziły niejako za cichą zgodą markiza.

Spowiednik papieski udał się do posła mantuańskiego, aby mu w tej mierze poczynić przedstawienia. Gonzaga wyparł się w liście do swego posła spółnictwa z Aretinem, oświadczył, że nawet nie wiedział o tem, iż paszkwilant jemu poświęcił ów prognostyk i że wogóle zaprzecza, jakoby »simile bestia«, jak Pietro, był jego dworzanim. Jeżeli zaś w Rzymie sobie tego życzą, dodał Gonzaga, to każe zręcznemu i pewnemu człowiekowi cichaczem Aretina sprzątnąć. »Aretino, kończył markiz, mógł się wywinąć z innych rąk, z naszych nie ucieknie«.

W ten sposób jeden z najzaciejszych książąt włoskich, o którym Aretino mniemał, że jest pełnym dla niego życzliwości, chciał się obejść ze swoim gościem.

Co się stało z owym listem Gonzagi, nie wiadomo; musiał nadejść do Rzymu tuż przed »Sacco«, w chwili, kiedy tam o czem innem myślano, a nie o Aretinie. Skutkiem tego Gon-



zaga nie potrzebował być mordercą, udawał dalej przyjaciela Aretina, a ponieważ paszkwilant chciał wyjechać do Wenecyi, więc dał mu jeszcze sto skudów na drogę i po sztuce brokatu i atłasu na pamiątkę. Chodziło jeszcze o inny podarunek. W czasie pobytu w Mantui hołdował Aretino zwyczajom bardzo wówczas rozpowszechnionym. Bohaterem jego romansu był chłopak, »figliolo del Bianchino«, który nie chciał zadowolnić sentymentów poety. Markiz wszelkich dokładał starań, aby opornego chłopaka do powolności skłonić; zmuszać go jednak nie mógł, aby nie doszło do skandalu. Z tego powodu pisał Gonzaga do Aretina, do Wenecyi list usprawiedliwiający i prosił go, aby zechciał rzecz wyrozumieć i dobre jego chęci przyjąć za uczynek.

Wenecya była wówczas najwolniejszym i najlepiej rządzone państwem we Włoszech. Doża Andrea Gritti pozwolił Aretinowi mieszkać tam pod warunkiem, że powściągnie swą wolę swego pióra. Paszkwilant obiecał milczeć, że jednak to przyrzeczenie nie było rzetelnem, wkrótce się przekonamy. W tej mierze zadawał się doża tylko pozorami zakazów.

### III.

Aretino musiał jeszcze nie wiedzieć o liście Gonzagi do Rzymu i o podstępem postępowaniu markiza, pozostawił bowiem w Mantui swe konie, które mu służyły w obozie Medyceusza i zamierzał tam z czasem powrócić. Gdy jednak w Wenecyi znalazł wolność, której tak pragnął, życie wygodne, rozkoszne, prawdziwie kapuańskie, osiedlił się nad lagunami na zawsze. Zaraz po przybyciu do morskiej Syreny napisał list do doży pełen uniesień, dziękując, że tu ocalił swój honor i życie i w rozlicznych wierszach opiewał Wenecję, »ów klejnot świata, ów cud cudów, na które patrząc, trzeba głowę pochylać, aby nie być olśnionym bijącym zewsząd blaskiem«.

Niebawem jednak nadeszły straszne wiadomości o oblężeniu Rzymu przez wojska hiszpańsko-niemieckie, a Aretino, równie jak cała prawie ludność włoska, przewidując tę ka-



tastrofę, uważał ją za słuszną karę Bożą za grzechy papieństwa. Natychmiast też pisał listy do Karola V i do papieża, chcąc łagodzić klęski, zadane Rzymowi, i doprowadzić do zgody pomiędzy monarchami. Karolowi V nie szczędził pochwał z powodu jego wielkich zalet monarszych, przedstawiał mu jednak konieczność uwolnienia Klemensa VII z więzienia w zamku św. Aniola i błagał go, aby radość ze zwycięstw, jakie odniósł, nie zachwiała wrodzonym mu umiarkowaniem w rzeczach politycznych. Papieżowi radził, aby przebaczył nieprzyjaciółom i nie myślał o zemście, ale łagodnością i cierpliwością naprawił te nieszczęścia, w które Kościół wtrąciły grzechy duchowieństwa. Gdy papież połączył swoje ideały z cesarskimi dążeniami, będzie można zwrócić miecz chrześcijański przeciw pyszniącemu się Turkowi.

Listy te rzucają światło na nadzwyczaj wpływowo stanowisko tego satyryka-polityka, który nie mając żadnej władzy, nie piastując żadnej wysokiej godności, mógł w tak ważnej chwili dawać rady dwom największym potentatom ówczesnego świata. Co więcej, listy te dobrze były przyjęte, a jak zobaczymy, cesarz później obdarzał Aretina swymi łaskami. Według świadectwa zaś Sebastjana del Piombo, miał uwięziony papież, »spożywając w Castello więcej chleba boleści, aniżeli smacznych potraw, powiedzieć z westchnieniem, że gdyby Aretino był przy nim, nie byłoby doszło do tych ostateczności, albowiem Pietro byłby mu powiedział prawdę o wszystkim, co w świecie mówiono«.

Na ruiny Rzymu napisał Aretino długą kanzonę, pełną patryotycznego uniesienia, w której boleje, że zburzenie Jerozolimy i Kartaginy nie musiało być tak straszne, jak klęska, która Rzym spotkała. Gdzieniegdzie są tam ustępy pełne siły, jak n. p. owa strofa, w której zbezczeszczona przez dzikie żołdactwo Rzymianka rzuca się do Tybru.

Sul ponte, ove Adriano ha la gran mole,  
Una romana infuriata corse,  
Che l'corpo havea corrotto e casto il core,  
Et poi che'l caso a circostanti porse  
Disse al Tever con lachrime et parole:



Levami il fango del perduto honore,  
 Tu sarai del mio danno redemptore,  
 Tu il mio sepolcro. E nel sanguigno fiume  
 Voluntaria gettò le offese membra...<sup>1)</sup>

Równie strofa o zniewadze, jaką »nieprzyjaciel naszej wiary« wyrządził »hostyi świętej, prawdziwemu Chrystusowi«, w wysokim napisana nastroju. Wreszcie poeta zwraca się do Karola V i zaklina cesarza, aby odwołał z Rzymu barbarzyńskie hufce, podniósł Rzym do dawnej chwały i uspokoił Włochy, ażeby ten straszny przelew krwi w stolicy chrześcijaństwa nie wywołał oburzenia całej Europy przeciw cesarskiej władzy. Aretino kończy swój wiersz westchnieniem na grobie swego przyjaciela, Giovanniego de' Medici, przypominając, jak wielką klęskę poniosły Włochy z jego śmiercią. Gdy Giovanniego zabrakło, Rzym przestał być naszym.

Che Roma, estinto lui, non fu più nostra.

Ale Aretino zanadto nawykł obrzucać wszystko satyrą, aby i w tak tragicznej chwili nie powstrzymał się od paszkwilu. Wtedy to napisał imieniem Pasquina ową uliczną piosenkę, ową frottolę pod tytułem Pax vobis, którą czytając, miał się Klemens VII z boleści rozplakać i zawołać: »Czyż to możliwem, aby się z papieża w tak straszny sposób naigrawano?« »Prawda, mówił Klemens, żeśmy wyrządzili krzywdę Aretinowi, ale temu więcej winien Gianmatteo Giberti, aniżeli my sami«. Frottola zaczyna się od słów:

Pax vobis, brigata,  
 E Dio vi dia in le mani  
 A Giudei et Marrani  
 Et a tedeschi.

<sup>1)</sup> Po moście, tam gdzie Adryan ma swój potężny grobowiec, jakaś Rzymianka biegnie, jak szalona. Ciało jej zbezczeszczone, ale serce czyste. Nieszczęsna żale swe zawodzi, zwraca się do Tybru i ze łzami rzeknie: »Zmyj ze mnie błoto czci utraconej, wybaw mnie z upadku, bądź moim grobem«. To mówiąc, w zakrwawioną rzekę rzuca się swem sponiewieranem ciałem.



Aretino opowiada w niej smutne swe losy, które go w Rzymie prześladowały, i wyrzuca Gibertiemu jego nieudolną politykę. Wyśmiewa się z armii papieskiej ligi, zbieraniny najrozmaitszej hołoty, która dusiła kury i okradała chaty wiejskie po drodze, a Hiszpanów i lancknechtów tak się bała, że szła za nimi zawsze w takiej odległości, aby się jej nic nie stało, i ostatecznie pozwoliła, aby Rzym zniszczono. Pasquino opowiada o sobie, że nagi, jak był, uciekł przed najezdnikami, pomimo że mu obcy rabusie schlebiali. Nie wierzył jednak w niemiecką przyjaźń:

Nè me fidai di questa  
Lor tedesca amicitia  
E fugii con malicia  
Un giorno ignudo.

Pasquinata była podobno drukowana w Syenie, ale nas nie doszła w całości. Możemy się wszakże domyślać jej treści z późniejszego opisu oblężenia Rzymu, który Aretino umieścił w swoich »Raggionamentach«.

Wogóle papieństwo tak było wówczas znieawidzone, że znaczna część znakomych ludzi na półwyspie cieszyła się z upokorzenia i upadku Rzymu. Markizowi Gonzadze tak przemawiała do serca pasquinata Aretina, że ją nazwał »piacevolissima frottola«. Tylko Giberti nie darował autorowi zniewagi, a nie mogąc go dosięgnąć w wolnej Wenecyi, użył pióra Berniego, aby napiętnować paszkwilanta. Berni był w usługach Gibertiego od dawna i wiele mu zawdzięczał; poeta ten, pełen sarkazmu, napisał też przeciw Aretinowi sonet, w którym zebrał wszystkie możliwe oszczerstwa na »syna ulicznicy z Arezzo«, przedstawił go jako rozbójnika, łotra, herszt bandytów. Papież zostanie papieżem, wołał Berni, a tyś furfant, co żyje cudzym chlebem i obelgą.

Il papa è papa, e tu se' un furfante  
Nodrito del pan d'altri e del dir male.

Sonet Berniego szybko się rozpowszechnił i stał się jednym z najważniejszych źródeł owej brudnej biografii Aretina, która wieki, bez krytyki, przetrwała.



Aretina ten sonet bardzo zabolął, bo Berniemu zawsze przyjaźń okazywał. Mówił też, że gdyby wszystkie burze morskie z wściekłością rzuciły się na jaki zbłąkany okręt, toby nie wywarły tyle złości, ile Berni wylał na niego.

## IV.

Aretino znalazł w Wenecyi wiernych przyjaciół. Zaraz w początkach swego tam pobytu spotkał Jacopa Sansovina, którego już znał dawniej w Rzymie, i zapoznał się z Tycyanem, a wkrótce satyryk i dwaj artyści stali się nierozłącznymi towarzyszami na całe życie. Trójkę tę uwiecznił Sansovino na drzwiach brązowych zakrystyi św. Marka, gdzie rzeźbiarz oddał obok swego portretu podobizny Tycyana i Aretina. Także i Pietro niejednokrotnie wspomina o tej kompanii, a pomiędzy innemi w sonecie:

Mentre voi Tizian, voi Sansovino  
 In tele e in marmi affaticate l'arte  
 Io col zelo del cor, con cui l'inchino,  
 Pingo e scolpisco umilmente in carte  
 Le grazie...

Jak zwykle bywa w życiu, łączył tych ludzi obok rzeczywistej wzajemnej sympatii także i interes. Aretino był wybornym towarzyszem do robienia swym przyjaciołom rozgłosu i przysparzania zamówień; on to pozyskał Tycyanowi takiego klienta jak Karol V, a później i księcia Urbinu. Polubiwszy Vasarego, kazał jednemu z interlokutorów w swej komedyi »Talanta« opowiadać, że Giorgio z Arezzo, młody jeszcze wówczas artysta, wymalował dekoracje teatralne, które podziwiali tak wielcy mistrze, jak Tycyan i Sansovino. Gdy Karol V miał przybyć do Medyolanu, Aretino słał listy do znakomitych dworzan cesarza, aby wybierającemu się tam Tycyanowi ułatwili dobre przyjęcie i przysporzyli mu licznych zamówień. Księżciu Salerna donosił, że pragnieniem jest weneckiego mistrza, aby wymalować portret jego dostojnej osoby; Lope de Soria, Davalosowi polecał artystę,



Gian Battistie Torniellemu pisał, że obraz »Narodzenie Chrystusa«, który mu się w Wenecji podobał, teraz wskutek przepysznych dodatków jeszcze piękniej wygląda, i że artysta umieścił tam patrona ojczyzny Torniella, Nowary, św. Gaudentego w zbroi.

W trzy miesiące po przybyciu Aretina do Wenecji wymalował Tycyan jego portret, który Pietro posłał markizowi mantuańskiemu, aby się wywdziękzyć za dany mu przytułek, a bezwiednie i za ów wyostrzony na niego puginał, którym się Federico miał przysłużyć Rzymowi. Zarazem ofiarował Aretino markizowi inną pracę Tycyana, portret Girolama Adorna, przyjaciela Gonzagi.

Tycyan nie znał jeszcze wówczas Rzymu i nie widział znacznej części dzieł wielkich współczesnych mistrzów, którzy żyli za Juliusza II i Leona X. Aretino, będąc sam niedoszłym malarzem i nabrawszy dużo smaku i znajomości sztuki w obcowaniu z artystami przebywającymi w Rzymie, zaczął zaraz wywierać wielki wpływ artystyczny na Tycyana. Włochy nie posiadały wtedy znakomitszego krytyka sztuki nad Aretina. Tycyana cenił on nadzwyczaj wysoko, a osobliwie podnosił przy każdej sposobności jego poczucie natury. »Tycyan, pisze raz nasz krytyk, stał się dlatego podziwem wieku, ponieważ przemienia sztukę w przyrodę«. Gdy mistrz wenecki skończył portret Diega Urtady de Mendoza, znajdujący się dzisiaj w smutnem przemalowaniu w galerji Pitti, powiedział Aretino, że artysta »fa dell' arte una tacita natura«.

W Wenecji zaczął Aretino zbierać owoce swego literackiego korsarstwa; zewsząd napływały mu stałe pensye i dary, jak brokaty, aksamity, a nawet koszule haftowane złotem, albo tkane z jedwabiu. Federico Gonzaga należał do tych, którzy mu najwięcej przysyłali, a mnóstwo listów Aretina z owego czasu do rozmaitych potężnych osobistości zawiera podziękowania za bogate szaty i pieniądze. Sułtan przysłał mu jednak dar najcenniejszy, piękną niewolnicę. Pietro wynajął też mieszkanie w najbogatszej arystokratycznej części miasta, w domu Domenika Bolani, tuż obok mostu Rialto. W jednym ze swych listów opisuje z uwiel-



bieniem dla Wenecyi swoje pokoje, cieszy się czarującym widokiem, jaki ma ze swoich okien. Każdej chwili przesuwa mu się przed oczyma tysiące gondol i tysiące ludzi, których głowami Rialto zdaje się być wybrukowane. Nie tęskni bynajmniej za lasami, za łąkami i za ogrodami, bo już o świcie widzi wody kanału, pokryte barkami pełnymi jarzyn i owoców, z których osobliwie melony i dynie dziwnymi swymi kształtami go bawią. Aby zresztą i zieloności nie zabrakło, ma przed sobą drzewa pomarańczowe, które złocą otoczenie pałacu dei Camerlenghi. Słońce nie wyjdzie w ziemie na świat, dopóki nie oświeci jego łóżka, jego studio, jego sali i komnat, a gdy się podniesie na horyzoncie, cały kanał zabarwia się pięknymi kobietami, rozpartymi pysznie w gondolach, błyszczącymi od jedwabów, aksamitów i drogich kamieni. A czyż gondolierzy w szkarłatnych spodniach, białych koszulach, wydający co chwilę swe muzykalne okrzyki i nawoływania, nie przyczyniają się do urozmaicenia obrazu? Czasami przepływa wspaniały Bucentaur, a serenady i festyny bawią go w dzień i nocy. Wogóle, gdyby wszystkie zmysły mogły tak, jak wzrok, używać, to jego mieszkanie rajemby się stało. Co ma tylko do zarzucenia właścicielowi domu, to schody ciemne, haniebne, »scala bestiale«, ale takie są prawie wszędzie w Wenecyi. Natomiast zachwyca go »la nobilità« jego sąsiedztw. Obok mieszka Maffio Lioni, człowiek wielkiej nauki, z synami, dalej Mocenigo, patrycyusz wenecki, u którego bywa mnóstwo »dei cavalieri e di gentiluomini«, ale najwięcej cieszy go sąsiedztwo Sereny, młodej uroczej kobiety, a przytem poetki. Owa Antonia, tokańskiego pochodzenia, wyszła za mąż za wyszarzanego Wenecyanina, Antonia Serenę, który zaprosił Aretina na świadka swego ślubu. Stąd przyjaźń i stanze na cześć »Sireny«, pisane »con affezion paterna«. Aretino mieszkał w domu Bolaniego dwadzieścia dwa lat, a gdy nazwisko satyryka stało się rozgłosnym, nazywano ów dom »casa dell' Aretino«, a przytykające uliczki »calle dell' Aretino« i »riva dell' Aretino«. Po dwudziestu dwu latach musiał się nasz Pasquino stamtąd wyprowadzić; »padrone« nie był z niego zadowolony, wypowiedział mu mieszkanie, które zupełnie zniszczył i nie płacił czynszu regu-



larnie. Samochwał, jak zawsze, skarżył się na Bolaniego, że wygania ze swego domu człowieka, za którego rzetelność w wypłatach sam cesarz poręcza.

Nic dziwnego zresztą, że mieszkanie Aretina po dłuższym czasie było zniszczone, było ono bowiem rodzajem zajazdu. Odwiedzało go bez liku znajomych, literatów, wszelkiego rodzaju znakomitości, a w liście do malarza Franciszka Alunna chwali się nasz Pietro, że marmurowe schody do jego komnat tak się zużyły od stóp ludzkich, jak bruk Kapitolu od kół tryumfalnych wozów. »Przychodzą do mnie, pisze, goście różnych narodowości: Turcy, Żydzi, Indyanie, Francuzi, Niemcy i Hiszpanie, a rzecz prosta, że i móstwo Włochów mnie odwiedza. Ludzie niższych stanów, wojskowi, szkolarze, mnichy i księża, drzwi moje oblegają. Zdaje mi się czasem, że się stałem wyrocznią prawdy, gdyż każdy przychodzi do mnie opowiadać o krzywdach, jakich doznał od tego lub owego księcia, od tego lub owego prałata, słowem, zostałem sekretarzem ludzkości... »Każdy do mnie biegnie w potrzebie, skarży się Pietro gdzieindziej; jeżeli jaka biedaczka spodziewa się potomka, ja muszę płacić kosztą/ połogu; jeżeli kogo wtrąca do więzienia, do mnie się udaje, abym go uwolnił; jeżeli kto zachoruje, muszę dlań posyłać po lekarstwa do aptekarza i polecać pacyenta doktorowi«. W tej mierze Aretino nie przesadzał, gdyż wszyscy współcześni potwierdzają, że był człowiekiem nadzwyczaj uczynnym, dobrego serca i rozdawał więcej, aniżeli mógł. Od bogatych wyciskał, a wspierał ubogich, nie zapominając przytem o swoich upodobaniach i wygodach.

»Rozrzutność tak mi jest wrodzoną, jak innym skąpstwo«, powtarzał nieraz. Rozdawał pieniądze, przedmioty sztuki, ba, nawet własne ubrania, gdy tego była potrzeba. »Rzeczy, które mi posyłasz, pisał raz do hr. Massima Stampy, w samą porę nadeszły, bo przyjaciele w karnawał tak mnie obdarli, że sześć czy ośm dni nie mogłem wyjść na ulicę. Moje suknie będą miały to szczęście, że zostaną zastawione »apud hebraeos fratres«. Zastawią je przyjaciele, gdyż sam literat nie lubił chodzić w masce i nie brał udziału w karnawale, bojąc się sztyletu.



Gdy Aretino płynął w swej barce, biegł za nim po mostach i »fondamentach« tłum chłopców i dziewcząt, prosząc o grosz na kawałek chleba. Jeden z przyjaciół nazwał go bankierem miłosierdzia, »banchiere della misericordia«. Na Wielkanoc zbiegały się do niego dzieci z całej dzielnicy, a najadłszy się do syta, dostawały jeszcze zapasy do domu. W listach swych, w których spotyka się często wiele pięknych myśli i zdań, mówi nasz satyryk, że człowiek rodzi się dla człowieka, a pomagając potrzebującym, staje się rodzajem bóstwa. Innym razem przysięga, że nigdy nie był skąpym, gdyż przez lat piętnaście miał dom swój otwarty, jak gospodę, dla wszystkich. Był to raczej dowód lekkomyślności, aniżeli rozsądku; ale za to pospółstwo życzyło sobie, aby żył najdłużej, gdyby go bowiem zabrakło, musieliby ludzie ubodzy szukać przytułku w szpitalu. Jednego dnia naliczył dwadzieścia dwie kobiety z dziećmi u piersi, które się przyszły u niego pożywić. I tak było codziennie. Tycyan dziwił się, że Aretino nie ogłosi bankructwa z powodu tych wydatków. Na dom wydał w ciągu lat przeszło 70.000 skudów, co było na owe czasy olbrzymią sumą. Postępował podobnie, jak markiz Alberto Malaspina, który rabował po drogach bogatych ludzi, aby być w domu gościnnym.

Nie mogąc pisać u siebie z powodu ciągłych odwiedzin, uciekał do drukarza Marcoliniego, albo do Tycyana, aby tam pracować. Tycyan mieszkał w latach 1516 do 1530 niedaleko Aretina, w pobliżu S. Samuele, mniej więcej w równej odległości od mostu Rialto i św. Marka. Później wyprowadził się mistrz w odleglejszą, północną część miasta, do probostwa S. Canziano in Biri, do nowego domu, zwanego »Casa grande«, z pięknym widokiem na Murano. Tam się urządził bardzo wspaniale. Opis jego mieszkania pozostawił nam słynny łacinnik Prisciano, którego Tycyan zaprosił w roku 1540 do siebie na wieczerzę w towarzystwie Aretina, Sansovina i Jakóba Nardiego, historyka z Florencji. Goście zabawiali się zrazu oglądaniem bardzo pięknie założonego ogrodu, gdzie było duże, rzadkie w Wenecji drzewo, które wymalował mistrz jako tło na swym obrazie, przedstawiającym męczeństwo św. Piotra. Po zachodzie słońca mnóstwo tam-



tędy przepływało łodzi, pełnych pięknych kobiet, a Prisciana, jako Rzymianina, szczególnie zachwyciła się śpiewy i muzyka, które się jeszcze późno w noc rozlegały.

Kolacja była wyborna, wina doskonałe, gdyż w domu Tycyana, który znany był z oszczędności, panował ład i porządek w przeciwieństwie do gospodarstwa Aretina. Przy wetach przyniesiono także listy z Rzymu, rozmowa stała się nadzwyczaj ożywiona, Aretino tak olśniewał wszystkich swym dowcipem i trafnymi uwagami, że Prisciano nazwał go cudem natury. Listy z Rzymu dały bowiem powód do nadzwyczaj poważnych rozpraw. Prisciano i Nardi wywyższali język łaciński nad tokański, co Aretina w taki gniew wprowadziło, że gdyby go towarzysze nie byli wstrzymali, byłby wówczas ułożył na profesorów pedantów jedną ze swych najnamiętniejszych inwektyw. Chciał zaraz zasiąść do pisania, żądał papieru i atramentu i zaledwie go uspokoić zdołano. Nie darował jednak ani Rzymianinowi ani uczoneму z Florencyi i wydał później słynny list przeciw humanistom i pedantom, w którym wyrzuca im zarozumiałość i sądzi, że tak pomieszali sztukę z naturą, że nikt z nich nie wie, co jest naturalnem a co sztucznem. »Jesteście towarzystwem wzajemnej admiracyi, peroruje Aretino; nauczcie się, że tylko naturalna piękność stylu odpowiada piękności rzeczy ziemskich«. Wkońcu każe im się rozczytywać w jego pismach, gdzie znajdują kopalnię stylistycznych zwrotów. »Wasza łatwość w dysputach, mówi, jest chimerą we śnie zrodzoną, podobną do świętojańskich robaczek, które tracą blask, gdy się je uchwyci. Jesteście twórcami drobnostek, a nie poetami«.

## V.

Mimo wszelkich uraz do dworu rzymskiego, mimo paskwilu »Pax vobis«, Aretino pragnął zbliżyć się znowu do Klemensa VII. Musiał w łańcuchu swych różnorodnych politycznych intryg uczuć brak tego najważniejszego ogniwa, którego mu brakowało w stosunkach z Karolem V i Franciszkiem I. Zresztą Aretino wraz ze swym Pasquinem nigdy



nie był nieprzyjacielem papieżstwa; satyra rzymska występowała przeciw nadużyciom Kuryi, przeciw obyczajom duchowieństwa, ale nigdy nie walczyła z papieżstwem jako instytucją i w tej mierze różniła się od satyry północnej, zwłaszcza niemieckiej, z Huttenem na czele. Aretino, gdzie mógł, dogryzał Lutrowi, a nawet później za reakcyi katolickiej, mimo najsurowszych zarządzeń przeciw złośliwym pisemkom, Pasquino zawsze się szczycił, że nie był źle widziany na papieskim dworze. To też Aretino robił jakieś starania u doży Andrzeja Grittiego, aby Klemensa VII dobrze dla niego usposobił. Gritti lubiał satyryka i podjął się tego zadania. Był to dla Aretina fakt wielkiej wagi, a chcąc się doży i tamtejszemu rządowi wywdziękzyć, napisał on wtedy do Grittiego list, będący hymnem pochwalnym dla Wenecyi, zarzekał się w nim, że szukać schronienia po obcych dworach nie będzie, i oświadczał, że na lagunach rozbije na starość swój namiot, »qui faccio perpetuo tabernacolo agli anni, che m'avanzano«, gdyż tu niema zdrady, tu panuje prawo, a nie okrucieństwo i rządy kurtyzan. Aretino oddawał się na usługi doży, ojcu poddanych mu ludów, synowi prawdy, przyjacielowi cnoty, opiekunowi cudzoziemców i wykonawcy sprawiedliwości. Wenecyę chwalał w tym liście jako żywicielkę innych miast, jako przez Boga wybraną matkę, powszechną ojczyznę, siedzibę wolności, gospodę wygnańców; Wenecya błyszczy wspaniałością, szlachetnością, swymi pałacami, swymi kościołami, zakładami dobroczynnymi, swoją radą, łaską, obyczajem, swą cnotą i swemi bogactwami.

W wierszu, pochodzącym zapewne z owych czasów, »Pietro Aretino in laude di Venetia«, daje nasz satyryk jeszcze silniejszy wyraz swym uczuciom, swemu przywiązaniu do miasta lagun i wdzięczności dla jego rządów. A w polocie trochę awanturniczej wyobraźni powiada, że principe Andrea Gritti powinien rządzić dwoma Wenecyami, trzema Rzymami i nawet czterema Egiptami.

Nie tylko Aretinowi jednak chodziło o pogodzenie się z Rzymem, lecz i Klemens VII chciał mieć pióro chwilowego nieprzyjaciela na swoje usługi. Girolamo da Vicenza, maggior-domo papieski, tudzież biskup di Vaison pracowali nad za-



łagodzeniem nieporozumień; posłano Aretinowi z Rzymu bardzo piękny złoty naszyjnik, a nawet przyobiecano, że otrzyma przywilej cesarski, wynoszący go do stanu szlacheckiego. Chciano wyzyskać próżność Aretina. Nowy Wenecyanin podziękował wprawdzie za bogaty łańcuch, ale nie przyjął obiecwanego szlactwa, odpisując biskupowi, że »cavalieri« bez dochodów jest jak mur bez fundamentów.

Usiłowania jednak doży i Vaisona wydały požądane z obydwu stron owoce. Papież oświadczył, że przebaczył Aretinowi jego satyryczne pisma, któremi go bardzo dotknął; Pietro nawzajem wyznał w liście pisanym do Klemensa VII, że żałuje, iż obraził papieża, którego sława zawsze mu była tak drogą, jak życie, i boleje tem więcej, iż to uczynił w chwili wielkich nieszczęść, jakie na Kuryę spadały. I w tym poważnym liście nie mógł się wszakże powstrzymać od igraszki piórem, dodając, że nic dziwnego, iż w chwili, kiedy ci, którzy stoją na szczycie wielkości świata, godzili w papieża swemi lancami, on dotknął go swymi dowcipami. W całej tej sprawie i kobieta miała udział, a mianowicie królowa Cypru, Katarzyna Cornaro, którą Tycyan przed dwudziestu laty malował. W jej bowiem pałacu wręczył Aretinowi Aleksander Medici z Paolem Gioviem imieniem papieża ów naszyjnik, o którym wspomnieliśmy. Medici przejeżdżał wtedy z biskupem Nocery na dwór cesarski w sprawie inwestytury florentyńskiej.

Papież podyktował Aretinowi rozmaite warunki zgody. Pomiędzy innymi miał Pietro wykreślić ze swego poematu »Marfiza« ustępy wymierzone przeciw Klemensowi i Giber-tiemu, a zastąpić je strofami dla nich pochlebnymi. Nadto powinien jako dobry chrześcijanin wypowiedzieć się, czego od dawną nie uczynił. W zamian za poprawę obiecywał papież dać Aretinowi przywilej na drukowanie »Marfizy« i pokazać sumę złota. Marco di Niccolò pisał z Rzymu 5 maja 1536, że papież pokazywał mu sakiewkę z kwotą pięciuset skudów, pytając go, czy ma ten podarunek posłać Aretinowi, czy nie.

Wszystkie te uprzejmości miały Piętra tak dalece rozczulić, że przyobiegał papieskiemu posłowi wiernie warun-



ków zgody dotrzymać i ze łzami w oczach bolał nad swymi grzechami, obiecując życie swe zupełnie odmienić.

Równocześnie ze zbliżeniem się do papieża pogodził się Aretino i z Gibertim; była to zgoda tylko pozorna, wystarczała jednak, aby pamflecista mógł się na razie zajmować literackimi pracami.

Mantuański Federico był wielkim wielbicielem rycerskiej poezji i Aryosta, a jeszcze w czasie pobytu Aretina w Mantui powstała myśl, aby nasz satyryk ułożył poemat na chwałę rodu Gonzagów. Mantua nie chciała być gorszą od Ferrary, gdzie Ariosto Estów opiewał. Aretino, który przed żadnym literackim zadaniem się nie cofał, czuł przecież, że romans rycerski nie odpowiada jego talentowi i że z Aryostem trudno mu się mierzyć. Mimo to jeszcze w r. 1527 zabrał się do pisania tego poematu ze zwykłą sobie energią i miał po czterdzieści stanc układać na jeden poranek. Poematowi dał nazwę bohaterki Aryosta, Marfizy, i zamierzał w nim zajmować się dalszą historią »szalonego Orlanda«. Ale losy tej »Marfizy« były dość smutne. Aretino jej nie dokończył, równie jak dwóch innych rycerskich poematów, z których tylko tytuły pozostały: »L'Angelica« i »L'Astolfeida«.

W r. 1531 zerwał Federico stosunki z Aretinem a przyczyną tego była »Marfiza«, gdyż poeta przestał pisać epopę, która miała uwiecznić sławę Gonzagów. Aretino szukał nowego protektora, na którego cześć mógłby ją ukończyć. Zwrócił się w tej mierze do Aleksandra Medyceusza; ale przyszły książę był przede wszystkim zajęty owładnięciem buntującej się przeciw niemu Florencyi, a nadto staraniem się o jedną z córek nieślubnych Karola V i nie miał ochoty wydawać pieniędzy na »rycerską« historię swego rodu. Dopiero w kilka lat później znalazł autor innego mecenasa, na którego cześć zaczął Marfizę przerabiać. Mecenasem tym był markiz Del Vasto; dla niego zmienił Aretino odpowiednio wstęp do poematu i jak mówiono, spalił trzy tysiące strof, odnoszących się do Gonzagów. W r. 1537 wydał w Wenecyi pierwsze trzy pieśni przerobionej epopoi, w których są tu i owdzie piękne ustępy, ale cała rzecz jest chybiona; główni bohaterowie pełni przesady, w samą zaś treść wplątał autor













Fot. Anderson.

Pietro Aretino.  
Według portretu Tycyana w galerji Pitti.

Do str. 497.







mnóstwo niepotrzebnych zawikłań. Sam Aretino najlepiej ocenił swój poemat, nie pisząc dalszych pieśni.

Zerwanie stosunków z księciem Mantuy dało się bardzo we znaki finansom Aretina i była chwila, że się nosił z myślą wyemigrowania do Francyi, na dwór Franciszka I i w tym celu wszelkich używał sposobów, aby znowu pozyskać króla, którego sobie zraził schlebaniem Karolowi V. Ba, jeszcze bardziej awanturniczy projekt go zajmował. Nieślubny syn doży Andrzeja Gritti, Luigi, był wówczas ambasadorem króla Jana węgierskiego w Konstantynopolu. Weneccyanin musiał bardzo tęsknić za towarzystwem włoskiem na dworze sułtańskim, gdyż namawiał Aretina, aby przybył do niego, i przysłał mu nawet znaczną kwotę pieniędzy na drogę. Luigi obiecywał Aretinowi, że jeżeli przyjedzie rozweselać go swą miłą rozmową, »con la sua dolce conversazione«, to będzie mógł żyć w Konstantynopolu jak książę. Wenecki sybaryta nie miał ochoty jechać w tureckie kraje i wynurzał się wtedy z goryczą, że w ojczyźnie nie umięją go ocenić, »że Pietro ubogi i starzejący się będzie musiał starać się o chleb powszedni w Turcyi, pozostawiając pomiędzy chrześcijanami oszustów, pochlebców i hermafrodytów, jako ludzi szczęśliwych«.

## VI.

Naraz jednak fortuna się odmieniła; Franciszek I przysłał Aretinowi przepyszny podarunek, obiecywany od lat trzech, artystycznie zrobiony łańcuch na piersi, szacowany na sześćset skudów. Takie naszyjniki zastępowały wówczas późniejsze tabakierki, któremi monarchowie XVIII wieku obdarzali swych ulubieńców. Naszyjnik składał się z emaliowanych złotych jęczyczków, na których była wypisana dewiza: »Lingua eius loquetur mendacium«. Niejasne te cokolwiek słowa miały znaczyć, że Aretino, wynosząc króla pod niebiosy, w swych pochwałach nie mówi prawdy. W tej skromności królewskiej przebijało się przecież zadowolenie z kłamstw Aretina, skoro je złotem nagodził.



Podarunek Franciszka I narobił wiele hałasu, podniósł kredyt Aretina i otoczył go jeszcze jaśniejszą aureolą literackiej potęgi. Podarunek ten był zresztą zapowiedzią innych i rzeczywiście odtąd obsypywano satyryka zewsząd złotem i łaskami. Przedewszystkiem ujmując sobie markiza Del Vasto dedykacją »Marfizy«, zyskał na dworze Karola V protekcję jednej z najpotężniejszych osobistości. Markiza wynoszono wtedy nad wszystkich wodzów wojsk cesarskich, nazywano go nowym Achillesem.

Względy Del Vasta i poświęcenie mu »Marfizy« miały swą historię. Aretino wydał w r. 1534 bardzo zjadliwy prognostyk, przechowany dotąd w bibliotece dworskiej w Wiedniu, w którym pod wpływem, jak się zdaje, francuskiego naszyjnika uderza na Karola V i na markiza. Osobliwie wobec ostatniego staje się nieubłagany, wypomina mu niepowodzenia wojenne na Węgrzech, ośmiesza jego namiętność do strojenia się w koronki i słabość do pachnideł, przepowiada mu, że się będzie przemieniał w różne figury zodyaku, z rana w byka, później w strzelca, wieczór nawet w pannę, podobnie jak różne przybierał kształty w Bolonii, gdzie był Kupidynem, Narcyzem i Ganimedem. Mnóstwo kupców, krawców, hafciarzy, czapników, sukienników we Florencji, w Rzymie i w Neapolu, których swą łaską obdarzał, zbankrutowało z powodu, że jego Ekscellencya za dużo potrzebował pieniędzy na bankiety i stroje i długów nie płacił.

O Karolu V chyba nikt tak zjadliwie i tak lekceważąco się nie wyrażał, jak Aretino w tym prognostyku. Wyśmiewał się z jego marnej postaci, z jego dolnej wargi, ze zwycięstw nad Turkami, których nigdy nie widział, posądzał o skąpstwo, o niewdzięczność, rozwzięłość i wiele innych wad i ułomności.

I cesarz i markiz del Vasto przelekli się tych napaści. Karol V miał po temu prywatne powody: obawiał się, aby Aretino nie zechciał pisać »de la cosa de la cognata«, o kuzynce, o siostrze jego żony, o Beatryczy, księżnie sabaudzkiej. Mąż Beatryczy, Karol III sabaudzki, był ułomny, Beatrycza odznaczała się pięknnością i wdziękiem, a Karol V podczas pobytu swego w Bolonii w r. 1530 tyle jej okazywał sympatii,













Fot. Anderson.

Karol V.  
Według portretu Tycyana w Prado, w Madrycie.

Do str. 499.







że to powszechną zwracało uwagę i dało powód do złośliwych uwag. Pogłoski o jego stosunku z Beatrycją bardzo były Karolowi V nieprzyjemne, już to ze względu na własną żonę, już to z uwagi na opinię publiczną. Aby więc zamknąć usta pamfleciście, a zarazem zobowiązać go sobie stale jako obrońcę cesarskiej polityki we Włoszech, kazał Karol V dekretem z dnia 25 czerwca 1536 wypłacać mu roczną pensję w kwocie dwustu skudów ze skarbu księstwa medyolańskiego. Opinia Aretina o cesarzu zaraz się zmieniła, napisał do monarchy list dziękczynny, w którym utrzymuje, że ze wszystkich monarchów jedynie Karol V stworzony został na podobieństwo Boga.

Natomiast stosunki Aretina z Franciszkiem I bardzo się oziębily. Król arcychrześcijański nie był tak domyślny, jak Karol V, i nie zapewnił mu stałych dochodów, a co gorsza, zawarł w r. 1536 formalny traktat z Turkami przeciw cesarzowi, co w całej Europie wywołało wielkie oburzenie. Aretino napisał też wówczas do króla francuskiego jeden z najobelżywszych i najzjadliwszych listów, jakie wyszły z pod jego pióra, a trzeba mu przyznać, że wtedy wyraził rzetelną opinię chrześcijańskiego świata. »Boleję nad tem, pisał, że cię więcej nie mogę nazywać królem Francyi, ponieważ nie godzien być królem, kto idzie żebrać pomocy u nieprzyjaciół własnego Boga«.

Gwiazda Aretina nabierała blasku. W Rzymie zmarł Klemens VII, a jego następca, Paweł III, sprzyjał weneckiemu pamfleciście. We Florencyi Alessandro de' Medici widząc, jak wielkie wpływy ma Aretino na cesarskim dworze, sądził, że teraz trzeba sobie zapewnić jego przyjaźń i mieć go u swego boku. Kilkakrotnie więc w latach 1533 i 1535 starał się go do Florencyi sprowadzić, ofiarując mu nawet na mieszkanie pałac Strozzych, którzy wtedy byli z kraju wygnani. Aretino, mimo takiej obietnicy, pozostał w Wenecyi, nie dowierzając despotie, który go mógł z pałacu prosto do wieży przeprowadzić.

Rosnący wpływ pamflecisty na cesarskim dworze obudził niesłychaną zawiść pomiędzy wszelkiego rodzaju literatami, a przedewszystkiem bolała ich owa nowość, stała pen-



sya. Biedacy żyli dotąd z dnia na dzień okruchami, które im spadały ze stołów ludzi możnych, a naraz jeden szczęśliwiec, i to Aretino, uwalnia się od tej codziennej troski. Starano się go przeto wszelkimi sposobami oczernić, zwłaszcza przed namiestnikiem cesarskim w Medyolanie. Gian Alberto Albicante, podrzędny poeta, ogłosił dwa listy: jeden przeciw cesarzowi, drugi uwłaczający honorowi Cezara Fregoso, pod którymi podpisał Aretino. Pomimo że styl pamphlety dobrze był naśladowany, podstęp się nie udał, gdyż Aretino natychmiast wystylizował bardzo dzielną obronę do kardynała Caracciola, w której intrygę wyjaśnił.

Niebawem i we Florencji stosunki się zmieniły na korzyść Aretina. W r. 1537 zamordował Lorenzino de' Medici Aleksandra, a w miejsce zniechęconego tyrana nastąpił Cosimo de' Medici, syn Jana, wodza czarnych band. Aretino napisał do niego natychmiast nader serdeczny list, w którym go wita jako przyjaciela ojca i daje jak najlepsze rady. Powiada, że słyszał, iż otoczenie namawia Cosima, aby się zrzekł stanowiska księcia Florencji ze względu na niechybne niebezpieczeństwa, które mu tam będą zagrażały. Krok taki uważałby za niegodny Medyceusza, »kto bowiem nie pożąda władzy, zasługuje być niewolnikiem; słabość umysłu a nie świętobliwość skłoniły w dawnych czasach Celestyna do zrzeczenia się papieskiej tyary«. Aby wzmocnić stanowisko Cosima, podsunął zaraz Aretino myśl cesarzowi, aby dał księciu swą córkę, wdowę po Aleksandrze za żonę, tudzież zwiększył jego bardzo na razie ograniczoną władzę. Cosimo musiał uznawać te zabiegi Aretina, gdyż mu ciągle posyłał pieniądze i rozmaite dary, za które wenecki przyjaciel odwdzięczał się ogłaszaniem wierszy, podnoszących zalety i cnoty nowego władcy Florencji. Aretino miał u siebie maskę pośmiertną Giovanniego Medyceusza, którą kazał zdjąć w Mantui; teraz więc dał z niej zrobić Tycyanowi portret, a Sansowinowi popiersie słynnego wodza, Danesemu zaś polecił wybić medal z jego podobizną i ofiarował te pamiątki synowi swego przyjaciela.

Wpływy Aretina na cesarskim dworze nie były na rękę Franciszkowi I; król arcychrześcijański chciał koniecznie



przeciągnąć niebezpiecznego publicystę na swoją stronę. Pomimo więc obelżywego listu Aretina Franciszek I utrzymywał ciągle z nim stosunki, a pamflecista stał się nawet głównym pośrednikiem w dostarczaniu monarsze włoskich obrazów i włoskich artystów. Aretino polecił Franciszkowi I architekta Sebastjana Serlio, który przebudował zamek w Fontainebleau, a jeden z francuskich pisarzy zarzucił Aretinowi, że chciał tylko swoich ziomków wzbogacać na koszt królewski. Także Franciszka Salviatego polecił Aretino królowi, posyłając mu swój portret pędzla owego młodego malarza. Franciszek I tak się miał tym obrazem ucieszyć, że woził go ze sobą, jakby drogocenny klejnot. Nawet króla angielskiego, Henryka VIII, umiał Aretino opodatkować, zasypując go swymi pochlebnymi listami, a i królowie węgierski i portugalski przysyłali mu bogate dary. Aretino stał się pierwszym i najpotężniejszym publicystą Europy i mógł się chwalić, że na jego cześć bito złote, srebrne i miedziane medale, że robiono jego popiersia z gipsu i z marmuru, i mógł się pysznić, że swoje portrety, podobnie jak głowę Aleksandra Wielkiego, Cezara i Scypiona, widzi na fasadach pałaców, na szkatułkach z grzebieniami, na zwierciadłach, na talerzach z majoliki. W Murano robiono kryształowe wazy, które zwano Aretine, a dziewczęta, które miały z nim bliższe stosunki, Aretinkami. Nasz genialny pamflecista stał się ojcem reklamy, humbugu i interwiewów. Jeden z medali na cześć jego wybitych przedstawia go siedzącego na tronie i przyjmującego posłów, znośzących mu dary. Ironiczny podpis rzecz objaśnia: »Książęta, którym narody płacą trybut, przychodzą składać daniny swemu słudze«.

Wpływ Aretina doszedł do najwyższego szczytu, gdy pamflecista wpadł na nową myśl, w niezwykły sposób rozciekawiającą umysły: ogłosić listy, które pisał do cesarza, do papieża, do królów i wszelkich innych znakomitych osobistości. Z końcem roku 1537 wyszedł pierwszy tom tych listów, a książka była tak rozchwytywana, że ciągle drukowano nowe wydania. Dotąd tylko listy św. Katarzyny były przykładem tego rodzaju literatury, ale listy Benincasy należały raczej do moralnych rozpraw, a nie do pełnych życia



świadczeń współczesnych prywatnych stosunków. Inne znane podówczas podobne pisma wychodziły po łacinie i nie miały aktualnej wartości. Z pewnością też dumą chwalił się Aretino, że pierwsze listy, które drukowano we włoskim języku, są jego dziełem. Ogłosił później jeszcze pięć tomów tego zbioru, ale pierwszy tom jest właściwie najbardziej zajmujący i najbardziej charakterystyczny, gdyż początkowe listy nie są jeszcze pisane z myślą, że się ukazą w druku. Późniejsze są już po większej części literackimi utworami, obliczonymi na wrażenie, jakie miały sprawić na czytelnikach.

Proza włoska zostawała ciągle pod urokiem pism Boccaccia. Na wielkiego nowelistę wszyscy się zapatrywali, dłużej zaś trwające naśladownictwo sprowadza zastój i martwość. Zresztą wpływy klasyczne jeszcze bardziej przyczyniały się do skostnienia form włoskiej prozy, która zaczęła tracić świeżość i gibkość mowy czerpanej wprost z życia. Widzieliśmy, jak Aretino na zebraniu u Tycjana zachnął się i gniewał na pedantów, utrzymując, że dla pisarza i artysty tak pod względem treści, jak i języka, głównym źródłem powinno być życie, które go otacza. Styl też jego stał się odbiciem codziennej mowy i stąd pochodzi, że w prozie Aretina spotyka się obok prawdziwie pięknych i artystycznie pojętych ustępów, mnóstwo chropowatości, prostactw, niejasności i niedbalstwa. W literackich utworach chciał on być zupełnie oryginalnym, nie naśladować w niczem starożytnych, lecz wszystko pisać, jak się wyrażał, »w pocie swego atramentu«, »alla sudore dei miei inchiostri«. Macchiavelli w Mandrogoli także dążył do tego samego celu, ale był zanadto wykształconym człowiekiem, zanadto przesiąkniętym starożytną literaturą, aby mu się to w zupełności udawać mogło. Aretino nienawidził tej zgrai łacińskich poetów, która Włochy zalewała, i wybuchał gniewem na widok pedanta. On pierwszy rozniecił rewolucję, która później wydarła z piersi francuskiego pisarza okrzyk:

Qui nous délivrera des Grecs et des Romains?

Ktokolwiek patrzy na świat przez biblioteczną atmosferę, jest dla Aretina pedantem. Chwalił się też, że wszystko,



co pisał, pisał z życia, i dumnym był, że nie potrzebuje książek i że pióro i atrament zupełnie mu wystarczają. Najlepszym sekretarzem był dlań ogień na kominku.

Aretino pisał niesłychanie szybko, ciskał swe wrażenia na papier bez głębszego zastanowienia się, a jak w życiu, tak i w swych literackich pracach był człowiekiem popędliwym, gwałtownym, zostającym pod wpływem chwilowych instynktów i namiętności. Zresztą, jak wielu Włochów, łatwo wpadał w przesadę tak co do treści jak co do formy, a jeżeli chwalił, nie miał dość słów, aby te pochwały wyrazić, gdy zaś ganił, unosiła go karczemna furja. Dlatego, jakiegokolwiek są nieraz jego pisma: bezecne, nieobyczajne, brudne, mają tę ważną dla nas zaletę, że oddają z niesłychaną wiernością epokę, w której autor żył, są jakby fotograficznymi zdjęciami jego otoczenia, jakby artykułami dziennikarskimi, pisanymi pod wrażeniem wypadków. Aretino zrywa z wszelką tradycją i rzec można, że w wielu swych pismach jest pierwszym nowoczesnym autorem, z palcami powalnymi drukarskim czernidłem.

Niezliczona ilość listów wybornie charakteryzuje Aretina w rozmaitych chwilach życia. Widzimy go tam zakochanym, czułym, przyjacielskim, dowcipnym, bystrym, widzimy go pochlebcą i pamphleciścą, rzucającym obelgi. Listy te są nadzwyczaj ważnym źródłem do bliższego poznania i ocenienia wybitnych ówczesnych osobistości, prawdziwą encyklopedyą rozmaitych faktów, a w jednej mierze wprowadzają do literatury prawdziwą nowość, krytykę sztuki. Aretino mówi w nich często o dziełach współczesnych mu mistrzów, zwłaszcza do żywota i działania Tycyana są one prawdziwą skarbnicą. Obcując ciągle z artystami, nabrał Aretino nie tylko artystycznej, lecz także, że tak powiem, technicznej wprawy w ocenianiu dzieł sztuki i wyrobił się na wielkiego znawcę. Nadto miał nadzwyczaj dużo poczucia piękna. Urocze widoki i zjawiska przyrody wprawiały go w zachwyt. Sławnym jest jeden z jego listów w trzecim tomie, w którym opisuje zachód słońca w Wenecyi. Tyle poezyi i tyle barw w tym utworze, iż zdaje się, że autor pisząc, maluje kolorami Tycyana. Również wiele innych listów od-



znacza się taką artystyczną plastyką, iż ze współczesnych Aretinowi autorów chyba żaden nie umiał tak jasno i tak żywo swych wrażeń przedstawiać. Nawet Müntz, który z pogardą zawsze pisze o Aretinie, nie może mu odmówić tej zasługi, że jest on właściwie twórcą artystycznej krytyki. Uchodził też Aretino u współczesnych za najznakomitszego znawcę sztuki i temu przypisać należy, że Dolce, układając swój dyalog o malarstwie, nazwał swą rozprawę »L'Aretino« i wprowadził tam jego osobistość jako ideał znawcy. Vasari nadzwyczaj dużo zawdzięczał weneckiemu literatowi i uznawał to w swych pismach. Aretino miał taki instynkt oryginalności i poczucie natury, jak nikt ze współczesnych, mówił też, że z kolebki, a nie ze szkoły wynosi się potęgę swego talentu i że zdrowy sąd o rzeczach rodzi się z matki przyrody i jest ojcem sztuki. Chwalił się także, że prawdę stara się oddawać z taką żywością barw, z jaką Tycyan oddaje oblicze żyjącego człowieka.

Niezrozumiała prawie otwartość przebija się w jego pismach. Nie przedstawia on się w nich bynajmniej lepszym, aniżeli jest, nie wykreśla z nich nawet owych podłostek, których używa, aby wycisnąć trochę pieniędzy od swoich klientów, oświadcza wyraźnie, że potrzeba zmusza go do tego. Ale ta szczerość, czy brak wstydu nie należały wówczas do wyłącznej charakterystyki pism Aretina, znamionowała ona wielu innych autorów. Było to dziedzictwo humanistów.

## VII.

Oprócz listów ogłosił Aretino drukiem w tych czasach komedię »Marescalco« i »Cortegiane«, a następnie »Siedm psalmów Dawida«, »Mękę Chrystusa«, »Passione di Gesù« i najbezpieczniejszy ze swoich utworów, »Ragionamenti«.

Ze wszystkich komedyi Aretina jest właściwie »Il Marescalco« najbardziej sceniczną, najlepiej zbudowaną. Nie wikłają się tam i nie przeszkadzają sobie dwie intrygi, jak w »Cortegianie«, lecz rzecz odpowiada zupełnie przepisom jedności miejsca i czasu. Komedia ta, a raczej farsa, dość



dawno leżała pomiędzy papierami Aretina. Napisał ją jeszcze w czasie swego pobytu w Mantui, jak się zdaje po śmierci Giovanniego de' Medici, gdyż mówi tam o osobistościach, które wówczas należały do dworu Fryderyka Gonzagi, jak o Hipolicie Calandra, jak o Giuliu Romano. Treść tej »burli« bardzo skąpa. Duca mantuański chce się zabawić kosztem swego marszałka, który nienawidzi kobiet i całe życie ich unika. Duca więc udaje, że chce zmusić marszałka do ożenienia się, a on zrazu nie wierzy w te plotki. Następnie jednak widząc, że jest coś prawdy w ludzkich gadaniach, gniewa się, rozpacza, przeklina, ale w końcu musi się biedaczysko zastosować do woli tyrana. Do ślubu idzie jak na ścięcie, ale rzecz kończy się wesoło, gdyż ku powszechnej radości okazuje się, że narzeczoną jest przebrany paź księcia i że marescalco może pozostać nadal niezonatym. Autor korzysta w komedyi z każdej sposobności, aby wymyślać na dwory, na smutki i cierpienia, które dworzanie przechodzić muszą.

Trochę później, w r. 1542, napisał i wydał nasz autor komedję »Talanta«, w której cokolwiek opiera się o Plauta i Terencyusza, chociaż główna postać w komedyi, sama Talanta, wzięta jest najzupełniej z życia XVI wieku. Talanta znowu jest kurtyzana, ale należy do tej kategorii swoich towarzyszek, które przestają tylko z bardzo bogatymi ludźmi, popisują się sonetami Petrarki i wykwintną mową tokańską. Talantę napisał Aretino w ośmiu dniach, gdyż jego przyjaciele z towarzystwa della Calza, związku młodych patrycyuszów, urządzających teatry amatorskie i różnorodne zabawy, prosili go, aby im koniecznie dał jaką komedję do grania, w karnawał roku 1542.

Ażeby uświetnić przedstawienie Talanty pięknymi dekoracyami, sprowadziło towarzystwo della Calza za poradą Aretina znanego już wówczas malarza Giorgia Vasarego, biografy włoskich artystów, był on bowiem szczególnie zręcznym w malarstwie dekoracyjnym. Aretino bardzo popierał Vasarego, jako urodzonego w tem samem, co on, mieście i kilkakrotnie podał mu pomocną rękę. Vasari, opisując później swą wycieczkę do Wenecyi, opowiada, że równocze-



śnie miał korzystne wezwanie do Rzymu, ale postanowił przecież udać się do Wenecyi, jużto ze względu na przyjaźń z Aretinem, jużto aby poznać dzieła Tycyana. Przywiózł ze sobą dwa własne obrazy i kilka kartonów Michała Anioła, za które dał mu Diego de Mendoza dwieście skudów. W pracy około dekoracji dla signorów della Calza pomagali mu Battista Cungi, Christoforo Gherardi z Borgo S. Sepolcro i Bastiano Aretino, wszyscy bardzo dzielni artyści. Przedstawienie więc *Talanty* było wielkiem artystycznym zdarzeniem w Wenecyi, a Calza nie żałowała kosztów i zachodów, aby dobrze wypadło.

Aretino napisał także komedię »*Filosofo*«, w której popełnia znowu błąd, że przeprowadza równocześnie dwie fabuły. Mimo to jest ona dla nas zajmująca, gdyż mamy w niej pochwycony typ owego uczonego z czasów upadającego humanizmu, przesiąkniętego trochę naukami Arystotelesa, a trochę Platona, które źle przetrawił, człowieka bardzo zarozumiałego, mówiącego zawikłanymi frazesami. Messer Plataristotele, bo tak się nazywa bohater komedyi, o bladej, wynędzniałej twarzy, obrzydliwej brodzie, chodzi powoli, poważnie w wytartej todzie, zapomina o młodej, pięknej żonie, gdyż jest mężem swych książek, »*un marito da libri*«, jak się o nim z pogardą wyraża służąca. Wskutek tego młody Polidoro brzęczy, jak wenecki komar, jak zanzare pod oknami pani Plataristotelesowej i dostaje się za kotary. Daleko lepiej udała się Aretinowi dalsza jego komedia, »*L'Ipocrito*«, którą napisał dla księcia Cosima Medyceusza. *L'Ipocrito* jest *Tartuffem* XVI wieku, poprzednikiem Molierowskiego świętoszka. Duszę swą otwiera w monologu, w którym poucza słuchaczy, że kto się nie umie maskować, nie umie się i w świecie poruszać, gdyż udawanie jest tarczą, która każdy pocisk odbija, a zarazem i bronią, która każdą tarczę przebić potrafi. Wspaniały to widok, powiada *L'Ipocrito*, gdy ludzie uwielbiają demona, jak gdyby był świętym.

Jedna z głównych osobistości komedyi, Lisco, opisując hipokrytę, powiada o nim, że zawsze szuka towarzystwa księdza albo mnicha; mówi cicho, rozważnie, kryje się w swym zużytych płaszczu; wysoki, chudy, ze wzrokiem ku ziemi spuszczo-



nym, nosi brewiarz w rękę, a często można go spotkać w kościele albo w księgarni, gdzie sprzedają pobożne dzieła.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Molière, pisząc *Tartuffa*, znał komedię Aretina i od niego swego bohatera zapożyczył <sup>1)</sup>.

W czasie, kiedy Aretino pisał swe burle, zabrał się także do poważniejszej pracy, chciał utrwalić swą sławę dramaturga rzetelnie opracowaną tragedją. Stąd powstała »Orazia«, jedyne jego dzieło sceniczne zupełnie wykończone. Ówczesne tragedye były słabemi naśladownictwami Sofoklesa i Eurypidesa, osobistości w nich występujące poruszały się, mówiły, jak manekiny, na wzór grecki. Taką była »Sofonisba« Trissina, takimi »Rosmunda« i »Orestes« Giovanniego Rucellai, albo »Orbecche« lub »Cleopatra« Giralda. Aretino, który nienawidził naśladowania starożytnych autorów, użył całej siły swego talentu, aby się od tej zależności uwolnić. Zadanie to wszakże było trudne, gdyż wybrał sobie temat z dziejów rzymskich; nikt bowiem, a nawet taki Aretino jeszcze nie przypuszczał, aby tragedia mogła się obejść bez klasycznej treści. Chodziło więc przynajmniej o realniejsze przedstawienie rzeczy, o nadanie bohaterom istotnego życia. Ten cel osiągnął Aretino w znacznej mierze i stworzył najoryginalniejszą i najbardziej zajmującą tragedję XVI wieku.

Porównując tragedję Aretina z Corneilla »Horace«, widać się dopiero, jak dalece Włoch lepiej Rzymian rozumiał, jak znał ich zwyczaje i przejął się starożytnym duchem swego narodu. Podczas gdy Corneille wprowadza na scenę współczesnych Francuzów poprzebieranych za Rzymian, Aretino stara się odtworzyć Rzymian dawnych. Rzecz można, że Aretino jest w tem dziele rodzajem literackiego Mantegni. Co więcej, umie on ożywić swe postacie, a pomimo że są wzięte z Liwiusza, poruszają się, krew w nich krąży. Pod tym względem jest Aretino poprzednikiem Szekspira.

Ważną nowością w »Orazii« jest zastąpienie chóru głosem ludu. Wprawdzie ten lud nie odzywa się jako tłum, ale,

---

<sup>1)</sup> Mahrenholz. Molière's Leben und Werke. Heilbronn 1885 i Louis Moland. Molière et la Comedie italienne. Didier 1867.



jak zauważył Gaspari, mówi, jak gdyby był jedną osobą, jako abstrakcyja woli ludu. Zazwyczaj zarzucają Aretinowi nieuctwo w rzeczach klasycznych; ta tragedia jednak dowodzi, że chociaż nasz literat nie był mołem książkowym, to przecie miał o starożytności tak wyborne pojęcie, że swą intuicyą potrafił odtworzyć rzymskie postacie. Orazia wyszła po raz pierwszy w Wenecyi w roku 1546; później do tego stopnia o niej zapomniano, że inny autor mógł ją wydać pod własnem nazwiskiem ze zmienionym tytułem: »Amore di patria«. Aretino napisał swą tragedję wierszem bardzo starannie wygładzonym, piękniejszym, aniżeli wiersz jego dramatycznych poprzedników. Poświęcił Orazię papieżowi Pawłowi III i poprzedził ją, ówczesnym zwyczajem, prologiem na cześć papieża i Farnezych.

Równocześnie prawie ze zbiorem listów i powyższemi komedyami wydał Aretino pierwszą część swych »Ragionamenti«, jednej z najbardziej sprośnych książek, jakie wogóle przeszły przez prasy drukarskie. Później napisał jeszcze dwie dalsze części tych rozmów, toczących się po większej części pomiędzy matką a córką. Nanna, która już zna świat aż do przesyty, przysposabia swą córkę Pippe do życia, rozbierając pomiędzy innemi bardzo szczegółowo stosunki małżeńskie. Ragionamenti są pisane z żywością i talentem, godnym lepszej sprawy, i są bądź co bądź wyborym obrazem panującego wówczas we włoskiem społeczeństwie zepsucia. Autor poświęca książkę w dowcipnej dedykacji swojej małpie Monicchio i kilka razy zwraca na to uwagę, że daje wierny opis czasów, w których żył, i że zadaniem jego jest zdrzeć maskę hipokrytom. Najgorzej wyszły klasztory na tych rozmowach. Aretino nie był zresztą jedynym autorem tego rodzaju literackich utworów, na niego złożono tylko wszelkie w tej mierze winy, ponieważ miał więcej talentu, jak inni pisarze, i był od nich wyższym o głowę. Co więcej, wiele późniejszych książek, podobnych do Ragionamentów, przypisywano Aretinowi, aby im pokup zapewnić.

Sprzecznosci, jakie panowały w duchowym świecie XVI wieku, najlepiej nam uwydatnia okoliczność, że Aretino tem samem piórem pisał Ragionamenti i książki ascetyczno-



religijne. Według ówczesnych pojęć był on nawet człowiekiem pobożnym, odbywał wszelkie religijne praktyki, chodził do spowiedzi, a poseł Malatesta donosił dnia 13 kwietnia 1530 markizowi mantuańskiemu, że wczoraj widział Pietra Aretina przed spowiedzią, jak ze łzami w oczach żałował za swoje winy; mówił mu skruszony, że Bóg go nie opuści, a chociaż jest wielkim grzesznikiem, chce się poprawić, zapomnieć o wszystkim, czem mu ludzie dokuczili i wraz z całą swą rodziną przyjąć św. Komunię. Aretino hołdował tej w XVI wieku bardzo ulubionej zasadzie, aby dzielnie grzeszyć, ale gorąco wierzyć. »Crede firmiter et pecca fortiter«. W listach swych wspomina o swych spowiednikach, bracie Konradzie i ojcu Angelo Testa, powtarza kilkakrotnie, że uważa sobie za obowiązek wobec Boga dawać więcej jałmużny ubogim, aniżeli może, gdyż jest przekonany, że Chrystus w dwójnasób mu ją zwróci. Zresztą z prałatami żył w przyjaźni i w kołach kościelnych nie uważano go zupełnie za niedowiarka, albo człowieka zbyt się wyróżniającego co do moralności od wielu innych. Owszem, u niższych zwłaszcza duchownych, uchodził za pożytecznego bojownika przeciw zakorzenionemu zepsuciu w wyższych warstwach społeczeństwa, a jakiś ksiądz kazał z ambony, że chcąc ród ludzki poprawić, trzeba wielu takich Aretinów.

W naszym satyryku widzimy to, co się ciągle spotrząga w pojęciach włoskich: odróżnianie duchowieństwa od religii. Powiastka Boccaccia o kupcu Izraelicie z Paryża, który pojechał do Rzymu, aby się tam rozpatrzyć i przekonać, czy ma się nawrócić na chrześcijańską wiarę, najlepiej charakteryzuje owe pojęcia. Kupiec powrócił zgorzszony życiem tamtejszych prałatów, ale właśnie to go skłoniło do przyjęcia chrześcijańskiej wiary, według jego rozumowania bowiem, dobra musi być religia, której nawet zepsucie duchowieństwa zniszczyć nie potrafiło. Aretino zresztą żył w czasach największego znienawidzenia i ośmieszania żebrzących zakonów. Humanisci ciągle występowali przeciw zwiększającej się w nieskończoność lawinie Franciszkanów, a Poggio zawsze złośliwie pisał o tych »brudasach«. Noweliści brali większą część satyrycznych opowiadań z życia klasztor-



nego; taki Massuccio mnichami się tylko zajmował. Żebrzące zakony stanowiły troskę niejednego z papieży XV i XVI wieku, a Leon X nienawidził Franciszkanów i Dominikanów z wyjątkiem jednego fra Mariana. Ta sprzeczność więc, która nas tak jaskrawo uderza u Aretina, to jest, wymyślanie w najbrzydszy sposób na zakonników, a z drugiej strony pisanie religijnych utworów, była wówczas czemś zwykłym i nikt się jej nie dziwił. Dzisiaj trudno nam zrozumieć, że autor *Ragionamentów* mógł mieć chwile, w których n. p. napisał ów poetyczny opis męki Chrystusa, »Passione di Gesù«, będący częścią większego dzieła pod tytułem »Umanità di Christo«, poświęconego Franciszkowi I. Ów żywot Chrystusa pisany jest na podstawie Pisma świętego z wieloma poetycznymi ubarwieniami. Są tam ustępy rzeczywiście bardzo piękne, jak opis zwiastowania, rzezi niewinności i wiele innych. Do lepszych utworów Aretina religijnej treści należy także Żywot Panny Maryi, »Vita di Maria Vergine«, nie pozbawiony poetycznego polotu. Inne, tak zwane ascetyczne pisma Aretina, jak »Parafraasi sopra i sette salmi della penitenza di David«, jak »Geneza« nie dorównują pisarską werwą »Żywotowi Chrystusa«, który doczekał się mnóstwa wydań. Na życzenie markiza del Vasto napisał nasz autor także żywoty św. Katarzyny i św. Tomasza z Akwinu, mniejszej już literackiej wartości. Okoliczność, że tak religijny człowiek, jak markiz del Vasto, namawiał Aretina do zajęcia się tak wzniosłymi tematami, dowodzi już sama przez się, że nie uważał weneckiego satyryka za niegodnego tego rodzaju pisarskiej pracy.

Styl Aretina wybornie ktoś nazwał nieprzyjacielem płuc »nemico del pulmone«; zdania w jego prozie są takie długie i tak napuszyste, że wygłaszając je, naraża się oddech na niemożliwe wysilenia. Styl ten wszakże podobał się współczesnym. »Gdy czytasz pisma boskiego Aretina, pisze jeden z literatów XVI wieku, to widzisz się na szczytach tokańskiej wymowy, gdzie cię autor doprowadził nieznanymi dotąd drogami, i zrozumiesz, ile może zdziałać natura bez pomocy sztuki«. W Sansovina »Sette libri di satire« znajduje się wierszyk także podnoszący ten styl pod niebiosy:



Udirete il signor Pietro Aretino  
 Cantar in quel suo bravo primo stile,  
 Che gli diede il cognome di divino.

Niektórzy dawniejsi krytycy, jak n. p. Chasles w swoim studyum o Aretinie, winią go, że on był ojcem secenizmu, przesadnego stylu. Ojcami wszakże tego sposobu pisania byli petrarkieści; oni to wprowadzili ową wyszukaną wytworność stylu, zaczęli toczyć frazesy, gromadzić metafory, oni uderzyli w ten fałszywy ton, który prześladował literaturę z końca XVI i całego XVII wieku. Aretino chciał się od tej przesady uwolnić, ale zwyczaj był w tej mierze za silny, aby go zupełnie zdołał przewyciężyć. Dodać należy, że nasz satyryk dostał się właśnie w matnię petrarkizmu, Wenecya bowiem była główną stolicą poetów naśladowujących Petrarke. Aretino nieraz się na nich gniewa, nie chce ich naśladować i nadaje im miano alchemików literatury, ale mimo to wpada często w ich błędy. W chwilach jednak, kiedy chce wyrazić głębsze uczucia, zwłaszcza swą boleść z powodu nieszczęść, jakie spadają na jego ojczyznę, staje się prawdziwym poetą, wolnym od przesady. Do takich wzniosłych, silnych utworów należy wiersz »Lamento d'Italia«, w którym poeta wzywa Franciszka I, aby wygnał z Włoch niemieckie, najezdnicze hordy.

Magnanimo Signor, spigni la lancia  
 Contr' alla Spagna e falle col tuo volto  
 Volger le spalle e impallidir la guancia.  
 L'ebbro stuolo tedesco orrido e stolto  
 Senz' onor, senza legge e senza fede  
 Fallo, che puoi, restar morto e sepolto<sup>1)</sup>...

<sup>1)</sup> Wielkoduszny panie, skieruj swą lancę przeciw Hiszpanii, zwróć ku niej swe groźne spojrzenie i spraw, aby najeźdźcy grzbiem się do nas zwrócili i aby ich twarze od trwogi pobladyły. Uczyni, aby ta pijana, ogłupiała horda niemiecka, zbieranina bez czci, bez prawa i wiary wyginęła i aby ją ziemia przysypała.



## VIII.

Libertyn Aretino miał chwile rozrzewnień i sercowych słabostek, gdyż w gruncie rzeczy był to człowiek dobry, zdolny do prawdziwej miłości. Znalazły się mianowicie dwie kobiety, które na dłuższy czas potrafiły ovladnąć jego uczuciami. Jedną z nich, Caterina Sandella, Wenecyanka o jasnych włosach, z którą żył lat kilka. Miał z nią córkę, którą Francesco Marcolini, wydawca jego dzieł, i przyjaciel malarz Sebastiano del Piombo do chrztu trzymali. Aretino nazwał ją Adryą, na cześć tej Wenecyi, gdzie znalazł spokój i szczęście. Drugiej córce, która później przyszła na świat, dał imię Austrya, gdyż monarcha austriackiego domu, Karol V, był najpotężniejszym jego protektorem. Dzieci te kochał bezmiernie, a jego listy, w których opisuje swe ojcowskie szczęście, są rzadkimi przykładami ujmującej prostoty stylu, w czasach, kiedy po prostu, z serca pisać nie umiano. »Jesteśmy zabawkami, błaznami naszych dzieci, mówi w jednym z listów, deptają po nas, ciągną nas za brodę, biją po twarzy, burzą nam włosy, a jako zapłatę otrzymujemy od nich uściski. Każda ich łezka, każde westchnienie duszę naszą trwoży. Gałązka nie upadnie z drzewa, włos nie poruszy się w powietrzu, abyśmy się nie obawiali o ich życie; gdy się budzą we śnie, gdy jeść nie mogą, wszystko to nas niepokoi. Słodycz pomieszana z goryczą. Boże zachowaj moją dziewczynkę«...

Ponieważ wówczas nie obeszło się nigdy bez pewnej pompy i przesady, więc Aretino, ucieszony swoim ojcóstwem, kazał wybić medal, na którym z jednej strony była głowa Sandelli z napisem »Catherina mater«, a z drugiej podobizna Adryi ze słowami: »Adria divi Petri Aretini filia«.

Nie posiadając majątku, starał się Aretino zwykłym swoim sposobem zapewnić Adryi posag kosztem książąt, którzy potrzebowali jego pióra. Starania szybko osiągnęły cel pożądaný; Cosimo de' Medici, kardynał Rawenny, Mendoza, ambasador Karola V, złożyli pokaźną sumę na owe czasy, tysiąc dukatów. Młodziutka też jeszcze Adrya zaręczyła się już w roku 1549



z Diotallevim Rotą, Bergamaskiem, mieszkającym w Urbino, w rok później była już zamężną, a duca Guidobaldo i duchessa bardzo przyjacielsko ją na swym dworze przyjęli. Ale nawet Aretino nie potrafił obronić swej córki przed złą teściową. Adrya powróciła niebawem do Wenecyi, nie mogąc dalej znosić najstraszniejszych obelg i upokorzeń od teściowej i od krewnych męża, a Aretino żalił się w jednym ze swych listów, że pisze łzami bólu z powodu losu biednej Adryi. Okazywał wogóle dużo serca swej rodzinie, a gdy w roku 1542 umarła jego siostra, zamężna za Orazim Vannottim w Arezzo, zajął się bardzo troskliwie dziećmi po niej pozostałymi.

W czasie, kiedy Adrya była jeszcze małą dziewczynką i kiedy Aretino kazał wybić medal na cześć jej matki, wzniesła w jego domu współzawodniczka Sandelli. Jeden z młodych ludzi u Aretina zajętych, Polo Bastolini, ożenił się z ładną, czternastoletnią Periną Ricci. A że dom naszego satyryka był potrochu arką Noego, gdzie się z łatwością pomieściło wszelkie stworzenie, więc i Perina tam się sprowadziła. Młoda, sympatyczna kobieta wzbudzała zrazu tylko ojcowskie uczucia w Aretinie, który sobie obiecywał, że Perina będzie go pielęgnowała, gdy się zestarzeje. Tego rodzaju jednak sentymenty bardzo często zmieniają się w miłość; z czasem też widzimy, że Polo opuszcza Wenecję, aby szukać szczęścia gdzieindziej, a Perina zostaje ze swym padronem pod jednym dachem.

Szczęście niedługo trwało; Perina była chora na piersi i mocno zaniemogła. Aretino z wielkiem poświęceniem ją pielęgnował, a czując zawsze potrzebę głośnego zwierzenia się ze swych uczuć, pisał do jednego z przyjaciół, że przez trzynaście miesięcy nie sypiał po nocach, czuwając przy jej łóżku, i że własna matka nie byłaby się nią z większą czułością opiekowała.

Perina przyszła też do zdrowia, a wypiękniawszy jeszcze po chorobie, uciekła z jakimś kochankiem, pozostawiając Aretina w rozpacz. Po czterech latach jednak wróciła wynędzniała, opuszczona, umierająca, do Aretina, który ją przyjął do swego domu z rozczeniem, sprowadził lekarzy, tłóma-



czył ją, że cierpieniami odpokutowała swą lekkomyślność, a gdy wydała ostatnie tchnienie, biadał, iż mu się zdaje, że wraz z nią został pogrzebany.

Równocześnie prawie z Periną przytulił Aretino (1536) ubogiego literata, Mikołaja Franco. Ubrał go, odżywił i zatrzymał jako sekretarza. Franco był typem pedanta XV wieku, dla którego gramatyka była ideałem, a uchybienie przeciw regułom Donata i Prisciana największym grzechem. Chorował on, jak ktoś powiedział, na najbardziej nieuleczalną ze wszystkich głupot, na głupotę, nabytą długimi studjami. Jako książkowy uczoney był Franco bardzo zarozumiały i o wszelką sławę zazdrosny; a że czasem jaki tekst łaciński dla Aretina przetłómaczył, albo mu kilka zdań łacińskich poprawił, sądził, że jemu się właściwie należą owe wawrzyny, a przedewszystkiem owe dukaty, które zbierał padrone. Osobliwie ogłoszenie listów Aretina spać mu nie dawało. »Taki łatwy zarobek!« pomyślał. I postanowił publikować własne listy.

Aretinowi taki sekretarz nie był na rękę, oddalił go więc w połowie r. 1538.

Franco zaraz też swe listy ogłosił pod tytułem »L'epistole vulgari« (Vinegia 1538), w których przebija się zazdrość, jaką wzbudzało w nim powodzenie Aretina. W jednym z nich wystąpił wprost z nieprzyjaznymi obelgami przeciw swemu niedawnemu pryncypałowi. Książki tej wszakże nie czytano, pusta, bez dowcipu, nie sprawiła tego rozgłosu, którego się Franco spodziewał. Franco nie należał do wybitniejszych osobistości, a jego korespondencja nikogo nie obchodziła. Zresztą większość tych listów ułożył autor naprędce, gdyż nie były pisane poprzednio do nikogo.

Ponieważ to literackie przedsięwzięcie zawiodło, rozpoczął Franco pisać sonety i rozpuszczać obelgi i oszczerstwa na Aretina. Jak to często wówczas bywało, sztylet zakończył polemikę. Jednego dnia w połowie r. 1539 napadł niejaki Ambrogio Eusebi na Franka, ale go nie zamordował, tylko w twarz zranił. Ów Eusebi należał do figur aretinowskich; posądzono więc Aretina o wendettę, chociaż, jak się zdaje, nasz pamflecista nie był winnym zbrodni. Franco się



niebawem wyleczył, a nie czując się nadal bezpiecznym w Wenecyi, udał się do Casal Montferrato, skąd rozpoczął zawziętą walkę literacką przeciw Aretinowi. Ogłosił w r. 1541 swą »Priapeę«, obejmującą ni mniej ni więcej, tylko pięćset jadownych sonetów, w których powtórzył wszystkie oszczerstwa, zawarte w Berniego żywocie Aretina z dodatkiem rozmaitych nowych. Nie zapomniał tam i o innych osobistościach przyjaznych Aretinowi; więc obok niego obrzucił błotem Karola V, Pawła III, Sansovina, Wiktoryę Colonnę i wszystkich, którzy wspierali satyryka. Tycyanowi tylko przyznał dwuznaczną pochwałę, że dokonał cudu, gdyż malując Aretina, potrafił na kawałku płótna oddać całą infamię wieku XVI.

Zadaniem życia Franka było odtąd walczyć przeciw dawnemu swemu padronowi; ale że w jego pismach brak było talentu i werwy, przeto na razie niewiele mu zaszkodził. Dopiero później stały się sonety Franka jednym ze »źródeł« do żywota Aretina.

Franco bardzo smutnie skończył. Pius V kazał go bowiem powiesić za ciągłe obelgi, które rzucał na niego i na jego poprzednika, Pawła III.

Nie była to więc osobistość, której zdaniu ufaćby można.

## IX.

Ważne zdarzenie polityczne poruszyło w r. 1543 rząd i publiczność wenecką. Karol V, wracając z Włoch do Niemiec, miał przejechać przez ziemie Rzeczypospolitej. Doża polecił Guidobaldowi della Rovere, księciu Urbinu, głównodowodzącemu weneckiej milicyi, aby wyjechał wraz z innymi posłami Rzeczypospolitej na powitanie monarchy. Z deputacją chciano wysłać także Aretina, który zestarzawszy się i lubiąc wygodę, na razie nie bardzo się kwapił, aby podjąć dalszą podróż, zwłaszcza że szesnaście lat nie ruszał się z Wenecyi. Ponieważ jednak Guidobaldo bardzo nalegał, więc Aretino przyłączył się do poselstwa, z którym się udał na Padwę i Vicenzę do Peschiery i tam odniósł jeden z największych tryumfów swego życia. Jak tylko bowiem cesarz



go spostrzegł, skierował konia ku niemu, bardzo czule go powitał i poprosił, aby jechał po jego prawicy.

Błaha na pozór grzeczność charakteryzuje całą potęgę rodzącego się dziennikarstwa. Najdumniejszy monarcha Europy pojął już wówczas olbrzymi wpływ pióra na politykę. Paszkwilant, komedyopisarz, autor »Ragionamentów«, konno po prawicy wielkiego cesarza! O tem się jeszcze nawet florentyńskim humanistom-pochlebcom nie śniło.

Biedny Aretino, odzwyczajony od konnej jazdy, musiał kilka mil cwałować obok Karola V, który rozmawiał z nim o wyprawie algierskiej, wspominał, że wszyscy grandowie hiszpańscy czytają jego dzieła, i odznaczał go niezwykłą uprzejmością.

Zapewne w czasie jakiegoś odpoczynku odczytał Aretino odę pochwalną, »Capitolo lodatorio«, na cześć cesarza, w której bardzo gładkim wierszem podnosił, że Karol V swym rozumem i swą potęgą ujarzmił żywioły i zapanował nad losami i przeznaczeniem narodów. Odczytaniu tego wiersza przysłuchiwali się zgromadzeni dygnitarze i jenerałowie.

Przyznać trzeba, że ówczesne umysły bardzo były wytrzymałe na najbardziej niedorzeczne pochwały, a atmosfera przesiąknięta kadzidłami. Cesarz okazywał się zadowolonym z wystąpienia Aretina, mówił, że boleje nad tem, iż zanadto mało jest wykształconym, aby dostatecznie ocenić jego zasługi, a co zapewne satyrykowi było najprzyjemniejsze, obdarzył go sporą sumą pieniędzy. Cesarz życzył sobie, aby Aretino towarzyszył mu w dalszej drodze, ale umęczony literat nie chciał już więcej jechać konno i wprost z Peschierzy wrócił do Wenecyi. Monarcha polecił go tylko na pożegnanie weneckim ambasadorom w najczulszych wyrazach.

Owe honory, z jakimi cesarz przyjmował Aretina, musiały w Wenecyi wielkie sprawić wrażenie, a nasz literat rozkoszował się wszelkiego rodzaju hołdami, jakie mu z tego powodu składano. Wrażenie to odbiło się we współczesnej książce Józefa Betussi, »Il Raverta, dialogo d'amore« (1544), w której jeden z rozmawiających opowiada, że wrócił wła-



śnie z domu Aretina, gdzie całe miasto składa mu życzenia z powodu niesłychanych odznaczeń, z jakimi go przyjął Karol V. W innej współczesnej książce, w Parabosca »I Diporti«, Aretino staje się główną osobistością toczącej się rozmowy pomiędzy nim a kilkoma weneckimi patrycyuszami. Jego poglądy górują nad zdaniem innych towarzyszy zebrania, a cała książka zdaje się być na to pisana, aby uwydatnić doświadczenie i polityczną mądrość weneckiego pisarza. Wogóle w ostatnich latach życia Aretino staje się bardzo poważaną osobistością i więcej ma przyjaciół, jakby się to spodziewać należało po satyryku, który całe życie piórem przeciw innym wojował. Paolo Manuzio pisał w jednym ze swych listów do Aretina, iż nie dziwi się, że najpotężniejsi książęta i królowie świata kochają go i cenią siłę jego stylu, że papież w czoło go całują, a cesarze proszą, aby jechał po ich prawicy. Paolo Giovio, dowcipny autor żywotów współczesnych ludzi, prosił Aretina o portret, aby go mógł umieścić w swej »Elogia clarorum virorum«; ale Tycyan na czas nie zrobił kopii obrazu i z tego tylko powodu wyszły owe biografie bez żywota Aretina. Wogóle pomiędzy biskupem Nocery a Aretinem panowały przez długie lata jak najlepsze stosunki. Mimo to przypisują złośliwemu biskupowi autorstwo dowcipnego epigramatu na Aretina:

Qui giace l'Aretin, poeta toscio,  
Che d'ognun disse mal fuor che di Christo  
Seusandosi col dir: non lo conosco.

»Tutaj leży Toskańczyk, Aretino, poeta, który o wszystkich źle mówił z wyjątkiem Chrystusa, gdyż go nie znał«.

Aretino miał na to odpowiedzieć bardzo obelżywym dwuwierszem; ale w owych czasach tego rodzaju literackie intermezza nie były powodem zrywania wzajemnych stosunków. Ludzie dużo przeciw sobie grzeszyli, więc też i dużo sobie przebaczać musieli.

Rzecz w każdym razie uwagi godna, że Aretino, ów postrach klasztorów i uczciwych kobiet, był w najlepszych przyjacielskich stosunkach z dwoma najznakomitszymi kobietami swego czasu, z poetką Weroniką Gambarą i Wikto-



ryą Colonną. Aretino uczynił o Gambarze wzmiankę w swym prologu do Cortegiany, za co mu poetka bardzo czule podziękowała. Długie lata pisała do niego listy pełne przesadnej nawet grzeczności, na które Aretino równie kwiecisto odpowiadał.

Wiktorya Colonna zachęciła Aretina do wydania jego dzieł religijnych i również przesyłała mu przyjacielskie listy. Oprócz tych dwóch gwiazd włoskiego świata kobiecego, popierała go bardzo Marya d'Aragona, słynna z piękności i cnoty markiza del Vasto, pod której portretem umieścił Aretino pochlebny wiersz:

Tre Marie in sembiante almo e giocondo  
La virtù, il disegno e la natura  
A ciò sembri del ciel vera fattura  
In una sola han consacrato al mondo.

Cały szereg ówczesnych autorów zajmuje się Aretinem, albo poświęca mu swoje dzieła. Taki Dolce, jego przyjaciel i towarzysz, wyklada w swoim wyż wspomnianym dyalogu, »L'Aretino, dialogo della pittura«, teorye Aretina o sztuce; Francesco Sansovino przesyła mu swoją »Retorykę«, Francesco Cusano tłumaczenie pierwszej księgi »Iliady«, a Bernardo w swej książce, »Gli Amori«, układa na jego cześć sonet, w którym go sławi jako moralistę, sprowadzającego ludzi możnych na drogę cnoty.

Najpiękniejszy wiersz jednak poświęcił mu Benedetto Varchi, w którym także podnosi jego zasługi około moralności publicznej, mówiąc, że Aretino piórem i sercem dokazuje tego cudu, że każdy zacny człowiek go szanuje, a zły drży przed nim skruszony.

Mówiąc o honorach, jakie sływały na Aretina, nie można zapomnieć o jego stosunku do rodzinnego miasta. W ważnych chwilach udawało się Arezzo kilkakrotnie do swego współobywatela o rozmaite protekcyje, a Aretino całym sercem przychodził mu w pomoc. Za to w roku 1550 wdzięczne miasto nadało mu godność gonfaloniera i połączone z nią szlachectwo; Aretino natomiast ofiarował gminie swój portret pędzla Vasarego, który zawieszono w sali ratu-



szowej. Bardzo on się wtedy cenił i dumny był ze swojej wielkości, a gdy się dowiedział, że na pogrzeb jego siostry nie wyszła cała Signoria, lecz tylko hr. Francesco Bacci, wyrzucał swym ziomkom, że Arezzo nie dało mu ani sławy ani stanowiska, które w świecie zajmuje, gdy tymczasem z jego osobistości sływa honor na rodzinne miasto. Jemu ma Arezzo do zawdzięczenia, że o niem więcej się wie i pisze, aniżeli o tysiącu innych miast.

## X.

Na starość przypomniał sobie jeszcze Aretino młode czasy, kiedy walczył z Rzymem. Dobre stosunki, jakie panowały pomiędzy nim a Pawłem III, zepsuły się około r. 1540, a wenecki literat zaczął znów prowadzić równie zaciętą walkę przeciw papieżowi, jak ongi za Klemensa VII. Rozszerzał zjadliwe paszkwile na całą rodzinę Farnezych, a w jednym z tych wierszydeł wystąpił z brzydkimi zarzutami przeciw samemu Pawłowi III, zarzucając mu niemoralne życie. Dostało się tam i rzymskiemu duchowieństwu, które w gwałtownych wyrazach karciał z powodu symonii; wołał, że kardynałowie »frymarczą krwią Chrystusa« i przepowiadał, że wkrótce Soliman przekroczy Sawę i przyjdzie Kościół reformować.

Conclave po śmierci Pawła III trwało długo; w Aretinie zawrzały znów wszystkie gniewy przeciw Rzymowi. Intrygi tamtejsze go drażniły; »kąsają się, pisał, jak psy około wielkiego kawała baraniny«. Pasquino odżył, a stary Pietro posyłał mu przez znajomych zjadliwe rymy.

Nareszcie w lutym roku 1550 wybrany został papieżem kardynał Del Monte, jako Juliusz III. Aretino się ucieszył, gdyż Del Monte był rodem z Arezzo, a z bratem nowego papieża, Baldovinem, łączyły go przyjacielskie stosunki. Pokładał też wielkie nadzieje w Juliuszu III i swoim zwyczajem pisał sonety i listy, w których podnosił go pod niebiosa, dziękując Bogu, że wielkiemu Juliuszowi drugiemu pozwolił odżyć w Juliuszu trzecim na podziw całego świata.



Papież dobrze przyjął te pochlebstwa, a chcąc do siebie przywiązać Aretina, posłał mu znaczną kwotę pieniędzy w podarunku i nadał rzymskie szlachectwo, mianując go kawalerem św. Piotra. Ale Aretino dążył teraz do wyższych zaszczytów; ponosiła go wyobraźnia, chciał zostać kardynałem. W owych czasach nie byłoby to nic nadzwyczajnego; wszak ludzie z równie burzliwą, jak on, przeszłością otrzymywali czerwony kapelusz. Zdaje się jednak, że papież na te fantazyje się nie zgodził, więc Aretino udawał, że przeniesienie się do Rzymu, nawet celem objęcia kardynalskiej godności, byłoby dlań zanadto uciążliwym. Mimo to wszakże pojechał do stolicy papieskiej, gdyż namawiał go do tej podróży duca Guidobaldo na Urbinie, którego Juliusz III zamianował głównodowodzącym wojsk Kościoła. Gwidobaldo przysłał mu nawet w tym celu sto skudów. Przyjaciele ostrzegali wprawdzie satyryka przed Rzymem, przed febrą i trucizną tych, których tam poobrażał; ale gdy i papież w najpochlebniejszych wyrazach go zaprosił, stary Pietro wyruszył w maju roku 1553 z Wenecyi, aby ucałować stopy Juliusza III.

W Rzymie z rozciekawieniem oczekiwano słynnego pamflicisty; mnóstwo ludzi wyszło na jego spotkanie, a papież przywitał go jak przyjaciela, ucałował w czoło i przeznaczył dlań na mieszkanie prawdziwie królewskie pokoje. Mimo to Aretino nie czuł się tam szczęśliwym a może i bezpiecznym; odwykł od Rzymu, tęsknił za Wenecją i po kilkomiesięcznym pobycie nad Tybrem, w sierpniu wrócił na Urbino i Pesaro do domu. W Pesaro zatrzymał się kilka dni, przyjmowany z wielkimi honorami na dworze księcia Farnese, a we wrześniu stanął z powrotem w swej ukochanej Wenecyi.

Miały to być jego ostatnie lata. Przepędził je w spokoju i dostatku, mając spore dochody ze stałych pensyi, podarunków i sprzedaży dzieł swoich. Umysłu zawsze świeżego, pisał do jednego ze znajomych, że im bardziej siwieje, tem bardziej zielone ma myśli. Starał się nawet przez jakiś czas pokrywać ową siwiznę, farbował włosy na czarno, bę-



dąc przekonany, że hebanowe czernidło odmładza go przynajmniej o lat dwadzieścia. Jak we wszystkim, tak i w tej mierze był bardzo otwartym, a o tem farbowaniu włosów i brody wiemy z jego własnych listów.

Stary, zajadał jeszcze kolacyjki z Tycyanem w towarzystwie dawnej przyjaciółki, Angeli Zaffetty, dla której ułożył był ongi rozmaite przepisy życia, bynajmniej nie zakonne. Zaffetta także się pochyliła, ale Aretino zapewniał ją, że jeszcze bardziej ją kocha, niż dawniej, zwłaszcza od czasu, kiedy swe wolne zwyczaje zamieniła na życie pełne wstrzeźliwości. Smutne wyznanie moralności, z przymusu!

Na te przyjacielskie zebrania przychodziło sporo poważnych ludzi, jak podesta z Treviso, opat Vassallo, monsignor de Serro, a znajomi przysyłali zewsząd dziczyznę i owoce. Nie minął prawie dzień w jesieni, aby Benedetto Cornaro, który miał przepyszny ogród na Giudece, nie obdarzył Aretina wybornymi śliwkami, nie kazał dlań zerwać najlepszych fig i brzoskwiń, które miały taką sławę, że ksiączę Urbinu utrzymywał, iż bardziej soczystych niema na świecie. Raz florentyński Medyceusz obdarzył towarzystwo aretinowskie wybornem winem z Pesaro; więc stary Pietro zaprosił także Sansovina, aby przyszedł skosztować tego nadzwyczajnego nektaru. Gdy zaś rzeźbiarz odmówił z powodu pilnego zajęcia, robił mu Aretino wyrzuty, że nie powinien pogardzać słynnem winem ksiączęm, które podnosi siły, jeżeli się je pije umiarkowanie, pobudza obieg krwi i apetyt, twarz barwi, wzrok czyni jaśniejszym, żołądek naprawia, do snu zachęca, rozprasza smutne myśli i rozwesela. »Pij wodę, jeżeli chcesz, perorował Aretino, starożytni Grecy wszakże winem się krzepili«. Zdaje się, że ten argument przekonał Sansovina, bo się zaprosił na jedną z najbliższych uczt u Aretina i przywiózł z Poli, gdzie oglądał rzymskie kolumny, młodą sarnę, perfumowane konfitury, wyborne ryby dorady, które się z gęstym sosem przyprawia. Inny rzeźbiarz, Alessandro Vittoria, przysyłał z Vicenzy doskonałe gruszki, które równych sobie nie miały. W czasie postu nadchodziły całe ładunki tuczonych indyków, gdyż pieczy<sup>st</sup>e z tego ptaka



uchodziło za jedyne mięso, które w wielkim poście można było jadać<sup>1)</sup>.

Pomimo obecności podstarzałej Zaffetty na przyjacielskich ucztach, mówiło się tam nieraz o rzeczach poważnych, a nawet o kazaniach u św. Marka, które Tycyana bardzo zajmowały. W szczególnych łaskach zaczynał być Aretino u Dominikanów, którzy w owych ciężkich czasach dla Kościoła nie gardzili zapewne talentem satyryka, aby wojować z Reformą. Przeor Karmelitów był także u niego bardzo częstym gościem.

W r. 1549 wydał Aretino czwarty tom listów, które jeszcze więcej się przyczyniły do jego rozgłosu. Grandowie hiszpańscy przysłali mu wtedy wielki medal z agatu oprawnego w złoto, na którym był wyrzeźbiony Laokoon. Najdziwaczniejszy podarunek otrzymał jednak od wielbicielek swego talentu z poza Wenecyi: kilka pięknych wiejskich dziewcząt na służące. Że jednak w domu Aretina nie było można pomieścić większej ilości żyjących istot nad tę, jaka się tam znajdowała, przeto stary Pietro odstąpił ten nabytek Tycyanowi, który miał dom dość wielki.

Ale spokojne dni przy końcu życia zakłócił Aretinowi inny literat, nazwiskiem Doni, należący do jednej z najwstrętniejszych postaci Cinquecenta. Doni pochodził z Florencyi, a niespokojnego umysłu, nie mógł długo wytrwać w jednym zawodzie; był zatem i zakonnikiem i świeckim księdzem, następnie drukarzem, a jako literat przybył w roku 1547 do Wenecyi, gdzie go Aretino przygarnął i pomógł do znalezienia zajęcia. Doniego uważano za półglówka, gdyż czasami wybiegał w koszuli na ulicę i zachowywał się, jak gdyby był niespełna rozumu; znano go wszakże ze złośliwości i ostrego języka. Zrazu uwielbiał on Aretina, wychwalał go w swych pismach, nazywał mieczem sprawiedliwości, ale niebawem zmienił usposobienie i napisał nadzwyczaj zjadliwą przeciw niemu broszurę. Książeczka miała

---

<sup>1)</sup> W niektórych rodzinach wiedeńskich dotąd się zachował zwyczaj podawania pieczonego indyka obok ryb na wigilię Bożego Narodzenia.



tytuł: »Il Terremoto del Doni fiorentino, con la rovina d'un gran colosso, bestiale Aretino« i t. d., a powodem do jej napisania była, jak się zdaje, chęć oczernienia Aretina przed księciem Guidobaldem i Cosimem Medyceuszem, aby na jego miejsce wkraść się w ich łaski. Autor nadał swej inwektywie formę listów do najznakomitszych ówczesnych osobistości, do Pawła IV, Karola V, do doży weneckiego i Guidobalda na Urbinie, w których nazywa Aretina królem osłów, człowiekiem w błocie zrodzonym, zakałą Rzeczypospolitej weneckiej, a przedewszystkiem jettatorem, który swym wzrokiem choroby na ludzi sprowadza. Broszura ta jednak nie zrobiła wielkiego wrażenia, gdyż wiadano, że podyktowała ją literacka zawiść. Aretino także się nią nie zmartwił, gdyż był od młodości przyzwyczajony do podobnych obelg; piśmidło to wszakże przeszło do potomności i stało się obok broszury Berniego przez długi czas jednym z głównych źródeł do oceny charakteru i działalności Aretina.

Była to ostatnia napaść na satyryka, który dużo narzeczył, dużo swem piórem nawojował. Niedługo po wydaniu broszury Doniego umarł Aretino szczęśliwie, bez cierpień. Wieczorem 29 października 1556 tknięty został apopleksyą i siedząc w fotelu, życie zakończył. Miał lat sześćdziesiąt cztery. Wszelkie opowiadania o tem, jakoby umarł podczas bachanalii, są późniejszym wymysłem. Pietro Paolo Demetrio, proboszcz, który go w swoim kościele, w San Luca, pochował, poświadczał, że Aretino spowiadał się w Wielki piątek, rzewnie oplakując swoje winy.

W chwili, kiedy Aretino umierał, przysłał mu Agosto d'Adda przepyszny podarunek, obraz Rafaela, przedstawiający św. Katarzynę, który przeznaczył początkowo dla królowej Francji, ale »wiedząc, że serce Aretina równem jest sercu królewskiemu«, jemu go ofiarował. Aretino już tego obrazu nie zobaczył, ale miał jeszcze czas, aby go przekazać Konstantemu d'Adda.

Aretino nie należał do charakterów, które wymagają trudnej psychologicznej analizy. Był wielkim talentem pisarskim, człowiekiem zręcznym, dobrego serca, ale pozbawionym wszelkiej etycznej podstawy, podobnie jak większość



ludzi Odrodzenia. Próżność górowała u niego nad moralnością. W swej zarozumiałości sądził, że ma jakieś opatrnościowe posłannictwo i uważał się za rodzaj anioła mściciela, którego Stwórca zesłał na świat, aby wykonywał wendettę za krzywdy, zadane ludziom uciśnionym. Mówił o sobie »son mandato da Dio a far le sue vendette«. Nazwał się też piątym ewangelistą. Pomimo wszystkich błędów swego wieku był on może najbardziej nowoczesnym typem, jaki spotykamy w epoce Odrodzenia i bezsprzecznie pierwszym dziennikarzem, odczuwającym wybornie prądy opinii publicznej.

W życiu codziennem należał najzupełniej do Epikurejczyków. W jednym z listów utrzymuje, że człowiek przedłuża sobie życie, jeżeli zaspokaja swe żądze i pragnienia. Lubił też wygodę, miał żelazne zdrowie, strusi żołądek, a w starości zachował jeszcze młodzieńcze siły. Dobra kuchnia, ładne kobiety, przyjemna rozmowa, bogate szaty, zbytkowne sprzęty, przedmioty sztuki, to były jego pragnienia.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

---

### BALDASSARE CASTIGLIONE.

#### I.

Idealizm nie należał do błędów ludzi Odrodzenia; praktyczni egoiści, szukali w życiu przede wszystkim własnego pożytku, nie troszcząc się o to, jaką drogą do niego dochodzili. A jeżeli pomiędzy osobistościami, które przebiegały się wówczas przez świat, znachodzimy tu i owdzie człowieka, który w tej pogoni za szczęściem nie zboczył ręki krwią swoich współzawodników, nie splamił się zbrodnią, to bywał on tylko wyjątkiem. Castigliona, słynnego autora »Dworzani-  
nina«, trzeba do takich wyjątków zaliczyć; na jego dłoni nie było krwawego znaku, pomimo że pochodził z kondotyerskiego rodu, który życie ludzkie mniej sobie ważył, aniżeli życie silnego konia, zdatnego do dźwigania stalowej zbroi.

Nad bramą pałacu Branda Castiglione w Como, tamtejszego biskupa i kardynała, widać jeszcze płytę marmurową z herbem tego medyolańskiego rodu. Nad tarczą z lwem i wieżą zamkową wychyla się uzbrojona postać, trzymająca dewizę »Nie błądzić«. Castiglionowie nie pochodzili wszakże z Como, lecz nazwę swą przyjęli od poblizkiego grodu Castiglion d'Olona, który jeden z ich przodków, Konrad, syn hr. Berengaria, otrzymał w darze od biskupa medyolańskiego



z końcem X wieku. Była to zatem już wówczas potężna rodzina, ślad wszakże o niej ginie w dziejach przez dwa wieki i dopiero w XII stuleciu zajmują panowie na Castiglionie znakomite stanowiska. Jeden z nich, Konrad, był wysokim dygnitarzem na dworze cesarza niemieckiego, a o drugim Konradzie wspominają kroniki XIII wieku. Od niego pochodził kardynał Piacenzy, Branda Castiglione, jedna z najwybitniejszych osobistości we Włoszech z końcem XIV i w początkach XV wieku, uczony teolog i prawnik, podpora rządów Marcina V. Papięże wysyłali go jako zręcznego dyplomaty do Niemiec, do Węgier, a w r. 1424 mianowany został legatem apostolskim w Polsce. Do dziś dnia przypomina nam tę potężną osobistość tak zwane Collegio Ghislieri w Pawii, które Branda ufundował w roku 1426, zaraz po powrocie z Polski. Instytut ten nosił początkowo nazwisko swego założyciela i był bursą dla dwudziestu czterech niezamożnych studentów, mieszczącą w swych murach także oratorium. Ozdobienie tej kaplicy, równie jak kollegiaty w Castiglione d'Olona, stało się ulubionem zadaniem artystycznych skłonności kardynała. Do wymalowania fresków w Castiglione d'Olona powołał on Massolina z Florencji; do ozdobienia oratorium w Pawii brakło mu czasu, pomimo że umarł, mając lat dziewięćdziesiąt trzy, w roku 1440. Natomiast jego synowiec, biskup z Como, Branda Castiglione iunior, o dwadzieścia lat młodszy od stryja, uważał sobie za obowiązek uświetnić tę rodzinną fundację pysznymi freskami, które wykonali artyści, poprzedzający przyjście Bramantego i Leonarda do Mediolanu. Pawijskie oratorium jest do dziś dnia jednym z najcenniejszych zabytków owej starej szkoły lombardzkiej, której przyświeca nazwisko Wincentego Foppy.

Castiglioniowie rozdzielili się w ciągu wieków na dwie linie: medyolańską i mantuńską; do tej ostatniej należał Baltazar Castiglione, autor »Dworzanina«. Miał on więc za sobą już pięciowiekową tradycję rodzinną i dwóch wielkich uczonych w rodzie, owego kardynała Brandę i Krzysztofa z linii mantuńskiej, słynnego prawnika, którego zwano »monarca delle leggi«. Krzysztof umarł w Pawii roku 1414, mając lat osmdziesiąt, i pozostawił sześcioro dzieci, z których naj-



młodszy syn, Baltazar, odznaczył się jako kondotyer w służbie Filipa Maryi Viscontiego.

Imiona Baldassare i Cristoforo powtarzają się ciągle u Castiglionów, równie jak rzemiosło wojenne i zawód prawniczy. Każdy Castiglione trzyma w ręku miecz albo księgę, a ten, który nas właściwie zajmuje, autor »Cortegiana«, miał i miecz u boku i pergaminy przed sobą; ale łagodnego charakteru, dorabiał się sławy więcej księgą, aniżeli szpadą. Urodził się 6 listopada 1478 w Casatico, w Mantuańskim. Jego ojciec Krzysztof, syn Baltazara, był kondotyerem w wojsku markiza mantuańskiego, a matka Luigia, córka Antoniego Gonzagi, należała do rodziny panującej w Mantui. Rozumna i doświadczona, stała się prawie nierozłączną towarzyszką Izabelli d'Este Gonzagi, która się jej radziła w każdej ważniejszej sprawie. Castiglionowie mieli pięcioro dzieci, a niewielki majątek; musieli się więc starać o łaski Gonzagów. Najstarszą córkę Annę oddali do zakonu; syn Girolamo szukał także utrzymania w murach klasztornych i później został przeorem w Santa Maria di Marcaria. Lepiej się powiodło młodszym córkom; jedna z nich poszła dobrze za mąż za Tomasza Strozzię, druga, Polissena, za Giacomę Boschetiego, hrabiego di San Cesareo. Ostatniem dzieckiem Cristoforów był Baltazar.

Medyolańska linia Castiglionów, w przeciwieństwie do linii mantuańskiej, należała do rodów zamożnych, a Ludwik Moro bardzo jej członków wyróżniał. Giovan Giacomo Castiglione był biskupem w Bari, Giovan Stefano hr. di Serone zasiadał w medyolańskim senacie i liczył się do najbliższych doradców księcia, Bonaventura zasłynął jako znakomity historyk. Ze względu więc na wysokie stanowisko medyolańskich krewnych posłali rodzice młodego Baltazara na nauki do Medyolanu, zwłaszcza że w stolicy Lombardyi można mu było dać daleko lepsze humanistyczne wykształcenie, aniżeli w Mantui. Znalazł on tam znakomitego doradcę w prawdziwym mędrca, Filipie Beroaldzie, uczył go po łacinie słynny Giorgio Merula, a po grecku Demetrio Chalkondylas. Co więcej, krewni wystarali się, aby Ludwik Moro przyjął młodzieńca na swój dwór, który był podówczas



jednym z najświetniejszych; Baltazar mógł też wcześniej nabrać owego wykwintnego ułożenia, owej kortezyi, która w XVI wieku tak wysoko była cenioną.

W Medyolanie rozgrywały się właśnie sprawy europejskiego znaczenia; Moro sprowadzał francuskiego Karola VIII do Włoch i dał początek tym złowrogim francusko-hiszpańskim najazdom, które przez wieki cały półwysep niszczyły. Baltazar miał lat szesnaście, gdy w roku 1494 król francuski ukazał się ze swymi »dyablami« na lombardzkiej ziemi i nie przeczuwał, że w rok później straci ojca w rozpoczynającej się wojnie i że owe wypadki stanowczo wpłyną na dalsze jego losy. Krzysztof Castiglione poległ w bitwie pod Fornovo, ciężka chmura zawisła nad Medyolanem. W październiku roku 1499 utracił Moro swe państwo i został odesłany jako jeńiec do Loches we Francyi. Świetny dwór medyolański rozprószył się, Baltazar musiał szukać schronienia w pałacu swych krewnych i bawił tam jeszcze w chwili, kiedy Ludwik XII w tryumfie wjeżdżał do miasta. W liście do Jakóba Boschetta opisywał ową smutną dla Włochów uroczystość i wówczas już barwnie i pięknie umiał się wyrażać. Był to i dla niego przełom krytyczny; po śmierci ojca nie mógł z domu otrzymywać dostatecznej materyjalnej pomocy, aby nadal bawić w Medyolanie; wrócił więc do Mantuy i wstąpił do służby markiza Franciszka Gonzagi.

Markiz był wówczas dowódcą, capitano generale, wojsk francuskich, ciągnących przeciw Neapolowi; udając się więc na tę wyprawę, zabrał ze sobą młodego Castigliona, który w ten sposób rozpoczął swój rycerski zawód. Ale wojna wypadła na niekorzyść Francuzów, Hiszpanie zwyciężyli w r. 1503 w bitwie nad Garigliano, a Gonzaga wogóle niezadowolony z postępowania króla francuskiego, złożył komendę i wrócił do domu. Castiglione towarzyszył swemu wodzowi, ale po drodze zatrzymał się dłuższy czas w Rzymie, który na nim wielkie sprawił wrażenie. Napisał wtedy do matki charakterystyczne słowa: »Gran cosa è Roma!« i rad był tam pozostać. Rozstał się więc w najlepszych stosunkach z Gonzagą i jeszcze w r. 1503 dziękował mu w liście pełnym uległości, że niczego innego nie pragnie, jak pieszo













Fot. Braun, Clement i Ska.

Baldassare Castiglione.

Według portretu pędzla Rafaela w Luvrze.

Do str. 528.







lub konno wszędzie być przy nim i »nędzne to życie« spędzić w jego służbie. Castiglione był widocznie, przynajmniej chwilowo, w melancholijnym usposobieniu, do którego, o ile z jego listów wnosić można, głównie kłopoty pieniężne się przyczyniały. Dwudziestopięcioletni młodzieniec, żyjący w najwyższym towarzystwie, mający mnóstwo stosunków, spokrewniony z Gonzagami, a do tego przystojny i miłego obyczajności, musiał sporo wydawać, a dochody były bardzo ograniczone, gdyż matka, zarządzająca rodzinnym majątkiem, niewiele mu mogła przysyłać. W tych ciężkich dla siebie czasach poznał się Baltazar z księciem Guidobaldem na Urbino, który bawił w Rzymie, aby napowrót odzyskać swe księstwo. Przed rokiem wydarł mu je Cezar Borgia; książe schronił się do Mantuy, a później do Wenecyi, obecnie zaś po śmierci Aleksandra VI spodziewał się powrócić do Urbino.

Castiglione miał w otoczeniu Guidobalda przyjaciela i krewnego, Cezara Gonzagę, który go bardzo gorąco księciu polecił, a ponieważ Guidobaldo obejmował napowrót Urbino i była nadzieja, że zamek tamtejszy zajaśnieje znowu dawnym literackim i artystycznym życiem, przeto młody Baldassare całym sercem pragnął zostać dworzaniem księcia. Do spokojnej i nudnej Mantuy nie miał ochoty wracać, nęciło go towarzystwo literatów i pięknych kobiet w Urbino. Przeczynał, że to sprzeniewierzenie się Mantui ściągnie na niego wielką burzę u Gonzagów, ale pokusa była za wielka, aby się jej miał oprzeć. Panujący owych małych państw włoskich bardzo nieprzyjaznym okiem na to patrzyli, jeżeli dworzanie, związani z nimi rodzinnymi tradycjami i obowiązkami wdzięczności, opuszczali ich, aby innym dworom nieść swe usługi. Przewinienie Castigliona wobec Gonzagów było tem cięższe, że matka jego cieszyła się szczególnymi względami markizy Izabelli, a Baldassare zapowiadał swoim talentem, że się przyczyni do ozdoby mantuńskiego dworu. Chcąc więc odwrócić złe humory markizostwa, pojechał Castiglione do Mantuy, aby prosić Gonzagę o pozwolenie przyjęcia obowiązków u Guidobalda, a zarazem z matką się pożegnać. Równocześnie i książe Urbino prosił listownie markiza o uwolnienie Castigliona ze służby, czego Gonzaga nie



mógł odmówić, zwłaszcza że chodziło o spełnienie życzenia pokrewnego dworu. Ale rzekoma niewdzięczność młodego Baltazara bardzo go dotknęła i nieprzyjaźnie dla niego usposobiła. Castiglione nie mógł więcej do Mantuy powrócić, nie chcąc narazić się na zemstę Gonzagi, pokładał jednak nadzieję w markizie, w Izabelli d'Este, która mu bardzo sprzyjała, że z czasem potrafi ułagodzić gniew Franciszka Gonzagi. Castiglione nazywał też Izabellę podporą swej rodziny, »la colonna nostra«.

Nie mógł się wszakże wprost z Mantuy udać na dwór w Urbino, gdyż musiał pierwaj spełnić obowiązek wojskowy, który Guidobaldo zaraz na wstępie do służby nań nałożył. Cezar Borgia, zwyciężony w Romanii i uwięziony, podpisał układ, na mocy którego obowiązywał się oddać papieżowi fortece Forli i Cesenę; gdy jednak cameriere papieski przybył do Ceseny z rozkazem otwarcia bram, tamtejszy komendant, wierny Cezarowi, oświadczył, że zamek dopiero wtedy odda pełnomocnikowi Stolicy Apostolskiej, gdy papież uwolni Borgia z więzienia. Ponieważ zaś Juliusz II nie mógł przystać na tego rodzaju żądanie, więc trzeba było przeciw odpornej Cesenie urządzić zbrojną wyprawę i zamczysko zdobyć. Wykonanie tego zadania polecił papież Guidobaldowi, który musiał się teraz wysługiwać za zwrot Urbina. Księżę wysłał też małą armię oblężniczą celem zdobycia mieściny i przeznaczyl tam także Castigliona, powierzyl mu oddział pięćdziesięciu ludzi. Komendant Ceseny bronil się jednak uporczywie, oblężenie dość długo się przeciągało, a co gorsza, Baldassare spadł z konia i nogę tak sobie nadwerekzył, że dopiero szóstego września 1504 r. mógł się udać do Urbino. Trafil tam na wielkie uroczystości, gdyż księżna Elżbieta właśnie przed dwoma tygodniami przybyła po całorocznem tułactwie do swej dawnej stolicy. Ludność witała ją i dobrotliwego Guidobalda z taką radością, że ośmdziesięcioletni, ciemni już starcy garnęli się do swego panującego, prosząc, aby im pozwolono przynajmniej jego szat się dotknąć, skoro go widzieć nie mogą. Młodzież tańczyła po ulicach przy odgłosie tamburynów, ciesząc się, że rządy Borgii minęły.



Czasy wszakże były jeszcze ciągle niespokojne, groziła wojna Juliusza II z Wenecyanami; papież więc powołał Guidobalda do Rzymu, aby zasięgnąć jego rady, jak położyć tamę zaborom weneckim w Romanii. Książę Urbino udał się do stolicy papieskiej z licznym pocztem dworzan, pomiędzy którymi znajdował się także Castiglione. Baldassare umiał się swym taktem, układnością i wykształceniem tak dalece przypodobać księciu, że mu zaszczytną powierzył misję. Poseł angielski przy Stolicy Apostolskiej zauważył, że wpływ księcia na Urbinie coraz bardziej rośnie u papieża, chciał go więc ująć dla swego monarchy i wyrobił mu order podwiązki. Henryk VII polecił opatowi z Glastonbury i posłowi, Talbotowi, aby księcia uwiadomili o tem odznaczeniu. Za taki zaszczyt trzeba było osobnem poselstwem podziękować królowi i odebrać insygnia orderu, a w tym celu chciał książę wyprawić Castigliona do Londynu. Baldassare nie mógł się wszakże na razie wybrać w podróż, gdyż cierpiał jeszcze na nogę, więc pozostał przez dłuższy czas w Rzymie i rozkoszował się pięknosciami starożytnego miasta, które go natchnęły do napisania jednego z najpiękniejszych wierszy, jakie wyszły z pod jego pióra. Wtedy zbliżył się Castiglione do Rafaela i poznał się ze wszystkimi znakomitościami Rzymu, które często spotykał w pałacu swego przyjaciela, hrabiego Alberta Pio da Carpi, będącego wówczas posłem francuskim przy dworze papieskim.

Guidobaldo z Urbino żył w ścisłych stosunkach z mantuańskim markizem, chciał go więc uwiadomić o zamiarach papieża urządzenia wojennej wyprawy do Romanii i odebrania jej miast Wenecyanom. Listownie nie mógł o tem donieść Gonzadze z obawy, aby pismo nie wpadło w niepowołane ręce; więc w grudniu r. 1505 wysłał Castigliona do Mantuy, aby objaśnił markiza o zamiarach politycznych Juliusza II. Poseł wstąpił po drodze do Ferrary, ale tam zastał list matki, ostrzegający go, aby do Mantuy nie przyjeżdżał, markiz bowiem jest jeszcze bardzo na niego zagniewany i życie jego nie byłoby bezpieczne. Castiglione pozostał więc na razie w Ferrarze, wysłał tylko zaufanego człowieka do Urbino, aby uwiadomił księcia, dlaczego Mantuę musi omi-



jać. Niebezpieczeństwo groziło mu rzeczywiście, Gonzaga bowiem tak dalece zawziął się, że widząc, iż przybycie Castigliona się opóźnia, kazał jednemu ze swych dworzan wsiąść na koń, udać się do Ferrary i prosić księcia o wydanie Baltazara. Szczęście jednak sprzyjało Castiglioniowi; owego posłańca spotkał przypadkowo po drodze Cezar Gonzaga, szczerzy przyjaciel Baltazara, a dowiedziawszy się, z jakimi zamiarami jedzie do Ferrary, powiedział mu, aby wracał do domu, gdyż Castiglione już się udał wprost do Mantuy. W ten sposób Cezar uratował Castigliona, który widząc, że i w Ferrarze nie jest bezpiecznym, gdyż Este może go wydać Gonzadze, corychlej wrócił do Urbino i pozostał tam całą zimą 1505 na 1506. Zima ta była jedną z najpiękniejszych w życiu Baltazara. Elżbieta Gonzaga rozgościła się znowu w swym pięknym i poważanem gnieździe, »nel suo bello e honoratido«, jak się Bembo wyraził, a Guidobaldo całym sercem zajął się zagojeniem tych ran ludności, które Borgia jej zadał. Guidobaldo di Montefeltro był jedną z najbardziej poważanych postaci rycerskich we Włoszech. Wykształcony, ludzki, dobrotliwy, roztropny dowódca w wojnie, odróżniał się od innych ówczesnych tyranów. Castiglione przedstawia go nadzwyczaj sympatycznie w liście, pisanym do króla angielskiego Henryka VII, podnosi go jako ideał rycerza, mówi, że był średniego wzrostu, pięknie, foremnie zbudowany, że bardzo dbał o zachowanie świeżości ciała i że wybornie się rozumiał na sztuce wojennej. Codziennie jeździł konno, ćwiczył się w robieniu bronią, pomimo podagry grywał w palle, a gdy siedział na swym ciężkim koniu, zdawało się, że to »alter Pollux«. Wieczorem dużo czytał i kształcił się, tak że należał do najbardziej zrównoważonych postaci Odrodzenia. Jego biblioteka była sławną na całe Włochy; znajdowały się w niej oprócz łacińskich księgi greckie i hebrajskie, które później prawie w całości przeszły do watykańskiego księgozbioru.

Guidobaldo umiał wybornie po łacinie i po grecku, znał dawnych autorów, osobliwie zaś lubiał odczytywać Homera i Wirgiliusza, a szczególnie poświęcał się nauce geografii i kosmografii. Jeden wszakże miał błąd fizyczny, o któ-













Federigo da Montefeltre z synem Guidobaldem.  
Obraz Melozza da Forli w galeryi Barberinich w Rzymie.





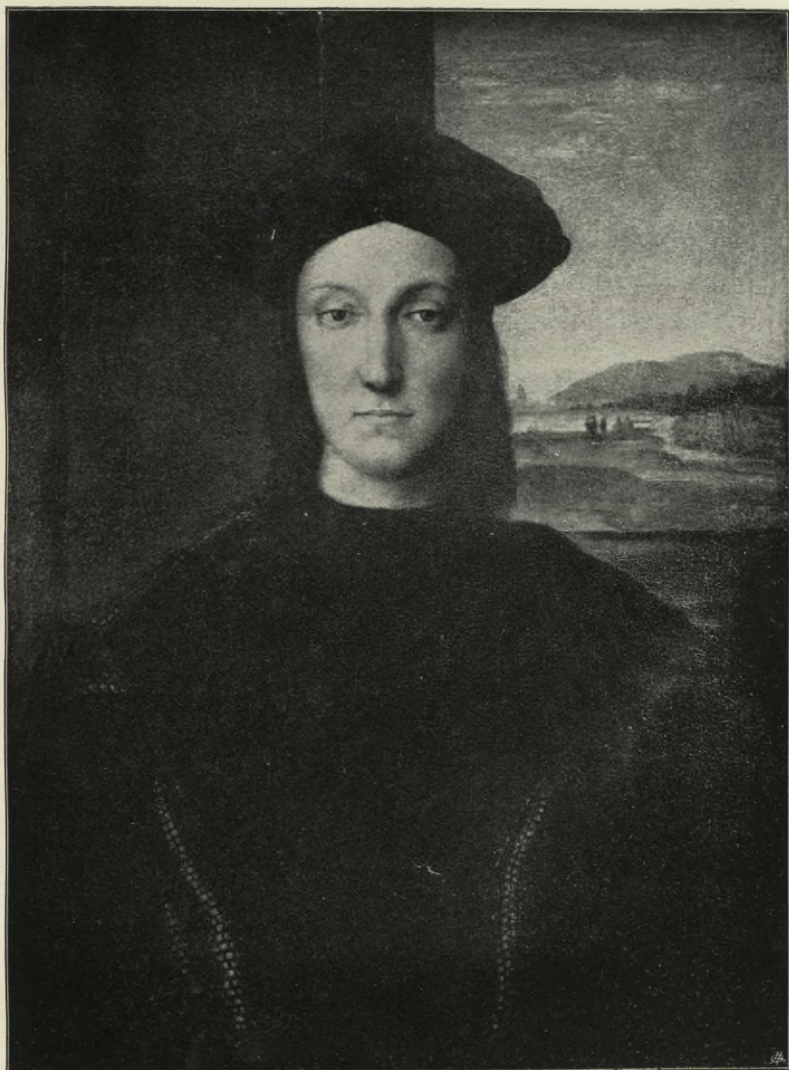












Guidobaldo, książę na Urbinie.  
Według portretu Carota w galerji Pitti.







rym Castiglione królowi angielskiemu nie donosił, a mianowicie wskutek jakiejś choroby nie był zdolny do małżeńskiego pożycia. Ożenił się wprawdzie w roku 1486 z Elżbietą Gonzagą, siostrą markiza Franceska z Mantui, ale umarł bezdzietnie.

Elżbieta była zaledwie o rok młodszą od męża, a pomimo że współcześni literaci dużo o jej urodzie opowiadają, piękną nie była, czego dowodem jej portret florenetyński. W tej twarzy zbyt długiej, o szerokich policzkach i bladych oczach, zachował się jeszcze ów typ niemiecki, który Barbara brandenburska wniosła do mantuńskiej linii Gonzagów. Z portretu zdawałoby się, że księżna twarz bardzo malowała, o czym świadczyłby także »Zbiór recept piękności«, »Ricettario galante« Guerrinniego, gdzie się znajduje przepis jakiejś wody piękności, używanej przez duchesse d'Urbino. Castiglione powiada w swym »Cortegianie«, że patrząc na niektóre kobiety, zdawało się, iż noszą maskę na twarzy. Boją się one rozeźmiać, aby malowidła nie zepsuć, a kolor oblicza zmieniają tylko zrana, jak ubranie. Pominąwszy małe słabostki, wspólne wszystkim ówczesnym kobietom, odznaczała się Elżbieta dobrocią, uprzejmością, a poeci, bywający w Urbino, prawie bez wyjątku się w niej kochali; jedni szczerze, drudzy z obowiązku wobec zamkowej pani. Unico Aretino, udając wielką miłość do Elżbiety, nie wynagrodzoną z jej strony wzajemnością, mówił, że Duchessa jest kobietą z twarzą anioła a sercem węża, i pragnął raz w życiu się pochwalić, że został wysłuchany przez te twarde panie »di casa Gonzaga«. Bembo dla księżny zapomniał o Lukrecyi Borgii i rozwodzi się nad czystością jej obyczajów, a Castiglione nazywał ją »boginią domowego ogniska«, »dea del loco« i rzeczywiście był nią zajęty. Świadczą o tem dwa jego sonety o miłości nieodwzajemnionej, świadczy cały zbiór kanzon i madrygałów, ułożonych na cześć księżny Urbino, dowodzi zresztą ów wiersz pełen zapału »De Elisabetta Gonzaga canente«, w którym się poeta unosi, »że oblicze księżny wiąże jak łańcuchy, a oczy pętają każdego, kto się do niej zbliży. Wszystko, co Elżbieta czyni, czyni z wdziękiem i szlachetną kobiecością, włosy na różanej szyi wydają



woń ambrozji, a gdziekolwiek stąpi, trawa tam buja obficie, gdyż ziemia czuje, że jakieś bóstwo się zbliża. Drzewa się uśmiechają i każda najmniejsza roślinka pragnie, aby ją stopa księżnej dotknęła». Elżbieta przyjmowała hołdy, ale tylko hołdy i była wierną mężowi. Castiglione powiada w swym »Cortegianie«, że Duchessa, pomimo że żyła przez lat piętnaście z Guidobaldem jakby wdowa, nie tylko się w tej mierze przed nikim nie skarżyła, lecz nawet wtedy, kiedy mogła męża opuścić, wytrwała w swych ślubach. Gdy bowiem krewni ją namawiali, aby się rozwiodła, a nawet sam Gwidobaldo na to się zgadzał, Elżbieta oświadczyła, że do śmierci przy nim pozostanie.

Umysłowo wyższą kobietą od Elżbiety Gonzagi była Emilia Pio, nierozłączna przyjaciółka księżny, córka Marka Pia, pana na Carpi, którą się często spotyka we współczesnych listach i literackich utworach. Wyszła ona za mąż za hrabiego Antonia di Montefeltro, nieślubnego brata księcia Guidobalda, wcześniej owdowiała i zamieszkała na dworze w Urbino. Bembo, którego przez długie lata łączyła z nią przyjaźń, nazywa ją kobietą potężnego umysłu i wielce roztropną. Emilia stała się też duszą towarzystwa w Urbino i jak się zdaje, Elżbieta chętnie jej odstępowała pierwszeństwa w prowadzeniu rozmowy i urządzaniu rozmaitych rozrywek. W »Cortegianie« występuje Emilia jako skłonna do ironii, do sceptycyzmu, a wiadomo, że ją nazywano »bezbożną«, »impia«. Była piękniejszą, niż Elżbieta, narażoną może na więcej pokus, a przecież tak cnotliwą, że na medalu, który po jej śmierci na uczenie zmarłej wybito, znajdował się z jednej strony portret Emilii, a z drugiej napis: »Castis cineribus«, »Czystym popiołom«. Inny medal, dłuta rzeźbiarza Gian Christofora, także nosił godło jej cnotliwości. Jeden tylko Unico Aretino, zapewne z gniewu, że i o jej serce rozbijały się bez skutku jego czułe zapędy, nazywał ją: »Non Pia, ma Pyra di chi gli crede«.

Emilia umarła wkrótce po śmierci Elżbiety, 20 maja 1528 r., a powszechną to zwróciło uwagę, że się nie spowiadała i nie przyjęła ostatnich sakramentów. Giammaria della Porta, poseł urbinacki w Rzymie, zapytywał się w liście do



















Leonory da Orvieto pisanym, czy to prawda, że Emilia bezbożnie zeszła z tego świata i że w ostatnich swych chwilach zamiast polecić się temu, który jej ma grzechy przebaczyć, rozmawiała z hr. Ludwikiem Canossą o jakimś ustępie z »Cortegiana«. Wypadek to był niezwykły, bo chociaż sceptyków było wtedy bez liku, przecież wskutek zwyczaju albo z hipokryzyi trzymano się wogóle ściśle przepisów religijnych.

Jeszcze jedna krewna bawiła na dworze w Urbino, Margherita Gonzaga, córka nieślubna markiza Franceska z Mantuy. Ładna, żywa, wesoła, zawracała wszystkim głowy. Młody Filippo Beroaldo bardzo był nią zajęty, a naturalnie i Bembo, którego wszędzie znajdujemy, gdzie się tylko piękna kobieta pokazała. Nazywał ją w poufnych listach »swoją Margeritą«, a nawet w lecie r. 1507 wspomina o niej jako o swojej narzeczonej, ale to małżeństwo nie przyszło do skutku. Bardziej, niż Bembo, obchodziła Margerita Alberta Pio z Carpi, który tak się nią zajął, że wyjeżdżając z Urbino, łązy rżęsiście ronił. Panna mu także była wzajemną, ale znalazły się jakieś sprawy, zapewne majątkowe, które ich połączeniu przeszkodziły. W kilka lat później starał się o nią, jakeśmy wspomnieli, Agostino Chigi, ale panna nie chciała przystać na ten związek, gdyż Magnifico był o wiele od niej starszy.

Margerita słynęła ze zręczności w tańcu; Castiglione przedstawia ją, jak wzięwszy się za rękę z Constanzą Fregoso, którą niebawem poznamy, popisywała się przed towarzystwem wiotką postacią i zgrabnymi ruchami. Grał do tańca Barletta, który cały dwór swą muzyką rozweselał, a obydwie te panie tańczyły najprzód hiszpański taniec, »bassa danza«, do którego Lorenzo de' Medici dwie figury przyczynił pod nazwą »Partita crudele« i »Venus e Zauro«, a następnie francuską »roegarzę«, taniec bardzo ładny, ale trudny.

Owa Constanza, urodzona z Gentili di Montefeltro, była nieślubną siostrą Guidobalda, a Fregosowie należeli do najznakomitszych rodów patrycyuszowskich w Genui. Poszła za mąż za hr. Marcantonia Laudi z Piacenzy, ale bawiła często po kilka miesięcy w Urbino i niemało przyczyniała się do uświetnienia tamtejszego towarzystwa. Ocytana, zajmująca



się ruchem literackim, była w przyjaźni z Bembo, który trzymał do chrztu jednego z jej synów i przez całe życie zostawał z nią w ścisłych stosunkach. Bracia Constanzy, Federico i Ottaviano, należeli do stałych gości w Urbino, zwłaszcza że przez jakiś czas byli wygnani z ojczyznanego miasta, z Genui. Starszy, Ottaviano, oddał Guidobaldowi niemałe usługi, walczył bowiem w wojsku papieskim przeciw Cesarowi Borgii i dowodził milicją Juliusza II przy zajęciu Bolonii. W r. 1513 mógł powrócić do Genui i został tam dożą. Młodszego Federika Fregosa lubił bardzo Guidobaldo i wystarał się, że Juliusz II mianował go arcybiskupem w Salerno, co mu posłużyło za szczebel do kardynałstwa, które dużo później, w roku 1539 otrzymał. Federico bawił dłuższy czas we Francji, w opactwie w Dijon, gdzie się zajmował studjami nad poezją prowensalską i doszedł w tej mierze do wielkiego znawstwa. Z tego powodu wprowadza go Bembo w swoim dyalogu »Prose della volgar lingua«, jako rozprawiającego o poezji prowensalskiej.

Z mężczyzn, dworzan Guidobalda, odznaczał się obok Castigliona jego przyjaciel młodości, Cezar Gonzaga, który pochodził z tej samej linii, co mantuański markiz, ale niezamożny, szukał utrzymania w Urbino. Był on wprawdzie o trzy lata młodszy od Castigliona, ale mimo to równocześnie z nim uczył się w Medyolanie. Dzielny, zręczny, dowcipny i uczony, pisał mnóstwo poezji, a zarazem walczył po stronie Juliusza II pod Mirandolą. Panie w Urbino i Izabella d'Este nadzwyczaj go lubiły, gdyż pięknie grał i śpiewał i układał wiersze do muzyki. Istnieje jeszcze list jego z roku 1510 do markizy mantuańskiej, w którym ją prosi o przysłanie nut do sonetu »Cantai« i polecenie kompozytorowi Marchettemu, aby dorobił muzykę do madrygału, który jej posyła. Skarży się przytem, że nosi wprawdzie pancerz Marsa, ale więcej, aniżeli bóg wojny, Amor go zajmuje.

Ważną osobistością w towarzystwie urbinackiem był także hr. Lodovico Canossa, krewny Castigliona, który z nim przepędził młodość w Mantui. Canossa słynął z dowcipu i bardzo go ceniono w towarzystwie. Domenichi opowiada o nim zabawną anegdotę. Lodovico został za Juliusza II



biskupem, mieszkał w Rzymie i miał sławne srebra stołowe, bardzo artystycznie wykonane. Pomędzy innemi podobał się gościom duży puhar, na którego pokrywie spoczywała pyszna tygrysica. Jeden ze znajomych prosił Lodowika o pożyczanie tego pucharu z powodu jakiegoś bankietu. Canossa uczynił zadość jego żądaniu, ale upłynęło kilka miesięcy, a ów znajomy nie tylko nie odsyłał kosztownego naczynia, lecz pod pozorem znowu jakiejś biesiady, prosił o pożyczanie drugiego pucharu z wyrzeźbionym rakiem na pokrywie. Tym razem jednak biskup nie posłał kielicha i kazał powiedzieć natrętowi, że skoro tygrysica w przeciągu kilku miesięcy nie mogła wrócić do swego pana, to rak i w kilka lat nie zdołałby się doczołgać do domu.

Żaden dwór ówczesny nie mógł się obejść bez błazna; w Urbino był nim fra Serafino, pochodzący z Mantui, gdzie musiał dłuższy czas zabawiać Gonzagów. W r. 1499 polecił mu markiz Francesco, aby urządził festyn karnawałowy na przyjęcie markizy Izabelli, powracającej wówczas z Ferrary; ale brat Dominikanin nie mógł się wywiązać z tego zadania, gdyż Izabella się spóźniła, a tymczasem i karnawał minął. Fra Serafino dostał się także na dwór Guidobalda i przysłużył się literaturze listem, w którym opisywał wierszem makaronicznym dużo osobistości, występujących w »Cortegianie« Castigliona. Z tego względu mają te rymy wartość niemałą. Fra Serafino był bardzo złośliwym i nie mógł się powstrzymać od opowiadania najobelżywszych plotek, jeżeli je zdołał tylko okrasić jakim dowcipem. Doczekał się też smutnej przygody. Będąc w roku 1507 z duchessą w Rzymie, zaczął głośno obmawiać papieża i dwór watykański, co widocznie kogoś z dotkniętych tak obraziło, że nastawiono na niego niebezpiecznego brava, aby go na zawsze złośliwości oduczył. Bravo niezupełnie wywiązał się ze swego zadania, bo tylko ciężko ranił w głowę i w ramię Serafina. Ten wypadek musiał łagodniejszym uczynić braciszka, gdyż odtąd nic o nim więcej nie słyhać.

W owem towarzystwie, do którego jeszcze więcej osób należało, bawiono się wybornie, po największej części muzyką, tańcami, deklamowaniem poezyi, a Castiglione i Cezar



Gonzaga ułożyli wtedy wspólnie stanze pastoralne, pod tytułem »Tirsi«, w których podnosili gościnność i zalety księżny i sami je przed zebrany dworem deklamowali. Duchessa przedstawiona tam była pod dwiema alegorycznymi postaciami, jako Galatea i jako opiekuńcze bóstwo urbinackiego państewka.

Sam Castiglione zabawiał nieraz towarzystwo śpiewem, miał bowiem bardzo piękny głos i grał na wioli. Wiola była jego najbardziej ulubionym instrumentem muzycznym, a gdzie mógł, nabywał »ukochaną violetkę«. Do częstych zabaw towarzyskich należały pytania, dotyczące się miłości, na które trzeba było dać zręczną lub dowcipną odpowiedź. Istniała nawet książka Mantuańczyka Gian Giacomu Calandry, w której autor stawia aż siedmdziesiąt takich kwestyi miłosnych, jak n. p. czy miłość może istnieć bez zazdrości; czy można umrzeć z miłości; kto jest stalszym, kobieta czy mężczyzna; czy można się zakochać w osobie, którą się zna tylko z opinii i t. p. Zresztą tych gier towarzyskich było mnóstwo. Po między innymi zabawiano się w Urbino w tak zwaną »giuoco senese«, w której mówiło się sąsiadowi do ucha jakieś słowo, na które on musiał dać stosowną odpowiedź. Zdarzyło się raz, że Bembo siedział obok księżnej Elżbiety, a będąc nią bardzo zajęty, powiedział jej »io ardo«, »goreję«, na co księżna odrzekła »non io«, »a ja nie«. Z tego powodu Bembo chodził przez kilka dni bardzo zasmucony, ale Elżbieta nie przestawała łudzić go swym wzrokiem. Po kilku dniach siedział Pietro znowu przy księżnie i trzymał rękę na poręczy krzesła, a Elżbieta położyła swą dłoń na jego rękę. Młodzieńcowi oczy zabłysły, ale księżna zwróciła jego uwagę, jaka jej ręka zimna. Z tego wynika, że Elżbieta mimo swej uznanej cnoty umiała być nielada kokietką. Zajście to posłużyło Bembie do napisania sonetu, pełnego melancholii.

Do ulubionych gier towarzyskich, które kwitły już w starożytności i w średnich wiekach, należały szarady i zagadki. Osobliwie w klasztorach, gdzie nie wiedziano, czem się zająć podczas długich godzin wieczornych, bawiono się w zagadki. Otóż i w Urbino była ta forma okazania dowcipu i przytomności umysłu bardzo w użyciu. Z nią łączyły się tak



zwane motti, bons-mots, które nie zawsze odznaczały się zbyt wielką towarzyską zręcznością. Dowodem tego jest wiersz Bemby, powstały z tych gier towarzyskich w Urbino, któremu później dano nazwę »Motti«, ramota bez dowcipu i humoru.

## II.

Ponieważ Castiglione w ciągu zimy i wiosny zupełnie się na nogę wyleczył, więc książkę postanowił wysłać go w lecie do Londynu. Przed wyjazdem chciał nasz dyplomata-poeta ułagodzić Gonzagę, zależało mu bowiem na tem, aby mógł matkę w Mantuańskim odwiedzić. Napisał więc 19 maja 1506 list do markiza, w którym go zawiadamia, że się wybiera w podróż do króla Henryka VII, a zarazem zapewnia o swej wierności dla Gonzagów i o szczerej chęci służenia im przy każdej sposobności. Castiglione dodaje, że urodziwszy się w służbie markiza; chce do końca życia zostać mu oddanym i że będzie wtedy najszcześniejszym, kiedy się Gonzaga o jego dobrych chęciach przekona. Ale ten list bynajmniej markiza nie ułagodził, tem bardziej, iż gniewało go, że król angielski obdarzył Guidobalda, księcia małego Urbino, orderem podwiązki, a nie jego, jednego z najmożniejszych panujących we Włoszech. Markiz tak dalece zawziął się na Castigliona, że nawet list duchessy Elżbiety do brata, aby mu pozwolił widzieć się z matką, na razie nic nie pomógł. Zrażony tą zawziętością, chciał się Castiglione pozbyć dziedzicznej własności w Mantuańskim i zawiązał rokowania z Ercolem Bentivogliem, aby się z nim zamienić na dobra położone w Romanii; ale Bentivoglio nie miał ochoty na ten interes i Castiglione musiał swego zamiaru zaniechać.

Dziesiątego lipca r. 1506 wyruszył ostatecznie Castiglione w towarzystwie drugiego posła, Franceska Ceciego, do Londynu i wioził ze sobą dla króla Henryka VII bogate podarunki od Guidobalda, jak konie, sokoły, złotolite brokaty i kilka dzieł włoskiej sztuki, pomiędzy niemi mały obraz Rafaela, przedstawiający św. Jerzego, który się teraz znajduje



w petersburskim Eremitażu. W Londynie stanął Baltazar dopiero pierwszego grudnia; po dwóch dniach zawezwano go do króla, który go przyjął z wielkimi honorami, bardzo serdecznie. Dwudziestego grudnia odbyła się uroczystość oddania orderu w ręce posła, który także nie wyszedł z próżnemi rękoma, gdyż monarcha obdarzył go kosztownym naszyjnikiem. Baltazar więc był uszczęśliwiony ze swego pobytu w Anglii i sądził, że się i księżę Guidobaldo ucieszy, gdy mu ustnie opowie o całym przyjęciu.

Zaraz po owej uroczystości wybrał się Castiglione z powrotem do Włoch, a gdy 9 lutego 1507 stanął w Medyolanie, wysłał stamtąd posłańca do Gonzagi z prośbą, aby mu przecież pozwolił odwiedzić matkę w Casatico. Zdaje się, że markiz zmienił tymczasem swe usposobienie wobec Castigliona, gdyż mu pozwolił bezpiecznie przez swe posiadłości przejechać; Baltazar udał się więc do matki, ale bawił tam tylko kilka dni, gdyż pragnął Guidobaldowi jak najprędzej zdać sprawę ze swej podróży.

W Urbino zastał Castiglione bardzo liczne towarzystwo, była to bowiem owa świetna zima z roku 1507, w której Juliusz II, zmusiwszy Bolonię do posłuszeństwa wobec Stolicy Apostolskiej, przybył trzeciego marca w wesołym usposobieniu do Urbino i bawił tam dni kilka. Zebrania towarzyskie, osobliwie w czasie karnawału, nasunęły później Castiglionowi myśl napisania swego »Cortegiana«.

Aby złożyć hołd papieżowi, zjechało się do zamku gości bez liku, którzy, korzystając z uprzejmości księstwa Guidobaldów, bawili tam długo, pomimo że Juliusz II już Urbino opuścił. Z nieznamym nam jeszcze osobistości wymienić musimy przedewszystkiem markiza Gaspara Pallaviciniego z Corte Maggiore w Lombardyi, który niemało rozprawia w »Cortegianie«. Zaczny, prawy człowiek, bardzo szanowany w północnych Włoszech, należał z tego względu do oryginałów, że dziwny miał wstręt do kobiet, co dawało powód do rozmaitych o nim opowieści. Bardzo zabawną osobistością był Antoni Marya Tarpandro, zdaje się, że Rzymianin, przyjaciel Bemby i Bibbieny, towarzysz pełen humoru, zapalony zwolennik Petrarcki. Kto tylko o nim w listach



wspomina, dodaje zawsze jakąś uwagę o jego wesołości; »hilaritas« Tarpandra znaną była od Rzymu do Wenecyi. Znalazł się tam i Nestor towarzystwa, stary Sigismondo Morello z Ortony w Abruzzach, wzdychający do dobrych dawnych czasów, narzekający na wady, jakie przyniosło ze sobą czytanie starożytnych autorów. Młodzież wyśmiewała się z niego, uważając go za wstecznika; ale złośliwe języki milkły, gdy stary wziął dawnym zwyczajem cytrę do ręki i zaczął śpiewać swoje poezye, pełne szczerego uczucia. Nie był wszakże tak śmiesznym, jak ów stary, o którym wspomina fra Sabba da Castiglione w swych »Ricordi«. Ten siwy »młodzieniec« chodził śpiewać przy księżycu i grać na lutni pod oknami pięknych kobiet, a spoczywający w tej samej komnacie mężowie drwili z naiwnego pocziwca. Castiglione mówi o Ortonie z wielkiem uszanowaniem a w »Tirsi« wspomina, że starego każdy poważa, gdyż nosi on na czole świętą aureolę człowieka honoru. Pomiedzy gośćmi wymienić jeszcze musimy Piotra Monte, prawdziwego mistrza w rycerskich ćwiczeniach i zwłoszczałego Niemca, Mikołaja Frisio, o którym mówi któryś ze współczesnych pisarzy, że choć Niemiec, przyjął włoskie zwyczaje »uomo Germano, ma avezzo ai costumi d'Italia«. Frisio bywał także w Mantui, umiał się przypodobać Izabelli d'Este, gdyż jako wielki znawca »antykalioń« ułatwiał jej nabywanie zabytków starożytnej sztuki. Bembo napisał na cześć tego cudzoziemca wcale zręczny sonet, a Castiglione wielką mu okazywał wdzięczność, gdyż Niemiec pielęgnował go w Rzymie podczas choroby.

Owej pamiętnej zimy ułożyli Bembo i Oktawian Fregoso eklogę na wzór »Tirsi«, a chcąc rozweselić towarzystwo, deklamowali ją sami, przebrani za kapłanów przybyłych »z dalekich krajów Wenery«. Zresztą wieczorem, gdy cierpiący na podagrę Guidobaldo wcześniej udał się na spoczynek, zabawiano się uczoną lub wesołą rozmową; każdy z gości opowiadał ze swego zapasu facecyi najweselszą, tak że Urbino nazwano »gospodą wesołości«, »albergo della allegria«.

Rok 1507 bardzo był ważnym w życiu Castigliona,



w maju bowiem wyprawił go Guidobaldo w poselstwie do Ludwika XII, którego Baldassare miał spotkać w Genui; w drodze jednak dowiedział się, że król już przybył do Mediolanu, więc tam go pojechał przywitać. O łaskę króla francuskiego ubiegali się wtedy wszyscy włoscy książęta, więc każdy słał swego oratora, aby obcemu monarsze złożyć swe hołdy. Z tej ambasady powrócił Castiglione w połowie lipca do Urbino, gdzie przez całą jesień i zimę miał dość czasu, aby dużo czytać, ćwiczyć się w robieniu bronią i używać towarzyskich przyjemności. Ale wiosna 1508 miała przynieść dla całego towarzystwa w Urbino wielką katastrofę: jedenastego kwietnia umarł książę Guidobaldo. Castiglione został pozbawiony wielkiej podpory, a chociaż jego następcą, Francesco Marya della Rovere, przyjaźnie był dlań usposobiony, przecież nie mógł zupełnie liczyć na tego gwałtownego, kapryśnego księcia. Guidobaldowi wywdzięczyl się Baldassare nie tylko tem wszystkim, co powiedział o nim w »Cortegianie«, lecz zaraz po śmierci swego opiekuna napisał list do króla angielskiego, w którym z wielką miłością, a zarazem poszanowaniem prawdy, przedstawił osobistość i zasługi zmarłego.

### III.

Następcą swoim naznaczył Guidobaldo stosownie do układu z Juliuszem II swego syna adoptowanego, Franceska Maryę della Rovere, jeszcze młodzieńca, ale już doświadczonego w publicznych sprawach. W owych czasach ludzie szybko dojrzewali; Castiglione obsypuje go w Cortegianie samemi pochwałami, ale autor-dyplomata mógł być w tej mierze nieco stronniczym, nie chciał bowiem nigdy rzucać ciemnego światła na to Urbino, które tak ukochał i gdzie najpiękniejsze chwile swego życia przepędził. Inaczej sądzą o Francesku inni współcześni; Margerita di Navarra powiada w swoim Heptameronie, że »litość nie powstała w sercu tego księcia, który nie znał innego szczęścia, jak mścić się na tych, których nienawidził«. Wspomnieliśmy już, że w przy-



stępie gniewu, może nawet słusznego, jako młodzieniec dwudziestoletni zamordował publicznie w r. 1511 kardynała Alidosiego. Później dawał także dowody okrucieństwa; raz np. kazał powiesić pannę służącą swej żony, która bez złego zamiaru ułatwiała miłości młodemu jego synowi, księciu Guidobaldowi.

Ludność księstwa widocznie nie bardzo ufała dobroci charakteru młodego Rovera, gdyż w wielu miejscowościach powstały zaburzenia, grożące nieuznaniem nowego władcy. Duchessa wysłała zatem w zagrożone okolice zbrojne oddziały pod dowództwem doświadczonych wojskowych, które miały ludność przywieść do posłuszeństwa. Jednym z tych oddziałów, przeznaczonych do miasta Gubbio, dowodził Castiglione.

Rok 1509 był wogóle rokiem wojennym. Juliusz II zamianował Francesca Maryę dowódcą swoich wojsk, mających odebrać miasta Romanii Wenecyanom, a w wyprawie wziął udział także Castiglione na czele pięćdziesięciu ludzi. Walczył on w szczęśliwej dla papieża bitwie pod Agnadello, następnie pomagał ze swoim oddziałem w zajęciu Rawenny; ale z listów jego, do matki pisanych, przebija niezadowolenie z całej tej wyprawy Włochów przeciw Włochom, a raz skarży się nawet, że armia, do której należał, największą szkodę wyrządziła biednej Rawennie, pomimo że Wenecyanie oddali ją pod warunkiem, że się ludności nic złego nie stanie. »Ile tylko mogłem nieszczęścia odwrócić od Rawenny, pisze do matki, tyle odwróciłem; zdaje mi się, że każdy wyniósł jakąś korzyść z rabunku, z wyjątkiem mnie. Ale tego nie żałuję«. Owszem wyniósł on stamtąd szkodę, chorobę, z powodu której musiał wrócić do Urbino, gdzie go księżna Elżbieta pielęgnowała jak brata. Wyzdrowiawszy, musiał niebawem wracać na plac boju; brał udział w owej nieszczęśliwej dla Juliusza II bitwie, znanej pod nazwą degli Asinai, w której papież stracił niedawno odzyskaną Bolonię, a po skończonej wyprawie schronił się znowu do Urbino. Ale wrócił bez koni, bez przyborów wojennych, prawie bez ubrania, wszystko stało się lupem nieprzyjaciół. Poniósł wielkie straty materyalne, o czym donosząc matce, pocieszał ją,



że przynajmniej wyszedł z tej potrzeby zdrowo, »sono, Dio grazia, sano«. Z powodu utraty Bolonii Juliusz II tak był rozgniewany na swego nepota, że dowiedziawszy się o klęsce, zawołał, że jak go tylko do rąk dostanie, każe go w kawałki posiekać. »Si tra mani mi capita il Duca, lo faccio squartere«. Ale Francesco Marya znał swego stryja i jego przywiązanie do rodziny; pomimo więc tej pogróżki udał się do Rzymu, aby wytłómaczyć papieżowi powody nieudania się wyprawy i prosić o przebaczenie. Castiglione towarzyszył księciu do stolicy.

Francesco Marya trafił na ową chwilę, kiedy papież był bardzo chory i całemu otoczeniu zdawało się, że już umiera. Gniew i zawziętość Juliusza minęły, a Castiglione niebawem mógł z Urbino napisać do matki: »Powróciliśmy, Bogu dzięki, szczęśliwie z Rzymu, a nawet z papieskiem błogosławieństwem«.

Niemal zmartwychwstały Juliusz znów z pomocą nepota potrafił odebrać Bolonię, Rimini i Rawennę i tak się tem powodzeniem ucieszył, że oddał Franciszkowi Maryi w lenno miasto Pesaro. Księżę zaś, chcąc Castiglioniowi wynagrodzić jego zasługi, poniesione w ostatnich walkach, obdarzył go zamkiem Nuvillaria z należącymi do niego ziemiami, a nadto odznaczył tytułem hrabiego. Baldassare sprowadził się do nowej majątności, a z listu, pisanego wówczas do matki, przebija radość świeżego właściciela. Pisze, że Nuvillaria oddalona jest tylko o dwie mile od Pesaro, że bardzo piękny stamtąd widok na ląd i na morze, że ziemia żyzna, pałac w dobrym stanie.

Castiglione nie mógł się wszakże długo rozkoszować wiejskim spokojem, gdyż ze śmiercią Juliusza II nowe nadeszły troski i niepokoje. Na wybór papieża pojechał księżę Urbinu z dwudziestu czterema dworzanami, pomiędzy którymi był i Baldassare. Rozglądając się w stosunkach, popierał księżę wybór Medyceusza, ponieważ liczył na jego dawną przyjaźń dla Guidobalda i na dług wdzięczności, który Giovanni zaciągnął wobec urbinackiego dworu. Chodziło mu przedewszystkiem o uzyskanie od Leona X inwestytury na księstwo i o ponowne nadanie mu dotychczas



piastowanego urzędu, naczelnego dowódcy armii papieskiej. Leon X dwiema osobnemi bullami uczynił zadość jego żądaniom, więc Rovere uradowany wrócił do Urbino, pozostawwszy w Rzymie Castigliona, jako swego posła przy papieskim dworze. Baldassare został dyplomata. Leon X i dla niego okazał się łaskawym; drugiego września 1513 kazał wystawić dlań akt inwestytury na hrabstwo Nuvillarę i pisemnie mu powińszował tego zaszczytu, pochwalając to, co księżę dla niego uczynił.

Nastaly najświetniejsze czasy dla Castigliona, życie umysłowe szersze, aniżeli w Urbino, stosunki z dawnymi przyjaciółmi, których odnalazł w Rzymie, z Bemba, Sadoletem, Tebaldeem, uważanym wówczas za drugiego Petrarke, a nadto zbliżenie się do Rafaela, Giulia Romana i Michała Anioła. Ze względu na stanowisko, jakie Baldassare zajmował teraz w Rzymie, był już i markiz mantuański dla niego bardzo uprzejmym, a Izabella pisała do niego przyjacielskie listy, chodziło jej bowiem, aby za jego pośrednictwem dostać jaki obraz Rafaela, o którym od dawna marzyła. W czasie swego pobytu w stolicy papieskiej jeździł Castiglione kilkakrotnie do Mantuy, aby się widzieć z matką, a Gonzagowie zawsze gościnnie go przyjmowali.

#### IV.

Nim Castiglione został hrabią na Nuvillarze, miał ze swego majątku w Mantuańskim 1500 dukatów rocznego dochodu, co nie wystarczało na życie wśród ludzi zamożnych i na częste podróże. Rycerz-poeta musiał więc robić długi, które mu »jak robak serce toczyły«. Jedynym dla niego ratunkiem było bogate ożenienie się, w czem mu matka i przyjaciele szczerze dopomagali, ale nie było łatwą rzeczą wyszukać narzeczoną z wysokiego rodu i ze sporym workiem dukatów. W czasach Odrodzenia nadzwyczaj realnie zapatrywano się na związki małżeńskie; najczęściej brak urody u panny młodej nie stanowił wielkiej przeszkody, jeżeli tylko fortuna dopisywała i familie równe sobie były. Ale



Castiglione należał do ludzi o dobrym smaku, więc mu i o urodę chodziło.

Izabella d'Este pierwsza się jego swataniem zajęła. Wogóle w owych latach wszędzie znajdujemy rękę ruchliwej markizy: w polityce, w literaturze, w modach, a oczywiście i w intrygach. Messer Girolamo Stanga, członek jednej z najznakomitszych rodzin w Cremonie, pozostawił kilka córek i duży majątek; otóż na jedną z nich, Agnesinę, zwróciła uwagę markiza i w roku jeszcze 1500 chciała z nią Baltazara ożenić. Ale swaty z niewiadomych powodów się nie powiodły i panna poszła w trzy lata później za męża za krewnego markizostwa, za Ludwika Gonzagę, a więc bardzo świetnie. Niebawem jednak zajął się swataniem Castigliona inny Ludwik Gonzaga, z Gazzuolo, biskup mantuański, wielki mecenas, protegujący artystów i literatów. Chciał go połączyć z córką hrabiego Maffea da Gambarara i polecał młodzieńca ojcu panny »jako przystojnego, uczonego, wymownego, pełnego uprzejmości i wszelkich cnót człowieka, którego wogóle przyroda tak uposażyła, jak się jej to rzadko udaje«. Mimo tych pochwał ksiądz biskup miał nieszczęśliwą rękę i owe swaty znowu zawiodły. Ale i trzecie swaty, którymi się zajmowano około roku 1507, nie doprowadziły do celu, pomimo że chodziło o dobrą partyę, »bon partito«. Z końcem jednak owego roku zdawało się, że Castiglione wejdzie w rodzinę Medicich. Alfonsina Orsini, żona Piera Medici, miała córkę, Klarysę, a kardynał Giovanni, późniejszy Leon X, wpadł na myśl, aby ją wydać za Baltazara. Kardynał użył do zawiązania układów w tej mierze Bernarda Bibbieni, zręcznego do wszystkiego, nawet do swatów. Projekt ten stał się powodem długiej korespondencji pomiędzy Baltazarem a matką, której syn zwierzał się ze wszystkich ważniejszych spraw w życiu. Wogóle myśl połączenia się z Medyceuszami bardzo gorąco została przyjętą przez Castiglionów. Baltazar był jednak na tyle ostrożnym, że nim się wdał w jakiegokolwiek układy, dowiadywał się o wysokość posagu. Gdy mu zaś powiedziano, że Klarysa przyniesie przyszłemu mężowi tylko cztery tysiące dukatów, bardzo ostygł w zapałach, chociaż myśli tej zupełnie nie po-



rzucił. Jako wtajemniczony w dyplomatyczne sprawy Włoch, przewidywał, że ród Medyceuszów powróci znowu do Florencyi, i dlatego ociągał się z ostatecznem postanowieniem. Tymczasem zaczęto go swatać ze wszęch stron; matka i rozmaici przyjaciele pragnęli mu pomódz i tak go zawikłali w rozmaite plany, że naraz miał do wyboru aż cztery kandydatki na żony: córkę Giulia de Martinengo z Brescyi z posagiem 14.000 dukatów, czternastoletnią Stanga, marchesinę, smukłą, »dość piękną«, bardzo dobrze wychowaną dziewczynę, która posiadała dziesięć tysięcy dukatów »w monecie medyolańskiej«, dalej jakąś pannę z wielkiego rodu hrabiów Borromeuszów, wreszcie córkę Ludwika Viscontiego.

Podczas gdy listy o tych planach małżeńskich krążyły pomiędzy Castiglionem, jego matką a przyjaciółmi, kardynał Giovanni Medici znalazł już dla Klarysy narzeczonego, Filipa Strozzięgo, który był dlań bardzo pożądanym powinowatym, wzmacniał bowiem stronnictwo Medyceuszów we Florencyi, należąc do możnej tamtejszej rodziny. Bibbiena porzucił zaraz myśl wyswatania Castigliona z Klarysą, a zaczął popierać Strozzięgo, aby się przypodobać kardynałowi, który mógł zostać papieżem. Zdaje się, że to postępowanie kardynała Giovannięgo i Bibbieny zniechęciło na chwilę Baltazara do małżeństwa i że na razie nie wybierał już pomiędzy czterema pannami z Włoch północnych. Majątkowe jednak stosunki nie pozwoliły mu zatrzymać się na tej równi pochyłej, prowadzącej koniecznie do posagu. Powstało znowu kilka nowych projektów, ale wszystkie się rozwiały i dopiero markiz Francesco Gonzaga, pogodziwszy się z Castiglionem, wziął się energicznie do rzeczy i wystarał mu się o żonę. Wybraną była Marya Hipolita, córka hrabiego Gwida Torellego i Franciszki Bentivoglio, »bardzo ładna, bogata w posag i wdzięki«, »una bellissima giovane et ancora richa de dotta et gentile cossa«, jak się sam Castiglione wyrażał. Kardynał zaś Rangone w liście z r. 1520, pisanym do kardynała Giulia de' Medici, zaręcza, że według powszechnej opinii była ona najpiękniejszą z młodych kobiet w Lombardyi, co nie przeszkadzało, że złośliwe języki mówiły o niej, iż jest



kawałkiem mięsa z dwoma oczami, »un pecio de carne con doi occi«.

W tych swatach, w tych korespondencyach o rozmaitych pannach uderza, że się ciągle mówi o urodzie, o dobrych stosunkach rodzinnych, o majątku, a rzadko kiedy o moralnych zaletach. Ale wówczas, jeżeli się podnosiło piękność, to się rozumiało i cnotę, gdyż według wyrażenia Platona, które sobie przyswoił Castiglione, piękność była zewnętrznym wyrazem dobrego, »splendore del vero«.

Z początkiem roku 1516 odbył się ślub w Mantui, a markiz, chcąc zatrzeć nieprzyjemne wrażenia, jakie mógł Baldassare wynieść z jego dworu, sprawił mu huczne wesele, uświetnione turniejami i rozmaitemi oznakami publicznej i prywatnej uciechy. W trochę spóźnioną podróż poślubną pojechali Castiglionowie w r. 1517 do Wenecyi w towarzystwie sióstr Baltazara, Polisseny i Franceski, zamężnych, jak to już wspomnieliśmy, za Giacomem Boschettem i Tomaszem Strozsim. Przyjmowano ich tam z wielkimi honorami, a Signoria poleciła Andrzejowi Gritti, późniejszemu doży, i dwom patrycyuszkom z rodu Morosinich, aby tak znakomitym gościom uprzyjemniali pobyt na lagunach.

Małżeństwo Baltazarów było szczęśliwe, pomimo że Castiglione rzadko bawił w domu; sprawy publiczne bowiem i zajęcia dyplomatyczne przywiązywały go do Rzymu. Hipolita, wielkiej zacności kobieta, mieszkała w Mantui, w Belwederze, skąd miała prześliczny widok na jezioro, a przed pałacem ogród, w którym były fontanny i rzadkie ryby pływały w basenach. Mniej wiernym, aniżeli Hipolita, bywał Castiglione. Współczesne listy wspominają o jego przelotnych stosunkach miłosnych, a później znaleziono w mieszkaniu Baltazara zwierciadło, które zdradzało niewierności dyplomaty. Zwierciadło otwierało się zapomocą tajemniczego zamknięcia, a pod niem znajdował się portret pięknej kobiety, podobno pędzla Rafaela, i dwa sonety miłosne z roku 1517, a więc z czasu, kiedy Castiglione niedawno się ożenił. Przypuśćmy jednak, że to były pamiątki zakończonego już romansu!



## V.

Jako dyplomata nie miał Castiglione szczęśliwej ręki; pierwsze jego poselstwo przy dworze Leona X nie przyniosło pożądaných owoców. Powinien był wszelkich używać sprężyn, aby papież utrzymał Rovera w posiadaniu księstwa Urbino, ile że Leon X nosił się niemal od początku swego panowania z myślą nadania księstwa swemu nepotowi Wawrzyńcowi. Wstrzymywały go od tego na razie dwie tylko okoliczności. Wzgląd na brata Giuliana, szlachetnego człowieka, który bardzo się sprzeciwiał tej myśli, ponieważ Medyceusze mieli zawsze szczerých przyjaciół w książętach na Urbinie, nawet wtedy, gdy ich z Florencyi wygnano, a powtóre obawa, jak się zachowa cesarz niemiecki wobec tego gwałtu i pęzprawia. Na nieszczęście jednak Rovera umarł Giuliano siedmnastego marca r. 1516, a Franciszek I, sprzymierzeniec wówczas Leona X, stał się tak potężnym we Włoszech, że możliwy protest cesarski nie byłby miał wielkiego znaczenia.

Leon X więc, chcąc usprawiedliwić swój zabór księstwa Urbino, podniósł przeciw księciu najrozmaitsze zarzuty i kazał mu przybyć do Rzymu, aby stanął przed sądem papieskim. Ale Rovere, może przez Castigliona ostrzeżony, miał się na baczności; nie przyjechał więc, słusznie się obawiając, że papież wtrąci go do zamku św. Anioła i każe zamordować. Rozgniewany Leon X zasądził go in contumacia, rzucił na niego klątwę i uwolnił ludność księstwa od poddańczej przysięgi. Rovere, nieprzygotowany do obrony, uciekł na razie z żoną, z synem i matką Elżbietą do Mantuy, mając nadzieję, że odbierze swe posiadłości w sposobnej chwili. Tymczasem Leon X zamianował Wawrzyńca bullą z 18 sierpnia r. 1516 księciem Urbinu, a misya dyplomatyczna Castigliona smutnie się skończyła. Nasz poeta pisywał tylko w owych czasach bardzo zajmujące listy, osobliwie do mantuańskiej markizy, którą wszystko obchodziło, co się w Rzymie działo. Osobiście poniósł on także wielką stratę, gdyż



Leon X odebrał mu hrabstwo Nuvillarię, jako należące do Urbino.

W lutym roku 1517 próbował Della Rovere energicznym napadem odzyskać swe księstwo. Przyjął na żołd hiszpańskie i francuskie oddziały kondotyerskie i na ich czele wpadł w granice Urbinu; ale kondotyerzy wkrótce go opuścili, przekupieni pieniędzmi Medyceuszów. Wygnaniec musiał więc wrócić do Mantuy i za wstawieniem się markiza przynajmniej tyle uzyskał od papieża, że mu zwrócono dobra, stanowiące jego spadek po ojcu.

Castiglione, dyplomata bez interesów, zajmował się teraz pracą literacką, która mu zapewniła sławę aż po dzisiejsze czasy. Wkrótce po śmierci Guidobalda powziął myśl napisania książki charakteryzującej ludzi, którzy bywali w świetnych czasach na urbinackim dworze i obrobienia w niej tematów, o których się wówczas rozmawiało. Chciał on spłacić dług wdzięczności wobec księstwa i przyjaciół, a zarazem przekazać potomności obraz dworu, który należał do świetnych objawów kultury. Zrazu napisał tylko szkic do książki i przeczytał go Alfonsowi Aryostowi, któremu tak się temat podobał, że przyjaciel całym sercem zachęcał autora do rozwinięcia rzeczy w skończone dzieło. Alfons był młodzieńcem bardzo wykształconym, uprzejmym i szczerze Castiglionowi oddanym. Ale i inni znajomi w Rzymie namawiali Baltazara, aby nie porzucił pięknej myśli; więc też, mając w roku 1514 dość czasu, zabrał się do napisania książki, której dał tytuł »Cortegiano«. Celem jego było przedstawić człowieka streszczającego w sobie kulturę Odrodzenia w jej najpiękniejszych objawach, i krytycznie omówić rysy charakterystyczne, składające się na utworzenie takiego typu. Ową postacią musiał być dworzanin, boć chodziło o oddanie wyobrażeń arystokratycznego towarzystwa w Urbino, które uważało za ideał mężczyzny człowieka, łączącego w sobie szlacheckie pochodzenie, dzielność rycerską, humanistyczne wykształcenie i dworską oglądę. Forma dialogu, bardzo wówczas zwykła, wybornie się nadawała do tych rozpraw o ideale dworzanina, gdyż autor mógł wprowadzić, jako biorące w nim udział, wszystkie znakomitości,



które się zbierały wieczorem u księżnej Elżbiety. Niektóre z tych osobistości już w r. 1514 nie żyły; umarli wcześniej Alfons Aryosto, Julian Medici, Bernardo Bibbiena, nie żył już Ottaviano Fregoso, a przede wszystkim brakło dwóch kobiet, które towarzystwu dodawały wdzięku, samej księżnej Elżbiety i Emilii Pio. Każdej z wprowadzonych do dyalogów postaci kazał autor mówić o przedmiocie jej najbliższym, wskutek czego rozprawa nabrała jeszcze więcej barwności. O każdym temacie mówi zazwyczaj dwie albo kilka osób, z których jedna broni jakiejś tezy, a druga się jej sprzeciwia. Mimo rozwlekłej nieraz pogadanki, mającej wszechstronnie rzecz wyjaśnić, nie utrzymał się autor w wynikach swych rozstrząsań przy zupełnej obiektywności. Wszędzie jego zdanie osobiste zwycięża i z tego powodu książka jest wiernem odbiciem charakteru i zapatrywań Castigliona.

Nim jeszcze dzieło zostało wydane, spotkał się Baldassare z zarzutem, że błędem jest przedstawiać wyidealizowanego dworzanina, a nie takiego, jakim bywa w rzeczywistości, gdyż nie potrzebnie uczyć czegoś, co się osiągnąć nie da. Przeciw temu zarzutowi bronił się Castiglione w liście pisanym do Don Michela de Silva, biskupa w Viseo, któremu książkę poświęcił, sądząc, że skoro w ten sposób błędzili starożytni pisarze, jak Plato, jak Ksenofont i Markus Tullius, to i jemu podobną winę darować można. Oni stawiali wzory idealnego monarchy, skończonego mowcy, marzyli o niedoścignionej rzeczypospolitej, dlaczegóżby on nie mógł opisać idealnego dworzanina.

Typem dworzanina, według pojęć Castigliona, jest człowiek dawnego rodu, dzielny w boju, przyjemny w towarzystwie kobiet, dowcipny w rozmowie, zamiłowany w umiejętności, w poezyi i sztukach pięknych, praktyczny w prowadzeniu spraw publicznych, umiejący dobre rady dawać księciu, we wszystkich swych czynnościach szlachetny, wierny i wspaniałomyślny. Castiglione jest arystokratą; nie wyklucza wprawdzie możliwości, że ludzie »nowi« mogą dojść do wielkich zalet duszy i ciała, ale sądzi, że częściej się to zdarza w rodzinach rycerskich, w których dobre wychowanie w ciągu kilku pokoleń uszlachetniło rasę. Autor lubił



bardzo konie i psy i jak wszyscy, którzy naocznie się przekonywują o uszlachetnianiu domowych zwierząt zapomocą starannego chowu, wierzył i w uszlachetnienie człowieka tą samą drogą.

Cortegiano, tak jak go Castiglione pojmuje, jest postacią, którą wytworzyło Odrodzenie, różni się od dworaka wieków średnich, stoi od niego o wiele wyżej. I wieki średnie miały swoje księgi o obowiązkach i zaletach cortegiana, a osobliwie kultura anglonormandzka i północnofrancuska wytworzyły cały kodeks »cortegianii«, »Le Doctrinal de Courtoisie«; ale te przepisy tyczyły się dworzanina w zwykłym znaczeniu, uomo di corte, który mógł być nawet błaznem lub linoskoczkiem. Dworzanin Castigliona jest bardzo podobnym do samego autora »Cortegiana«, jest rycerzem-poetą. Zauważył to jeszcze Aryost, że Baldassare takim był, jakim się opisał w swej książce.

Swemu panu, powiada Castiglione, powinien dworzanin być posłusznym w tem, co pożyteczne i honorowe, ale nie w tem, co szkodliwe i hańbiące. »Gdy ci książę nakazuje zdradzić kogoś, nie tylko nie jesteś obowiązany być mu w tej mierze posłusznym, lecz powinienes go odwieść od tego zbrodniczego zamiaru. Tego wymaga i twój własny honor i obowiązek wobec księcia, aby go hańbą nie splamić«. Nie tylko na dworzanina nakłada Castiglione liczne obowiązki rycerskiej kultury, lecz i na księcia, który powinien mieć wszelkie zalety cortegiana i podobnym być do Guidobalda. Autor mówi zresztą książętom gorzkie prawdy, wyrzuca im, że czasem podobni są do wielkich ustrojonych manekinów, które się obnosi w tryumfie podczas karnawału po ulicach Rzymu.

Castiglione porusza w swych dyalogach prawie wszystkie tematy, tyżące się ówczesnej kultury. Ważne miejsce w jego zapatrywaniach zajmuje pojęcie o szczęściu, które panuje nad wszystkimi ziemskimi stosunkami, jednych podnosi niemal do nieba, pomimo że nie mają żadnych zasług, drugich bez powodu wtrąca w przepaść. Pojęcie to odpowiada powszechnym wyobrażeniom Odrodzenia o fortunie jako potędze, regulującej nieraz w sposób na pozór tyrański



i niesprawiedliwy stosunki ziemskie, ale w gruncie rzeczy podlegającej wyższej woli.

Jak większość filozoficznych zagadnień, tak i wytlómaczenie »fortuny« przejęto ze starożytności, z Seneki i Plutarcha, a przez poddanie jej pod wyroki boskie, starano się pogodzić dawne pojęcia z chrześcijaństwem.

Z zapałem zastanawia się Castiglione nad kobietami, nad ich stosunkiem do mężczyzn, a przede wszystkim nad teoryami miłości, która jest u niego duchem ożywczym stosunków dworskich. Stawia on kobietę bardzo wysoko, wypowiada zasadę, że powinna ona dojść do tego samego stopnia kultury umysłowej, co mężczyzna, i rozumieć się na wszelkich gałęziach umiejętności i sztuki. Z literackim wykształceniem ma u niej iść w parze rozwój praktyczno-estetycznego zmysłu, objawiającego się w dobrym smaku, w ubiorze, rozmowie i całym obejściu. Duchowe zalety nie powinny jednak przygłuszać cnót domowych, zalet dobrej matki; niewiasta ma opatrnościową misję obudzania cnót, które drze mią w sercu mężczyzny. Wyjaśnienie zalet, jakie mają zdobić kobietę wielkiego świata, włożył autor w usta Giuliana de' Medici, ponieważ jego żona słynęła jako wzór cnót kobiecych. Owdowiawszy jeszcze w młodym wieku, przywdziała Filiberta habit zakonny i żyła we Francji.

Jak widzimy, Castiglione wymaga dużo od kobiety, ale pozwala jej jeszcze więcej, pisząc prawie apologię małżeńskiej niewierności i będąc zwolennikiem rozwodów. Jeżeli zaś zważymy, że to, co autor mówi o wolnych stosunkach pomiędzy kobietami a mężczyznami, jest tylko odbiciem rozmów, jakie się toczyły w towarzystwie księżnej Elżbiety i Emilii Pii, to wnosić możemy, że dotyczyło tam bardzo drażliwych kwestyi. Emilia, jak się zdaje, wyznawała realniejsze teorie o miłości, aniżeli niektórzy z literatów, a mianowicie Bembo, przesiąknięty platonizmem. Gdy bowiem Bembo zaczął za wiele prawić o platonicznej miłości, przestrzegą go dowcipna kobieta, aby się miał na baczności, gdyż jego dusza, podniesiona takimi subtelnymi myślami, mogłaby z ciała ulecieć. »Nie byłby to pierwszy cud, który u mnie miłość zdziałała«, zrećźnie odpowiedział humanista.



Ważne miejsce w ówczesnem wychowaniu i w obyczajach zajmowała »grazia«, która także była w znacznej części spadkiem po starożytności. W XVI wieku chętnie powtarzano słowa Pindara, »że gracya wszystko upiększa i osładza«. Della Casa w swoim »Galateo« rozwodzi się nad tem pojęciem i powiada, że nie dość czynić dobrze, ale powinno się czynić uprzejmie »leggiadre«. »Grazia« i »leggiadria« były prawie synonimami. Podobnie jak potrawy, chociaż zdrowe i świeże, nie miałyby smaku, gdyby nie były umiejętnie przyrządzone, tak i obyczaje proste, pozbawione wdzięku i uprzejmości, nikogoby nie ujęły. Castiglione przytacza wprawdzie przysłowie, że gracyi nie nabywa się nauką, »che la grazia non s'impara«, ale przecież utrzymuje, że w gracyę trzeba się za młodu wprawiać według zasad najznakomitszych mistrzów.

Castiglione każe się strzedz w gracyi przesady, równie jak prostactwa, »disgracyi«, będących przeciwieństwem gładkiego obejścia. Naturalność w zachowaniu się i w mowie staje się dlań zasadą, nic w ruchach człowieka nie powinno zdradzać »przymusu«. Owa naturalność panowała zresztą powszechnie w obyczajach XVI wieku, często nawet posuwano ją do przesady. Gdy młodzieniec w tańcu zgubił płytkie buciki, »pantoffole«, tańczył nieraz dalej w pończochach<sup>1)</sup>, a nie brano mu tego za złe, gdyż to oznaczało dziarskość i zapał, a dopiero Castiglione zwraca uwagę na nieprzyzwoitość takiego zachowania się. Wyobrażenia o gracyi zostały później doprowadzone w XVII i XVIII wieku do niemożliwej przesady i w tej postaci błąkały się jeszcze w naszym społeczeństwie w połowie XIX stulecia.

Także mody stanowią dość ważną część rozmów na urbinackim dworze; wogóle w XVI wieku ubiory zajmowały nawet najpoważniejszych ludzi, wpadały bowiem w oczy swą nieskończoną różnobarwnością. Każdy chciał dogodzić swemu indywidualnemu zmysłowi estetycznemu, wskutek czego ubiór stawał się bardzo często zewnętrzną cechą, po której pewną osobistość sądzono. Nawet Cosimo de' Me-

<sup>1)</sup> Może stąd pochodzi nasze dawne powiedzenie »pogubił panytki«.



dici mawiał, że dwa łokcie sukna czerwonego robią człowieka przyzwoitym. W Rzymie, jeżeli się chciało ten cel osiągnąć, trzeba było kupić dwa łokcie purpury, tam bowiem więcej wymagano, niż we Florencji. W listach ówczesnych co chwilę spotykamy się z opisami ubiorów; sam Castiglione nieraz się nimi zajmuje; szczegółowo rozwodził się nad strojami Francuzów przy wjeździe Ludwika XII do Medyolanu, a i polskie poselstwo, które przybyło do Rzymu, zwraca jego uwagę swymi strojami. Polacy, mówi Castiglione, byli ubrani w czerwone materje alla tedesca, wszyscy mieli kapelusze według tej samej mody, z piórami i agrafą z pereł, tudzież z dużą kokardą.

O muzyce, o wychowaniu młodzieży, o kształceniu ducha i ciała rozwodzi się szeroko Castiglione; także spory co do czystości języka, które uczonych wówczas roznamiętniały, bardzo go obchodzą. Jest on, co do zasad języka włoskiego, przeciwnikiem Bemby, który mowę tokańską bezwzględnie chciał wprowadzić do literatury. Baldassare ceni wprawdzie literaturę XIII i XIV wieku, ale przestarzałe słowa wypuszcza i wogóle uważa za błąd przejmować wyrazy, których się zazwyczaj nie używa. Język literacki nie powinien daleko odbiegać od potocznej mowy. Toskania nie może być jedynym wzorem co do języka; trzeba mieć wzgląd i na narzecza innych włoskich szczepów, a mianowicie na Lombardów i używać słów dźwięcznych i dobrych, choćby nie były znane w tokańskim dyalekcie. Castiglione nie gardzi także słowami i zwrotami przyswojonymi z obcych języków, a mianowicie z łacińskiego, a idzie w tej mierze za daleko, gdyż używa czasem form łacińskich i zlatynizowanej ortografii. Wogóle jednak trzymał się Baldassare zdrowych zasad językowych, czego najlepszym dowodem, że jego książka należy dziś jeszcze do klasycznych wzorów języka włoskiego a powodzenie swe zawdzięczała w niemałej części także piękności wysłowienia.

Książka Castigliona jest dla nas jednym z najbardziej zajmujących dokumentów, przedstawiających niemal naczyni, w jaki sposób wnikały starożytne idee w renesansowe pojęcia. Czytając »Dworzanina«, zdawałoby się, że gre-



cka i rzymska kultura jest wczorajszą, że pomiędzy nią a XVI wiekiem nie upłynęło tysiąc lat z okładem. Owo tysiącolecie jest zupełną pustką; autor renesansowy nie potrzebuje nawiązywać do tych długich epok dziejowych, nie w nich się nie znajduje, co by go pouczało, co by go łączyło z najbliższą przeszłością. Przeciwnie, literatura starożytna jest dla niego wszystkim; z niej czerpie on jak z niezgłębionej kopalni złota i cennych kryształów. Jeden z włoskich uczonych, Vittorio Cian, podjął się żmudnej pracy wyszukiwania w »Cortegianie« ustępów i myśli, które Castiglione zapożyczył ze starożytnej literatury. Otóż niema w ważniejszych dialogach prawie stronicy, na którejby się nie znalazła jakaś reminiscencya greckich lub rzymskich autorów. Cycero, Horacy, Petroniusz, Ksenofont, Arystoteles, Plato, Liwiusz, Tacyt, Quintus Kurcyusz, Plutarch, Pliniusz, Kwintylian, Swetoniusz i wielu innych składają się na pouczenie tego renesansowego myśliciela o obyczajach, o filozofii życia, o miłości, nawet o muzyce i ćwiczeniach ciała. A Castiglione nie zdołał jeszcze przetworzyć dawnych i nowych idei w nowe ciało chemiczne, lecz powiązał myśli starożytnych autorów z zasobem własnych wyobrażeń zupełnie mechanicznie, tak że wszędzie jeszcze rozpoznać można, co jest zabytkiem rzymskiej kultury, a co nowoczesnym wytworem. Nie sama to zresztą książka Castigliona nasuwa to spostrzeżenie, u innych współczesnych autorów widzimy to samo zjawisko. Istnieje np. rodzaj encyklopedyi zajęć ludzkich Garzoniego, o której jużśmy wspomnieli. Zawiodłby się jednak czytelnik, któryby chciał tam znaleźć charakterystykę ludzi współczesnych autorowi i poznać z niej społeczeństwo, które go otaczało. Garzoni utonął w przytaczaniu zdań starożytnych pisarzy, a jego, dajmy na to, lekarz jest medykiem, jakiego sobie wyobrażał Pliniusz lub Galenus, a nie takim, jaki żył w XVI wieku. Starożytna literatura do tego stopnia zawładnęła umysłami renesansowych literatów, tak dalece zabiła w nich własną indywidualność, że jak uczniowie wobec profesorów nie śmieli mieć własnego zdania, lecz sądzili, że najwyższym szczytem, do którego dojść można, jest naśladowanie dawnych pisarzy, przejęcie się ich ideami, ich sty-



lem, nawet ich błędami. Rzecz wielce charakterystyczna, że dla Castigliona Dante prawie nie istnieje, chociaż w tej mierze nie był nasz autor wyjątkiem, gdyż całe ówczesne społeczeństwo nie rozumiało i nie ceniło wielkiego mistrza florentyńskiego. Był on dla nich, jak ktoś powiedział, za ostrą, za pożywną potrawą; jeden nawet z literatów cinquecenta, Muzio, sądził, że »Dante jest wszystkim innym, tylko nie poetą«.

Napisawszy swą książkę, poprawiał i zmieniał ją Castiglione bez ustanku, a w kilka lat później dał do oceny rzymskim przyjaciółom, Bembie i Sadoletowi, którzy bardzo go usilnie zachęcali, aby rękopis jak najprędzej wydał. Ale autor jeszcze się wahał i na prośbę Wiktoryi Colonney, która w r. 1524 mieszkała w Marino, w pobliżu Rzymu, posłał jej dzieło swe do przeczytania. To pożyczenie rękopisu stało się dlań źródłem wielu zmartwień i niepokojów. Wybierając się do Hiszpanii, o czym później mówić będziemy, prosił Castiglione Colonneę, aby mu książkę zwróciła; ale markiza zamiast odesłać »Cortegiana«, napisała długi list do autora, w którym się tłumaczyła, że byłoby dla niej największą przykrością rozstać się z dziełem, które studjuje po raz wtóry, i właśnie w tem miłym zajęciu doszła do połowy; jak tylko wszakże skończy czytanie, zaraz rękopis zwróci, na wszelki sposób jeszcze przed wyjazdem autora w daleką podróż. Przypuszczając jednak, że ta odpowiedź będzie bardzo nieprzyjemną Castiglionowi, starała się markiza osłodzić ją rozmaitemi pochwałami. Utrzymuje w owym liście, że nigdy nie czytała dzieła prozą pisanego, któreby choć w przybliżeniu można porównać z pracą Castigliona. Pominąwszy ważny i nowy przedmiot, porywa autor pięknnością stylu, a czytelnikowi zdaje się, że wychodząc na stromy pagórek, skąd przepyszny widok, nie czuje zmęczenia, gdyż droga urozmaicona i wygodna. Jako najwyższą pochwałę dodaje Colonna, że sposób jego pisania da się porównać ze stylem najznakomitszych łacińskich autorów.

Markiza obsypała Castigliona grzecznosciami, ale książki nie oddała, a co gorsza, kazała większą część dzieła odpisać i pojechawszy do Neapolu, pożyczała i oryginału i kopii



różnym znajomym. Zdaje się, że kierowała nią w tej mierze próżność, aby się w towarzystwie mogła szczyścić, że posiada literackie nowości. Castiglione z rozpaczą dowiedział się w Hiszpanii o smutnych losach swego »Cortegiana«, co go tem bardziej bolało, że dzieło uważał za nieskończone, niedość wygładzone, pełne ustępów nieprzyzwoitych i dwuznacznych. Obawiał się zatem, aby rękopis bez jego wiedzy nie został wydrukowany, co się wówczas niejednokrotnie zdarzało. Wreszcie jednak, po kilku latach otrzymał swą pracę napowrót, ale tak był rozgoryczony na markizę, iż przez dłuższy czas zerwał z nią stosunki i do niej nie pisywał wcale.

Z Hiszpanii, z Valladolid, przesłał Castiglione rękopis do drukarni Alda w Wenecyi, a zarazem polecił tam swemu przyjacielowi, Krzysztofowi Tirabosco, aby się zajął staraniem wydaniem książki, która miała wyjść w tysiącu egzemplarzy, oprócz trzydziestu odbić in carta reale i jednego na pergaminie.

W ten sposób wyszło nareszcie w r. 1528 pierwsze wydanie »Cortegiana«, in folio, bez numerowania stronic, pięknym drukiem, pod tytułem »Il libro del Cortegiano del Conte Baldassare Castiglione«. Książka ta była często przedrukowywana, tak że celniejszych jej wydań Włochy liczą przeszło sześćdziesiąt. W r. 1533 Kurya rzymska zabroniła przedruku niektórych jej ustępów, ale później, w r. 1576 wyrobił sobie syn autora, Camillo, od kongregacyi Indeksu uchylenie tego zakazu. Zawdzięczał tę łaskę zasługom, jakie położył jako żołnierz około dobra Stolicy Apostolskiej. W roku 1584 znowu z polecenia Kongregacyi zajął się Monsignor Ciccarelli wydaniem »Cortegiana«, zastosowanego do wyobrażeń reakcyi kościelnej, a w ten sposób pokaleczone wydania ukazywały się aż do najnowszych czasów.

»Cortegiana« tłómaczono na wszystkie główne języki Europy, a nawet jakiś profesor w Oksfordzie przełożył go na język łaciński. Po polsku wyszedł »Dworzanin« w przeobrażeniu Łukasza Górnickiego w czterdzieści lat po wydrukowaniu oryginału, w Krakowie r. 1566; drugie wydanie ukazało się także w Krakowie r. 1639, trzecie w dwóch tomach



bez daty w Warszawie w XVIII wieku, a czwarte również w Warszawie w roku 1829. Z nowszych przedruków istnieje, o ile wiem, tylko wydanie Turowskiego.

»Dworzanin« Górnickiego bardzo się różni od oryginału, a mianowicie mnóstwo w nim opuszczeń. Sam pan Łukasz w przedmowie do dzieła gropa Balcera Kastygliona usprawiedliwia się, że wiele ustępów z oryginału nie przetłómaczył, »gdyż Kastyglion pisał Włochom, których obyczaje są od naszych daleko różne«, a »widząc, żeby to uszom polskim przyjemnem nie było, zaniechał nie tylko imion włoskich, ale włożył polskie«. I tak zaraz ustęp »z przodku około gier« nie uważał Górnicki za stosowne tłómaczyć, gdyż te gry byłyby dla nas niezrozumiałe, »a o Tarrantelli domowy Polak nic nie słyszał«. Wiele innych ustępów »włożyć w dyalog polski się nie godziło, bo ani Polki są tak uczone jako Włoszki, ani drugich rzeczy, które owdzie są, cierpiećby ich uszy mogły. Nuż o rozpuszcie co on pisze, iż tu zły zwyczaj do nas nie przyszedł, szkoda go też było wspominać. Zasię i de duello — i tego tak się włożyć nie godziło, bo około bitwy w szrankach wszystko inaczej u nas jest, niż we Włoszech«. O wyższości malarstwa i rzeźby, o muzyce pisać także się panu Łukaszowi potrzebnem nie zdawało, bo »u nas szlachta na skrzypicach, na piszczałkach nie grawa, a jeżeli kto gra, tedy barzo rzadko«. Zresztą poopuszczał Górnicki jeszcze wiele rzeczy, »któreby poczciwe uszy obrazić mogły«, a pomiędzy innemi wymyślenia Castigliona na mnichów, »bo teraz mają księża tak wiele prazniku, iż go przysparzać im najmniej nie trzeba«.

Castiglione napisał także wiele poezyi, po większej części po łacinie, mających za temat prawie wyłącznie miłość i uwielbianie kobiet. Współcześni wysoko go cenili jako poetę, a Paweł Giovio utrzymywał, że Baldassare przewyższył Propercyusza i łączy w sobie delikatność uczuć lirycznego poety ze »słodyczą« Wirgiliusza. Marc Antonio Flaminio zazdrościł Mantui, że wydała wielkiego Castigliona.



## VI.

Po nieudanej wyprawie, którą księżę Urbinu, Francesco Marya, urządził celem odebrania swych posiadłości, żył on prawie na wygnaniu w Goito w Mantuańskim. Wskutek tego Castiglione, nie mając dyplomatycznych zajęć, bawił u siebie na wsi, pisał i cieszył się dziećmi, miał bowiem syna i trzy córki. Śmierć jednak Franciszka Gonzagi wyrwała go z domowego ogniska. Markiz umarł w lutym r. 1519, nastąpił po nim na tronie Mantuy syn jego Federico, któremu na razie bardzo o to chodziło, aby Leon X zamianował go po ojcu generałem Kościoła i zachował w swej łasce. W tym celu wysłał Castigliona do Rzymu, jako oratora. Zadanie, które miał Baldassare przed sobą, było dość trudne, papież podejrzewał bowiem młodego Gonzagę, że sprzyja Francyi, podczas gdy Leon X wiązał się wtedy z cesarstwem.

Castiglione przybył 26 maja 1519 do Rzymu, a Leon X postąpił z nim według swego zwyczaju, obsypał grzecznemi słowami, ale nic nie obiecywał. Federico się niecierpliwił, pisał posłowi, aby jak najprędzej wracał do Mantuy, tak że Baldassare, nic nie osiągnąwszy, był już w listopadzie w domu.

Rzym nadzwyczaj mu miłe tym razem pozostawił wspomnienie; nasz dyplomata dużo przestawał z Rafałem, którego bardzo lubił i niejedną poddał mu myśl do fresków i obrazów. Rafael wymalował dwa jego portrety; jeden ów sławny, który się znajduje w Luwrze, drugi przechowany w bibliotece w Mantui, pomiędzy portretami wielu znakomitych Mantuańczyków. Ostatni jest mniejszej wartości, ale pierwszy malowany w r. 1515, kiedy Castiglione miał lat trzydzieści siedm, jest jednym z najbardziej udanych obrazów Rafaela. Mistrz wniknął w duszę swego przyjaciela i przedstawił go tak wiernie, iż z tego płótna można wyczytać charakter Castigliona. Przemawia tam do nas człowiek dobry, spokojny, szlachetny, ale bardzo różny od wielu wybitnych ludzi Odrodzenia, których znamy z innych malowideł. Brak mu energii, właściwej współczesnym osobistościom, brak tej chytrności w spojrzeniu, którą wyrabiały stosunki renesansowego



społeczeństwa. Widzimy przed sobą człowieka nie genialnego, ale bardzo zrównoważonego, o wysokiej kulturze. Castiglione uważał ten portret za tak wyborny, że bawiąc w Rzymie, posłał go swojej żonie, aby, patrząc na to malowidło, mniej za nim tęskniła. Poeta załączył wiersz łaciński pełen uczucia, w którym wkłada Hipolicie w usta wyrazy żalu z powodu nieobecności męża i słowa pociechy, że portret, zrobiony ręką Rafaela, zdoła rozwiązać jej troski. Obraz ten stanie się jej rozkoszą i weselem, będzie mogła mówić do niego i będzie się jej zdawało, że sam Baldassare daje serdeczną odpowiedź. Nawet dziecko pozna ojca w tem malowidle i będzie próbowało wymówić przed nim pierwsze swe wyrazy.

Portret ten ciekawe przechodził koleje. Gdy Castiglione wyjeżdżał do Hiszpanii, zabrał go ze sobą, a po śmierci właściciela przewieziono cenne płótno napowrót do Włoch, do zbiorów markiza mantuańskiego. W początkach XVII wieku stał się obraz własnością Karola I angielskiego, a po śmierci króla przeszedł do rąk jakiegoś Van Ussulena, który go zabrał do Holandji. Słynni mistrze holenderscy byli pod urokiem tego rafaelowskiego dzieła; Rubens je kopiował, ale ta kopia zaginęła. Rembrandt zrobił według oryginału pobieżny rysunek kredką; zacny Castiglione wygląda w nim jak włóczęga, któregooby się niechętnie spotkało na krańcach lasu. Rysunek ten znajduje się w wiedeńskiej Albertynie. Oryginał Rafaela sprzedali spadkobiercy owego Ussulena na licytacji 9 kwietnia 1639. Jakiś zamożny Holender, Sandrart, dawał za niego 3400 guldenów, ale Alfonso de Lopez, radca króla francuskiego, ofiarował o sto guldenów więcej i obraz stał się jego własnością. Z galerji Lopeza przeszedł nasz Castiglione na własność Mazarina, a od kardynała niedaleka mu była droga do zbiorów królewskich i do Luwru.

Mamy jeszcze jeden portret Castigliona, i to w całej postaci. Przypatrując się w stanzach watykańskich, w sali Konstantyna, dużemu freskowi Raffaelina del Colle, przedstawiającemu chrzest cesarza, spostrzegamy osobistość czarno ubraną, z brodą, obok której za słupem stoi Giulio Romano. Czarny dworzanin, wskazujący na odbywającą się czynność



wiekopomnego znaczenia, to Castiglione; poważny, zamyślony, nawet całą swą postacią zdradzający człowieka, któremu ze stanowiska towarzyskiego nic zarzucić nie można. Patrzącemu na ten portret mimowoli przypominają się słowa autora Cortegiana, że dworzanin powinien być dobrze ułożony, średniego wzrostu, ponieważ ludzie bardzo wysocy »rzadko kiedy celują w ćwiczeniach ciała i w pracach umysłowych«. Zapewne i tę uwagę co do stosunku wzrostu człowieka do jego zdolności musiał Castiglione wyczytać w jakimś starożytnym autorze.

Wracając jednak do zajęć dyplomatycznych Castigliona, to Federico Gonzaga niedługo dał mu odpoczywać w Mantui; wysłał go jeszcze w zimie r. 1520 ponownie do Rzymu, chcąc koniecznie otrzymać generalat Kościoła. Baltazar przybył tam siedemnastego lipca i zastał papieża lepiej usposobionego dla markiza, tak że miał nadzieję powyższy cel osiągnąć. Ale jemu osobiście wydawał się Rzym pusty, zmieniony, gdyż Rafael umarł siódmego kwietnia r. 1520. Pisał też z boleścią do matki, że wprawdzie zdrowie mu służy mimo gorąca, ale zdaje mu się, że nie jest w Rzymie, gdyż nie widzi swego biednego Urbinata. »Niech Bóg będzie miłościw jego duszy«, kończy Castiglione. Żal za przyjacielem wyraził poeta-dyplomata w wierszu zanadto wygładzonym, zanadto akademickim, »De morte Raphaelis pictoris«.

Ale czekał go jeszcze większy cios. Hipolita niespodziewanie, po krótkiej chorobie umarła, pozostawiwszy czworo małych dzieci, syna i trzy córki: Annę, Kamillę i Hipolitę. Przyjaciele myśleli, że śmierć ukochanej żony go złamie; ale spokojny Castiglione, umiejący miarkować nawet największe boleści serca, łatwiej zniósł ową ciężką próbę losu, aniżeli się spodziewać było można. Zwyciężył w nim rozsądek, zrównoważony dworzanin. Pod wpływem wielkiej straty pisał znowu wiersze, dwa epitafia poświęcił zmarłej, a w trzecim poemacie donosił o swem nieszczęściu lekarzowi i pocie mantuańskiemu, Baptyście Fiera. Castiglione posiadał miłość ludzką, więc mu zewsząd okazywano wiele współczucia; nawet Leon X w iście renesansowy sposób chciał mu świeżą ranę zagoić, polecając swemu skarbowi, aby mu wy-



płacano rocznie po dwieście skudów. Zapewne skończyło się na wypłaceniu pierwszej raty, gdyż papież wkrótce umarł. Markiza Izabella znalazła się mniej po bankiersku, napisała bowiem do Castigliona bardzo serdeczny list i posłała go do Rzymu umyślnym posłańcem; markiz zaś prosił Bibbienę, aby pocieszał przyjaciela w nieszczęściu. Sam Bibbienna wszakże już chorował i w kilka miesięcy, 9 listopada 1520, życie zakończył.

Ten rok 1520 był więc smutną epoką w życiu Castigliona, zato następny szczęśliwiej się rozpoczął. Starania Baltazara w Rzymie odniosły pożądany skutek: papież nadał markizowi generalat della Chiesa, cała Mantua obchodziła tę nominację uroczystościami i festynami, a Federico Gonzaga dziękował swemu posłowi za jego starania.

Zostawszy generałem armii papieskiej, musiał markiz udać się wkrótce do obozu, a nie mogąc osobiście pilnować swych interesów w Kurii rzymskiej, zamianował Castigliona stałym ambasadorem przy Stolicy Apostolskiej. Baltazar był wszakże, przynajmniej nominalnie, jeszcze w służbie Francesca Maryi della Rovere; sądził więc, że bez wyraźnego zezwolenia dawnego swego księcia nie wypadałoby mu posłować na dworze papieża, który Rovera państwa pozbawił. Udał się więc do księżnej Elżbiety, aby mu wyrobiła zupełne uwolnienie od służby w sposób, któryby nie uraził księcia. Prosił Elżbietę, aby zapewniła Rovera, że wszędzie i zawsze pozostanie mu wiernym i zachowa w swem sercu przywiązanie do tych, których się nauczył kochać w swej młodości. Rovere, ujęty tem szlachetnem postępowaniem, dał swe zezwolenie, aby Castiglione mógł posłować imieniem Gonzagów na dworze Leona X.

Baltazar był więc w Rzymie w owych ważnych chwilach, kiedy się rozpoczęła w Lombardyi wojna pomiędzy cesarzem i Hiszpanami z jednej, a Francuzami z drugiej strony. Leon X stał po stronie cesarskich, którzy po kilku pomyślnych potyczkach wkroczyli w listopadzie do Medyolanu. Wiadomość o tem doszła do Rzymu dwudziestego czwartego listopada, a papież tak był powodzeniem swych sprzymierzeńców uszczęśliwiony, że porównywał ową chwilę do



dnia, w którym został wybrany namiestnikiem Chrystusa. Bawił on wówczas w Maglianie, więc zaraz wrócił do Rzymu, gdzie mnóstwo ludzi i gromady dzieci z różdżkami oliwnymi w rękach wyszły na jego spotkanie. W kilka dni później, jak wiemy, umarł Leon X, a Castiglione był przekonany, że papież został otruty i donosił o tem swemu markizowi.

Nastąpił na Stolicy Apostolskiej Adryan VI; nim wszakże przybył do Rzymu, upłynęło kilka miesięcy. Tymczasem Rovere z pomocą księcia Ferrary najechał Urbino, zajął dawne swe posiadłości i zaczął układać się ze świętem Kollegium, aby mu zwrócono nieprawnie przez Leona X wydartą własność. W owej chwili Urbino należało do Kościoła. Lorenzo de' Medici umarł bowiem w maju r. 1519, a papież wcielił po jego śmierci księstwo do państwa Kościelnego.

Do porozumienia się z Kuryą upoważnił Rovere Castigliona, który wszelkich użył sprężyn, aby rzecz dobrze poprowadzić. Pozyskał sobie kilku kardynałów, pomiędzy nimi Giulia de' Medici, a przedewszystkiem starał się korzystnie dla Rovera usposobić Don Emanuela, ambasadora Karola V w Rzymie. Przyszło też dnia 18 lutego 1522 do układu pomiędzy świętem Kollegium a Franceskiem Maryą della Rovere, na mocy którego kardynałowie zobowiązali się popierać jego sprawę u papieża i skłonić Adryana do oddania Urbina księciu pod warunkiem, że Rovere będzie zawsze na usługach Kościoła i nie połączy się nigdy, ani jawnie, ani skrycie z jego nieprzyjaciółmi. Dla większej pewności, że tej umowy dotrzyma, pośle księżę w zakład swego syna Gwidobalda do markiza Gonzagi w Mantui, kapitana della Santa Chiesa. Adryan VI, przybywszy do Rzymu, układ ten potwierdził.

Castiglione pozostał aż do listopada r. 1522 w Rzymie, aby donosić Gonzadze o nowym papieżu. W lecie tego roku ciężkie przechodził chwile, gdyż właśnie wtedy srożyła się morowa zaraza w wiecznym mieście; nie opuścił jednak swego stanowiska i tylko przeniósł się na mieszkanie do zdrowszej części miasta, do Belwederu, aby się łatwiej ochronić przed chorobą.

Na chwilę zapanował w polityce półwyspu pewien zastój, gdyż Adryan VI zaczął się zajmować sprawami Ko-

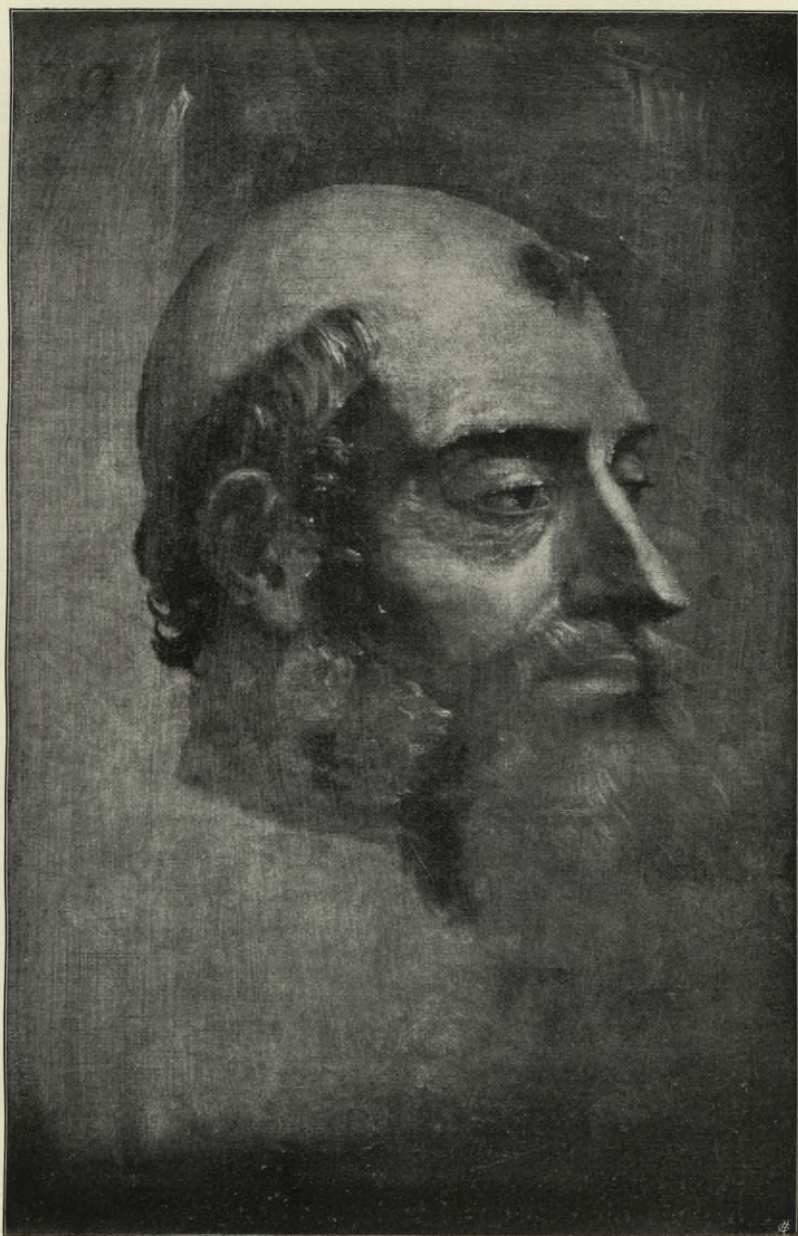












Fot. Anderson.

**Klemens VII.**

Według szkicu Sebastiana del Piombo w muzeum neapolitańskim.

Do str. 565.







ściola i unikał politycznych zatargów. Castiglione więc wrócił w listopadzie do Mantuy, aby ruchliwej Izabelli towarzyszyć w podróży do Padwy i do Wenecyi. Markizie chodziło o pozyskanie sobie doży, a że system jej prowadzenia intryg i układów był zawsze wesoły, więc zabrała ze sobą co najpiękniejsze donzelle i sporo dziarskiej młodzieży. Zyskała też sobie sympatyę starego doży, interesa musiały pójść pomysłnie, gdyż po niejakiem czasie Baldassare donosił markizowi, że Andrea Gritti okazywał wiele przyjaźni dla Gonzagów.

W Mantui przepędził Castiglione lato i początek jesieni r. 1523, a we wrześniu doszła go wiadomość, że znienawidzony papież Adryan VI umarł. Conclave trwało długo, aż pięćdziesiąt dni, a wyszedł z niego 19 listopada 1523 roku Giulio de' Medici, jako Klemens VII. Castiglione musiał się zaraz wybierać w drogę do Rzymu, aby imieniem Gonzagi złożyć życzenia nowemu papieżowi. Nasz dyplomata nie bardzo był pewny dobrego przyjęcia, gdyż po śmierci Adryana starał się przez przyjaciół, aby papieżem został obrany Zygmunt Gonzaga, który, chociaż bardzo rozwiozłych obyczajów, tak że go Aretino nazwał kardynałem Gomorą, zajmował przecież bardzo wpływowe stanowisko w świętem Kollegium i liczył się pomiędzy tych, którzy byli »i più papabili«. Obawy jednak Castigliona okazały się płonne; Klemens VII przyjął go bardzo łaskawie, na razie jednak nie chciał mówić o interesach i dopiero później zatwierdził Fryderyka Gonzagę jako dowódcę wojsk papieskich.

Castiglione pozostał w Rzymie; ale gdy w lecie zaraza znowu się wzmogła, prosił markiza, aby mu pozwolił powrócić do domu. Tymczasem zdarzyło się coś niespodziewanego. Papież, który znał Castigliona od dawna i cenił jego zdolności, postanowił wysłać go jako swego ambasadora na dwór Karola V i prosił Gonzagę, aby go odstąpił Kuryi rzymskiej. Castiglione musiał więc pozostać w stolicy, aby oczekiwać odpowiedzi markiza i zasięgać rozmaitych informacji co do przyszłego swego stanowiska, a pragnął bardzo, aby się z gorącego i malarycznego miasta wydobyć. Tęsknota do świeżego powietrza przebija się z jego listu do mantuańskiej markizy, w którym zazdrości jej, że może siadywać



w loggii swego »Paradiso« i patrzeć na jezioro. Westchnienia jednak nic nie pomogły, Baldassare mógł dopiero w listopadzie r. 1524 wrócić do Mantuy, gdzie go Izabella z upragnieniem oczekiwała. Miała bowiem do niego zawsze więcej interesów, aniżeli sam markiz; chodziło jej to o zakupienie jakiegoś dzieła sztuki, to o sprowadzenie z Rzymu artysty, któryby malował freski w jej pałacach. Tym razem przywiózł Castiglione ze sobą Giulia Romana, który już wówczas był głośnym malarzem i obiecał ozdobić swym bujnym pędzlem niemal całą Mantuę. Także rysunek do budowy pałacu z wielkim ogrodem znajdował się w podróźnej tece Baltaзара, kompozycyja ni mniej ni więcej tylko Michała Anioła. Felice da Sora, wielki znawca sztuki, widział te plany, a donosząc o nich księciu Urbinu, wyraził się, że to rzecz prześliczna, a budowa genialnego pomysłu. Markiza chciała wybudować ten pałac w Marmiolo kosztem 20.000 dukatów i dawać tam przedstawienia teatralne. Było to jedyne dzieło, które markiza mimo długoletnich starań otrzymała od Michała Anioła, a zawdzięczała je jedynie Castiglioniowi; gdy bowiem później, w roku 1527, chciała za pośrednictwem Giovanniego Borromeusza zakupić jaką pracę mistrza, spotkała się z odmową rzeźbiarza dziwaka. Izabella zdobyła jedynie słynnego Kupidyna Michała Anioła, jednak nie wprost od mistrza, lecz z Urbino.

## VII.

Castiglione otrzymał swą misję w bardzo ważnej chwili; niebawem miało się rozstrzygnąć, czyja przemoc będzie ciężła nad Włochami, kto wyjdzie zwycięzcą z tego groźnego dla półwyspu współzawodnictwa: Karol V, czy Franciszek I. Ostatni uległ pod Pawią, a pomiędzy Karolem V a Klemensem VII rozpoczęła się gra polityczna, z której papież wychodził zawsze pokonany.

Klemens był to człowiek rozumny, poważny, pragnący dobra Kościoła, ale charakter słaby, ubezwładniony ciąglem wahaniem. Stał on o wiele wyżej od Leona X, ale w tej



mierze był do niego podobnym, że nigdy nie umiał powziąć silnego postanowienia. Do tej chwiejności w działaniu papieża przyczyniało się jeszcze otoczenie, a mianowicie dwóch znakomitych prałatów, z których każdy miał inne cele na oku. Jeden z nich, Matteo Giberti, człowiek wielkich zdolności, ale zbyt giętkiego charakteru, któregośmy już poznali, mówiąc o jego stosunku do Aretina, piastował godność dataryusza i należał do najbliższych doradców Klemensa. Był on gorącym stronnikiem Francyi, miał wielki wpływ na papieża, osobiwie w rzeczach dotyczących się administracyi Kościoła Klemens mu zupełnie zaufał. Gdy jednak chodziło o sprawy polityczne, papież wprawdzie zasięgał jego zdania, ale radził się jeszcze drugiego swego powiernika, którym był fra Niccolo Schomberg, biskup kapuański, Niemiec, gorliwy stronnik cesarski. Schomberg, mnich głębokich przekonań, śmiały, namiętny, gotów życie oddać za Karola V, nie mieszał się do spraw kościelnych, ale w polityce chciał mieć wpływ przeważny. Pomiedzy radami tych dwóch książąt Kościoła wahał się ciągle papież i nigdy nie można było przewidzieć, kiedy się będzie bardziej skłaniał ku Francyi, a kiedy ku cesarzowi. Do tej niepewności papieskich postanowień przyczyniał się jeszcze trzeci doradca, Castiglione, najbardziej usposobieniem do Klemensa VII zbliżony, gdyż równie jak papież mało stanowczy, przejmował się prądami opinii ludzi, z którymi miał do czynienia. Wyjechawszy z Rzymu, nie mógł wprawdzie mieć bezpośredniego wpływu na Klemensa VII, ale jego listy i sprawozdania ważyły bardzo na papieskiej polityce, gdyż pochodziły od posła, znajdującego się na dworze najpotężniejszego wówczas monarchy.

W chwili, kiedy Castiglione wstępował do służby papieskiej, zawarł był Klemens VII potajemnie przymierze z Franciszkiem I w listopadzie roku 1524, za pośrednictwem Gibertego. W grudniu wyjeżdżał Baldassare z Mantuy do Hiszpanii, a pomimo francuskiego przymierza miał polecenie, aby się starał ująć cesarza i utorować jak najlepsze stosunki pomiędzy Karolem V a papieżem. Klemens VII dodał posłowi świetne otoczenie i polecił mu, aby przejeżdżając przez



Lombardję, wstąpił w Medyolanie do wicekróla hiszpańskiego Lannoy, przedłożył mu breve uwierzytelniające jego poselstwo, zapewnił o najlepszych chęciach papieża dla cesarza, a następnie udał się do Franciszka I. Poufnie zaś miał się Castiglione dowiedzieć o siłach Hiszpanów i Francuzów, aby się papież wcześniej mógł zbliżyć do tego z monarchów, który będzie mocniejszy.

Gdy jednak Castiglione przybył do Medyolanu, całe miasto było już w posiadaniu Francuzów i tylko w castello bronili się jeszcze Hiszpanie. Wicekról także Medyolan opuścił, przeszedł Pad ze swoim wojskiem i stanął w Monticelli. Papieski poseł pojechał więc za nim, przedstawił mu się w Monticelli i usłyszał z jego ust zapewnienie, że cesarz jest przekonany, iż papież zachowa się wobec niego »jako dobry ojciec«. Czy wicekról wierzył wówczas w to, co mówił, wątpić się godzi, albowiem musiał już wiedzieć, że papież zawarł tajne przymierze z nieprzyjacielem cesarza, Franciszkiem I. Wybadawszy siły Hiszpanów, wrócił Castiglione, stosownie do swej dwulicowej roli, jaką mu kazano odgrywać, do Medyolanu, aby się widzieć z wodzem francuskim de La Tremouille, którego Franciszek I tam pozostawił, aby zdobył castello. Tremouille przyjął posła papieskiego, jako sprzymierzoną osobistość z wielkimi honorami, ale zapewne radził mu widzieć się z królem, gdyż Castiglione udał się stamtąd do obozu pod Pawią, gdzie zastał Franciszka I. Poseł starał się wytlómaczyć królowi, że jego misya do cesarza nie ma żadnego szczególnego celu, któryby się sprzeciwiał przymierzu, zawartemu pomiędzy papieżem a królem, że wszystkie kroki, które Klemens VII przedsięwzię albo przedsiębrać zamierza, zdążają tylko do utrzymania pokoju w całym chrześcijaństwie. Zapewniał zresztą Franciszka I, że papież ufa we wspaniałomyślność jego charakteru i w jego materyalną potęgę. Na te grzeczności odpowiedział król także bardzo uprzejmie, iż ma przekonanie że wszystko, co papież czyni, czyni w najlepszych zamiarach, i upoważnił swego posła do oświadczenia w Rzymie, że Klemens VII nie ma lepszego syna nad króla Francyi. Nawzajem Franciszek I ufa, że Jego Świątobliwość będzie dla niego równie dobrym ojcem i że



mu dopomoże do odebrania tego, co mu się prawnie należy, to jest Medyolanu. Następnie starał się król wyłożyć Castiglioniowi powody, które go skłaniają do prowadzenia wojny z cesarzem, i zapewniał, że opinia, jakoby on zakłócił spokój chrześcijaństwa, jest nieuzasadnioną. Wierzy on, że jego dobra sprawa zwycięży, chwilowo tylko walczy z wielkim brakiem pieniędzy i w tej mierze mógłby mu papież bardzo być pomocnym.

O tej rozmowie zdał Castiglione sprawę papieżowi w liście adresowanym do Gibertego, dodając, że Francuzi nie znajdują się w tak świetnem położeniu, jak sobie król przedstawia, że bardziej się boją cesarskich, aniżeli to dają poznać po sobie, i że brak pieniędzy zmusza ich do wyciskania ostatniego grosza z medyolańskiej ludności.

Wytlómaczywszy Franciszkowi I powody, dla których go papież posyła na dwór cesarski, ruszył Castiglione w drogę na Francję do Hiszpanii. Zabrał ze sobą wszystko, co miał najcenniejszego, a pomiędzy innemi portret Bibbieny, pędzla Rafaela. W Lyonie odpoczął i zastał tam całe miasto w radości i festynach, gdyż nadeszła wiadomość, że papież przystąpił do ligi z Francuzami i Wenecją. Szczegółów tego przymierza jeszcze nie znano, ale mimo to urządzano już dziewczynne procesye i muzyki przeciągały ulicami. Jeden może Castiglione wiedział, ile te przymierza Klemensa VII są warte, wszak jechał do Karola V, aby go dla papieża pozyskać. Wielkie gościńce nie prowadziły wówczas tak prosto jak dzisiaj, Baldassare musiał jechać na Barcelonę i Saragossę do Madrytu, gdzie go cesarz, otoczony znakomitemi osobistościami, przyjął z wielkimi honorami. Odtąd już nie odstępował Castiglione cesarza i znajdował się pomiędzy dworzanami, gdziekolwiek Karol V wyruszył. W ten sposób towarzyszył monarsze na wiosnę roku 1525 do Toledo, a w roku 1526 do Granady i Sewilli, w wolnych zaś chwilach pisywał do przyjaciół we Włoszech, a przede wszystkim do mantuańskiej markizy. W Toledo pomimo gorąca, w dniu 20 lipca, widocznie w dobrem był usposobieniu, gdyż żartował w liście z chęci Izabelli zwiedzania obcych krajów, tej namiętności, właściwej wszystkim Estom, a pochodzącej zapewne stąd, że któryś



z przodków tego rodu rzucił na swych potomków klątwę skazującą ich na wieczną włóczęgę, »maledicione della vagabondaria«. Przypominał jej, że kiedyś miała zamiar pielgrzymować do ś. Jakóba w Kompostelli i że teraz, skoro on jest w Hiszpanii, byłaby dobra sposobność odbycia tej podróży. Pomimo uroku, jaki wywierała nań Hiszpania, myśli jego błdziły po Mantui, a osobliwie mile sobie przypominał ową Brognę, damigellę markizy, która bałamuciła starych i młodych dyplomatów i kardynałów. Ponieważ właśnie wtedy, kiedy Castiglione list ten pisał, Izabella ze swojemi pannami wróciła z Rzymu i z Florencyi, więc nasz ambasador dodaje, że Brogna musi być tego przekonania, że daleko skuteczniejszym jest odpuśczenie grzechów w Santa Croce we Florencyi, aniżeli u jakiegoś tam św. Jakóba w Mantui.

W Granadzie otrzymał Karol V wiadomość o szczęśliwej dla niego bitwie pod Pawią i jak Castiglione zauważył, udał się natychmiast do swojej komnaty, aby podziękować Bogu za zwycięstwo i ślubować, że teraz całej swej potęgi użyje wyłącznie przeciw niewiernym. Ten pan świata okazywał więcej skromności, aniżeli otaczający go dworzanie.

W Rzymie wywarła klęska sprzymierzonego z papieżem Franciszka I wielki niepokój; Klemens VII obawiał się gniewu zwycięzcy, jak najrychlej więc zawarł nowy układ z wicekrólem hiszpańskim, Lannoy, a następnie wysłał kardynała Salviatego do Hiszpanii, aby wspólnie z Castiglionem starali się u cesarza o zatwierdzenie tej umowy. Tymczasem zaś polecił Castiglionowi, aby przedłożył cesarzowi memoriał, w którym papież przesyła Karolowi V życzenia z powodu zwycięstwa nad Francuzami i tłumaczy się z życzliwości, jaką w ostatnich czasach okazywał Franciszkowi I. W końcu zachęca cesarza do przedsięwzięcia wyprawy przeciw niewiernym, »ponieważ biedne Włochy, nawiedzone tyloma klęskami, drżą na myśl, że mogą się stać łupem Turków«.

Na pismo to odpowiedział cesarz zwykłemi grzecznościami, dodając ogólnikowe życzenie, aby Bóg mu pozwolił wspólnie z papieżem zniszczyć turecką potęgę.

Castiglione zostawał pod urokiem cesarza, a niemal w każdym liście, pisanym z Hiszpanii, przebija się owa cześć, prze-



chodząca w prawdziwe uwielbienie. Zdawało mu się, że w Karolu V powstał z grobu jego ulubiony Guidobaldo, podniesiony do jakiejś nadzwyczajnej potęgi. Papieżowi donosił, że stojąc teraz blisko cesarza i śledząc jego postępowanie, uważa go za zasługującego na zupełne zaufanie i jedynie przymierze z nim może zapewnić zupełne bezpieczeństwo Kościołowi. Karol V, rosnąc w potęgę, rośnie także w łagodność, dobroć i ludzkość, a im większe jego siły, tem większe korzyści spłyną na chrześcijaństwo. To też gdy papież pomimo uwięzienia Franciszka I był skłonny do zawarcia przymierza z Francją i włoskimi książętami, Castiglione ostrzegał, że należy działać otwarcie i stanowczo się łączyć z Karolem V. Sądził, że cesarz nie ma zamiaru opanowania księstwa medyolańskiego i dodawał, że niejednokrotnie słyszał z jego ust to zapewnienie. Ambasador zwracał uwagę Klemensa VII na niebezpieczeństwo, jakie może wyniknąć z innych politycznych związków, gdy bowiem cesarz straci wiarę w przymierze z papieżem, gotów się porozumieć z Francuzami na szkodę Włoch. Jeden ze swych listów, pisany 28 grudnia 1525 z Toledo do papieża, kończy przestroga, »że bez związku z cesarzem nie widzi ani powszechnego pokoju w chrześcijaństwie, ani możliwości wyprawy przeciw niewiernym«.

Kiedy więc po uwolnieniu Franciszka I z więzienia Klemens VII stanowczo się z nim połączył i z Wenecyanami przeciw Hiszpanii, przerażony Castiglione żali się z tego powodu przed cesarsko usposobionym arcybiskupem z Kapuy. Narzekał w liście z 13 maja 1526, datowanym z Sewilli, że z połączenia się papieża z Francją musi wyniknąć wojna, której pragnie król Franciszek I, aby się zemścić na swym przeciwniku, a jakkolwiek będzie wynik walki, zawsze papieństwo szkodę poniesie, gdyż na Franciszka I, choćby był panem świata i sprzymierzeńcem Klemensa VII, nigdy liczyć nie można. Franciszek nie zapomni papieżowi związku z Karolem V. »Jeżeli nie jestem najgłupszym człowiekiem świata«, »s'io non sono il più ignorante uomo del mondo«, kończy Castiglione, to muszę mieć przekonanie, że cesarz ma najlepsze chęci wobec Ojca świętego. Optymizm unosił za daleko zacnego ambasadora.



Papież szedł innemi drogami, zawarł ligę w Cognac; sprzymierzeńcy zaprosili wprawdzie cesarza, aby do niej przystąpił, ale Karol V się na to nie zgodził, wiedząc, że ligę zawarto przeciw niemu i że owo zaproszenie jest tylko formalnością, mającą go uspokoić. Papież jednak chciał dać swemu działaniu pozory szczerości i polecił Castiglionowi, aby osobiście jeszcze przedstawił cesarzowi powyższe życzenie. Baldassare miał u Karola posłuchanie w sierpniu roku 1526, prosząc go raz jeszcze o przystąpienie do ligi, w której będzie głową, najważniejszym czynnikiem. Cesarz stanowczo jednak odmówił wzięcia udziału w tej robocie, która mu się zdaje być wymierzoną na jego szkodę i wyraził posłowi swe oburzenie z powodu breve papieża, które dopiero co otrzymał. Klemens VII wyrzucał w tem piśmie Karolowi V, że swemi wojnami mąci pokój w chrześcijaństwie. Breve pisane było jeszcze 23 czerwca 1526, a tymczasem widocznie Klemens VII żałując, że je wydał, kazał zredagować inne, łagodniejsze i wysłał je do Castigliona z poleceniem, aby pierwszego pisma cesarzowi nie oddawał. Breve to jednak nadeszło za późno, Castiglione pierwszy list już cesarzowi doręczył, a skutek tego pośpiechu był najgorszy.

Karol V kazał wysłać 17 września list z odpowiedzią na pismo papieskie, w którym tłumacząc się z zarzutów czynionych mu w Rzymie, dowodził, że nie on, lecz Klemens VII daje powód do wojny, gdyż nie dotrzymuje układów. Cesarz życzy sobie zatem, aby zostało zwołane generalne koncylium, któreby osądziło ich czynności i orzekło, po której stronie jest słusność.

Żądanie zwołania soboru było rodzajem groźby wobec papieża, cesarz bowiem wiedział, że Klemens VII obawia się takiego zgromadzenia i że przystałby na nie tylko pod twardym przymusem. Ażeby więc tę groźbę złagodzić, zawołał Karol V do siebie Castigliona i oświadczył mu, że w takim tylko razie obstawalby przy myśli zwołania koncylium, gdyby papież otwarcie nie chciał przyznać, że cesarz nie jest winien wojen nękających chrześcijańskie kraje. Cesarz dodał także, że zarzutu, zrobionego mu przez papieża, nie może znieść jako chrześcijański monarcha i że jego ministrowie uważali także



za konieczne, aby na bullę papieską dać stanowczą odpowiedź. Zresztą zapewniał Karol V, że jak najszczerzej dąży do pojednania się z Klemensem VII i do ustalenia powszechnego pokoju. Castiglione, człowiek zanadto na dyplomacie rzetelny, nie przypuszczający nieprawdziwych słów z ust takiego, jak Karol V monarchy, najzupełniej wierzył w nie i donosił o tem do Rzymu, zapewniając, że cesarz okazuje się zawsze szczerym w postępowaniu i dobrym chrześcijaninem, »a gdyby pod tymi pozorami krył się fałsz, to Bóg nie cierpiałby takiego człowieka na powierzchni ziemi«.

Ponieważ odpowiedź cesarska zdawała się Castiglionowi za ostrą, więc zwrócił na to uwagę Karola V, prosząc go, aby innem pismem zatarł przykre wrażenie, jakie bezwątpienia sprawią jego słowa w Kuryi Apostolskiej. Cesarz też, chcąc zrzucić z siebie podejrzenie, jakoby dążył do wojny, napisał do papieża list rzecz łagodzący, w którym zapewniał Klemensa VII, że nie miał zamiaru go urazić i że szczerem jest jego staraniem zostać zawsze powolnym synem Kościoła.

Tymczasem w Rzymie jenerałowie i sprzymierzeńcy cesarscy przemawiali inaczej. Kardynał Pompeo Colonna, wierny stronnik cesarstwa, w porozumieniu z postem hiszpańskim, Don Ugiem di Moncada, napadł na Rzym i zmusił papieża, który się zamknął w Castel Sant' Angelo, do przyjęcia warunków, podyktowanych przez Hiszpana.

Gdy wiadomość o tem doszła do Madrytu, Castiglione nie chciał zrazu wierzyć w rzymskie wypadki; udał się do cesarza, aby mu rzecz przedstawić, ale Karol V zapewniał, że wszystko, co się stało, stało się wbrew jego woli i że bardzo z tego jest niezadowolony. Castiglione i teraz jeszcze wierzył w słowa cesarza, pomimo że zamach Colonna na Rzym był ułożony pomiędzy rządem hiszpańskim a Moncadą.

Napad, poparty przez Hiszpanów, miał być wszakże tylko przestrogą dla papieża, aby się szczerze oddał w ręce cesarskie, a Karol V nie chciał jeszcze tym razem posuwać rzeczy do ostateczności. Posłał więc do Rzymu swego oratora, Cezara Feramoskę, z poleceniem, aby przed papieżem wytłómaczył postępowanie Don Uga, zatwierdził zawarty



przez niego układ i prosił, aby Klemens VII wykonał swój zamiar przyjazdu do Hiszpanii celem porozumienia się z cesarzem w sprawie tak upragnionego powszechnego pokoju. Równocześnie napisał i Castiglione do Rzymu, starając się odeprzeć te wątpliwości, które wstrzymywały papieża od hiszpańskiej podróży. Z jego listu wszakże wynika, że dyplomata nie był już tak pewny dobrej wiary Karola V, jak dawniej, dodał bowiem, że »wprawdzie bardzo trudno przejrzeć duszę i tajemnice serca ludzkiego, jednak tym razem może zapewnić papieża, że cesarz niczego więcej nie pragnie, jak działać zgodnie ze Stolicą Apostolską ze względu na dobro religii, które ma zawsze w pamięci«.

Jeszcze i tym razem, w chwili bardzo stanowczej, nie przejrzał Castiglione »tajemnic serca« Karola V, gdyż nie wiedział o przygotowaniach wyprawy hiszpańsko-niemieckiej na Rzym pod wodzą Burbona i dopiero gdy nadeszła wiadomość o uwięzieniu papieża i strasznym spustoszeniu wiecznego miasta, dopiero wtedy ocknął się dyplomata, przekonał się, że grzeszył zbytnią ufnością do ludzi i tem samem wpadł w ten największy błąd, jaki mąż stanu popełnić może. Klemens VII bardzo był rozżalony na Castigliona, że go nie ostrzegł o złych zamiarach cesarza, a całe otoczenie papieża oburzało się na nieoględnego posła i składało na niego winę rzymskiej katastrofy. Baltazar też w liście z Burgos, z dnia 10 grudnia 1527, pokornie tłumaczył się papieżowi, że udając się do Hiszpanii, zwracał jego uwagę, iż nie czuje się dość wprawnym dyplomata, aby godnie mógł odpowiedzieć tak trudnemu stanowisku, jakim jest poselstwo przy cesarskim dworze. Jeżeli więc zawinił, to chyba brakiem zdolności i prosi papieża o przebaczenie.

Nie ufając już Castiglionowi, chciał uwięziony papież posłać do Madrytu legata, któryby starał się o zawarcie jakiegoś układu, zapewniającego pokój pomiędzy cesarzem a Stolicą Apostolską. W tym celu przeznaczył najprzód kardynała Aleksandra Farnese, a następnie Salviatego; ale ani jeden ani drugi nie chciał przyjąć na siebie tego obowiązku i w tak trudnych okolicznościach udać się na dwór cesarski. Nie pozostawało więc nic innego, jak upoważnić w tym celu



Castigliona. Zadanie posła było bardzo trudne, pomimo że i sam cesarz pragnął porozumienia. Karol V chciał wprawdzie złamać dumę papieża i ukarać go za dwulicowość, którą okazywał zawsze w dyplomatycznych stosunkach, ale mimo to nie życzył sobie zrywać z nim zupełnie, zwłaszcza że chodziło mu także o zrzucenie ze siebie odpowiedzialności za straszne spustoszenie Rzymu przez jego wojska. Castiglione doprowadził do układu, który Karol V podyktował, papież został uwolniony z więzienia w zamku św. Anioła i na razie stosunki pomiędzy cesarzem a Stolicą Apostolską weszły na zwykłe tory. W uznaniu zasług Castigliona nadał mu cesarz dochody z biskupstwa w Avila, które poseł przyjął.

Sacco di Roma ciążyło jednak na Karolu V, potrzebował on usprawiedliwienia się wobec opinii całej Europy. Obrony tej podjął się sekretarz kancelarii cesarskiej, Alfonso di Valdes, człowiek bardzo zdolny, ale wówczas już skryty stronnik Reformacji. Valdes, jak wielu innych, uważał klęski, jakie spadły na Rzym, za słuszną karę Bożą, wystąpił przeciw zepsuciu dworu papieskiego i wszystkie swe zarzuty ubrał zręcznie w dyalog następującej treści: Młody rycerz z cesarskiego dworu, Lattanzio, spotyka na piazza di Valladolid archidyakona, który po Sacco di Roma wrócił w ubiorze żołnierskim. Obydwa wstępują do S. Francesco i zaczynają rozprawiać o tem, co się stało w Rzymie. Najprzód dowodzi Lattanzio archidyakonowi, że cesarz wobec tych wypadków niczem nie zawinił; następnie chce go przekonać, że Bóg dopuścił owe klęski dla wspólnego dobra chrześcijaństwa, gdyż sacco jest słuszną karą za zepsucie i chciwość papieża, kardynałów i całego duchowieństwa rzymskiego.

Gdy Castiglione dowiedział się przez znajomych, że Valdes taką broszurę napisał i że ją zamysła drukiem ogłosić, posłał do niego swego sekretarza M. Gabriela, aby go ostrzedz, że nie pozwoli na to, aby takie pismo, pełne oszczerstw na papieża, zostało bezkarnie ogłoszone i zagroził autorowi, że go oskarży przed cesarzem. Valdes nie wiele zrazu zważał na tę przestrożę, kiedy się jednak przekonał, że Castiglione rzeczywiście zamierza rzecz przedstawić cesarzowi, napisał do ambasadora papieskiego list, w któ-



rzym oświadcza, że chcąc bronić swego przekonania, iż cesarz nie jest winien rzymskiej klęski, nie mógł nie podnieść błędów, które papież popełnił. Gdyby jednak Castiglione chciał utrzymywać, że w tym dyalogu znajdują się ustępy przeciwne religii chrześcijańskiej, gotów jest każdej chwili dowieść tego, co napisał. Zresztą czytał swoją rozprawę kanclerzowi Don Emanuelowi i wielu teologom uniwersytetu Alcala, a wszyscy radzili mu, aby ją drukował.

Castiglione odpowiedział na list ten w sposób gwałtowny i wcale nie dyplomatyczny, że tłumaczenia się Valdesa nie może uznać za dostateczne i jest przekonany, że autor nie śmiałby powtórzyć cesarzowi tego, co w broszurze było zawarte. »Nie możecie się dziwić, dodał, że nie mogłem pisać bez goryczy i bez żalu, ponieważ zdaje mi się rzeczą nie do przebaczenia, aby tak nędzny robak, jakim wy jesteście, miał tyle w sobie żółci, iżby chciał unicestwić wszystkie zabiegi i starania tych, którzy chcą doprowadzić do pokoju pomiędzy chrześcijańskimi monarchiami«. Groził mu wreszcie, że skoro tak ochoczo gotów jest iść do kościoła św. Bonita i tam bronić swych religijnych przekonań, to się doczeka, iż święty Bonito pierwszy przyjdzie do niego i bezbożnika życia pozbawi. Castiglione miał na myśli inkwizycję i stos, gdyż w Hiszpanii nazywano świętym Bonitem także ów płaszcz z wymalowanymi dyabłami i płomieniami, który skazani na spalenie musieli przywdziewać.

I rzeczywiście, ponieważ Valdes nie posłuchał ostrzeżeń i dyalog swój podał do druku, Castiglione oskarżył go przed cesarzem i przed Inkwizycją. Valdes zaś, nie chcąc się narażać na sąd inkwizytorów, uciekł z Hiszpanii do Neapolu, gdzie się połączył z Ochinem i innymi religijnymi nowatorami i doszedł do ogromnego wpływu. Castiglione namiętnem swem wystąpieniem złą wyrządził przysługę Kościołowi, gdyż broszura sekretarza cesarskiego została mimo to ogłoszoną, a Valdes poruszył swą wymową prawie cały Neapol przeciw Rzymowi.

Kampania ta była ostatnią czynnością dyplomatyczną Castigliona. Widać w niej już chorobliwe rozgoryczenie człowieka, którego obwiniano o przyczynienie się do strasznej



rzymskiej katastrofy. Był on rzeczywiście chory, w początkach roku 1529 bardzo mu się pogorszyło i siódmego lutego umarł w Toledo.

Cesarz kazał mu sprawić wspaniały pogrzeb, a najznakomitsze osobistości hiszpańskiego dworu brały udział w nabożeństwie w kościele św. Ildefonsa, gdzie ciało tymczasowo zostało złożone. Na życzenie wszakże matki, która Castigliona przeżyła, przewieziono zwłoki po kilku miesiącach do Mantuy i pochowano w kościele Madonna delle Grazie w pobliżu miasta. Siostrzeniec zmarłego, Ludwik Strozzi, pojechał do Hiszpanii, aby zwłoki sprowadzić i cesarzowi podziękować za łaski, które jego wujowi wyświadczał. Wtedy to miał Karol V powiedzieć: »Io vos digo, que es muerto uno de los maiores caballeros de mundo«, co zupełnie było prawdą.

Matka zmarłego kazała mu postawić mauzoleum w Madonna delle Grazie, do którego rysunek dał Giulio Romano, a Bembo ułożył napis.

Baltazar pozostawił syna Camilla, który obrał sobie zawód wojskowy, przepędził siedmnaście lat w służbie Karola V, walczył w Niemczech i we Flandryi pod Ferrantem Gonzagą, w Piemontcie pod markizem del Vasto i odznaczył się w bitwie pod Cerisoles. Następnie był posłem księcia mantuańskiego przy papieżu Juliuszu III i brał udział w walkach przeciw Farnesym. Mianowany w roku 1582 naczelnym wodzem wojska mantuańskiego i gubernatorem margrabstwa Monferratu, umarł w r. 1598. Z małżeństwa swego z Katarzyną di Bernardino Mandelli z Piacenzy miał troje dzieci, których potomkowie żyją do dziś dnia.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

---

### ŚWIATŁA I CIENIE.

Staraliśmy się wykazać, że organizacja państwowa i społeczna Włoch w XV stuleciu i w pierwszych dziesiątkach XVI wieku zmuszała papieństwo wzorować swe rządy na modłę ówczesnych tyranii, gdyż inaczej nie byłoby w możności utrzymać ani swej niezawisłości ani wolności działania. Całe Włochy składały się z samych państwerek despotycznych: Medyolan należał do Sforzów, Florencją rządzili samowładnie Medyceusze, w Bolonii, w Ferrarze, w Perugii i w każdej niemal mieścinie Romanii, w każdym zamku siedział tyran wojujący, czem mógł: mieczem, sztyletem i trucizną. Papieże nie mieli innego wyboru, jak zostać świeckimi monarchami. Takimi byli już Marcin V, Mikołaj V, Kalikst III Borgia; ich śladami poszli Pius II, Paweł II i inni. Z postępem rozwoju życia narodowego na Północy, we Francyi, w Anglii i w Niemczech coraz bardziej upadały dwie wielki potęgi świata zachodniego, potęga mistyczna papieża i świecka cesarza. Narody zamykały się w ściślejszych granicach, których przekraczać nie pozwalały. Władza papieża więc i z tego względu coraz bardziej była ograniczoną do Włoch środkowych, a królowie Europy coraz więcej uważali



papieża za obcego monarchę, a najczęściej za nieprzyjaciela. Apostolstwo namiestnika Chrystusa zaczynało niknąć za papieską milicją i za armatami Juliusza II.

Inaczej wszakże być nie mogło. Podobnie jak dzisiaj nie ostoi się państwo despotyczne w sąsiedztwie państw konstytucyjnych, tak samo i wówczas nie było miejsca na inny ustrój, jak tyrański, a tylko od osobistości na czele stojącej zależało, o ile rządy były mniej lub więcej twarde. Konieczność ta tak dalece wynikała ze stosunków, że nawet Savonarola, który chciał przecież uszczęśliwić ludność florentyńską i wymyślić jakieś państwo idealne, państwo Chrystusa, zorganizował ostatecznie także autokrację, różniącą się tylko tem od innych, że władzę piastował nie jakiś Sforza albo Baglioni, lecz przeor Dominikanin. Przemieniwszy się w państwo świeckie, przyjęło papieństwo te same formy rządów, które wówczas były znane, i wpadło w te same błędy, które ciążyły na innych organizmach państwowych. Różnica pomiędzy rządami papieskimi a innymi tyraniami wyrobiła się tylko wskutek dwóch czynników, a mianowicie braku dziedzicznego rodu panującego i wskutek powstania nepotyzmu, który, przynajmniej w początkach, miał pewne usprawiedliwienie. Drugi z tych czynników neutralizował pierwszy, bo chociaż papież nie mógł wyznaczać swego następcy, to przecież najczęściej dbał więcej o swą rodzinę, niż o dobro państwa. W gruncie rzeczy był nepotyzm gorszym od dynastycznego następstwa, gdyż ród, który ma prawo do panowania, broni całości państwa i nie rad zrażać sobie poddanych, podczas gdy nepotom chodziło tylko o wzbogacenie się bez względu na dobro papieństwa.

Nepotyzm stał się więc rakiem, który toczył państwo papieskie i pociągał to za sobą, że interesa Kościoła schodziły najczęściej na drugi plan, a sprawy rodziny papieskiej zawsze górowały. Takiego panującego, jak Juliusz II, który poświęcał nieraz własnych krewnych dla państwa, drugiego nie było. Dopóki istniał nepotyzm, dopóty o zupełnej poprawie rzymskich stosunków mowy być nie mogło; dlatego też reforma Kościoła wyszła później z dołu, a nie z góry. W Rzymie dużo mówiono o reformie, ale nigdy się do niej



szczerze nie zabierano, i dopiero stosunki zewnętrzne i wogóle opinia powszechna katolickiego świata zmusiły Kuryę do poświęcenia się tylko dla dobra Kościoła. Papieże renesansowi walczyli zawsze przeciw soborom, obawiali się bowiem ograniczenia swej władzy. Gdy na jednym z posiedzeń konsystorza papież Paweł IV Caraffa zaczął z powodu jakiegoś szczególnego zajścia gniewnie wołać: »Reform, reform Kościołowi potrzeba!«, miał kardynał Pacheco odwagę mu powiedzieć: »Ojczy święty, zacznijmy reformy sami od siebie«. A było to już prawie w dziesięć lat po otwarciu koncylium w Trydencie, w czasie, kiedy nepot papieża, Carlo Caraffa, cały Rzym tyranizował i politykę Kuryi nagiął do swej woli.

Zorganizowanie państwa papieskiego na wzór innych tyranii miało jednak dla powszechnej kultury bardzo korzystne następstwa. Tylko takie świeckie papieństwo, jakim było w XV i XVI wieku, mogło wspierać humanizm i pozwolić, aby Rzym był przez długi czas stolicą tego przewrotu duchowego, jaki się wtedy odbywał. Papieństwo więcej dbało o sprawy Kościoła, aniżeli o interesa i blask swego państwa, nigdyby nie było starało się o rozszerzenie starożytnych umiejętności, po większej części sprzeciwiających się zasadom religii katolickiej, nie pozwoliłoby na rozkwit sztuki często pogańskiej, i na tę wolność mowy i pisma, która za Juliusza II doszła do najwyższej potęgi. A papieństwo mogło co do rozwoju nauk i sztuki daleko więcej działać, aniżeli inne państwa, albowiem rozporządzało olbrzymimi środkami materyalnymi i było otoczone całym zastępem książąt Kościoła, z których prawie każdy był na owe czasy finansową potęgą.

Pomiędzy objawionymi zasadami wiary chrześcijańskiej a zasadami starożytnego pogaństwa, nawet starożytnej nauki zachodziła jaskrawa sprzeczność, a mimo to papieństwo nie przeszkadzało, aby walka pomiędzy tymi dwoma moralnymi światami rozgrywała się nie tylko w rzymskich pałacach, lecz prawie w Watykanie. Wiedza starożytna wносиła zupełnie nowy pierwiastek do nauki i do zapatrywań się na świat, sceptycyzm, stojący z objawieniem na zupełnie przeciwnych biegunach.



Ludzie Odrodzenia zaczęli się mozolić nad pogodzeniem religii katolickiej z zasadami starożytnych pisarzy, a pomostem między tymi dwoma odrębnymi światami miała być nauka Platona. To była największa troska uczonych, a tak wszystkie wyższe umysły były nią zajęte, że nawet stary kupiec florentyński, Cosimo de' Medici, szczerze się nad tą kwestyą zastanawiał. Pico z Mirandoli i Ficino całe życie poświęcili zadaniu, aby pogodzić i zespolić filozofię z teologią chrześcijańską; ale całe to dążenie było już w samym założeniu z gruntu fałszywe; mistycyzmu i zwyczajów średnio-wiecznych nie dało się zastosować do zasad starożytnego pogaństwa i świata od dawna zmarłego. Gdy więc wszelkie sposoby rozumowań zawodziły i wyjścia nie było, gdy ani Arystoteles ani Plato nie mogli wskazać, jakimby sposobem można dogmaty chrześcijańskie wtłoczyć w ich księgi, praktyczny zmysł Włochów umiał wszystko pogodzić. Najznakomitszy filozof Odrodzenia, Pomponazzi, głosił zasady ateizmu i skrajnego materjalizmu, ale »salva fide«, nie uwłaczając wierze. Te dwa słowa godziły starożytność z chrześcijaństwem i można się było nimi zasłaniać wobec jakiegoś zanadto gorliwego papieża. Lud, który się nie zajmował umiejętnościami, wierzył, w co Kościół wierzyć nakazywał, wyższe zaś warstwy społeczeństwa były, jak to Machiavelli potwierdza, tego przekonania, że religia jest przeznaczoną tylko do utrzymania publicznego porządku i narodowego dobrobytu. Więcej od niej nie wymagano.

Nasuwało się jednak inne pytanie: jakże pogodzić pojęcie o papieżu jako namiestniku Chrystusa z taką np. zbrodniczą osobistością, jaką był Aleksander VI? Odrodzenie i na to łatwą znalazło odpowiedź: wytłómaczono sobie, że papież, następca św. Piotra, a papież rzymski panujący, to dwie odrębne osobistości. Tamtego trzeba było czcić, tego można było otruć lub ugodzić sztytetem. Gdy oprawcy Cezara Borgii dusili Vitellozza Vitellogo, prosił skazaniec, że jeżeli już ma ginąć z rąk Borgiów, niechże przynajmniej papież da mu zupełne odpuszczenie grzechów. Umierająca Lukrecya, księżna Ferrary, pisała w ostatnich chwilach list do



największego nieprzyjaciela swego męża i swych dzieci, do Leona X, polecając się jego modłom.

Sumienie Włochów Odrodzenia było, że tak powiem, praktyczne; z powodów religijnych nikt nie przebywał tych głębokich, nieraz tragicznych walk, które się spotykało u ludzi późniejszych, zwłaszcza na Północy; Włoch XV i początków XVI wieku dalekim był, już to z wyrachowania, już to nie chcąc sobie zatruwać spokoju, od wszczynania walk, rewolucyi za wiarę, gdyż jego przekonania były powierzchowne, owiane lekkim sceptycyzmem. Ponieważ zaś wiara nie pochodziła z głębi duszy, lecz była więcej formalną, przeto łatwo ją było pogodzić z wszelkimi wymaganiami ówczesnego życia, nawet z największem zepsuciem obyczajów. Nie gorszono się więc słabostkami duchowieństwa, nie uważano za coś niegodnego, aby zakonnicy odgrywali rolę błaznów, aby klasztory żeńskie stawały się świątyniami Cytery, a kościoły miejscem schadzek miłosnych. Tak było wygodnie, a czy się to zgadzało z moralnością, nikt o to nie pytał. Mandragola Macchiavella zostanie na zawsze obrazem tej pobłażliwej filozofii życia.

Do powstania takich wyobrażeń przyczynił się bezsprzecznie humanizm, czytanie starożytnych autorów, przejęcie się zasadami Epikura. Wyższe klasy społeczeństwa widziały w dawnym Rzymie ideał kultury, przejmowały się przeto nie tylko jej zaletami, lecz i jej błędami. A ponieważ do najulubieńszych autorów rzymskiej literatury należeli pisarze upadku potężnego państwa, więc brano wzory z czasów moralnej zgnilizny. Tymczasem zasady chrześcijańskiej moralności zacierały się coraz bardziej nie tylko u uczonych, zajmujących się humanistycznymi studjami, lecz i u ludu. Niższe duchowieństwo bowiem zaniedbywało zupełnie swoje obowiązki, grzęzło w materyalizmie i nie miało ani potrzebnej oświaty, ani zachęty z góry, aby się starać o podniesienie moralności. Arciprete, proboszcz wiejski, stał się prawie komiczną postacią, nieukiem, wyciskającym grosz od swoich parafian. Co jakiś czas powstawał wprawdzie tu i owdzie wielki kaznodzieja, jak Bernardino da Siena, który gromił społeczeństwo i chciał lud nawracać na drogę



cnoty, ale taki apostoł spotykał się z zawiścią zakonników i świeckich duchownych i przelatywał tylko jak świetlany meteor, nie pozostawiając po sobie stalszej naprawy społeczeństwa. Wyższe klasy nie wyrobiły sobie jeszcze w tym chaosie spierających się chrześcijańskich i pogańskich idei zdrowej etyki, a niższe, pozbawione wszelkiego kierunku, grzęzły w niewiadomości. Do zupełnego zdemoralizowania społeczeństwa przyczynili się jeszcze Hiszpanie, którzy za Kaliksta III i Aleksandra VI zalali Rzym, a później za Karola V rozsiedli się po całych Włoszech. Hiszpanie byli ze wszystkich ludów romańskich najbardziej krwiożerczym, najbardziej zmysłowym, najbardziej nieludzkim narodem. Do wyrobienia się tej dzikości charakteru przyczyniły się bezsprzecznie długie, mordercze walki z Maurami, które ich przyzwyczyły do widoku krwi i okrucieństw. Zresztą, jak to zwykle bywa, wychodzili z kraju i przybywali do Włoch najgorsi awanturnicy, aby szukać szczęścia. Wojska hiszpańskie znane były z pastwienia się nad nieprzyjacielem, były gorsze od »dyabłów francuskich«. Zetknięcie się więc z Hiszpanami wywarło na Włochów najgorszy wpływ, tępiło w nich do reszty uczucie ludzkości. Ten żal do Hiszpanów odbił się w całej literaturze włoskiej i znalazł osobliwie silny wyraz w wierszu Giovana Battisty Niccoliniego w jego tragedyi, »Antonio Foscari«. Niccolini przemawia tam z serca społeczeństwa włoskiego, pisząc:

Il Castiglion superbo.

Questo eroe del servaggio, espugnar gode  
 Ogni libera gente, e dar catene  
 Allo steso pensiero. Italia giace  
 Dall' armi, e più da suoi costumi oppressa.  
 Nulla ritien degli avi, e tutto apprese  
 Dai suoi nuovi tiranni: uso divenne  
 Quello che un di fu vizio, e Italia vile  
 Non ha di suo neppure i vizii: il fasto  
 Senza ricchezze, la viltà nascosa  
 Con magnifici nomi, e in turpe gara  
 Titoli e servitù<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Pyszny Hiszpan, bohater niewoli, radby każdy naród ugiąć pod swe jarzmo i nawet wszelką myśl okuć w kajdany. Włochy leżą



Zetknięcie się z Hiszpanami było nawet szkodliwem dla sztuki i literatury włoskiej. Sztuka zaczyna być dopiero od czasów hiszpańskich zmysłową. Giulio Romano i Benvenuto Cellini wprowadzają tę zmianę, która się potęguje następnie w Riberze, Spagnolecie, Caravaggiu i w szkole bolońskiej. Od hiszpańskiego pisarza wziął Aretino wzór do swoich Ragonamentów. Francesco Delicado, wikary z Cabezuela, w pobliżu Cordowy, bawił w Rzymie od roku 1523 do 1527, wznawiał romanse rycerskie, po Sacco di Roma zamieszkał w Wenecyi i tam wydał ową powieść, opartą na stosunkach rzymskich, pod tytułem »Lozana Andalusia«. Była to najsprośniejsza powieść, jaka się ukazała przed pismami Aretina.

Wielce niekorzystną cechą Włochów Odrodzenia był także brak ludzkości, miłosierdzia, prawdziwego humanitarnego uczucia. Taki człowiek, jak Castiglione, perła rycerstwa, znakomity pisarz i dyplomata, nalegał na papieża, aby powieszono jakiegoś łucznika, który podczas wyścigów w Rzymie, w roku 1521, zdaje się z umysłu, przeszkodził, aby koń markiza mantuańskiego nie dobiegł pierwszy do mety. Kara więzienia zdawała mu się za małą za takie przestępstwo! Alfons Ferraryjski, mąż Lukrecyi Borgii, pozwolił raz swemu nadwornemu śpiewakowi, Joannowi Michel, pojechać do Bozzolo w Mantuańskim odwiedzić swą córkę. Ale dworzanin musiał ciężko opłacić to pozwolenie. Książę, chcąc sobie bowiem z biedaka zażartować, napisał do Gonzagi, aby urządził na niego zmyślony napad bandytów, a gdy ograbiony przybędzie do Mantuy, nikt nie powinien mu dać jakiegokolwiek odzienia, tak aby tylko w koszuli wrócił do Ferrary. Wszystko miało być tak dokonane, aby się Michel nie spostrzegł, że to sprawa ułożona.

---

przygnębione mieczem, a jeszcze więcej własnych grzechów ciężarem. Po przodkach nic im nie pozostało, od tyrana nauczyły się wszystkiego. To, co było dawniej występkiem, dzisiaj się stało zwyczajem, upadły kraj naśladuje błędy ciemniejszy: zbytek bez bogactwa, tchórzostwo pokryte szumnemi nazwami, żądza tytułów i ucisk w podłym współzawodnictwie.



Jeżeli znajomość literatury greckiej i rzymskiej przyczyniała się do szerzenia się obojętności religijnej i zwolnienia obyczajów, to z drugiej strony działała nadzwyczaj korzystnie na wyrabianie się i krystalizowanie poczucia narodowego, które w średnich wiekach ograniczało się niemal do domowego ogniska, do komuny, w której się żyło. Sława i wielkość dawnego Rzymu zwracały głowy Włochom Odrodzenia, zaczęli się czuć wielkim narodem łacińskim o świetnej przeszłości, a poczucie to rozwijało się w miarę popularyzowania się literatury klasycznej od Petrarcki do wojowniczych humanistów i do Machiavella. Pomimo zepsucia politycznego, egoizmu książąt i rycerskich możnowładców, pomimo przekupstwa, czy to na korzyść Hiszpanów czy Francuzów, zaczęło w wyższych klasach kiełkować szczere poczucie patriotyzmu, które się przebija już to w pieśniach i satyrach, już to w wielu znaczących faktach. W czasach, kiedy zwycięski Juliusz II wracał z Bolonii do Rzymu, grano w Urbino pomiędzy innemi komedię Mikołaja Grassi, »Eutichię«, a w jednym z intermezów występuje na scenę Italia, cała obszarpana przez barbarzyńskie ludy, i zaczyna żale swoje wywodzić; ale jakby osłupiała z rozpaczy, przerywa monolog i schodzi ze sceny dla wywołania większego wrażenia. Następnych wieczorów grano inną komedię Guidobalda Ruggiera, czternastoletniego chłopaka, i znowu w intermezzo występuje ta sama Italia, przywołując na pomoc w swym ucisku księcia Urbinu, Franceska Maryę. Wtedy ukazuje się uzbrojona męska postać, przebrana za księcia, ze szpadą w rękę i rozpędza cisnących się barbarzyńców. A gdy ci zdziercy włoskiego narodu pouciekali, przystępuje do Franceska Maryi owa Italia, wkłada zwycięzcy koronę na głowę, a odziana w płaszcz złocisty, wyprowadza go przy odgłosie muzyki ze sceny. »Che fece bellissimo vedere!« dodaje bibliotekarz książęcy, Federico Veterino, opisując to patriotyczne przedstawienie.

Jakiś nieznany poeta z pierwszej połowy XVI wieku kończy w swych wierszykach, chwalaćcych miasto włoskie, »Lodi delle principali città d'Italia e gl'Italiani«, każdą pieśń



okrzykiem »Però viva l'Italia«; a inny wierszokleta, Hippolito Ferrarese, wzywa swoją lirę, aby po jego śmierci, gdy zostanie osamotniona, szła po Włoszech i pozdrawiała jego imieniem miasta i zamki pięknej Italii:

O città tutte, terre e gran castelli  
D'Italia bella, mio refugio e nido.

Budzący się duch narodowy widać także w literackiej walce przeciw obcym modom w ubiorach, a przede wszystkim przeciw strojom hiszpańskim. Castiglione wyrzuca swoim ziomkom w Cortegianie, że małpują cudzoziemców i nie wyglądają na Włochów, a przecież obce mody są znakiem niewolnictwa, podczas gdy własny strój jest cechą wolności. Paolo Giovio, chwając jakiegoś patrycyusza medyolańskiego, podnosi jako wielką jego zaletę, że nie przestał się ubierać po staroświecku, podczas gdy inni naśladują Francuzów i niegodnie się z niego wysmiewają. Inny, niższego rzędu pisarz pierwszej połowy XVI wieku, Pellegrino Morato, należący do tych wędrownych humanistów, »umanisti girovagli«, których wówczas było bez liku, występuje w swej książce o znaczeniu kolorów, »Del significato dei colori e dei mazzoli«, również przeciw cudzoziemskiemu sposobowi ubierania się i pisze w swym zapale, że prorok Izajasz przepowiedział narodowi włoskiemu czasy, które już nadeszły, że sami Włosi przywdziewając suknie francuskie i hiszpańskie, wywołują te nieszczęścia, które ich nawiedzają. »Przyjdę do was, mówi Pan, gdy zobaczę was upadających, przyjdę, kiedy się będziecie stroić w obce szaty«.

Największą wszakże zdobyczą czasów Odrodzenia dla kultury było rozwinięcie i wykształcenie zmysłu krytycznego. Krytycyzm zerwał z oczu społeczeństwa to bielmo, które przez długie wieki ludziom wzrok zasłaniało, kazał im badać, rozglądać się w przyrodzie i w otoczeniu i dał początek naukom ścisłym, astronomii, chemii, fizyce, naukom społecznym, oparł historię na racjonalnych podstawach. Celnym przykładem tego zwrotu w myśleniu są owe



---

olbrzymie foliały, pozostałe po Leonardzie da Vinci, które nam dowodzą, że niema prawie umiejętności, niema pola ludzkiego działania, nad którym wielki ten mistrz się nie zastanawiał. Pragnienie wiedzy i prawdy zrodziło renesansowych olbrzymów nauki i stało się podstawą nowoczesnej kultury.









# CHRONOLOGIA PAPIEŻY

ODRODZENIA







## CHRONOLOGIA PAPIEŻY ZASÓW ODRODZENIA.

Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
<p><b>Marcin V,</b> Oddo Colonna, ur. w S. Vito koło Palestriny w r. 1365, obrany papieżem 11 listop. 1417 w Konstancji, um. 21 lutego 1431.</p> <p>Samozwańczy papież: Benedykt XIII do r. 1424 i Klemens VIII do r. 1425.</p> <p><b>Eugeniusz IV,</b> Gabryel Condulmeri, ur. w Wenecji r. 1383, wybrany papieżem 3 marca 1431, um. 23 lutego 1447.</p>	<p>1419. Papież Marcin udaje się z Konstancji na Medyolan do Florencji. Początek wojen husyckich w Czechach. Marcin V wjeżdża do Rzymu.</p> <p>1425. Piąty rok jubileuszowy.</p> <p>1429. Zakończenie szczytu w Kościele.</p> <p>1431. Wyprawa papieska przeciw Colonom. Siedmasty sobór powszechny w Bazylei.</p> <p>1433. Koronacja cesarza Zygmunta w Rzymie.</p> <p>1434. Rewolucja w Rzymie. Ucieczka papieża do Florencji. Władysław III królem Polski.</p> <p>1436. Vitelleschi w Rzymie. Walka z Colonnami.</p> <p>1439. Koncylium w Ferrarze przeniesione do Florencji. Unia Kościoła greckiego z rzymskim.</p> <p>1440. Kard. Vitelleschi zamordowany.</p> <p>1441. Rok urodzenia Krzysztofa Kolumba.</p> <p>1444. Bitwa pod Warną.</p>



Imię papieża; rok nro- dzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
<p>Samozwańczy papież: Feliks V, Amadeusz ks. Sabaudzki, dor. 1449.</p>	
<p><b>Mikołaj V,</b> Tomasso Parentucelli, ur. w Sarzanie r. 1398, obraný papieżem 6 marca 1447, um. 24 marca 1455. Pomnik w grotach watykańsk.</p>	<p>1447. Mikołaj rozpoczyna nowe budowy w Rzymie. » Kazimierz Jag. królem Polski. 1450. Szósty rok jubileuszowy. 1452. Koronacja cesarza Fryderyka III i Eleonory Portugalskiej w Rzymie. » Rok urodzenia Leonarda da Vinci i Girolama Savonaroli. 1453. Turcy zdobywają Konstantynopol. » Sprzysiężenie Stefana Porcari.</p>
<p><b>Kalikst III,</b> Alfonso Borgia, ur. 1437, obrany papieżem 8 kwietnia 1455, um. 8 sierpnia 1458. Pomnik w grotach watykańsk.</p>	<p>1458. Ferdynand Aragoński królem Neapolu.</p>
<p><b>Pius II,</b> Silvio Piccolomini, ur. w Corsignano 1405, obraný papieżem 27 sierpnia 1458, um. 15 sierpnia 1464. Grobo- wiec w S. Andrea della Valle.</p>	<p>1464. Papież przygotowuje w Ankonie wyprawę przeciw Turkom.</p>
<p><b>Paweł II,</b> Pietro Barbo, ur. w Wenecyi 1418, obrany papieżem 31 sierpnia 1464, um. 28 lipca 1471. Grobowiec w grotach watykańskich.</p>	<p>1468. Ur. Baldassare Castiglione. 1469. Ur. Niccolò Machiavelli. 1470. Ur. Bernardo Dovizi, Bibbiena. » Ur. Pietro Bembo.</p>



Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
<p><b>Sykstus IV,</b> Francesco d'Albizzola della Rovere, urodz. 1414 (?), obrany papieżem 9 sierpnia 1471, um. 13 sierpnia 1484. Pomnik w kościele św. Piotra.</p>	<p>1473. Baccio Pontelli rozpoczyna budowę kaplicy Sykstyńskiej. 1474. Ur. Michel Angelo Buonarroti († 1564). 1475. Siódmy rok jubileuszowy. 1478. Sprzysiężenie Pazzich we Florencyi. 1480. Turcy w Otranto. 1482. Bitwa pod Campomorto. » Ur. Marcin Luter. 1483. Ur. Raffael Santi w Urbino († 1520). » Ur. Paolo Giovio w Como († 1552). » Karol VIII królem Francyi.</p>
<p><b>Innocenty VIII,</b> Giovan Batista Cybò, urodz. w Genui 1432, obrany papieżem 29 sierpnia 1484, um. 25 lipca 1492. Pomnik w kościele św. Piotra.</p>	<p>1485. Henryk VII Tudor królem Anglii. 1486. Bart. Diaz odkrywa przylądek Dobrej Nadziei. 1488. Książę turecki Dschem w Rzymie. 1490. Ur. Vittoria Colonna. » Budowa pałacu Strozzych we Florencyi.</p>
<p><b>Aleksander VI,</b> Rodrigo Lenzuoli Borghia, ur. w Walencji 1431, obrany papieżem 11 sierpnia 1492, um. 18 sierpnia 1503. Pomnik w grotach watykańskich.</p>	<p>1492. Ferdynand i Izabella hiszp. zdobywają Granadę. » Kolumb odkrywa Indye zachodnie. » Jan Olbracht królem polskim. 1493. Maksymilian I, arcyksiążę austr., królem niemieckim, a od r. 1508 cesarzem rzymskim. 1494. Lodovico il Moro księciem Mediolanu. » Wyprawa Karola VIII do Neapolu, 31 grudnia wejście do Rzymu. 1495. Bitwa pod Fornovo, 6 lipca. » Rozpoczęcie budowy kościoła Trinità dei Monti. 1498. Cezar Borgia księciem Valentinois. » Fra Girolamo Savonarola spalony we Florencyi. » Ludwik XII królem Francyi. » Vasco de Gama odkrywa drogę morską do Indyi wschodnich.</p>



Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
<p><b>Pius III,</b>            Francesco Todeschini Piccolomini,            ur. w Syenie (?) 1439, obrany papieżem 22 września 1503, um. 18 październ. 1503. Grobowiec w S. Andrea della Valle.</p>	<p>1499. Wyprawa Cezara Borgii do Romanii.            » Francuzi zajmują Lombardię.            1500. Ósmy rok jubileuszowy.            » Lodovico il Moro więźniem francuskim.            » Rok urodz. Karola V.            1501. Aleksander królem Polski.</p> <p>1503. Cezar Borgia zajmuje zamek św. Anioła.</p>
<p><b>Juliusz II,</b>            Giuliano della Rovere,            ur. w Albizzoli 1443, obrany papieżem 31 paźdz. 1503, um. 20–21 lutego 1513. Pochowany w grotach watykańskich.</p>	<p>1503. Cezar Borgia w Hiszpanii († 1506).            1504. Michał Anioł rozpoczyna pracę nad pomnikiem Juliusza II.            1506. Wyprawa Juliusza II do Umbryi i do Romanii.            » Bramante rozpoczyna budowę św. Piotra.            » Odkopanie grupy Laokona.            » Zygmunt Stary królem Polski.            1508. Liga w Cambrai przeciw Wenecji.            » Francesco Maria della Rovere księciem Urbino.            » Rafael Sanzio rozpoczyna freski w Stanza della Segnatura, a Michał Anioł freski na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej.            1509. Wojna z Wenecją. Bitwa pod Giarradadda.            » Henryk VIII królem Anglii.            1510. Juliusz II odłącza się od Ligi. Wojna z Ferrarą.</p>



Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Apost. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
<p><b>Leon X,</b> Giovanni de' Medici, ur. we Florencji 1475, obrany papieżem 11 marca 1513, um. 1 grudnia 1521. Pomnik w Sta Maria sopra Minerva.</p>	<p>1511. Juliusz II oblega Mirandolę. Bolonia się buntuje. Papież w Rawennie. Conciliabulum w Pizie.</p> <p>1512. Bitwa pod Rawenną. Powrót Medycznych do Florencji.</p> <ul style="list-style-type: none"> <li>» Sobór Lateraneński.</li> <li>» Rafael maluje fresk przedstawiający mszę w Bolsenie.</li> </ul> <p>1515. Franciszek I królem Francji. Zjazd papieża z Franciszkiem I w Bolonii.</p> <ul style="list-style-type: none"> <li>» Rafael maluje kartony do arazzów do kaplicy Sykstyńskiej.</li> </ul> <p>1516. Papież oddaje Urbino Lorenzowi de' Medici.</p> <ul style="list-style-type: none"> <li>» Karol I (późniejszy Karol V) królem Hiszpanii i Sycylii.</li> </ul> <p>1517. Sprzysiężenie kardynała Petrucciego przeciw Leonowi X.</p> <ul style="list-style-type: none"> <li>» Luter występuje przeciw Kościołowi.</li> </ul> <p>1519. Karol I wybrany jako Karol V cesarzem rzymskim.</p> <ul style="list-style-type: none"> <li>» Ulryk Zwingli występuje w Zurychu.</li> </ul> <p>1520. Bulla papieska przeciw Lutrowi.</p> <ul style="list-style-type: none"> <li>» Śmierć Rafaela Sanzio.</li> <li>» Pierwsza podróż Magalhaena naokoło świata.</li> </ul> <p>1521. Początek wojen pomiędzy Karolem V a Franciszkiem I.</p>
<p><b>Hadrian VI,</b> Hadrian Florisze, syn Florensa Boeyens, ur. w Utrechcie 1459, obrany papieżem 9 stycznia 1522, um. 24 września 1523. Pomnik w Sta Maria dell' Anima.</p>	<p>1522. Francesco Maria della Rovere wraca do Urbino.</p> <ul style="list-style-type: none"> <li>» Zakon św. Jana traci wyspę Rhodos.</li> <li>» Wojna w Lombardii.</li> </ul>



Imię papieża; rok urodzenia, wstąpienia na Stolicę Appst. i śmierci	Najważniejsze wydarzenia
<p style="text-align: center;"><b>Klemens VII,</b> Giulio de' Medici, ur. we Florencji 1478, obrany papieżem 19 listopada 1523, um. 26 września 1534. Pomnik w Sta Maria sopra Minerva.</p> <p style="text-align: center;"><b>Paweł III,</b> Alessandro Farnese, ur. w Rzymie (?) 1468, wybrany papieżem 13 października 1534.</p>	<p>1525. Dziewiąty rok jubileuszowy. » Bitwa pod Pawią, Franciszek I jeńcem cesarza. » Przymierze papieża z Karolem V.</p> <p>1526. Układ madrycki, Franciszek I odzyskuje wolność.</p> <p>1527. Wyprawa wojsk hiszpańsko-niemieckich pod wodzą konetabla Burbona na Rzym. Oblężenie i spustoszenie Rzymu (6 maja). Papież w zamku św. Anioła. Układ papieża z dowódcami cesarskimi. Papież przenosi się na razie do Orvieto.</p> <p>1529. Pokój w Cambrai i traktat zawarty pomiędzy cesarzem a papieżem w Barcelonie. Karol V we Włoszech, księżęta włoscy poddają się cesarzowi. Oblężenie Florencji przez wojska cesarskie i papieskie.</p> <p>1530. Koronacja Karola V w Bolonii. Florencya się poddaje. Federico Gonzaga zostaje księciem Mantuy.</p> <p>1531. Alessandro de' Medici pierwszym księciem Florencji.</p> <p>1532. Anglia oddziela się od Kościoła rzymskiego.</p>



# LITERATURA







## LITERATURA.

---

*Ademollo A.* Alessandro VI. Giulio II e Leone X nel carnevale di Roma. Firenze. C. Ademollo, 1886.

*Adinolfi P.* Roma nell' età di mezzo. 2 voll. Roma 1881.

*Albertini Francesco.* Opusculum de mirabilibus novae et veteris urbis Romae. Roma, Mazocchi, 1510.

*Altieri Marco Antoni.* Li nuptiali. Roma, C. Bartoli, 1873.

*Alvisti Edoardo.* Cesare Borgia. Imola, Galeati, 1878.

*Aretino Pietro.* Lettere. Paryż 1609, w sześciu tomach. Pierwszy tom przedrukowany w Biblioteka rara Daelli w Medyolanie.

*Aretino P.* Ragionamenti. Przedruk, Firenze od r. 1892—1898. Nadzwyczaj dobre tłumaczenie niemieckie Henryka Conrada, Lipsk, im Insel-Verlag, 1903.

*Aretino Pietro.* Le commedie e L'Orazia. Milano, Sonzogno, 1884.

*Armellini Mariano.* Le chiese di Roma dalle loro origini sino al secolo XVI. Roma, 1887.

*Baldi Bernardino.* Della vita e de' fatti di Guidobaldo I da Montefeltro Duca d'Urbino. Milano, Silvestri 1821, 2 tomy.

*Bangen J. H.* Die Römische Curie. Münster, 1854.

*Beaucourt de.* Histoire de Charles VII. Vol. I—VI. Paris, 1881—1891.

*Benigni Umberto.* Die Getreidepolitik der Päpste. Übersetzt von Pater Birner. Berlin, W. Issleib. Rok wydania nie podany.

*Bertani Carlo.* Pietro Aretino e le sue opere. Sondrio Emilio Quadrio, 1901.

*Besso Marco.* Roma e il Papa nei proverbi e nei modi di dire. Roma, Loescher, 1904.

*Biagi G.* Un' Etera romana, Tullia d'Aragona. Firenze. Tip. Roberto Paggi. 1897.

*Bibbiena Bernardo Dovizi.* La Calandria. Milano. G. Daelli 1863.

*Bigot Charles.* Raphael e La Farnesine. Paris, Gazette des Beaux-Arts 1884.

*Biondo Flavio.* De Roma triumphante, Roma instaurata, Italia illustrata. Basilea 1559.



- Bisticci Vespasiano da.* Vite di uomini illustri del secolo XV edit. Frati. 3 tomy. Bologna 1892—1893. (Collezione di opere inedite o rare).
- Bongi Salvatore.* Il velo giallo di Tullia d'Aragona. Firenze 1886.
- Bottari Ercole.* Baldassare Castiglione. Pisa, Nistri, 1874.
- Brosch.* Papst Julius II. Gotha, 1878.
- Bruzzone P. L.* Imperia e i suoi ammiratori. Nuova Antologia 1906, fasc. 828.
- Burchard Giovanni.* Diarium sive rerum urbanarum comentarii. Paris, 1883—5, 3 tomy.
- Burriel Antonio.* Vita di Caterina Sforza, contessa d'Imola e signora di Forlì. Bologna, stamperia di S. Tomaso d'Aquino, 1795.
- Callimaco Esperiente, Filippo Buonaccorsi.* G. Uzieli »Callimaco esperiente« di S. Geminiano. Miscellanea storica della Valdelsa, Castelfiorentino, 1898 i 1899.
- Campori Giuseppe.* Pietro Aretino ed Ercolo II duca di Ferrara. Atti e memorii delle RR. Deputazioni di Storia Patria per le Provincie Modenesi e Parmesi. Vol V, Modena, 1870.
- Cancellieri Fr.* De secretariis basilicae Vaticanae veteris ac novae libri II. Romae 1786.
- Cancellieri Fr.* Notizie storiche delle stagioni e de' siti diversi in cui sono stati tenuti i conclavi nella città di Roma. Roma 1823.
- Cancellieri Fr.* Notizie delle due famose statue dette di Pasquino e Marforio. Roma, Giovanni Ferretti, 1854.
- Cancellieri Francesco.* Storia de' solenni possessi de sommi Pontefici. Roma 1802. Stampatore Luigi Lazzarini.
- Cancellieri Francesco.* Il Mercato. Roma. Fr. Bourlie, 1811.
- Carducci Giosue.* Cacce in rima raccolte da G. C. Bologna, Zanichelli, 1896.
- Castiglione Baldassar.* Poesie volgari e latine, Roma 1760, per Niccolo e Mar. Pagliarini.
- Castiglione Bald.* Opere volg. e latine. Padova, 1733.
- Castiglione B.* Lettere pubbl. dal Serassi. Padova, 1769—71, 2 tomy.
- Cesareo G. A.* Papa Leone X e Maestro Pasquino. Nuova Antologia, 1898, Maggio.
- Cian Vittorio.* Un decennio della Vita di M. Pietro Bembo (1521—1531). Torino, E. Loescher, 1885.
- Cian Vittorio.* Motti inediti e sconosciuti di Pietro Bembo. Venezia, tip. dell' Ancora, 1888.
- Cian Vittorio.* Candidature nuziali di Baldassare Castiglione. Venezia. Carlo Ferrari, 1892. Per nozze Salvioni-Taveggia.
- Cian V.* Caterina Sforza, Torino, 1893.
- Cian V.* Gioviana. Giornale storico della letteratura italiana. Torino, Loescher, 1891. Vol. XVII.
- Clément, Les Borgia.* Histoire du pape Alexandre VI, de Cesar et de Lucrece Borgia. Paris 1882.



*Colangelo Fr.* Vita di Antonio Beccadelli soprannominato il Panormita. Napoli, 1820.

*Conti Sigismondo dei.* Le storie de' suoi tempi dal 1475 al 1510. Roma, 1883, 2 tomy.

*Coppi A.* Memorie Colonesi. Roma, tipografia Salvincci, 1855.

*Creighton.* A History of the Papacy during the period of the Reformation. London, 1887 i następane.

*Cugnoli G.* Agostino Chigi il Magnifico. Archivio della Società Romana di storia Patria II, Roma 1879, III 1880, IV 1881, VI 1883.

*D'Aragona Tullia.* Le rime pubbl. da E. Celani. Bologna, 1891.

*Dehio G.* Die Bauprojekte Nikolaus V und L. B. Alberti. Jannitscheks Repertorium für Kunstwissenschaft III, 241—257. Stuttgart, 1880.

*De l'Epinois.* Paul II et Pomponio Leto. Revue des questions historiques. Paris 1866, p. 278.

*Delicado Francisco.* La Lozana Andaluza, trad. par Alcide Bonneau. Paris, Liseux, 1888, 2 tomy.

*Duclos Marie l'abbé.* Histoire de Boniface VIII et de son siècle. Paris, L. Vivès, 1854, 2 tomy.

*Dusmenil M. A. J.* Histoire de Jules II, sa vie et son pontificat. Paris, 1873.

*Ehrenberg R.* Das Zeitalter der Fugger. 2 tomy, Jena, 1896.

*Fanese Paolo Palliolo.* Le Feste pel conferimento del patriziato romano a Giuliano e Lorenzo de' Medici. Bologna, Romagnoli, 1885.

*Feliciangeli B.* Notizie e documenti sulla vita di Caterina Cibovariano. Camerino, Libreria Favorino, 1891.

*Flamini Fr.* Cinquecento. Milano, Fr. Vallardi, 1901.

*Franco Ser Matteo.* Un viaggio di Clarice Orsini de' Medici nel 1485. Bologna, Romagnoli 1868.

*Frantz Erich.* Sixtus IV und die Republik Florenz. Regensburg, 1880.

*Gabotto Ferd.* Lorenzo Valla e l'Epicureismo nel Quattrocento. Milano-Torino, 1889.

*Gabotto F.* Vita di Giorgio Merula. Alessandria, 1894.

*Gabrini P. Tommaso.* Osservazioni storico-critiche sulla vita di Cola di Rienzo. Roma 1806. Fulgoni.

*Geymüller H. v.* Die ursprünglichen Entwürfe für St. Peter in Rom. 1 tom tekstu i 1 tom tablic. Wiedeń-Paryż, 1875—1880.

*Gnoli Domenico.* Le cacce di Leone X. Nuova Antologia, 1893. Fascicolo III. IV.

*Gnoli.* Mostra di Topografia Romana ordinata in occasione del congresso storico del 1903. Roma, Tip. cooperativa sociale, 1903.

*Gnoli D.* L'Epitafio e il monumento d'Imperia cortigiana. Nuova Antologia. 1° Giugno 1906.

*Gnoli D.* La Cancellaria ed altri palazzi di Roma attribuiti a Bramante. Roma 1892.



- Gnoli D.* Storia di Pasquino. Nuova Antologia, Anno XXV, 1890. Fasc. 1.
- Gnoli D.* Secolo di Leone X. Rivista d'Italia. Roma, 1897—1898.
- Gottlob Adolf Dr.* Aus der Camera Apostolica des 15 Jahrhunderts. Innsbruck, Wagnerische Buchhandlung, 1889.
- Gottschewski Adolf.* Über die Portraits der Caterina Sforza. Strassburg. J. H. Heitz, 1908.
- Graf A.* Attraverso il Cinquecento. Torino, 1888.
- Graf A.* Un processo a Pietro Aretino, w książce Attraverso il Cinquecento.
- Grassi Paris de.* Il Diario di Leone X ed. Delicati-Armellini. Roma, 1884.
- Grassi Paris de.* Le due spedizioni militari di Giulio II tratte dal diario di Paride de Grassi. Bologna, regia tipografia, 1886.
- Gregorovius F.* Grabdenkmäler der Päpste. Leipzig, 1881.
- Gregorovius Ferdinand.* Geschichte der Stadt Rom im Mittelalter. Stuttgart und Berlin. Cotta, 1906, ośm tomów.
- Guarnera Dott. Elvira.* Bernardo Accolti. Palermo. Tip. Giannitrapani, 1901.
- Höfler v. C.* Don Rodrigo de Borja (Papst Aleksander VI) und seine Söhne. Wien, 1889.
- Infessura Stefano.* Diario della città di Roma. Roma 1890 pubbl. dall' Istituto storico italiano.
- Joly A.* Étude sur J. Sadolet, 1477—1547. Caen, 1857.
- Jovius P.* Historiae sui temporis. 2 tomy. Florentiae, 1552.
- Jovius P.* Opera. Basileae, 1578.
- Klaczko Julian.* Rome et Renaissance. Jules II. Paris, Plon, 1902.
- Leto Pomponio.* Opera. Strassburg, 1515.
- Lettere di cortigiane del secolo XVI,* Libreria Dante, Firenze, 1884.
- Litta P.* Famiglie celebri italiane. Milano e Torino, 1819—1881.
- Luzio A. e Renier Rodolfo.* Mantova e Urbino. Edit. L. Roux e Co. Torino - Roma, 1893.
- Luzio A. e Renier R.* La coltura e le relazioni letterarie di Isabella D'Este Gonzaga. Torino, E. Loescher, 1903.
- Luzio A. e Renier R.* Relazione inedita sulla morte del duca di Gandia. Roma. R. società Romana di storia patria, 1888.
- Luzio Alessandro.* Pietro Aretino nei primi anni a Venezia e la corte dei Gonzaga. Torino, E. Loescher, 1888.
- Luzio A.* Un pronostico satirico di Pietro Aretino. Bergamo, 1900.
- Luzio A.* Pietro Aretino e Pasquino. Nuova Antologia, 1890. Anno XXV. Fasc. XVI.
- Luzio A.* La famiglia dell' Aretino. Giornale Storico ital. vol. IV.
- Luzio A.* L'Aretino e il Franco. Giornale storico ital. vol. XXIX.
- Luzio A.* Federigo Gonzaga ostaggio alla corte di Giulio II, Roma 1887.



*Luzio A.* Lettere inedite di P. Giovio tratte dall' Archivio Gonzaga. Mantova 1885.

*Luzio A.* Nuove ricerche sul Folengo. Giornale storico della letteratura italiana. Anno VII. Vol. XIII. Torino, 1889.

*Luzio Alessandro.* Isabella d'Este ne' primordi del papato di Leone X, e suo viaggio a Roma nel 1514—1515. Milano. Cogliati, 1907.

*Mancini G.* Vita di Lorenzo Valla. Firenze, 1891.

*Manetti Gianozzo.* Vita Nicolai V. Muratori III.

*Marcucci Roberto.* Francesco Maria I della Rovere (1490—1527). Senigallia. Puccini-Massa, 1903.

*Mari Giovanni.* Storia e leggenda di Pietro Aretino. Roma. Loescher, 1903.

*Martinati Camillo.* Notizie storico-biografiche intorno al conte Baldassare Castiglione. Firenze. Le Monnier, 1890.

*Masius Alfr.* Flavio Biondo, sein Leben und seine Werke. Leipzig, 1879.

*Mazzuchelli G. M.* La vita di P. Aretino. Padova, 1741.

*Miodoński.* Philippi Buonaccorsi Callimachi Vita et mores Gregorii Sanocii. Cracoviae, MCM.

*Monnier Ph.* Le Quattrocento. Essai sur l'histoire littéraire du XV-e siècle. 2 tomy. Paris, 1901.

*Monrad D. G.* Die erste Kontroverse über den Ursprung des apostolischen Glaubensbekenntnisses. Laurentius Valla und das Konzil zu Florenz. Gotha. F. A. Perthes, 1881.

*Moroni Gaetano.* Dizionario di erudizione storico-ecclesiastica da S. Pietro sino ai nostri giorni. 109 tomów. Venezia 1840—1879.

*Müntz E.* Histoire de l'art pendant la Renaissance. 3 tomy. Paris, 1888—1895.

*Müntz Eugène.* Les Antiquités de la Ville de Rome au XIV, XV et XVI siècles. Paris, E. Leroux, 1886.

»*Nipotismo di Roma* o vero relatione delle raggioni che muovono i pontefici all' aggrandimento de' nipoti«, dwie części, Roma 1667. Jeden egzemplarz znajduje się w Bibliotece Angelica w Rzymie, pod sygnaturą K. T. 46. 47. Dzieło wydane bezimiennie, autorem jest Gregorio Leti.

*Nitti Francesco.* Leone X e la sua politica. Firenze, Barbera, 1892.

*Olivier.* Le pape Alexandre VI et les Borgia. Paris, 1870.

*Panzacchi E.* P. Aretino innamorato. Nuova Antologia. Ser. II. LIII.

*Papencordt Felix.* Cola di Rienzo und seine Zeit. Hamburg und Gotha, 1841.

*Pastor Ludwik.* Geschichte der Päpste seit dem Ausgange des Mittelalters. Freiburg in Breisgau, 1897—1906, 4 tomy.

*Pastor L.* Die Reise des Kardinals Luigi d'Aragona durch Deutschland, die Niederlande, Frankreich und Oberitalien, 1517—1518. Freiburg in Breisgau. Herdersche Verlagshandlung, 1905.



- Pélissier Léon.* Louis XII et Ludovic Sforza. 2 tomy. Paris, Thorin et fils, 1897.
- Pieper A.* Ein unedirtes Stück aus dem Tagebuch Burchards. Rom, 1894.
- Platina Bartolomeo.* Historia summorum pontificum. Dialogi de falso et vero bono; contra amores; de vera nobilitate; de optimo cive: Panegyricus in Bessarionem. Oratio ad Paulum II. Colonia, 1529.
- Poggius Joh. Franc.* Epistolae. Edit. Thomas de Tonellis. Vol. I—III. Florentiae, 1832—1861.
- Poggii Florentini oratoris et philosophi Opera.* Basileae, apud Henricum Petrum, 1538.
- Pogge Florentin.* Les Facéties. Paris, Liseux, 1878. 2 tomy.
- Poggiana.* Amsterdam chez Pierre Humbert, 1720. 2 tomy.
- Plašnik Jan.* Kolektorzy Kamery apostolskiej w Polsce. Rozprawy Akademii umiejętności. S. II. T. XXV. Kraków, 1907.
- Pungileoni.* Memorie intorno alla vita di D. Bramante. Roma, 1836.
- Raggi O.* La congiura di Stefano Porcaro. Modena, 1867.
- Re Zefrino.* La vita di Cola di Rienzo. Firenze, Felice le Monnier, 1854.
- Reumont A. von.* Geschichte der Stadt Rom. Berlin, 1867. Decker, 3 tomy.
- Reumont A. von.* Neue Römische Briefe von einem Florentiner. Leipzig, Brockhaus, 1844. Dwa tomy.
- Reumont A. von.* Römische Briefe von einem Florentiner 1837—1838. Leipzig, Brockhaus, 1840. Dwa tomy.
- Rodocanachi Emmanuel.* Cola di Rienzo. Paris, Labure, 1888.
- Rodocanachi E.* Le Saint-Siège et les Juifs. Le Ghetto à Rome. Paris, Firmin-Didot, 1891.
- Rosmini C. de.* Vita di Francesco Filelfo da Tolentino. Milano, 1808.
- Rossi Vit.* Il Quattrocento. Vallardi, Milano, 1900 ? (bez daty).
- Rossi Vittorio.* Pasquinate di Pietro Aretino ed anonime per il conclave e l'elezione di Adriano VI. Palermo-Torino. C. Clausen, 1891.
- Ruhland Dr. Gustav.* Die Getreidepolitik der Päpste, Verlag, W. Issleib, Berlin, bez daty.
- Rovere della Paolo.* Memorie storiche intorno alla famiglia della Rovere. Torino, 1858. Tipogr. Martinengo.
- Sansovino Franc.* L'Historia di Casa Orsina. Venetia, 1565.
- Sanuto Marin.* Raguagli sulla vita e sulle opere di M. S. Venezia. Tip. Alvisopoli, 1837. 3 tomy.
- Schulte Dr. Aloys.* Die Fugger in Rom, 1495—1523. Leipzig, 1904.
- Schwahn Walther.* Lorenzo Valla. Ein Beitrag zur Geschichte des Humanismus. Berlin, Mayer & Müller, 1896.
- Sforza Giovanni.* Ricerche su Niccolò V. La patria, la famiglia e la giovinezza di Niccolò V. Lucca, 1884.



- Shepherd Guglielmo*. Vita di Poggio Bracciolini, tradotta dal T. Tonelli. Firenze, Gaspero Ricci, 1825. 2 tomy.
- Staffetti L.* Il cardinale Innoc. Cybò. Firenze, 1894.
- Steinmann E.* Rom in der Renaissance. Leipzig, Seemann, 1902.
- Strozzi Filippo* il vecchio. Vita di F. S. scritta da Lorenzo suo figlio. Firenze. Tip. della Casa di Correzione, 1851.
- Symonds J. A.* Il Rinascimento in Italia. L'Era dei Tiranni. Versione ital. del. conte Guglielmo de la Feld. Torino, 1900.
- Tomassetti*. Della Campagna Romana. Archivio della R. Società Romana di Storia Patria. Vol. IX. Najlepsza genealogia Tusculanów.
- Tosti D. L.* Histoire de Boniface VIII et de son siècle trad. de l'italien par L'Abbé Marie-Duclos. Paris, L. Vives, 1854. 2 tomy.
- Ughellus Abbas Ferdinandus*. Columnensis familiae cardinalium imagines. Romae, 1650.
- Ugolini Fil.* Storia dei conti e dei duchi d'Urbino. Tom I i II. Firenze, 1859.
- Ulmann H.* Kaiser Maximilians I Absichten auf das Papsttum in den Jahren 1507 bis 1511. Stuttgart, 1888.
- Ulmann H.* Studien zur Geschichte des Papstes Leo X. W »Quid-des Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft X 2, 1—13 i XI 90—113. Freiburg in Br. 1893.
- Vahlen J.* Lorenzo Valla. Almanach der Kaiserl. Akademie der Wissenschaften. Jahrgang XIV. Wien, 1864.
- Valla Laurentius* Opera. Basileae, 1540.
- Vast H.* Le cardinal Bessarion (1403—1472). Paris, 1878.
- Vergerio Pierpaolo*. De ingenuis moribus. Torino, 1509.
- Vida Hieron.* Opera, Venetiis per Melchiorem Sessam. 1538.
- Villeneuve L de.* Recherches sur la famille della Rovere. Roma, 1887.
- Voigt Georg.* Die Wiederbelebung des classischen Altertums. 2 tomy. Berlin, G. Reimer, 1893.
- Volta Zanino*. Papa Martino V a Milano. Archivio storico Lombardo. Milano, 1886, fasc. IV. Anno XIII.
- Vossler K. P.* Aretinos Künstlerisches Bekenntniss. Heidelberg, 1900.
- Weese Artur.* Baldassare Peruzzis Anteil an dem malerischen Schmucke der villa Farnesina. Leipzig, 1894.
- Zabughin Vladimiro.* Giulio Pomponio Leto: saggio critico. Vol. I. Roma 1909.
- Zeller J.* Italie et Renaissance. Politique, lettres, arts. Paris, 1883.
- Zeissberg Heinrich.* Die polnische Geschichtschreibung des Mittelalters. Leipzig, Hirsch, 1873.
- Zippel Giuseppe.* Niccolò Niccoli. Firenze, Fratelli Bocca, 1890.



Już w czasie druku tej książki wyszedł pierwszy tom dzieła p. W. Zabughina o Pomponiuszu Letusie, w którym uczony autor wspomina o podróżach tego humanisty w latach 1479—80 i 1482—83 na Wschód i Północ. Pomponiusza wysłał, jak się zdaje, papież Sykstus IV celem poszukiwania dawnych rękopisów, a p. Zabughin przypuszcza, że uczony zwiedził Polskę i południową Rosję, jadąc zwykłą drogą handlową na Ruś czerwoną do Krakowa. Szczegółów jednak o tej podróży nie mamy; Pomponiusz o niej w swych pismach nie wspomina, a skąpe wiadomości co do wyprawy humanisty na Północ, pełne są sprzeczności.





## SPIS RYCIN.

	Str.
1. Juliusz II według fresku Rafaela »Miracolo di Bolsena« w stan- zach watykańskich. (Heliograwura). Przed tytułem.	
2. Widok Kampanii rzymskiej . . . . .	2
3. Widok Rzymu w połowie XV wieku. Fresk Benozza Gozzoli w kościele św. Augustyna w San Geminiano . . . . .	5
4. Zamek w Bracciano. Dawniej siedziba Orsinich, dzisiaj Odescalchich . . . . .	15
5. Wyprawa Orsinich na wojnę, według fresku Antoniazza Ro- mano, w zamku Bracciano . . . . .	15
6. Porta di sole w Palestrinie . . . . .	24
7. Bitwa pod bramami Rzymu. Według obrazu P. Uccella w pina- kotece w Turynie . . . . .	49
8. Marcin V, według ryciny w księdze: O. Panvini XXVII Ponti- ficum Elogia et imagines. Romae 1568 . . . . .	63
9. Poggio Bracciolini, według posągu w katedrze florentyńskiej . . . . .	80
10. Herb Sykstusa IV, z własnego pałacu papieża . . . . .	139
11. Sykstus IV i kardynał Riario. Szczegół z fresku Melozza da Forli, w pinakotece watykańskiej . . . . .	141
12. Caterina Sforza, według portretu Piera di Cosimo, w muzeum w Altenburgu. (Heliograwura) . . . . .	172
13. Cezar Borgia, według portretu w pinakotece w Forli . . . . .	199
14. Giovanni delle bande nere. Według portretu w galerii w Tu- rynie. Portret pierwszy raz reprodukowany . . . . .	213
15. Juliusz II, według portretu w pałacu ks. Chigich w Rzymie . . . . .	218
16. Typy renesansowe z Viterbo. Z fresku Lorenza di Viterbo . . . . .	239
17. Kardynał Alidosi. Medal w muzeum brytyjskim w Londynie Emilia Pia. Medal w muzeum cesarskim w Wiedniu . . . . .	241 534
18. Bramante, według rysunku w księdze: Collezione de' ritratti, raccolti da G. M. Cassini. Roma, 1808 . . . . .	276
19. Wóz tryumfalny »Tryumf czystości«. Według obrazu artysty szkoły Botticellego w galerii w Turynie . . . . .	290



20. Mały kardynał. Portret Emanuela Filiberta Sabaudzkiego, w galerii w Turynie . . . . .	296
21. Leon X, według akwareli znajdującej się w muzeum w Wiedniu. Portret po raz pierwszy reprodukowany . . . . .	305
22. Magdalena Cybò, siostra Leona X, według portretu w galerii Torlonia . . . . .	305
23. Giuliano de' Medici, według portretu Alessandra Allori w Uffiziach . . . . .	308
24. Filippo Strozzi, według portretu Tycyana . . . . .	310
25. Kardynał Bernardo Bibbiena, według portretu Rafaela w galerii Pitti . . . . .	317
26. Kardynał B. Bibbiena, według portretu Rafaela w Prado . . .	317
27. Paolo Giovio, według portretu w Uffiziach . . . . .	333
28. Agostino Chigi, według portretu znajdującego się w zamku ks. Chigich w Ariccii. Portret reprodukowany po raz pierwszy	389
29. Medal wybity na cześć Agostina Chigi, ze zbiorów ks. Maria Chigi w Rzymie . . . . .	389
30. Imperia jako Safona. Szczegół z fresku Rafaela »Parnas« w stanzach watykańskich . . . . .	407
31. Imperia, szczegół z »Transfiguracji« Rafaela w pinakotece watykańskiej . . . . .	407
32. Tullia d'Aragona, według portretu Alessandra Bonvicina, w pinakotece w Brescyi . . . . .	439
33. Bernardo Ochino, według portretu w galerii Pallavicinich w Rzymie. Portret reprodukowany po raz pierwszy . . . . .	444
34. Benedetto Varchi. Według portretu Tycyana w galerii wie-deńskiej . . . . .	453
35. Pasquino, tak jak dzisiaj wygląda . . . . .	459
36. Kardynał Oliviero Caraffa, klęczący przed Madonną. Według obrazu fra F. Lippi w kościele Sta Maria sopra Minerva w Rzymie	462
37. Pietro Aretino, według portretu Tycyana w galerii Pitti . . .	497
38. Karol V, według portretu Tycyana w Prado . . . . .	499
39. Baldassare Castiglione, według portretu Rafaela w Luwrze .	528
40. Federigo da Montefeltre z synem Guidobaldem. Obraz Melozza da Forli, w galerii Barberinich w Rzymie . . . . .	532
41. Guidobaldo, książę na Urbinię, według portretu Carota w galerii Pitti . . . . .	532
42. Klemens VII, według szkicu Sebastyana del Piombo w muzeum neapolitańskim . . . . .	565



## INDEKS.

- Accolti (Aretino) Bernardo 337—340.  
Accolti Pietro 338.  
Acquasparta Mateusz, kard., 23, 27.  
Adrya, córka P. Aretina, 512, 513.  
Adryan VI, papież, 473—475, 564, 565.  
Albergati Niccolo, kardynał, 86.  
Alberico di Tuscolo 11.  
Alberico II 12.  
Alberti Leo Battista 117.  
Albicante Gian Alberto 500.  
Albizzi Rinaldo 86.  
Albornoz, kardynał, 56.  
Aldobrandesca Małgorzata 21.  
d'Alègre Yves 205, 206, 208.  
Aleksander VI, papież, 197—202, 207—209, 218—220.  
Alfons Neapolitański 98, 99.  
Alidosi, kardynał, 241—243, 247, 248.  
Altieri Marcantonio 273, 274.  
Altoviti Antonio 386.  
Altoviti Bindo 386, 387.  
d'Amio Domenico, rzeźbiarz, 375.  
Andreosia, żona A. Chigiego, 411, 412, 432.  
Aquila Giovanna, pani na Fondi, 21.  
d'Aragona Lodovico, kardynał, 354, 355, 359, 437—439.  
d'Aragona Tullia 436—458.  
Arelio Mucio, poeta mantuański, 365.  
Aretino Christoforo 362, 364.  
Aretino Leonardo Bruno 89.  
Aretino Pietro 450, 451, 468—524.  
Ariosto Lodovico 251, 350, 351, 362.  
Ariosto Alfonso 550, 551.  
Armellini Francesco 328.  
Aurispa Giovanni 105.  
**Babone Matteo** 182, 183.  
Baglione Gian Paulo 240.  
Bailli z Dijon 204, 206.  
Bainbridgy Krzysztof, kardynał, 463, 465.  
Bembo Piotr 330—332.  
Benedykt XI, papież, 37.  
Benozzo Gozzoli 5.  
Bentivoglio Ercole 446.  
Bentivoglio Giovanni 240.  
Benuzzi Lattanzio 447.  
Bermudez de Castro 434.  
Berni 468, 487, 488.  
Beroaldo Filip 364, 365, 402, 403, 427.  
Bessarion, kardynał, 110, 111.  
Betti Aleksander 411.  
Bibbiena Bernard, kardynał, 316—320, 565.  
Bidon da Asti, śpiewak, 348.  
Billand Marieri 435.  
Biondo Flavio 94.  
Bisticci Vespesiano 85, 101—103.  
Boccaccio 79.  
Boccamazo Dominico 355.



- da Bologna Umoro 441.  
 Bonifacy VIII, papież, 16—37.  
 Bonjoannes Antonio 463.  
 Bonvicino Alessandro 439.  
 Borgia Cezar 119—209.  
 Borgia, ks. Gandyi, 198, 201.  
 Borgia Rodrigo, v. Aleksander VI.  
 Braccio di Montone 64, 65.  
 Bracciolini Poggio 7, 80—84, 90—94,  
 105—109, 112, 113.  
 Bramante Donato 276—280.  
 Brandino il Cordiale 343.  
 Brandolini Rafael 340.  
 Bregno Andrea 387.  
 Brunelleschi 80.  
 Bruni Leonardo 83.  
 Bufalo Angelo 401.  
 Burkhard, autor dyaryusza, 253.  
  
 Calandra Gian Giacomo 538.  
 Camajoni Lelio 433.  
 Campani Niccolo (Strascino) 352,  
 353, 401, 402.  
 Canisius Egidius v. z Viterbo Egi-  
 dyusz.  
 Canossa Lodovico 536, 537.  
 Caraffa Gian Pietro (Pawel IV) 463.  
 Caraffa Oliviere, kardynał, 460,  
 462, 463.  
 Castellesi Adriano 324, 326.  
 Castiglione Baldassare 525—577.  
 Castiglione Branda, kardynał, 526.  
 Castiglione Camillo 558, 577.  
 Castiglione Christoforo 526, 527.  
 Castiglione Conrado 526.  
 Cavalier Calabrese, malarz, 19.  
 Ceccoto, błazen na dworze Leona  
 X, 343.  
 Celestyn V, papież, 18.  
 Cellini Benvenuto 432, 433.  
 Celtes Konrad 136, 137.  
 Chigi Agostino 387.  
 Chigi Agostino il Magnifico 381—435.  
 Chigi Alessandro Giovanni 432.  
 Chigi Fabio 390, 429, 435.  
  
 Chigi Francesco 388.  
 Chigi Lorenzo 388.  
 Chigi Lorenzo Leone 412, 432.  
 Chigi Lukrecya 404.  
 Chigi Mariano 387, 388.  
 Chigi Sismondo 388, 393, 432.  
 Chrysolas Manuel 79.  
 Cian Vittorio, prof. 556.  
 Cinotto Pier Giovanni 343.  
 Ciołek Erazm 371—373.  
 Cipolli, architekt, 435.  
 Claramonte hr. de 369.  
 Colonna Agapito 26, 29.  
 Colonna Antonio 71.  
 Colonna Giovanni 13, 14.  
 Colonna Giovanni 48, 49.  
 Colonna Jacopo 19, 21, 22, 25.  
 Colonna Landolfo 23.  
 Colonna Lorenzo 73.  
 Colonna Lorenzo Odone 160, 161.  
 Colonna Marcantonio 230, 231, 235.  
 Colonna Odoardo 71.  
 Colonna Pietro 12.  
 Colonna Pietro 19, 21, 22.  
 Colonna Pompeo 272—275, 328, 573.  
 Colonna Prosper 67, 71, 75, 76, 83.  
 Colonna Sciarra 25, 26, 32—35.  
 Colonna Stefan 37—44, 46, 47, 51,  
 53, 54, 56.  
 Colonna Stefan 71.  
 Colonna Stefan 39, 48, 49.  
 Colonna Stefanello 57, 58.  
 Colonna Vittoria 444, 518, 557, 558.  
 Condulmieri Franciszek, kard., 71.  
 Conti Sigismondo 255—257.  
 Contucci Andrea, rzeźbiarz, 428,  
 429.  
 Cordona Rajmund 298, 299.  
 Coricio 264, 265.  
 Cornaro, kardynał, 358, 359.  
 Cornaro Katarzyna 495.  
 Corneto Adryan da, kardynał, 354.  
 Corraza Gregorio, poeta, 90.  
 Cybò Franciszek 294.  
 Cybò Innocenzo 359.



- Damiano Pier, kardynał, 10.  
 Dante 36.  
 Delicado Francesco 584.  
 Długosz 6.  
 Dolci Giovanni, architekt, 167.  
 Donato Jeronimo 237.  
 Donato Poli, humanista, 462.  
 Donatello 80.  
 Doni Antonio Francesco 469, 522, 523.  
 Dovizi Bernardo v. Bibbiena.  
  
 d'Este Alfons 246, 250, 251.  
 d'Este Ercole 446.  
 d'Este Hipolit 358.  
 d'Este Izabella Gonzaga, markiza mant., 267—270, 318, 319, 365—368, 369—371.  
 Erazm Rotterdamski 221, 261, 263—267, 280, 281.  
 Eugeniusz IV, papież, 70—75, 84, 85, 95.  
  
 Fabriano Gentile da, malarz, 67.  
 Farnese Alessandro 358, 434.  
 Farnese Elżbieta 434.  
 Farnese Giulia 227, 228.  
 Farnese Laura 305.  
 Fea Carlo, archeolog, 334.  
 Federigozzo di Jacopo di Federigo 28.  
 Feo Giacomo 188—192.  
 Feo Tomasz 176, 189, 190.  
 Ferrante Neapolitański 157.  
 Ferrarese Giulia 437—440.  
 Ferrarese Hipolit 586.  
 Ferreri Antonio, kardynał, 241.  
 Ficino Marsilio 133.  
 Filip Piękny, król franc., 26, 31, 32.  
 Fiorentino Giorgio 185.  
 Fiorentino Lorenzo 430.  
 Folengo Teofil, biskup i poeta, 459.  
 Foresti da Bergamo Filippo 184.  
 Franciszek I, król franc., 499, 501, 568—571.  
  
 Franciotto Luchina 224.  
 Franco Niccolo 469, 514, 515.  
 Frangipani 16.  
 Frangipani Petruccio 48.  
 Fregoso Constanza 535, 536.  
 Fregoso Federico 536.  
 Fregoso Ottaviano 536.  
 Frisio Mikołaj 541.  
 Fryderyk Aragoński, król Sycylii, 21.  
 Fryderyk, margr. brand., 13.  
 Fumanti Domenico, malarz, 435.  
  
**G**
  
 Gaetani 17, 18.  
 Gaetani Franciszek 20.  
 Gaetani Loffred 20.  
 Gaetani Piotr 20, 37.  
 Gallo Egidio, poeta laureatus, 426.  
 Gambara Weronika 517.  
 Ghetti Giovanni 189.  
 Ghini Simone di Giovanni 70.  
 Ghinucci di Galgano Stefano 388.  
 Giberti Gian Matteo, kardynał, 322—336, 476—478, 480, 487, 567.  
 Giovio Paolo 332—336, 517, 586.  
 Giraldi Battista 451.  
 Gonzaga Cezar 529, 532, 536.  
 z Gonzagów Eleonora Rovere 232—236, 409.  
 z Gonzagów Elżbieta Montefeltro 231—236, 533, 534, 538.  
 Gonzaga Federico 267—271, 369, 410, 411, 474, 482—484, 496, 519, 530, 531, 539, 560, 562, 563.  
 Gonzaga Francesco 368, 538.  
 Gonzaga Margerita 409—411, 535.  
 Górnicki Łukasz 558, 559.  
 Göritz z Luksemburga v. Coricio.  
 Göthe 435.  
 Grassi Parys 239, 247, 252—255.  
 Grassi Niccolo 585.  
 Grifonio Leonardo 408.  
 Grimani Dominik 265, 266, 325.  
 Grilli Luca 467.  
 Gritti Andrea 484, 494.



- Gritti Luigi 497.  
 Grzegorz XI, papież, 62.  
 Gwido z Prowancyi 12.  
 Gwido z Toskanii 11.
- Henryk VII**, król ang., 531, 539, 540.  
 Herburt Szczęsny 8.  
 Honorjusz III, papież, 15.  
 Hutten Ulrich 472.  
 Hygin 419.
- Imperya**, kurtyzana, 400—408.  
 Inghirami z Biserno 23.  
 Inghirami Fedro 403.  
 Inghirami Tommaso, bibliotekarz watykański, 364.  
 Innocenty VI, papież, 56.  
 Innocenty VIII, papież, 173, 174, 180, 196, 197, 294, 295.  
 Isco Giacolino 69.
- Joanna Neapolitańska** 64.  
 Juliusz II, papież, 217—292.  
 Juliusz III, papież, 519, 520.
- Kalikst III**, papież, 121.  
 Kallimach Filip 129—136.  
 Karol IV, cesarz, 55.  
 Karol V, cesarz, 498, 499, 515, 516, 569—575, 577.  
 Katarzyna Syeneńska 62.  
 Klemens V, papież, 37.  
 Klemens VI, papież, 45, 46, 56.  
 Klemens VII, papież, 476, 477, 482, 483, 485, 486, 495, 565—574.
- Landriani Lukrecya** 150.  
 Lang Mateusz, poseł cesarski, 285—287.  
 Lascaris 362, 364.  
 Lavagnola Izabella 318.  
 Leno Giuliano 279.  
 Leon X, papież, 293—380, 563, 564.
- Loschi Antonio, humanista, 83.  
 Ludwik XII, król franc., 201, 207, 208.  
 Luter Marcin 278.
- Malatesta da Rimini Robert** 158, 159.  
 Mannelli Piero 454.  
 Manetti Gianozzo 94, 95, 103, 105.  
 Maratta Carlo, architekt, 434.  
 Marcello Christoforo, biskup, 254.  
 Marcin V, papież, 13, 63—70, 82, 83.  
 Marforio 466.  
 fra Mariano 344—347, 358—360.  
 Marino Sanuto 306.  
 Marone Andrea, improwizator, 341.  
 Marozia 11.  
 Marsigli Luigi 79.  
 Masaccio 67.  
 Medici Alessandro 499, 500.  
 Medici Cosimo 102, 384, 500.  
 Medici Giovanni 384, 385.  
 Medici Giovanni (delle Bande Nere) 196, 210—214, 474, 475, 481.  
 Medici Giovanni (Popolano) 193—195.  
 Medici Giuliano 155, 309.  
 Medici Giuliano 308, 309, 314, 315.  
 Medici Giulio 309, 310.  
 Medici Klarysa 310, 546, 547.  
 Medici Lorenzino 500.  
 Medici Lorenzo 194, 209—211.  
 Medici Lorenzo, syn Piera, 309, 314, 315.  
 Medici Lorenzo il Magnifico 193, 293—297, 385, 386.  
 Medici Piero 194.  
 Medici Francesco 385.  
 Melozzo da Forli 167, 168, 419.  
 Merin Gabryel 348.  
 Michał Anioł 241, 246, 247, 375, 376, 431.  
 Mikołaj III, papież, 15.  
 Mikołaj V, papież, 76, 85—87, 100—106, 113—119.



- Molosso di Casalmaggiore Baldassare 358.  
 di Moncado Udo 573.  
 Montaigne 8.  
 del Monte Antonio, kardynał, 465.  
 Monte Piotr 541.  
 Montefeltro Guido 24.  
 Montefeltro Guidobaldo 529—533, 542.  
 Montreal 56—60.  
 Morato Pelegrino 586.  
 Morello da Ortona Sigismondo 541.  
 Murciato di Guido de' Francesi 32.  
 Musuro Marco 313, 362.  
 Muzio Girolamo 445, 446.
- Nicolo Giovanni 88.  
 Niccoli Niccolo 87—89.  
 Niccolini Giovan Battista 583.  
 Nifo Agostino 362, 364.  
 Nino Marc Antonio 322, 325.  
 Nogaret Wilhelm 32—35.
- O**chino Bernardino 444.  
 Ordelaffi Antonio 187, 188.  
 Orsi Checco 175—181.  
 Orsi Lodovico 175—181.  
 Orsini Alfonsina 310, 311.  
 Orsini Cola 47.  
 Orsini Franciotto 355.  
 Orsini Franciszek 72.  
 Orsini Giangiordano 228—230, 235.  
 Orsini Giordano 46, 47.  
 Orsini Giovanni 83.  
 Orsini Giovanni Gaetano 14.  
 Orsini Jacopo 35.  
 Orsiui Laura 227, 228, 235.  
 Orsini Rainoldo 46, 47.  
 d'Ostuni Serafin 366, 368.
- della Pace Luigi 429.  
 Palladio Blosio 335, 426.  
 Pallavicini Gaspar 540.  
 Pansechi Lodovico 175, 176.  
 Paolucci 349.
- Parentucelli Tommaso v. Mikołaj V. Pasquino 459—467.  
 Paweł II, papież, 125, 126.  
 Pazzi Franciszek 155, 385.  
 Pazzi Jacopo 385.  
 Penni Francesco 418.  
 Penni Jakób 289.  
 Perusco Marya 322.  
 Peruzzi Baldassare 417—420, 424, 425.  
 Petrarka 38—40, 45, 51, 79, 294.  
 Petrucci Alfonso 320—322, 324, 325, 359.  
 Petrucci Pandolfo 321, 392—394.  
 Petrucci Rafael 321, 404.  
 Petrucci Sulpicya 432, 433.  
 Platina 126, 128—130.  
 Pio da Carpi Albert 257—262.  
 Pio Emilia 534, 535, 553.  
 Piombo Sebastyan del 416, 423, 429.  
 Pipin Giovanni 52.  
 da Pisa Camilla 441, 442.  
 Pisanello Vittore 67.  
 Pius II, papież, 122.  
 Pius III, papież, 220.  
 Policyan 295.  
 Pomponiusz Laetus 126, 127, 129, 130.  
 Pontèreda Antoni 73.  
 Porcaro Stefano 115.  
 Posello Pier 314.  
 Prisciano 492, 493.
- Q**uerno Camillo 341, 342, 363.
- Rafael 319, 331, 375, 377, 378, 407, 421—426, 429—431, 560.  
 Raimondi Marcantonio 476.  
 Ranieri Teodoryk 25.  
 da Ravenna Giovanni 79.  
 Reszka Stanisław 8.  
 Riario Cezar 207.  
 Riario Girolamo 147—163, 172—176.  
 Riario Oktawian 183, 184, 191—193, 207.



- Riario Piotr 140, 143—148.  
 Riario Rafael 225, 321, 323—327.  
 Ricci Perina 513.  
 Rido Antonio 74, 75.  
 Rienzi Cola 40—62.  
 Rienzi Wawrzyniec 51.  
 Romanello 243.  
 Romano Giulio 387, 416, 418, 424.  
 Ronchi Giacomo 175, 176.  
 Rovere Christoforo 438.  
 Rovere Domenico 169, 170.  
 Rovere Francesco Maria 225, 231—236, 243—249, 542—544, 550, 565, 566.  
 Rovere Felicya 224, 228—230, 263.  
 Rovere (Franciotto) Galeotto 224, 225.  
 Rovere Giovanna 227, 234, 235.  
 Rovere Giuliano 143, 144, 149, 151, 168, 169, 197.  
 Rovere Leonardo 139, 146, 147.  
 Rovere Lukrecya 230, 231.  
 Rovere (Franciotto) Niccolo 224, 227, 235.  
 da Rovigo Zacaria 364.  
 Ruggiero Guidobaldo 585.
- Sadoletto** Jacopo 329, 330, 402.  
**Salutati** Coluccio 79.  
**Salviati** Francesco 155, 429, 501.  
**Salviati** Jakób 311, 312.  
**Sandella** Caterina 512.  
**Sangallo** Giuliano 276, 277.  
 z Sanoka Grzegorz 131.  
**Sanseverino** Federico 231, 359, 403.  
**Sansovino** Jacopo 488, 492, 521.  
**Saracini** Margerita 400.  
**Sarti** Antonio 435.  
**Sauli**, kardynał, 321, 324—327.  
**Savelli** 15, 16.  
**Savelli** Luca 51, 53.  
**Savelli** Mabilia 26, 29.  
**Savelli** Pandolfo 23.  
**Schinner** Mateusz, kardynał, 249, 250.
- Schomberg** Niccolo 567.  
 fra Serafino 537.  
**Serapica** Giovanni Lazzaro 312—314, 351, 355, 359.  
**Serlio** Sebastiano 501.  
**Sforza** Ascanio 197, 202, 354, 359.  
**Sforza** Bona 369.  
**Sforza** Galeazzo Marya 147, 148.  
**Sforza** Katarzyna 148, 150—154, 171—216.  
**Sforza** Lodovico il Moro 527, 528.  
**Siculo** Giulio Simon 363.  
**Sillano** di Spoleto Decio 462.  
**Silva** Michel 551.  
**Soderini** 321, 323, 324, 326, 327.  
**Spanochi** Ambrogio 388.  
**Sodoma**, malarz, 416, 425.  
**Sperone** Speroni 450.  
**Stazio** Gadio 410, 411.  
**Strascino** v. Campani  
**Strozzi** Filip »stary« 310.  
**Strozzi** Filip 311, 441, 442, 547.  
**Strozzi** Lorenzo 351.  
**Strozzi** Ludwik 577.  
**Strozzi** Palla 86.  
**Stunica** 282.  
**Sykstus** IV, papież, 139—170.
- Tamasio** 403, 404.  
**Tarpandro** Antoni Marya 540.  
**Tasso** Bernardo 447.  
**Teodora** 11.  
**Tirabosco** Christoforo 558.  
**Tizio** 399, 400.  
 da Todi Jacopone 22, 27.  
 di Toledo Pedro 455.  
**Torelli** Marya Hipolita 547, 548, 562.  
**Trapezuntios** Georgios 112.  
**Traversari** Ambrogio 80.  
**Tycyan** 420, 488, 489, 492.
- da **Udine** Giovanni 418, 424.  
**Urban** VI, papież, 62.  
**Urrea** Pedro 322.  
**Urslingen** Werner 54.



- 
- Valdes Alfons 575, 576.  
Valla Lorenzo 95—99, 106—110.  
Varchi Benedetto 447, 452—455, 518.  
Vasari Giorgio 505.  
del Vasto, markiz, 496, 498.  
Vercelli Battista 321—323, 325.  
Vico Giacomo 72.  
Vida Marco Girolamo 337.  
da Vinci Leonardo 375.  
Visconti Filip Marya 82.
- Vitelleschi Giovanni, kardynał, 70,  
72—75.  
Vitellozzo Vitelli 581.  
z Viterbo Egidyusz 60, 240, 284, 285.  
Viti Timoteo 416, 429.  
Volta Achille 480.
- Zafetta Angela 447, 448.  
da Zara Franceschina 332.  
Zygmunt I, król pol., 372, 373.
- 
- ♦♦♦







## SPIS RZECZY.

---

	Str.
Wstęp . . . . .	1
I. Ród Colonnów . . . . .	9
II. Najazd Humanistów . . . . .	77
III. Rovere-Riario . . . . .	138
IV. Katarzyna Sforza . . . . .	171
V. Otoczenie Juliusza II . . . . .	217
VI. Otoczenie Leona X . . . . .	293
VII. Chigi il Magnifico . . . . .	381
VIII. Tullia d'Aragona . . . . .	436
IX. Początki Pasquina . . . . .	459
X. Pietro Aretino . . . . .	468
XI. Baldassare Castiglione . . . . .	525
XII. Światła i cienie . . . . .	578
Chronologia papieży Odrodzenia . . . . .	589
Literatura . . . . .	597
Spis rycin . . . . .	607
Indeks . . . . .	609









11367

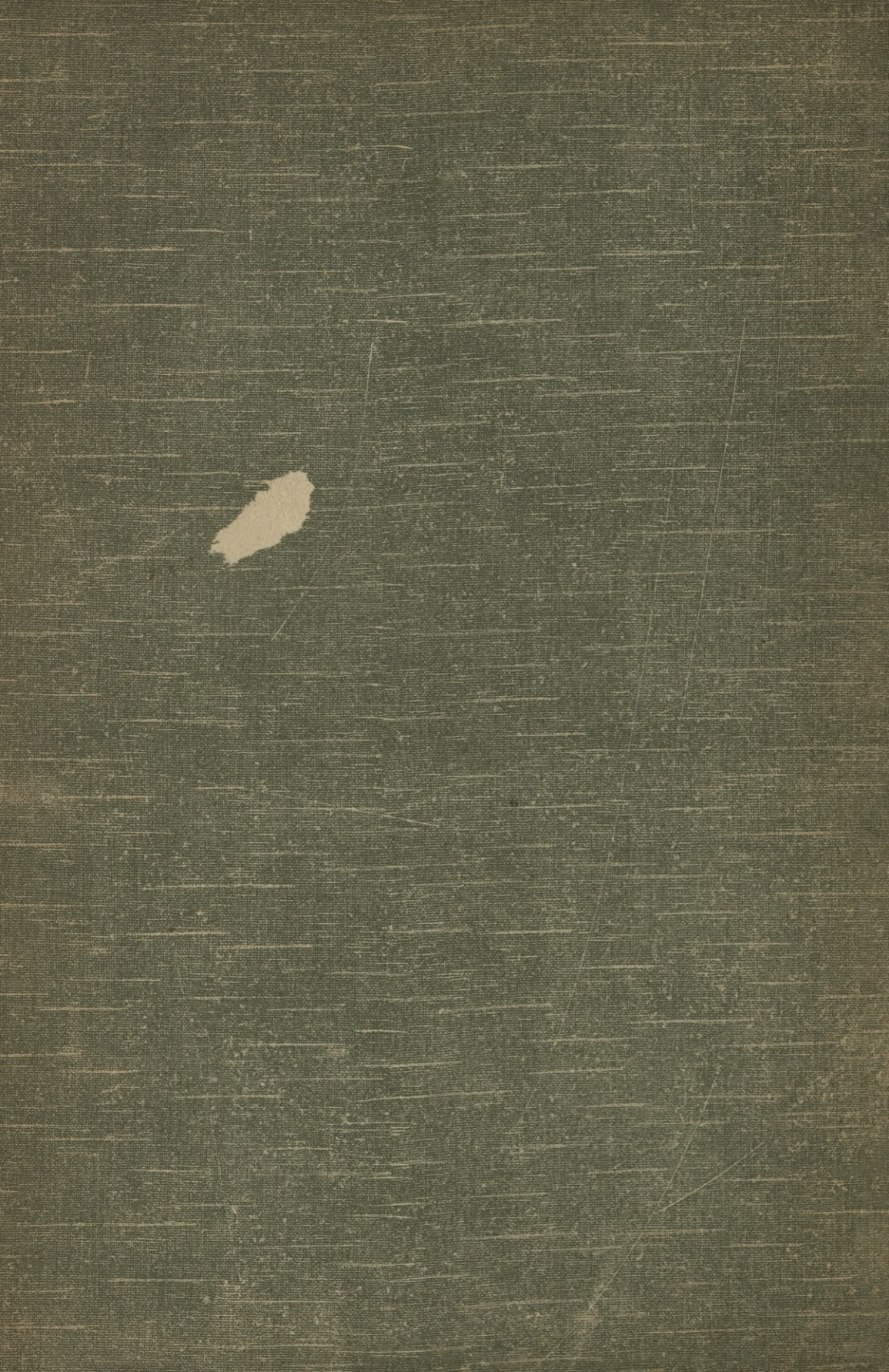
Z

200.-

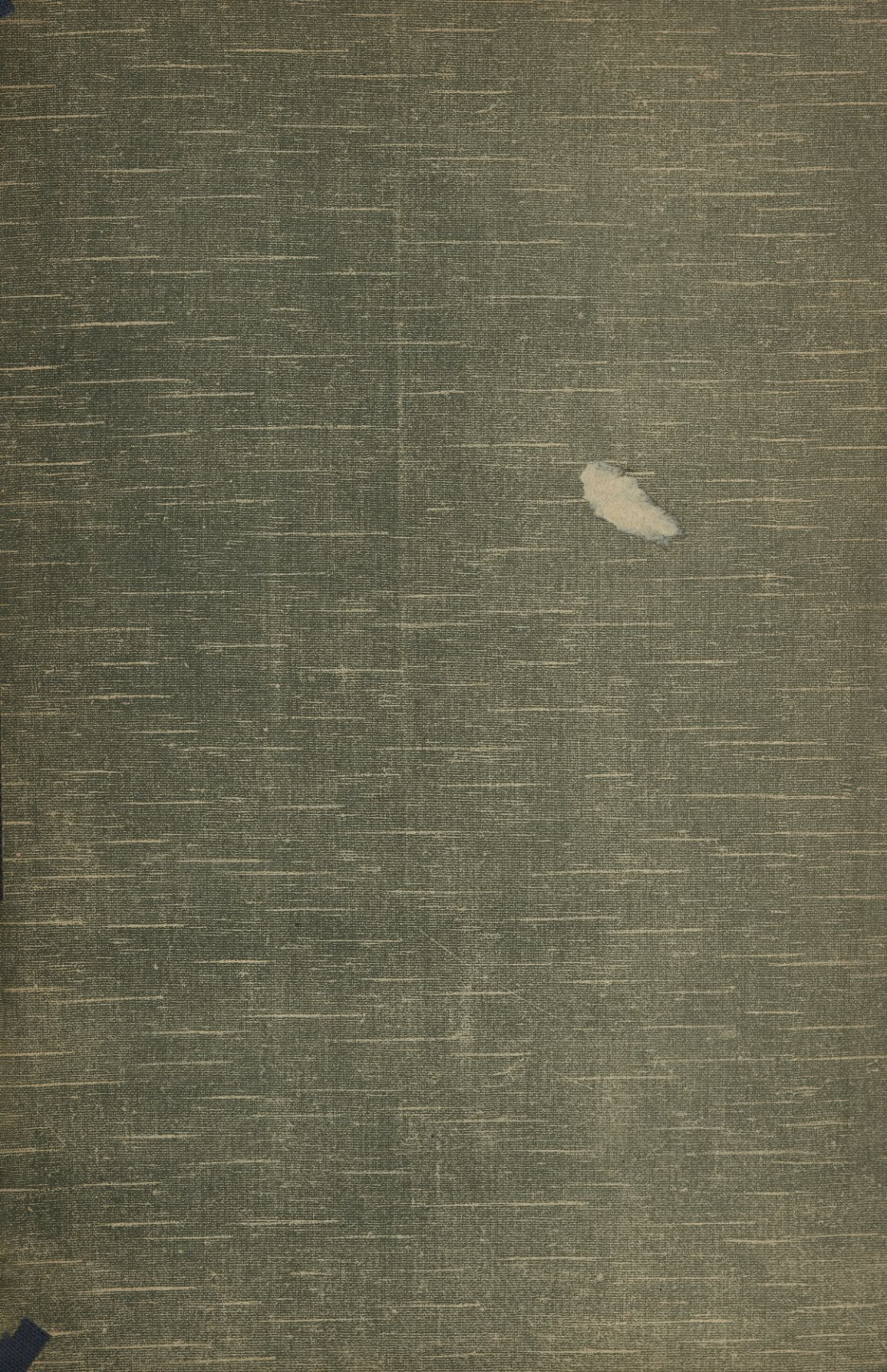
pl 5148

13/5. 955











POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw. 26640

Kdn. 524. 13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297913